

Pilcher Rosamunde

Powrót do domu t.1

Rodzice czternastoletniej Judyty wyjeżdżają na placówkę handlową do Singapuru, a córkę wysyłają do szkoły z internatem w Kornwalii. Osamotniona i pozbawiona rodzinnego ciepła dziewczynka zaprzyjaźnia się z koleżanką ze szkoły i przywiązuje do jej rodziny. Chętnie też odwiedza ich malowniczą posiadłość Nancherrow na wybrzeżu Kornwalii, czując się tam lepiej niż w domu. Judyta przeżywa pierwszą miłość i pierwsze rozczarowania, dojrzewa z dala od rodziny, ale otoczona przyjaznymi i życzliwymi ludźmi.

CZESC PIERWSZA

1935

Szkoła miejska w Porthkerris znajdowała się w połowie zbocza pagórka wyrastającego dokładnie pośrodku miasteczka. Wyżej rozciągały się już tylko wrzosowiska. Mieściła się w budynku z epoki wiktoriańskiej, solidnie zbudowanym z granitowych ciosów. Prowadziły do niego trzy oddzielne wejścia, pierwotnie przeznaczone dla chłopców, dziewcząt i dzieci przedszkolnych - pamiątka z czasów, kiedy obowiązywał ścisły podział według płci. Szkołę otaczały boiska, a sztachety z kutego żelaza jakby odgradzały ją od świata. Dziś jednak, w grudniowe popołudnie, budynek jarzył się światłami i pękał w szwach od tłumów przejętych uczniów, dźwigających zarówno teczki i worki z kapciami, jak też baloniki i torebki cukierków. Dzieci skupiały się w małych grupkach, piszcząc, chichocząc i poszturchując się nawzajem, zanim w końcu zaczęły rozchodzić się do domów. Miały powody, aby odczuwać radosne podniecenie. Jednym z nich było zakończenie zimowego semestru, drugim - doroczna choinka. Na sali gimnastycznej tańczono tradycyjne tańce przy akompaniamencie rozstrojonego fortepianu i bawiono się w gry sportowe, jak na przykład biegi sztafetowe z woreczkami napelnionymi grochem. Na podwieczorek podano lody z owocami i konfiturami, ciastka i oranżadę z bąbelkami. Potem uczniowie ustawiali się w kolejce, aby każdy mógł uścisnąć dłoń dyrektora, pana Thomasa, i życzyć mu wesołych świąt, otrzymując w zamian torebkę cukierków. Co roku odbywało się to

tak samo, ale dzieci zawsze dobrze się bawiły i z utęsknieniem wyczekiwały choinki. Stopniowo wrzawa dziecięcych głosików milkła. Z budynku szkolnego wychodzili już tylko zapóźnieni goście, tacy, co to długo nie mogli znaleźć rękawiczek czy butów od pary. Za kwadrans piąta wyszły dwie ostatnie dziewczynki, czternastolatki Judyta Dunbar i Heather Warren. Miały na sobie takie same granatowe płaszczyki, kalosze i wełniane czapeczki naciągnięte głęboko na uszy. Na tym jednak kończyło się ich zewnętrzne podobieństwo. Judyta była piegowatą blondynką o jasnej cerze, niebieskich oczach i z krótkimi warkoczykami. Heather natomiast pochodziła z rodu wywodzącego się w linii męskiej od hiszpańskiego marynarza, wyrzuconego przez fale na brzeg Kornwalii po klęsce Wielkiej Armady. Pośrednio po tym dalekim przodku, a bezpośrednio po ojcu, odziedziczyła oliwkową cerę, kruczoczarne włosy i oczy jak małe czarne winogrona. Panienki wychodziły z wieczorku ostatnie, bo Judyta opuszczała szkołę w Porthkerris na zawsze i chciała pożegnać się nie tylko z dyrektorem, lecz i ze wszystkimi nauczycielami, a nawet z kucharką, panią Trewartha, i starym woźnym, Jimmym Richardsem. Kiedy już pożegnała się, z kim tylko mogła, przeszła z koleżanką przez boisko i minęła bramę. Dzień był pochmurny i drobna mżawka rozpraszała światła latarni. Dziewczynki zaczęły iść w dół ulicą biegnącą po zboczu pagórka, a prowadzącą do miasta. Początkowo obie milczały.

- No i po wszystkim! - westchnęła wreszcie Judyta.
- To musi być zabawne uczucie wiedzieć, że już się tu nie wróci.
- Może i zabawne, ale trochę mi żal. Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym żałować jakiegokolwiek szkoły, a tymczasem lak właśnie się dzieje.
- Bez ciebie już nigdy nie będzie tu tak jak przedtem.

- A co ja mam powiedzieć? Tobie zostaną przynajmniej Elaine i Christine, a ja tam będę musiała od początku nawiązywać znajomości. I jeszcze każą mi nosić mundurek!

Milczenie Heather wyrażało współczucie. Jej także ta perspektywa wydawała się koszmarem. W szkole miejskiej w Porthkerris panowała pod tym względem całkowita swoboda - dzieci mogły ubierać się; tak kolorowo, jak chciały. Natomiast prywatna Szkoła Świętej Urszuli była placówką bardzo konserwatywną, wręcz staroświecką. Od uczennic wymagano tam umundurowania, złożonego z ciemnozielonego żakietu, grubych, brązowych pończoch i ciemnozielonego kapelusika. W tym nietwarzowym stroju nawet najładniejsza dziewczyna wyglądała zupełnie pospolicie.

Uczennice Świętej Urszuli dzieliły się na dochodzące i mieszkanki internatu. W Porthkerris rówieśnice Judyty i Heather traktowały takie dziewczęta z głęboką pogardą i dokuczały im, jak tylko mogły. Tym trudniej było wyobrazić sobie, że teraz Judyta stanie się jedną z tych nijakich, ulizanych, ale bardzo pewnych siebie istot.

Właśnie perspektywa zamieszkania w internacie wydawała się Heather najgorsza ze wszystkiego. Sama za nic w świecie nie dałaby się oderwać od swojej mamy, tatusia i dwóch starszych braci, przystojnych i czarnowłosych jak ojciec. W szkole w Porthkerris mieli opinię niepoprawnych łobuzów i rozrabiaków - dopiero groźny dyrektor okręgowej szkoły w Penzance zdołał ich nieco utemperować. Nadal jednak pozostali świetnymi kumplami. To właśnie oni nauczyli Heather pływać, jeździć na rowerze i łowić makrele z łódki. A co zabawnego można robić wśród samych dziewczynek? To nic, że Penzance, gdzie znajdowała się Szkoła Świętej Urszuli, leżało tylko o dziesięć mil stąd. Dla Heather, przyzwyczajonej do ścisłych więzi rodzinnych, dziesięćmilowy dystans dzielący ją od mamusi, tatusia, Paddy'ego i Joego równałby się całym latem świetlnym.

Najgorsze, że Judyta nie miała wyboru. Ojciec jej pracował w Kolombo na Cejlonie. Od czterech lat Judyta, jej matka i mała siostrzyczka Jess mieszkały z dala od niego, dopiero teraz zdecydował się sprowadzić do siebie żonę i młodszą córkę. Judyta zostawała więc sama i nie wiedziała, kiedy znów zobaczy matkę. Ale „nie czas już płakać nad rozlanym mlekiem”, jak powiedziałyby pani Warren. Heather gorączkowo szukała więc w myśli jakichś słów pocieszenia.

- Przecież będą wakacje! - przypomniała wreszcie.

- A jakże, będę je spędzać u cioci Luizy.

- Och, nie przejmuj się tak, przecież ona mieszka bardzo blisko stąd, w Penmarron. A wyobraź sobie, co by było, gdyby twoja ciocia mieszkała gdzieś w głębi kraju albo w jakimś mieście, gdzie nie znałabyś nikogo? Tu choć będziemy mogły się widywać, chodzić na plażę czy do kina...^J

- Na pewno?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - bąkała stropiona Heather.

- To znaczy, czy na pewno zechcesz jeszcze się ze mną przyjaźnić? Nie uznasz mnie za jakąś cholerną snobkę przez to, że będę chodzić do Świętej Urszuli?

- No wiesz! - Heather żartobliwie klepnęła Judytę po Siedzeniu workiem na kaptcie. - Za kogo ty mnie masz?

- W każdym razie jest to jakiś sposób, aby się stamtąd wydostać.

- Mówisz, jakbyś szła do więzienia.

- Na pewno wiesz, co mam na myśli.

- Czy ja wiem? Jak jest u tej twojej ciotki?

- To duży dom, przy samym polu golfowym. Pełno tam mosiężnych tac, skór tygrysich i nóg słoniowych.

- Nóg słoniowych? Co ona, na miłość boską z nimi robi?

- Używa ich jako jako stojaków na parasole.

- Nie powiem, żebym była tym zachwycona, ale może

nie będziesz musiała ich ciągle oglądać. Chyba masz tam oddzielny pokój?

- Tak, najlepszy z jej pokoiów gościnnych. Jest tam nawet umywalka i dosyć miejsca, aby postawić biurko.

- No więc chyba wszystko jest w porządku i nie rozumiem, czemu robisz wokół tego tyle szumu.

- Wszystko w porządku, ale to nie jest mój dom. Tak tam zimno i nieprzytulnie, wiecznie hulają przeciągi. Nic dziwnego, że to miejsce się nazywa Górą Czterech Wiatrów! Nawet jeśli na dworze panuje zupełna cisza, to i tak u cioci Luizy wydaje się, że wiatr tłucze w okna.

- To chyba jakiś nawiedzony dom!

- I jeszcze do tego stamtąd jest wszędzie daleko. Już nie wystarczy, tak jak dotąd, wsiąść do kolejki. Do najbliższego przystanku autobusowego są dwie mile. A samochodem ciocia Luiza nigdzie mnie nie podwiezie, bo wiecznie gra w golfa.

- To może nauczy cię prowadzić samochód, żebyś mogła wyjeżdżać sama?

- Akurat!

- W takim razie mam pomysł. Przydałby ci się rower. Wtedy mogłabyś zwiewać stamtąd, kiedy zechcesz. Po głównej szosie do Porthkerris byłoby tylko trzy mile.

- Wspaniała myśl! Nawet nie przyszło mi to do głowy!

- Dziwne, że dotąd go nie masz. Ja dostałam rower od tatusia, kiedy miałam dziesięć lat. Niezbyt mi się przydaje na wertepach, ale tobie przydałby się w sam raz.

- Ile taki rower może kosztować?

- Nowy około pięciu funtów, ale może uda ci się dostać używany.

- Moja mama nie umie robić takich zakupów.

- Nie ma co oglądać się na mamę, tylko trzeba zwyczajnie pójść do sklepu z rowerami i zapytać.

Namów mamę, żeby kupiła ci go na gwiazdkę.

- Ale już prosiłam o sweter, taki z zapięciem polo.

- Możesz poprosić także o rower.

- No nie, nie mogłabym!
 - Dlaczego nie? W tej chwili mama na pewno ci nie odmówi. Przecież wyjeżdża i nie wiadomo, kiedy cię znów zobaczy, więc kupi ci wszystko, co zechcesz. To akurat najlepszy moment. Trzeba kuć żelazo, póki gorące! - Heather przytoczyła jeszcze jedno ulubione powiedzonko swojej matki.
 - Zobaczymy! - stwierdziła wymijająco Judyta. Przez chwilę szły w milczeniu, aż słyhać było dźwięk ich kroków na wilgotnym chodniku. Minęły rzeźbiście oświetloną smażalnię ryb i frytek, skąd dochodził apetyczny zapach wrzącego tłuszczu i octu.
 - Czy ta ciocia Luiza jest siostrą twojej mamy? - dopytywała się dalej Heather.
 - Nie, jest siostrą taty, ale starszą, ma już około pięćdziesiątki. Przez długie lata mieszkała w Indiach i stamtąd przywiozła te słoniowe nogi.
 - A co robi twój wujek?
 - Nie żyje. Ciocia jest wdową.
 - Mają jakieś dzieci?
 - Nie, chyba nigdy nie mieli.
 - Ciekawe, czy dlatego, że nie chcieli ich mieć, czy może coś im nie wychodziło? Mam taką ciocię May, która też nie ma dzieci, ale podsłuchałam, jak tato mówił, że wujek Fred czegoś tam nie mógł. Nie wiesz, co to miało znaczyć?
 - Nie mam pojęcia.
 - Może to ma coś wspólnego z tym, o czym mówiła nam Nora Elliot? Pamiętasz, wtedy za szopą na rowery? - Ona na pewno wszystko zmyśliła.
 - Skąd wiesz?
 - Bo to zbyt obrzydliwe, żeby mogło być prawdą. A coś tak obrzydliwego mogła zmyślić tylko Nora Elliot. - Może i tak...
- Przez pewien czas obie dziewczęta krążyły jeszcze myślami wokół tego interesującego tematu. Nie doszły jednak

do żadnego konkretnego wniosku poza tym, że Nora Elliot bywała często nie domyta i chodziła w brudnych bluzkach. Nie miały czasu dłużej zastanawiać się nad rozwiązaniem tej zagadki, bo zeszyły już z pagórka i znalazły się w samym środku miasteczka, pod biblioteką publiczną, gdzie rozchodziły się ich drogi. Heather szła teraz w stronę wąskich, brukowanych uliczek portu, gdzie w budynku przypominającym granitową kostkę mieścił się sklep spożywczy i mieszkanie rodziny Warrenów. Judyta natomiast miała do pokonania jeszcze jeden pagórek w drodze do stacji kolejowej. Stały więc naprzeciw siebie w przytłumionym świetle latarni.

- Pewnie już się pożegnamy! - zauważyła Heather.
- Chyba tak.
- Przecież masz mój adres, będziesz mogła do mnie pisać. A gdybyś chciała zostawić jakąś wiadomość, na przykład, że wybierasz się na wakacje, to możesz dzwonić do sklepu.
- Oczywiście, będę pisać i dzwonić.
- Może ta szkoła nie będzie taka zła?
- Mam nadzieję, że nie.
- No to cześć!
- Cześć!

Ciężko im było się rozejść, bo przecież przyjaźniły się od czterech lat. Przykry moment przedłużał się w nieskończoność.

- No to wesołych świąt! - rzuciła Heather i znów zamilkła, aż znenacka wycisnęła gwałtowny pocałunek na mokrym policzku Judyty, obróciła się na pięcie i pobiegła przed siebie. Tupot jej nóg słychać było coraz słabiej, aż całkiem ucichł. Dopiero wtedy Judyta samotnie ruszyła w swoją drogę. Przechodziła obok świątecznie udekorowanych witryn sklepowych. Skrzynki z mandarynkami były już poowijane lametą, a słoiczki soli kąpielowych - czerwonymi

wstążkami. Nawet właściciel sklepu żelaznego zdecydował się nadać swojej wystawie świąteczny wystrój i zwykły młotek przybrał gałązką ostrokrzewu oraz ręcznie wypisaną etykietką: „Miły i praktyczny upominek”. Na szczycie wzgórza znajdowała się filia sieci magazynów W. H. Smitha, gdzie matka Judyty kupowała miesięcznik „Vogue” i wypożyczała książki.

Dalej już droga biegła po równej powierzchni. Domki stopniowo rzedyły, a bez ich osłony wiatr rozhulał się na całego, rozpylając mgiełkę wilgoci prosto w twarz Judyty. O tej porze przynosił także odgłosy fal bijących o brzeg gdzieś w dole.

Judyta zatrzymała się, opierając łokcie na granitowym murze, aby nabrać tchu po męczącym marszu pod górę. Po zboczu w dół spływały kaskady różnobarwnych domków, schodzących aż po ciemną misę basenu portowego. Biegący nad wodą bulwar był rzęsiście oświetlony latarniami. Od strony wody widać było czerwone i zielone światła pozycyjne łodzi rybackich. W ciemności zamazywała się linia horyzontu, ale Judyta i tak wiedziała, że tam dalej jest bezkresny ocean. Latarnia morska wysyłała ostrzegawcze błyski - jeden krótki, a po nim dwa długie. Pewnie, jak zawsze, fale rozbryzgiwały się o skały u jej podnóża.

Robiło się już zimno, zresztą nie było czasu, aby stać dłużej na tym wietrze. Do odjazdu pociągu zostało tylko pięć minut. Judyta puściła się biegiem, aż worek na kaptcie obijał się o jej bok. Z głośnym tupotem zbiegła w dół po kamiennych schodach. Od lat przemierzała codziennie tę trasę, więc poruszała się pewnie.

Na peronie czekała już kolejka wąskotorowa, złożona z lokomotywki, dwóch wagoników trzeciej klasy, jednego pierwszej klasy i budki konduktora. Judyta nie musiała kupować biletu, bo miała wykupiony abonament wielo-przejazdowy na cały semestr. W tym pociągu zresztą zarówno konduktor, pan William, jak i maszynista, Charlie,

dobrze ją znali. Charlie był tak uprzejmy, że nieraz zatrzymywał pociąg na stacji Penmarron, kiedy z wywieszonym językiem biegła, aby się nie spóźnić do szkoły.

Teraz najbardziej żał jej było tych dojazdów kolejką, bo trasa biegła przez bardzo malowniczą okolicę. Na trzy-milowym odcinku wybrzeża skupiły się chyba wszystkie atrakcyjne widoki, jakich można by się spodziewać. Po ciemku nie było widać postrzępionych klifów i zatoczek, plaż, samotnych chat i zielonych łąk, wiosną pełnych żonkili, ale Judyta wiedziała, że wszystko znajduje się na swoim miejscu. Do piaszczystych wydm i opustoszałej plaży zdążyła się już przyzwyczaić tak dalece, że uważała je za swoją własność.

Najprzykrzejsze było, kiedy obcy ludzie dowiadywali się, że Judyta chowa się bez ojca, i zaczęli się nad nią litować. Cóż z tego, że pracował w renomowanej firmie okrętowej Wilsona i McKinnona, skoro musiał przebywać na drugim końcu świata? Ciekawscy wypytywali, czy nie przykrzy się jej bez ojca, czy bardzo za nim tęskni i jak można sobie poradzić bez męskiej ręki w domu. A czy prędko wróci? Kiedy znów zobaczy rodzinę?

Judyta starała się odpowiadać wymijająco, bo niechętnie poruszała ten temat, a poza tym trudno jej było dokładnie zdefiniować własne uczucia. Wiedziała po prostu, że tak musi być, bo takie życie wiodły rodziny wszystkich Anglików zatrudnionych w Indiach. Ich dzieci od najmłodszych lat przyzwyczajały się do częstych pożegnań i długotrwałej rozłąki.

Judyta urodziła się w Kolombo i przebywała tam do dziesiątego roku życia, czyli o dwa lata dłużej niż większość dzieci pracowników brytyjskiej administracji kolonialnej. Przez ten czas tylko raz całą rodziną odwiedzili Anglię, ale Judyta miała wtedy dopiero cztery lata, więc niewiele zapamiętała z tego wyjazdu. Nigdy nie czuła się w Anglii jak w domu, bo jej dom był w Kolombo. Ten . przestronny bungalow z wiecznie zielonym ogrodem od-

dzielala od Oceanu Indyjskiego tylko wąska, jednotorowa linia kolejowa. Dzięki temu upał nigdy nie dawał się zbyt w znaki, a w pokojach pod sufitami szumiały wentylatory.

Nadszedł w końcu czas, kiedy trzeba było opuścić ten dom z pięknym ogrodem, oddaną nianię, lokaja Józefa i starego tamilskiego ogrodnika. Najgorsze jednak, że trzeba było także rozstać się z ojcem.

- Dlaczego musimy wyjechać? - dopytywała się Judyta jeszcze w drodze do portu, gdzie czekał na nich statek.

- Bo nadszedł już czas - odpowiedział lakonicznie ojciec. - Na wszystko przychodzi odpowiedni moment.

Rodzice nie zdradzili Judycie, że matka była znowu w ciąży. Prawda wyszła na jaw dopiero w chłodnej, mglistej i dżdżystej Anglii, dokąd dotarły po trzytygodniowym rejsie. Na miejscu matka poinformowała Judytę, że spodziewa się drugiego dziecka.

Na razie Judyta z matką nie miały gdzie mieszkać, dopóki nie zajęła się tym ciotka Luiza. Wynajęła dla Molly Dunbar umeblowany dom w Riverview. Wkrótce w miejscowej izbie porodowej przyszła na świat mała Jess. A teraz matka wracała z nią do Kolombo, podczas gdy Judyta miała zostać sama. Jakże im zazdrościła!

Spędziła już w Kornwalii cztery lata, czyli prawie trzecią część życia. Był to raczej szczęśliwy okres. Dom okazał się przestronny i wygodnie urządzone, z rozległym ogrodem opadającym tarasami w dół zbocza i z sadem jabłoniowym. Judytę natomiast najbardziej cieszyła pełna swoboda, jakiej tu zażywała. Matka, pochłonięta pielęgnacją małego dziecka, nie miała dla niej zbyt wiele czasu i była raczej zadowolona, że starsza córka potrafi sama zadbać o siebie. Wprawdzie z natury była przewrażliwiona i nadopiekuńcza, ale szybko sama się przekonała, że w tym cichym, sennym miasteczku nic dzieciom nie grozi.

Judyta zwiedzała okolice, zapuszczając się coraz dalej poza granice ogrodu. Najchętniej bawiła się przy torach

kolejowych, na pobliskich grządkach fiołków i przy ujściu rzeki. Z czasem, gdy nabrała większej śmiałości, odkryła dróżkę wiodącą do romańskiego kościółka zbudowanego w jedenastym wieku, z czworoboczną wieżyczką i omszałymi nagrobkami na przykościelnym cmentarzyku. Miejscowy wikary przyłapał ją kiedyś, jak próbowała od-cyfrować napisy wykute w kamieniu nagrobnym. Ujęty jej zainteresowaniem oprowadził ją po kościele, opowiadając jego historię i wskazując najważniejsze zabytki.

Pastor wszedł z nią nawet na wieżę kościelną, aby pokazać jej okolicę z lotu ptaka. Z góry tereny rolnicze wyglądały jak kołdra zszywana z kawałków - łąki przypominały zielony aksamit, a zorane pola brązowy sztruks. Otaczające je wzgórza wieńczyły prastare kopce graniczne, które stały tam od niepamiętnych czasów. W wodach ujścia rzeczno odbijał się błękit nieba, natomiast kanał przypluwów i odpływów miał barwę granatową, otwarte morze zaś - turkusową. Na północnym cyplu wybrzeża widoczna była latarnia morska, na plaży - piaszczyste wydmy, na pełnym morzu - łodzie rybackie, a na tle nieba - mewy.

Wikary wytłumaczył Judycie, że kościółek ten przed laty celowo wybudowano nad samym brzegiem morza, aby jego wieża służyła jako punkt orientacyjny dla statków. Nietrudno było wyobrazić sobie te galeony pod pełnymi żaglami, unoszone w górę rzeki na fali przypluwu.

Równocześnie z odkrywaniem różnych ciekawych miejsc Judyta poznawała wciąż nowych ludzi. Kornwalijszczyzna zazwyczaj lubią dzieci, toteż wszędzie przyjmowano ją bardzo serdecznie. Dzięki temu dziewczynka wyzbyła się wrodzonej nieśmiałości i poznała całą galerię typów ludzkich.

Zaznajomiła się z panią Berry, właścicielką sklepiku, która wyrabiała także lody z proszku jajecznego, ze starym węglarzem Herbiem, wreszcie z kierowniczką poczty, panią Southey, która chroniła się przed bandytami za okratowanym okienkiem i zawsze się myliła

przy wydawaniu reszty, nawet jeśli ktoś kupował tylko znaczek.

Nieco dalej mieszkali jeszcze ciekawszy ludzie. Taki na przykład pan Willis przepracował szmat czasu w chilijskich kopalniach cyny, ale na stare lata wrócił do ojczystej Kornwalii. Mieszkał w drewnianej chałupce nad samym kanałem, z przytykającym do niej skrawkiem plaży, zarzuconym najrozmaitszymi przedmiotami wyniesionymi na brzeg z falą przyływu. Można tam było znaleźć zarówno kawałki lin, jak i puszki po konserwach, butelki i stare kalosze. Kiedyś Judyta zbierała muszelki w pobliżu jego chatki i pan Willis wdał się z nią w rozmowę, po czym zaprosił ją do środka na herbatę. Od tej pory sama szukała okazji, aby z nim porozmawiać.

Pan Willis nie był tylko zwykłym śmieciarzem - pełnił dwie ważne funkcje! Jednym z jego obowiązków była obserwacja przyływów i sygnalizowanie podnoszenia się poziomu wody na taką głębokość, aby barki z węglem mogły płynąć w górę rzeki. Oprócz tego pracował jako przewoźnik. Przed swoim domkiem zainstalował dzwon okrętowy, w który uderzali chętni do przepłynięcia na drugi brzeg kanału. Wtedy pan Willis spychał prom na wodę i przewoził klientów. Za tę usługę inkasował po dwa pensy.

W chatce mieszkała również pani Willis, ale często przebywała poza domem, gdyż dorabiała dojeniem krów u miejscowego farmera. Krążyły plotki, że to nie żadna pani Willis, tylko panna Jakałam, która żyje ze starym przewoźnikiem na kocią łapę, toteż w miasteczku mało kto z nią rozmawiał. Musiała wiązać się z tym równie tajemnicza historia, jak z wujkiem Heather, który „czegoś tam nie mógł”. Ilekroć jednak Judyta próbowała pociągnąć matkę za język - pani Dunbar sznurowała usta i czym prędzej zmieniała temat.

Dlatego też Judyta wolała nie zwierzać się matce ze swojej przyjaźni z panem Willisem. Obawiała się, że matka gotowa byłaby zabronić jej wszelkich kontaktów z tym człowiekiem, a szczególnie odwiedzania go w domu. Śmieszne - jakby taki pan Willis mógł komukolwiek zrobić krzywdę! Dorośli czasem bywają całkiem niemądrzy!

A już zupełnie głupio postępowała pani Dunbar, traktując Judytę tak samo jak czteroletnią Jess. Judyta uważała, że mając czternaście lat powinna już uczestniczyć w podejmowaniu pewnych decyzji, zwłaszcza tych, które bezpośrednio jej dotyczyły. Cóż, gdy matka nawet nie próbowała z nią dyskutować, tylko oświadczała kategorycznie:

- Dostałam właśnie list od tatusia. Chce, abym zabrała Jess i pojechała do niego.

Już to podziałało jak grom z jasnego nieba, ale najgorsze miało dopiero nastąpić.

- Postanowiliśmy oddać cię do Szkoły Świętej Urszuli, z internatem. Omówiłam już wszystko z dyrektorką, panną Catto. Wiosenny semestr zaczyna się od piętnastego stycznia.

„Coś podobnego! Jakbym była paczką albo psem, którego zwyczajnie odsyła się do psiarni!” - pomyślała Judyta, a głośno wyjąkała:

- A co z wakacjami?

- Wszystkie wakacje i ferie będziesz spędzać u cioci Luizy. Była tak miła, że obiecała zająć się tobą pod naszą nieobecność. Odstępuje ci swój najlepszy pokój gościnny, gdzie będziesz mogła się przenieść ze wszystkimi rzeczami.

To właśnie było najgorsze! Nie żeby nie lubiła ciotki Luizy - kiedy obie z matką mieszkały u niej w Penmar-ron, okazała im dużo serca. Tyle że wszystko w niej było „nie takie jak trzeba”. Ta kobieta, dobrze po pięćdziesiątce, działała raczej onieśmielająco, nie mając w sobie ani odrobiny ciepła. Jej dom, sterylne czyste i uporządkowane, nadawał się w sam raz dla starszej osoby. Dwie siostry, Edna i Hilda, pracujące u niej jako kucharka i pokojów-

ka, były równie wiekowe i nieprzystępne. W niczym nie przypominały sympatycznej Phyllis, która była u pani Dunbar służącą do wszystkiego, a mimo to znajdowała czas, aby grać z Judytą w różne gry na kuchennym stole lub zabawiać ją wrózeniem z fusów po herbacie.

Wszystko wskazywało więc na to, że święta Bożego Narodzenia spędzi u ciotki Luizy. Pewnie rano pójdą do kościoła, na obiad zjedzą pieczoną gęś, a po południu udadzą się na krótki spacer po polu golfowym, aż do ostatniej białej bramki. Nie zapowiadało się to ciekawie, ale Judyta dawno już wyzbyła się złudzeń co do tych świąt. Mama jakoś nie potrafiła urządzać ich tak, jak opisywano w książkach. Nie lubiła dekorować stołu ostro-krzewem ani ubierać choinki, a Judycie już dwa lata temu powiedziała, że jest zbyt duża, aby wywieszać pończochę na prezenty.

Właściwie mama nigdy nie miała talentu organizacyjnego. Nie lubiła urządzać pikników na plaży ani przyjęć urodzinowych. Mieli wprawdzie samochód, starego austina, ale pani Dunbar bała się go prowadzić i zawsze znajdowała setki wymówek, aby w ogóle nie wyjeżdżać z garażu. Wmawiała sobie, że z pewnością najedzie na kogoś, nie zdąży zahamować lub jadąc pod górę nie wrzuci właściwego biegu.

Wszystko to jednak nie było jeszcze najgorsze w porównaniu ze świętami sprzed dwóch lat. Spędziły je wraz z matką u jej rodziców, wielebnego Evansa i jego żony. Dziadek, pastor, był proboszczem niewielkiej parafii w hrabstwie Devon, a babcia nieustannie borykała się z biedą i trudami egzystencji na wiktoriańskich jeszcze plebaniach. Przez całe święta wszyscy nic, tylko biegali do kościoła i z powrotem, a babcia sprezentowała Judycie pod choinkę książeczkę do nabożeństwa. Judyta uprzejmie podziękowała, wylewnie zapewniając, że zawsze marzyła o takiej książeczce. Przez grzeczność nie dodała słów, które miała na końcu języka: „...ale nie aż tak bardzo!”

Mało tego, Jess, która zawsze musiała wszystko popsuć, rozchorowała się na krup i trzeba było co drugi dzień przyrządzać dla niej puddingi.

Z pewnością były to najgorsze święta w dotychczasowym życiu Judyty, ale i myśl o Szkole Świętej Urszuli nie dawała jej spokoju. Nie widziała nigdy tej szkoły ani nie miała okazji poznać groźnej dyrektorki, panny Catto. Matka przypuszczalnie obawiała się gwałtownego odruchu protestu, ale bezpodstawnie, bo Judyta nigdy przeciw niczemu nie protestowała. Dopiero w wieku czternastu lat doszła do wniosku, że może jednak powinna spróbować mieć własne zdanie. Heather Warren zawsze umiała owinać sobie ojca wokół palca. Jednak ich ojcowie różnili się od siebie, a w dodatku Judyta nie mieszkała ze swoim.

Tymczasem pociąg zaczął zwalniać. Przejechał pod mostem, czemu towarzyszyła zmiana dźwięku wydawanego przez koła, i zahamował z sykiem pary. Judyta pozbierała swoje pakunki i wyszła na peron, wprost na drewniany budynek stacyjny, przypominający fantastycznie rzeźbiony pawilon. W otwartych drzwiach stał zawiadowca stacji, pan Jackson.

- Jak się masz, Judytko! Co tak późno dzisiaj? - przywitał ją.

- Mieliśmy choinkę w szkole.

- No, to wspaniale!

Teraz czekał ją już tylko krótki spacer, bo stacja znajdowała się akurat na wprost furtki do ogrodu. Wystarczyło przejść przez poczekalnię, gdzie zawsze czuć było nieprzyjemne wyziewy z toalet, a potem tylko kilka kroków ścieżką. Kiedy przyzwyczaiła się do ciemności, zorientowała się, że deszcz przestał padać. Słysząc tylko szum wiatru w sosnach, nieco tajemniczy, lecz niegroźny. Judyta namacała zaszczepkę od furtki, otworzyła ją i wspięła się po stromych schodkach przecinanych tarasami.

Dom stał na szczycie wzgórza, a spoza firanek prześwitywały przytulnie oświetlone wnętrza. Ozdobna latarnia nad frontowymi drzwiami paliła się i w jej świetle widać było zaparkowany obcy samochód. Świadczyło to niezbicie, że w domu gościła akurat ciotka Luiza. Jej duży czarny rover wyglądał solidnie i bezpiecznie, ale inni użytkownicy wąskich dróg w West Penwith musieli się mieć na baczności.

Wóz ten miał bowiem silnik o dużej mocy, a jego właścicielka, skądinąd szanowana parafianka i podpora klubu golfowego - siadając za kierownicą zmieniała się nie do poznania. Z wyciem silnika i z zawrotną prędkością ścinała zakręty, przekonana, że wystarczy nacisnąć klakson, aby mieć prawo po swojej stronie. Choćby więc wgniotła swoim zderzakiem błotnik w czyimś samochodzie lub przejechała kureę - nie brała nawet pod uwagę ewentualności, że kolizja mogła powstać z jej winy. Dowodziła swojej niewinności tak sugestywnie, że poszkodowani nie wytrzymywali nerwowo i woleli nie wdawać się z nią w spór, a co dopiero domagać się odszkodowania czy naprawienia szkód. Judyta nie miała jakoś chęci spotkać się z ciotką Luizą, więc wołała wejść kuchennymi drzwiami. W kuchni, przy czysto wyszorowanym stole, siedziała Jess z kredkami i książką do kolorowania, a Phyllis w zielonej sukni i muślinowym fartuszką prasowała cały stos bielizny.

Jakże kontrastowało z chłodną i dżdżystą pogodą na dworze przyjemne ciepło panujące w kuchni. Rzeczywiście było to najlepiej dogrzane miejsce w całym domu, bo pod płytą typowego kornwalijskiego pieca kuchennego, zdobnego mosiężnymi gałkami, ogień nigdy nie wygasał. Teraz też na płycie śpiewał już czajnik z gotującą się wodą. Naprzeciw pieca stał kredens zastawiony półmiskami i salaterkami, z wazą do zupy na honorowym miejscu. Tuż przy piecu Phyllis stawiała zwykle swój wyplatany fotel, aby mieć na czym spocząć w nielicznych

wolnych chwilach. W całej kuchni pachniało świeżo upraną bielizną, zarówno tą prasowaną, jak i tą rozwieszoną na uczeponiej pod sufitem suszarce.

- Hej, jak się masz! - podniosła wzrok Phyllis. - Czego się tak skradasz tylnym wejściem?

Phyllis była kościstą dziewczuchą o płaskim biuście, mysich włosach i popsutych zębach, które często ukazywała w uśmiechu. Mimo to Judyta uważała ją za najsympatyczniejszą osobę, jaką знаła.

- Bo zobaczyłam samochód cioci Luizy...

- No to co? Dobrze się bawiłaś na choince?

- Tak. Czekał, Jess, mam tu coś dla ciebie. - Pogrzebała w kieszeni płaszcza i podała siostrze torebkę cukierków.

- Co to? - Mała nie zorientowała się od razu. Była uroczą, pulchną blondyneczką, ale strasznie jeszcze dziecinną, co nieraz wyprowadzało Judytę z równowagi.

- Cukierki, głuptasie!

- A ja lubię gumy owocowe!

- Poszukaj, może jakąś znajdziesz.

Judyta rzuciła płaszczy i czapkę na fotel, ale Phyllis nie upomniała jej, aby powiesiła rzeczy na wieszaku. Nieraz nawet robiła to za nią.

- Nie wiedziałam, że ciocia Luiza ma dziś do nas przyjść - głośno myślała Judyta.

- A jakże, dzwoniła gdzieś koło drugiej i zapowiedziała się z wizytą.

- Ciekawe, o czym też rozmawiają z mamą.

- Nie bądź taka ciekawska.

- Pewnie o mnie?

- I o tobie, i o twojej nowej szkole, prawnikach, chesnym i telefonach. A skoro już o tym mowa, to ciocia Bidy dzwoniła dziś rano. Rozmawiała z twoją mamą chyba z dziesięć minut.

Judyta ożywiła się na tę wiadomość, bo bardzo lubiła ciocię Bidy, rodzoną siostrę mamy.

- Nie wiesz, czego chciała?

- Nie mam zwyczaju podsłuchiwać. Spytaj o to mamy. - Phyllis odłożyła żelazko i zaczęła zapinać najlepszą bluzkę pani Dunbar. - Lepiej idź już do nich. Jest tam dla ciebie filiżanka, gorące bułeczki i ciasto cytrynowe, jeśli jesteś głodna.

- Jak wilk!

- A co, nie dali wam tam jeść?

- Były szafranowe ciasteczka, ale to wszystko mało.

- To biegnij już, bo mama zacznie się niepokoić.

- O cóż ma się niepokoić?

- Dobra, dobra. Ściągaj buty i umyj ręce - ucięła krótko Phyllis.

Umyła więc ręce w zlewie mydłem marki „Mak Kalifornijski”, którego używała Phyllis. Niechętnie wyszła z przytulnej kuchni i przeszła przez hall. Zza drzwi salonu dobiegał stłumiony szmer damskich głosów. Judyta otworzyła drzwi i weszła do środka tak cicho, że rozmawiające kobiety nie od razu spostrzegły jej obecność.

Molly Dunbar i jej szwagierka, Luiza Forrester, siedziały przy kominku. Między nimi stał rozkładany stolik nakryty do podwieczorku. Leżał na nim haftowany obrus i stała najlepsza porcelana, a na niej kanapki, cytrynowe ciasto z lukrem, gorące bułeczki z bitą śmietaną i dżemem truskawowym oraz dwa rodzaje biszkoptów - maślane i czekoladowe.

W salonie panowała przytulna atmosfera. Aksamitne story były zaciągnięte, a w kominku żarzyły się bryły węgla. Wprawdzie dom ten został wynajęty już z wyposażeniem, toteż w salonie nie było specjalnych luksusów -fotele obite spłowiałym kretonem, turecki dywan i bardziej praktyczne niż ozdobne stoliki i półki na książki -jednak Molly potrafiła mu nadać indywidualny charakter. W znacznej mierze przyczyniły się do tego pamiątki przywiezione z Cejlonu - bibeloty z nefrytu i kości słoniowej, papierośnica z czerwonej laki, biało-niebieska waza z ros-

nącymi w niej hiacyntami oraz fotografie rodzinne w srebrnych ramkach.

- Będziesz miała teraz masę roboty - mówiła właśnie ciotka. - Może mogłabym ci jakoś pomóc...

Nachyliła się, żeby odstawić filiżankę i spodeczek, i w tym momencie jej spojrzenie padło na drzwi.

- Popatrz, kto przyszedł! - powiedziała.

- Ach, Judyta! - Matka odwróciła się ku niej. - Już myślałam, że spóźniłaś się na pociąg.

- Nie, tylko rozmawiałam w kuchni z Phyllis. Dobry wieczór, ciociu! - Przeszła przez pokój i ucałowała nadstawiony policzek ciotki. Ta jednak wcale nie miała zamiaru odwzajemnić się tym samym. W ogóle ciotka Luiza nie była zbyt wylewna.

Ta dobrze zbudowana kobieta, trochę po pięćdziesiątce, zwracała uwagę zadziwiająco szczupłymi i zgrabnymi nogami, obutymi w wypucowane do połysku półbuciki. Miała na sobie tweedowy kostium, a jej elegancko zaondu-lowane srebrne włosy przytrzymała prawie niewidzialna siateczka. Mówiła niskim głosem z lekką papierosową chrypką i w ogóle miała w sobie coś męskiego. Nawet w aksamitnych i haftowanych toaletach wieczorowych wyglądała jak mężczyzna, który dla żartu lub na bal kostiumowy przebrał się w suknię swojej żony.

Była więc kobietą raczej przystojną niż piękną, a jeśli wierzyć starym fotografiom - nigdy nie grzeszyła urodą. Kiedy osiągnęła dwadzieścia trzy lata i jeszcze nie złapała męża - rodzice postanowili wysłać ją do Indii, gdzie miała krewnych w angielskich oddziałach stacjonujących w Delhi. W porze upałów mieszkające tam rodziny wojskowych przenosiły się w góry, gdzie było trochę chłodniej. W górskiej miejscowości Poona poznała Luiza majora Jacka Forreстера, który dowodził strzelcami z Bengalu, stanowiącymi załogę oddalonego górskiego fortu. Stamtąd przez prawie dwanaście miesięcy w roku czynił wypady przeciw wojowniczym Afgańczykom, a do Poony przybył

na urlop. Po miesiącach celibatu był spragniony towarzystwa kobiety, toteż krzepka, rumiana Luiza, którą podejrzwał kiedyś na korcie tenisowym, wydawała mu się darem nieba. Bez zbędnych ceremonii zaczął ubiegać się

o jej rękę i ani się spostrzegł, kiedy był już zaręczony, a wkrótce i żonaty.

O dziwo, ich małżeństwo okazało się wyjątkowo zgodne, tyle że nie dochowali się dzieci. W zamian rzucili się w wir życia towarzyskiego, sportów i innych rozrywek, których w Indiach nie brakowało. Mogli polować lub urządzać wycieczki w góry, do dyspozycji mieli konie pod wierzch, a nawet do gry w polo, korty tenisowe i pola golfowe. Luiza celowała zwłaszcza w tym ostatnim sporcie. Kiedy Jack przeszedł w stan spoczynku - oboje przenieśli się do Anglii i zamieszkali w Penmarron, gdzie pole golfowe znajdowało się przy samym domu.

Drugim zaś domem dla małżeństwa Forresterów stał się klub golfowy, gdzie przy nie sprzyjającej pogodzie grywano także w brydża. Jack spędzał też coraz więcej czasu w barze, gdzie wyrobił sobie opinię faceta o mocnej głowie, który potrafiłby przepić każdego. Chwalił się, że ma serce jak dzwon, i jego koledzy wierzyli w to dopóty, dopóki pewnego sobotniego poranka nie wyzionął ducha przy czternastym dołku golfowym. Wtedy zwątpili...

Molly przebywała akurat na Cejlonie i wysłała stamtąd do szwagierki list kondolencyjny. Nie mogła sobie wyobrazić, jak Luiza będzie teraz żyć bez Jacka, który był dla niej tyleż mężem, co świetnym kumplem. Okazało się jednak, że Luiza pozostała taka sama, jaka była przedtem. Mieszkała w tym samym domu, zachowała dotychczasowy sposób ubierania się i styl życia. Codziennie grywała w golfa, a że miała równie dobre uderzenie jak mężczyzna - nie narzekała na brak partnerów.

Teraz zaś wyciągnęła papierośnicę, a z niej - tureckiego papierosa. Obsadziła go w kościanej cygarniczce

i zapaliła złotą zapalniczką po nieboszczyku mężu.

- No i jak się udała choinka? - spytała przez kłęby dymu.
- Całkiem niezłe. Tańczyliśmy „Sir Rogera”, jedliśmy szafranowe ciasteczka... - W tym momencie wzrok Judyty zatrzymał się na zastawionym stole. - Ale mimo wszystko jestem głodna.
- Jeszcze sporo zostało dla ciebie - pocieszyła ją Molly. Judyta przysunęła sobie niski stołeczek i usiadła między matką a ciotką, tak że smakołyki przyrządzone przez Phyllis znajdowały się akurat na wysokości jej nosa.
- Napijesz się mleka czy herbaty? - spytała matka.
- Dziękuję, może być mleko.
- Judyta nałożyła sobie na talerzyk bułeczkę i zaczęła ostrożnie ją jeść. Ostrożnie dlatego, że bułeczka była grubo posmarowana bitą śmietaną i dżemem, co groziło zachlapaniem wszystkiego dookoła.
- Pożegnałaś się już z koleżankami? - indagowała dalej matka.
- Tak, i z panem dyrektorem, i w ogóle ze wszystkimi. Dostaliśmy po torbce cukierków, ale dałam je Jess. Z powrotem przeszłam się kawałek z Heather...
- Z jaką Heather? - przerwała ciotka Luiza.
- Z moją najlepszą przyjaciółką, Heather Warren.
- To córka tego Warrena, który ma sklep przy placu Targowym - pospieszyła z wyjaśnieniem Molly.
- Ach, tego przystojnego Hiszpana? - Ciotka zrobiła filuterną minę. - To naprawdę człowiek na poziomie. Kupowałabym u niego, nawet gdyby nie sprowadzał mojej ulubionej marmolady. Ciotka najwyraźniej była w dobrym humorze. Judyta postanowiła wykorzystać ten moment, aby poruszyć temat roweru. Należało przecież kuć żelazo póki gorące, czyli złapać byka za rogi, jak powiedziałyby pani Warren.
- ...i właśnie Heather podsunęła mi świetny pomysł. Uważa, że przydałby mi się rower.
- Rower?!

- Mamo, mówisz takim tonem, jakbym prosiła przynajmniej o samochód lub konia wyścigowego! Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Z Góry Czterech Wiatrów jest daleko i do pociągu, i do autobusu, a gdybym miała rower, nie musiałabym prosić cioci, żeby mnie wozila. Wtedy ciocia mogłaby spokojnie grać w golfa! - dodała perfidnie.
 - Pomyślałaś o wszystkim, prawda? - Ciotka parsknęła śmiechem.
 - Ciocia nie miałaby nic przeciwko temu?
 - Ależ skąd! Odwrotnie, cieszyłabym się, że mam cię z głowy! - Ciotka Luiza miała specyficzne poczucie humoru.
 - Kochanie, ale czy to nie jest strasznie drogie? - Molly z powrotem odzyskała mowę.
 - Heather mówi, że rower kosztuje około pięciu funtów.
 - Tak też myślałam. To kupa pieniędzy, a czeka nas jeszcze mnóstwo wydatków. Nie zaczęłyśmy kompletować wyprawki dla ciebie do szkoły, a u Świętej Urszuli wymagają pełnego wyposażenia.
 - A czy nie mogłabym dostać od ciebie roweru pod choinkę?
 - Ale kupiłam ci już to, o co mnie prosiłaś.
 - No więc rower mógłby być na urodziny. Przecież wtedy nie będzie cię tutaj, więc nie musiałabyś wysłać już niczego z Kolombo...
 - Ale jeździć po głównych drogach jest bardzo niebezpiecznie...
- Matka już zaczynała się łamać, gdy do rozmowy wtrąciła się ciotka Luiza.
- Umiesz przynajmniej jeździć na rowerze? - spytała.
 - No pewnie, tylko nigdy dotąd nie prosiłam o rower, bo go nie potrzebowałam. Natomiast teraz byłoby to bardzo praktyczne.
 - Ależ, Judyto... - Matka jeszcze nie dawała za wygraną.

- Och, Molly, przestań już histeryzować. Co może jej się stać? Jeśli wpadnie pod autobus, sama będzie sobie winna. Zafunduję ci ten rower, Judyto, tylko pamiętaj, że to bardzo drogi prezent, więc musi starczyć także i na urodziny. Tym sposobem nie będę musiała ci już niczego wysyłać.
 - Naprawdę? - Judyta z trudem mogła uwierzyć, że udało jej się dopiąć swego. - Och, ciociu, jesteś wspaniała!
 - Chodzi mi tylko o to, żebyś nie plątała mi się pod nogami.
 - A kiedy byśmy kupiły ten rower?
 - Może w Wigilię...
 - Ach, nie! - zaprotestowała słabym głosem Molly, przejawiając pewne zdenerwowanie.
 - O co ci znów chodzi? - Ciotka Luiza gniewnie zmarszczyła brwi. Judyta uważała, że ciotka nie powinna zwracać się do jej matki tak ostro, ale Luiza często traktowała bratową z góry, jak niedorozwiniętą dziewczynkę. - Wymyślasz nowe trudności?
 - Nie w tym rzecz. - Molly lekko się zarumieniła. - Nie mówiłam ci o tym, bo chciałam, żeby Judyta dowiedziała się pierwsza. Chodzi o to, że w Wigilię nie będzie nas tutaj. Dzwoniła ciocia Bidy...
 - Wiem już od Phyllis.
 - ...i zaprosiła nas na całe święta do siebie, razem z Jess.
- Judyta o mało nie zadławiła się kęsami bułeczki, ale jakoś go przełknęła. Nie wierzyła własnym uszom. Święta z ciocią Bidy!
- I co jej odpowiedziałaś?
 - Oczywiście, że się zgadzamy.
- Ta perspektywa była tak podniecająca, że Judyta zapomniała nawet o rowerze.
- Kiedy wyjeżdżamy?
 - Chyba w przeddzień Wigilii, bo wtedy nie będzie jeszcze tłoku w pociągach. Bidy będzie nas oczekiwać

na stacji w Plymouth. Było jej głupio, że zaprasza nas tak w ostatniej chwili, ale nagle przyszło jej do głowy, że to jakby nasze ostatnie wspólne święta, więc dobrze byłoby spędzić je razem.

Gdyby w pobliżu nie było ciotki Luizy, Judyta skakałaby z radości pod sufit. Nie wypadało jednak demonstrować nadmiernego zachwytu, bo ciotka Luiza nie była przecież zaproszona. Zwróciła się więc do niej pozornie beznamiętnym tonem:

- Więc może kupiłybyśmy ten rower po świętach?

- Wygląda na to, że nie mamy innego wyjścia. Chciałam zaprosić was na święta do siebie, ale Bidy wybawiła mnie z kłopotu.

- Przepraszam, jeśli sprawiłam ci przykrość, Luizo...

- Głupstwo. Wszystkim nam przyda się jakaś odmiana. Czy syn Bidy będzie wtedy w domu?

- Niestety, Ned wyjeżdża na narty do Zermatt z kolegami z roku.

Ciotka Luiza nie aprobowała takich kosztownych eskapad, ale Bidy zawsze psuła swego jedynaka i nie potrafiła mu niczego odmówić. Luiza powiedziała więc tylko:

- Szkoda, bo Judyta miałaby towarzystwo.

- Ależ, ciociu, Ned ma już szesnaście lat i nigdy nie zwracał na mnie uwagi. Może nawet i lepiej, że go nie będzie.

- Chyba masz rację. O ile znam Bidy, na pewno będziecie się dobrze bawić. Kopę lat się z nią nie widziałyśmy. Kiedy to ona ostatni raz cię odwiedziła?

- W zeszłym roku na początku lata, gdy były takie upały.

- Czy to wtedy przyszła do mnie na kolację w plażowej piżamie?

- Tak, właśnie wtedy.

- Podejrzałam ją w twoim ogrodzie, jak opalała się w dwuczęściowym cielistoróżowym kostiumie.

Wyglądała, jakby była naga.

- Biddy zawsze idzie z duchem czasu. - Molly nieśmiało usiłowała bronić siostry. - Może niedługo wszystkie będziemy nosiły takie pizamy?
- Uchowaj Boże!
- A jak ty spędzisz święta, Luizo? Nie chciałabym, abyś czuła się samotna.
- Nie ma obawy. Może zaproszę Billy'ego Fawcetta na drinka, a potem pójdę z nim na lunch do klubu. Można się tam dobrze zabawić. - Judyta od razu wyobraziła sobie członków klubu golfowego w pumpach i sznurowanych butach, jak nakładają papierowe czapki i rozrywają trza-skawce. - Później zagramy kilka partyjek brydża...
- Molly uniosła brwi na dźwięk nazwiska Billy'ego Fawcetta.
- Co to za jeden ten Billy? Chyba go nie znam.
- Pewnie, że go nie znasz, bo to mój stary znajomy jeszcze z Indii. Wyszedł z wojska i chce się osiedlić w Kornwalii. Wynajął jeden z tych nowych domków przy drodze do mnie. Musisz go poznać, zanim wyjedziesz. To zapalony miłośnik golfa, więc wprowadzę go do klubu.
- To ci się udało! - Z czym mi się udało?
- No, że spotkałaś starego znajomego i do tego jeszcze gracza w golfa. Co prawda nigdy ci nie brakowało partnerów...
- Luiza jednak nie miała ochoty w nic się angażować, a na partnerów wybierała tylko najlepszych graczy.
- Zobaczmy - oświadczyła, gasząc papierosa. - Zależy, jakie on ma uderzenie. - Spojrzała na zegarek.
- Boże, to już tak późno? Muszę jechać!
- Wzięła swoją torebkę i wstała, a z nią Molly i Judyta.
- Powiedz Phyllis, że podwieczorek był wspaniały. Będzie ci brakowało tej dziewczyny. Czy znalazła już sobie nowe miejsce?
- O ile wiem, to chyba nie bardzo próbowała.
- Ten, kto na nią trafi, będzie szczęściarzem. Nie, nie

dzwoń na nią, przecież Judyta może odprowadzić mnie do wyjścia. Baw się dobrze, Molly, bo może nie zobaczymy się już przed świętami. Odezwiście się po powrocie i dajcie mi znać, kiedy trzeba będzie przenieść do mnie rzeczy Judyty. Judyto, kupimy ci rower, kiedy zaczną się ferie wiosenne. Wcześniej i tak nie będzie ci potrzebny.

1936

Jeszcze nie świtało, ale rano był tak chłodny, że Judycie własny nos wydawał się ciałem obcym, tylko przymarzniętym do twarzy. Już wieczorem było w pokoju zbyt zimno, aby go wietrzyć, toteż Judyta tylko odsunęła nieco zasłony i teraz przez szparę między nimi widać było światło latarni ulicznej. Panowała taka cisza... Może to dopiero środek nocy? Ale nie, bo zaraz dobiegł ją stuk kopyt konia ciągnącego wózek mleczarza. To znaczy, że już rano.

Wyciągnięcie choćby ręki spod ciepłej kołdry wymagało dużej odwagi. Judyta policzyła do trzech i włączyła lampkę nocną. Jej nowy budzik, który otrzymała w prezencie gwiazdkowym od wuja Boba, pokazywał już za kwadrans ósmą.

Szybko schowała rękę z powrotem pod kołdrę i dla rozgrzewki pottrzymała ją między kolanami. Było jej smutno, że oto zaczyna się ostatni dzień ferii świątecznych, tak mile spędzonych u ciotki Bidy. Nadeszła już pora powrotu do domu.

W czasie pobytu u ciotki Bidy zajmowała pokoik na poddaszu. Lepszy pokój gościnny, na pierwszym piętrze, dostał się matce i Jess, ale Judyta nawet wolała tę facjatkę o pochyłym suficie i mansardowych oknach z kretono-wymi zasłonkami w kwiatki. Najgorzej dawało się we znaki zimno, gdyż nawet pokoje na dole były skąpo ogrzewane, a na ostatnie piętro ciepło już nie dochodziło. Na szczęście ciotka Bidy przyniosła do pokoju Judyty mały elektryczny piecyk, a na noc do łóżka dawała jej dwie

butelki z gorącą wodą, więc jakoś można to było wytrzymać.

Wszystko przez to, że przed samymi świętami Bożego Narodzenia nastąpił silny spadek temperatury. Synoptyk w radiu uprzedzał, że napływa mroźne powietrze, ale chyba nawet on nie przewidział, że mrozy będą aż tak ostre. Już kiedy Judyta z matką i siostrą jechały ekspresem „Riwiera” w głąb kraju, widać było okryte śniegiem wrzosowiska, a wysiadanie na stacji w Plymouth przypominało raczej przyjazd na Syberię, gdy mroźny wiatr zasypywał perony zlodowaciałym śniegiem.

Pech był tym większy, że ciotka Biddy i wujek Bob mieszkali chyba w najzimniejszym domu na świecie. Wynikało to ze specyfiki pracy wuja Boba, który pełnił obowiązki komendanta Wyższej Szkoły Technicznej Marynarki Wojennej, więc musiał mieszkać blisko morza. Dlatego i jego dom mieścił się na północnym cyplu półwyspu, był wysoki, wąski i smagany wichrami. Najcieplejszym miejscem była kuchnia w podpiwniczeniu, gdzie królowała kucharka, pani Cleese, i stary Hobbs, dawny ordy-nans z marynarki, który czyścił buty i przynosił węgiel.

Hobbs był dosyć oryginalnym typem, z siwymi włosami zaczesanymi „na pożyczkę” i bystrymi ptasimi oczkami. Palce miał poplamione tytoniem, a twarz poraną bliznami, brązową i zmiętoszoną jak używany papier pakunkowy. Tylko gdy państwo wydawali proszoną kolację, stary wiarus ubierał się odświętnie, nakładał białe rękawiczki i roznosił drinki.

W okresie świątecznym, mimo przejmującego zimna, odbywało się dużo przyjęć. Judyta właśnie tak wyobrażała sobie święta Bożego Narodzenia, chociaż zaczynała już wątpić, czy dane jej będzie w taki sposób je przeżyć. Ciotka Biddy, jak już coś robiła, to na całego - przystroiła dom od strychu do fundamentów. Wujek Bob porównał go do okrętu wojennego w pełnej gali! W hallu stała najwspanialsza choinka, jaką Judyta w życiu widziała. Całą

klatkę schodową przepelniało migotanie lampek, błyski lamety i zapach świerka.

Świąteczne dekoracje znajdowały się też we wszystkich pokojach. Wszędzie wisiały pocztówki z życzeniami nanizane na czerwone wstążki, kominki obramowano girlandami z ostrokrzewu i bluszczu, a Hobbs stale podtrzymywał w nich ogień jak w kotłach parowych na statku. Na noc podsypywano miazę, toteż ogień nigdy nie wygasiał.

W domu ciotki Bidy nie było miejsca na nudę, bo wiecznie coś się działo. Urządzano proszone obiady i kolacje, a potem goście szli w tany przy akompaniamencie gramofonu. Coraz to ktoś znajomy wpadał na popołudniową herbatkę lub drinka, a jeśli nawet akurat zdarzało się wolne popołudnie - ciotka też nie spoczywała na laurach. Proponowała wtedy wyprawę do kina lub na krytą ślizgawkę. Judyta widziała, że jej matka nieraz bywa już tym wszystkim zmęczona. Od czasu do czasu musiała iść się położyć, pozostawiając Jess pod opieką Hobbsa. Mała zresztą bardzo lubiła zarówno tego poczciwego staruszka, jak i panią Cleese. Chętnie więc przebywała w kuchni, gdzie wciąż podtykano jej całkiem nieodpowiednie w jej wieku smakołyki. Dzięki temu Judyta miała więcej czasu dla siebie, bo siostrzyczka nie pętała jej się pod nogami.

Na niektóre imprezy zabierano także Jess. Któregoś dnia wuj Bob załatwił dla wszystkich bilety na pantomimę. Kupił też programy i ogromne pudło czekoladek. Jess popsowała jednak zabawę, bo gdy na scenie pojawiła się Kolombina w rudej peruce, gorsecie i jaskrawoczerwonych pantalonach - rozwrzeszczała się ze strachu wniebogłosy. Matka musiała wyprowadzić ją z sali, ale że incydent miał miejsce na samym początku przedstawienia, wszyscy pozostali mogli w spokoju obejrzeć je do końca. Najbardziej jednak oczarował Judytę wujek Bob. Nie przypuszczała nawet, że ojcowie mogą być równie inte-

resujący, cierpliwi i zabawni. Dni świąteczne miał wolne od służby i mógł poświęcić rodzinie więcej czasu, toteż często zapraszał Judytę do swego „sanktuarium”, czyli do gabinetu. Pokazywał jej tam zdjęcia z albumów rodzinnych, pozwalał puszczać płyty na starym gramofonie nakręcanym korbką i uczył pisać na rozklekotanej maszynie. Na ślizgawce pomagał jej utrzymać równowagę, a na przyjęciach pilnował, aby nie czuła się osamotniona, tylko przedstawiał ją swoim gościom jak dorosłą osobę.

Oczywiście, że kochała swego ojca i tęskniła za nim, ale nie był on tak wspaniałym kompanem jak wujek. Judyta czuła się nawet winna, że pochłonięta rozrywkami nie miała czasu poświęcić ojcu choćby przelotnej myśli. Aby nadrobić te zaległości, próbowała intensywnie o nim myśleć, ale wtedy jego obraz od razu przesłaniało Ko-lombo. Tam przecież ojciec teraz przebywał i wspomnienia związane z tym miejscem nabierały realnych kształtów.

Czas jednak robił swoje i szczegóły, które kiedyś tak dokładnie pamiętała, zaczynały już się zacierać. Próbowała więc przypomnieć sobie jakieś konkretne zdarzenie, z którym kojarzyłoby się coś więcej. Oczywiście najbardziej utkwily jej w pamięci święta Bożego Narodzenia w Kolombo, gdyż były inne od wszystkich. Pod tropikalnym niebem, w obezwładniającym upale, szumiały fale Oceanu Indyjskiego, a wiatr poruszał koronami palm. W ich bungalowie prezenty gwiazdkowe otwierano zwykle na przewiewnej werandzie, a na świąteczny obiad nie podawano indyka, tylko hinduskie danie z curry. Przyjęcie na wiele osób, urządzone zwykle w hotelowej restauracji, przypominało dziecięcą zabawę, bo goście zakładali na głowy papierowe czapeczki i dęli w trąbki. Przed oczami stanął jej obraz sali jadalnej pełnej biesiadników objadających się ponad miarę, podczas gdy od oceanu wiał chłodny wiaterek, a pod sufitem szumiały wentylatory.

Na tym tle wyłonił się z jej pamięci wizerunek ojca. Siedział wtedy u szczytu stołu, a na głowie miał koronę z niebieskiego papieru w złote gwiazdki. Ciekawe, jak spędził tegoroczne święta. Kiedy cztery lata temu został sam w Kolombo, zaczął dzielić mieszkanie z samotnym kolegą, aby ten dotrzymywał mu towarzystwa. Chyba jednak nawet we dwójkę nie mieliby wesołych świąt. Pewnie, tak jak wielu innych kawalerów i słomianych wdowców, spędzili je w klubie. Judycie wydawało się, że tęskni za ojcem, ale okazało się, że nie tak bardzo. Cóż, po tak długiej rozłące trudno utrzymać nadal łączność duchową z kimś, kto kontaktuje się z nami tylko listownie, a i jego listy są zawsze o trzy tygodnie opóźnione i w gruncie rzeczy nieciekawe.

Na nowym zegarze Judyty wybiła już ósma. Pora wstawać! Znow policzyła do trzech, a na „trzy” odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka, aby jak najszybciej włączyć piecyk. Potem szybko owinęła się ciepłym szlafrokiem i wsunęła nogi w futrzane bambosze.

Na podłodze leżały ułożone równo prezenty, które dostała na gwiazdkę. Przeznaczyła na nie swój wyplatany chiński kuferek. Włożyła do niego budzik i dwie książki otrzymane od cici Bidy. Była to nowa powieść Artura Ransome'a pod tytułem „Zimowe wakacje” i oprawne w skórę wydanie „Jane Eyre”. Wprawdzie książka była gruba, a druk gęsty, ale zawierała też wiele barwnych ilustracji, dla ochrony poprzekładanych płatkami bibułki, co zachęcało do czytania.

Od dziadków otrzymała wełniane rękawiczki, a od Jess - szklaną kulę, w której, po potrząśnięciu, szalała zamieć śnieżna. Matka kupiła jej obiecany sweter, ale z okrągłym wycięciem zamiast zapięcia polo, co trochę rozczarowało Judytę. Natomiast ciotka Luiza przeszła samą siebie - niezależnie od przyrzeczonego kupna roweru przesłała Judycie pod choinkę jeszcze jedną paczkę, przybraną gałązkami ostrokrzewu. W środku był oprawny

w skórę pamiętnik, gruby jak Biblia, który powinien wystarczyć na jakieś pięć lat.

Prezent od ojca jeszcze nie nadszedł - pewnie, jak zawsze, za późno go wysłał, no i poczta kursowała bardzo nieregularnie. Przynajmniej będzie jeszcze miała na co czekać! Najtrafniej dobrany okazał się jednak upominek od Phyllis, gdyż było to właśnie to, czego Judyta potrzebowała najbardziej - słoik kleju z tkwiącym w pokrywie pędzelkiem oraz nożyczki. Zamknie te rzeczy na klucz w szufladzie, aby je uchronić przed wścibskimi paluszkami Jess, i nareszcie będzie niezależna. Dotychczas, kiedy chciała na przykład wyciąć coś interesującego z czasopisma lub wkleić pocztówkę do albumu - musiała prosić matkę o nożyczki (które zawsze akurat gdzieś się zapodziały) albo rozrabiać klajster z mąki. Niby mała rzecz, a cieszy!

Ułożyła starannie upominki w wyplatany kuferek. Zmieściły się w sam raz na tyle, aby można było swobodnie domknąć wieczko. Zamknęła koszyczek na za-szczepki i położyła go na łóżku, po czym ubrała się tak szybko, jak tylko mogła. Czuła głód, a śniadanie pewnie czekało już na stole. Oby tylko były na nie parówki, a nie jajka w koszulkach!

Biddy Somerville siedziała u szczytu stołu w jadalni i popijała czarną kawę, starając się nie myśleć o dręczącym ją kacu. Wczoraj wieczorem wpadło z grzecznościową wizytą dwóch młodych oficerów marynarki i Bob poczęstował ich butelką koniaku. Biddy stanowczo wypła o jeden kieliszek za dużo, a pulsowanie w skroniach świadczyło, że powinna była poprzestać na dwóch. To samo powiedziałyby jej męż, gdyby uskarżała się przed nim na mdłości. Dla Boba kac był czymś równie karygodnym jak opalenizna u kobiety.

Dobrze mu mówić, skoro nigdy w życiu nie miał kaca! Teraz siedział po przeciwnej stronie stołu, zatopiony w le-

kturze „Timesa”. Był już w pełnym umundurowaniu, bo po świątecznym urlopie musiał stawić się na służbę. Po chwili odłożył gazetę i oznajmił, że już czas na niego. Reszta rodziny nie zeszła jeszcze na śniadanie. Biddy była nawet z tego zadowolona, gdyż liczyła, że zanim się pojawią, zdąży wypić drugą filiżankę kawy i poczuje się lepiej.

Było jej smutno, że już dziś wyjeżdżają. Miały to być ostatnie wspólne święta przed wyjazdem jej jedynej siostry na Daleki Wschód. W obecnej sytuacji międzynarodowej nie było wcale pewne, czy i kiedy znów się zobaczą. Biddy czuła się także trochę winna, że przez ostatnie cztery lata niedostatecznie opiekowała się Molly i jej córkami. Nie dało się też ukryć, że zaprosiła je, ponieważ Ned wyjechał na narty, a perspektywa świąt bez towarzystwa kogoś młodego wydawała się jej nie do zniesienia.

Prawdę mówiąc, z siostrą niewiele ją łączyło, a jej dziewczynkę prawie nie знаła. Z tego powodu nie spodziewała się, że spotkanie będzie udane. Tymczasem sukces przeszedł wszelkie oczekiwania.

Prawda, że Molly czasem opadała z sił, nie mogąc wytrzymać tempa życia, do jakiego przyzwyczajona była Biddy. Trzeba też przyznać, że mała Jess była zepsutym, rozkapryszonym bachorem, któremu całe życie ustępowano, gdy tylko zapłakał.

Natomiast Judyta zadziwiła ciotkę swoją osobowością. Mieć taką córkę - zawsze było marzeniem Biddy. Potrafiła sama zająć się sobą, nie wtrącała się do rozmowy dorosłych, natomiast z wdzięcznością potrafiła docenić każdą zorganizowaną dla niej rozrywkę. Zdaniem Biddy była też bardzo ładna, a już z pewnością wypięknieje, kiedy dorośnie. Brak towarzystwa rówieśników zdawał się Judycie nie przeszkadzać, natomiast starała się być w miarę możliwości użyteczna, serwując ciasteczka i orzeszki na przyjęciach oraz uprzejmie odpowiadając każdemu, kto ją zagadnął.

To, że tak szybko nawiązała dobre stosunki z Bobem, też świadczyło o niej dobrze. Widać było, że polubił ją w równym stopniu jak ona jego. Podobały mu się jej tradycyjne zasady, dobre maniery i to, że mówiąc do kogoś, patrzyła mu w oczy. Poza tym wytworzyła się między nimi taka więź, jaka zwykle łączy ojca z córką, a tego właśnie im obojgu brakowało.

Szkoda, że sami nie mieli córki. Może powinni byli mieć więcej dzieci? Tymczasem mieli tylko Neda, który opuścił rodzinny dom już jako ośmiolatek, wyjeżdżając do szkoły przygotowawczej, a później do szkoły kadetów marynarki. Czas zleciał tak szybko. Wydawało się, że jeszcze wczoraj ich syn był puciołowatym, złotowłosym chłopczykiem z wiecznie nie domytymi kolanami i ciepłymi łapkami.

Dziś już miał szesnaście lat i prawie dorównywał wzrostem ojcu, a jutro ani się kto obejrzy, jak skończy szkołę i rozpocznie służbę w marynarce. Będzie już dorosłym człowiekiem, ożeni się, założy rodzinę... Tu Bidy zorientowała się, że wybiega wyobraźnią zbyt daleko naprzód. Perspektywa zostania babcią wcale jej nie pociągała. Była jeszcze młoda, a przynajmniej czuła się młodo, i wołała, aby tak zostało jak najdłużej.

Drzwi otworzyły się i ze skrzypem zelówek przyczłapał Hobbs, niosąc poranną pocztę i następny dzbanuszek czarnej kawy. Postawił go na podgrzewanej płytce i zbliżył się do pani Somerville, aby położyć listy na stole obok. Gdyby jeszcze zrobił coś ze swoimi butami, żeby tak nie skrzypiały! - Ależ ziąb dzisiaj! - zauważył z wyraźną satysfakcją. - Nawet rynsztoki pozamarzały. Posypałem solą schodki przed domem.

- Dziękuję, Hobbs - odpowiedziała chłodno Bidy, bo gdyby wdała się z nim w rozmowę, nie wyniosłby się nigdy.

Stary ordynans, zawiedziony, że nikt nie podejmuje rozpoczętego przezeń wątku, tylko mlasnął językiem, dla for-

my poprawił widelec na stole i poszedł sobie. Bob nadal czytał gazetę, a Bidy przeczuciła pocztę. Od Neda przyszła lakoniczna pocztówka, natomiast od matki cały list, pewnie z podziękowaniami za ciepły włóczkowy szal, który Bidy zrobiła dla niej na gwiazdkę. Wzięła więc nóż, aby rozciąć kopertę, ale w tym momencie zauważyła, że Bob opuścił gazetę, złożył ją i trzepnął nią mocno o stół.

- Czy coś się stało? - podniosła wzrok.

- Liga Narodów wzywa do rozbrojenia. Nie podoba mi się też to, co się dzieje w Niemczech.

- O Boże! - Nie znosiła, kiedy mąż czymś się przejmował. Sama czytała w gazetach tylko dobre wiadomości, szybko odwracając stronę, kiedy nagłówki nie wyglądały zachęcająco.

- No, czas już na mnie. - Bob spojrział na zegarek, odepchnął od stołu swoje ciężkie krzesło i wstał. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, a w mundurowej marynarce ze złotymi guzikami wyglądał jeszcze bardziej majestatycznie. Gładko wygoloną twarz o rysach jakby wykutych w kamieniu ocieniały krzaczaste brwi, a gęste szpakowate włosy utrzymywało w porządku krótkie strzyżenie, staranne szczotkowanie i duża dawka brylantyny.

- Miłego dnia! - powiedziała życzliwie Bidy. Bob ogarnął wzrokiem pusty stół.

- A gdzie reszta? - spytał.

- Jeszcze nie zeszły.

- O której mają pociąg?

- Ekspres „Riwiera” odchodzi po południu.

- Chyba nie zdążę ich odwieźć. Mogłabyś to zrobić?

- Oczywiście.

- Więc pożegnaj je ode mnie. Szczególnie Judytę.

- Będzie ci jej brakowało, prawda?

Bob nigdy nie był skłonny do okazywania uczuć, ale tym razem trudno mu było znaleźć właściwe słowa.

- Nie chcę nawet myśleć o tym, że teraz zostanie sama - wyrzucił z siebie w końcu.
 - No, nie będzie sama. Zostaje z Luizą.
 - Ona potrzebuje czegoś więcej, niż Luiza jest w stanie zaoferować.
 - Wiem o tym. Zawsze uważałam tych wszystkich Dunbarów za mętne towarzystwo, a Molly, odkąd wżeniła się w tę rodzinę, stała się jedną z nich. Nie mamy już na to wpływu.
- Bob przetrwał w sobie ten problem, stojąc przy oknie i brzęcząc drobnymi w kieszeni srodni.
- Mogłabyś częściej zapraszać do nas Judytę - wymyślił w końcu. - Na przykład na wakacje. Chyba że byłoby to dla ciebie zbyt męczące?
 - Nie w tym rzecz, tylko obawiam się, że Molly nigdy się na to nie zgodzi. Pewnie będzie się wykręcać, że nie chciałaby urazić Luizy. Dała się jej tak omotać, że nie protestuje, kiedy Luiza traktuje ją jak słodką idiotkę.
 - Prawdę mówiąc, zbyt mądra to ona nie jest. Ale zawsze możesz spróbować.
 - Zaproponuję jej to.
 - A więc do zobaczenia wieczorem! - Cmoknął żonę w czubek głowy. Nie lubił przychodzić do domu podczas południowej przerwy, wolał jeść lunch w kasynie. - Pa, kochanie!
- Kiedy odszedł, Biddy została sama. Dopijała jedną kawę i wstała nalać sobie następną. Wróciła z nią do stołu, aby wreszcie przeczytać list od matki. Widać było, że został napisany ręką starej kobiety, bo litery były chwiejne i cienkie jak pajęczyna.
- Kochana Biddy!*
- Pisze tych parę słów, aby podziękować Ci za szal, który mi przysłałaś. Przydaje się jak znalazł na takie chłodne wieczory, tym bardziej że mój reumatyzm znów dał znać o sobie. Święta mieliśmy spokojne, ale do kościoła przy-*

chodziło niezbyt dużo ludzi. Organista dostał grypy i pani Feli musiała go zastąpić, ale nie szło jej to najlepiej. Ojciec wpadł w poślizg na ulicy Woolscombe, wgniół samochód i potłukł sobie czoło o przednią szybę. Dostałam kartkę od biednej Edyty, która straciła matkę...

Mama

No nie, za dużo nieszczęść od samego rana! Biddy odłożyła list i wróciła do napoczętej kawy, ogrzewając dłonie o filiżankę. Z przykrością myślała, jak żalosną parę stanowili jej rodzice. Aż dziw, że potrafili zdobyć się na tak niewyobrażalny szal zmysłów, aby spłodzić dwie córki. Jeszcze większym cudem wydawało się to, że obu siostrom udało się wyrwać z rodzinnej plebanii, gdzie rosły w smutku i niedostatku, i znaleźć sobie mężów.

Rodzice nie dali im żadnego przygotowania do życia. Żadnej z córek nie wysłali na studia ani choćby na kursy pielęgniarstwa czy maszynopisania. Molly marzyła o karierze baletnicy, jak Irina Baronowa czy Alicja Markowa. Rzeczywiście była prymuską szkolnych lekcji tańca, ale na przeszkodzie do realizacji jej marzeń stanął zarówno brak pieniędzy, jak i dezaprobata rodziców. Wielebny Evans uważał karierę artystyczną za rodzaj „zejścia na złą drogę”. Trzeba trafu, że znajomi zaprosili ją na partię tenisa i że wśród graczy znalazł się także Bruce Dunbar, przebywający właśnie na urlopie i rozpaczliwie poszukujący żony. W innym przypadku Molly zostałaby pewnie starą panną i do końca życia pielęgnowałaby wraz z matką kwiaty na plebanii.

Biddy miała zupełnie inny charakter. Zawsze wiedziała, czego chce, i umiała dopiąć swego. Wcześniej też zrozumiała, że jeśli chce osiągnąć godziwy poziom życia - musi sama wziąć sprawy we własne ręce. Zabrała się do dzieła chytrze, dobierając sobie przyjaciółki wśród dziewcząt z takich środowisk, które w przyszłości mogłyby dopomóc w realizacji jej planów. Najlepszą jej przyjaciółką

została córka komandora marynarki, mieszkającego w pobliżu Dartmouth. Panienska ta miała także braci, więc Bidy uznała, że ta znajomość może przynieść owoce. Udało się jej przemyślnie wkręcić na weekend do ich domu, gdzie odniosła sukces towarzyski.

Rzeczywiście była bardzo ładną dziewczyną, o zgrabnych nogach, brązowych oczach i takichże lokach. Wdziękiem młodości tuszowała braki w garderobie, a dzięki wrodzonemu instynktowi zawsze umiała się znaleźć. Wiedziała, czego od niej oczekiwano, i w odpowiednich momentach umiała być uprzejma bądź uwodzicielska. Flirtowała ze starszymi panami, którzy poklepywali ją po pupie, ale przede wszystkim zagięła parol na braci jej koleżanki.

Bracia mieli kolegów, ci zaś - swoich kolegów, toteż grono znajomych Bidy rosło w imponującym tempie. W domu przyjaciółki traktowano ją jak członka rodziny - spędzała też tam więcej czasu niż z własnymi rodzicami, coraz bardziej lekceważąc sobie ich przestrogi. Nie dbała też o to, że swobodny tryb życia wyrobił jej nie najlepszą reputację. A już szczególnej sławy przysporzył jej wyczyn, którym było równoczesne zaręczenie się z dwoma młodymi podporucznikami marynarki. W tym celu wymieniła pierścionki z każdym z nich na innym okręcie!

Miała wtedy dziewiętnaście lat, a w dwa lata później poznała Boba Somerville'a. Wyszła za niego i nigdy nie żałowała tej decyzji. Bob stał się bowiem dla niej nie tylko mężem, a potem ojcem Neda, lecz i przyjacielem. Przymykał oczy na licznych kręcących się przy niej młokosów, a kiedy go potrzebowała - zawsze znajdował się pod ręką. Było im dobrze ze sobą, tym bardziej że Bidy lubiła podróże i nigdy nie protestowała, kiedy Boba znów gdzieś wysyłano. Dwa lata spędzone na Malcie uważała za najlepsze w swoim życiu, chociaż inne lata ich małżeństwa też nie były złe. Po prostu się jej poszczęściło.

Zegar na gzymsie wybił wpół do dziewiątej, a Molly

jeszcze nie zeszła na śniadanie. Biddy poczuła się już Irochę lepiej, więc nabrała ochoty na pierwszego w tym dniu papierosa. Sięgając do srebrnego pudełka, zgarnęła po drodze gazetę, którą przedtem czytał Bob. Przeleciała wzrokiem po nagłówkach i zrozumiała, co tak zdenerwowało Boba. Hiszpania stała w obliczu krwawej wojny domowej, Hitler hałaśliwie zapowiadał remilitaryzację Nadrenii, a Mussolini chełpił się wzrastającą potęgą Włoch na Morzu Śródziemnym. Nic dziwnego, że Bob zgrzytał zębami, kiedy ten „tłusty faszysta”, jak go nazywał, wygłaszał bombastyczne tyrady. Uważał, że najlepiej byłoby uciszyć go kilkoma salwami z pokładu któregoś z brytyjskich okrętów wojennych. Wszystko to było przerażające, więc rzuciła gazetę na podłogę i usiłowała nie myśleć w tym momencie o swoim synu. Szesnastoletni Ned był już kadetem marynarki i aż rwał się do walki! Dobrze, że właśnie otworzyły się drzwi i do jadalni weszła Molly.

Biddy była jeszcze nie ubrana, miała na sobie tylko zwykły szlafrok narzucony na nocną koszulę. Natomiast Molly zeszła na śniadanie wyszykowana od stóp do głów, starannie ufryzowana i dyskretnie umalowana, czym nieco zdenerwowała siostrę.

- Przepraszam za spóźnienie... - zaczęła.
- Nic się nie stało, nie jest jeszcze tak późno. Pewnie zaspiałaś?
- Nie, ale w ciągu nocy ciągle wstawałam, bo biedna Jess miała koszmary senne i budziła się z płaczem. Masz pojęcie, śniło się jej, że ta dama z pantomimy przyszła tu i chciała ją pocałować!
- Ta maskara w gorsecie? No, to rzeczywiście musiało być okropne.
- Teraz śpi, biedactwo. Judyta jeszcze nie wstała?
- Nie martw się o nią, pewnie się pakuje i zaraz przyjdzie.
- A gdzie jest Bob?

- Zjadł śniadanie i poszedł, bo ma dziś służbę. Prosił, aby cię pożegnać w jego imieniu, a ja odwiozę was na stację. Zjedz coś - mamy dziś parówki.

Molly podeszła do blatu kredensowego, podniosła pokrywkę wazy z parówkami i po chwili namysłu odłożyła ją z powrotem. Nalała sobie tylko kawy i wróciła do stołu, czym bardzo zdziwiła siostrę.

- Nie jesteś głodna?

- Właściwie nie. Najwyżej zjem grzanekę.

Molly Dunbar mogła uchodzić za piękność, gdyż wciąż wyglądała bardzo dziewczęco, z okrągłą buzią, złotymi loczkami i spojrzeniem skrzywdzonej niewinności. Nie grzeszyła zbyt dużą inteligencją - potrzebowała czasu, żeby zrozumieć dowcip, i większość zjawisk traktowała powierzchownie. W oczach mężczyzn dodawało jej to tylko wdzięku, rozbudzając w nich opiekuńczość wobec słodkiego głuptaska, ale siostrze ta jej naiwność działała na nerwy. Dziś jednak wyglądała, jakby ją coś gryzło. Pod warstwą pudru widoczne były cienie wokół oczu, a wiośniany rumieniec ustąpił miejsca dziwnej bladości.

- Dobrze się czujesz? - spytała Bidy.

- Tak, po prostu nie jestem głodna, tylko niewyspana. -Przerwała, by napić się kawy. - Nie cierpię zrywać się w środku nocy. Wszystko wygląda wtedy inaczej i robi się okropne.

- Co jest dla ciebie najbardziej okropne?

- Chyba to, co trzeba będzie zrobić po powrocie do domu. Będę musiała kupić Judycie mundurek szkolny i zorganizować jej wyjazd, zlikwidować nasz dom, znaleźć nowe miejsce dla Phyllis, dostać się do Londynu, wsiąść na statek, dotrzeć do Kolombo... Podczas pobytu u ciebie nie myślałam o tym, ale teraz muszę wziąć się w garść. Mało tego, będę musiała znaleźć czas, aby wpaść choć na parę dni do rodziców, a to komplikuje wszystko.

- Musisz tam jechać?

- Wydaje mi się, że tak.

- Sama pchasz się w kłopoty. Dostałam właśnie list od mamy.

- Co tam u nich? Wszystko w porządku?
 - Ależ skąd, jak zawsze wszystko na nic.
 - Zawsze mi smutno, że w święta są sami.
 - A mnie wcale nie jest przykro - ucięła sucho Biddy. - Oczywiście zapraszam ich co roku, ale za każdym razem mam nadzieję, że odmówią. Tym razem też znaleźli masę wymówek: to ojciec jest zajęty, to szosa zawiało śniegiem albo w silniku coś brzęczy, a mama znów ma atak reumatyzmu. Oni są niemożliwi! Nawet nie próbują zmienić swego życia, bo wtedy nie mieliby na co narzekać.
 - Są już starzy.
 - Raczej pozują na zgrzybiałych staruszków. Zresztą co ja będę się nimi przejmować, kiedy widzę, że ty jeszcze masz w zanadrzu masę problemów.
 - Nie mogę sobie z tym poradzić! - wybuchnęła Molly po chwili wahania. - Najgorsze, że teraz oddałabym wszystko, żeby nie musieć wyjeżdżać. Tak nie chciałabym zostawiać Judyty samej, mam dość tego życia osobno! Czasem wydaje mi się, że jestem rozdarta między dwoma światami, a do żadnego z nich nie należę. Nieraz takie myśli nachodzą mnie niespodziewanie, na przykład na piętrze londyńskiego autobusu lub na pokładzie statku. Wtedy myślę: co ja właściwie tu robię? Gdzie właściwie powinnam być? I kimże ja w ogóle jestem?
- W tym momencie głos jej się załamał, aż Biddy złękła się, że siostra zaraz uderzy w płacz.
- A najgorzej, kiedy te dwa światy są tak blisko siebie, że prawie się stykają! - ciągnęła dalej. - Jestem w takiej rozterce!
 - Pociesz się - Biddy usiłowała ją zrozumieć - że w podobnej sytuacji jest większość żon Anglików zatrudnionych w Indiach.
 - To dla mnie żadna pociecha. Czuję się taka samotna!

- Jesteś po prostu zmęczona i niewyspana, a to może działać przygnębiająco.
 - Tak! - westchnęła Molly. Dobrze, że chociaż nie płakała. Napiła się jeszcze kawy i odstawiła filiżankę. - Ale wciąż nie mogę pozbyć się myśli, że byłoby lepiej, gdyby Bruce pracował w Londynie, Birmingham czy gdziekolwiek, abyśmy tylko mieszkali w Anglii i byli razem.
 - Teraz już trochę za późno o tym myśleć.
 - Może lepiej by było, gdybym nie wyszła za niego. Albo gdybyśmy się w ogóle nie spotkali.
 - Wtedy nie spotkałabyś już nikogo innego! - przerwała brutalnie Bidy. - A pomyśl, jak wtedy wyglądałoby twoje życie. Byłabyś starą panną wegetującą na plebanii u boku mamy. I nie dochowałabyś się takich pięknych córek!
 - Nieraz myślę, czyby nie zacząć wszystkiego od początku, żebym nie była już nigdy sama...
Urwała w pół zdania, ale łatwo było domyślić się tego, czego nie dopowiedziała. Spuściła bowiem oczy i lekki rumieniec wypełził jej na policzki.
- Biddy wbrew sobie trochę jednak współczuła siostrze. Dobrze wiedziała, dlaczego Molly tak nagle zebrało się na zwierzenia. Nie miało to nic wspólnego z uciążliwościami pakowania się i podróży ani z koniecznością rozstania się z Judytą. Chodziło tylko o Bruce'a. Bidy było go nawet żal, choć uważała, że jest nudziarzem. Na pewno jednak czteroletnia rozłąka nie rokowała dobrze dla żadnego małżeństwa, tym bardziej że tak niezaradna i pretensjonalna kobietka jak Molly nie mogła być dobrą partnerką w łóżku. Bidy nawet sobie nie wyobrażała, jak tacy słomiani wdowcy zaspokajają swoje potrzeby seksualne. To znaczy, podświadomie wiedziała, jak zwykle się takie sprawy załatwia, ale zasady wpajane kobietom z jej pokolenia nakazywały powściągać wyobraźnię. Przestała więc o tym myśleć.
- Kiedy rumieniec ustąpił z twarzy Molly, Bidy postanowiła być stanowcza. Zdecydowanym tonem oświadczyła:
- Na pewno wszystko się jakoś ułoży.
- Ponieważ jednak ze stwierdzenia tego nic nie wynikało, ciągnęła dalej:

- Myślę, że czekają cię teraz wspaniałe chwile. Zobacysz, kiedy tylko wejdiesz na pokład statku, staniesz się zupełnie innym człowiekiem. Pomyśl, jakie to cudowne, przez trzy tygodnie nic nie robić, tylko wylegiwać się na leżaku. Niech ci tylko przejdzie choroba morska po przebyciu Zatoki Biskajskiej, a poczujesz pełnię życia. Słońce, ciepło, służba na każde zawołanie... I znów spotkasz wszystkich starych znajomych... Właściwie to ci zazdroszczę.

Molly zdobyła się na przeproszający uśmiech.

- Masz rację, byłam głupia. Wiem, że tak o mnie myślisz.

- Nic takiego nie myślę, głuptasku. Rozumiem cię doskonale. Kiedy wyjeżdżaliśmy na Malte, też nie mogłam znieść nawet myśli o rozstaniu z Nedom. Nie możemy jednak mieć wszystkiego. Grunt, abyś miała pewność, że zostawiasz Judytę w dobrych rękach. Co to za szkoła?

- Imienia Świętej Urszuli.

- A czy dyrektorka przypadła ci do gustu?

- Ma bardzo dobrą opinię.

- Dobrze, ale czy tobie się spodobała?

- Myślę, że tak, przynajmniej odkąd przestałam się jej bać. Wykształcone kobiety zawsze mnie onieśmiały.

- A czy ma poczucie humoru?

- Nie próbowałam opowiedzieć jej kawału.

- Ale ogólnie szkoła zrobiła na tobie dobre wrażenie?

- O tak! Chyba nawet gdybym nie wyjeżdżała, zdecydowałabym się przenieść tam Judytę. Szkoła w Porthkerrit ma wprawdzie dobry poziom nauczania, ale jej uczniowie to zupełna zbieranina. Wyobraź sobie, że najlepszą przyjaciółką Judyty była córka sklepikarza!

- I co w tym złego?

- Niby nic, ale taka znajomość donikąd nie prowadzi. Mam na myśli status towarzyski.

Biddy parsknęła śmiechem.

- No wiesz, Molly, zawsze byłaś straszną snobką!

- Ja nie, ale niektórzy ludzie przykładają wagę do takich spraw.

- Owszem, zwłaszcza niektórzy.

- Do kogo pijesz?

- Do Luizy.

- Nie lubisz jej, prawda?

- Mniej więcej tak, jak ona mnie, ale na pewno nie chciałabym spędzać wakacji w jej towarzystwie.

Słowa te znów zdenerwowały Molly.

- Proszę cię, Biddy, nie zaczynaj teraz mnożyć trudności, kiedy już wszystko załatwione.

- A któż mnoży trudności? - spytała Biddy, po czym jak na zawołanie rzeczywiście zaczęła je mnożyć.

- Luiza to taka stara wyjadaczka, nudna z tym swoim wiecznym golfem i brydżem. Klub golfowy to dla niej więcej niż kościół. Jest taka niekobieca, taka... - Biddy długo szukała odpowiedniego słowa - ...taka zimna!

- A właśnie, że się mylisz! Ona jest bardzo miła, a dla mnie była zawsze podporą. Wcale jej nie prosiłam, sama zaproponowała, że weźmie Judytę do siebie na wakacje. To bardzo ładnie z jej strony, a jeszcze obiecała Judycie rower, choć to takie drogie! No i można mieć do niej zaufanie. Judyta będzie u niej bezpieczna.

- Dziewczyna w tym wieku potrzebuje czegoś więcej niż tylko bezpieczeństwa. Przede wszystkim odpowiedniej atmosfery uczuciowej i możliwości rozwoju duchowego. Przecież ma już prawie piętnaście lat, powinna zacząć szukać własnej drogi życiowej, zawierać nowe znajomości, utrzymywać kontakty z płcią przeciwną...

- No wiesz! Ona jest jeszcze za młoda, żeby myśleć o takich rzeczach!

- Nie bądź taka staroświecka, Molly. Sama widziałaś,

jak rozkwitła przez te ostatnie dwa tygodnie. Nie możesz pozbawiać jej naturalnej radości życia.

Chyba nie chciałabyś, aby rosła tak jak my - w izolacji od świata i śmiertelnej nudzie?

- W tej chwili nie jest ważne, co ja myślę, bo to już postanowione. Judyta pojedzie do Luizy.

- Wiedziałam, że tak postąpisz.

- W takim razie po co poruszałaś ten temat? Biddy miała ochotę dać siostrze porządnego klapsa, ale powstrzymała się przez wzgląd na Judytę. Zaczęła więc z innej beczki:

- Może mogłaby choć od czasu do czasu nas odwiedzać? Nie rób takiej przerażonej miny, to ma ręce i nogi. Właściwie to pomysł Boba, bo Judyta od razu przypadła mu do serca. Byłby to miły wypoczynek dla niej, a także i dla Luizy.

- Musiałabym... musiałabym uzgodnić to z Luizą.

- Na miłość boską, Molly, czy nie masz za grosz własnej inicjatywy?

- Nie chciałabym zrobić Luizie przykrości...

- Czy dlatego, że Luiza mnie nie akceptuje?

- Nie, ale nie chciałabym teraz wywracać wszystkiego do góry nogami. Może innym razem....

- A jeśli nie będzie już żadnego innego razu?

- Co masz na myśli? - przeraziła się Molly.

- Przeczytaj w gazetach: Niemcy proklamowały narodowy socjalizm, a mój Bob za grosz nie ufa temu Hitlerowi. Stary gruby Mussolini też podskakuje...

- Myślisz, że będzie... wojna? - To słowo z trudem przeszło Molly przez gardło.

- Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że nie warto teraz tracić czasu, skoro niedługo możemy stracić życie. Wydaje mi się też, że nie chcesz puścić Judyty do mnie na wakacje, bo uważasz, że mam na nią zły wpływ. Przyznaj się, że nie podobają ci się nasze przyjęcia ani ci młodzi oficerowie, którzy u nas bywają.

- Nieprawda! - Dyskusja przerodziła się w kłótnię, gdyż obie panie mówiły podniesionymi głosami. - Dobrze wiesz, że wcale tak nie myślę. Jestem wam wdzięczna, że okazaliście nam tyle serca.

- Mówisz takim tonem, jakby to był ciężki obowiązek. Po prostu zaprosiliśmy was na święta i wszyscy dobrze się bawiliśmy. A ty jesteś zwykłą egoistką i masz taki sam charakter jak nasza matka. Ona też nie mogła ścierpieć, że ktoś inny dobrze się bawi.

- To nieprawda!

- Dobrze już, nie mówmy więcej o tym!

Biddy ze złością otworzyła gazetę i schowała się za jej płachtą. Zapanowała nieprzyjemna cisza.

Molly siedziała kompletnie zdruzgotana możliwością ewentualnego wybuchu wojny, własną niepewną przyszłością i tym, że Biddy była na nią zła. Aż ją trzęsło, bo przecież chciała jak najlepiej. W którymś momencie nie mogła już znieść tego napiętego milczenia i podciągnęła mankiet swetra, aby spojrzeć na zegarek.

- Gdzie jest Judyta?

Myśl o kimś, przed kim mogłaby się wyzalić, przyniosła jej pewną ulgę. Wstała, gwałtownym ruchem odsuwając krzesło od stołu, i otworzyła drzwi, aby zawołać spóźniającą się córkę. Nie musiała jednak jej wołać, bo Judyta była już w hallu. Siedziała na najniższym stopniu schodów.

- Co ty tu robisz? - spytała matka.

- Musiałam zawiązać sznurowadło.

Mówiąc to nie patrzyła matce w oczy, ale nawet tak mało spostrzegawcza kobieta jak Molly musiała się domyślić, że dziewczyna jakiś czas stała za tymi drzwiami. Pewnie zatrzymała się słysząc podniesione głosy i chcąc nie chcąc była świadkiem całej tej nieprzyjemnej dyskusji.

Sytuację uratowała Jess.

- Mamusiu! - zawołała.

Molly podniosła głowę i zobaczyła przechyloną przez

poręcz schodów młodszą córeczkę w kremowej nocnej koszulce, z loczkami spadającymi na oczy.

- Mamusiu!

- Słucham, kochanie?

- Mamusiu, ja chcę się już ubrać!

- Już idę! - Skierowała się ku schodom, rzucając w biegu Judycie: - Idź tymczasem coś zjeść!

Judyta poczekała, aż matka zniknie w pokoju na piętrze, i dopiero wtedy weszła do jadalni. Zastała ciotkę Bidy siedzącą na swoim stałym miejscu i patrzącą beznamiętnym wzrokiem. Na jej widok ciotka złożyła gazetę w kostkę i rzuciła na podłogę.

- Przepraszam cię, kochanie, że tak się stało... - zaczęła.

- Ależ nic się nie stało! - zapewniła ją Judyta, nie przyzwyczajona do przeprosin ze strony dorosłych.

- Weź sobie parówek. Jesteś na pewno głodna. Judyta posłuchała, ale gorące, aż skwierczące parówki nie stanowiły dla niej żadnej pociechy. Przyniosła talerz do stołu i usiadła na swoim stałym miejscu, tyłem do okna. Przyglądała się zawartości talerza, ale na razie nie miała ochoty się nią zająć.

- Słyszałaś wszystko? - zagadnęła ciotka po chwili milczenia.

- Prawie wszystko.

- To moja wina, wybrałam nieodpowiedni moment na tę dyskusję. Powinnam była przewidzieć, że twoja matka nie będzie w tej chwili w stanie podjąć żadnej decyzji.

- Ależ na pewno u cioci Luizy będzie mi bardzo dobrze.

- W to nie wątpię, ale nie wydaje mi się, aby tam było ciekawie.

- Wiesz, ciociu, ja przed tymi świętami nie przeżyłam nic naprawdę ciekawego.

- A więc wydaje ci się, że nie pragnie się tego, czego się nie zna?

- Chyba tak, ale bardzo chciałabym znowu tu przyjechać.
 - Spróbuję jeszcze raz zaproponować to twojej mamie, ale trzeba trochę odczekać.
- Judyta wzięła do rąk nóż i widelec, rozkroiła na pół swoją parówkę, ale zaraz zaświtała jej nowa myśl:
- Czy ciocia naprawdę myśli, że będzie wojna?
 - Mam nadzieję, że nie. Jesteś zresztą za młoda, żeby zaprzątać sobie głowę takimi sprawami.
 - Ale widziałam, że wujek się martwi!
 - Raczej się złości, bo krew go zalewa na samą myśl, że ktoś mógłby zagrozić Imperium Brytyjskiemu. Bob potrafi być zawzięty jak rozdrażniony buldog.
 - A gdyby udało mi się do was przyjechać, czy ciągle byłby to ten sam adres?
 - Nie jestem pewna. Mamy tu dwuletni kontrakt, który kończy się tego lata.
 - I wtedy dokąd się przeniesiecie?
 - Nie mam pojęcia. Bob chciałby wrócić na morze, a wtedy ja rozpocząłabym budowę domu. Nigdy nie mieliśmy własnej działki, zawsze mieszkaliśmy w wynajętych apartamentach, a w końcu trzeba by osiąść gdzieś na stałe. Na przykład w Devon, bo mamy tam wielu znajomych, no i stamtąd jest niedaleko do twoich dziadków.
 - Och, własny domek, jakie to cudowne! Niech ciocia koniecznie postawi dom na wsi, to zaraz do cioci przyjadę!
 - Jeżeli tylko zechcesz.
 - Na pewno zechcę!
 - W twoim wieku nic nie jest pewne, bo czas płynie ci wolniej niż nam. Ze mną było to samo. Jeszcze nieraz zmienisz zdanie, gdy poznasz nowe koleżanki i zapragniesz czegoś więcej. W twoim przypadku jest szczególnie ważne, abyś nauczyła się samodzielnie podejmować decyzje i brać sprawy we własne ręce, bez matki za plecami. Na początku możesz czuć się samotna, ale to ci dobrze zrobi. Ja w twoim wieku oddałabym wszystko, żeby tylko

wyrwać się spod kurateli rodziców. I udało mi się! - dodała z satysfakcją. - Wzięłam sprawy w swoje ręce i nie wyszłam na tym najgorzej.

- To nie takie proste wziąć sprawy w swoje ręce, kiedy się jest uczennicą szkoły z internatem! - podkreśliła z naciskiem Judyta. Wydawało się jej, że ciotka wszystko zbyt upraszcza.

- Myślę, że powinnaś uprzedzać fakty, zamiast siedzieć z założonymi rękami i czekać. Musisz nauczyć się krytycyzmu w doborze przyjaciół, książek, które czytasz, i w ocenie wydarzeń. Po prostu musisz zachować niezależność myśli. George Bernard Shaw powiedział kiedyś -dodała z uśmiechem - że ludzie młodzi nie doceniają swojej młodości. Dopiero kiedy się zestarzejemy, możemy zrozumieć sens tego powiedzenia.

- Przecież ciocia wcale nie jest stara!

- Być może, ale i podlotkiem też nie jestem. Judyta odgryzła kawałek parówki i wraz z nim przeżuwała także dobre rady ciotki.

- Najgorsze jest to - ubrała wreszcie swoje przemyślenia w słowa - że mama wciąż mnie traktuje, jakbym była taka mała jak Jess. Nigdy mnie o nic nie pyta ani o niczym nie informuje. Gdybym przypadkiem nie usłyszała waszej kłótni, nigdy bym się nie dowiedziała, że ciocia chciała mnie zaprosić na wakacje. Mama w ogóle by mi o tym nie wspomniała.

- To rzeczywiście okropne i masz powody, aby mieć do niej żal. Teraz nie oceniaj jej jednak zbyt surowo, bo przeżywa akurat kryzys i dlatego trzęsie się jak zmokła kura!

Roześmiała się, a Judyta odpowiedziała jej słabym uśmiechem.

- Mówiąc między nami - dodała ciotka - podejrzewam, że ona boi się Luizy!

- Wiem o tym.

- A ty jej się nie boisz?

- Ja nie.
- To dobrze.
- Ciociu, mnie naprawdę było tak miło z wami! Nigdy tego nie zapomnę!

Wzruszyła tym Bidy.

- I nam miło było cię gościć. Bob szczególnie cię polubił. Było mu przykro, że nie mógł się z tobą pożegnać osobiście. - Odsunęła się od stołu i wstała z krzesła. -Słyszę, że twoja mama i Jess już idą. Jedz spokojnie i udawaj, że nie mówiłyśmy o niczym takim. I pamiętaj, uszy do góry! Ja się tymczasem ubiorę...

Zanim jednak zdążyła opuścić jadalnię, zjawiała się Molly. Towarzyszyła jej Jess, ubrana już w sukienkę i białe skarpetki, z pięknie wyszczotkowanymi loczkami. Bidy musnęła w biegu wargami policzek siostry, rzucając jej „niczym się nie martw”, po czym popędziła po schodach, aby schronić się w zaciszu swojej sypialni.

Kiedy opadły emocje, Judyta odetchnęła z ulgą i dopiero na dworcu kolejowym przypomniała sobie o nieobecności wuja Boba. Czekając na przyjazd „Riwieri” zaczęła żałować, że nie będzie mogła z nim się pożegnać. Właściwie stało się tak z jej winy, bo za późno zeszła na śniadanie, ale i wujek mógł poczekać choć pięć minut, aby samemu powiedzieć jej „do widzenia”. Wtedy mogłaby podziękować mu za wszystko, bo napisać o tym w liście to już nie to samo.

Tym, co najbardziej podobało się jej u wuja, był gramofon. Ani ojciec, ani matka - choć w młodości marzyła

o balecie - nie przejawiali zbytniego upodobania do muzyki. Dopiero przesiadywanie w gabinecie wuja Boba otworzyło przed Judytą światy, o jakich dotąd nie miała pojęcia. Podobały się jej melodyjne piosenki Gilberta

i Sullivana, ale do łez wzruszyły ją arie z „Cyganerii” Pucciniego, koncert fortepianowy Rachmaninowa i muzyka do baletu Czajkowskiego „Romeo i Julia”. Solo na

skrzypce z „Szeherezady” Rimskiego-Korsakowa przejmowało ją dreszczem. Wuj Bob miał jeszcze jedną płytę z utworem tego kompozytora, który nazywał „Brzęczeniem pszczoły”. Rozbawił tym Judytę. Nie przypuszczała, że ktoś dorosły może być aż tak dowcipny. Nabrała pewności tylko co do jednego - że musi mieć własny gramofon! Wtedy będzie mogła zbierać płyty, jak to robił wujek Bob, aby w każdej chwili przenosić się w ich zaczarowany świat. Postanowiła, że od zaraz zacznie oszczędzać na ten cel.

Tymczasem marzyły jej nogi, więc próbowała rozgrzać je tupaniem. Matka z ciotką Bidy paplały o wszystkim i o niczym, jak zwykle osoby czekające na pociąg. Widać nie miały sobie już nic ważnego do powiedzenia. Jess siedziała na brzegu wózka bagażowego, mając tłustymi nóżkami w białych getrach. Przyciskała do siebie wyświechtanego pajacyka, z którym zasypiała każdej nocy. Na jego czarnej twarzy nie było widać brudu, ale Judyta miała pewność, że jest nie tylko brudny, ale i pełen zarazków.

W tym momencie jednak nastąpiło miłe wydarzenie, bo oto ciocia Bidy przerwała rozmowę z matką Judyty i spoglądając ponad jej głową zaanonsowała:

- O, Bob przyszedł!

Judyta od razu zapomniała o zmarzniętych nogach. Błyskawicznie odwróciła się w tamtym kierunku i rozpoznała jedyną w swoim rodzaju, potężną postać wujka. W mundurze wyższego oficera i czapce z daszkiem modnie nasuniętym na jedno oko, szedł ku nim z szerokim uśmiechem. Judyta musiała całą siłą woli panować nad sobą, żeby nie wybiec mu na spotkanie.

- Co ty tu robisz, Bob? - spytała ciotka.

- Znalazłem akurat wolną chwilę, więc postanowiłem sprawdzić, czy rodzinka w komplecie. -

Przeniósł wzrok na Judytę i dokończył: - Nie mógłbym pozwolić ci odjechać, nie pożegnawszy się z tobą jak należy.

Judyta podniosła ku niemu rozpromienioną twarz.

- Tak się cieszę, że wujek jeszcze znalazł dla mnie czas! Chciałam wujkowi podziękować za wszystko, a szczególnie za ten budzik.

- Tylko nie zapominaj codziennie go nakręcać!

- O tak! - Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Wujek Bob nadstawił ucha.

- No, chyba macie pociąg.

Rzeczywiście słyhać już było charakterystyczne dudnienie szyn i za zakrętem ukazał się czarno-zielony parowóz z pióropuszem czarnego dymu. Z okienka lokomotywy wychylał się maszynista z twarzą usmarowaną sadzami. Przez moment Judyta widziała płomienie buchające z paleniska. Tłoki przypominające ramiona poruszały się coraz wolniej, aż cały skład z sykiem pary ostatecznie się zatrzymał. Jak zwykle przybył punktualnie co do minuty.

Teraz na stacji zapanował kompletny rozgardiasz. Otwierały się drzwi wagonów i przedziałów, do których pasażerowie windowali swoje bagaże. Wszystkim udzielała się atmosfera nerwowego pośpiechu. Bagażowy wniósł do wagonu walizki pani Dunbar i udał się na poszukiwanie wolnego przedziału. Wuj Bob z marynarską skrupulatnością podążał za nim, by kontrolować, czy wypełnia swoje obowiązki. Molly nerwowo porwała Jess na ręce i wskoczyła z nią do pociągu. Dopiero stamtąd wychyliła się, by ucałować siostrę na pożegnanie.

- Mieliliśmy wspaniałe święta. Byliście dla nas tacy dobrzy! Jess, zrób cioci pa-pa!

Jess pomachała łapką w białej futrzanej rękawiczce, tuląc równocześnie swojego pajaca. Ciotka Bidy zwróciła się do Judyty:

- Do widzenia, kochanie. Jesteś naprawdę fajną dziewczyną. W razie czego pamiętaj, że tu jestem. W kalendarzyku twojej mamy jest mój numer telefonu.

- Do widzenia, ciociu, i dziękuję za wszystko.

- Wsiadaj już, bo pociąg ruszy bez ciebie. I przypilnujcie, żeby wujek wysiadł, bo pojedzie z wami!

Mówiła to zupełnie poważnym tonem, lecz po chwili zaczęła się znów śmiać. Judyta odpowiedziała jej uśmiechem, pomachała ręką na pożegnanie i wkroczyła do wagonu.

W przedziale, który wybrali, siedział już jeden pasażer - młody człowiek czytający książkę trzymaną na kolanach. Bagażowy wtłoczył ich walizki na półkę. Wujek Mob dał mu napiwek i podziękował za usługę.

- Niech wujek już idzie, bo nie zdąży wysiąść przed odjazdem! - upomniała go Judyta.

- Jakoś nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło. Do widzenia, Judyto!

Uścisnęli sobie dłonie i wtedy Judyta poczuła pod palcami banknot wsunięty w jej rękawiczkę.

Dostała całe dziesięć szylingów!

- Dziękuję, wujku.

- Tylko nie wydawaj ich na głupstwa.

- Nie będę. Do widzenia!

Wyszedł i po chwili pojawił się wraz z ciotką Bidy na peronie pod oknem.

- Szczęśliwej podróży! - krzyczeli, kiedy pociąg już ruszył.

Stopniowo nabierał prędkości i wkrótce stacja została daleko w tyle, a wraz z nią wujek Bob i ciocia Bidy. Było już po wszystkim. Wracaly do domu.

Pierwsze chwile podróży uplynęły na sadowieniu się na swoich miejscach. Młody człowiek, z którym dzieliły przedział, zajmował siedzenie przy drzwiach, więc pani i pannom Dunbar pozostały miejsca przy oknie. Ogrzewanie działało na cały regulator, toteż w przedziale było tak ciepło, że wkrótce dziewczynki pościagały rękawiczki, płaszczyki i czapki. Tylko Molly pozostała w kapeluszu. Jess posadzono przy oknie, więc uklękła na pluszowym siedzeniu i przycisnęła nos do brudnej szyby.

Judyta usiadła naprzeciw niej. Matka pobierała wszystkie płaszcze, wcisnęła je na półkę bagażową i zaczęła grzebać

w torbie podróźnej w poszukiwaniu książki z malowankami i kredek dla Jess. Potem rozsiadła się wygodnie i westchnęła z ulgą, jakby to wszystko było dla niej zbyt męczące. Na chwilę przymknęła oczy, ale zaraz je otworzyła i zaczęła się wachlować rozcapierzoną dłonią.

- Ależ tu gorąco! - powiedziała w przestrzeń, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Myślę, że jest w sam raz - zaproponowała Judyta, bo nogi jeszcze się jej nie ogrzały.

Matka jednak uparła się przy swoim i zagadnęła młodego człowieka, którego samotność w przedziale została tak brutalnie zakłócona.

- Czy nie mógłby pan przykręcić trochę ogrzewania albo uchylić okna?

- Chętnie - odpowiedział uprzejmie, odkładając książkę. - Czy mam zrobić jedno, czy drugie? A może i to, i to?

- Wydaje mi się, że wystarczy, jeśli wpuści pan tu trochę świeżego powietrza.

- Proszę bardzo.

Skierował się w stronę okna, więc Judyta podwinęła nogi, aby mu nie przeszkadzać. Uprzejmy towarzysz podróży odsunął okno o jakiś cal w dół i ustawił je w tej pozycji.

- Dobrze tak? - spytał.

- Idealnie.

- Tylko niech pani uważa, żeby tej małej pyłek nie wpadł do oka.

- Mam nadzieję, że nic jej nie wpadnie.

Młody pasażer wrócił więc na swoje miejsce i znów sięgnął po książkę. Judyta zaś oddała się jednej ze swoich dwóch ulubionych czynności. Były nimi: przysłuchiwanie się rozmowom dorosłych i obserwacja zachowań obcych ludzi, aby na tej podstawie odgadywać, jacy oni są naprawdę. Gdy to robiła, mama zawsze upominała ją: „Co się tak gapisz?”

Teraz jednak matka była zatopiona w lekturze ilustrowanego czasopisma, więc nie zwracała na nią uwagi. Judyta zaczęła zatem taksować wzrokiem swego sąsiada. Książka, którą czytał, wyglądała na długą i nudną, a z kolei on nie wyglądał na intelektualistę, gdyż był barczysty i mocno zbudowany. Musiał być zarówno silny, jak i sprawny. Miał na sobie sztruksowe spodnie i tweedową marynarkę, a pod nią gruby szary sweter z zapięciem polo. Na szyi nosił długi wełniany szalik w jaskrawe paski. Włosy miał jakiegoś nieokreślonego koloru - nie był ani blondynem, ani szatynem, natomiast z pewnością przydałaby mu się wizyta u fryzjera.

Judyta nie mogła dostrzec koloru jego oczu, gdyż wzrok miał wbity w książkę. Zauważyła natomiast, że nosił grube okulary w rogowej oprawce, a w podbródku miał wgłębienie - nie dołek, gdyż nazwa ta brzmiała niemęsko. Zastanawiała się też, ile on może mieć lat. Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć. Nie była jednak tego pewna, gdyż nie miała dotąd wiele do czynienia z młodymi mężczyznami.

Odwróciła się z powrotem do okna, bo za chwilę mieli przejeżdżać przez most w Saltash, skąd widać było okręty wojenne stojące na kotwicy w porcie. Tymczasem Jess znudziło się już wyglądanie oknem i poszukała sobie innej rozrywki. Najpierw zaczęła podskakiwać na siedzeniu, potem sturlała się z niego, żeby następnie zacząć gramolić się z powrotem. Kopnęła przy tym Judytę boleśnie w łydkę.

- Siedź spokojnie, Jess! - upomniała ją starsza siostra. W rewanżu Jess rzuciła w nią swoim pajacem.

Judyta

najchętniej cisnęłaby to straszycło za okno, ale pohamowała się, złapała zabawkę w powietrzu i odrzuciła w drugą stronę. Trzeba trafu, że pajac uderzył Jess prosto w twarz i mała przeraźliwie wrzasnęła.

- No wiesz, Judyto! - Oburzona matka porwała Jess na kolana. Kiedy udało jej się uspokoić małą, zwróciła

się z przeprosinami do współpasażera. - Przepraszam, że ciągle panu przeszkadzamy!

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją młody człowiek.

- Czy pan wraca z Londynu?

Najwidoczniej mama nabrała ochoty do rozmowy. Sąsiad z przedziału musiał to wyczuć, gdyż zamknął książkę i odłożył ją na bok.

- Tak - odpowiedział.

- Spędzał pan tam święta?

- Nie, akurat w samo Boże Narodzenie i Nowy Rok musiałem być w pracy. Dopiero teraz mogłem wziąć trochę wolnego.

- Coś podobnego! Kto to słyszał, żeby pracować w święta? Czymże się pan zajmuje?

- Pracuję w Szpitalu Świętego Tomasza.

- Ach, więc jest pan lekarzem?

- Właśnie tak.

Judyta obawiała się, że mama palnie coś w rodzaju: „Za młodo pan wygląda jak na doktora”. Na szczęście nie wymknęło się jej nic tak niezręcznego. Jeśli ten pan był lekarzem, to może jego gruba książka zawierała opis objawów jakiejś niedostatecznie zbadanej choroby?

- No, to miał pan raczej nieciekawe święta! - podsumowała mama. '

- Wręcz przeciwnie. Święta w szpitalu bywają bardzo wesołe. Wszystkie oddziały są odświętnie udekorowane, a pielęgniarki śpiewają kolędy...

- A więc teraz wraca pan z urlopu do domu?

- Tak, do Truro. Mam tam rodziców.

- My jedziemy dalej, prawie do stacji końcowej. Spędzałyśmy święta u mojej siostry, zameężnej za komendantem Technicznej Szkoły Marynarki Wojennej.

Zabrzmiało to jak przechwałki, więc Judyta na wszelki wypadek wolała zmienić temat.

- O, już wjeżdżamy na most!

O dziwo, ich współpasażer również się tym zainteresował.

- Muszę to zobaczyć! - stwierdził i stanął koło niej, przytrzymując ręką krawędź przesuwanego okna. Uśmiechnął się do Judyty, a wtedy zauważyła, jakie miał oczy: ani brązowe, ani zielone, tylko nakrapiane jak pstrąg tęczy.

- Szkoda byłoby przepuścić tak piękny widok - dodał. Pociąg zwalniał wjeżdżając na most, którego dźwigary

brzęczały pod kołami. W dole lśniła chłodna toń wody, pocięta sylwetkami kłazowników i niszczycieli, między którymi uwijały się barki i szalupy - wszystkie ozdobione godłem Jednorożca.

- Ten most ma w sobie coś szczególnego - zauważyła Judyta.

- Co takiego? Czy to, że po drugiej stronie zaczyna się już Kornwalia?

- Nie w tym rzecz.

- A w czym? Czy dlatego, że to dzieło Brunela?

- Przepraszam, czyje?

- Brunela, architekta, który go zaprojektował dla Zachodniego Towarzystwa Kolejowego. Na owe czasy był to cud techniki, a jeszcze i teraz dobrze się prezentuje.

Po jego słowach zapanowała cisza. Młody człowiek stał przy oknie, dopóki pociąg nie minął mostu i nie wjechał do Saltash po kom walijskiej stronie rzeki Tamar. Wtedy wrócił na swoje miejsce i ponownie wsadził nos w książkę.

Wkrótce pojawił się pracownik wagonu restauracyjnego, zapraszając na tradycyjnie podawany o tej porze podwieczorek. Molly zaproponowała młodemu lekarzowi wspólne wyjście, lecz ten grzecznie się wymówił. Zostawiła go więc samego w przedziale i wraz z dziewczynkami przeszła po chwiejnych przesłach do tego wagonu. Tam czekał na nie stół nakryty białym obrusem i zastawiony białą porcelaną. Wnętrze oświetlały różowe lampki, dając przy-

tulne, nastrojowe światło, gdyż na dworze już zmierzchało. Natychmiast zjawił się kelner z porcelanowym czajniczkiem esencji, dzbanuszką mleka, imbrykiem gorącej wody i cukrem w kostkach. Jess zaraz pochłonięła trzy kostki cukru, zanim matka zdążyła to zauważyć. Po chwili inny kelner przyniósł kanapki, gorące grzanki z masłem, pokrajane na porcje ciasto i czekoladowe ciasteczka zapakowane w cynfolię.

Molly nalała wszystkim gorącej, mocnej herbaty i Judyta chętnie ją piła, pogryzając grzankami z masłem. Spoglądając w ciemność za oknem rozmyślała, że dzisiejszy dzień był całkiem udany. Wprawdzie przebudzenie ze świadomością, że to już ostatni dzień ferii świątecznych, nie było zbyt przyjemne, a późniejsza kłótnia między matką a ciotką do reszty popsowała jej nastrój - w końcu przecież siostry się pogodziły. Za to dzięki temu Judyta dowiedziała się, że ciocia Bidy i wujek Bob chcieliby znów zaprosić ją do siebie, choć wątpliwe, aby matka jej na to pozwoliła. Jeszcze przyjemniejsze było to, że wujek Bob przyszedł na dworzec pożegnać się z nimi i do tego podarował jej całe dziesięć szylingów. W sam raz na konto przyszłego gramofonu!

I ten młody doktor, z którym dzieliły przedział, był taki miły! Szkoda, że nie chciał zjeść razem z nimi podwieczorku. Może dlatego, że powiedzieli sobie już wszystko, co mieli do powiedzenia? W każdym razie był sympatyczny i bezpośredni. Podczas przejazdu przez most stał tuż przy niej, aż czuła zapach tweedu z okręgu Harris, a koniec jego długiego szalika łaskotał ją w kolano. Od niego dowiedziała się też, że projektantem i budowniczym mostu był jakiś Brunei... Jednym słowem, dobrze byłoby mieć takiego brata!

Zjadła grzankę i na odmiannę sięgnęła po kanapkę z pastą łososiową. Dla zabicia czasu zaczęła sobie wyobrażać, że wcale nie podróżuje z mamą i siostrzyczką, ale tłucze się „Orient Expressem” przez całą Europę, przewożąc

w swoim plecionym kuferku ważne tajemnice państwowe. Pomyśleć tylko, ile czekało ją przygód! Niedługo potem, jak wróciła do przedziału, pociąg wtoczył się na stację Truro. Ich sympatyczny współpasażer wsadził książkę do swojej torby podróżnej, owinał szyję szalikiem i pożegnał się z towarzyszkami podróży. Judyta przez pewien czas odprowadzała go wzrokiem, aż znikł jej z oczu. Pod koniec jazdy zrobiło się trochę nudno, ale nie trwało to już długo. Jess tymczasem zasnęła, więc kiedy dojechali do stacji węzłowej, Judyta przywołała bagażowego. Ten zabrał cięższe pakunki, podczas gdy ona niosła mniejsze torby, Molly zaś - śpiącą Jess. Przechodząc na inny peron, gdzie trzeba było przesiąść się na pociąg do Porthkerris, Judyta czuła na twarzy powiew wiatru od morza. Niby też był chłodny, a jednak zupełnie inny niż w Plymouth - łagodniejszy, wilgotniejszy, niosący zapach soli morskiej, zoranej ziemi i sosen.

Molly z córkami przesiadła się do kolejki wąskotorowej, która ruszyła bez pośpiechu. Jej koła wydawały na szynach zupełnie inny dźwięk niż ekspres z Londynu. Upłynęło pięć minut i już wszystkie trzy wysiadły na stacyjce Penmarron, gdzie na peronie czekał zawiadowca, pan Jackson, z zapaloną latarką.

- Czy mam pomóc pani z bagażami? - zapytał.

- Myślę, że zabierzemy tylko podręczne torby, a większe sztuki zostawimy w przechowalni. Rano niech bagażowy przywiezie je wózkiem.

- Oczywiście. Przez noc nic im się tutaj nie stanie.

Matka i córki przeszły przez poczekalnię, potem ścieżką do furtki i pod górę przez ogród. Molly co jakiś czas musiała się zatrzymać, by złapać oddech, bo Jess wbrew pozorom była ciężka. Kiedy już wdrapały się na górę, zobaczyły światło na werandzie, a w domu otworzyły się właśnie oszklone drzwi. Oznaczało to, że Phyllis czekała na ich przyjazd.

- Patrzcie państwo, kto to przyjechał! - wołała zbiegając ze schodów. - Proszę, ja wezmę dziecko, pani na pewno jest zmęczona. Kto to widział taszczyć taki ciężki tłumoczek? Ona waży więcej, niż na to wygląda.

Jej piskliwy głos rozbudził Jess, która mrugała zaspanymi oczkami, nie rozumiejąc jeszcze, gdzie się znajduje.

- Jak tam, objedliśmy się pewnie puddingiem po uszy? -To pytanie skierowane było do Jess. - Proszę, nie stójmy na tym zimnie, chodźmy do środka. Nagrzałam dla pani wody na kąpiel, rozpałam w kominku w salonie, a na kolację mamy kurczaka!

„Ta Phyllis to prawdziwy skarb - myślała Molly. -Bez niej życie nie będzie już tym samym co przedtem”. Złożyła Phyllis krótką relację z wizyty u siostry, a w zamian nasłuchiwała się trochę miejscowych ploteczek. Potem służąca zaniósła Jess na górę, wykąpała ją, nakarmiła świeżym chlebem z mlekiem i położyła do łóżeczka.

Judyta poszła za nią, niosąc swój wyplatany chiński kuferek i nie przestając pytać:

- Zobaczysz, Phyllis, jaki piękny budzik dostałam od wuja Boba. Ma nawet skórzany futerał...

Molly obserwowała je, jak szły na górę. Sama dopiero teraz, kiedy uwolniła się od ciężaru Jess, poczuła, jak bardzo jest zmęczona podróżą. Zdjęła futro i przewiesiła je przez poręcz schodów.

Zabrała całą zaległą pocztę ze stolika w hallu i zaniósła do salonu. Chwilę postąpiła przed płonącym kominkiem, aby ogrzać ręce i trochę rozluźnić zeszywniałe mięśnie. Potem usiadła w fotelu i przerzuciła listy, które na nią czekały. Jeden był od Bruce'a, ale na razie wołała go nie otwierać. Najpierw chciała trochę posiedzieć i pozbierać myśli.

Dla niej ten dzień był koszmarem, zwłaszcza gdy po bezsennej nocy od razu musiała pokłócić się z Bidy. Wprawdzie siostra poradziła jej, aby się niczym nie przejmowała, i nawet ją pocałowała, ale na tym się nie skoń-

czyło. Przed obiadem, kiedy siedziały same pociągając sherry i czekając, aż Hobbs uderzy w gong, Biddy znowu zaczęła dyskusję. Wprawdzie mówiła tonem lekkim, niemal żartobliwym, ale jasno dawała do zrozumienia, o co jej chodzi.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam, bo to dla twego dobra, a także dla dobra Judyty. Nie możesz zostawić jej samej w najtrudniejszym okresie życia, nie przygotowanej na to, co ją czeka. To taki głupi wiek, ni z pierza, ni z mięsa...

- Biddy, ona nie jest tak znów całkiem nie przygotowana.

Biddy zapaliła któregoś papierosa z rzędu i wypuściła kłęb dymu.

- Chcesz powiedzieć, że ma już okres?

Tak brutalna otwartość była trudna do zniesienia, ale Molly wcale się nie spieszyła.

- Tak, już od pół roku - odpowiedziała spokojnie.

- Dobrze i to. Powinna też mieć bardziej eleganckie stroje, a wątpię, aby Luiza potrafiła o to zadbać.

Czy dostanie jakąś wyprawkę do szkoły?

- Tak, pomyślałam już o tym.

- To dobrze, bo na przykład ta sukienka, którą miała na sobie tamtego wieczoru, była ładna, ale już dla niej za dziecinna. Tę powieść Artura Ransome'a kupiłam jej, bo mówiłaś, że chciała dostać coś takiego pod choinkę.

- Judyta uwielbia Ransome'a!

- Powinna jednak zacząć już czytać poważniejsze książki. Dlatego kupiłam jej także „Jane Eyre”, którą na pewno przeczyta jednym tchem. I od razu zakocha się w panu Rochesterze, jak każda nastolatka. No, może nie każda... - dodała z błyskiem ironii w oku. - Ty zarezerwowałaś swoje serce dla Bruce'a!

Molly wiedziała, że siostra żartuje, ale drażniło ją, że akurat na jej temat.

- To moja sprawa - odparła cierpko.

- Pewnie, wystarczyło jedno spojrzenie, a już ci miękły nogi! - szydziła dalej siostra.

Biddy potrafiła być złośliwa, ale równocześnie dowcipna, więc Molly mimowolnie musiała się roześmiać. Wszystkie uwagi Biddy były niewątpliwie słuszne, ale mocno spóźnione. Molly, choćby nawet chciała, nie mogła już się do nich zastosować, bo zawsze zostawiała wszystko na ostatnią chwilę. A tu jeszcze tyle było do zrobienia!

Rozmyślenia przerwało jej szerokie ziewnięcie. Zegar na gzymsie kominka wybił szóstą po południu. O tej porze zwykle brała kąpiel i przebierała się do kolacji. Robiła to, odkąd była zamężna, choć przeważnie przy stole towarzyszyła jej tylko Judyta. Pewne sztywne rytuały ubarwiały bowiem monotonię jej codziennego życia. Biddy wyśmiewała te jej przyzwyczajenia, gdyż sama po kąpielii zostawała już tylko w szlafroku i kapciach, a służącej poleciła by podać sobie kolację na tacy do salonu, gdzie siedziała przy kominku.

Biddy napiłaby się do tego whisky z wodą sodową. U siebie w domu Molly piła zwykle do kolacji sherry, ale będąc w odwiedzinach u Biddy, nieraz sama miała ochotę na whisky, zwłaszcza po dłuższym przebywaniu na dworze lub w sytuacjach stresowych, jak tamto pechowe przedstawienie pantonimy. Teraz też chętnie by się napiła, ale miała wątpliwości, czy powinna to zrobić.

Zastanawiała się też, czy warto się fatygować aż do jadalni po butelkę whisky, syfon z wodą sodową i szklanek. Doszła jednak do wniosku, że dobrze jej to zrobi, więc poszła po niezbędne składniki. Miała zamiar wypić tylko jednego drinka, więc od razu zrobiła sobie mocnego. Przyniosła go do salonu, rozsiadła się wygodnie przy kominku i pociągnęła łyk, który przyjemnie rozgrzał ją od wewnątrz. Potem odstawiła szklanek i zabrała się do lektury listu od męża.

Podczas gdy Phyllis układała Jess do snu, Judyta w swojej sypialni rozpakowywała podręczny bagaż. Wyjęła bieliznę nocną i przybory do mycia oraz prezenty gwiazdkowe z wyplatanego kuferka. Ułożyła je na biurku tak, aby móc pochwalić się Phyllis, co od kogo dostała. Tylko banknot dziesięcioszylingowy od wuja Boba schowała do specjalnej szufladki zamykanej na kluczyk, a budzik od niego postawiła na nocnym stoliku. Właśnie wypisywała swoje nazwisko na stronie tytułowej pamiętnika od ciotki Luizy, gdy przez drzwi zajrzała Phyllis.

- Jess leży już w łóżeczku - zameldowała. - Przegląda książeczkę, ale zaśnie, sama nie wiedząc kiedy. Weszła do pokoju Judyty i usiadła na jej łóżku, rozścielonym już do snu.

- No, pokaż, cożeś podostawała za prezenty!

- Najlepszy dostałam od ciebie. To miłe, że pomyślałaś...

- Przynajmniej nie będziesz ciągle przylatywać do mnie po nożyczki. Tylko schowaj je dobrze przed Jess! A tobie pięknie dziękuję za te sole kąpielowe. „Soir de Paris” pachnie dużo lepiej niż „Mak Kalifornijski”. Kiedym się kąpała wczoraj wieczorem, czułam się jak gwiazda filmowa! No, a co tam jeszcze masz?

Przy wylewnej naturze Phyllis zabrało trochę czasu, zanim szczegółowo obejrzała każdy przedmiot i wyraziła swój zachwyt.

- Ależ gruba książka! Kiedyż ty ją przeczytasz? I to już musi chyba być coś dla dorosłych. A ten sweterek jaki miękki! Cóż to znowu? Pamiętnik? Jaką ma śliczną skórzaną okładkę! Będiesz tam mogła zapisywać wszystkie swoje sekrety.

- Prawda, że to ładnie ze strony cioci Luizy, że przysłała mi jeszcze jeden prezent, chociaż już przedtem obiecała mi rower?

- Ale masz fajny budzik! No, teraz już nie będziesz

miała wymówki, jeśli spóźnisz się na śniadanie. A co dostałaś od tatusia?

- Prosiłam go o chińską szkatułkę z cedrowego drewna, ale widać przesyłka jeszcze nie doszła.

- To nic, na pewno przyjdzie trochę później. - Phyllis rozsiadła się wygodnie na łóżku, płonąć z ciekawości. - Teraz opowiedz mi, jak tam było.

Judyta opowiedziała jej o przeraźliwie zimnym domu ciotki Bidy, podkreślając przy tym, że nie miało to żadnego znaczenia, gdyż i tak świetnie się bawiła. Opisała Phyllis spektakl pantomimy, wyprawę na ślizgawkę, gramofon, maszynę do pisania i ciekawe zdjęcia w pokoju wujka Boba. Opowiedziała jej także o choince, przyjęciach i świątecznym stole przystrojonym ostrokrzewem, gwiazdami betlejemskimi, trzaskawcami z czerwono-złotej folii i srebrnymi miseczkami pełnymi czekoladek.

- Uuuuch! - westchnęła Phyllis z zazdrością w głosie. - Jak to ślicznie brzmi!

Judyta poczuła w tym momencie niejako wyrzuty sumienia, gdyż zdawała sobie sprawę, że Phyllis miała dużo uboższe święta. Jej ojciec pracował w kopalni cyny, a matka była prostą kobietą o obfitym biuście i złotym sercu, z coraz to innym dzieckiem trzymającym się jej fartucha. Phyllis była najstarsza z pięciorga dzieci i Judyta łamała sobie głowę, jak taka gromadka może się pomieścić w małej chałupce przylepionej do skalnego zbocza jak jaskółcze gniazdo. Kiedyś poszły razem oglądać uroczyste rozpoczęcie sezonu łowieckiego, a potem Phyllis zaprosiła ją do siebie. Matka podała herbatę i ciastka na stole, przy którym musiało się zmieścić siedem osób. Ojciec Phyllis siedział przy kominku, gdzie pił herbatę z kompotierki i opierał nogi o mosiężny ekran.

- A jak ty spędziłaś święta, Phyllis?

- Nieszczęśliwie, bo biedna mamusia złapała grypę, więc cała robota była na mojej głowie.

- Och, jak mi przykro! Czy już lepiej się czuje?

- Krząta się jak zawsze, ale jeszcze paskudnie kaszle.

- A dostałaś coś pod choinkę?

- Tak, od mamusi bluzkę, a od Cyryla komplet chusteczek do nosa.

Cyryl Eddy był chłopakiem Phyllis i również pracował w kopalni cyny. Znali się jeszcze ze szkoły i chyba od zawsze chodzili ze sobą. Nie byli formalnie zaręczeni, ale Phyllis pilnie szydełkowała już serwetki do swojej wyprawy. Widywali się z Cyrylem rzadko, gdyż z St. Just miał dosyć daleko, a ponadto pracował na zmiany. W wolnych chwilach zwykle wyruszali na wycieczki rowerowe lub siedzieli w kinie, przytuleni do siebie w ostatnim rzędzie. Na komodzie w pokoju Phyllis stało zdjęcie Cyryla. Nie był zbyt przystojny, ale Phyllis zapewniała, że ma za to cudowne brwi.

- A ty co jemu dałaś? - zainteresowała się Judyta.

- Obrozę dla jego pieska. Nawet mu się spodobała! - Phyllis zrobiła teraz minę niewiniątka i dodała: - A tyś nie poznała tam jakiego chłopaka?

- No wiesz, Phyllis, skądże znowu!

- Co się tak oburzasz? Przecież to nic złego.

- Znajomi cioci Bidy są dużo starsi. Wczoraj wieczorem przyszli tacy dwaj młodzi oficerowie, ale było już późno i musiałam iść spać. Zresztą byli tak zajęci ciocią Bidy, że nie zwracali na mnie uwagi.

- No tak, jesteś akurat w takim głupim wieku, ni pies, ni wydra. Ale poczekaj jeszcze parę lat, a chłopcy będą do ciebie lgnęli jak muchy do miodu! - Phyllis uśmiechnęła się na samą myśl o tym. - Jeszcześ nigdy nikogo nie poderwała?

- Przecież mówiłam, że nie znam żadnego chłopaka. No, może... - zaczęła i urwała.

- Dalej, dalej, niech no ja usłyszę!

- Kiedy już wracałyśmy z Plymouth, w jednym przedziale z nami jechał taki młody człowiek. Okazało się, że jest lekarzem, chociaż zupełnie na to nie wyglądał.

Mama zaczęła z nim rozmowę, ale i mnie opowiedział różne ciekawe rzeczy - na przykład to, że most w Saltash zbudował jakiś Brunei. Był naprawdę sympatyczny. Kogoś takiego chciałabym poznać.

- Może jeszcze poznasz.

- Nie u Świętej Urszuli.

- Chyba nie po to tam jedziesz, żeby oglądać się za chłopakami, ale żeby się uczyć! Ciesz się, że masz taką szansę, bo ja byłam młodsza od ciebie, kiedy musiałam rzucić szkołę i iść na służbę. Zdążyłam się tylko nauczyć czytać, pisać i dodawać. Ty za to będziesz zdawać egzaminy i brać nagrody, a ja jedyną nagrodę w życiu dostałam za wyhodowanie rzeżuchy z nasion wysianych na mokrą gazę.

- I pewnie przez chorobę twojej matki nie miałas czasu szukać sobie innej pracy?

- Prawdę mówiąc, to i nie miałam głowy do tego. Zresztą nie chciałabym w ogóle od państwa odchodzić. Pani obiecuje, że da mi dobre referencje i pomoże znaleźć inne miejsce, ale rzecz w tym, że nie mogę dłużej pracować tak daleko od domu. Całe wychodne tracę na jazdę rowerem do St. Just i z powrotem. Mam już tego powyżej uszu!

- Może znajdzie się dla ciebie jakieś miejsce w Porthkerris?

- To byłoby najlepsze.

- Masz szansę dostać lepszą pracę. Może w domu, gdzie byłoby więcej służby, miałabyś z kim pogadać i lżej byś pracowała...

- Jeszcze czego! Mam posługiwać jakiejś starej wydrze w kuchni? Już wolę być za dziewczynę do wszystkiego, choć nie zawsze udają mi się ciasta, zwłaszcza takie, gdzie trzeba ubijać pianę. Pani zawsze mówiła... - tu urwała w pół zdania.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Judyta.

- Zabawne, że ona jeszcze nie przyszła się kąpać, a to

już dwadzieścia po szóstej. Nie miałam pojęcia, że tyle czasu przegadałyśmy. Może pani myśli, że nie zrobiłam jeszcze wszystkiego przy Jess?

- Nie mam pojęcia.

- No więc bądź tak miła i powiedz mamie, że łazienka jest już wolna. Kurczak może poczekać, aż będzie gotowa. Biedaczka, jeszcze nie odsapnęła po podróży, ale nie zapomina o swojej kąpieli... - Z tymi słowami zerwała się na równe nogi. - Zejdę zobaczyć, co się dzieje z kartoflami!

Jednak Judyta nie od razu jej posłuchała. Wpierw wygładziła kołdrę na łóżku, zdjęła wszystko z biurka i położyła na nim swój nowy pamiętnik. Starannym pismem odnotowała wszystko, co dotąd zaszło, poczynając od pierwszego stycznia. Na stronie tytułowej widniało tylko jej nazwisko - Judyta Dunbar. Wahala się, czyby nie dopisać adresu, ale zrezygnowała z tego, bo przecież nie wiedziała jeszcze, jak będzie brzmiał jej właściwy adres. Za to wyliczyła, że starczy jej miejsca na zapiski aż do grudnia 1940 roku. Będzie wtedy miała aż dziewiętnaście lat! Ta perspektywa nie wyglądała zbyt zachęcająco, więc odłożyła pamiętnik do szuflady, przyczesła włosy i zeszła na dół, aby powiadomić matkę, że ma jeszcze szansę wykąpać się przed kolacją.

Wpadła do salonu i od progu zaczęła:

- Mamo, Phyllis prosiła, żeby ci powiedzieć...

Nie dokończyła, gdyż wyczuła, że w powietrzu wisi coś złego. Matka siedziała przy kominku w swym ulubionym fotelu, ale zwróciła ku Judycie twarz zmienioną i zapuchniętą od płaczu. Na stole stała opróżniona do połowy szklanka, a po podłodze walały się kartki gęsto zapisanego papieru.

- Mamo, co się stało?! - krzyknęła, instynktownie zamykając drzwi za sobą.

- Och, Judyto... - zaczęła matka, ale nie mogła wydusić nic więcej, więc Judyta przeszła przez pokój i uklękła przy niej.

- Co się stało? - powtarzała. Widok zapłakanej matki był dla niej czymś dużo gorszym od najstraszniejszej wiadomości, jaką mogłaby usłyszeć.

- Przyszedł list od ojca. To straszne!

- Czy tatusiowi stało się coś złego?

- Nic złego. - Molly wytarła oczy zmiętą i przemoczoną chusteczką. - Tyle że będziemy musieli wyjechać z Kolombo. Ojciec dostał nową posadę w... Singapurze!

- I dlatego płaczesz?

- Bo to już któraś z rzędu przeprowadzka. Przyjadę tam teraz tylko po to, żeby spakować manatki i jechać dalej, w jakieś dziwne miejsce, gdzie nikogo nie znam. W Kolombo przynajmniej miałam swój dom... Och, wiem, że to głupie, co mówię, ale jestem już taka zmęczona! To ta ostatnia kropla, która przepełniła kielich!

Łzy znów popłynęły jej ciurkiem z oczu do tego stopnia, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Judyta chciała pocałować matkę na pocieszenie i wtedy wyczuła od niej zapach whisky. Coś podobnego! Matka w życiu nie piła whisky!

Molly wyciągnęła rękę i niezgrabnie przygarnęła Judytę do siebie.

- Mogłabyś mi dać czystą chusteczkę?

- Zaraz przyniosę.

Na chwilę odeszła od matki i pobiegła do swojej sypialni. Znalazła tam jedną z dużych chusteczek, które nosiła do szkoły. Zamykając szufladę spojrzała przelotnie w lustro i ujrzała w nim twarz niewiele mniej przejętą od twarzy matki. Tak nie mogło być - przynajmniej jedna z nich musiała zachować zimną krew. Nabrała więc głęboko powietrza w płuca i przypomniała sobie rady ciotki Biddy. Że powinna nauczyć się przewidywać sytuacje... Chyba właśnie taka sytuacja miała miejsce. Wyprostowała się więc i zeszła z powrotem do salonu.

Na miejscu stwierdziła, że matka jakoś próbowała się

pozbierać. Podniosła z podłogi rozsypane kartki i nawet zdobyła się na słaby uśmiech.

- Dziękuję ci, kochanie! - Z wdzięcznością wzięła od Judyty chustkę i wytarła nos. - Tak mi przykro, nie wiem, co mnie napadło. Chyba to ze zmęczenia, bo ten dzień był taki ciężki!

Judyta przysunęła sobie mały stołeczek do kominka i spytała:

- Czy mogłabym zobaczyć ten list?

- Ależ proszę bardzo! - Molly podała jej kartki. List był napisany równym, starannym pismem. Ojciec zawsze używał czarnego atramentu.

Najdroższa Molly!

Zanim dostaniesz ten list, będzie już po świętach. Myślę, żeście się z dziewczynkami dobrze bawiły, ale mam dla Was ważne wiadomości.

Wczoraj wezwał mnie szef i zakomunikował, że firma chce mnie przenieść do Singapuru na stanowisko kierownika tamtejszej filii przedsiębiorstwa. Dla mnie byłby to awans, z którym wiązałyby się wyższe pobory, większy dom i prawo do używania samochodu służbowego z kierowcą. Mam nadzieję, że ucieszysz się z tego tak samo jak ja.

Zacznę nową pracę nie wcześniej niż w miesiąc po Twoim przyjeździe z Jess. Będziemy więc mieć dosyć czasu, aby się spakować, opróżnić dom dla mojego następcy i popłynąć razem do Singapuru. Na pewno będzie Ci żal Kolombo, bo i ja przyzwyczałem się do tego pięknego miejsca, ale wydaje mi się, że wspólna podróż i wspólne wprowadzanie się do nowego domu też ma swój urok.

Będę miał teraz dużo bardziej odpowiedzialną i absorbującą pracę. Jestem jednak przekonany, że dam sobie radę i osiągnę sukces. Nie mogę się już doczekać Twojego przyjazdu. Ciekawe, czy Jess pozna swojego tatusia?

Przekaż Judycie, że wysłałem już prezent gwiazdko-

wy dla niej. Powinna go w tych dniach otrzymać. Mam nadzieję, że zgodnie z planem umieściłaś ją u Świętej Urszuli i pożegnanie nie było dla Ciebie zbyt wielkim wstrząsem.

Spotkałem niedawno w klubie Charliego Peytona. Mówił, że Mary w kwietniu spodziewa się dziecka. Zaprosił nas na kolację...

Reszta listu była napisana w takim właśnie duchu. Judyta nie chciała już czytać dalej i oddała kartki matce.

- Brzmi to bardzo zachęcająco - podsumowała. - Myślę, że tatusiowi się udało i nie powinnaś się tym martwić.

- Nie martwię się, tylko się boję. Wiem, że to egoizm z mojej strony, ale wolałabym nie jechać do tego Singapuru. Jest tam za gorąco i wilgotno, poza tym będę musiała zaczynać wszystko od początku. Na nowo urządzać dom, angażować służbę, poznawać ludzi - to już przerasta moje siły!

- Przecież nie będziesz tego robić sama. Możesz liczyć na tatusia...

- Wiem o tym.

- Wydaje mi się to bardzo podniecające!

- Nie trzeba mi żadnych podniet. Pragnę już tylko spokoju, normalnego domu i żadnych zmian. Dość mam ciągłych przeprowadzek i tego, że wiecznie ktoś czegoś ode mnie wymaga. I tak wszystko, co zrobię, będzie złe. Każdy mówi, że jestem głupia i do niczego się nie nadaję.

- Przecież to nieprawda!

- Biddy i Luiza uważają mnie za idiotkę.

- Nie przejmuj się nimi.

W odpowiedzi Molly wytarła nos i pociągnęła następny łyk whisky.

- Nie wiedziałam, że pijesz whisky - zdziwiła się Judyta.

- Zwykle nie piję, ale tym razem czułam, że tego mi trzeba. Pewnie dlatego płakałam. Może się już upiłam?

- Nie wyglądasz na to.

Matka uśmiechnęła się, ale raczej bez przekonania. Polem jakby sobie coś przypomniała.

- Przepraszam cię za tę idiotyczną kłótnię rano. Nie wiedziałam, że wszystko słyszysz. Zresztą tak czy owak, zachowałyśmy się z Biddy jak smarkule.

- Naprawdę nie podsłuchiwałam!

- Wiem, ale nie chciałam, żebyś myślała, że postąpiłam z tobą podle i samolubnie. Chodzi o to, że nie zgodziłam się, kiedy Biddy zapraszała cię do siebie. Widzisz, Luiza nie lubi Biddy, więc nie chciałam wprowadzać dodatkowych komplikacji. No, może nie umiałam tego załatwić jak trzeba...

- To naprawdę nieistotne! - wyznała szczerze Judyta, ale wyczuła, że to dobry moment, by wyrzucić z siebie wszystko, co od dawna leżało jej na sercu. - Nie ma dla mnie znaczenia, czy będę u cioci Biddy, czy u cioci Luizy, czy u kogo innego. Mam tylko żal do ciebie o to, że nigdy nie rozmawiałaś ze mną na ten temat. Nawet nie chciałaś wiedzieć, co o tym sądzę.

- To samo mówiła Biddy, a potem jeszcze raz wróciła do tego tematu. Aż mam wyrzuty sumienia, że zostawiam cię samą nie uprzedzając o swoich planach, ale teraz już chyba za późno na cokolwiek.

- Ciocia Biddy nie miała prawa na ciebie krzyczeć. I wcale jeszcze nie jest na nic za późno.

- Ale przecież zostało tyle do zrobienia! - zaczęła znowu Molly. - Zawsze odkładam wszystko na ostatnią chwilę. Nie kupiłam ci mundurku szkolnego, nie znalazłam nowego miejsca dla Phyllis ani nie jesteśmy jeszcze spakowane...

Robiła wrażenie tak przerażonej i bezradnej, że aż Judyta poczuła w sobie nagły przyływ siły i opiekuńczości.

- Damy sobie radę - spróbowała podtrzymać matkę na duchu. - Pomogę ci i wszystko załatwimy. Ten głupi

mundurek możemy kupić choćby i jutro. Gdzie się kupuje takie rzeczy?

- U Medwaya w Penzance.

- No więc pojedziemy tam jutro i kupimy wszystko za jednym zamachem.

- Jeszcze będzie ci potrzebny kij hokejowy, Biblia i teczka na papiery...

- To też kupimy. Nie wrócimy do domu, dopóki nie będziemy miały wszystkiego, tylko musisz raz zebrać się na odwagę i zawieźć nas tam samochodem. Pociągami nie damy rady zabrać się ze wszystkim.

Molly jakby poweselała. Może potrzeba jej było tylko tego, żeby choć raz ktoś za nią podjął decyzję?

- Dobrze - powiedziała stanowczo. - Zostawimy Jess pod opieką Phyllis i zrobimy sobie takie małe wychodne. A lunch zjemy „Pod Mitrą”. Należy nam się chyba jakaś rozrywka?

- A potem - Judyta postanowiła pójść za ciosem - pojedziemy do tej Świętej Urszuli i wreszcie ją sobie obejrzę. Nie mogę przecież pójść do szkoły, której w życiu nie widziałam.

- Ale teraz są ferie i nie ma tam żywej duszy!

- Tym lepiej. Wystarczy, jeśli się tam pokręcimy i po-zaglądamy przez okna. I tym sposobem wszystko będzie załatwione. Już ci lepiej? Wykąpiesz się, czy może wolisz zjeść kolację w łóżku?

Powiem Phyllis, żeby przyniosła ci ją na tacy.

- O nie! - Molly energicznie potrząsnęła głową. - Żadnej takiej rozpusty! Już mi lepiej, wykąpię się później.

- No więc powiem Phyllis, że zjemy tego kurczaka, jak tylko będzie gotów.

- Poczekaj jeszcze chwileczkę, nie chcę, aby Phyllis widziała, że płakałam. Czy to po mnie widać?

- Skąd, masz tylko trochę zarumienione policzki od siedzenia przy ogniu.

Matka przyciągnęła do siebie Judytę i gorąco ją ucałowała.

- Dziękuję ci, że tak bardzo mi pomogłaś. Jakie to miłe z twojej strony!

- Już dobrze! - Judyta czuła, że musi powiedzieć coś pocieszającego. - Byłaś po prostu w takim nastroju.

Wstawał nowy dzień, gdy Molly otworzyła oczy. Dopiero zaczynało świtać, więc było jeszcze za wcześnie, aby wstawać. Leżała więc wygodnie, otulona kołdrą i zadowolona, że choć tę jedną noc przespała spokojnie, bez koszmarów sennych i - o dziwo - nawet Jess nie zakłóciła jej snu. Już to samo graniczyło z cudem, gdyż ta rozpieszczona smarkuła potrafiła zrywać się nad ranem wołając:

„Mamusi!” albo wstawać wcześniej niż wszyscy i pakować się do łóżka Molly. Tym razem jednak, po tak ciężkim dniu, dziewczynka musiała być równie zmęczona jak matka, gdyż jeszcze o wpół do ósmej rano spała jak zabita.

Molly zastanawiała się, czy to dobroczynny wpływ whisky sprawił, że zasnęła, ledwo przyłożyła głowę do poduszki. Może powinna co wieczór pić whisky przed zaśnięciem? Przypuszczała jednak, że to raczej skutek zmęczenia fizycznego, do którego dołączyło się zdenerwowanie poranną kłótnią i wieczornymi niepokojami. Cokolwiek by to było - w każdym razie czuła się wyspana, odświeżona i gotowa na wszystko, co dzień przyniesie.

A czekały ją dzisiaj zakupy ekwipunku szkolnego dla Judyty. Molly wstała więc z łóżka, założyła szlafrok i podeszła do okna, aby je zamknąć i odsunąć zasłony. Na zewnątrz było jeszcze szaro, mglisto i cicho. W dole ogród opadał tarasami aż do toru kolejowego, zza którego od strony wybrzeża odzywały się kuliki. Zapowiadał się ładny dzień, jeden z tych, które w Kornwalii wiosną wydzierają zimie. Wszystko wtedy kielkowało, na drzewach pęczniały pąki, a powracające ptaki zaczynały śpiewać...

Molly postanowiła, że ten dzień utrwali się w jej pamięci jako odrębna całość, oddzielona od wszystkich dni jak fotografia w ramce. Będzie to bowiem dzień poświęcony wyłącznie starszej córce! Usiadła przy toalecie i wyciągnęła z szuflady pękatą kopertę z grubego brązowego papieru. Zawierała ona listę wymaganego przez szkołę wyposażenia, jak również całą litanię pouczeń dla rodziców. „Semestr letni zaczyna się piętnastego stycznia. Uczennice muszą zgłosić się w internacie nie później niż o 14.30 tego dnia. Prosimy o sprawdzenie, czy świadectwo zdrowia Pani córki jest podpisane. W głównym hallu będzie Panią oczekiwać sekretarka panny Catto, która wskaże córce Pani miejsce w sypialni. Od 15.30 panna Catto zaprasza wszystkich rodziców na popołudniową herbatkę w swoim gabinecie.

Uczennicom zabrania się przechowywania w sypialniach słodczy lub jakichkolwiek innych produktów spożywczych. Limit przewiduje nie więcej niż dwa funty słodczy na semestr, które należy deponować u przełożonej internatu. Prosimy również o dopilnowanie, aby obuwie córki było czytelnie oznakowane taśmą z jej imieniem i nazwiskiem..." itd., itd.

Widać było, że regulamin tej placówki oświatowej stawia równie surowe wymagania rodzicom, jak uczennicom. Sama lista wymaganego ekwipunku była długa na trzy strony i opatrzona przypisem: „Pozycje oznaczone gwiazdką są do nabycia w upoważnionym sklepie konfekcyjnym Medwaya w Penzance". A takich pozycji była większość! Tak szczegółowy regulamin miał jednak i tę dobrą stronę, że w cały wymagany ekwipunek można było zaopatrzyć się w jednym sklepie. A zatem zakupy nie potrwały długo, ale trzeba je mieć nareszcie z głowy.

Molly wsadziła więc papiery z powrotem do koperty i poszła poszukać Jess. Przy śniadaniu karmiła ją jajkiem na miękko metodą „jedna łyżeczka dla tatusia, jedna dla

pajacyka..." Przekazała przy tym dziewczynce niemiłą wiadomość, że zostanie przez cały dzień sama w domu.

- Nie chcę! - odpowiedziała stanowczo Jess.
- Ależ będziesz się świetnie bawić z Phyllis...
- Nie chcę! - upierała się dziewczynka wydymając dolną wargę.
- Będiesz mogła zabrać pajacyka na spacer i kupić sobie gumy owocowe u pani Berry...
- Cóż to, przekupujesz ją? - zwróciła uwagę Judyta ze swego końca stołu.
- Wolę to, niż żeby urządziła nam sceny.
- A ja nie chcę! - powtarzała tymczasem dziewczynka.
- Coś metoda nie skutkuje! - ironizowała Judyta.
- Ależ, Jess, przecież ty tak lubisz gumę... - próbowała podchodów matka.
- A ja nie chcęęę! - Z oczu Jess polały się łzy, a buzia wykrzywiła się w podkówkę. Podniosła przeraźliwy wrzask, aż Judyta westchnęła:
- No, zaczęło się!

Akurat w tym momencie weszła Phyllis niosąc tacę gorących grzanek. Stawiając ją na stole, powiedziała spokojnie:

- I po co to wszystko?

Porwała rozwrzeszczaną Jess na ręce, stanowczym krokiem opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi. Zanim doszła do kuchni, płacz małej zaczął już cichnąć.

- Chwała Bogu! - odetchnęła z ulgą Judyta. - Przynajmniej możemy swobodnie zjeść. Tylko proszę cię, mamo, nie chodź się z nią żegnać, bo przedstawienie zacznie się od nowa!

Molly musiała przyznać jej rację. Pijąc kawę zauważyła, że Judyta tego dnia zmieniła fryzurę. Ściągnęła włosy do tyłu i związała je granatową wstążką. Może nie było jej nazbyt do twarzy w tym uczesaniu, bo widać było nie bardzo kształtne uszy, ale w każdym razie wyglądała już dużo poważniej, nie jak mała dziewczynka. Molly taktow-

nie wstrzymała się od głośnego wyrażenia dezaprobaty i czuła, że Bidy pochwaliby ją za to.

Powiedziała więc tylko:

- Musimy wyruszyć zaraz po śniadaniu, bo inaczej nie zmieścimy się w czasie. Popatrz tylko, jaka długa jest lista garderoby! I jeszcze każda sztuka musi być oznaczona tasiemką z twoim imieniem i nazwiskiem. Nie wiem, jak dam radę tyle tego poprzączać. Chyba że Phyllis mi pomoże.

- A nie lepiej przyszywać te tasiemki na maszynie?

- Rzeczywiście, wspomniałaś pomysł. Jakoś na to nie wpadłam.

Pół godziny później obie były już gotowe do wyjścia. Molly zabrała ze sobą listę zakupów, instrukcję dla rodziców, torebkę i książeczkę czekową. Ubrała się stosownie do niepewnej pogody, na wypadek deszczu wkładając solidne buty, płaszcz burberry i ciemnoczerwony kapelusz. Judyta nałożyła stary granatowy płaszcz nieprzemakalny, a do niego szalik w szkocką kratę. Płaszcz był już wyrośnięty, więc jej długie, chude nogi wydawały się sięgać nieba.

- Masz wszystko, co trzeba? - spytała matki.

- Chyba tak.

Umilkły, by posłuchać odgłosów z kuchni. Jednak dochodzące stamtąd dźwięki brzmiały wesoło, Jess piskliwym głosikiem rozprawiała o czymś z Phyllis, która prawdopodobnie ubijała krem albo zamiatała podłogę.

- Musimy wysliznąć się cicho jak myszy, bo znów narobi krzyku - uprzedziła Judyta. Toteż obie z matką przemknęły na paluszkach do frontowych drzwi i przebiegły szybko do garażu. Judyta otworzyła bramę, a Molly po dwóch nieudanych próbach zapaliła wreszcie silnik austina i na wstecznym biegu wyjechała z garażu. Judyta zajęła miejsce obok niej i ruszyły w drogę.

Po jakimś czasie Molly opanowała się całkowicie i gdy

przejechały już przez wioskę - wrzuciła najwyższy bieg, osiągając prędkość trzydziestu mil na godzinę.

- Nie rozumiem, dlaczego boisz się sama prowadzić samochód. Świetnie ci to idzie - zauważyła Judyta.

- Pewnie dlatego się boję, że nie mam wprawy. W Ko-lombo zawsze mieliśmy kierowcę. Z powodu lekkiej mżawki trzeba było włączyć wycieraczki. Na szczęście na szosie ruch był niewielki i Molly mogła nieco się odprężyć. Na krótko jednak, bo tuż przed nimi z mgły wyłonił się wóz konny załadowany rzepą. Molly wykazała szybki refleks, gdyż włączyła klakson, dodała gazu i wyminęła furmankę. - Wspaniale! - pochwaliła Judyta.

Wkrótce mgła opadła tak szybko, jak się pojawiła, odsłaniając błękitną tafłę oceanu, łuk zatoki Mounts i Górę Świętego Michała. Trwał akurat przyptyw, więc otoczone zewsząd wodami wzniesienie wyglądało jak zamek z bajki. Na dalszym odcinku szosa przebiegała między torem kolejowym a polami, na których zieleniły się brokuły. Przed oczyma matki i córki ukazało się już miasto i port z mnóstwem uwijających się łodzi rybackich. Mijały hotele zamknięte w martwym sezonie, stację kolejową i wznoszącą się pod górę ulicę Targową, przy której stał pomnik Humphreya Davy'ego z lampą górniczą. Ulica kończyła się imponującym gmachem Banku Lloyda.

Molly zaparkowała samochód przy sklepie owocowo-warzywnym. Na chodniku przed nim stały w blaszanych wiadrach bukiety wczesnych żonkili, a z wnętrza sklepu dobywał się zapach ziemi pomieszany z wonią porów i pasternaku. Wokół kręciły się gospodynie robiące zakupy, zbijały się w małe grupki i plotkowały.

- Piękna dziś pogoda, prawda?

- A jak tam noga Stanleya?

- Kochana, spuchła mu jak bania!

Przyjemnie byłoby postać tu trochę i posłuchać ploteczek, ale Molly nie chciała tracić czasu. Szybkim krokiem

zmierzała w stronę sklepu Medwaya, więc Judyta musiała przyspieszyć, aby za nią nadążyć. Był to ponury, staroświecki sklep, w którego oszklonych witrynach eksponowano damską i męską odzież sportową. Wystroju wnętrza, utrzymanego w tonacji ciemnego drewna, dopełniały parafinowe grzejniki i bardzo staroświeccy subiekci. Jeden z nich, z szyją uwięzioną w wysokim kołnierzyku, wyszedł im naprzeciw.

- Czym mogę służyć szanownej pani?
- Chciałabym nabyć mundurek szkolny dla córki.
- Panie będą łaskawe pofatygować się na piętro. O, tymi schodami!
- Jak według niego miałybyśmy dostać się na piętro, jeśli nie schodami? - syknęła Judyta scenicznym szeptem.
- Ciszej, bo usłyszysz!

Główną zaletą schodów w tym sklepie była solidna, rzeźbiona w mahoniu poręcz, idealnie nadająca się do zjeżdżania! Całe piętro zajmował dział odzieży dziecięcej, z długimi ładami po każdej stronie i oknami wychodzącymi na ulicę. Tym razem na powitanie wyszła ekspedientka, starsza pani w czarnej sukni, poruszająca się tak, jakby ją bolały nogi. Nic dziwnego, po latach stania za ladą!

- Dzień dobry łaskawej pani, czym mogę służyć?
- Chciałabym... - Molly wyjęła z torebki listę zakupów - ...skompletować dla córki wyprawkę do Szkoły Świętej Urszuli.
- Ach, więc panienka idzie do Szkoły Świętej Urszuli! To pięknie, a czego paniom potrzeba?
- Wszystkiego.
- No, to musi trochę potrwać. - Ekspedientka podsunęła Molly i Judycie krzesła. - Od czego zaczynamy? - spytała, kiedy Molly zdjęła rękawiczki i wyciągnęła wieczne pióro.
- Najlepiej od samego początku listy. Co my tu mamy? Jeden zielony tweedowy żakiet...

- Przyniosę od razu i spódniczkę. To doskonały materiał. Panienki u Świętej Urszuli noszą takie kostiumiki w niedzielę do kościoła.

Judyta siedziała tyłem do lady, więc słyszała tylko głosy sprzedawczyni i swojej matki. Jednak w którymś momencie przestało ją to interesować, gdyż w drugim końcu sklepu działo się coś znacznie ciekawszego. Przy oddalonym stoisku dokonywała zakupów inna matka z córką, ale najwyraźniej nie traktowała tego zajęcia tak poważnie jak Molly, bo dobiegała stamtąd ożywiona rozmowa przerywana wybuchami śmiechu. Ekspedientka z tamtego stoiska była młoda i wesoła, więc cała trójka świetnie się bawiła. Najciekawsze jednak, że tamta para również kupowała kompletny ekwipunek wymagany przez Szkołę Świętej Urszuli. Czy raczej właśnie go kupiła, bo na ladzie piętrzyły się już stosy różnych części garderoby, z których większość miała ten sam ohydny, butelkowy odcień zieleni. Miła ekspedientka pakowała te zakupy w bibułkę i ładowała do ogromnych kartonowych pudeł, przewiązując je mocnym białym sznurkiem.

- Mogę kazać dostarczyć to pani do domu - oferowała dalsze usługi. - Nasz firmowy samochód będzie w przyszły wtorek jechał w tamtym kierunku.

- Dziękuję, ale jesteśmy samochodem, poza tym Mary będzie musiała jeszcze ponaszywać na tych rzeczach tasiemki z nazwiskiem. Prosiłabym natomiast, aby ktoś zaniósł mi to do samochodu i pomógł załadować do bagażnika.

- Oczywiście, zaraz zawołam Willa z magazynu, żeby pani pomógł.

Tamte klientki siedziały tyłem do Judyty, ale dzięki temu, że na ścianie za nimi znajdowało się ogromne lustro - mogła niepostrzeżenie obserwować ich odbicia.

A więc ta druga dziewczynka też miała chodzić do Świętej Urszuli! Stwarzało to pewne nowe możliwości, ale też spowodowało, że Judyta zaczęła przyglądać się

jej jeszcze dokładniej. Dziewczynka wyglądała na jakieś dwanaście-trzyście lat, była szczupła, długonoga i chłopej budowy. Miała na sobie sandaalki, podkolanówki, plisowaną szkocką spódnice i powyciągany granatowy sweter, jakby zdjęty ze starszego brata. Sweter był mocno znoszony, z wystrzępionym ściągaczem i pocerowanymi łokciami, ale jakoś nie kolidowało to z nadzwyczajną urodą i wdziękiem dziewczyny. Na długiej, zgrabnej szyi osadzona była główka o ciemnych, krótko obciętych włosach, co razem przypominało kwiat chryzantemy z łodygą. Oczy miała fiołkowe pod mocno zarysowanymi brwiami, cerę zaś koloru miodu lub brązowej skorupki od jajka. Wszystko to kusił łobuzerski uśmiech.

Obca dziewczynka siedziała na krześle, oplatając jego nogi swoimi chudymi łydkami i opierając łokcie na kontuarze. Nawet w tej niedbalej pozie nie była pozbawiona wdzięku, gdyż przebijała z niej taka pewność siebie, że nikt nie śmiałby jej nazwać niezgrabną, głupią czy nudną.

Tymczasem ekspedientka pakująca jej zakupy zawiązała ostatni węzeł i odcięła koniec sznurka wielkimi nożycami.

- Czy łaskawa pani raczy zapłacić gotówką? - spytała.

- Prościej będzie, jeśli zapiszecie to na moje konto.

- Ależ, mamusiu, tatuś prosił, żebyś za wszystko płaciła od razu, bo potem wyrzucasz rachunki do kosza! - wtrąciła się szczupła nastolatka.

- Kochanie, czy musisz demaskować mnie przy ludziach? - żartowała jej matka, którą ekspedientka tytułowała panią Carey-Lewis.

Patrząc na nią trudno było uwierzyć, że mogła być czyjąkolwiek matką. Wyglądała jak gwiazda filmowa, no -powiedzmy - atrakcyjna starsza siostra lub młoda ciotka, ale matka? Była szczupła i drobnokoścista, z porcelanową cerą, delikatnie zarysowanymi łukami brwi i mocno uszminekowanymi wargami. Jasne, pszeniczne włosy, proste i puszyste, miała obcięte na pazia - fryzurę może

niemodną, lecz mającą swój styl. A co najciekawsze -nosiła spodnie! Szare, flanelowe, opinające smukłe biodra, a ku dołowi rozszerzające się na wzór szerokich spodni noszonych przez studentów Oksfordu. Na ramiona narzuciła kurtkę z jakiegoś miękkiego, puszystego futerka. Dłonią o pomalowanych na czerwono paznokciach trzymała czerwoną skórzaną smycz, której drugi koniec był przyczepiony do czegoś, co przypominało puszystą kremową poduszkę.

- To by było wszystko - stwierdziła dama wsuwając ręce w rękawy kurtki. Przy tym ruchu upuściła końcówkę smyczy. - Chodźmy, kochanie. Na szczęście trwało to krócej, niż myślałam. Wstąpmy gdzieś na kawę, a ty zjesz lody, ciastko czy inne świństwo.

Poluzowanie smyczy spowodowało, że to, co Judyta wzięła za poduszkę, zaczęło dawać znaki życia. Stało na czterech aksamitnych łapkach i ziewnęło na całą szerokość pyszczka. Na Judytę spojrzała para wypukłych oczu, osadzonych jak klejnoty w oprawie. Stworzonko z puszystym ogonem zawiniętym na grzbiet otrząsnęło się, prychnęło i wysuwając nieco dolną szczękę przemaszerowało z godnością po dywanie, ciągnąc za sobą smycz jak tren.

To był pekińczyk, a Judyta uwielbiała psy, tym bardziej że zawsze znajdowano masę ważnych powodów, aby nie pozwolić jej trzymać żadnego zwierzątka. Natychmiast więc zsunęła się z krzesła i przycupnęła, aby zapoznać się z uroczym pieskiem. Pogłaskała go po wypukłej główce przypominającej w dotyku kaszmir, a on podniósł ku niej pyszczek i znów prychnął. Wtedy przesunęła palce niżej i zaczęła drapać go pod brodą.

- Pekoe, co ty tu robisz? - zainteresowała się jego pani.

Judyta wstała z podłogi, usiłując nie okazywać zakłopotania.

- On nie znosi zakupów - wyjaśniła pani Carey-Le-

wis - ale nie chcemy zostawiać go samego w samochodzie.

Kiedy się schyliła, aby podnieść smycz, Judyta poczuła duszący i słodki zapach jej perfum.

Przypominało jej to kwiaty, które rosły w ogrodach Kolombo. Miały one tę charakterystyczną cechę, że zaczynały pachnieć dopiero po zmroku.

- Widzę, że już się z nim zaprzyjaźniłaś. Lubisz pekińczyki? - spytała dama.

- Lubię wszystkie psy.

- No, a to jest szczególna rasa, piesek-lew. Prawda, moje maleństwo?

Bez mrugnięcia mierzyła Judytę hipnotyzującym spojrzeniem błękitnych oczu w oprawie sztywnych czarnych rzęs. Judyta, porażona jej wzrokiem, nie była w stanie dobyć z siebie głosu. Ale pani Carey-Lewis uśmiechnęła się tylko pobłaźliwie i majestatycznym krokiem przepełnęła obok jak królowa. Za nią podążała cała procesja, składająca się z jej córki, psa i młodego sprzedawcy, który aż chwiał się dźwigając stertę pudeł. Mijając Molly, piękna dama zatrzymała się i w przelocie rzuciła:

- Pani też wyprawia swoją córkę do Świętej Urszuli?

- Tak, właśnie tak - odpowiedziała z lekka zaskoczona Molly.

- A widziała pani kiedykolwiek tyle ohydnych rzeczy naraz?

Roześmiała się i nie czekając na odpowiedź, pomachała ręką na pożegnanie, po czym opuściła sklep razem ze swoją asystą. Ale po jej odejściu pozostała pustka, coś w rodzaju próżni, tak jakby zgasło światło lub słońce schowało się za chmurę. Judyta odniosła wrażenie, że pani Carey-Lewis, wychodząc, zabrała ze sobą cały swój urok, pozostawiając szarą monotonię.

Przez chwilę panowała cisza, aż Molly odchrząknęła i spytała ekspedientki:

- Kto to był?

- To pani Carey-Lewis z Nancherrow.
 - Gdzie to jest?
 - Za Rosemullion, w drodze na zachodni cypel, nad samym morzem. To piękne miejsce, byłam tam raz na wycieczce ze szkoły niedzielnej. Pojechaliśmy autobusem, dostaliśmy baloniki, podwieczorek i świetnie się bawiliśmy. Akurat kwitły hortensje i w życiu nie widziałam takich ogrodów.
 - A ta mała to jej córka?
 - Tak, to jej najmłodsze, ukochane dziecko. Nazywa się Loveday. Oprócz niej ma jeszcze dwoje dzieci, chłopaka i dziewczynę, już prawie dorosłych.
 - Taka młoda kobieta ma już dorosłe dzieci? - nie dowierzała Molly.
 - Patrząc na nią trudno w to uwierzyć, prawda? Ma figurę młodej dziewczyny, a twarz bez jednej zmarszczki.
- Loveday Carey-Lewis. Jak to ślicznie brzmiało! Judycie jej własne nazwisko przypominało człapanie ciężkim krokiem, noga za nogą. Tamto zaś było jak letni powiew czy lot motyla. Kogoś o takim nazwisku nie sposób nie zauważyć!
- Czy ona będzie mieszkać w internacie? - zagadnęła czarno ubraną sprzedawczynię.
 - Może w ciągu tygodnia, ale weekendy na pewno będzie spędzać w domu. Słyszałam, że pan pułkownik Carey-Lewis chciał ją wysłać do innej szkoły, gdzieś pod Winchester, ale ona wytrzymała tam tylko pół semestru i uciekła do domu. Przyjechała sama pociągiem i oświadczyła, że stęskniła się za Kornwalią. Dlatego przenieśli ją do Świętej Urszuli.
 - Chyba jest bardzo rozpieszczona - zauważyła Molly.
 - Tak, od małego zawsze robiła to, co chciała.
 - To widać! - ucieła sucho Molly i wróciła do rzeczy. -Co my tu mamy? Aha, bluzki! Cztery bawełniane i cztery jedwabne. Judyto, idź do kabiny i przymierz strój gimnastyczny!

Około jedenastej kupiono już wszystko, co można było dostać u Medwaya. Molly wypisała czek na zawrotną sumę, a ekspedientka zapakowała nabytą przez nią garderobę. Nie proponowała jednak dostawy do domu ani pomocnika do niesienia zakupów. Początkowo Judyta sądziła, że Carey-Lewisom przysługują u Medwaya szczególne względy z racji posiadania otwartego kredytu. Co to jednak za klientka, która wyrzuca rachunki do śmieci? Pewnie wszyscy nadskakiwali jej dlatego, że była piękną dziedziczką Nancherrow, noszącą się dumnie i po pańsku. Molly mogłaby mieć otwarty kredyt nawet w dziesięciu firmach i regularnie płacić rachunki, a i tak nie traktowano by jej z taką atencją.

Chcąc nie chcąc Molly i Judyta zaniósłły więc same swoje pakunki do austina zaparkowanego przy zieleniaku i z ulgą wrzuciły je na tylne siedzenie.

- Dobrze, że Jess nie pojechała z nami - stwierdziła Judyta zatrzasnąjąc drzwi. - Nie miałyby nawet gdzie usiąść.

Zakupy u Medwaya miały już z głowy, ale musiały jeszcze odwiedzić sklep z obuwem i sprzętem sportowym, bo w semestrze wiosennym był już potrzebny kij do hokeja i nagołenniki. W sklepie papierniczym trzeba było kupić papeterię, ołówki, gumkę, przybory kreślarskie i Biblię, a w sklepie z wyrobami skórzanymi - teczkę na papiery. Obejrzały wiele teczek, ale ta, która najbardziej podobała się Judycie, była chyba ze cztery razy droższa niż inne.

- Może weźmiemy tę zapinaną na zamek błyskawiczny? - zaproponowała Molly bez większego przekonania.

- Wydaje mi się, że jest za mała. Popatrz, mamusiu, ta jest lepsza. Wygląda zupełnie jak dyplomatka i ma kieszonki w wieczku, i nawet taki śliczny notesik na adresy... I popatrz, zamyka się na kluczyk. Mogłabym trzymać w niej pamiętnik...

W końcu matka uległa i teczka została kupiona.

Judyta z wdzięcznością zapewniała:

- Jakie to miłe z twojej strony, mam, że kupiłaś mi tę teczkę, chociaż była taka droga! Słowo daję, że będę ją szanować, żeby mi wystarczyła do końca życia. I nareszcie mam notes na adresy i telefony.

Bardzo mi się teraz przyda!

Następna partia zakupów wylądowała w samochodzie, a tymczasem dochodziło już wpół do pierwszej. Molly i Judyta, zgodnie z planem, udały się do restauracji „Pod Mitrą”. Zjadły tam na lunch pieczeń wołową z brukselką, puddingiem jorkszyrskim i pieczonymi kartoflami. Na deser była szarlotka z kremem i po szklaneczce jabłecznika.

- Dokąd jeszcze chciałabyś pojechać? - spytała Molly przy płaceniu rachunku.

- Do tej szkoły, żeby mogła ją sobie obejrzeć.

- Naprawdę chcesz tego?

- Tak.

Matka z córką wróciły więc do samochodu i przejechały przez miasto na jego drugi koniec, gdzie zabudowa robiła się rzadsza, a krajobraz nabierał bardziej wiejskiego charakteru. Skreśliły w boczną drogę, która wiła się zakosami na szczyt wzgórza, kończąc się szerokimi wrotami po lewej stronie.

Tablica przy wejściu głosiła: „Teren szkolny - obcym wstęp wzbroniony”, ale Molly nie przejęła się wcale tym groźnym napisem. Przejechała przez podjazd obramowany pasami zieleni i kępami rododendronów wysokich jak drzewa. Na końcu podjazdu znajdował się budynek szkolny, a przed jego głównym wejściem - wysypany żwirem parking. Stały tam dwa małe samochody, ale nigdzie nie było widać żywej duszy.

- Może powinniśmy zadzwonić do drzwi, aby uprzedzić, że tu jesteśmy? - wahała się Molly. Bała się wchodzić bez zezwolenia na obcy teren, żeby jej ktoś nie skrzyczał.

- Po co? - zaoponowała Judyta. - Jeżeli ktoś nas spyta, co tu robimy, to zwyczajnie mu powiemy.

Główny budynek szkolny robił wrażenie starego. Okna

miały kamienne obramowania, a po ścianach pięło się dzikie wino. Do tego budynku dobudowane było nowe skrzydło z rzędami okien, kończące się sklepionym podcieniem prowadzącym na czworokątny dziedziniec.

Kroki Molly i Judyty skrzypiały na żwirze, kiedy obchodziły w koło budynek, od czasu do czasu zaglądając w okna. Widać było za nimi sale lekcyjne z tablicami i ławkami o pulpitych wyposażonych w korytka na pióra i otwory na kałamarze. Nieco dalej znajdowała się pracownia chemiczna z długimi stołami laboratoryjnymi i palnikami Bunsena.

- Wygląda to strasznie ponuro - zauważyła Judyta.

- Puste klasy zawsze robią takie wrażenie. To jak uczenie się na pamięć twierdzeń matematycznych albo francuskich słówek. Chcesz wejść do środka?

- Raczej nie. Lepiej obejrzymy ogród.

Ścieżka wijąca się wśród zarośli prowadziła do dwóch kortów tenisowych. W styczniu nikt ich nie przystrzygał ani nie wyznaczał na nich linii, więc wyglądały na zaniedbane, nie przywołując miłych wspomnień rozgrywanych partii. Natomiast wszędzie poza nimi panował wzorowy porządek, żwir był zgrabiony, a trawa przycięta.

- Muszą tu zatrudniać całą armię ogrodników - zauważyła Molly.

- Aha, to dlatego czesne jest tu tak wysokie. Całe trzydzieści funtów za semestr!

Wkrótce znalazły nasłoneczniony taras z ławeczką -w sam raz odpowiednie miejsce, aby przysiąść na chwilę i skorzystać ze słabego ciepłka zimowego słońca. Widać stąd było fragment zatoki i skrawek nieba między dwoma eukaliptusami o srebrzystej korze i pachnących liściach, poruszanych ledwo wyczuwalnym wiatrem.

- To są eukaliptusy, tak jak na Cejlonie! - zauważyła Judyta. - Pachną jak maść rozgrzewająca na przeziębienie!

- Rzeczywiście, w głębi wyspy, w Nuwara Eliya, rosły też drzewa gumowe o cytrynowym zapachu.

- Nigdzie poza Cejlonem nie widziałam takich drzew.
 - Widocznie tu panuje szczególnie łagodny mikroklimat.
- Molly odchyliła się do tyłu, przymykając oczy i wystawiając twarz do słońca.
- I co o tym sądzisz? - spytała po chwili.
 - O czym?
 - No, o tej Szkole Świętej Urszuli.
 - Mają tu piękny ogród.
 - Czy to dla ciebie jakaś pociecha?
 - Oczywiście. Jeśli mam być gdzieś zamknięta, lepiej, żeby to choć było ładne miejsce.
 - Proszę, nie mów takich rzeczy, bo czuję się, jakbym zostawiała cię w jakimś więzieniu. Tymczasem najchętniej nie zostawiałabym cię nigdzie, tylko zabrała ze sobą.
 - Dobrze już, dobrze.
 - Wiesz przecież, że... gdybyś chciała pojechać do cioci Bidy, to... możesz zawsze, kiedy zechcesz. Pomówię z Luizą... Ta cała dyskusja była w ogóle niepotrzebna. Przede wszystkim chciałabym, żebyś była szczęśliwa! - Też bym chciała, ale to nie zawsze się udaje.
 - Postaraj się, żeby tak było.
 - Ty też!
 - Co masz na myśli?
 - To, że nie możesz się tak przejmować wyjazdem do Singapuru. Na pewno ci się tam spodoba jeszcze bardziej niż w Kolombo. Czasem tak samo boimy się pójść na jakieś przyjęcie, a potem się okazuje, że właśnie tam była najlepsza zabawa.
 - Masz rację, zachowuję się jak idiotka - westchnęła Molly. - Nie wiem, co mnie napadło, że nagle ogarnął mnie taki paniczny strach. Może byłam po prostu zmęczona? Wiem, że powinnam traktować to jako wspaniałą przygodę, awans dla ojca, a dla was widoki na lepsze życie. Mimo to jednak boję się zaczynać wszystko od nowa.

- Nie wybiegaj tak daleko naprzód. Na początku myśl tylko o dniu jutrzejszym i nie próbuj robić zbyt wielu rzeczy naraz.

W tym momencie słońce przesłonił mały obłoczek. Judyta wzdrygnęła się i rzekła:

- Chodźmy już, bo robi się zimno.

Opuściły to miłe miejsce i wracały ścieżką pod górę. Na szczycie wzgórza znajdował się ogród otoczony murem. Nie było tam jednak kwiatów ani warzyw, gdyż ten skrawek ziemi wyasfaltowano i przeznaczono pod boisko do siatkówki. Pracował tam ogrodnik, zgrabiając liście ze ścieżki na kupki, które podpalał. Dym z tych miniaturowych ognisk pachniał przyjemnie.

Kiedy Molly i Judyta podeszły bliżej - ogrodnik zauważył je, przytknął palce do czapki i przywitał się:

- Szanowanko!

- Piękna dzisiaj pogoda - zauważyła Molly przystając.

- Może być. Przynajmniej nie pada.

- Chciałyśmy tylko się rozejrzeć.

- A proszę bardzo, nic się od tego nie stanie.

Furtka w kamiennym murze prowadziła w kierunku terenów sportowych. Znajdowały się tam boiska przeznaczone do hokeja na trawie i kryta hala do gier zespołowych. Bez osłony, jaką dawał mur ogrodowy, od razu zrobiło się chłodniej i dał się odczuć powiew wiatru. Molly i Judyta, kuląc się z zimna, przyspieszyły kroku i na skróty przez park i zagrody okolicznych rolników wróciły pod główny budynek szkoły. Na parkingu czekał ich mały austin.

Kiedy wsiadły do wozu i zatrzasnęły drzwiczki, Molly włożyła kluczyk do stacyjki, ale nie włączała silnika. Judyta wyczuła, że matka chce coś powiedzieć, i czekała na jej słowa. Molly jednak powtórzyła tylko jeszcze raz to samo, co już powiedziała, jakby powtarzanie mogło mieć siłę magiczną.

- Naprawdę chciałabym, żebyś była szczęśliwa!

- Szczęśliwa w tej szkole czy szczęśliwa w ogóle?
- Myślę, że jedno i drugie.
- Takie szczęście zdarza się tylko w bajkach.
- Chciałabym, żeby tak nie było - westchnęła Molly i włączyła silnik. - Głupstwa gadam, prawda?
- Skąd, to raczej bardzo miłe.

Z tymi słowami ruszyły w drogę powrotną do domu.

Molly musiała przyznać, że był to udany dzień, gdyż pod wieloma względami poprawiło się jej samopoczucie. Od czasu kłótni z Bidy dręczyło ją poczucie winy, nie tylko dlatego, że wyjeżdża na Cejlon i zostawia Judytę samą, ale głównie z powodu dawnych błędów i braku spostrzegawczości.

Jeszcze bardziej stresująca była świadomość, że ma tak mało czasu na naprawę tych błędów.

Wszystko jednak zaczęło powoli wracać do normy. Nie żeby udało się tak dużo załatwić - ale wszystko odbyło się w miłej atmosferze. Czują, że zarówno ona, jak i córka dołożyły wszelkich starań, aby maksymalnie zbliżyć się do siebie. Na szczęście Jess nie pętała im się pod nogami, więc Molly i Judyta mogły czuć się jak koleżanki i rówieśnice. Te małe radości i dodatkowe rozrywki, których dostarczyła Judyta - jak lunch „Pod Mitrą” czy kupno drogiej, lecz wymarzonej teczki - były ceną za przełamanie kryzysu w stosunkach między nią a córką. Zrobiła to może w ostatniej chwili, ale lepiej późno niż nigdy.

Czują się silniejsza i spokojniejsza, odkąd za radą Judyty przestała myśleć o zbyt wielu rzeczach naraz. Dzięki temu nie czują się już tak przytłoczona nawałem zadań do wykonania. Sporządziła listę spraw do załatwienia pod kątem ich ważności i przy każdej, z którą się uporała, stawiała „ptaszka”. Na najbliższe dni zaplanowała stopniową likwidację domu w Riverview i organizację przeprowadzki. Rzeczy osobiste, które Molly przywiozła jeszcze z Kolombo lub

których zdążyła się dorobić na miejscu, pościągano ze wszystkich pokoi, spisano i spakowano celem oddania do przechowalni. Na podeście schodów stał nowy, okuty mosiądzem kufer, przeznaczony na szkolny ekwipunek Judyty i oznakowany jej inicjałami. Układano w nim zakupione niedawno części garderoby, starannie złożone w kostkę, z naszytymi tasiemkami z jej imieniem i nazwiskiem.

- Judyto, chodź tu i pomóż mi w pakowaniu! - zawołała matka.
- Właśnie to robię! - odkrzyknęła Judyta.
- Co takiego robisz?
- Pakuję swoje książki, które chcę zabrać do cioci Luizy.
- Wszystkie? Także i te dziecinne?
- Nie, dziecinne wkładam do innego pudełka, żeby oddać na przechowanie razem z twoimi rzeczami.
- Ale przecież nie będziesz ich już więcej potrzebowała!
- Dlaczego? Przydadzą się dla moich dzieci!

Molly nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, toteż wołała nie rozwijać tego tematu. W końcu co za różnica, kilka pudełek więcej czy mniej? Odpowiedziała więc tylko: „No, dobrze” i odfajkowała na swojej liście pozycję „buty hokejowe”.

- Znalazłam już nowe miejsce dla Phyllis, a przynajmniej tak mi się wydaje! - pochwaliła się Molly. - Umówiłam ją na rozmowę pojutrze.
- Gdzie to jest?
- W Porthkerris, więc będzie miała bliżej do domu, tak jak chciała.
- U kogo?
- U pani Bessington.
- Co to za jedna?
- Przecież ją znasz, nieraz spotykamy się na zakupach i zamieniamy parę słów. Zawsze chodzi do miasta z ko-

szykiem i prowadzi na smyczy białego szkockiego teriera. Mieszka na wzgórzu.

- Ależ ona jest już bardzo stara!

- Powiedzmy, w średnim wieku, ale świetnie się trzyma. Tyle że służąca, która pracowała u niej od dwudziestu lat, uskarża się na żylaki. Chce się zwolnić, żeby prowadzić dom swemu bratu, więc zarekomendowałam Phyllis na jej miejsce.

- Czy pani Bessington ma kucharkę?

- Nie, Phyllis byłaby do wszystkiego.

- To i lepiej, bo ona wolałaby sama rządzić całym gospodarstwem. Powiedziała mi, że nie ma zamiaru usługiwać w kuchni jakiejś starej wydrze.

- Jak ty się wyrażasz?

- To nie ja, to Phyllis tak powiedziała.

- Ona też nie powinna używać takich słów.

- Dlaczego? Przecież wydra to takie miłe, puszyste zwierzątko. Co w tym niegrzecznego?

Dni mijały, jak z bicza strzelił. Pokoje ogołoczone z obrazów, zdjęć, kwiatów i bibelotów stały się jakieś bezosobowe, jakby opuszczone. Salon był zastawiony koszami i pudłami. Judyta i Phyllis uwijały się przy pakowaniu, a Molly wisiała przy telefonie, załatwiając formalności z biurem podróży, wydziałem paszportów, przechowalnią bagażu, zawiadowcą stacji, bankiem i adwokatem. Zadzwoiła także do Luizy, Bidy i do swojej matki.

Ta ostatnia rozmowa była najbardziej męcząca, gdyż pani Evans już niedosłyszała i ciągle posądzała telefonistkę, że podsłuchuje. Trzeba więc było strwonić dużo czasu i nerwów, zanim starsza pani ostatecznie zrozumiała, o co chodzi.

- O czym tak rozprawiałyście? - zagadnęła Judyta, która przyszła akurat pod koniec rozmowy.

- Z babcią jest już coraz gorzej, ale chyba w końcu mnie zrozumiała. Kiedy odwiozę cię do Świętej Urszuli,

zamknę ostatecznie dom i przenocujemy razem z Jess u Luizy. Obiecała, że nas odwiezie na stację. Potem spędzimy jeszcze tydzień u dziadków...

- Naprawdę musisz?

- Wydaje mi się, że przynajmniej tyle powinnam zrobić. Są już coraz starsi, a nie wiem, kiedy znów będę miała szansę ich zobaczyć.

- Myślisz, że mogliby tymczasem umrzeć?

- No, mogliby - przyznała Molly po zastanowieniu. - Ale na razie wolę o tym nie myśleć.

- Pewnie, że nie. Ale i tak uważam, że jesteś świętą kobietą. A propos, nie widziałaś gdzieś moich kaloszy?

Pracownik firmy spedycyjnej przyjechał konną platformą po bagaże, które miał zawieźć do domu Luizy. Powiązano te rzeczy starannie sznurami, aby nie zsunęły się z wozu, i koń poczłapał z nimi trzy mile do Góry Czterech Wiatrów. Zgłosił się też właściciel miejscowej stacji benzynowej z propozycją kupna austina. Nie oferował zbyt rewelacyjnej ceny, ale i wóz nie był rewelacyjny. Następnego dnia przyniósł czek opiewający na uzgodnioną sumę i odjechał kupionym samochodem. Judycie przypominało to odprowadzanie starego psa do weterynarza w celu uspienia.

- Czym odwieziesz mnie do szkoły, skoro już nie mamy samochodu? - niepokoila się.

- Weźmiemy taksówkę. Twój kufer i tak nie zmieściłby się do austina. Zostawimy ciebie i wrócimy z Jess do domu.

- Prawdę mówiąc, wolałabym, aby Jess nie jechała z nami - wyznała Judyta.

- Dlaczego miałybyśmy zostawiać biedną Jess samą?

- Będzie nam tylko przeszkadzać, a jeżeli się rozplacze, to ty zaraz pójdiesz w jej ślady. I ja też.

- Przecież ty nigdy nie płaczesz!

- Ale tym razem mogę. Lepiej będzie, jeśli pożegnam się z nią tutaj, tak jak z Phyllis.

- To chyba trochę nieładnie.

- Wydaje mi się, że nie ma w tym nic złego. Może zresztą nawet nie zauważy naszego odjazdu.

Jess jednak zauważyła. Nie była na tyle głupia, aby nie patrzeć z niepokojem na to, co działo się w domu. Wszystko gwałtownie zmieniało swoje oblicze. Znane przedmioty gdzieś znikwały, wszędzie stały paki i skrzynie, a mama była zbyt zajęta, aby mieć dla niej czas. Z dnia na dzień znikł również jej domek dla lalek, konik na biegunach i piesek na kółkach. Został tylko pajacyk, którego wszędzie wlokła za nóżkę, trzymając paluszek w buzi.

Nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów katastrofy, która wstrząsnęła jej małym światkiem, ale wiedziała, że jest to coś bardzo niemiłego.

W dniu wyjazdu wszyscy jedli lunch w kuchni, ponieważ srebra i sztuce z jadalni zostały już wysłane wraz z pozostałym bagażem. Phyllis podała więc potrawkę z baraniny, a potem placek z jeżynami na obtłuczonych i niekompletnych talerzach należących do wyposażenia domu. Jess zażądała, aby mama ją karmiła, gdyż wydawało się jej, że w ten sposób znów stanie się dzidziusiem. Kiedy zjadła deser, dostała jeszcze paczuszkę swoich ulubionych owocowych gum do żucia. Zajął się jej zawartością, toteż nie zauważyła, jak matka i Judyta dyskretnie wyszły.

Kłopoty zaczęły się, kiedy Phyllis zmywała statki, a przed dom zajechał nieznany czarny samochód.

Jess była pierwszą osobą, która go zobaczyła, i pobiegła zawiadomić o tym Phyllis.

- Auto przyjechało! - oświadczyła z buzią wypchaną gumą.

Phyllis wytarła ścierką zaczerwienione dłonie.

- A, to już ta taksówka...

Jess dreptała przy niej, kiedy szła otworzyć drzwi taksówkarzowi. Nosił czapkę z daszkiem, jak listonosz.

- Gdzie są państwa bagaże? - spytał.

- O, to wszystko tutaj.

U podnóża schodów stał kufer Judyty, jej walizki i torby, kij hokejowy i teczka na papiery. Kierowca prznosił te rzeczy do bagażnika, przywiązując je, aby nie wypadły.

Jess nie rozumiała, dokąd on to wszystko zabiera. Stała i gapiła się na taksówkarza oczami jak spodki, ale kiedy uśmiechnął się do niej i spytał, jak się nazywa - nie zareagowała.

Najgorsze zaczęło się, kiedy mama i Judyta zeszły na dół. Obie były ubrane do wyjścia - mama w płaszczu i kapeluszu, a Judyta w jakimś zielonym kostiumie, którego Jess nie widziała nigdy przedtem. Miała taki kołnierzyk i krawat jak mężczyźni, a do tego brązowe sznurowane buty.

Wyglądała całkiem inaczej niż ta codzienna Judyta, którą Jess tak dobrze знаła. Wszystko to było tak przerażające, że dziewczynka nie mogła się już opanować i wybuchła histerycznym płaczem.

No bo jak to? Mama i siostra wyjeżdżają gdzieś, a ją zostawiają samą, może na zawsze? Stało się to, czego się skrycie obawiała. Uczepiła się więc kurczowo płaszcza matki i zaczęła wspinać się jej na ręce, jakby próbowała wspiąć się na drzewo.

Judyta porwała małą na ręce i mocno przytuliła. Zrozpaczona Jess oplótła ramionkami jej szyję, szlochając:

- Gdzie wy jedziecie?

Judyta nie przypuszczała, że sprawy przyjmą aż tak zły obrót. Okazało się, że obie z matką nie doceniły Jess. Potraktowały ją jak małe dziecko, które można przekupić gumami owocowymi.

Rozgrywająca się właśnie scena była dowodem, jak bardzo się myliły.

Huśtając małą w objęciach Judyta przemawiała do niej czule:

- Nie płacz, Jess, przecież Phyllis zostanie z tobą, a mamusia niedługo wróci.

- Ja też chcę jechać!

Jej miękkie ciało, pachnące mydłem od Pearsa, z włosami puszystymi jak jedwabna przędza, było dla Judyty słodkim ciężarem. Nie pamiętała już chwili, kiedy nie miała cierpliwości dla siostrzyczki i krzyczała na nią - teraz czuła tylko, jak bardzo ją kocha. Okrywała jej policzki pocałunkami.

- No, już nie płacz. Będę pisać do ciebie - zapewniała błagalnym tonem - a ty musisz mi przesyłać swoje najładniejsze rysunki. Pomyśl tylko, kiedy znów się spotkamy, to skończysz już osiem lat i będziesz prawie taka duża jak ja!

Szlochły Jess nieco ucichły, więc Judyta pocałowała ją i odwinęła jej łapki ze swojej szyi, przekazując małą w ręce Phyllis. Jess jeszcze popłakiwała, lecz coraz ciszej, a w końcu wsadziła palec z powrotem do buzi.

- Musisz teraz pilnować swojego pajacyka, żeby nie wypadł za burtę! - pouczyła ją na pożegnanie. - Do widzenia, Phyllis, kochana!

Chciała ją uściskać, ale nie mogła tego zrobić tak mocno, jak pragnęła, gdyż Phyllis trzymała na ręku Jess. Z kolei Phyllis wydusiła z siebie tylko:

- Szczęść wam Boże!

- I tobie też, kochanie. Będę do ciebie pisała. Wszystkie kobiety wyszły z domu do czekającej taksówki. Molly pocałowała Jess w mokry od łez policzek.

- Zaraz wracam - obiecała. - Bądź grzeczna dla Phyllis.

- Nie musi się pani spieszyć - wtrąciła Phyllis. - Mamy masę czasu.

Molly i Judyta wsiadły więc do taksówki, a szofer zatrzasnął od zewnątrz drzwiczki i usiadł za kierownicą. Silnik zaskoczył i z rury wydechowej wyleciał kłęb dymu.

- Zrób pa-pa mamusi i siostrzyczce, Jess! - namawiała ją Phyllis. - Bądź dzielna!

Jess pomachała więc rączką swojego pajacyka jak chorągiewką. Widać było, jak Judyta przyciska twarz do tylnej szyby odjeżdżającej taksówki i macha dłonią na pożeg-

nanie. I machała tak, dopóki taksówka nie znikła za zakrętem.

Góra Czterech Wiatrów 18 stycznia 1936, sobota

Najdroższy Bruce!

Siedzę teraz w sypialni Luizy, a Jess już śpi. Za chwilę zejdem na dół i wypijemy z Luizą drinka przed kolacją. Dom w Riverview jest już opróżniony i zamknięty. Phyllis pojechała na kilka dni do domu, a potem ma rozpocząć nową pracę w Porthkerris. W poniedziałek rano Luiza podrzuci nas na stację i pobędziemy jeszcze trochę u moich rodziców, zanim ostatecznie wsiądziemy na statek. Odplywamy trzydziestego pierwszego.

W ostatnią środę odwiozłam Judytę do Szkoły Świętej Urszuli. Nie chciałyśmy zabierać Jess ze sobą, więc przed wyjazdem urządziła nam straszną scenę. Nie spodziewałam się, że tak gwałtownie zareaguje na rozstanie z siostrą. Okazało się, że Judyta miała rację nie chcąc, aby mała jechała z nami. Lepiej, że histeryzowała w domu, niż miałaby się tak popisać przy ludziach.

Obawiałam się, że Judyta mocno przeżyje tę scenę, ale zachowała się jak dorosła osoba. Okazała biednej Jess dużo serdeczności. W taksówce za to rozmawiałyśmy o samych przyziemnych sprawach, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Judycie bardzo do twarzy w nowym mundurku, ale wygląda zupełnie inaczej niż zawsze i patrząc na nią miałam dziwne uczucie, że odwożę do szkoły cudze dziecko, a nie swoje. W ostatnich tygodniach bardzo urosła i dużo mi pomogła przy pakowaniu i załatwianiu formalności wyjazdowych. Czy to nie paradoks, że człowiek wkłada tyle lat pracy w wychowanie dziecka po to, aby je opuścić akurat wtedy, kiedy mogłoby być już dlań partnerem? Te cztery lata rozłąki, które nas czekają, wydają mi się wiecznością. Może dopiero na statku, w drodze do Kolombo, poczuję się lepiej?

Miałam zamiar urządzić Judytę w jej sypialni, a potem zajść na herbatkę do dyrektorki szkoły, jak to zwykle robią rodzice. Tymczasem gdzieś w połowie drogi do Penzance Judyta oświadczyła mi, że nie życzy sobie, abym została w szkole choć przez chwilę dłużej, niż to będzie konieczne. Chciała, aby nasze pożegnanie trwało jak najkrócej, i zapewniała, że sama da sobie radę. Prosiła, abym nie wchodziła na teren szkoły, gdyż byłoby to dla niej zderzeniem dwóch światów - tego, który zostawia za sobą, z tym, w który wchodzi. Nie byłam pewna, czy wypada tak postąpić, ale nie nalegałam. To wszystko, co mogłam dla niej zrobić.

Potem wydarzenia potoczyły się już błyskawicznie. Kiedy tylko wyładowaliśmy z szoferem jej bagaże - natychmiast zjawił się portier i wsadził je na wózek. Na parkingu stały już inne samochody, gdyż zaczynał się nowy semestr i zjeżdżały się uczennice z rodzicami. W tych zielonych mundurkach wszystkie wyglądały jednakowo i Judyta od razu wtopiła się w tłum. Trudno powiedzieć, czy to ułatwiało, czy utrudniało pożegnanie. W jej oczach nie było łez, a patrząc na nią, mogłam sobie wyobrazić, jaką piękną dziewczyną stanie się za cztery lata, gdy ją znów zobaczę.

Objęłyśmy się, ucałowały i przyrzekły pisać do siebie. Potem odwróciła się na pięcie, wbiegła na schodki i przez otwarte drzwi do środka budynku. Nie obejrzała się już za siebie. Miała ze sobą tylko teczkę na książki, kij hokejowy i małą skórzaną aktówkę, którą jej kupiłam, aby miała gdzie trzymać materiały piśmienne, znaczki i swój pamiętnik.

Może to głupie z mojej strony, ale przez całą powrotną drogę płakałam. Uspokoiliłam się dopiero wtedy, kiedy Phyllis zaparzyła mi gorącej herbaty. Potem zadzwoniłam do dyrektorki szkoły, panny Catto, aby przeprosić ją, że nie złożyłam jej wizyty. Zapewniła, że mnie rozumie, i obiecała, że będzie nas informować o zdrowiu Judyty i jej

postępach w nauce. Tylko że przy takiej odległości statki pocztow[^]kursują bardzo rzadko...

MfMly przerwała na chwilę, odłożyła pióro i przeczytała to, co dotąd napisała. List wydał się jej nazbyt egzaltowany i nie była pewna, czy Bruce dobrze to przyjmie. Nie należał do ludzi wylewnych i włas'ciwie nigdy nie otwierała przed nim serca aż tak dalece. Może lepiej byłoby podrzeć zapisane już kartki i zacząć od nowa? Jednak przelewanie uczuć na papier przynosiło jej ulgę i nie miała siły udawać, że nic się nie stało. Wzięła więc znów pióro do ręki i dokończyła list.

Jest więc już po wszystkim i tylko przy Jess i Luizie muszę robić dobrą minę. Naprawdę jednak czuję się tak, jakbym straciła dziecko. Żałuję zmarnowanych dni, kiedy nie byłam w stanie nawiązać z nią właściwego kontaktu, jak i tych lat, gdy będziemy z dala od siebie. Zdaję sobie sprawę, że tysiące kobiet muszą przejść przez to samo, ale słaba to dla mnie pociecha.

Za miesiąc będziemy już z Jess u Ciebie. Mam nadzieję, że wtedy dowiem się więcej na temat naszej przeprowadzki do Singapuru. Postąpiłeś bardzo dobrze i jestem z Ciebie dumna.

Twoja kochająca Molly

PS. Twój prezent gwiazdkowy dla Judyty jeszcze nie dotarł. Poprosiłam kierowniczkę poczty w Penmarron, żeby przesłała go do Szkoły Świętej Urszuli.

Przeczytała jeszcze raz list, złożyła kartkę i wsadziła ją do koperty, którą następnie zakleiła i zaadresowała. Tę czynność miała już za sobą, więc tylko siedziała i słuchała szumu wiatru za oknem. Jego porywy tłukły o szyby, jakby na dworze szalała burza. W sypialni natomiast panował spokój i półmrok, rozjaśniony tylko kręgiem światła padającego z lampy na biurko.

Na jednym z zestawionych łóżek spała Jess, z pajacykiem przyciśniętym do policzka. Molly pocałowała ją i poprawiła kołdrę. Podeszła do toaletki, aby przed lustrem przygładzić włosy i lepiej udrapować jedwabny szal na ramionach. W słabo oświetlonym lustrze jej twarz wydawała się upiornie blada. Wyszła więc z sypialni zamykając drzwi za sobą i zaczęła schodzić po schodach.

Molly dawno już zauważyła, że Góra Czterech Wiatrów miała wyjątkowo niekorzystną architekturę i lokalizację. Wzniesiono tę posiadłość zaraz po pierwszej wojnie światowej, a więc nie była na tyle nowoczesna, aby żyło się w niej wygodnie, ani na tyle stara, by nabrać cech zabytku. Dom był usytuowany na samym szczycie wzgórza nad polem golfowym, a więc smagały go wichry ze wszystkich stron. Najbardziej poronionym pomysłem była jednak lokalizacja salonu. Architekt musiał chyba upaść na głowę, aby zaprojektować coś pośredniego między salonem a hallem, skąd zaczynały się schody na piętro i dokąd bezpośrednio prowadziły drzwi zewnętrzne. Po pomieszczeniu hulały więc przeciągi, a panująca w nim atmosfera tymczasowości przywodziła na myśl poczekalnię kolejową.

Luiza jednak siedziała tam, wtulona w wygodny fotel przy ogniu huczącym w kominku. Pod ręką miała papierosy i szklanekę whisky z wodą sodową, a w dłoniach -robótkę na drutach. Robiła właśnie grubą sportową pończochę. Produkowała takie pończochy taśmowo; kiedy skończyła jedną parę - odkładała ją do szuflady i zaczynała następną. Pończochy te przekazywała następnie na przykościelne kiermasze dobroczynne. Nazywała to „zajęciem dla palców” i zaliczała do dobrych uczynków.

Na odgłos kroków Molly podniosła głowę.

- Aha, jesteś! - przywitała ją. - Już myślałam, że gdzieś zginęłaś.
- Przepraszam, pisałam tylko list do Bruce'a.
- Jess już śpi?
- Tak, nawet szybko zasnęła.

- To nalej sobie drinka.

Na bocznym stoliku stała taca z butelkami i czystymi szklaneczkami, a także syfonem z wodą sodową. Stanowiła ona pewien męski akcent w tym domu, przywołujący wspomnienia o Jacku Forresterze. Od jego śmierci nic się w tym otoczeniu nie zmieniło. Gzyms kominka zdobiły nagrody wygrane w golfa, ściany - zdjęcia z okresu służby wojskowej w Indiach. Wszędzie wisiały też trofea myśliwskie - nogi słoniowe, wyprawione skóry tygrysie i poroża jelenie.

Molly naląła sobie trochę sherry i usiadła na fotelu po drugiej stronie kominka. Luiza odłożyła robótkę i sięgnęła po swoją szklankę.

- Zdrowie! - wzniosła toast i upiła łyczek. Odstawiając szklankę, spojrzała na Molly znad okularów i dodała: -Ale bardzo zdrowo to ty nie wyglądasz.

- Czuję się całkiem dobrze.

- Widzę, że wciąż przeżywasz rozstanie z Judytą. Ale to minie. Czas leczy rany.

- Myślę, że tak - bąknęła Molly bez specjalnego przekonania.

- W każdym razie masz to już z głowy.

- Rzeczywiście. Myślę... - zaczęła, lecz nie dokończyła, bo jej uwagę przykuł dźwięk dochodzący zza drzwi, przebijający się przez szum wiatru. Był to wyraźny odgłos kroków chrzęszczących na żwirze. - Tam ktoś jest!

- Tak, to Billy Fawcett. Zaprosiłam go na drinka, żeby trochę nas rozruszał.

Przez otwarte frontowe drzwi wdarł się powiew zimnego powietrza, aż podniosły się rogi dywaników, a z kominka buchnął kłęb sadzy.

- Zamknij drzwi, idioto! - krzyknęła Luiza w tamtym kierunku. Odpowiedzią było głośne trzaśnięcie.

Zaraz i dywaniki przestały trzepotać, a ogień znów zaczął palić się równo. - Żeby w taką pogodę wychodzić na dwór! Właż szybko!

Ta niespodziewana wizyta tyleż zaskoczyła, co zirytowała Molly. W takiej chwili absolutnie nie pragnęła obcego człowieka. Nie czuła się na siłach bawić gościa rozmową, a zapraszanie kogokolwiek po tak ciężkim dniu uważała za nietakt ze strony Luizy. Nie miała jednak na to wpływu, więc z ciężkim sercem odstawiła szklanke, odwróciła się ku przybyszowi i nadała twarzy przyjemny wyraz.

- Jak to miło, że przyszedłeś, Billy - przywitała go ożywionym głosem Luiza.

Gość nie od razu się pokazał, bo musiał najpierw zdjąć płaszcz i kapelusz. Kiedy jednak pojawił się w polu widzenia, zacierając zgrabiące ręce, sprawiał wrażenie uprzejmego światowca.

- Jakoś nie zmogła mnie burza, kochanie!

Był niewysoki, lecz żyłasty i nosił garnitur z pumpami w krzykliwą kratę. Pumpy były tak obszerne, że wystające spod nich chude łydki w jaskrawożółtych, robionych na drutach pończochach przypominały ptasie łapki. Molly zastanawiała się, czy to Luiza zrobiła mu te pończochy, a jeśli tak, to które z nich wybrało ten kolor. Włosy miał siwe i przerzedzone, a policzki pokryte siatką czerwonych żyłek. Nosił mundurowy krawat swojego pułku i wyzywające wąsiki, a w jego wypłowiałych niebieskich oczach gościł łobuzerski błysk. Na oko mógł mieć dobrze po pięćdziesiątce.

- Molly, to mój sąsiad, Billy Fawcett, albo jeśli wolisz - pułkownik Fawcett. Billy, to moja bratowa, Molly Dunbar.

Molly z uśmiechem na ustach wyciągnęła rękę do Billy'ego licząc, że tylko ją uściśnie. On jednak uchwycił jej dłoń i pochylił się nad nią, jakby chciał ją pocałować. Molly omal nie wyrwała mu swej ręki, ale okazało się, że miał to być tylko uprzejmy ukłon.

- Miło mi panią poznać... tyle o pani słyszałem... - wymamrotał oklepany frazes, który potrafiłby zmrozić najbardziej spontaniczną rozmowę.

Luiza odłożyła robótkę, wstała z fotela i przejęła inicjatywę.

- Usiądź, Billy. Tak zmarłeś, że należy ci się kropelka whisky.

- Ano, nie odmówię!

Starszy pan nie usiadł jednak, tylko stanął przy samym ogniu, trzepiąc się po udach. Jego szerokie pumpy zaczęły powoli parować, wydzielając swąd dawnych ognisk obozowych.

Molly sięgnęła po swoją szklankę i rozsiadła się wygodnie w fotelu. Billy ujmująco uśmiechał się do niej, szczerząc równe żółte zęby jak u zdrowego konia.

- Słyszałem, że pani uporządkowała już sprawy przed powrotem na Wschód - zagadnął.

- Tak, siedzimy na walizkach. Luiza była tak miła, że przyjęła nas pod swój dach, zanim będziemy gotowe do drogi.

- Właściwie zazdroszczę pani. Chętnie bym sam wygrzał stare kości na słońcu... Dziękuję, Luizo najdroższa, tego mi właśnie było trzeba!

- Billy, usiądź lepiej na kanapie, bo twoje spodnie zaraz zajmą się od ognia.

- Niech się choć trochę rozgrzeję... No, to zdrowie pięknych pań!

Wypił duży łyk z westchnieniem takiej ulgi, jakby przez tydzień na niego czekał. Dopiero potem posłuchał Luizy, odszedł od kominka i ułożył się między poduszkami kanapy. Molly zauważyła, że czuł się na Górze Czterech Wiatrów jak u siebie w domu. Zastanawiała się, jak często wpada z wizytą do Luizy i czy nie zamierza wprowadzić się do niej na stałe.

- Luiza wspominała, że pan dopiero niedawno przeniósł się do Penmarron - zagaiła rozmowę.

- No, jestem tu już od trzech miesięcy. Wynająłem sobie dom.

- Grywa pan w golfa?

- Pewnie, lubię czasami machnąć partyjkę, ale i tak nie jestem w stanie dorównać Luizie. W Indiach to grywaliśmy razem, prawda, kochanie? Kiedy jeszcze żył Jack...

- Dawno przeszedł pan w stan spoczynku? - Nie żeby Molly chciała akurat to wiedzieć, ale uważała, że ze względu na Luizę powinna okazać mu życzliwe zainteresowanie.

- Jakież dwa lata temu. Komisja uznała, że powinienem już pójść na emeryturę.

- A jak długo przebywał pan w Indiach?

- Przez cały czas służby czynnej. - Można było wyobrazić go sobie, jak gra w polo lub obrzuca wyzwiskami swojego tragarza. - Byłem młodym oficerem, kiedy wysłano mnie na północno-zachodnią granicę. Miałem dopiero dziewiętnaście lat, a tam była parszywa robota -trzeba było pilnować, żeby ci przekłeci Afgańczycy nie przekraczali linii demarkacyjnej. No, a nikt przecież nie chciał wpaść w ich łapy, prawda, Luizo?

Luiza jednak puściła to pytanie mimo uszu. Najwyraźniej nie chciała kontynuować rozmowy w tym duchu, ale Billy wcale się nie spieszył.

- Po wyjeździe z Indii - ciągnął dalej - doszedłem do wniosku, że nie mógłbym żyć w chłodnym klimacie, Postanowiłem tedy spróbować osiąść tu, na „korwalijskiej Riwierze”. No i fakt, że znałem Luizę, jakoś ułatwił mi podjęcie decyzji. Wie pani, że kto przebywa tak długo za granicą, nie ma zbyt wielu przyjaciół.

- A czy pana żona też była podobnego zdania?

- Słucham?

- No, czy pańska żona też nie mogła przyzwycząić się do chłodu?

- Jestem kawalerem, droga pani. Jakoś nie udało mi się znaleźć odpowiedniej damy serca. W warunkach frontowych na ogół nie ma ładnych dziewcząt pod ręką.

- Chyba tak - zgodziła się Molly.

- Zresztą pani sama najlepiej zna życie w służbie Im-

perium Brytyjskiego. Gdzież to szanowny małżonek stacjonuje? W Rangunie?

- Nie, w Kolombo, ale teraz został służbowo przeniesiony do Singapuru.

- Aha, Singapur, pamiętam ten bar w hotelu „Raff-les” ... Tam dopiero jest życie!

- Zdaje mi się, że będziemy mieszkać przy Orchard Road.

- Słyszałem też, że ma pani młodą i ładną córkę. Już się nie mogę doczekać, kiedy przyjedzie do Luizy na wakacje! Przyda się nam trochę świeżej krwi w Penmarron. Chętnie oprowadzę ją po okolicy.

- Judyta mieszka w Penmarron już od czterech lat, więc nie potrzebuje, aby ktoś ją oprowadzał - ucięła sucho Molly.

Billy był jednak na tyle gruboskórny, że wcale się nie spieszył jej uwagą.

- No tak, oczywiście - wykręcał się sianem. - Ale i jej dobrze by zrobiło, gdyby miała się kim zająć.

Sama myśl o tym, że Judyta mogłaby z jakichkolwiek przyczyn „zająć” się Billym, napawało Molly głęboką odrazą. Od pierwszego wejrzenia, choć bez żadnego konkretnego powodu, poczuła doń instynktowną niechęć. Przypuszczalnie był tylko nieszkodliwym dziwakiem, no i starym znajomym Luizy, która w końcu nie była głupia, aby dawać się wykorzystywać. Tym bardziej dziwiło Molly, jak Luiza może znosić towarzystwo takiego człowieka. Czemu jeszcze dotąd nie złapała go za kark i nie wyrzuciła za drzwi jak psa, który nasikał na dywan? Przypomniała sobie stary wierszyk:

Jakoś nie lubię cię, kolego, Chociaż nie umiem rzec dlaczego.

W tym salonie, przy kominku, raptem zrobiło się jej strasznie gorąco. Czuła, jak płomień ogarnia jej całe ciało, a na policzki wpełza szkarłatny rumieniec. Wystąpiły na nią poty i poczuła, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej.

Dopiła resztę sherry ze swojej szklanki i ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Przepraszam na chwilę - oświadczyła. Czowała bowiem, że jeśli zaraz nie wyjdzie na świeże powietrze, to po prostu zemdleje. - Jess ma taki niespokojny sen, że na wszelki wypadek muszę do niej zajrzeć.

Na szczęście Luiza nie zauważyła jej zmieszania ani nagłych rumieńców.

- Idź, potem jeszcze się napijesz.

Molly poszła na górę do sypialni i stwierdziła, że Jess śpi spokojnie. Wyjęła więc z szafy ciepłe palto i narzuciła je na ramiona. Zeszła tylnymi schodami do jadalni, gdzie czekał już stół nakryty do kolacji na dwie osoby. Stamtąd drzwi balkonowe wychodziły na wyłożony płytkami taras, chroniony przed wiatrem żywopłotem z eskalonii. Luiza uprawiała tam ogródek skalny pachnący tymiankiem, a w lecie przyjmowała na tarasie mniej oficjalnych gości.

Molly odsunęła aksamitne portiery, otworzyła oszklone drzwi i wyszła na zewnątrz. Natychmiast poryw wiatru pchnął ją z powrotem na taflę drzwi, tak że z wysiłkiem zamknęła je za sobą, aby głośnym trzaśnięciem nie zwrócić niczyjej uwagi. Potem wystawiła się cała na chłód, co podziało na nią jak zimny prysznic. Wciągnęła rześkie powietrze w płuca, nie zważając, że wiatr od morza targa jej włosy.

Tak było lepiej - przynajmniej nie miała wrażenia, że za chwilę się udusi. Chłodne powietrze odświeżyło ją, a równocześnie uspokoiło. Otworzyła oczy i spojrzała w niebo, na którym półksiężyc wyglądał spoza przesłaniających go chwilami czarnych chmur. Nagle Molly poczuła się nic nie znaczącym pyłkiem wobec całego kosmosu. Zaczęła rozpaczliwie zadawać sobie pytania w rodzaju: Kim właściwie jest? Skąd się tu wzięła? Dokąd dąży i co się stanie, gdy tam dotrze? Zdawała sobie przy tym sprawę, że ten nie uświadomiony niepokój nie ma nic wspólnego z wietrzną pogodą tego dnia. Wiatr i cie-

mność istniały zawsze, podczas gdy jej nieuzasadnione obawy wzięły się nie wiadomo skąd. Aż się wzdrygnęła i próbowała odpędzić czarne myśli zaklęciem: „Zgiń, przepadnij, maro!” Owinęła się szczelniej płaszczem, naciągając go na piersi. Spróbowała pomyśleć o Judycie, ale to wprowadziło ją w jeszcze gorszy nastrój, gdyż miała wrażenie, że wspomina zmarłe dziecko, którego już nigdy nie zobaczy.

Rozpląkała się, zwyczajnie jak matka. Łzy wzbierały jej w oczach i ściekały po policzkach, gdzie osuszał je ostry wiatr. Płacz przynosił ulgę w jej rozterkach wewnętrznych, więc nawet nie próbowała powstrzymać łez. Po niedługim czasie emocje opadły i znów była sobą. Nie miała pojęcia, jak długo stała na dworze, ale wiedziała na pewno, że jest zbyt zimno, aby tam została choć chwilę dłużej.

Weszła z powrotem do domu, zamknęła drzwi balkonowe i zaciągnęła zasłony. Wróciła na górę tą samą drogą - tylnymi schodami, na paluszkach, by nikt nie słyszał jej kroków. W sypialni odwiesiła płaszcz do szafy i rzuciła okiem na łóżko. Najchętniej położyłaby się spać obok Jess, żeby już nareszcie zostać sama. Tymczasem musiała obmyć twarz zwilżoną ściereczką, przypudrować nos i przyczesać włosy. Zewnętrznie odświeżona, wróciła do towarzystwa.

- Coś ty tam robiła tak długo? - przywitała ją Luiza.

- Musiałam posiedzieć trochę przy Jess.

- Ale teraz już wszystko w porządku?

- Teraz tak. W pełnym porządku.

Szkoła Świętej Urszuli 2 lutego 1936

Kochani Rodzice!

Niedziela jest u nas dniem pisania listów, więc spieszę Wam donieść, że już się tu zadomowiłam i wszystko jest w porządku. Weekendy mamy zajęte, gdyż w soboty rano

przygotowujemy lekcje, a po południu gramy w gry sportowe. Na przykład wczoraj można było grać w siatkówkę albo kopać blaszaną. W niedzielę rano ustawiamy się w pary i idziemy do kościoła, co jest dosyć nudne. W kościele też jest nudno, bo ciągle się tam klęka. To jakiś bardzo ważny kościół, bo często palą tam kadzidło. Jedna dziewczyna aż od tego zemdląła. Wracamy na lunch, znów idziemy na spacer (jakby tamtego było mało), a potem mamy czas przeznaczony na pisanie listów. Po podwieczorku jest weselej, bo idziemy wszystkie do biblioteki i panna Catto czyta nam na głos. Teraz czytamy powieść Johna Buchana „Wyspy Owcze”, która jest bardzo zajmująca. Nie mogę wprost doczekać się dalszego ciągu.

Z nauką radzę sobie dobrze, tylko we francuskim mam zaległości i muszę chodzić na dodatkowe lekcje. We wtorki mamy gimnastykę - najtrudniejsze jest wspinanie się po linie. Co rano zbieramy się w sali gimnastycznej na modlitwę i śpiewanie psalmów. W ogóle mamy dużo muzyki - raz w tygodniu wolno nam słuchać płyt. W piątki natomiast mamy godzinę chóralnego śpiewu. Bardzo to lubię. Śpiewamy takie pieśni, jak „Piękna dziewczyna z Richmond Hill” czy „Rano wstań”. Moją wychowawczynią jest panna Homer, która uczy nas angielskiego i historii. Jest bardzo wymagająca. Wyznaczyła mnie na „dyżurną od tablicy”. Do moich obowiązków należy utrzymywanie tablicy w czystości i uzupełnianie zapasu kredy.

Pokój dzielę z pięcioma innymi dziewczynkami. Przełożona internatu, w tym także izby chorych, jest raczej niemiła, więc modlę się, żeby nigdy nie zachorować. Pamiętasz, Mamusiu, tę dziewczynkę, która kompletowała mundurek szkolny wtedy co i my? Nazywa się Loveday Carey-Lewis i mieszka ze mną w pokoju, tylko ona śpi przy oknie, a ja przy drzwiach. Przebywa w internacie tylko w ciągu tygodnia i jest o klasę niżej ode mnie. Nie rozmawiamy zbyt wiele, bo ona przyjaźni się z docho-

*dzącą uczennicą, Vicky Payton, z którą znały się już wcześniej.
Dostałam listy od Cioci Luizy, Cioci Biddy i kartkę od Phyllis. Przerwa pół semestralna zaczyna się szóstego marca i będzie trwała cztery dni. Ciocia Luiza obiecała, że kupi mi wtedy rower.
Jest tu chłodno i wilgotno. W niektórych częściach szkoły jest cieplej, ale na ogół raczej zimno.
Najgorzej jest, kiedy gramy w hokeja, bo mamy wtedy gołe kolana i ręce. Niektóre dziewczęta już je sobie odmroziły.
Prezent od Tatusia wciąż jeszcze nie nadszedł. Mam nadzieję, że nie zginął. Może pani Southey zapomniała mi go przesłać?
Mam nadzieję, że wszyscy jesteście zdrowi i że podróż statkiem szczęśliwie minęła. Znalazłam Singapur na mapie. Jak to strasznie daleko!
Ucałowania dla Was i dla Jess
Wasza Judyta*

Pierwszą uczennicą Szkoły Świętej Urszuli była imponująca, postawna dziewczyna nazwiskiem Deirdre Ledingham. Miała obfity biust i długie brązowe warkocze. Na jej bluzie treningowej widniały barwy reprezentacji szkoły i odznaki pełnionych przez nią funkcji. Stugębna plotka głosiła, że po ukończeniu szkoły ma ona zamiar wstąpić do Akademii Wychowania Fizycznego, a w przyszłości zostać nauczycielką gimnastyki. Rzeczywiście, kiedy na lekcjach wf wykonywała skok przez konia, było na co popatrzeć! Śpiewała także solo w chórze, a egzaltowane młodsze dziewczynki adorowały ją, płonąc z dumy, jeśli raczyła w przelocie rzucić im bodaj słówko. Swoje rozliczne obowiązki traktowała niezmiernie poważnie. Dzwoniła na lekcje i przerwy, asystowała pannie Catto przy porannej modlitwie i ustawiała dziewczęta w pary przed wyjściem do kościoła. Zajmowała się także rozdzielaniem między mieszkanki internatu listów i pa-

czek, które przywoził wóz pocztowy. Miało to miejsce zwykle na pół godziny przed lunchem, a wyglądało tak, że Deirdre stawała za długim stołem w głównym hallu niczym sklepowa za ladą i wyczytywała nazwiska adresatek.

- Emilia Backhouse, Daphne Taylor... Daphne, idź się przeczesać przed lunchem, nieporządnie wyglądasz... Joanna Betworthy, Judyta Dunbar...

Na stole spoczęła duża i ciężka paczka, oblepiona naklejkami i zagranicznymi znaczkami.

- Judyta Dunbar!

- Nie ma jej tu! - odkrzyknięto z tłumu.

- Dlaczego jej tu nie ma? Niech któraś po nią pójdzie. Albo nie, kto mieszka z nią w pokoju?

- Ja.

Deirdre rozejrzała się, aby sprawdzić, kto to powiedział, i wyłowiła z tłumu Loveday Carey-Lewis. Zmarszczyła czoło, bo niezbyt lubiła tę rozkapryszoną uczennicę, która jej zdaniem nazbyt zadzierała nosa. Mało tego, aż dwa razy przyłapała ją na bieganii po korytarzu - co było najsurowiej zabronione - jak również na jedzeniu mięto wek w szatni.

- Czemu Judyta nie przyszła na rozdzielanie poczty? -zwróciła jej uwagę.

- To nie moja wina! - odpaliła Loveday.

- Nie pyskuj! - Deirdre uznała, że tak zuchwałej dziewczynie należy się nauczka, i dodała: - Zanieś jej to i przekaż, żeby więcej nie opuszczała pory rozdawania przesyłek. I uważaj, nie upuść tej paczki, bo jest ciężka.

- A gdzie teraz znajdę Judytę?

- Nie mam pojęcia, poszukaj sama. Rosemary Castle, list dla ciebie...

Loveday wystąpiła ze swego miejsca, podniosła olbrzymią paczkę i przycisnęła ją do swojej chudej piersi. Rzeczywiście była ciężka, więc ściskając ją kurczowo, wyszła na korytarz. Zajrzała do klasy Judyty, ale nikogo tam nie

było. Skierowała się więc ku schodom wiodącym na piętro, gdzie mieściły się pokoje dziewcząt. Akurat schodziła stamtąd starościna którejś z klas.

- Rany boskie, co ty takiego niesiesz?

- To paczka dla Judyty Dunbar.

- A któż ci kazał taszczyć to na górę?

- Deirdre.

To wystarczyło, aby starościna się zmieszała i zrezygnowała z dalszych pytań. Dodała tylko:

- Dobrze już, dobrze. Żebyście się tylko nie spóźniły na lunch!

Kiedy się odwróciła, aby iść dalej w swoją stronę, Love-day pokazała jej język. Paczka ciążyła jej z każdym krokiem bardziej. Co mogło się w niej znajdować? Przeszła następny długi odcinek korytarza, aż dotarła do drzwi pokoju, w którym obie mieszkały. Popchnęła je ramieniem i chwiejnym krokiem wtaszczyła swój ciężar do środka.

Judyta myślała właśnie ręce w umywalce, z której korzystały wszystkie mieszkanki pokoju.

- No, mam cię wreszcie! - wykrzyknęła Loveday. Rzuciła paczkę na łóżko Judyty, po czym sama padła na nie ze zmęczenia.

Nagłe pojawienie się Loveday onieśmieliło Judytę, gdyż od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzała ją w sklepie Medwaya, była zafascynowana jej osobowością i gorąco pragnęła ją poznać. Dlatego też w ciągu pierwszych dwóch tygodni pobytu w szkole największym rozczarowaniem dla Judyty było to, że Loveday nie zwracała na nią uwagi. Czyżby jej nie poznała? A może po prostu miała ją za nic?

Zdanie z listu do matki: „...przyjaźni się z dochodzącą uczennicą, Vicky Payton...”, zostało starannie sformułowane, aby nie wzbudzać podejrzania, że fakt ten ją martwi. Była zbyt dumna, aby przyznać się matce do swojego rozczarowania. Podglądała tylko ukradkiem Loveday i Vicky, jak na przerwach razem piły mleko do drugiego

śniadania lub po meczu hokejowym wracały do budynku, plotkując i chichocząc jak papużki nierozłączki.

Nie znaczy to, że Judyta z nikim się nie zżyła. Poznała już koleżanki z klasy, ale nie było wśród nich kandydatki na prawdziwą przyjaciółkę od serca, taką jak Heather Warren. Nie chciała więc na siłę zaprzyjaźniać się z byle kim. Pamiętała złotą myśl wypowiedzianą kiedyś przez ojca: „Strzeż się człowieka, który na statku pierwszy odezwie się do ciebie - to z pewnością największy nudziarz na pokładzie!” A szkoła z internatem niewiele różniła się od statku pasażerskiego - tak samo każdy znajdował się tam w towarzystwie przypadkowych ludzi i potrzebował czasu, aby oddzielić ziarno od plew.

Loveday Carey-Lewis wydawała się jej jednak wyjątkiem od tej reguły. A teraz przyszła do niej!

- Deirdre kazała mi cię skrzyczeć, że nie byłaś na rozdawaniu listów.

- Nie zesłałam, bo poplamiałam sobie ręce atramentem przy napełnianiu pióra i za nic nie mogę ich domyć. - A próbowałaś pumeksem?

- Nie, bo nie znoszę tego skrobania.

- Rozumiem, to rzeczywiście jest okropne. Popatrz, jaką dostałaś paczkę. Deirdre kazała ci ją przynieść, a to waży chyba z tonę. Chodź tu i otwórz ją, bo muszę zobaczyć, co jest w środku.

Judyta otrząsnęła ręce z wody i sięgnęła po ręcznik.

- Myślę, że to prezent gwiazdkowy od mojego ojca.

- Gwiazdkowy? Przecież to już luty!

- Ale to bardzo długo szło. - Usiadła obok Loveday na łóżku, gdzie leżała paczka. Uśmiechnęła się na widok znanych sobie znaczków i naklejek. - Tak, to właśnie to. Myślałam, że już nigdy nie dojdzie.

- Dlaczego to tak długo szło?

- Bo zostało nadane w Kolombo na Cejlonie.

- Twój tatuś tam mieszka?

- Tak, pracuje tam.

- A mama?
 - Właśnie pojechała do niego i zabrała ze sobą moją młodszą siostrę.
 - To znaczy, że zostałaś sama? Gdzie mieszkacie?
 - W tej chwili już nigdzie, bo zlikwidowaliśmy nasz dom w Anglii. Wakacje mam spędzać u cioci Luizy.
 - Kto to jest?
 - Przecież ci mówię, że moja ciotka! Mieszka w Pen-marron.
 - A masz jakieś rodzeństwo?
 - Tylko Jess.
 - I ona wyjechała razem z twoją mamą?
 - Zgadza się.
 - To musi być okropne. Bardzo ci współczuję. Kiedy cię zobaczyłam w sklepie, nie przypuszczałam...
 - Więc mnie widziałaś?
 - A co, myślisz, że jestem ślepa?
 - Nie, ale dotychczas ani razu nie odezwałaś się do mnie, więc myślałam, że mnie nie poznajesz.
 - Ty do mnie też się nie odzywałaś!
- Była to prawda, więc Judyta próbowała się wytłumaczyć:
- Bo stale widziałam cię z Vicky Payton, więc myślałam, że się przyjaźnicie...
 - Oczywiście, że się przyjaźnimy, bo znamy się chyba od zawsze. Chodziłyśmy razem jeszcze do przedszkola. - Ale myślałam, że ona jest twoją najlepszą przyjaciółką!
 - Ojej, „najlepszą przyjaciółką"! To brzmi jak z książki Angeli Brazil. Ale za to teraz rozmawiamy, więc chyba wszystko jest w porządku? - ironizowała Loveday. Położyła rękę na paczce i przynagliła Judytę. - Otwórz ją, bo pękam z ciekawości, co tam jest. Za to, że taszczyłam ją taki kawał po schodach, możesz choć tyle dla mnie zrobić.
 - I tak wiem, co tam jest. Prosiłam tatę, aby mi przy-

słał chińską skrzynkę z drewna cedrowego, zamykaną na kluczyk.

- To otwórz ją szybko, bo zaraz zadzwonią na lunch.

Judyta nie chciała jednak rozpakowywać swego prezentu w pośpiechu. Zbyt długo na niego czekała, aby teraz pozwolić od razu opaść emocjom. Chciała w spokoju móc nacieszyć się każdym szczegółem tak długo oczekiwanego podarunku.

- Teraz już za późno - zaproponowała. - Może później, na przykład przed kolacją.

- Ale ja muszę to zobaczyć! - rozzłościła się Loveday.

- Dobrze więc, otworzymy ją razem. Przysięgam, że bez ciebie nie otworzę tej paczki. Przebierzemy się do kolacji, jak tylko można najszybciej, i wtedy będziemy miały masę czasu, żeby to odpakować. Już na oko widać, że to będzie długo trwało. A pomyśl, jakie przyjemne jest samo oczekiwanie!

- No, dobrze - zgodziła się w końcu Loveday, choć bez przekonania. - Nie przypuszczałabym, że masz taką silną wolę.

- Wtedy przyjemność trwa jeszcze dłużej!

- Masz jakieś zdjęcie twojego tatusia? - zmieniła temat Loveday, rzucając okiem na nocną szafkę Judyty, identyczną jak pięć innych w tym pokoju.

- Mam, ale nie za dobre. - Wyciągnęła zdjęcie i pokazała Loveday.

- Ten pan w szortach to on, prawda? Nawet przystojny. A to twoja mama? Od razu poznałam. Tylko dlaczego nie ma tu Jess?

- Bo to zdjęcie zrobiono, kiedy jej jeszcze nie było na świecie. Ma dopiero cztery lata i tatuś nawet jeszcze jej nie widział.

- Coś podobnego! Ciekawe, co powie, kiedy ją zobaczy. A ona pewnie będzie myślała, że to jakiś obcy pan, no, może wujek... Chcesz teraz obejrzeć moje zdjęcia?

- No pewnie!

Dziewczynki przeniosły się więc na drugi koniec sypialni, gdzie Loveday miała swoje łóżko. Stało ono przy oknie, więc było tam jaśniej. Regulamin szkolny zezwalał każdej uczennicy na posiadanie tylko dwóch fotografii rodzinnych, ale Loveday miała ich aż sześć.

- To moja mamusia. Pięknie wygląda w tym futrze z białych lisów... A to tatuś. Czy on nie jest uroczy? Na tym zdjęciu jest ze strzelbą, bo polował wtedy na bażanty. Ten pies to jego labrador, Tiger. A to moja siostra Athena i brat Edward. Tego pekińczyka widziałas w sklepie.

Widok ten przytłoczył Judytę, gdyż nigdy nie przypuszczała, że ktos może mieć tylu tak uroczych i eleganckich krewnych. Wszyscy oni wyglądali, jakby wyskoczyli z okładek ilustrowanego czasopisma poświęconego życiu wyższych sfer.

- Ile Athena ma lat? - spytała Judyta.

- Osiemnaście. W zeszłym roku debiutowała na salonach Londynu, a potem wyjechała do Szwajcarii, aby dobrze opanować francuski. Siedzi tam do dziś.

- Czyżby miała zamiar zostać nauczycielką francuskiego?

- Ona? Ależ skąd! W życiu nie skalałaby się pracą.

- A co będzie robić, kiedy już wróci z tej Szwajcarii?

- Pewnie zostanie w Londynie. Mamy tam dom w zaułku Cadogan. Athena ma całe hordy wielbicieli, z którymi lubi wyjeżdżać na weekendy.

. Taki styl życia był godny pozazdroszczenia!

- Wygląda jak gwiazda filmowa! - westchnęła Judyta.

- Może rzeczywiście tak wygląda...

- A ile lat ma twój brat?

- Edward? Szesnaście. Uczy się w Harrow.

- Mam kuzyna, Neda, który też ma szesnaście lat i jest w Dartmouth. Ale twoja mama... - zawahała się przez chwilę, nie wiedząc, jak to wyrazić - nie wygląda na to, aby mogła mieć prawie dorosłe dzieci!

- Wszyscy tak mówią. To już robi się nudne. - Loveday

odłożyła zdjęcia i z impetem usiadła na swoim wąskim łóżku przykrytym białą kapą. Nagle zmieniła temat: -Podoba ci się tutaj?

- Gdzie, w szkole? Może być.

- Chciałaś chodzić właśnie do tej szkoły?

- Nie chciałam, ale musiałam przenieść się do szkoły z internatem.

- Dlatego że twoja mama wyjechała?

- Tak.

- Ja sama chciałam tu przyjechać - zwierzyła się Loveday. - Żeby być bliżej domu. Kiedy wysłali mnie do jakiejś okropnej szkoły w Hampshire, tak tęskniłam za domem, że całymi tygodniami płakałam, aż w końcu uciekłam.

Judyta słyszała już o tym od ekspedientki u Medwaya, niemniej wciąż przepelniał ją podziw.

- Że też się nie bałaś! - stwierdziła z uznaniem.

- To nie było nic wielkiego. Po prostu doszłam do wniosku, że ani chwili dłużej nie wytrzymam w tym okropnym miejscu. Uciec stamtąd było bardzo łatwo. Zwyczajnie podjechałam autobusem na stację kolejową, a tam wsiadłam do pociągu.

- Miałaś bezpośrednie połączenie?

- Nie, musiałam aż dwa razy się przesiadać, ale zawsze przecież mogłam się kogoś zapytać, na który peron mam

przejechać. A w Penzance zadzwoniłam do domu z budki I telefonicznej i poprosiłam mamę, żeby po mnie przyjechała. Wtedy obiecała mi, że już nigdy nie wyśle mnie tak daleko. Panna Catto słyszała o mojej ucieczce, więc żeby się to więcej nie powtórzyło, pozwala mi na weekendy jeździć do domu.

Na dalszy ciąg tej zajmującej opowieści nie było już czasu, gdyż w tym momencie odezwał się dzwonek wzywający na lunch.

- Nie cierpię tych dzwonek! - Loveday się wzdrygnęła. - I jeszcze dziś jest wtorek, więc na deser będzie

pudding śliwkowy z kremem. Chodźmy już, bo dostaniemy burę!

Dziewczynki zbiegły na dół, każda do swojej klasy. Zanim się rozdzieliły, wymieniły jeszcze ostatnią, ważną informację:

- Do zobaczenia w sypialni przed kolacją. Wtedy razem rozpakujemy tę paczkę!

- Nie mogę się już tego doczekać!

Od tego momentu dzień jakby nabrał nowych kształtów i kolorów. Judyta, jak każde dziecko, nieraz przeżywała gwałtowną huśtawkę nastrojów, od radosnego podniecenia do niemal ekstazy. Tym razem jednak miała ku temu nie jeden powód, lecz całą ich serię. Tak długo oczekiwany prezent gwiazdkowy od ojca wreszcie nadszedł, zaczęła nawiązywać pierwsze nici przyjaźni z Loveday Carey-Lewis, no i jeszcze czekał ją radosny moment rozpakowywania paczki! Jakby tego było mało - popołudnie przyniosło jeszcze kilka drobnych radości, aby nic nie mąciło szczęśliwego dnia.

Zaczął się od tego, że na deser nie podano śliwkowego puddingu z kremem, którego nie znosiły, lecz przysmak -waniliową babkę podlaną sokiem. Z klasówki z francuskiego dostała osiem punktów na dziesięć możliwych. Kiedy zaś nadeszła pora gry w hokeja na trawie - poranny deszcz ustał i pokazało się słońce! Niebo od razu zrobiło się niebieskie, powiewał ożywczy wietrzyk, a spod trawy wyrzały żółte kwiaty pierwszych żonkili. Judyta na boisku tryskała tego dnia energią, biegała za piłką z jednego skrzydła na drugie i precyzyjnymi ruchami kija raz za razem umieszczała ją w bramce.

Zauważyła to nawet nauczycielka wf, panna Fanshaw, krzepka niewiasta o ostrzyżonych po męsku włosach, uzbrojona w gwizdek i niezbyt szczodra w pochwałach. Tym razem jednak prześcigała się w superlatywach.

- Świetnie, Judyto! Tylko tak dalej, a wezmę cię do drużyny!

Po zajęciach sportowych przyszła pora na podwieczorek, następnie odrabianie lekcji, a potem dziewczęta musiały przebrać się do kolacji. Judyta biegła do swego pokoju sadząc po dwa stopnie naraz. Błyskawicznie zrzuciła strój gimnastyczny i zdążyła zająć łazienkę, zanim zrobił to ktoś inny. Choć bardzo się spieszyła, to i tak, gdy wróciła do sypialni, Loveday czekała już na jej łóżku, przebrana w przepisowy strój obowiązujący uczennice w porze wieczornej: zapinaną z przodu sukienkę z zielonej gabardyny, ozdobioną białym kołnierzykiem i mankietami.

- Szybka jesteś! - wyraziła swój podziw Judyta.

- Dziś grałyśmy w siatkówkę, więc za bardzo się nie zgrzałam. Przebieraj się szybko i zaczynamy. Przyniosłam nożyczki do przecięcia sznurka.

Judyta błyskawicznie wrzuciła na siebie taką samą sukienkę, przygładziła włosy i ściągnęła je z tyłu wstążką. Rozcięła sznurek obwiązujący paczkę, ale jeszcze musiała wyjąć zszywki mocujące grube płótno, którym była obszyta. Pod płótnem znajdowała się warstwa brązowego papieru, a następnie składała się z gazet zadrukowanych egzotycznymi literami i wydających zapach orientalnych wonności. Ostatnie opakowanie było z białego błyszczącego papieru, a kiedy je usunięto - oczom dziewcząt ukazał się prezent gwiazdkowy w całej okazałości. Podziwiały go w milczeniu.

Pierwsza przerwała milczenie Loveday.

- To jest boskie! - wydała z siebie jęk zachwytu.

Rzeczywiście upominek był piękniejszy, niż Judyta mogła sobie wymarzyć. Szkatułka została zrobiona z drewna koloru miodu, gładkiego jak atlas i pokrytego delikatną rzeźbą na całej powierzchni. Srebrny zameczek w stylu chińskim ozdobiony był wypukłym wzorem kwiatowym, a kluczyk od niego - przyklejony paskiem papieru do

wieczka. Loveday natychmiast oderwała kluczyk i wręczyła go Judycie, która otworzyła srebrną kłódkę. Kiedy podniosła wieczko - ujrzała w środku lusterko, które można było ustawić pionowo. Przód kasetki również otwierał się na obie strony, ukazując dwa rzędy maleńkich szufladek. W powietrzu unosił się zapach drewna cedrowego.

- Czy spodziewałaś się, że to będzie coś takiego? -zagadnęła Loveday.

- Mniej więcej, bo mama miała w Kolombo podobną toaletkę. Dlatego prosiłam tatusia, żeby mi to kupił, ale tamta skrzynka nie była ani w połowie tak śliczna!

Kiedy spróbowała wysunąć jedną z szufladek - dała się łatwo wyjąć, ukazując spojenia na „jaskółczy ogon” i czerwono lakierowane wnętrze.

- Będiesz mogła tam trzymać swoje skarby! I najważniejsze, że to się zamyka! Koniecznie zawieś sobie ten kluczyk na szyi. Ale ty jesteś szczęściara! - entuzjasmowała się Loveday. - Zamknij to, a teraz ja spróbuję otworzyć...

Mogłyby tak długo bawić się zamykaniem i otwieraniem kasetki, gdyby do sypialni nie wtargnęła przełożona internatu. Usłyszała ich głosy i gwałtownym ruchem rozsunęła zasłony rozdzielające jedno łóżko od drugiego. Zaskoczone dziewczynki nagle ujrzały nad sobą jej twarz w białym pielęgniarским czepku, nisko nasuniętym na oczy jak welon zakonny.

- Co wy tak szepczecie? Wicie chyba, że nie wolno wam siadać po dwie na jednym łóżku!

Judyta otwierała już usta, aby coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale ubiegła ją Loveday, która wcale nie bała się przełożonej ani nikogo innego.

- Niech pani łaskawie spojrzy, czyż to nie piękne? Ojciec Judyty przysłał to jej aż z Cejlonu. Miało być na gwiazdkę, tylko dopiero teraz doszło...

- Ale co ty robisz na łóżku Judyty?

- Pomagałam jej rozpakować paczkę. Proszę popatrzeć,

jakie śliczne są te szufladki, a jaki zameczek... - Roztaczała przed przełożoną uroki prezentu w taki sposób, że zupełnie ją omotała.

Gniew surowej damy złagodniał do tego stopnia, że przybliżyła się, aby przez okulary dokładniej obejrzeć szkatułkę.

- To rzeczywiście bardzo piękna rzecz - przyznała, ale po chwili wróciła do poprzedniego, strofującego tonu. - Ale gdzie ty to masz zamiar trzymać? Twoja szafka nocna jest za mała.

Judyta do tej pory nie myślała o tym aspekcie sprawy.

- Myślę, że może... zabiorę ją do cioci Luizy, kiedy wyjadę na przerwę półsemestralną... - wy bąkała. Loveday była sprytniejsza.

- A może pani przełożona znalazłaby jakieś bezpieczne miejsce? - zaczęła przypoehlebny głośikiem.

- Na przykład w izbie chorych, w którejś apteczce? Przecież to tylko na krótko.

- Zobaczą, może rzeczywiście... Na razie posprzątajcie ten bałagan, zanim zadzwonią na kolację. I żebyście więcej nie przyłapała razem na jednym łóżku!

- Ależ oczywiście, więcej nie będziemy. Przepraszamy bardzo. I dziękujemy... - wdzięczyła się Loveday tak przymilnym tonem, że przełożonej wydało się to podejrzanym.

Uśmiech Loveday wyglądał jednak na tyle szczerze, że dostojna matrona nie miała się do czego przyczepić. Wycofała się więc, ale dopóki znajdowała się jeszcze w zasięgu głosu - dziewczęta zachowały kamienny spokój. Dopiero gdy się oddaliła - wybuchnęły niepoohamowanym śmiechem.

Szkoła Świętej Urszuli 9 lutego 1936, niedziela

Kochani Rodzice!

W tym tygodniu przyszedł nareszcie prezent od Tatusia. To właśnie to, czego chciałam, a może nawet jeszcze wię-

cej. Dziękuję Ci, Tatusiu — już się bałam, że przesyłka gdzieś zginęła po drodze. Nie bardzo mam to gdzie trzymać, bo szafka nocna w mojej sypialni jest za mała. Na razie oddałam kasetkę na przechowanie naszej przelożonej internatu, która zamknęła ją w apteczce. Zabiorę ją, kiedy wyjadę na przerwę półsemestralną do cioci Luizy. To naprawdę wspaniały prezent i jeszcze raz Ci dziękuję.

Mamusi dziękuję za Ust, który wysłała jeszcze w Londynie przed odjazdem. Mam nadzieję, że dołynełyście szczęśliwie i że Jess podobała się podróż, statkiem.

Paczkę odpakowywałam razem z Loveday Carey-Lewis, która jest naprawdę bardzo miła. Czasem wprawdzie potrafi być niegrzeczna, ale jakoś uchodzi jej to płazem, mimo że nie przejmuje się, co kto do niej mówi. Rodzice wysłali ją właśnie do tej szkoły, bo chciała być bliżej domu. Mieszka w majątku, który nazywa się Nancherrow, i ma własnego kucyka.

Podczas rekreacji wykonujemy różne prace na cele dobroczynne. Loveday i ja zszywamy z kawałków powłoczkę na poduszkę. Ona przyjaźni się z Vicky Payton, bo znały się jeszcze przed szkołą, ale Vicky nie jest o mnie zazdrosna. Ma jeszcze jedną przyjaciółkę, też dochodzącą, ale wszystkie jesteśmy nawzajem dla siebie miłe. Loveday ma jeszcze siostrę Athene, która jest w Szwajcarii, i brata Edwarda, który uczy się w Harrow. A ich ojciec ma psa, który się nazywa Tiger.

Zrobiłam już duże postępy w nauce francuskich czasowników, a dziś biorę udział w przesłuchaniach do chóru szkolnego.

Serdeczności dla wszystkich, a dla Jess ucałowania —

Wasza Judyta

W następną środę, kiedy Judyta posłusznie stawiła się na rozdawaniu listów, Deirdre Ledingham oznajmiła jej, że wprawdzie nie ma dla niej poczty, ale panna Catto

wzywa ją do siebie. I to zaraz, jeszcze przed dzwonem na lunch!

Judycie ze strachu żołądek podszedł do gardła, a serce zamarło. Czuła na sobie spojrzenie wielu par oczu, wpatrzonych w nią z nabożnym lękiem i pewnym szacunkiem, jakby coś nadzwyczajnego przeskrobała. Zrobiła więc błyskawiczny rachunek sumienia, ale nie mogła sobie przypomnieć żadnego uchybienia przeciw szkolnej dyscyplinie. Nie biegła po korytarzu ani nie rozmawiała po zgaszeniu światła...

Zebrała się więc na odwagę i zapytała Deirdre:

- Nie wiesz, czego pani dyrektorka chce ode mnie?

- Nie mam pojęcia. Leć prędko do niej, to się dowiesz. Jest w swoim gabinecie.

Judyta, choć wystraszona, posłusznie poszła we wskazanym kierunku.

Wprawdzie panna Catto jako dyrektorka wywierała przemożny wpływ na życie szkoły, sama jednak trzymała się z dala od codziennego życia tej placówki. Podczas gdy reszta personelu musiała zadowolić się skromnymi sypialniami i zatłoczonym pokojem nauczycielskim - ona zajmowała oddzielny apartament na pierwszym piętrze starej części budynku. Natomiast jej sanktuarium na parterze było mózgiem całej szkoły. Gdziekolwiek by się pojawiła w swej obszernej czarnej tozde - czy to przy porannej modlitwie, czy przy posiłkach - automatycznie zapadała cisza i wszyscy obecni podrywali się na baczność.

Młodsze dzieci nieczęsto widywały dyrektorkę, gdyż uczyła tylko najstarsze klasy przygotowujące się do matury. Judyta widziała ją z bliska tylko raz, w dniu przybycia do szkoły. Panna Catto indywidualnie ją wówczas przywitała, życząc sukcesów w nauce. Natomiast wszystkie dziewczynki miały świadomość niewidzialnej obecności dyrektorki, jakby je wciąż obserwowała z daleka. Nic więc dziwnego, że nagłe wezwanie przed oblicze szkolnej władzy każda z nich przyjmowała jako ciężki wyrok.

Gabinet panny Catto znajdował się na końcu korytarza, wzdłuż którego rozmieszczone były sale lekcyjne. Judyta z zaschniętym gardłem stanęła przed zamkniętymi drzwiami pomalowanymi na brązowo i zastukała.

- Proszę! - odezwał się głos zza drzwi.

Kiedy weszła do środka, zastała pannę Catto siedzącą za biurkiem. Na jej widok dyrektorka odłożyła pióro.

- Ach, to ty, Judyto. Wejdz, proszę.

Judyta weszła do pokoju, zamykając drzwi za sobą. Gabinet wychodził na południe i tego dnia cały był zalany słońcem. Na biurku stały pierwiosniki we flakoniku, a na ścianie wisiał obraz olejny przedstawiający zatokę morską i łódź wyciągniętą na brzeg.

- Przysuń sobie krzesło i siadaj. Nie rób takiej wystraszonej miny, przecież się na ciebie nie gniewam. Chciałabym tylko zamienić z tobą parę słów. - Odchyliła się do tyłu na krześle. - No i jak ci idzie w szkole?

Panna Catto była stosunkowo młoda jak na osobę na tak wysokim stanowisku - nie miała jeszcze czterdziestki. Jej świeża cera i sprężyste ruchy wskazywały, że lubi przebywać dużo na powietrzu i uprawiać sport. Włosy miała popielate, ściągnięte do tyłu w schludny koczek, a oczy błękitne, o przenikliwym spojrzeniu, które w zależności od okoliczności potrafiło to czarować, to wzbudzać lęk. Pod togą miała na sobie ciemnobłękitny kostium i jedwabną bluzkę wiązaną pod szyją na kokardę. Jej zręcznych palców nie zdobiły pierścionki, ale za to w uszach miała kolczyki z perłami, a w klapie żakietu dobraną do nich broszkę, przypominającą męską szpilkę do krawata.

Judyta przysunęła krzesło do biurka dyrektorki i usiadła naprzeciw niej.

- Słucham, pani dyrektor?

- Widzę, że otrzymujesz całkiem niezłe oceny, i jestem zadowolona z twoich postępów.

- Dziękuję, pani dyrektor.

Panna Catto uśmiechnęła się i jej głos nabrał więcej ciepła, gdy spytała:

- Miałaś już jakieś wiadomości od swojej mamusi?
- Tak, otrzymałam list wysłany z Gibraltaru.
- Wszystko jest w porządku?
- Chyba tak.
- To się cieszę. A teraz do rzeczy: podobno zdążyłaś się już zaprzyjaźnić z Loveday Carey-Lewis?
- Tak - odpowiedziała Judyta, a w duchu pomyślała: „Przed nią chyba nic się nie ukryje!”
- Wydawało mi się, że pasujecie do siebie, i dlatego kazałam zakwaterować was w jednym pokoju. I proszę, jakiego miałam nosa - pani Carey-Lewis zadzwoniła do mnie, żebym pozwoliła ci spędzić u nich weekend! Widocznie Loveday chciała cię zaprosić. Czy mówiła ci, że ma takie plany?
- Nie wspomniała ani słowem.
- To grzeczna z niej dziewczynka, bo matka wymogła na niej przyrzeczenie, że nie wspomni ci o tym, zanim nie uzyska mojej zgody. I jak ci się podoba ta propozycja?
- Podoba...? - Judyta nie dowierzała własnym uszom. - Ależ, pani dyrektor, jestem zachwycona!
- Tak, ale pamiętaj, że jeżeli pozwolę ci jechać, to tylko w drodze wyjątku. Przepisy bowiem zezwalają mieszkankom internatu na wyjazdy tylko w przerwie półsemestralnej. Ty jednak jesteś w specyficznej sytuacji, bo cała twoja rodzina jest za granicą, więc wydaje mi się, że dobrze ci to zrobi.
- Och, dziękuję bardzo, pani dyrektor.
- Możecie wyjechać z Loveday w sobotę rano i wrócić tu w niedzielę wieczorem. Zawiadomię o tym twoją ciotkę Luizę, gdyż ona w tej chwili sprawuje nad tobą oficjalną opiekę.
- Jestem pewna, że ciocia nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Ja też, ale należy przestrzegać zasad dobrego wychowania.

Uśmiechnęła się i wstała, co oznaczało, że audyencja skończona. Judyta też błyskawicznie poderwała się z krzesła.

- A więc załatwione. Przekażę moją decyzję pani Carey-Lewis. Idź teraz do Loveday i podziel się z nią dobrą wiadomością.

- Naprawdę bardzo dziękuję, pani dyrektor!

- Tylko pamiętaj - panna Catto lekko podniosła głos - że nie wolno biegać po korytarzu!

Judyta odnalazła Loveday w jej klasie, gdzie czekała już wraz z innymi koleżankami na dzwon obiadowy.

- Ty paskudna! - rzuciła się na nią. - Jak mogłaś...? Resztę Loveday już sama wyczytała z jej rozpromienionej twarzy i pisnęła radośnie:

- Stara Kocica pozwoliła!

Dziewczynki rzuciły się sobie w objęcia i odtańczyły dziki taniec zwycięstwa.

- Coś podobnego! Nie przypuszczałam, że się zgodzi.

- Ale nie powiedziałaś mi, że wymyśliłaś coś takiego.

- Obiecałem mamie, że nie pisnę ani słówka, zanim panna Catto nie wyrazi zgody. Bó gdyby nie pozwoliła, byłabyś rozczarowana, a to najokropniejsze uczucie na świecie. Aż pękałam z niecierpliwości, ale nie puściłam pary, co? To był pomysł mojej mamy. Gdy opowiedziałam jej o tobie, sama podsunęła: „Przywieź ją do nas”. A kiedy bałam się, że Kocica cię nie puści, mama powiedziała tylko: „Zostaw to mnie”. No i proszę, mamie zawsze udaje się każdego przekonać! Zobaczysz, jak będzie fajnie. Nie mogę się doczekać, żeby ci wszystko pokazać... Coś tak nagle posmutniała?

- Przypomniałam sobie, że wszystkie moje rzeczy są u ciotki Luizy. Nie mam tu nic, w co bym mogła się przebrać...

- No to co? Dam ci jakieś moje rzeczy.

- Nie będą pasowały. Jesteś niższa i chudsza ode mnie.
- To dam ci jakieś rzeczy Atheny albo i Edwarda. Czy to ważne, jak będziesz wyglądać? Grunt, że pokażę ci...

Nie zdążyła dokończyć zdania, bo właśnie w tej chwili zabrzmiał dzwon obiadowy.

- W domu przynajmniej nie ma tych okropnych dzwonów - powiedziała Loveday na cały głos, aż oburzona starościna klasy przywołała ją do porządku.

Loveday tylko roześmiała się jej w nos.

O dziesiątej rano obie dziewczynki były już gotowe do drogi, kiedy Loveday wpadła na jeszcze jeden pomysł.

- A ta twoja piękna szkatułka z cedrowego drewna?
- Co ona ma do rzeczy?
- Zabierzmy ją ze sobą! Chciałabym pokazać ją mamie.
- A skąd wiesz, że mama chciałaby ją zobaczyć?
- Właśnie, że chce, bo już jej o tym mówiłam.
- Ale przełożona się wścieknie.
- Niby o co? Raczej się ucieszy, że ta rzecz nie będzie już jej zajmować miejsca w apteczce. Zresztą niech się wścieka. Jeśli się boisz, ja mogę do niej pójść...

W końcu jednak poszły razem i zastały przełożoną w izbie chorych. Pakowała właśnie jakiejś wątlej dziewczynce w usta czubatą łyżkę ekstraktu słodowego. Jak można było przewidzieć, nie przywitała ich zbyt wylewnie. Tym bardziej że nie pochwałała zgody panno Catto na niezgodny z regulaminem wyjazd Judyty i wcale nie ukrywała, co o tym myśli. - Jeszcze tu jesteście?

- Już wyjeżdżamy, proszę pani przełożonej - zaczęła przymilnie Loveday. - Pomyślałyśmy sobie, że lepiej będzie, jeśli zabierzemy stąd szkatułkę Judyty. Przecież ona pani tylko przeszkadza!
- A do czego ona tam będzie wam potrzebna?
- Moja mama chciałaby ją zobaczyć. Poza tym mogłybyśmy w niej trzymać naszą kolekcję muszli.

- Dobrze, zabierzcie ją, jest na spodzie apteczki. Tylko nie przywoźcie mi jej tu z powrotem, bo nie mam miejsca na wasze drobiazgi... Jennifer, nie udawaj, że ci jest niedobrze. Musisz to zażyć, bo to zdrowe!

Dziewczynki wyciągnęły swój skarb ze skrytki, pożegnały się z przełożoną i wyszły z izby chorych tak szybko, jak tylko mogły, z trudem powstrzymując się od biegu. Minęły jadalnię i hall, gdzie Deirdre Ledingham przypinała właśnie tabele rozgrywek sportowych do tablicy ogłoszeń.

- Dokąd się wybieracie? - spytała władczy tonem.

- Do domu! - rzuciła w biegu Loveday i nie czekając na odpowiedź, zbiegła ze schodków, pozostawiając pry-muskę kompletnie zaskoczona.

Sobota była pogodna, lecz chłodna. Wiatr przesuwiał białe obłoki po błękitnym niebie. Na parkingu czekał już samochód z panią Carey-Lewis za kierownicą i pekińczykiem na przednim siedzeniu.

Wóz był wspaniały - nowy, granatowy bentley z opływową maską i srebrzystymi reflektorami. Mimo chłodu pani Carey-Lewis opuściła budę, ale sama ubrała się w futro i zawiązała na głowie jedwabną chusteczkę, aby wiatr nie nawiewał jej włosów na oczy. Pomachała im ręką na powitanie.

- No, jesteście nareszcie. Myślałam, że nigdy nie zejdziecie. Czekam tu już od pięciu minut.

.- Chciałyśmy jeszcze zabrać szkatułkę Judyty. To jest właśnie Judyta, mamusiu.

- Jak się masz, kochanie, miło mi cię poznać. To twoje pudło wygląda, jakby było strasznie ciężkie. Połóż je na tylnym siedzeniu. Loveday, ty tam usiądź i weź ze sobą Pekoe. Judyta usiądzie z przodu. Pogoda jest tak wspaniała, że nie mogłam się oprzeć i opuściłam budę. Wszystko aż pachnie! Pekoe, nie rób zamieszania, przecież bardzo lubisz jeździć na tylnym siedzeniu! Loveday, trzymaj go mocno, bo gdy zobaczy owcę czy krowę, może

próbować wyskoczyć w biegu. Wszystko już jest na swoim miejscu? No to jedziemy!

Bez zbędnych ceregieli pani Carey-Lewis przekręciła kluczyk w stacyjce i potężny silnik zaskoczył. Kiedy ruszyli, Judyta rozsiadła się wygodnie na wyściełanym, obitym skórą siedzeniu i po cichu odetchnęła z ulgą. Przez ostatnie dni żyła bowiem w napięciu, że w ostatniej chwili stanie się coś, co udaremni ich plany. Na szczęście nic takiego się nie stało i oto mknęły już luksusową limuzyną po szosie, zostawiając Szkołę Świętej Urszuli daleko w tyle.

- Wiesz, mamusiu, zdecydowałyśmy się zabrać szkatułkę w ostatniej chwili - trąkotała Loveday. - Ale przełożona była wściekła, prawda, Judyto? Nie rozumiem, dlaczego ona wiecznie chodzi zła na cały świat. Czy nie mogłaby być taka jak nasza Mary? Chyba nas niezbyt lubi, prawda, Judyto? Mamusiu, czy przyjechali do nas na weekend jacyś ciekawi ludzie?

- Niespecjalnie. No, może najwyżej Tommy Mortimer z Londynu.

- Ho, ho! - Loveday zaśmiała się łobuzersko, klepiąc matkę po ramieniu. - Mamusi absztyfikant! - dodała wyjaśniającym tonem na użytek Judyty. - Zawsze przywozi jej te pyszne czekoladki od Harrodsa!

- Nie wygłupiaj się, Loveday! - upomniała ją matka tonem bardziej rozbawionym niż gniewnym. - Nie można wierzyć ani jednemu jej słowu, Judyto. Chyba sama już to zauważyłaś.

- A właśnie, że to prawda! Athena mówi, że on wzdycha do ciebie już od lat i dlatego dotąd się nie ożenił.

- Athena gada jeszcze większe głupstwa niż ty.

- A propos, miałaś ostatnio jakiś list od Atheny?

- Coś ty, kochanie! Wiesz przecież, że Athena nie znosi pisać listów. Natomiast mieliśmy wiadomość od Edwarda. Chwalił się, że jest już w drugiej parze deblowej w rozgrywkach tenisowych swojej szkoły. A dziś rano przyje-

chał także Jeremy Wells, bo tatuś go zaprosił. Polują teraz na gołębie.

- O, jak to świetnie, nie widziałam go już kopę lat! -ucieszyła się Loveday i wyjaśniła Judycie: - To bardzo miły chłopak. Kiedy Edward zdawał do Harrow - udzielał mu korepetycji. A jeszcze wcześniej chodził z Atheną. Kiedy miała szesnaście lat, zabierał ją na przyjęcia. Jego ojciec jest naszym lekarzem domowym, a tatuś wprost uwielbia Jeremy'ego, bo on świetnie gra w rugby i krykieta. Jest kapitanem reprezentacji naszego hrabstwa!

- No, kochanie, myślę, że nie tylko z tego powodu tatuś go lubi - wtrąciła się matka.

- Ale jeździ na wszystkie mecze, w których gra reprezentacja Kornwalii! - upierała się Loveday. - Wciążnie rozpowiada, jakim to Jeremy jest świetnym strzelcem i ile upolował bażantów!

- To akurat jest prawda - przyznała Diana Carey-Lewis ze smutnym uśmiechem. - Myślę jednak, że ceni go bardziej jako przyjaciela niż jako kogoś, kto strzela do wszystkiego, co się rusza!

Judyta na moment wyłączyła się z tej konwersacji, bo denerwowały ją pojawiające się wciąż nowe nazwiska. To, że kręciło się tu tylu ludzi i stale się coś działo, dla Carey-Lewisów było najwyraźniej czymś normalnym, podczas gdy dla niej - zupełnie obcym. Miała nadzieję, że przez najbliższe dwa dni będzie mogła brać udział w życiu towarzyskim i nie popełni przy tym żadnej gafy. Nigdy jeszcze nie widziała dziecka, które by odzywało się do swojej matki tak jak Loveday. Żeby córka plotkowała z matką jak równa z równą i żartowała na temat jej adoratora!

Właśnie ten Tommy Mortimer wydawał się najciekawszą postacią ze wszystkich, których nazwiska dziś padły. Matki, które Judyta dotąd знаła, na ogół nie miały adoratorów, a jeśli nawet, to trzymały to w tajemnicy. Tymczasem pani Carey-Lewis nie tylko nie ukrywała fa-

ktu, że ma wielbicieli, lecz przeciwnie - jakby była z tego dumna! Nie przejmowała się, że wiedziała o tym cała jej rodzina z mężem włącznie. Traktowała to raczej jako dobry kawał.

Wszystko to wydawało się Judycie szalenie interesujące.

Tymczasem wyjechały już z miasta, minęły rybacką wioskę i wkrótce samochód musiał pokonać dość stromy wjazd na wzgórze. Za nim rozciągało się już pustkowie, tylko tu i ówdzie migąły za szybą kamienne murki graniczne samotnych farm. Ich budynki były przeważnie niskie, stare i wciśnięte w zagłębienie terenu, co chroniło je przed wiatrem. Zbocza pagórków, zwieńczonych granitowymi kopcami granicznymi, łagodnie opadały w stronę wybrzeża. Po iskrzącej się w słońcu tafli morskiej, na grzbietach fal, podskakiwały rybackie łódki. Nad głową rolnika orzącego konnym pługiem krążyły mewy, czekając, kiedy będą mogły pikować w świeżo zoraną bruzdę.

Krajobraz był tu zupełnie inny niż w tej części Kornwalii, którą Judyta знаła.

- Jak tu pięknie - westchnęła.

- Nigdy jeszcze tędy nie przejeżdżałaś? - z uśmiechem spytała pani Carey-Lewis.

- Tak daleko jeszcze nie byłam.

- Stąd nie jest daleko do Penzance. W ogóle w Kornwalii nigdzie nie jest daleko.

- Nie jest dla kogoś, kto ma samochód.

- A twoja mama nie miała samochodu?

- Miała austina, ale nie lubiła go prowadzić, więc przeważnie jeździłyśmy do Porthkerris pociągiem.

- Coś podobnego, nie lubiła prowadzić samochodu? Toż to wstyd!

- Mama za bardzo się przy tym denerwowała, bo przywykła, że w Kolombo zawsze mieliśmy kierowcę. Niepotrzebnie, bo kiedy było trzeba, prowadziła świetnie, tylko wydawało się jej, że nie umie.

- Po co mieć samochód, jeśli się nim nie jeździ? - Loveday zadała retoryczne pytanie.

Judyta poczuła, że byłaby nielojalna, gdyby tym razem nie stanęła w obronie swojej matki.

- Lepsze to niż jeździć tak jak moja ciotka Luiza, która prowadzi rovera z prędkością stu mil na godzinę, i to przeważnie pod prąd. Mama drętwieje ze strachu, ilekroć gdzieś z nią jedzie.

- Pewnie też bym drętwiała - przyznała pani Carey-Lewis. - A ta ciotka to kto?

- Siostra mojego tatusia. Mieszka w Penmarron. Mam spędzać u niej wszystkie wakacje, dopóki mama nie wróci z zagranicy.

- Mam nadzieję, że z tobą nie będzie jeździła z taką prędkością.

- Nie, ma kupić mi rower.

- To rozsądne z jej strony. Szkoda tylko, że twoja mama nie lubiła sama prowadzić wozu, bo w tej części Korn-walii jest dużo urokliwych zatoczek i plaż, do których nie sposób dostać się bez samochodu. Ale to nic, zawieziemy cię tam. Będziemy mieć jeszcze większą frajdę, pokazując te miejsca komuś, kto ich nigdy nie widział.

Pani Carey-Lewis pomilczała przez chwilę, a potem zadała następne pytanie.

- W jaki sposób zwracasz się do swojej mamy?

- Oczywiście „mamusiu” - odparła Judyta myśląc w duchu, że to dziwne pytanie.

- A jak chcesz zwracać się do mnie?

- „Proszę pani”.

- Bardzo poprawnie i formalnie. Mojemu mężowi to by się nawet podobało, ale powiem ci szczerze, że nie znoszę, gdy ktoś mnie nazywa panią Carey-Lewis. Zawsze wydaje mi się, że zwraca się nie do mnie, tylko do mojej jędzowatej teściowej, chwala Bogu już świętej pamięci. Ty przynajmniej ten problem masz już z głowy.

Judyta nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Na

szczęście nie musiała, gdyż pani Carey-Lewis nie przerywała potoku wymowy.

- Właściwie najbardziej lubię, gdy mówią do mnie „Diano”, „kochanie” lub „mamusiu”. Mamusią twoją nie jestem, a „kochanie” brzmiałoby chyba trochę sztucznie. Myślę więc, że mogłabyś nazywać mnie Dianą.

Uśmiechnęła się do Judyty, która dopiero teraz zauważyła, jak świetnie niebieska wzorzysta chusteczka pasuje do błękitnych oczu tej oryginalnej damy. Ciekawe, czy wiedziała o tym i celowo wybrała taką, a nie inną?

- Ale czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu?

- Odwrotnie, będzie mi bardzo miło. Najlepiej zacznijmy od razu, bo gdy raz zwrócisz się do mnie per „pani”, trudno ci będzie przestawić się na Dianę.

- Nigdy jeszcze nie mówiłam nikomu dorosłemu po imieniu.

- Jakie to głupie. Wszyscy mamy piękne imiona chrzestne, więc powinniśmy ich używać. Na przykład dawna niania Loveday nazywa się Mary Millyway. Dlaczego więc miałybyśmy mówić do niej „nianiu”, skoro Mary to takie ładne imię? Zresztą samo słowo „niania” źle mi się kojarzy. - Sztucznie afektowanym głosem sparodiowała zwrotkę starej piosenki: - „Dziś nasza niania była zła, bo dzidzi późno poszło spać!” Okropne, prawda? Najlepiej spróbujmy, jak to pójdzie. Powiedz teraz, na głos, moje imię.

- Diano...

- Głośniej, niech cały świat usłyszy!

- Diano!

- Już lepiej. Teraz wszystkie razem, całą parą. Raz, dwa, trzy...

- DIANO!

Wiatr poniosł ich głosy daleko w przestrzeń, a przed nimi wiła się szara wstęga szosy. Wszystkie zanosły się od śmiechu.

Przejechały jeszcze z dziesięć mil i krajobraz znowu

się zmienił. Pojawiły się leśne doliny z szemrzącymi strumykami. Na dnie jednej z nich leżał majątek Rosemullion, z czysto pobielanymi domkami, dziedzińcem gospodarstwa, oberżą, starym kościółkiem z czworoboczną wieżyczką i przyległym cmentarzykiem pełnym omszałych nagrobków. Za łukowatym mostkiem, przerzuconym przez wdzięcznie szumiący strumyk, droga znów pięła się pod górę. Na wierzchołku wzgórza Diana podjechała do kutej z żelaza bramy w murze. Brama była otwarta, a za nią zaczynał się kręty, obsadzony drzewami podjazd, kończący się gdzieś poza linią horyzontu. Na ten podjazd Diana wprowadziła swego bentleya.

- To tu? - spytała Judyta.

- Tak, to już Nancherrow.

Droga wiła się i wiła, zdawała się nie mieć końca. Judyta zamilkła, bo poczuła się tym przytłoczona. Nigdy jeszcze nie widziała posiadłości, do której prowadziłyby tak długi podjazd. Może Nancherrow to nie żaden dom, tylko zamek otoczony fosą, przez którą przerzucony jest zwodzony most? Może nawet straszy tam duch? Zaczęła odczuwać lęk przed tym niesamowitym miejscem.

- Widzę, że masz tremę - zauważyła Diana. - To normalne, kiedy przyjeżdża się w miejsca, których się dotąd nie widziało. Nazywamy to „gorączką podrózną”.

Czyżby do tego wszystkiego pani Diana umiała jeszcze czytać w myślach?

- Po prostu tak długo już jedziemy... - odpowiedziała Judyta wymijająco.

- Ciekawe, jak sobie wyobrażasz nasz dom? - zaśmiała się Diana. - Wszystkie duchy zginęły, kiedy w roku 1910 spalił się stary dwór. Na szczęście mój teść nie załamywał rąk, tylko po prostu postawił nowy, dużo większy i wygodniejszy. Łączy w sobie zalety starego domu z komfortem nowego, lecz za to nie ma w nim duchów ani tajnych przejść. To uroczy dom i wszyscy go kochamy.

Judyta mogła lepiej zrozumieć, co Diana ma na myśli,

gdy jej oczom nareszcie ukazał się dwór Nancherrow. Drzewa gwałtownie się przerzedziły, odsłaniając zimowe słońce, wreszcie za ostatnim zakrętem pojawił się dom. Zgodnie z miejscowym zwyczajem zbudowany był z granitowych ciosów i pokryty łupkowym dachem. Nad dwiema kondygnacjami wysokich okien widniał jeszcze rząd okienek mansardowych. Podjazd przed samym domem wysypany był wyblakłymi kamykami morskimi, a po wschodniej ścianie pięły się powojniki i róże. Główne wejście mieściło się w okrągłej blankowanej wieżyczce, przypominającej normańską warownię. Wokół zaś rozpościerały się połacie zielonej murawy, graniczące z zagajnikami, kępami krzewów, grządkami kwiatów i trawnikami upstrzonymi plamami żółtych żonkili i fioletowych krokusów. Od strony południowej, gdzie znajdowało się główne wejście do dworu, trawniki wznosiły się tarasowo, przedzielone pasmem kamiennych schodów. Pomiedzy drzewami tu i ówdzie przebłyskiwała błękitem linia horyzontu.

Mimo iż była to niewątpliwie luksusowa rezydencja, Judyta nie czuła się onieśmielona ani przytłoczona panującym tu zbytkiem. Przeciwnie, od razu zakochała się w tym dworku. Nie dziwiła się Loveday, że uciekła z Hampshire i ubłagała matkę, aby już nigdy więcej nie kazała jej opuszczać na dłużej tego cudownego miejsca.

Diana powoli i z namaszczeniem podjechała pod same drzwi frontowe, po czym wyłączyła silnik bentleya.

- No, panienki, dojechałyśmy - zaanonsowała.

Dziewczęta pozbierały swoje rzeczy i wysiadły z wozu, idąc gęsiego ku domowi. Pierwszy dreptał dostojnym kroczkiem pekińczyk, a pochód zamykała Judyta, uginając się pod ciężarem swojej cedrowej kasety. Weszły po kamiennych schodkach na kolistą werandę, a stamtąd przez drugie, oszklone drzwi do przestronnego hallu. Pomieszczenie było wprawdzie obszerne, lecz niezbyt wysokie, dzięki czemu przywodziło na myśl bezpretensjonalny wiejski dworek i Judyta od razu poczuła się tu jak w domu.

Ściany hallu były obite drewnianą boazerią, a na wy-froterowanej podłodze leżały wytarte perskie dywany. Dywanami pokryte były również trzy ciągi schodów wiodących na piętro, oświetlonych słońcem wpadającym przez duże okno z żółtymi brokatowymi zasłonami. Pośrodku hallu stał na postumencie okrągły stół, a na nim błyszcząca waza pełna białych narcyzów. Przy niej leżała oprawna w skórę księga pamiątkowa, psia smycz, czyjeś rękawiczki i stosik bieżącej korespondencji.

Naprzeciw schodów mieścił się kominek o bogato zdobionym gzymsie. Palenisko było zasypane wygasłym popiołem, ale Judyta przypuszczała, że wystarczyłoby podłożyć jedno-dwa duże polana i dmuchnąć miechem, aby znów rozgorzał ogień.

Diana zatrzymała się przy tym stole, zdjęła z głowy chustkę i włożyła ją do kieszeni.

- Zajmij się Judytą, Loveday - poleciła. - Myślę, że Mary jest w pokoju dzieciennym. Lunch będzie o pierwszej. Panowie do tej pory też już wrócą, więc żebyście się nie spóźniły. Bądźcie już za piętnaście pierwsza w salonie.

Zabrała listy ze stołu i poszła naprzód długim korytarzem, zastawionym antycznymi meblami i obwieszonym lustrami. W ślad za nią, następując na pięty jej eleganckich pantofelków, podążył pekińczyk. Na pożegnanie pomachała dziewczynkom ręką i udzieliła ostatniego pouczenia:

- Tylko nie zapomnijcie umyć rąk!

Judyta odprowadzała ją wzrokiem tak samo, jak podczas ich pierwszego spotkania w sklepie. Wtedy też stała jak wryta, dopóki pani Carey-Lewis nie znikła z pola widzenia.

Pozostawiła je same, a uczyniła to w sposób, który jasno określał charakter stosunków między matką i córką. Loveday rozmawiała z matką zupełnie jak z siostrą i tak też była przez nią traktowana. W zamian za to oczekiwano jednak od niej większej samodzielności i odpowiedzial-

ności. Loveday uważała taki układ za coś najnormalniejszego w świecie.

- Mama poszła przeczytać swoje listy - wyjaśniła Judycie. - Chodźmy poszukać Mary.

Skierowała się ku schodom, wlokąc za sobą podręczne torby, swoją i Judyty. Ta zaś szła nieco wolniej, uginając się pod ciężarem gwiazdkowej szkatuły. U szczytu schodów zaczynał się taki sam korytarz jak ten, w którym znikła Diana. Loveday puściła się biegiem, aż torby obijały się o jej chude nogi.

- Mary!

- Tu jestem, kochanie!

Judyta nie miała dotąd zbyt wiele do czynienia z typowymi angielskimi niańkami ani nie bywała w pokojach dziecinnych. Nianie, które widywała na plaży w Porthkerris, były zwykle zażywnymi i energicznymi damami w bawełnianych, zapiętych pod szyję sukniach, nawet w największy upał nie zdejmującymi kapelusza i pończoch. Przeważnie robiły na drutach bądź upominały swoich podopiecznych, przykazując im to wejść do wody, to wyjść z wody, założyć kapelusz chroniący przed słońcem, zjeść ciasteczko lub, broń Boże, nie bawić się z tamtym dzieckiem, bo jeszcze zarazi się od niego jakąś chorobą! Na szczęście Judyta nigdy nie miała takiej opiekunki.

Pokoje dziecinnie kojarzyły jej się natomiast z czymś równie niemiłym, jak izba chorych w internacie. Pewnie na podłodze leżało tam sterylnie czyste brązowe linoleum, w oknach nie było firanek, a w powietrzu unosił się zapach cynamonu i środków dezynfekcyjnych.

Nic więc dziwnego, że do pokoju dziecinnego w Nancherrow zbliżała się z pewnym niepokojem.

Jednak to, co zobaczyła, natychmiast rozproszyło jej obawy. Trudno to było nazwać pokojem dziecinnym - był to raczej przestronny, słoneczny salonik z wykuszowym oknem wychodzącym na południe. Umieszczona przy nim ława pozwalała podziwiać widok aż po oddaloną linię horyzontu.

W pokoju tym znajdował się także kominek, półki z książkami, kanapy i fotele z obiciami w kwiaty, gruby turecki dywan na podłodze i okrągły stół przykryty niebieską serwetą drukowaną w kwiaty i liście. Wystroju tego urokliwego wnętrza dopełniały wesołe obrazki na ścianach, radio na stoliku obok kominka, gramofon ze stosem płyt, koszyk do ręcznych robótek i sarta ilustrowanych czasopism. Charakter pokoju zdradzała tylko solidna krata odgradzająca palenisko kominka, sfatygowany kołnierz na biegunach pozbawiony ogona i deska do prasowania.

Przy tej desce stała właśnie Mary Millyway, zajęta prasowaniem. U stóp miała wiklinowy koszyk z upraną bielizną, na stole piętrzyły się już gotowe sztuki poskładane w kostkę, a na desce leżała na wpół uprasowana niebieska koszula. Zapach rozgrzanego, nakrochmalonego płótna przypominał Judycie atmosferę kuchni w Riverview, gdzie krzątała się Phyllis. Uśmiechnęła się więc, bo poczuła się jak u siebie w domu.

- No, jesteście nareszcie! - Mary odstawiła żelazko, nie przejmując się nie doprasowaną koszulą, i z otwartymi ramionami zwróciła się ku Loveday, która rzuciła się jej na szyję. Niania uniosła dziewczynkę jak piórko i kołysała w objęciach to w jedną, to w drugą stronę, powtarzając: -Przyjechał mój najdroższy łobuziak!

W końcu wycisnęła serdecznego całusa na kędzierzawej czuprynie Loveday i postawiła ją na podłodze akurat w momencie, kiedy Judyta weszła do pokoju.

- To ta twoja przyjaciółka? Tylko czemu taka obładowana?

- Bo mam taką szkatułkę z drewna cedrowego.

- Ależ to musi być ciężkie, postaw ją szybko na stole! Po cóżeś to tu przywiozła?

- Chciałyśmy pokazać mamusi, co Judyta dostała na gwiazdkę od swojego tatusia - wyjaśniała za nią Loveday. - To właśnie jest Judyta.

- Od razu się domyśliłam. Jak się masz, kochanie!

- Dzień dobry.

A więc to była Mary Millyway. Nie przypominała w niczym takiej herod-baby, jaką wyobrażała sobie Judyta. Na oko mogła mieć około trzydziestu pięciu lat, była wysoką i kościstą Kornwalijką o pospolitych jasnych włosach, piegowatej twarzy i wydatnych rysach. Wszystko w niej robiło miłe wrażenie, bo jakoś pasowało jedno do drugiego. Nie nosiła też żadnej liberii, tylko szarą tweedową spódniczkę, białą bluzkę spiętą pod szyją broszką i szaroniebieski rozpinany sweterek. Przyjrzała się Judycie uważnie i zagaiła:

- Wyglądasz na starszą, niż myślałam.

- Mam czternaście lat.

- Ona jest o klasę wyżej ode mnie - dodała Loveday. - Ale mieszkamy w jednym pokoju. Teraz musisz nam pomóc, Mary, bo ona nie ma ze sobą żadnych swoich rzeczy, a moje będą za małe. Może coś z Atheny będzie na nią pasować?

- Narazisz się Athenie, jeśli będziesz pożyczać jej rzeczy.

- Mam na myśli nie to, w czym Athena chodzi, ale to, co już się jej znudziło...

- Doskonale wiem, co masz na myśli. Nie znam innej panienki, która by się raz w coś ubrała, a potem to wyrzucała.

- No więc coś znajdź, i to szybko, żebyśmy mogły nareszcie zrzucić te ohydne mundurki!

- Wiesz co? - zaproponowała spokojnie Mary, znów biorąc do ręki żelazko. - Idź teraz i pokaż Judycie jej pokój.

- Który to ma być?

- Ten różowy na końcu korytarza.

- O kurczę, ten jest najładniejszy!

- Ja tymczasem dokończę prasowania i poszukam czegoś odpowiedniego w mojej czarodziejskiej szufladzie.

- A dużo masz tego prasowania?

- Jeszcze na jakieś pięć minut roboty. Idźcie już, a zanim wrócicie, będę gotowa.

- Dobra, chodźmy! - Loveday uśmiechnęła się do Judyty.

Wypadła z pokoju tak szybko, że Judyta, która jeszcze schyliła się po swoją torbę, musiała biec, żeby za nią nadążyć. Korytarz zamykały z każdej strony drzwi z wa-chlarzowatym okienkiem w górnej części. Pod koniec skręcał w prawo, prowadząc do nowego skrzydła domu. Judyta dopiero teraz zdała sobie sprawę z wielkości tego budynku. Przez wysokie okna widać było trawniki ogrodzone żywopłotami z eskalonii, za którymi rozciągały się pastwiska poprzedzielane kamiennymi murkami. Pasły się tam stada krów rasy guernsey. Nie miała jednak czasu dłużej się temu przyglądać, bo Loveday zatrzymała się tylko na chwilę, aby mogła ją dogonić, i popędzała, aby szła dalej.

- Ależ to ogromny dom! - stwierdziła z podziwem Judyta.

- Rzeczywiście, bo i rodzinę mamy dużą, i ciągle ktoś do nas przyjeżdża. W tym skrzydle są same pokoje gościnne. - Idąc Loveday otwierała i zamykała drzwi od pokoi, które mijała, tak aby było widać wnętrza. - To jest żółty pokój, łazienka, a tam jest błękitny pokój... Zwykle tu mieszka Tommy Mortimer. O, i teraz tu jest, poznaję jego szczotki do włosów i jego zapach.

- A jak on pachnie?

- Cudownie. To jest to coś, czym sobie smaruje włosy. A to duży, dwuosobowy pokój. Widziałas kiedyś takie stare łoże z baldachimem? Może jeszcze królowa Elżbieta na nim spała? Tu jest jeszcze jedna łazienka, a za nią garderoba. Kiedy ktoś przyjeżdża z dzieckiem. Mary wstawia tam łóżeczko. Dalej jest następna łazienka, a za nią już twój pokój.

Loveday z nie skrywaną dumą wprowadziła Judytę do pokoju mieszczącego się za ostatnimi drzwiami. Był wy-

łożony boazerią jak wszystkie pokoje w tym domu, a przy dwóch oknach wisiały zasłony z grubego różowego kretonu. Różowy był także dywan, a łóżko, o czterech słupkach zakończonych mosiężnymi gałkami, przykrywała lniana kapa, biała i chrzęszcząca jak świeży śnieg, zdobiona mereżkami i haftowanymi stokrotkami. W nogach łóżka znajdował się stojak na bagaże. Umieszczona na nim torba Judyty wydawała się mała i skromna.

- Jak ci się podoba ten pokój? - spytała Loveday.

- Och, jest prześliczny!

W rzeczy samej, w pokoju znajdowała się też toaleta przykryta tym samym różowym kretonem, z którego były zasłony. Stało na niej trój skrzydłowe lustro, porcelanowy półmisek z różanym motywem i takiż flakonik z pękiem małych, wielokwiatowych różyczek. Do wyposażenia tego uroczego pokoju należała także szafa w stylu wiktoriańskim i dopasowany do niej fotel, zarzucony różowymi poduszkami. U wezłowia łóżka stał nocny stolik z lampką i karafką wody z nasadzoną na szyję szklaneczką. Pomyślano także o blaszanej puszcze z herbatnikami - to na wypadek, gdyby gość w środku nocy poczuł głód!

- A tu masz swoją łazienkę - informowała Loveday.

Kompletnie oszołomiona, Judyta zajrzała do tego pomieszczenia i aż ją zatkało na widok posadzki z czarnych i białych kafelków, ogromnej wanny, złożonych kurków, śnieżnobiałych ręczników, buteleczek z olejkami do kąpieli i miseczek pachnącego talku.

- To naprawdę tylko moja łazienka? - zapytała.

- Wspólna dla dwóch pokoi, ale w tej chwili w pokoju z tamtej strony nikt nie mieszka, więc będziesz ją miała tylko dla siebie. - Loveday wróciła do sypialni tylko po to, żeby otworzyć szeroko okno i wychylić się przez nie. - Popatrz, jaki tu masz widok! Jak się lepiej przyjrzysz, możesz zobaczyć morze!

Judyta wychyliła się więc z okna razem z nią, opierając się łokciami o parapet. Obie wdychały chłodne morskie

powietrze. A kiedy Judyta mocno wyciągnęła szyję, zobaczyła w dalszej perspektywie tafłę morza.

Dużo bardziej interesowało ją jednak to, co znajdowało się bliżej.

Brukowany dziedziniec z trzech stron otaczały budynki kryte łupkowym dachem. W środku podwórza ustawiono gołębnik, wokół którego nieustannie krążyły białe gołębie, podfruwały, siadały i czyściły piórka, gruchając z ukontentowania. Pod ścianami, w długich drewnianych skrzynkach, nasadzono mnóstwo wonnego laku. Bardziej przyziemnymi oznakami toczącego się tu życia były pojemniki na śmieci, chłodnia na zwierzynę i linka do bielizny, na której suszyły się uprane ścierki. Tam gdzie kończył się dziedziniec, zaczynała się zwirowana droga, a za nią z kolei płat murawy dochodzący aż do linii drzew. Te zaś, jeszcze bezlistne, uginały się pod powiewem wiatru od morza lub tylko trzepotały gałązkami.

Początkowo nie było widać żywej duszy, aż w którymś momencie otworzyły się na dole jakieś drzwi i wyszła z nich dziewczyna w liliowym roboczym fartuchu. Niosła miskę obierzyn, które wysypała do jednego z pojemników.

- To dla świń pani Mudge! - poinformowała Loveday konspiracyjnym szeptem.

Dziewczyna nie spojrzała nawet w ich stronę, tylko nałożyła pokrywę pojemnika na miejsce, pomacała ścierki na sznurze, czy już wyschły, i znikła w tych samych drzwiach, z których wyszła.

- Kto to był? - spytała Judyta.

- To Hetty, nowa podkuchenna. Pomaga kucharce, pani Nettlebed, której mąż jest naszym kamerdynerem. Ona jest bardzo miła, ale on bywa czasem strasznie nerwowy. Mama mówi, że ma wrzód żołądka.

Kamerdyner! Zapachniało to już całkiem wyższymi sferami. Judyta wychyliła się jeszcze bardziej z okna i spojrzała w dół.

- Czy może tu jest stajnia, gdzie trzymasz swojego kucyka?

- Nie, tam jest kotłownia, magazyn opału i umywalnia dla ogrodników. Stajnie są dalej, stąd ich nie widać, ale po obiedzie pójdziemy zobaczyć Tinkerbella. Jeśli zechcesz, będziesz mogła na niej pojeździć.

- Ja... jeszcze nigdy nie jeździłam konno - przyznała się Judyta, nie dodając tylko, że zawsze bała się koni.

- Tinkerbella to nie koń, tylko kucyk. Jest taka słodka, nie gryzie ani nie kopie. - Loveday przez chwilę nad czymś się zastanawiała, a potem dodała: - Dziś jest sobota, więc pewnie przyjedzie Walter...

- Kto to jest?

- Walter Mudge, którego ojciec gospodarzy w Lidgery i pomaga mojemu tatusiowi w majątku. Walter ma szesnaście lat i jest naprawdę miły. W weekendy czasem wyrzuca gnój spod koni albo pomaga ogrodnikowi, żeby zarobić na motorower.

- Czy także jeździ konno?

- Tak, trenuje myśliwskiego konia tatusia w te dni, kiedy tatuś nie ma czasu, bo na przykład ma posiedzenie sądu albo jakieś ważne zebranie. - Nagle cofnęła głowę i zmieniła temat. - Chodźmy się rozpakować, bo robi się zimno.

Judyta nie miała zbyt wiele do rozpakowywania, ale Loveday pomogła jej umieścić wszystkie rzeczy na właściwych miejscach. Kapelusz i płaszcz powędrowały do szafy, w której wieszaki były obite różowym aksamitem, a wewnątrz pachniało lawendą. Koszulę nocną Judyta ułożyła na poduszce, szlafrok powiesiła za drzwiami, bieliznę na zmianę wsadziła do szuflady, a przybory do mycia zaniosiła do łazienki. Pamiętnik i wieczne pióro położyła na nocnym stoliku, obok budzika i najnowszej powieści Artura Ransome'a.

Kiedy skończyła rozmieszczać swoje skromne fatała-szki, rozejrzała się i stwierdziła, że w tym luksusowym wnętrzu prawie ich nie widać. Loveday nie dała jej jednak zbyt dużo czasu na rozmyślanie, gdyż znudziła się już

pełnieniem honorów domu. Wepchnęła nogą pustą torbę Judyty pod łóżko i zakomenderowała:

- No, to tyle. Teraz chodźmy do Mary, żeby sprawdzić, czy wygrzebała dla ciebie coś do przebrania.

Nie wiem jak ty, ale ja, jeśli zaraz nie zdejmę tego ohydneho mundurka, to zacznę wyc!

Wyprysnęła z pokoju i pobiegła z powrotem korytarzem do pokoju dziecinnego. Tupała przy tym ostentacyjnie, aby zademonstrować swoją niezależność od regulaminu szkolnego.

Mary zakończyła już prasowanie, złożyła deskę i odstawiła żelazko na bok, aby wystygło.

Dziewczynki zastały ją klęczącą przed potężną komodą z wysuniętą najniższą szufladą. Wokół leżały poukładane w kupki różne części garderoby.

- I co, znalazłaś coś? - Loveday nie mogła się doczekać. - To nie musi być nic eleganckiego, może być cokolwiek.

- Jakie znów „cokolwiek”? Chyba nie chcesz, żeby twoja przyjaciółka wyglądała jak łachmaniara?

- Ależ, Mary, ten sweter jest całkiem nowy. Athena kupiła go na ostatnie święta. Co on robi w tej szufladzie?

- Spytaj o to Atheny. Wystarczy, że zaczepiła łokciem o drut kolczasty, i już więcej nie włoży tego swetra, choć zaszyłam dziurkę bez śladu. Taka z niej damulka!

- Trzymaj, to kaszmirowy sweter!

Loveday rzuciła go Judycie, której się zdawało, że łapie puszek z mleczka. Nigdy jeszcze nie miała swetra z tak lekkiej i miękkiej wełny, a ten jeszcze w dodatku był w jej ulubionym kolorze: czerwony jak jagody ostrokrzewu!

- A tu mamy taką ładną bluzkę z wykładanym kołnierzem - ciągnęła dalej Mary. - Bóg jeden wie, dlaczego Athena nie chce już jej nosić. Widać się jej znudziła, A tu mam szorty, w których kiedyś grała w hokeja. Zatrzymałam je, bo myślałam, że się przydadzą Loveday.

Szorty były z granatowej flaneli, układane w fałdy jak krótka spódnica-spodnie.

Loveday zaakceptowała ten ubiór.

- Może być, prawda, Judyto? Mary, jesteś wspaniała! -Oplotła chudymi ramionkami szyję niańki w dławiającym uścisku. - Jesteś najlepszą Mary na świecie! Judyto, idź szybko się przebrać, bo muszę jeszcze wszystko ci pokazać!

Judyta zaniósła pożyczone części garderoby do swojej nowej sypialni. Zamknęła drzwi za sobą i ułożyła sweter, bluzkę i szorty na łóżku z takim samym namaszczeniem, jak czyniła to jej matka, przebierając się na jakieś przyjęcie. Właściwie czuła się podobnie, choć była to tylko zwykła sobota, ale cała atmosfera tego domu miała w sobie coś odświeżającego.

Jeszcze ważniejsze dla niej było to, że choć przez chwilę mogła być sama. Już zapomniała, kiedy ostatni raz nikt jej o nic nie pytał, nie poszturchiwał, nie polecał albo nie zabraniał zrobienia czegoś. Poczowała ogromną ulgę, że nikt ani nic nie zakłóca jej spokoju. Będzie mogła pobycć chwilę sama, we własnej sypialni, otoczona tyloma pięknymi przedmiotami! Podeszła do okna, otworzyła je i wychyliła się na zewnątrz, obserwując gołębie i nasłuchując ich gruchania.

Nareszcie sama, po całych tygodniach czy nawet miesiącach, podczas których tyle się działo! Święta spędzone w Plymouth, pakowanie się w Riverview, zakupy szkolnego ekwipunku, pożegnanie z matką i siostrą! A w Szkole Świętej Urszuli nie mogła liczyć nawet na sekundę odosobnienia. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo potrzebowała tych chwil samotności. Dostarczały jej nie tylko przyjemności duchowej, co zmysłowej, podobnej do tej, którą daje dotknięcie śliskiego jedwabiu, pływanie nago lub spacer po pustej plaży. Samotność działała na nią regenerująco i odświeżająco. Przyglądając się gołębim modliła się, by Loveday nieprędko tu przyszła. Nie żeby miała coś przeciwko tak serdecznej i gościnniej koleżan-

ce - potrzebowała tylko trochę czasu, aby na powrót dojść do siebie.

Od strony lasów dobiegła palba - panowie wciąż jeszcze strzelali do gołębi. Grzechot strzałów spłoszył oswojone białe gołębie w gołębniku. Przestraszone podfrwały, trzepotały skrzydłami, ale zaraz siadały z powrotem na grzędę, puszyły się i zaczynały czyścić piórka.

Loveday jeszcze nie wróciła - widać szukała dla siebie stroju, który byłby krańcową odmiennością znieawidzonego szkolnego mundurka. Judyta zamknęła więc okno, rozebrała się i powoli, napawając się urokiem nowości, zaczęła wkładać na siebie części garderoby Atheny Carey-Lewis. Umyła ręce mydłem marki „Chanel”, wyszczotkowała włosy, związała je z tyłu granatową wstążką i dopiero wtedy przejrzała się w lustrze zamontowanym w drzwiach szafy. Zaskoczyła ją zmiana jej dotychczasowego wyglądu - była teraz szczupła i elegancka. Ta nowa Judyta wyglądała już prawie jak dorosła osoba. W lustrze widziała odbicie swojej zadowolonej miny, co wywołało uśmiech na jej wargach. W tym momencie pomyślała, że chętnie podzieliłaby się swoimi wrażeniami z matką, ale równocześnie uświadomiła sobie, że matka nie poznałaby tak odmienionej córki.

Akurat otworzyły się drzwi i wpadła Loveday.

- Gotowa? Jeszcze nie? To czemu się tak grzebiesz? Kurczę, ładnie wyglądasz. Masz w sobie coś z Atheny. Jej nawet w worku byłoby do twarzy. Może zaczarowała swoje rzeczy i ten czar w nich pozostał? No więc, co teraz robimy?

Judyta nieśmiało zaznaczyła, że jest jej wszystko jedno. Mówiła zupełnie szczerze, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy. Wszystko, co tu widziała, przepełniało ją takim zachwytem, że gotowa była zaakceptować każdą propozycję.

- Mogłybyśmy pójść zobaczyć Tinkerbella... - snuła plany Loveday - ale to zabrałoby sporo czasu, a już niedługo

będzie lunch. Może więc najpierw zwiedzimy dom. Pokażę ci wszystkie pokoje, żebyś potem wiedziała, jak trafić do siebie.

Przypuszczenia Judyty sprawdziły się, gdyż Loveday istotnie włożyła wręcz ostentacyjnie złachane ciuchy. Długie spodnie do jazdy konnej były na tyle wyrosnięte, że widać było spod nich chude łydki, a powyciągany sweter koloru dojrzałych śliwek wyjątkowo harmonizował z fioletową barwą jej oczu. Judyta była jednak pewna, że nie z tego powodu Loveday wybrała właśnie ten sweter. Raczej dlatego, że był on zdefasonowany od częstego prania i pocerowany na łokciach.

- Dobra. Od czego zaczynamy?

- Od samej góry, czyli od poddasza.

Okazało się, że facjatek ze spadzistym dachem jest w tym domu nieskończenie wiele - znajdowały się tam przeróżne składziki i schowki, a także dwie małe łazienki i cztery sypialnie. Mijając je Loveday zmarszczyła nos.

- To pokoje dla służących - wyjaśniała. - Zawsze śmierdzi tam ich potem i nie domytymi nogami.

- Dużo macie służby?

- Tutaj mieszka Janet, która sprząta dom, Nesta, która posługuje na pokojach, i Hetty, która pomaga w kuchni pani Nettlebed.

- A gdzie mieszka pani Nettlebed?

- Nettlebedowie mają oddzielne mieszkanie nad garażami. Teraz zejdziemy po tych schodach. Pokoje gościnne już widziałas, więc zobaczymy pokój mamusi.

- A możemy?

- Pewnie, ona nie ma nic przeciwko temu. Nie będziemy przecież tam gmerać ani nie wypsikamy na siebie wszystkich jej perfum!

Loveday pierwsza wkroczyła dumnie do pokoju matki.

- Czyż to nie jest wspaniałe? Mama niedawno urządziła na nowo ten pokój, sprowadziła nawet z Londynu takiego zwariowanego projektanta. Tatuś był wściekły, bo kazała

zamalować boazerię, ale wydaje mi się, że teraz to lepiej wygląda.

Według Judyty było to stanowczo za mało powiedziane. W życiu nie widziała jeszcze sypialni pełnej tak pięknych przedmiotów. Panowała w niej atmosfera wyrafinowanej kobiecości. Ściany pomalowano na jakiś jasny kolor, który w świetle słonecznym mógł równie dobrze uchodzić za biały, co różowy lub brzoskwiński. Ciężkie story przy oknach pokryte były gęstym różanym deseniem, a białe i zwiewne jak mgiełka firanki poruszał lekki powiew od morza. Na szerokim, podwójnym łożu małżeńskim piętrzyły się poduszki w koronkowych i haftowanych po-włoczkach, a nad nimi wznosił się baldachim z małą złotą koroną wyszytą pośrodku. Słowem, było to łóżko, na którym śmiało mogłaby spać księżniczka.

- Zobacz jeszcze łazienkę - namawiała ją Loveday. - Jest bardzo nowocześnie urządzona.

Judyta szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w błyszczącą czarną glazurę, lustro o różowym odbłasku, białą ceramikę i dobrany do niej gruby biały dywan. Dywan w łazience, to już szczyt luksusu!

- Popatrz, to lustro jest naokoło podświetlone, jak w garderobie aktorki! - tłumaczyła Loveday. - A za lustrem są szafki na kosmetyki, perfumy i inne takie rzeczy.

- A to co takiego?

- To bidet. Takie francuskie urządzenie, w którym można podmywać się od spodu.

- I nogi też można myć?

- Tatuś był tym wręcz zgorszony!

Dziewczęta zaniósł się śmiechem, lecz Judycie na wspomnienie tatusia przyszło do głowy co innego. Rozejrzała się po tej pachnącej damskiej sypialni, próbując znaleźć ślady męskiej obecności, ale niczego takiego nie zauważyła.

- A gdzie są rzeczy twojego tatusia? - zapytała.

- Tatuś ma swoją sypialnię w drugim końcu domu, nad

drzwiami wejściowymi. Lubi obserwować wschodzące słońce, a poza tym musi spać sam, bo strasznie chrapie. Chodź, idziemy dalej.

Wyszły z tej ekstrawaganckiej sypialni i Loveday oprowadziła Judytę po dalszej części domu.

- Tam śpi Athena, a tam Edward. Tu są ich łazienki. Przy pokoju dzieciennym jest pokoik Mary, jej łazienka i mała kuchenka, gdzie może zrobić sobie herbatę czy coś do jedzenia. A to jest mój pokój...

- Od razu poznałam.

- Po czym?

- Po twoich ciuchach na podłodze i zdjęciach koni na wszystkich ścianach.

- Mam tu jeszcze swoje nagrody z zawodów jeździeckich i całą kolekcję misiów. Jest ich już dwadzieścia i każdy ma swoje imię. Zbieram je chyba od urodzenia. Tu są moje książki, a to stary domek dla lalek, bo Mary uważa, że szkoda na to miejsca w dzieciennym pokoju. Chodźmy, bo mamy jeszcze masę miejsc do oglądania...! Tam jest pakamera na przybory do sprzątanania, dalej bieliźniarka i taki zapasowy pokoik, którego używamy, kiedy wszystkie zakamarki są już zatłoczone gośćmi!

Niezauważenie dziewczęta zatoczyły pełne koło, wobec czego znalazły się znów przy głównych schodach. Na tym piętrze pozostały już tylko jedne, zamknięte drzwi.

- A to jest sypialnia tatusia!

Pokój, niezbyt wielki, na tle luksusowego wyposażenia reszty domu wydawał się ponury i ciemny. Meble były ciężkie, utrzymane w style wiktoriańskim, łóżko wąskie i na wysokich nóżkach. Wszędzie panował nieskazitelny porządek. Zasłony uszyte z ciemnego brokatu, a oprawy w kość słoniową szczotki leżały dokładnie na środku komody. Stało tam także zdjęcie Diany w srebrnej ramce, ale poza tym brakowało osobistych akcentów. Był to więc pokój, który nic nie mówił o charakterze jego mieszkańca.

- Ponuro tu, prawda? Ale tatusiowi to się podoba, bo tak było zawsze, a on nie lubi żadnych zmian. Najzabawniejsza jest łazienka, bo ma kształt koła. Mieści się w tej wieży nad werandą, więc kiedy tatuś siedzi w wannie, słyszy głosy wszystkich wchodzących i może się zorientować, kto przyszedł. Jeśli to ktoś, kogo niezbyt lubi, to nie wychodzi z łazienki, dopóki gość nie wyjdzie. Jak widzisz, nie jest zbyt towarzyski.

- A czy on wie, że mam tu nocować? - przestraszyła się Judyta.

- Oczywiście, mamusia go uprzedziła. Nie bój się, on już cię polubił. Jedynymi gośćmi, których stara się unikać, są niektórzy nudni znajomi mamy.

Zeszły na dół i zaczęły zwiedzanie parteru. Judycie od tego wszystkiego już kręciło się w głowie, a na dodatek zdążyła tymczasem zgłodnieć, bo od śniadania upłynęło dobre kilka godzin. Loveday jednak miała niespożyta energię.

- Hall już widziałas, a to jest gabinet tatusia i garderoba dla panów. Wygląda jak sala w klubie i tatuś codziennie po śniadaniu przesiaduje tu całymi godzinami, czytając „Jeźdźca i Myśliwego”. Mama nazywa ten pokój salą tronową. A tam dalej jest sala bilardowa. Nieraz panowie po kolacji grają tu w bilard do późnej nocy albo po południu, jeśli pada. Tego pokoju używamy rzadko, najwyżej zimą podczas wielkich mrozów. Do salonu i tak pójdziemy przed lunchem, a teraz chodźmy do kuchni, to zapoznasz się z panią Nettlebed.

Jak wszędzie, także i tu sercem całego domu była kuchnia. Nie różniła się ona zbyt od typowych kornwa-lijskich kuchni, tylko zamiast pieca kaflowego znajdował się tam nowoczesny trzon kuchenny. Natomiast takie same jak wszędzie były ciemnozielone lamperie, tak samo nad piecem suszyła się bielizna, pod ścianą stał kredens z porcelaną, a na środku pomieszczenia - wielki, do czysta wyszorowany stół.

W kuchni królowała pani Nettlebed, ozdabiając właśnie leguminę kandyzowanymi owocami. Była niska i tęga, ubrana w różowy kitel i biały fartuszek, a wyjątkowo nie-twarzowy biały czepek miała nasunięty nisko na czoło. Od stania przy gorącej kuchni twarz miała zaczerwienioną, a nogi opuchnięte. Kiedy jednak Loveday wpadła do kuchni z okrzykiem: „Już jesteśmy, pani Nettlebed!” - kucharka wcale nie gderwała, że przeszkadza jej w pracy akurat w porze wydawania lunchu... Przeciwnie, na jej okrągłej twarzy malowała się absolutna euforia. Widać było, że Loveday jest jej najdroższym skarbem.

- Królu niebieski, toż to moje maleństwo przyjechało! Chodź tu i daj buziaka swojej starej kucharce! - Rozpostarła szeroko ręce, z palcami rozcapierzonymi jak ramiona rozgwiazdy. Nachyliła się, aby Loveday łatwiej mogła wycisnąć pocałunek na jej policzku. - Aleś urosła! Niedługo już mnie przzerośniesz! A to ta twoja koleżanka? - Tak, to Judyta.

- Miło mi cię poznać, Judyto.

- Dzień dobry pani.

- Przyjechałaś na weekend? No, to ubawisz się setnie z tym moim małym łobuzem.

- A co dziś będzie na lunch?

- Duszona baranina z kartoflami puree i z kapustą.

- Czy kapusta jest z gałką muszkatołową?

- Nigdy inaczej nie podaję kapusty.

- No, to może ją zjem. Panowie już wrócili?

- Właśnie słyszałam ich głosy na podwórzu, jak liczyli, ile kto ustrzelił. Jutro na lunch będziemy jedli pasztet z królika. Potem pójdą jeszcze oczyścić strzelby, więc pewnie zjawią się za jakieś dziesięć minut.

- Dziesięć minut! - Loveday zrobiła przerażoną minę. -Nie wytrzymam aż tyle! Umieram z głodu! Podbiegła do kredensu, otworzyła puszkę biszkoptów i wyciągnęła dwa. Jednego dała Judycie, a drugi znikł w jej ustach.

- Ależ, Loveday! - zaproponowała kucharka.

- Wiem, popsuję sobie apetyt i nie zjem tego pysznego lunchu, prawda? Chodźmy do mamy, może ma coś do picia.

Diana siedziała wygodnie na kanapie w salonie i czytała książkę. Palila przy tym wonnego tureckiego papierosa w nefrytowej cygarniczce, a pod ręką, na małym stoliku, miała popielniczkę i szklankę koktajlu. Wtargnięcie dziewcząt zakłóciło jej odpoczynek, ale przywitała je miłym uśmiechem.

- Jak tam, moje koteczki, dobrze się bawicie?

- Och, tak, zwiedziłyśmy już cały dom, pokazałam jej wszystkie pokoje. Przywitałyśmy się już z panią Nettle-bed, a teraz chciałybyśmy czegoś się napić.

- Na co macie ochotę?

Loveday, zamiast odpowiedzieć, skierowała się w stronę stolika o lustrzanym blacie, na którym stały różne butelki i czyste szklanki. Przejrzała wszystko dokładnie, ale nie znalazła nic odpowiedniego dla siebie.

- Nie ma tego napoju pomarańczowego, który lubię -poskarżyła się matce.

- Może w spiżarni jest jeszcze trochę tego bąbelkowego świństwa. Zadzwoń na Nettlebeda, niech zobaczy.

Loveday nacisnęła guzik dzwonka zainstalowanego w ścianie nad stołem. Tymczasem Diana z uśmiechem zagadnęła Judytę:

- No i jak ci cię podoba mój ukochany dom?

- Jest piękny! A ten pokój to chyba najpiękniejszy!

I rzeczywiście, salon, z boazerią na ścianach i parkietem pokrytym dywanami, pełen był słońca i kwiatów. I to nie żadnych pospolitych żonkili, ale egzotycznych gatunków cieplarnianych, w kolorze fuksji, liliowym i białym. W rogu salonu rosło nawet drzewko kwitnącej różowo kamelii w biało-niebieskim porcelanowym pojemniku. Zasłony, podobnie jak obicia mebli, uszyto z kremowego brokatu, a na kanapach i fotelach leżały stopy poduszek

w pastelowych powłoczkach, jak wielkie, rozdęte cukierki. Na stole pośrodku piętrzył się stos ilustrowanych magazynów, które w szanującym się ziemiańskim domu były „lekturą obowiązkową”. Rejestrowały one sensacje towarzyskie, najnowsze wydarzenia kulturalne i polityczne, jak też wyniki wyścigów. Znajdowały się tam zarówno fachowe pisma rolnicze i hodowlane, jak też magazyny mód i sterta dzienników, które wyglądały, jakby nikt nigdy do nich nie zaglądał.

Judyta najchętniej została sama w tym pokoju, aby zapamiętać dokładnie każdy szczegół, na wypadek gdyby miała tu już nie wrócić. Uwagę jej przykuł pomalowany na biało gzyms kominka, a na nim rząd figurek z miśnieńskiej porcelany, w tym słynne „Trzy małpki”. Nad kominkiem wisiał portret Diany w obłoku błękitnego szyfonu udrapowanego wokół smukłych ramion. Jej złote włosy przetykał promień słońca, a w błękitnych oczach i na wargach igrał cień uśmiechu, jakby malarz i modelka mieli jakieś wspólne sekrety.

Diana zauważyła, że Judyta przygląda się portretowi.

- Podoba ci się? - zagadnęła.

- Bardzo dobrze oddaje podobieństwo.

- Gdzie tam, artysta mocno przesadził! - zaśmiała się Diana. - Ten de Laszlo to straszny pochlebca!

To, co znajdowało się za wysokimi oknami, Judyta uprzednio widziała z góry, więc nie było dla niej niczym nowym. Wypielegnowany ogród opadał tarasami, przechodząc w pasmo krzewów i połacie zapuszczonej trawy przetykanej żonkilami. Z jednej strony salonu drzwi balkonowe otwierały się na mały ogrodzony taras, wyodrębniony z całego ogrodu jak oddzielny pokój. Przylegał on do ściany szklarni, przez którą widać było pnący jaśmin, puszczającą pączki winorośl i staroświeckie wiklinowe meble. Widok ten kojarzył się z leniwym letnim popołudniem, sączeniem drinków lub chińskiej herbaty w cieniutkich porcelanowych filiżankach.

Z krainy marzeń wyciągnęła ją Loveday.

- To takie specjalne miejsce, gdzie moja mama lubi się opalać na golasa!

- Ale tylko wtedy, gdy nikt nie widzi - uzupełniła matka.

- A ja cię kiedyś widziałam!

- Ty się nie liczysz.

W tym momencie drzwi bezszelestnie otworzyły się i czyjś niski głos zapytał:

- Jaśnie pani dzwoniła?

To ten Nettlebed, który miał wrzód żołądka i z tej racji chimeryczne usposobienie! Judyta nie przypuszczała jednak, że jego powierzchowność będzie tyleż oryginalna, co wzbudzająca respekt. Był wysokim siwowłosym mężczyzną, na swój sposób przystojnym, choć o ponurym wyrazie twarzy.

Posepny wygląd potęgowało jeszcze jego ubranie - czarna marynarka, takiż krawat i workowate spodnie - czym przypominał przedsiębiorcę pogrzebowego. Cerę miał bladą i poorly zmarszczkami, a spojrzenie tak stanowcze, że Judycie trudno było sobie wyobrazić, jak ktokolwiek może wydawać mu polecenia.

- Nettlebed, Loveday prosi o coś do picia - oznajmiła Diana.

- Panie Nettlebed, chciałabym się napić gazowanego soku pomarańczowego, a na stoliku go nie ma!

Po słowach Loveday zapanowała cisza. Nettlebed nawet się nie ruszył, tylko przeszywał dziewczynkę swoim przenikliwym spojrzeniem, jak motyla szpilką. Diana też milczała, ale w końcu, aby przerwać nieprzyjemną ciszę, posłała Loveday wymowne spojrzenie. Ta, speszona, zaczęła od początku.

- Proszę, panie Nettlebed, mógłby pan być tak miły i sprawdzić, czy w spiżarni nie ma napoju pomarańczowego?

To rozładowało napiętą atmosferę.

- Oczywiście, proszę panienki. Wydaje mi się, że w spiżarni jest jeszcze cała skrzynka. Zaraz pójde i sprawdzę.

Ruszył w stronę drzwi, ale Diana go zatrzymała.

- Chwileczkę, Nettlebed. Czy panowie już wrócili?

- Tak, proszę pani, tylko muszą jeszcze oczyścić broń.

- Jak im poszło?

- Nieźle, proszę pani. Przynieśli kilka królików i gołębi, a nawet dwa zające.

- Biedna pani Nettlebed będzie miała masę roboty przy oprawianiu tego wszystkiego.

- Myślę, że będę musiał jej pomóc, proszę pani. Kiedy wyszedł zamykając drzwi, Loveday wykrzywiła

twarz i zaczęła go przedrzeźniać:

- „Myślę, że będę musiał jej pomóc, proszę pani!” Nadęty stary dureń!

- Loveday! - skarciła ją matka lodowatym tonem.

- Przecież Edward go tak nazywa.

- Edward też mógłby uważać na to, co mówi. A ty wiesz doskonale, że zwracając się do służby czy też do kogokolwiek innego używamy wyrazów „proszę” i „dziękuję”.

- O rany, po prostu zapomniałam!

- No więc na drugi raz nie zapominaj.

Udzieliwszy tej reprimendy wróciła do przerwanej lektury. Judycie zrobiło się głupio, że mimo woli była świadkiem tej sceny - na Loveday jednak nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Zaczęła przymilać się do matki, przysuwając swoją ciemną czuprynę do jej złotych włosów.

- Co czytasz? - Powieść „Pogoda na dworze”. - O czym to jest? - O nieszczęśliwej miłości.

- A ja myślałam, że miłość zawsze jest szczęśliwa.

- Nie zawsze, kochanie. Nie każda kobieta ma takie szczęście.

Sięgnęła po wysmukłą, koktajlową szklaneczkę, napeł-

nioną złocistym płynem. Na jej dnie, jak drogocenny kamień lub małż morski, spoczywała oliwka. Diana upiła łyceczek i odstawiła szklanę, bo drzwi salonu właśnie się otworzyły i ktoś wszedł. Nie był to jednak pan Nettlebed.

- Tatuś! - wykrzyknęła Loveday, rzucając mu się na szyję.

- Cześć, mała! - Ojciec musiał się schylić, aby uściskać i ucałować córkę. - Dobrze, że już jesteś, bo tęskniliśmy za tobą.

Po tym, jak się uśmiechał, pieszczotliwie czochrając jej włosy, widać było, że bardzo kocha swoje najmłodsze dziecko. Judyta poczuła lekkie ukłucie zazdrości widząc, jaką nie skrywaną miłością otoczona jest jej koleżanka. Wobec niej nikt nigdy tak nie demonstrował uczuć.

Z Loveday uczepioną jego rękawa, jak szczeniak nogawki spodni, pan Carey-Lewis podszedł do żony.

- Diano, kochanie! - Schylił się, aby ją pocałować. - Bardzo się spóźniliśmy?

- Ależ skąd, jest dopiero za piętnaście pierwsza. Jak się udało polowanie?

- Nadzwyczajnie.

- A gdzie są Tommy i Jeremy?

- Tommy już idzie, a Jeremy jeszcze czyści moją strzelbę.

- To ładnie z jego strony.

Judyta przysłuchiwała się tej wymianie zdań, nieśmiałym uśmiechem pokrywając zaskoczenie. Nie przypuszczała bowiem, że pułkownik Carey-Lewis jest o tyle starszy od swojej żony. Właściwie mógłby być jej ojcem, a dziadkiem Loveday. Miał wprawdzie smukłą żołnierską sylwetkę i poruszał się sprężystym krokiem wysportowanego mężczyzny, ale jego włosy były już siwe i przerzedzone, twarz pokryta zmarszczkami, a głęboko osadzone oczy - wyblakłe jak u starego wieśniaka. Do tego dochodziły jeszcze ogorzałe od wiatru policzki i orli nos zwieszający się nad przystrzyżonym po wojskowemu wą-

sikiem. Wysoki i szczupły, nosił sportowe ubranie z twee-du i pumpy, z których jego chude łydki, obciągnięte skarpetami, wystawały jak nogi bociana.

- Powiedział, że to dla niego drobiazg - dokończył, uwolnił się z objęć Loveday, przygładził włosy i zwrócił się do Judyty: - Więc to ty jesteś przyjaciółką Loveday?

Spojrzała mu w oczy, napotykając spojrzenie życzliwe i uważne, ale jakby smutne. Było to tym dziwniejsze, że spotkanie z żoną i córką zdawało się sprawiać im i jemu dużą radość. Wrażenie smutku znikło jednak, kiedy się uśmiechnął i wyciągnął do Judyty rękę.

- Cieszę się, że mogłaś do nas przyjechać.

- To właśnie jest Judyta, tatusiu! - dodała Loveday. Uścisnęli sobie ręce bardzo oficjalnie. Wnętrze jego

dłoni było suche i szorstkie, a tweedowa marynarka pachniała dymem. Judyta wyczuła, że starszy pan musi być bardzo nieśmiały, od razu więc go polubiła i zapragnęła zrobić wszystko, by go ośmielić.

- Czy Loveday zaopiekowała się tobą jak należy? - chciał wiedzieć.

- Tak, oprowadziła mnie już po całym domu.

- No, to przynajmniej będziesz już umiała trafić do swego pokoju! - Zawahał się nie wiedząc, co jeszcze ma powiedzieć. Nie miał wprawy w prowadzeniu lekkiej, salonowej konwersacji i odetchnął z ulgą, kiedy pojawił się następny gość. Tuż za nim postępował Nettlebed, niosąc na srebrnej tacy butelkę napoju pomarańczowego tak uroczyście, jakby niósł dar do ołtarza.

- Witaj, Diano! Bardzo się na nas gniewasz?

- Nie wygłupiaj się, Tommy. Jak ci dziś poszło?

- Świetnie się bawiłem.

Tommy Mortimer zacierał ręce, jakby dopiero co wszedł zmarznięty do ciepłego pomieszczenia i marzył o rozgrzewającym drinku. Także i on był ubrany w tweedowy strój myśliwski z jaskrawożółtą kamizelką. Miał wesołą, chłopięcą twarz, opaloną i gładko wygoloną. Jego gęste włosy

były przy tym prawie całkiem siwe, wskutek czego trudno było zgadnąć, ile właściwie ma lat. Jakoś nie kłóciło się to jednak ze sprężystymi ruchami i nieco teatralnym sposobem bycia. Już samo jego wejście było rodzajem demonstracji, jakby chciał powiedzieć: „Oto jestem, a teraz zacznie się szampańska zabawa!”

Przeszedł przez cały pokój, aby pocałować Dianę w policzek, a potem zaczął hałaśliwie i ostentacyjnie witać się z Loveday.

- Cześć, mały łobuzie! Daj buzi przyszywanemu wujkowi! Jak ci tam idzie w szkole? Nie przerobili cię jeszcze na dobrze ułożoną panienkę?

- Co zadajesz takie głupie pytania?

- Mogłabyś przedstawić Tommy'ego swojej koleżance - podsunęła matka.

- Och, przepraszam - jęknęła Loveday, wyraźnie się popisując. - To jest Judyta Dunbar, z którą chodzę do jednej szkoły, a to jest, hm, hm, Tommy Mortimer!

Tommy zaśmiał się, ubawiony jej demonstracyjną wręcz bezczelnością, i powiedział tylko:

- Cześć, Judyto.

- Dzień dobry panu.

Tymczasem pułkownik Carey-Lewis miał dość ceremonii powitalnych. Nadeszła akurat pora, aby napić się czegoś przed obiadem. Nettlebed nalał więc każdemu wedle upodobań. Tommy Mortimer pił wytrawne martini, pułkownik - piwo, a dziewczynki - sok pomarańczowy. Diana miała nie dopity koktajl w szklance i sączyła go leniwie, nie prosząc o więcej. Tommy ze swoim drinkiem przysiadł się do niej, wdzięcznym ruchem wspierając ramię na poduszkach kanapy. Judyta zaczęła podejrzewać, że może on być aktorem. Nie widziała zbyt wielu przedstawień teatralnych, za to w Porthkerris często chodziła z Heather do miejscowego kina. Z oglądanych filmów nauczyła się języka ciała i wiedziała, jaką wymowę ma wyciągnięte ramię, a jaką na przykład skrzyżowane nogi. Może Tom-

my Mortimer był już znanym gwiazdorem filmowym, tylko ona jeszcze o tym nie wiedziała? Nie, to niemożliwe -gdyby był kimś takim, Loveday powiedziałaaby jej o tym.

Nettlebed zaserwował wszystkim drinki i wycofał się na zaplecze, a Judyta delektowała się napojem pomarańczowym. Był słodki, lecz tak silnie musujący, że obawiała się, czy nie dostanie czkawki. Na wszelki wypadek, aby uniknąć kompromitacji towarzyskiej, piła powoli, małymi łydkami. Czynność ta zaabsorbowała ją tak, że nie zauważyła, jak do salonu wszedł ostatni uczestnik polowania.

Miał buty na gumowych podeszwach, więc nikt z obecnych nie usłyszał jego kroków. Był to młody człowiek w okularach, sztruksowym ubraniu i grubym swetrze robionym ściągaczem. Od razu przy wejściu zatrzymał się, a jego spojrzenie padło na Judytę. Kiedy poczuła, że się jej przygląda, podniosła oczy i też go zauważyła. Przez chwilę patrzyli na siebie niedowierzająco i z pewnym zmieszaniem, lecz gdy młody człowiek się uśmiechnął -Judyta nie miała już wątpliwości, że dobrze go zna.

Ruszył przez cały salon prosto w jej kierunku.

- Ty jesteś tą dziewczynką z pociągu, prawda? - zapytał.

Judyta z radości aż zaniemówiła, więc tylko kiwnęła głową.

- Cóż za nadzwyczajny zbieg okoliczności! Jesteś koleżanką Loveday?

Znów przytaknęła, przy czym jej twarz rozjaśnił mimowolny uśmiech. Był to odruch, nad którym nie mogłaby zapanować, nawet gdyby chciała.

- Jak się nazywasz? - pytał dalej.

- Judyta Dunbar. - Nareszcie mogła wydobyć głos z gardła.

- A ja Jeremy Wells.

- Domyśliłam się od razu.

Diana przyglądała się im ze swego miejsca na kanapie.

- To ty, Jeremy? Musiałeś wejść tu na paluszkach, bo cię nie zauważyłam. Zapoznałeś się już z Judytą?

- Nie musiałem, bo już się znamy. Pierwszy raz spotkaliśmy się w pociągu z Plymouth. Nagle oboje stali się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. W końcu taki zbieg okoliczności nieczęsto się zdarzał. Inni goście chcieli usłyszeć więcej szczegółów na temat ich wspólnej podróży, począwszy od podziwiania okrętów wojennych w Saltash aż do pożegnania w Truro.

- A co porabia twoja siostrzyczka? Ta z pajacykiem? -dopytywał się Jeremy.

- Wyjechała razem z mamą do Kolombo.

- Przepraszam, nie wiedziałem. Na pewno tęsknisz za nimi.

- Pewnie już tam są, ale niedługo przeniosą się do Singapuru, bo mój tatuś zmienił pracę.

- Ty też pojedziesz do niego?

- Na razie nie, najwcześniej za kilka lat.

Teraz Judyta czuła się wspaniale, prawie jak dorosła osoba. Ubrana w kosztowne łąszki Atheny sączyła smaczny sok i napawała się zachwytemi zebranych. Rzuciła tylko ukradkowe spojrzenia na Jeremy'ego, aby się upewnić, że naprawdę znalazł się właśnie tu, w Nancherrow, i należy do grona przyjaciół Carey-Lewisów. Przypomniała sobie, jak wtedy w przedziale otworzył okno i koniec jego szalika dotykał jej nogi. Pamiętała też, jak opowiadała Phyllis o tym spotkaniu zaznaczając, że nie miałyby nic przeciwko temu, aby poznać kogoś takiego jak on.

No i poznała! Jej marzenie się spełniło - nieznajomy z pociągu był tu, przy niej, w salonie.

Akurat rozległ się gong wzywający na lunch. Diana dopiła koktajl, oddała pustą szklankę Tommy'emu Mor-timerowi i zaprosiła całe towarzystwo do jadalni.

- Wy tłumacz mi nareszcie, jak to się stało, żeście się poznali z Jeremym - poprosił Judytę pułkownik.

- To było zaraz po świętach Bożego Narodzenia. Wracaliśmy z Plymouth tym samym pociągiem i siedzieliśmy w jednym przedziale.
 - A coś ty robiła w Plymouth?
 - Spędzałyśmy święta u cioci i wujka, który jest komendantem Technicznej Szkoły Marynarki Wojennej w Keyham.
 - My to znaczy kto?
 - Moja mama, siostrzyczka i ja. Tyle że myśmy jechały do Penmarron, a Jeremy wysiadł już w Truro.
 - Wiedziałaś, że on jest lekarzem?
 - Tak, mówił nam o sobie. A teraz jeszcze dowiedziałam się od Diany, że jego ojciec jest lekarzem domowym w Nancherrow...
- Imię Diany wymówiła z pewnym wahaniem, bo nie była pewna, jak ten dystyngowany, starszy pan zareaguje na taką poufałość wobec jego żony. Pułkownik jednak nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Prawdopodobnie zdążył się już przyzwyczaić, że Diana często lekceważyła formy towarzyskie.
- To pojrządy chłopak - wskazał oczami na Jeremiego. - A jak gra w krykieta! Jest także kapitanem reprezentacji/Kornwalii w rugby. Kiedy w zeszłym roku grali mecz w Twickenham, było na co popatrzeć!
 - O tym też Diana mi mówiła.
 - No, to nie będę cię więcej zanudzać. - Pułkownik się uśmiechnął. - Lepiej opowiedz mi coś więcej o swojej rodzinie. Czy oni wszyscy mieszkają na Dalekim Wschodzie?
 - Tak, w Kolombo.
 - I ty przedtem też tam mieszkałaś?
 - Ja się tam urodziłam! Miałam dziesięć lat, kiedy pierwszy raz przyjechałam do Anglii. Jess urodziła się już tutaj i teraz ma cztery lata.
 - Czy twój ojciec pracuje w administracji państwowej?
 - Nie, w firmie transportowej „Wilson i McKinnon”.

Właśnie dostał służbowe przeniesienie do Singapuru, więc cała rodzina musi się tam przeprowadzić. - Po pewnym namyśle dodała: - Moja mama wolałaby się nigdzie nie ruszać, ale myślę, że spodoba jej się tam, kiedy już będzie na miejscu.

- Też mi się tak wydaje.

Ojciec Loveday zrobił na Judycie duże wrażenie swoją uprzejmością i gościnnością. Odnosił się do niej tak, jakby była kimś szczególnie ważnym. Dzięki temu czuła się w Nancherrow jak u siebie w domu. Kiedy pułkownik zasiadł u szczytu stołu, po jednej swojej stronie posadził Loveday, a po drugiej Judytę. Diana siedziała u przeciwnego końca stołu, mając po lewej ręce Tommy'ego, a po prawej Jeremy'ego. Do towarzystwa dołączyła też Mary Millyway, siadając między Jeremym a Loveday. Tymczasem zdążyła przypudrować nos i przyczesać włosy. Przy stole siedziała opanowana i zrelaksowana, prowadząc swobodną konwersację z Jeremym, którego знаła chyba od niepamiętnych czasów. Relacjonowała mu najnowsze wiadomości od Atheny, a on za to dzielił się z nią ciekawostkami ze swojej praktyki w Szpitalu Świętego Tomasza.

Potrawy przygotowane przez panią Nettlebed nie zapowiadały się rewelacyjnie, ale okazały się wspaniałe. Baranina była duszona w sosie winnym z dodatkiem świeżych grzybów, purée z kartofli - lekkie i puszyste, w sam raz, aby wchłonąć nadmiar sosu, a kapusta - zielona i krucha, posypana mieloną gałką muszkatołową. Panie popijały to wodą, a panowie piwem. Nettlebed poroznosił półmiski z jarzynami, upewnił się, że wszystkie szklanki są pełne, i bezszelestnie zniknął. Judyta odetchnęła z ulgą, że nareszcie się ulotnił, bo mroziła ją sama jego obecność. Już jego przenikliwe spojrzenie wystarczyło, aby użyć niewłaściwych sztuczków, przewrócić szklankę z wodą lub upuścić serwetkę na podłogę.

Na szczęście jak dotąd nie popełniła żadnej z tych gaf,

a gdy jeszcze Nettlebed przestał jej patrzeć na ręce -poczuła się całkiem swobodnie. Pułkownik wrócił do przerwane go wątku.

- I co teraz będzie z tobą? - zapytał. - Poradzisz sobie sama? Jak się czujesz u Świętej Urszuli?

- Dziękuję, wszystko jest w porządku.

- A gdzie będziesz spędzać wakacje i ferie?

- U cioci Luizy.

- Gdzie ona mieszka?

- W Penmarron, blisko pola golfowego.

Akurat w tym momencie miała miejsce przerwa w ogólnej rozmowie przy stole, więc Judyta dodała:

- Jej dom nazywa się Góra Czterech Wiatrów.

Po przeciwnej stronie stołu Loveday parsknęła śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał jej ojciec.

- Czy to... góra... takich wiatrów, które się puszcza? -Loveday dusiła się ze śmiechu, tak że o mało nie udławiła się kęsem baraniny.

Ojciec uratował ją klepnięciem w plecy.

Judyta już zaczęła się niepokoić, że koleżanka zostanie zaraz surowo skarcona lub nawet wyrzucona za drzwi. W głowie jej się nie mieściło, że takie odezwanie przy stole mogłoby ujść płazem.

Tymczasem jednak nikt jakoś nie zgorszył się zachowaniem Loveday. Przeciwnie, wszystkich obecnych ogarnęła taka wesołość, jakby niesforma dziewczynka powiedziała jakiś znakomity dowcip.

Jedna Mary Millyway bąknęła nieśmiało: „No wiesz, Loveday...” - ale nikt, z zainteresowaną włącznie, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Dopiero kiedy Loveday przestała się śmiać i ocierała łzy radości chusteczką wykończoną koronką, Diana wyraziła głośno swoje zdanie:

- Dobrze, że Nettlebeda przy tym nie było! Loveday, jesteś naprawdę niemożliwa... ale przynajmniej można się trochę pośmiać.

Zjedzono już danie główne i zadzwoniono na Nettle-

beda, aby sprzątnął ze stołu. Na deser był placek ze śliwkami i kremem. Pułkownik uznał, że spełnił już swój obowiązek wobec gościa, i poświęcił trochę czasu Love-day, z uwagą wysłuchując jej utyskiwań na wszystkie szkolne kłopoty - niekoleżeńskość Deirdre Ledingham, trudności w nauce algebry i antypatyczną przełożoną. Judyta domyślała się, że znał już te skargi na pamięć, ale nie przerywał córce ani nie próbował się z nią spierać. Pewnie pogodził się z faktem, że Loveday musi zawsze postawić na swoim i jeśli nie dopnie swego wdzięczeniem się i przymilaniem - gotowa jest nawet posunąć się do szantażu. Tak przecież było w przypadku jej ucieczki z poprzedniej szkoły z internatem.

Judyta nałożyła kremu na swoją porcję placka i nadstawiła ucha, Diana i Tommy zaczęli bowiem snuć plany na nadchodzący sezon imprez towarzyskich w Londynie. Wystawa kwiatów w Chelsea, turnieje tenisowe na Wimbletonie, regaty w Henley, wyścigi w Ascot... Przyjemnie było chociaż posłuchać!

- Mam bilety do loży królewskiej...
- Wspaniale, ale będę musiała sprawić sobie parę nowych kapeluszy.
- Wybieramy się na Henley?
- Och, koniecznie! Uwielbiam tę atmosferę i tych starych dziadków w różowych krawatach.
- No więc wybierzemy się całą paczką. Kiedy znów przyjedziesz do miasta?
- Jeszcze dokładnie nie wiem. Może za jakieś dwa tygodnie? Przyjadę samochodem, bo muszę zamówić sobie kilka rzeczy na miarę. Poszukam też projektanta wnętrz, żeby urządził mieszkanie w zaułku Cadogan, bo Athena niedługo wraca ze Szwajcarii.
- Znam świetnego fachowca. Dam ci jego numer telefonu.
- To miło z twojej strony. Powiadomię cię, kiedy się zdecyduję na wyjazd.

- Świetnie. Pójdziemy wtedy do teatru, a potem na kolację w „Savoyu”.
 - Cudownie! - W tym momencie Diana przypomniała sobie o Judycie. - Przepraszam, kochanie, my tu układamy plany, a ty się nudzisz. Przecież to twój dzień, więc wszyscy powinniśmy zajmować się przede wszystkim tobą. Powiedz, co chciałabyś robić dziś po południu? A właściwie... - podniosła głos, mobilizując tym uwagę pozostałych - co wszyscy robimy po obiedzie?
 - Ja chcę przejechać się na Tinkerbelle! - zgłosiła się natychmiast Loveday.
 - Myślisz tylko o sobie, kochanie. A co z Judytą?
 - Ona nie jeździ konno. W ogóle nie lubi koni.
 - W takim razie może byłoby ładniej z twojej strony, gdybyście raz zrobiły to, na co ona ma ochotę?
 - Ależ mnie na tym absolutnie nie zależy! - pospieszyła z odpowiedzią Judyta, obawiając się, że Loveday wpakuje się w jakąś awanturę.
- Ta jednak nawet nie próbowała dyskutować, tylko wprost oświadczyła:
- Mamo, ja naprawdę chciałabym pojechać na Tinkerbelle! Wiesz, że ona musi być regularnie trenowana.
 - Wolałabym, żebyś nie jechała sama. Chyba że tatuś mógłby...
 - Nie będzie sama - wszedł jej w słowo pułkownik. -Dziś młody Walter Mudge pracuje w stajni. Uprzedzę go, żeby osiodłał dwa konie i trzymał je w pogotowiu.
 - Tatusiu, a dlaczego nie możesz sam pojechać ze mną?
 - Mam dużo roboty, skarbie. Muszę napisać kilka listów, wykonać parę telefonów, a na czwartą jestem umówiony z Mudge'em.
- W tym momencie obrzucił pobłażliwym spojrzeniem swoją żonę.
- A ty, kochanie, co robisz dziś po obiedzie?
 - Ustaliłam z Tommym, że zaprosimy Parker-Brownów

na brydża. Ale to jeszcze nie rozwiązuje sprawy naszego gościa...

Judyta poczuła się nagle okropnie zażenowana, jakby sprawiła straszny kłopot goszczącej ją rodzinie. Sytuację pogorszyła jeszcze Diana, zwracając się do Mary Millyway:

- Może ty, Mary...

Przerwał jej Jeremy, który do tej pory nie brał udziału w dyskusji.

- A może ja mógłbym zaopiekować się Judytą? Poszlibyśmy do stajni wszyscy razem, a potem wzięlibyśmy psy i przespacerowali się z nimi nad zatokę.

Serce Judyty przepelniła wdzięczność do tego młodego człowieka, który wybawił ją z kłopotliwego położenia. Teraz zaś uśmiechnął się do niej i zapytał:

- I co ty na to?

- Och, to byłoby świetnie, ale nie chciałabym sprawiać kłopotu. Mogę doskonale sama zająć się sobą.

- Ależ absolutnie nie możesz! - Diana w ogóle nie wzięła pod uwagę jej obiekcji, zadowolona, że wszystko udało się pozytywnie załatwić. - To znakomity pomysł, tylko czy rodzice Jeremy'ego nie będą źli, że spędza cały dzień u nas? W końcu przyjechałeś tylko na weekend, a oni pewnie nie mogą się ciebie doczekać...

- Wyjadę po podwieczorku. I tak ojciec miał dziś dyżur przy telefonie, a wieczór spędzimy już razem...

Diana promieniała.

- No proszę, jak świetnie wyszło! Wszystko załatwione i wszyscy zadowoleni. Judyto, kochanie, na pewno będziesz zachwycona tą zatoczką, mamy tam taką małą prywatną plażę. Tylko musisz ciepło się ubrać, bo nad morzem jest chłodniej niż tu. Loveday, nie zapomnij wziąć toczka!

Odsunęła swoje krzesło od stołu i dokończyła:

- Chodźmy teraz do salonu, napijemy się kawy. Zaproszenie to najwyraźniej nie dotyczyło dziewczynek,

które zostały w jadalni, aby pomóc Mary i Nettlebedowi sprzątnąć ze stołu. Dopiero potem poszły na górę przygotować się do dalszych wyczynów. Obie dostały dodatkowe swetry, a Loveday włożyła jeszcze buty do konnej jazdy, dziane rękawiczki i toczek.

- Nie cierpię jeździć w toczku! - wybrzydzała. - Gumka ciśnie mnie pod brodą!

- Tak ma być i kropka. - Mary była pod tym względem nieugięta.

- A inne dziewczynki jeżdżą bez toczków i jest dobrze!

- Ale ty nie jesteś „inna dziewczynka”, a ja nie mam zamiaru zeskrobywać twego mózgu ze skały.

Bierz swój palcat, a tu macie po cukierku.

- A dla Jeremy'ego i Waltera? - upomniała się Loveday, więc Mary ze śmiechem wyciągnęła jeszcze dwa karmelki ze szklanego słoja na gzymisie kominka.

- No, idźcie już. - Żartobliwie klepnęła Loveday po siedzeniu. - Kiedy wrócicie, będę tu na was czekać z podwieczorkiem.

Dziewczynki zbiegły pędem po schodach i pognały przez korytarz aż pod drzwi salonu.

- Nie wchodźmy do środka, bo zaraz nas zatrzymają -szepnęła Loveday i tylko wsadziła głowę przez uchylone drzwi: - Jeremy, jesteśmy gotowe!

- Poczekajcie na mnie w rusznikarni, zaraz tam będę! -odkrzyknął z salonu. - Przyprawdę Pekoe, bo Tiger już tam jest. Suszy się jeszcze po rannym polowaniu.

- Powodzenia w grze, mamusiu! Do zobaczenia, tatusiu! - Loveday pożegnała się z rodzicami i zamknęła drzwi. - Musimy jeszcze zajrzeć do kuchni i zabrać trochę cukru dla Tinkerbella i Rangera. Tylko pamiętaj, gdyby pani Nettlebed chciała nam dać coś słodkiego, to nie mów, że dostałyśmy już cukierki od Mary.

Pani Nettlebed wprawdzie nie dała im cukierków, ale za to zaproponowała świeżo upieczone ciasteczka, które szykowała na podwieczorek. Były jeszcze ciepłe, więc

dziewczynki zjadły je od razu. Jeszcze tylko dobrały się do cukierniczki i już ich nie było.

- Bawcie się dobrze! - wołała za nimi pani Nettlebed. Kuchennym korytarzem przeszły do rusznikarni, gdzie

przyjemnie pachniało olejem lnianym, starymi płaszczami przeciwdeszczowymi i psią sierścią. W zamkniętych gablotach przy ścianach stały strzelby, wędziska i ościenie, a na specjalnych prawidłach - wysokie rybackie buty. Tiger, wielki czarny labrador, drzemał na swoim posłaniu, lecz słysząc ich głosy, zerwał się na nogi. Cieszył się, że znów będzie miał okazję pobiegać, więc radośnie merdał ogonem.

- Cześć, Tiger! - zagadła do niego Loveday. - Dużo dziś aportowałeś króliczków i gołąbków? A chcesz teraz iść z nami na spacer?

Tiger wydawał pomruki zadowolenia. Ten wielki i groźnie wyglądający pies był na szczęście bardzo łagodny i przyjacielski.

- Pewnie, że chce - odpowiedział w jego imieniu Jeremy, wchodząc do rusznikarni z pekińczykiem pod pachą.

Postawił małego pieska na podłodze i zdjął z wieszaka swoją kurtkę. Podczas gdy się ubierał, psy bawiły się u stóp ludzi. Tiger trącał pekińczyka nosem, a mały Pekoe przewracał się na grzbiet i wymachiwał w powietrzu łapami, jakby pływał na plecach.

- Jak one zabawnie razem wyglądają - zaśmiała się Judyta.

- No nie? Ale chodźcie już, bo Walter czeka. Wyszli przez tylne drzwi prowadzące na brukowane podwórze z gołębnikiem pośrodku. Było to tak, jakby nagle przenieśli się w sam środek zimy. Judytę zaskoczył ten chłód, gdyż w nagrzanym słońcem domu, gdzie działało centralne ogrzewanie i pachniały świeże kwiaty, można było ulec złudzeniu, że przyszła już wiosna. Na dworze panowała wprawdzie piękna pogoda, ale zimne powietrze

rozwiewało wszelkie złudzenia. W końcu była dopiero połowa lutego, więc mimo dodatkowego swetra Judyta zatrzęsała się z zimna.

- Nie bój się, gdy tylko zaczniemy się szybciej ruszać, zaraz będzie ci ciepło - pocieszył ją Jeremy. Stajnie znajdowały się o kawałek drogi od domu, osłonięte rzadkim dębowym zagajnikiem. Prowadził do nich żwirowany podjazd. Nadzwyczaj schludnie utrzymane stajnie, ustawione w czworobok, okalały dziedziniec, gdzie czekały już dwa osiodłane wierzchowce, przywiązane do żelaznych kółek w murze. Były to siwy kucyk Tinkerbelle i gniady irlandzki hunter Ranger. Mała siwa klaczka wyglądała sympatycznie, ale potężny gniadosz wydał się wystraszonej Judycie wielki jak słoń. Wprost tryskał energią, a pod wyczyszczonej do połysku sierścią rysowały się dobrze rozwinięte mięśnie. Judyta chętnie poklepałaby czy nawet poczęstowała cukrem kuczka, ale od osobistego wierzchowca pułkownika wołała trzymać się z daleka.

Przy koniach stał młody człowiek, dociągający właśnie popręg siwemu kucowi. Na widok przybyszów opuścił tybinę u siodła i stanął w postawie wyczekującej, z ręką na kłębie konia.

- Cześć, Walter! - zawołała Loveday.

- Cześć! - odkrzyknął.

- Już masz wszystko gotowe? Skąd wiedziałeś, że przyjdziemy?

- Pan Nettlebed wysłał swoją Kitty z wiadomością, że wybierasz się na przejażdżkę. - W tym momencie zauważył Jeremy'ego i dodał: - Cześć, Jeremy, nie wiedziałem, że przyjechałeś.

- Mam akurat wolny weekend. Jak ci leci?

- Pomalutku. Przejedziesz się z nami?

- Może kiedy indziej. Dziś idziemy z psami nad morze. To jest Judyta Dunbar, koleżanka Loveday ze szkoły.

- Cześć, Judyto! - Walter kiwnął jej głową.

Był to przystojny młody mężczyzna, szczupły, smagły i czarnowłosy jak Cygan, z oczyma jak ziarna palonej kawy. Miał na sobie sztruksowe bryczesy, koszulę z grubego materiału w niebieskie paski i skórzaną kamizelkę. Ciekawe, ile mógł mieć lat? Szesnaście, może siedemnaście? Chyba więcej, bo na jego policzkach widniał cień zarostu jak u dorosłego mężczyzny. Judycie przypominał Heathcliffa z „Wichrowych wzgórz”. Teraz już nie dziwiła się, dlaczego Loveday tak rwała się do jazdy konnej. W towarzystwie takiego Waltera nawet dla niej konie stawały się atrakcyjne. Wraz z Jeremym przyglądała się, jak Loveday i Walter dosiadają swoich wierzchowców. Waltera nikt nie musiał podsadzać. Wskoczył na siodło bez wysiłku, z takim wdziękiem, jakby celowo chciał się popisać.

- Baw się dobrze! - zawołała Judyta na pożegnanie.

- Ty też! - Loveday zasalutowała jej palcatem. Stukot kopyt ścichł, gdy konie opuściły wybrukowane podwórze i weszły na żwirowaną drogę. Para jeźdźców prezentowała się efektownie na tle pogodnego zimowego nieba, dopóki nie przeszła w kłus i nie znikła za dębowym zagajnikiem. Wkrótce umilkł także tętent koni.

- Dokąd oni mogą pojechać? - dopytywała się Judyta.

- Przypuszczalnie tą ścieżką aż do Lidgey, a stamtąd na wrzosowiska.

- Chciałabym tak lubić konie jak oni...

- Konie albo się lubi, albo nie. Chodźmy, bo robi się zimno.

Początkowo szli tą samą drogą, którą obrali jeźdźcy. W którymś momencie jednak skręcili w prawo. Ścieżka opadała tu w dół ku brzegowi morza, przechodząc przez ogrody. Psy pobiegły naprzód i wkrótce znikły z pola widzenia.

- Chyba się nie zgubią? - upewniała się Judyta, poczuwając się do odpowiedzialności za powierzone jej opiece zwierzęta.

- One znają drogę równie dobrze jak ja - pocieszył ją Jeremy. - Zanim dojdziemy do zatoki, one już tam będą, a Tiger zdąży sobie nawet popływać.

Jeremy szedł pierwszy ścieżką, która wiała się w kierunku morza. Strzyżone trawniki i grządki z kwiatami zostały daleko w tyle, a przed nimi pojawiła się teraz furtka z kutego żelaza, za którą kłębił się gąszcz subtropikalnych roślin. Można było tam spotkać krzewy kamelii, późnych hortensji i okazałych różaneczników, kępy bambusa i wysokopiennie palmy, których korę pokrywały naroślą przypominające gęsty czarny włos. Nad nimi kołysały się bezlistne gałęzie buków i wiązów, na których siedziały chmary kraczących gawronów. Z gęstego podszycia płożącego bluszczu, mchu i paproci wypływał strumyk, pluszcząc w swym skalistym korycie równoległym do ścieżki. Od czasu do czasu przecinał ją i wtedy przechodziło się przez drewniane mostki z ozdobnie rzeźbionymi poręczami w nieco orientalnym stylu. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był tu szum wody i wiatru w gałęziach drzew, gdyż gruba warstwa zbutwiałych liści na ścieżce tłumiała odgłos kroków. Tylko kiedy przechodzili przez mostki - deski skrzypiały im pod nogami.

Po przejściu ostatniego mostka Jeremy poczekał na Judytę, aby się z nim zrównała. Psów dalej nie było widać.

- No i jak się czujesz?

- Wszystko w porządku.

- To świetnie, bo teraz przejdziemy przez tunel! Znów poszedł przodem. Ścieżka schodziła tam w dół i ginęła w gąszczu olbrzymich tropikalnych roślin *gun-nera*, o kolczastych łodygach i liściach wielkich jak parasole. Judyta widziała już przedtem takie rośliny, ale nie tyle naraz i nie tak rozrośnięte. Teraz robiły na niej niesamowite wrażenie i trzeba było odwagi, aby przejść pod nimi, gdyż całkowicie odcinały dostęp światła słonecznego. Przypominało to przechodzenie przez podwodny tu-

nel - też było tam mokro i przez liście przeświecała zielona poświata.

Ślizgając się po stromo opadającym podłożu, starała się nadażyć za Jeremym.

- Nie lubię tych roślin! - powiedziała głośno. Jeremy obejrzał się ubawiony.

- W Brazylii używają ich liści jako osłony przed deszczem - poinformował Judytę.

- Wolałabym już zmoknąć.

- Jeszcze trochę, zaraz wychodzimy. Rzeczywiście, po chwili wynurzyli się z mroku i wyszli na oświetloną popołudniowym zimowym słońcem połąć. Judyta stwierdziła, że znajdują się na obrzeżu dawno nie eksploatowanego kamieniołomu. Ścieżka przeszła tu w schodzące zakosami pasmo stopni, po których zeszli do podnóża skalnego wyrobiska. Ten sam strumyk, którego szum przez cały czas im towarzyszył, na krawędzi urwistego wybrzeża zamieniał się w wodospad, spływający kaskadami w szczelinę skalną, zieloną od mchu i paproci. W powietrzu unosiła się mgiełka rozbryzganych kropelek wody. Szum tego wodospadu stale dźwięczał w uszach Judyty. Ze ścian starego kamieniołomu zwieszały się girlandy pnąca *Mesembryanthemum*, a na jego dnie pojedyncze skałki wyzierały z gęstwiny jeżyn, paproci, róży jerychońskiej, firletki i złocistożółtych podbiałów. W powietrzu unosił się słodki zapach kwitnącego ostrokrzewu, mieszający się z przenikliwą wonią wodorostów. Po tym Judyta poznała, że są już blisko plaży.

Oboje ostrożnie zsunęli się w dół po zaimprovizowanych, spadzistych stopniach. W dole ścieżka była już wąska jak nitka i razem ze strumykiem wiła się między skałkami. Po drugiej stronie kamieniołomu znajdowało się dawne wejście - drewniana brama, do której dochodziło się po trawiastej skarpie.

Strumyk znikał tu w kanale, a Jeremy i Judyta wspięli się po skarpie, przeszli przez bramę, a stamtąd przedostali się na żuźlową wiejską drogę.

Kończyła się ona starym kamiennym murkiem, a za nim był już brzeg morski.

Dopóki chroniła ich gęsta roślinność, nie odczuwali zimna. Tu natomiast nic nie osłaniało ich przed południowo-wschodnim wiatrem. Słońce skryło się za chmurką, a na intensywnie błękitnej tafli morza powstawały białe grzywy fal. Jeremy i Judyta przeszli na drugą stronę drogi przez wyłom w murze. Brzeg na szczęście nie był zbyt stromy i można było wygodnie zejść w dół trawiastą ścieżką, wijącą się między kępami kolczastego ostrokrzewu, paproci i pierwiosnków. Trwał akurat odpływ, więc widać było półksiężycowaty spłachetek białego piasku. Znajomy strumień wypływał tu z podziemnego przepustu i zamieniał się w słodkowodny kanał wpadający do morza. Tym samym dzielił plażę na dwie części. Szum wiatru mieszał się z szumem fal bijących o brzeg i piskiem mew nad głowami.

Jeremy słusznie przewidział, że psy przybędą tu pierwsze. Tiger zdążył się już wykapać i był cały mokry, a Pekoe wykopał w piasku dołek i wygrzebał z niego jakąś cuchnącą padlinę. Oprócz psów, mew i ich obojga na plaży nie było żywej duszy.

- Czy w ogóle ktoś tu przychodzi? - spytała Judyta.

- Nie, wydaje mi się, że mało kto wie o istnieniu tej zatoki - wyjaśnił Jeremy, opuszczając się w dół tak, aby ominąć sterczące skałki.

Judyta schodziła za nim, aż dotarli do skalnej półki zwieszającej się nad samą plażą, różowej i żółtej od porostów.

- Widzisz, brzeg jest tu wysoki - tłumaczył. - Kiedy nadchodzi przypyływ, woda osiąga nieraz głębokość do dwudziestu stóp, a przezroczysta jest jak szkło, więc świetna do nurkowania. Umiesz nurkować?

- Tak. Tatuś mnie nauczył w basenie hotelu „Galie” w Kolombo.

- Więc musisz przyjechać tu latem i pokazać nam, co

umiesz. Na tej skale urządzamy też pikniki, bo nie dochodzi tu fala przyływu, więc nie ma obawy, że zmyje termosy. To miejsce jest też w miarę dobrze osłonięte od wiatru. Właściwie moglibyśmy tu na chwilę usiąść.

Pokręcili się trochę, aż znaleźli skalną grzędę na tyle mocną, by ich utrzymała. Judycie nie było już zimno, nie tylko z powodu wysiłku. Teraz rozgrzewały ją zarówno promienie słońca, jak też towarzystwo sympatycznego i bezpretensjonalnego młodego człowieka.

- Nie wiem, czy widziałeś kiedyś plażę w Penmarron - zaczęła. - Jest zupełnie inna od tej. Właściwie to nie plaża, tylko pustynia, a przed północnym wiatrem można się tam schronić tylko na wydmach.

Oczywiście jest tam ładnie, ale tu jest... - urwała szukając odpowiedniego słowa.

- Przytulniej? - uzupełnił Jeremy.

- Tak, właśnie o to mi chodziło. Bardzo się cieszę, że mnie tu sprowadziłeś, ale chyba nie traktowałeś tego jako obowiązku? Zwykle bardzo dobrze radzę sobie sama.

Po krótkiej przerwie zmieniła temat.

- Znasz tu wszystko dobrze, prawda? I wszystkich. To tak, jakbyś był u siebie w domu, ale przecież nie jesteś.

Jeremy odchylił się do tyłu, bo miał zamiar zacząć dłuższą przemowę.

- Widzisz, bywam tu już od tak dawna, że jest to jakby mój drugi dom. Poznałem Carey-Lewisów, odkąd mój ojciec został ich lekarzem domowym. A kiedy urosłem i zacząłem grywać w rugby i krykieta, pułkownik otoczył mnie troskliwą opieką, bo sam był fanatykiem tych gier. Bywał na wszystkich meczach, kibicując mojej drużynie. Potem zaczął zapraszać mnie na polowania, choć mój ojciec nie mógł zrewanżować mu się tym samym.

- A ich dzieci, to znaczy Athena i Edward? Zaprzyjaźniłeś się także z nimi?

- Tak, chociaż są ode mnie dużo młodszy. Kiedy Athena zaczęła chodzić na tańce, powierzano ją mojej opiece.

Nie oznaczało to, że miałem z nią tańczyć. Zabierałem ją tylko na przyjęcia, bo jej rodzice ufali, że odwozę ich córkę bez szwanku z powrotem.

- Nie było ci przykro, że nie tańczyła z tobą?

- Niespecjalnie, bo i bez tego miałem powodzenie u dziewcząt.

- Zawsze była taka piękna, prawda?

- Zachwycająca, tak samo jak jej matka. Wszystkich facetów mogła owinać sobie wokół palca.

- A Edwarda znasz dobrze?

- Nawet bardzo dobrze. W czasie studiów wiecznie byłem bez grosza, więc pułkownik zaproponował mi dobrą pracę wakacyjną. Miałem być korepetytorem Edwarda, żeby mógł pozdawać wszystkie egzaminy i dostać się do Harrow. Uczyłem go także grać w tenisa i krykieta, jeździłem z nim nawet do jacht klubu w Penzance, gdzie trenował żeglarstwo. Jak widzisz, poświęciłem mu dużo czasu.

- Teraz już rozumiem...

- Co takiego?

- ...dlaczego uważasz się za członka tej rodziny.

- Można powiedzieć, że mnie wchłonęli. A ty czego się spodziewałaś, kiedy zaproszono cię do Nancherrow na weekend?

- Niczego szczególnego.

- Pierwsze wrażenie zawsze jest jakimś przeżyciem, ale nie wydajesz się tym przytłoczona.

- Nie, ale tylko dlatego, że wszyscy są tu tacy mili. Inaczej to ich bogactwo byłoby przerażające.

Kamerdynerzy, kucyki, niańki, polowania... Dotychczas nie znałam w Anglii nikogo, kto miałby kamerdynera. Na Cejlonie to co innego, wszyscy Anglicy mają tam służbę, ale tu większość ludzi ma tylko dziewczyny do wszystkiego. Czy pułkownik jest aż tak bogaty?

- Nie bardziej niż inni właściciele ziemscy w Kornwalii.

- Ale...

- Z nich dwojga Diana miała więcej pieniędzy - wyjaśnił. - Była jedyną córką lorda Awliscombe'a, który posiadał olbrzymi majątek i wszystko zapisał jej w testamencie. Kiedy umarł, była wystarczająco dobrze zabezpieczona.

- No, to poszczęściło się jej pod każdym względem. I piękna, i bogata, i jeszcze taka miła. Niejednemu wystarczyłaby jedna z tych zalet. Może nie tyle jest piękna, co tak młodo wygląda. Trudno uwierzyć, że ma już dorosłe dzieci.

- Miała tylko siedemnaście lat, gdy wyszła za Edgara.

- Edgar to pułkownik?

- Tak. Był dużo starszy od Diany, ale adorował ją tak skutecznie, że w końcu ją zdobył. Masz pojęcie, co to był za ślub?

- Jeśli tak bardzo ją kocha, to czy nie jest zazdrosny o takich ludzi jak Tommy Mortimer?

- A uważasz, że powinien być? - zaśmiał się Jeremy. Judyta nagle wydała się sama sobie staroświecka i małostkowa. W zakłopotaniu zaczęła się plątać.

- To znaczy... wydawało mi się... zastanawiałam się, czy on czasem nie jest aktorem.

- Dlatego że tak pięknie mówi i wylewnie gestykułuje? Rzeczywiście można go wziąć za aktora, ale jest złotnikiem, współwłaścicielem ekskluzywnego sklepu jubilerskiego na Regent Street. Można tam kupić na przykład pierścionki zaręczynowe c/y drogie prezenty ślubne... Moja mama była tam tylko raz, aby sobie przekłuć uszy, a z miejsca poczuła się jak milionerka.

- Czy on, to znaczy Tommy Mortimer, jest żonaty?

- Nie. Rozgłasza wszem i wobec, że kocha tylko Dianę, ale wydaje mi się, że faktycznie jest przywiązany do kawalerskiego stylu życia i nie chciałby rezygnować z wolności. Na pewno jest bardzo zaprzyjaźniony z Dianą

i zajmuje się nią w trakcie jej wypadów do Londynu,

a tu bywa od czasu do czasu, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

Judycie nadal trudno było to zrozumieć.

- I pułkownik nie ma nic przeciwko temu?

- Jakoś nie. Po prostu każde z nich żyje własnym życiem i ma odrębne zainteresowania. Diana utrzymuje w Londynie małe mieszkanie, gdyż co jakiś czas musi zakosztować wielkomiejskiego życia. Z kolei Edgar źle się czuje w Londynie i przyjeżdża tam tylko po to, żeby odwiedzić swego maklera giełdowego lub obejrzeć mecz krykieta. A nawet i wtedy nie zatrzymuje się w mieszkaniu Diany, tylko w swoim klubie. Zawsze był typowym ziemianinem, dla którego liczył się tylko majątek, gospodarstwo, polowanie na bażanty i łowienie łososi. Jest także ławnikiem i zasiada w radzie hrabstwa, więc wiecznie ma coś do roboty. Zresztą, jak mówiłem, jest dużo starszy od Diany i gdyby nawet chciał uczestniczyć w jej rozrywkach, nie dotrzymałby jej kroku.

- A jakie rozrywki ona lubi?

- Zakupy, grę w brydża, kolacyjki w mieście, nocne lokale, teatr, koncerty... Kiedy raz zabrała go na koncert, to prawie cały przespał. W jego guście są raczej takie utwory muzyczne, jak „Bądź dziewczyną moich marzeń” czy „Pan moim zbawcą”.

- Ale ja już go polubiłam - stwierdziła ze śmiechem Judyta. - Ma taki miły wyraz twarzy...

- Rzeczywiście jest bardzo miły, ale strasznie nieśmiały. Widocznie jednak udało ci się go ośmielić, bo widziałem, że znaleźliście wspólny temat do rozmowy.

Krótką chwilą relaksu miała się już ku końcowi, gdyż psom znudziło się morze i zaczęły wdrapywać się po skałach, aby zachęcić opiekunów do dalszego spaceru. Równocześnie słońce przesłoniła groźnie wyglądająca chmura, tafla morska poszarzała i zaczął wiać chłodny wiatr. Zatem nadeszła już pora, aby pójść do domu.

Wracali inną drogą niż ta, którą przyszli. Nie wędrowali

ogrodami, tylko polną drogą wzdłuż wybrzeża. Po przejściu około mili podeszli w głąb lądu doliną płytkiej rzeki, ocienioną karłowatymi dębami. Gdy dolina się skończyła, można było iść w górę na wrzosowiska, ale zamiast tego skręcili w stronę Nancherrow przez pastwiska, na których pasły się stada krów. W ogrodzeniach między pastwiskami zainstalowano zamiast furtek przełazy z granitowych płyt. Jeremy zauważył, że są one dużo praktyczniejsze od bramek, gdyż nie stwarzają niebezpieczeństwa, że turyści i włóczędzy mogą pozostawić je otwarte. Tiger przeskakiwał te przeszkody bez trudności, ale mały Pekoe utknął już przed pierwszą i trzeba go było przenosić. Kiedy dotarli już blisko domu, dochodziła piąta po południu. Dzień chylił się ku wieczorowi, niebo pokryło się chmurami, a słońce zaszło na dobre. Judyta odczuła wyraźne zmęczenie i na ostatnim odcinku drogi spytała:

- Czy Loveday już wróciła?

- Na pewno. Walter nie ryzykowałby jazdy po ciemku.

Teraz nawet psy powłoczyły nogami, ale dom był naprawdę blisko. Wyłonił się zza ostatniego zakrętu, z oświetlonymi oknami i oszklonymi drzwiami frontowymi. Jeremy i Judyta nie wkroczyli jednak od frontu, ale tak jak wyszli, tylnymi drzwiami przez rusznikarnię.

- W tym domu panuje zasada - pouczył Jeremy - że psów nie wpuszcza się na pokoje, dopóki całkiem nie wyschną. Inaczej wszystkie kanapy i dywany byłyby stale wilgotne i brudne.

Nalał świeżej wody do dwóch emaliowanych misek i napoił psy. Kiedy ugasiły pragnienie, otrząsnęły się i ułożyły z ulgą w swoich koszykach.

- I o to chodziło! - podsumował Jeremy. - Teraz chodźmy poszukać Mary. Na pewno czeka na nas z czajnikiem na gazie. Muszę jeszcze wstąpić do łazienki, więc spotkamy się w pokoju dziecięcym. Judyta ciężkim krokiem powłokła się na piętro do swojego pokoju. Nie było to już jednak to samo uczucie, co

za pierwszym razem - teraz wracała do swojego pokoju, czując się domownikiem w Nancherrow. Zdjęła gruby sweter, rzuciła go na łóżko i poszła do swojej łazienki umyć ręce. Użyła pachnącego mydła i swojego ręcznika. Wyszczotkowała porządnie rozburzone wiatrem włosy i związała je z tyłu. Po długim marszu na świeżym powietrzu twarz miała zarumienioną. Ziewnęła, gdyż była już zmęczona, a ten wyjątkowo długi dzień jeszcze się nie skończył. Zgasiła światło i udała się w stronę pokoju dziecinnego.

Jeremy już tam był. Siedział przy stoliku w towarzystwie Mary i Loveday, smarując masłem gorącą bułeczkę.

- Gdzieś ty przepadła? - indagowała Loveday. - Nie było cię całe wieki. Już chcieliśmy wysłać ekipę na poszukiwanie!

Judyta przysunęła sobie krzesło, zadowolona, że może nareszcie usiąść. Na kominku płonął ogień, a Mary zaciągnęła już zasłony, bo na dworze zrobiło się całkiem ciemno.

- Podobała ci się zatoczka? - wypytywała dalej Loveday.

- Och, tam było tak pięknie!

- Jaką herbatę pijesz? - wtrąciła się Mary. - Bez cukru i z mlekiem, tak? Należy ci się porządna filiżanka herbaty po takiej wycieczce. Mówiłam Jeremy'emu, że nie powinien być cię tak daleko zabierać.

- Kiedy mnie się to właśnie podobało! A tobie jak się jeździło, Loveday?

Loveday też była zadowolona z przejażdżki, tym bardziej że połączonej z przygodami. Tinkerbelle przeskoczyła przeszkodę z czterech drągów, a Ranger przestraszył się jakiegoś starego worka łopoczącego na krzaku. Na szczęście Walter wykazał szybki refleks i błyskawicznie opanował konia, bo już myślała, że dojdzie do wypadku! A jaki cudowny był galop po wrzosowisku, w tak przejrzystym powietrzu, że widać było daleko na milę! W ogó-

le wszystko było cudowne i nie może się już doczekać, kiedy znów przejedzie się z Walterem po okolicy. Z tatusiem nie byłoby tak przyjemnie, bo tatuś jest zawsze taki ostrożny!

- Mam nadzieję, że Walter też zbytnio nie ryzykował - stwierdziła z naciskiem Mary.

- Och, nie panikuj, Mary. Już ja sobie zawsze dam radę.

Wkrótce wszyscy tak się objedli gorącymi bułeczkami, lukrowanymi ciasteczkami, biszkoptami i kanapkami z marmoladą, że nie zmieściliby już chyba niczego więcej. Jeremy przeciągnął się tak mocno, aż Judyta się złękła, że fotel się pod nim załamie. Na szczęście nie doszło do tego.

- Nie chciałbym jeszcze iść, ale muszę - stwierdził Jeremy. - Inaczej nie zdążę do domu na kolację.

- Nie wyobrażam sobie, jak po tym wszystkim można jeszcze coś zjeść - zdziwiła się Loveday.

- Mów tylko w swoim imieniu, dobrze?

Wstawał już, kiedy otworzyły się drzwi i weszła Diana.

- A, tu siedzicie i zajadacie? Musi wam być wygodnie!

- Czy pani już jadła podwieczorek? - zatroszczyła się Mary.

- Tak. Parker-Brownowie już sobie poszli, bo wybierają się jeszcze na jakiś koktajl, a panowie obłożyli się gazetami i świata spoza nich nie widzą. Jeremy, czyżbyś miał zamiar wychodzić?

- Niestety, muszę już iść.

- Było nam bardzo miło cię gościć. Przekaż pozdrowienia ode mnie swoim rodzicom.

- Dziękuję za lunch i w ogóle za wszystko. Kiedy będę przechodził koło salonu, wsadzę głowę w drzwi i pożegniam się z panem pułkownikiem i z Tommym.

- Tak, zrób to, ale przyjedź niedługo znowu.

- Nie wiem, kiedy będę mógł, ale bardzo bym chciał. Cześć, dziewczyny. Bardzo się cieszę, Judyto, że cię znów

spotkałem. Do widzenia, Mary... - cmoknął ją w policzek - ...i Diano!

Ją też pocałował, ruszył do drzwi, pomachał ręką na pożegnanie i wyszedł.

- Ten to nigdy nie traci czasu! - stwierdziła Diana z uśmiechem. - Uroczy chłopak. Słuchajcie, dziewczęta, zejdziecie na kolację czy wolicie zjeść z Mary w dzieciennym pokoju?

- Czy musimy się przebrać, gdybyśmy chciały zejść na dół? - upewniła się Loveday.

- Co za niemądre pytanie! Oczywiście, że tak.

- No więc raczej zjemy tutaj, jajecznicę lub coś podobnego.

- A ty, Judyto?

- Ja też lubię jajecznicę, a poza tym nie mam sukienki na zmianę.

- No cóż, jeśli obie tego chcecie, powiem Nettlebedowi, żeby przysłał do was Kitty z kolacją na tacy.

Z kieszeni jasnopopielatego żakietu wyciągnęła papierosy i złotą zapalniczkę. Zapaliła papierosa i rozglądając się za popielniczką, zmieniła temat.

- Judyto, gdzie jest ta piękna szkatułka, którą przywiozłaś? Miałaś mi ją pokazać po podwieczorku.

Proszę, przynieś ją tutaj, to razem obejrzymy.

Przez najbliższe dziesięć minut, albo i dłużej, podziwiano więc piękno cedrowej szkatułki i misterne wykonanie zameczka. Diana była rzeczywiście zachwycona skarbem Judyty. Otwierała i zamykała malutkie szufladki, obiecując, że jedną z nich wypełni swoją kolekcją muszelek porcelanek.

- Możesz trzymać tu swoje pierścionki i inną biżuterię - radziła.

- Kiedy nie mam jeszcze żadnej biżuterii.

- To nic, z czasem zgromadzisz jej dużo! - Po raz ostatni Diana zamknęła wieczko szkatułki i przekręciła kluczyk w zamku. - Gdzie będziesz trzymać tę piękną rzecz?

- Myślę, że w czasie przerwy półsemestralnej zawiozę ją do cioci Luizy.
- Pewnie, bo tej jędzy przełożonej szkoda miejsca w apteczce - dodała Loveday.
- A może zostawiłabyś ją tutaj? - zaproponowała Diana.
- Tutaj?

- Owszem, w twojej sypialni, aby czekała na ciebie, ilekroć przyjedziesz do Nancherrow.

Ach, więc nie było to tylko jednorazowe zaproszenie! Będzie mogła tu znów przyjechać! Judyta była tak zaskoczona, że nie potrafiła na poczekaniu wymyślić jakiejś zręcznej odpowiedzi. Spytała więc tylko:

- Ale czy ona nie będzie tu przeszkadzać?

- Ani trochę. A kiedy przyjedziesz następnym razem, przywieź ze sobą trochę swoich rzeczy i zostaw tutaj, żebyś nie musiała już donaszać starych ciuchów Atheny.

- Ależ one są prześliczne! Szczególnie ten kaszmirowy sweter, jeszcze nigdy takiego nie miałam!

- Więc weź go sobie i powieś w swojej szafie. Niech to zapoczątkuje twoją garderobę w Nancherrow. Lawinia Boscawen dawno już pogodziła się z faktem, że starszym ludziom potrzeba mniej snu. Leżała w miękkim podwójnym łożu twarzą do okna i przyglądała się, jak pierwsze promienie jutrzeńki rozjaśniają mroczne niebo. Zasłony były rozsunięte, bo starsza pani nie lubiła odgradzać się od światła gwiazd, nocnych dźwięków i zapachów.

Zasłony były stare. Może nie tak stare, jak sama pani Boscawen, ale wisały na tym miejscu, odkąd ich właścicielka mieszkała w Dower House, czyli prawie pięćdziesiąt lat. Nieważne, że spłowiały od słońca i zmecha-ciły się, a sznurki do ich ściągania dawno się rozplotły. Grunt, że były ładne wtedy, kiedy je wybrała. Przeżyły życie razem z nią.

Dobrze, że choć nie padało. W zimie, kiedy nie mogła

schodzić do wsi lub odbywać długich pieszych wycieczek dla zdrowia, dobrze było przynajmniej wyjść do ogrodu. Mogła tam przez godzinę lub dwie przebywać na świeżym powietrzu, ściółkując róże lub splatając liście tych żonkili, które już przekwitły. Tę ostatnią czynność wykonywało się na kolanach, toteż jej bratanek Edgar zaprojektował i zamówił specjalną podkładkę. Wmontowano w nią gumową wyściółkę dla ochrony kolan przed wilgotną ziemią i sztywne uchwyty, za pomocą których mogła podnosić się do pozycji stojącej. Urządzenie było proste, lecz praktyczne jak sam Edgar. Lawinia nie doczekała się własnych dzieci, więc hołubiła go jak rodzonego syna.

Zaczynało już świtać. Szykowała się niedziela chłodna, lecz pogodna. Starsza pani przypomniawszy sobie, że dziś na obiedzie ma być Edgar z Dianą, a z nimi Tommy Mortimer, Loveday i jej szkolna koleżanka. Tommy'ego Mortimera znała dobrze, gdyż nieraz urywał się z Londynu, aby spędzić sielski weekend w Nancherrow. Początkowo traktowała go z rezerwą, gdyż jego nadmierna wylewność, egzaltacja i hojne szafowanie komplementami wydawały się jej podejrzane. Także ze względu na Edgara niepokoiło ją stałe nadszycanie jego żonie. Z czasem jednak przekonała się, że Tommy Mortimer jest osobnikiem całkowicie nieszkodliwym i nie stanowi zagrożenia dla niczyjego małżeństwa. Kwitowała więc śmiechem jego ekstrawaganckie maniery, a w końcu nawet go polubiła. Natomiast koleżanka Loveday była wielką niewiadomą. Ciekawe, jaka może być dziewczynka, z którą to krnąbrne, samowolne dziecko mogło zaprzyjaźnić się na tyle, aby zaprosić ją na weekend do domu.

W każdym razie zapowiadało się interesujące spotkanie towarzyskie. Na obiad Lawinia zaplanowała dwie młode kaczki, do tego świeże jarzyny, a na deser suflet z brzoskwiniami. W spiżarni miała znakomite białe wino, trzeba tylko przypomnieć Isobel, by je należycie schłodziła.

Właśnie ta Isobel! Lawinia nie miała na starość zbyt

wielu zmartwień. Już jakiś czas temu doszła do wniosku, że nie warto zaprzętać sobie głowy sprawami, na które nie ma się wpływu. Do takich spraw należały: nieunikniona śmierć, pogoda i niepomyślny rozwój sytuacji w Niemczech. Toteż po obowiązkowej lekturze gazet starała się skupiać na bardziej przyziemnych problemach, takich jak sprowadzenie nowej odmiany róż, konieczność przycięcia buddlei, wymiana książek z biblioteki, pisanie i otrzymywanie listów. Potem mogła spokojnie zajmować się haftowaniem gobelinu i codziennymi naradami z Iso-bel na temat prowadzenia ich skromnego gospodarstwa.

Natomiast sama Isobel przysparzała Lawinii zmartwień. Była od niej tylko o dziesięć lat młodsza, więc dawno nadszedł czas, aby dała sobie spokój z gotowaniem i prowadzeniem domu, co wypełniło czterdzieści lat jej życia. Kiedy jednak Lawinia odważała się napomknąć Isobel o możliwości przejścia na emeryturę - ta natychmiast się obrażała, jakby chlebodawczynie chciała się jej pozbyć. Mało tego, po każdej takiej dyskusji następowały „ciche dni”. Lawinii udało się jednak doprowadzić do pewnego kompromisu, skutkiem czego codziennie rano przychodziła z wioski żona listonosza. Teoretycznie zatrudniono ją tylko do grubszej roboty, ale niepostrzeżenie przejmowała ster także w zakresie innych prac domowych, jak froterowanie podłóg, szorowanie posadzki na werandzie i w ogóle utrzymywanie wszystkiego w czystości. Początkowo Isobel traktowała tę poczciwą kobietę chłodno i wyniośle, jednak po długim okresie odmowy wszelkiej współpracy lody zostały przełamane.

Żona listonosza nie przychodziła jednak w niedzielę, więc proszony lunch oznaczał dodatkową pracę dla Isobel. Lawinia chciałaby jakoś jej pomóc, ale sama nie potrafiła nawet ugotować jajka. Poza tym nie chciała urazić ambicji Isobel.

Gdzieś za oknem zagwizdał kos. Na dole dał się słyszeć odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Lawinia uniosła

się na poduszkach i zaczęła macać po nocnym stoliku w poszukiwaniu okularów. Jej nocny stolik miał rozmiary małego biurka, gdyż musiało się na nim zmieścić mnóstwo przedmiotów, które w każdej chwili należało mieć pod ręką. A więc okulary, szklanka wody, puszka herbatników, notesik i dobrze zatemperowany ołówek na wypadek, gdyby w środku nocy przyszła jej do głowy jakaś ważna myśl. Fotografia nieboszczyka męża, Eustachego Bosca-wena, w niebieskiej pluszowej ramce; Biblia i aktualnie czytana książka, „Wieże Barchester” Trollope'a. Lawinia czytała ją już chyba szósty raz, ale lubiła tego autora, gdyż dzięki niemu przenosiła się w dawne, dobre czasy.

Szukając okularów, z satysfakcją myślała, że przynajmniej nie używa sztucznej szczęki pływającej w szklance z wodą. Była dumna, że w wieku osiemdziesięciu pięciu lat ma jeszcze prawie wszystkie własne zęby. Ciekawe, jak dużo kobiet w jej latach mogło się tym poszczycić? Jeśli nawet brakowało jej niektórych zębów trzonowych, to nie było tego widać, a za to mogła śmiało się uśmiechać, nie ukazując bezzębnych dziąseł ani kłapiącej protezy.

Spojrzała na zegarek. O wpół do ósmej Isobel szła już po schodach na piętro. Skrzypienie jej kroków słychać było na podeście. Jeszcze formalne pukanie i już wносиła tacę, na której stała szklanka gorącej wody z pływającym w niej plasterkiem cytryny. Był to zwyczajowy poranny napój Lawinii. Mogłaby równie dobrze obejść się bez niego, ale Isobel przez pięćdziesiąt lat podtrzymywała tę tradycję i nie miała zamiaru z nią zerwać.

- Dzień dobry pani. Chłodno dzisiaj - stwierdziła rozsuwając drobiazgi na stoliku, aby mieć gdzie postawić tacę. Ręce miała czerwone i spękane, z palcami wykrzywionymi artretyzmem. Nosiła niebieską bawełnianą sukienkę i biały fartuch z napierśnikiem. Dawniej okrywała głowę bezkształtnym białym czepkiem, ale Lawinia nakłoniła ją, aby przestała nosić ten symbol statusu służącej.

Rzeczywiście, dużo korzystniej wyglądały jej puszyste siwe włosy ściągnięte do tyłu w mały koczek, przepięty długimi czarnymi szpilkami.

- Dziękuję, Isobel.

Stara służąca przeszła przez pokój, aby zamknąć okno, czym zagłuszyła piosenkę kosa. Na nogach miała czarne pończochy, a nad zdeptanymi bucikami widać było obrzmiałe kostki. Właściwie powinna była sama leżeć jeszcze w łóżku i ktoś inny powinien przynosić jej gorący napój. Lawinia nie mogła się pozbyć dręczącego ją poczucia winy.

- Mam nadzieję, że nie masz dzisiaj za dużo roboty -nie wytrzymała. - Może nie powinniśmy już urządzać proszonych obiadów...

- Znowu pani zaczyna? - burknęła Isobel, demonstracyjnie poprawiając coś przy zasłonach. - Mam się już położyć do trumny czy co?

- Nie miałam nic podobnego na myśli. Chodzi mi tylko o to, żebyś się za bardzo nie zmęczyła.

- Nie ma obawy! - Isobel parsknęła śmiechem. - Wszystko już nakręcone. Nakryłam do stołu i przygotowałam jarzyny jeszcze wczoraj, kiedy pani jadła kolację u siebie. Mamy śliczną brukselkę, trochę przemrożoną, więc będzie krucha. Teraz muszę tylko zrobić suflet, bo Loveday nie darowałaby mi, gdyby go nie było.

- Psujesz ją, tak samo jak wszyscy.

- Wszystkie dzieciaki tych Carey-Lewisów są zepsute, ale jakoś im to nie zaszkodziło - prychnęła Isobel podnosząc z podłogi wełniany szlafrok Lawinii. - Od razu mi się nie podobało, że wysłali Loveday tak daleko do szkoły. Czy po to się ma dzieci, żeby je wysyłać z domu taki szmat drogi?

- Na pewno chcieli dla niej jak najlepiej. Zresztą to już nieaktualne, bo chyba zadomowiła się u Świętej Urszuli.

- To dobry znak, że zaprosiła do domu koleżankę. Jeśli

się już z kimś zaprzyjaźniła, to chyba źle się tam nie czuje.

- Masz rację, ale w końcu to nie nasza sprawa.

- Może i nie, ale chyba wolno nam mieć swoje zdanie? - mruzczała Isobel idąc w stronę drzwi. - Zje pani na śniadanie sadzone jajka?

- Chętnie, Isobel, dziękuję ci bardzo.

Ostrożne kroki Isobel stopniowo cichły na schodach. Lawinia oczyma duszy widziała, jak stara kobieta schodzi krok za krokiem, trzymając się poręczy. Poczucie winy nie opuszczało jej, ale co miała robić? Wypiła więc gorącą wodę z cytryną i zaczęła rozmyślać o dzisiejszym obiedzie.

Postanowiła, że ubierze się w swoją nową niebieską suknię.

Cioteczna babka Lawinia była chyba jedną z niewielu osób, a może nawet jedyną, której udawało się wywrzeć jakiś wpływ na rogatą duszę Loveday. Mało tego, że dziewczynka specjalnie wstała wcześniej, aby umyć włosy - to jeszcze bez oporów zgodziła się włożyć strój przygotowany poprzedniego wieczora przez Mary. A była to wełniana sukienka w kratkę, z białym kołnierzykiem i man-kieciakami, do tego białe podkolanówki i czarne lakierki z paseczkami, zapinane na guziczki.

Judyta przyglądała się, jak Mary suszy i układa jej włosy, i z coraz większym przerażeniem myślała o własnej powierzchowności. Podczas gdy Loveday ubrała się elegancko jak nigdy, ona prezentowała się przy niej jak uboga krewna. Czerwony kaszmirowy sweter wyglądał przyzwoicie, ale cała reszta...

- Nie uważasz, Mary, że nie wypada mi iść w gości w tych szortach? - zauważyła. - A za nic w świecie nie chciałabym ubierać się znowu w ten okropny mundurek!

- Ależ wcale nie musisz - uspokoiła ją Mary, praktyczna i wyrozumiała jak zawsze. - Zaraz wyszukam ci jakąś ładną spódniczkę w garderobie Atheny. Loveday po-

życzy ci takie same białe skarpetki, jak ma, a twoje buty wyczyszczę do połysku. Nic się nie bój, będziesz ładnie wyglądać... Loveday, siedź spokojnie, bo ta szopa włosów nigdy ci nie wyschnie! Mary zwędziła z garderoby Atheny spódniczkę w szkocką kratę, zapinaną na rzemyki i sprzączki.

- To najbardziej praktyczny fason spódnicy - zaznaczyła. - Pasuje na każdego, czy gruby, czy chudy.
- To zupełnie jak dociąganie popręgu u Tinkerbell! - zachichotała Loveday.
- Akurat, nie pamiętasz, jak Tinkerbell zawsze się przy tym nadyma? No, już dobrze. Długość jest akurat w sam raz, do pół kolana, a krata ma w sobie trochę czerwieni, więc pasuje do swetra. - Wstała i z uśmiechem otaksowała Judytę wzrokiem. - Ślicznie wyglądasz. Mogłabyś pokazać się na królewskim dworze. Teraz zdejmij buty, to wypucuję ci je tak, że się w nich przejrysz.

W Nancherrow w niedzielę nigdy nie jadano śniadania wcześniej niż o dziewiątej, ale i tak, kiedy Mary z dziewczynkami zeszła na dół, reszta rodziny siedziała już przy stole, zajadając owsiankę i kiełbaski z rusztu. W jadalni było jasno od porannego słońca i pachniało świeżą kawą.

- Przepraszam, żeśmy się spóźniły... - zaczęła Mary.
- Już się zastanawialiśmy, co wy tam robicie - potwierdziła Diana, której smukłą figurę podkreślał dobrze skrojony kostium z popielatej flaneli. Niebieska jedwabna bluzka współgrała z szafirowym odcieniem jej oczu. W uszach miała kolczyki z pereł i diamentów, a na szyi potrójny sznur pereł.
- Przygotowania zajęły nam trochę czasu - tłumaczyła się Mary.
- Nic się nie stało. Widać, Mary, żeś się napracowała, bo dziewczynki są ślicznie wyszykowane. - Uśmiechnęła się do nich.

Loveday podeszła do ojca, aby go ucałować na dzień dobry. Zarówno on, jak i Tommy Mortimer włożyli dziś

odświętne garnitury z kamizelkami, sztywnymi kołnierzykami i jedwabnymi krawatami. Pułkownik odłożył widelec, aby móc uściskać córkę wolną ręką.

- W tej sukience ledwo cię poznaję - rzekł z zachwytem. - Wyglądasz jak prawdziwa dama. I dobrze, bo już zapomniałem, jakie masz nogi.

- Nie przesadzaj, tatku! Lepiej uważaj, stary żarłoku, zjadłeś już trzy kielbaski! Żeby choć dla nas coś zostało... - Loveday mówiła to z tak niewinną miną, że można było uwierzyć w szczerość jej intencji. Po śniadaniu cała piątka pojechała wielkim daimlerem pułkownika do kościoła w Rosemullion. Na tę okazję Diana włożyła szary filcowy kapelusz z kokieterijną woaleczką, a z powodu chłodu narzuciła futro ze srebrnych lisów.

Zaparkowali samochód pod murem kościoła i wmieszali się w tłum wiernych zdążających krętą ścieżką między starymi nagrobkami i krzewami cisu. Kościółek był mały i bardzo stary, chyba nawet starszy od kościoła w Pen-marron - wyglądał, jakby zapadał się w ziemię. Wewnątrz panował chłodny półmrok, pachniało wilgotnym kamieniem, spróchniałym drewnem i zbutwiałymi modlitewnikami. Rodzina Carey-Lewisów usadowiła się w pierwszej ławce, równie twardej i niewygodnej jak wszystkie. Nad ich głowami rozległ się zdarty głos dzwonu.

Msza zaczęła się kwadrans po jedenastej. Trwała długo, gdyż zarówno pastor, jak i kościelny byli już starymi ludźmi i czasem plątał im się porządek nabożeństwa. Organy też były stare i zdezelowane, prawie jak sam kościół. Jedynym człowiekiem, który dobrze wiedział, co ma robić, wydawał się pułkownik Carey-Lewis. Podszedł śmiało do pulpitu, odczytał przeznaczony na dziś ustęp Pisma Świętego i sprężystym krokiem wrócił na swoje miejsce. Kazanie było chaotyczne i trudno było się domyślić, o co w nim chodzi. Potem odśpiewano jeszcze trzy psalmy

i przeprowadzono kwestę na tacę. Dorośli rzucali zwykle po pół funta, a Judyta i Loveday razem pół korony. Mszę zakończyło błogosławieństwo ogólne.

W kościele panowało tak przenikliwie zimno, że gdy wierni znaleźli się na dworze, w świetle słonecznym, od razu zrobiło im się znacznie cieplej. Trzeba tam było trochę postać, gdyż pułkownikowi i jego małżonce wypadało zamienić parę słów z pastorem, którego rzadkie siwe włosy i komżę targał wiatr. Przechodzący parafianie uchylali kapeluszy i mruzcili:

- Dzień dobry, panie pułkowniku. Dzień dobry, pani pułkownikowo...

Loveday z nudów zaczęła podskakiwać na omszałej płycie nagrobnej.

- Chodźmy już, jestem głodna! - Szarpała ojca za rękaw. Kiedy już ostatni wierni wymienili zdawkowe słowa

powitania: „Dzień dobry, panie pułkowniku. Piękna dzisiaj pogoda...” - można było zbierać się do odjazdu. Jednak gdy pułkownik spojrział na zegarek, stwierdził:

- Mamy jeszcze dziesięć minut, więc proponuję, żebyśmy zostawili tutaj wóz i poszli spacerkiem.

Trochę ruchu dobrze nam zrobi i nabierzemy apetytu przed obiadem. Chodźmy, panienki.

Ruszyli więc piechotą pod górę. Po obu stronach krętej drogi ciągnęły się kamienne mury obrośnięte bluszczem i bezlistne wiązy, na których z krakaniem siadały gawrony. Podejście robiło się coraz bardziej strome i wkrótce wszyscy dostali zadyszki.

- Gdybym wiedziała, że mamy iść piechotą, nie włożyłabym pantofli na najwyższym obcasie! - narzekła Diana.

Tommy objął ją wpół.

- Może mam cię porwać w ramiona i zanieść?

- Nie wydaje mi się, aby to było w dobrym tonie.

- Więc po prostu zachęć cię do dalszego marszu. Wyobraź sobie, o ile przyjemniej będzie tędy wracać. Po-

biegniemy z górki na pazurki albo zsuniemy się na siedzeniach, jakbyśmy jechali na sankach.

- To by dopiero ludzie mieli o czym plotkować! Pułkownik nie zwracał uwagi na ich przekomarzenia, tylko kroczył prosto przed siebie. Droga skręcała teraz pod kątem prostym, a na samym rogu z prawej strony brama w murze była otwarta. Za nią wąska wstęga podjazdu wiła się między gazonami i przystrzyżonymi żywopłotami z eskalonii. Nareszcie znaleźli się na równym gruncie, ale na wysypanej kamykami alejce słycać było dobrze każdy krok.

Tommy Mortimer dyszał ciężko, bo nie przepadał za wysiłkiem fizycznym, chyba że było to bieganie z rakieta tenisową lub ze strzelbą.

- Myślisz, że będę mógł napić się ginu? - spytał z nadzieją w głosie.

- Byłeś tu już kiedyś na obiedzie - przypomniała mu rzeczowo Diana. - Możesz dostać sherry albo maderę. I nie wspominaj nawet o ginie.

- Dla ciebie, moja miła, mógłbym napić się nawet cykuty! - westchnął z udanym patosem. - Ale przyznaj, że „madera” brzmi jak z powieści Jane Austen.

- Myślę, że nic ci się od tego nie stanie.

Za ostatnim załomem żywopłotu z eskalonii ukazał się dom o nazwie Dower House. Nie imponował rozmiarami, ale był utrzymany w stylu pełnym swoistego dostojęstwa. Otynkowany na biało budynek miał kształt sześcianu z łupkowym dachem, gotyckimi oknami i werandą obrośniętą powojnikiem. Jego lokalizacja na tarasie góry sugerowała chęć odseparowania się od świata i nieliczenia się z upływem czasu.

Nie trzeba było stukać ani dzwonić do drzwi wejściowych, bo gdy tylko pułkownik się do nich zbliżył, na werandzie ukazała się starsza kobieta ubrana w typową liberię pokojówki - muślinowy fartuszek i takiż czepeczek ozdobiony aksamitkami.

- Przypuszczałam, że państwo przyjdziecie od razu tutaj. Czekamy z obiadem.
- Dzień dobry, Isobel.
- Witam szanowną panią. Śliczną mamy pogodę, tylko że trochę chłodno - paplała służąca piskliwym głosem z silnym kornwalijskim akcentem.
- Pamiętasz pana Mortimera?
- Tak, oczywiście. Witam szanownego pana. Proszę do środka, to zamknę drzwi, bo zimno. Zaraz zajmę się państwa paltami. Mój ty świecie, Loveday, jakieś ty urosła! A to twoja koleżanka? Judyta, prawda? Pani pozwoli, pani pułkownikowo, zaniosę futro do szafy...

Judyta rozpiniała guziki zielonego płaszczyka mundurowego, rzucając wkoło ukradkowe spojrzenia. Zawsze interesowało ją, jak mieszkają inni ludzie. Wystarczyło przekroczyć próg, a już wyczuwało się panującą w domu atmosferę, co rzucało pewne światło na osobowość jego mieszkańców. I tak Riverview, choć było to tylko przejściowe miejsce zamieszkania o dosyć skromnym standardzie, zawdzięczało atmosferę domową dzięki stałej obecności mamy, bawiącej się z Jess, wydającej polecenia Phyllis czy po prostu wtulonej w fotel przy kominku, otoczonej ulubionymi drobiazgami. Z kolei Góra Czterech Wiatrów miała w sobie coś bezosobowego, przypominającego klub golfowy lub coś w tym rodzaju. Nancherrow zaś pod wpływem Diany nabrało cech wytwornego londyńskiego mieszkania, powiększonego do rozmiarów wiejskiego dworu.

Natomiast Dower House od razu zrobił na Judycie wrażenie jedyne w swoim rodzaju. Była to jakby podróż w czasie, cofnięcie się do przedwiktoriańskiej epoki. Konstrukcja miała idealne proporcje, a cisza panowała tam taka, że mimo szmeru głosów słychać było wyraźnie tykanie stojącego zegara. Posadzka w hallu ułożona była z łupkowych płyt zasłanych dywanami, a na piętro prowadziła lekka konstrukcja spiralnych schodów. W powietrzu unosił się specyficzny zapach, będący mieszaniną starej politory i kwiatów z dodatkiem wilgotnego kamienia i chłodnej piwnicy. Nie było tu żadnego centralnego ogrzewania, tylko na kominku płonął żywy ogień, a na podłogę padał kwadrat światła z otwartych drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

- Pani Boscawen jest w salonie - zameldowała pokojówka.

- Dziękuję, Isobel.

Podczas gdy służąca niosła na górę okrycia gości, Diana przeszła przez te otwarte drzwi, wołając z niekłamaną radością:

- Jesteśmy, ciociu Lawinio! Nareszcie wtaszczyliśmy się pod tę górę. Będiesz święta, jeśli wytrzymasz takie najście!

- To ładnie, że najpierw poszliście do kościoła. Ja nie byłam, bo nie trawię już kazań tego pastora. Loveday, chodź tu, małpeczko, pocałuj starą ciotkę... O, jest i Edgar, i Tommy! Jak miło znowu was widzieć!

Judyta trzymała się na razie z daleka, nie dlatego, że była aż tak nieśmiała, ale chciała najpierw dobrze się rozejrzeć. Salon, rozświetlony słońcem wpadającym przez okna o południowej wystawie, był utrzymany w pastelowych, obecnie nieco wyblakłych kolorach. Biblioteczka zawierała liczne oprawne w skórę tomy, w oszklonej gabłocie widać było komplet miśnieńskich pater, a nad bielonym gzymsem kominka wisiało ozdobne weneckie lustro. W kominku tliły się węgle, których mały ogieniek był słabo widoczny w świetle słonecznym, rozszczepiającym się w pryzmatycznych wisiorach kryształowego żyrandola. Przy tym wszędzie pełno było kwiatów, szczególnie lilii, z ich duszącym zapachem. Można było dostać od tego zawrotu głowy.

Raptem usłyszała swoje imię, wypowiedziane przez Dianę. Złękła się, że pani Boscawen uzna ją za źle wychowaną dziewczynkę, i szybko wróciła do terażniejszości.

- Och, przepraszam!

- Widzę, że zapomniałaś języka. Poznaj naszą ciocię Lawinię! - zaśmiała się Diana. Gestem wyciągniętej ręki zachęciła Judytę, aby podeszła bliżej, i przedstawiła ją ciotce: - Ciotciu, to jest Judyta Dunbar, koleżanka Loveday.

Widok pani Boscawen podziałał na Judytę onieśmielająco. Starsza dama siedziała wyprostowana w niskim fotelu, odwrócona półprofilem do światła. Jej niebieska wełniana suknia spływała aż do kostek. Musiała być już bardzo stara... chyba dobrze po osiemdziesiątce. Na jej policzkach pod grubą warstwą pudru widać było siateczkę drobniutkich zmarszczek, a tuż obok fotela miała przygotowaną hebanową laseczkę ze srebrną rączką. Wyblakłe niebieskie oczy patrzyły jednak z żywym zainteresowaniem i nie sposób było nie dostrzec, że kiedyś musiała być bardzo piękna.

- Jak się masz, kochanie! - powitała Judytę wyraźnym, tylko lekko drżącym głosem, ujmując jej dłoń w swoją. - Świetnie, żeś tu z nimi przyszła. Nie jest u mnie może zbyt ciekawie, ale lubię poznawać nowych ludzi.

- Zaprosiłam Judytę do nas, bo nie miała się gdzie podziać; cała jej rodzina wyjechała do Kolombo - palnęła prosto z mostu Loveday.

- Tylko dlatego? - obruszyła się Diana. - Przecież przede wszystkim chciałaś, aby była z nami. Nie dawałaś mi spokoju, dopóki nie zadzwoniłam do panny Catto.

- No tak, ale to był jeden z powodów.

- I to bardzo ważny, prawda? - poparła ją ciotka La-winia. Spoglądając na Judytę z uśmiechem, dodała: - Ale to Kolombo chyba musi być daleko?

- Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Mama z moją siostrą jadą tam tylko po to, aby spakować rzeczy i opróżnić dom. Zaraz stamtąd przenoszą się do Singapuru, bo mój tatuś dostał tam nową posadę.

- Ach, Singapur, jak to romantycznie brzmi! Sama nigdy tam nie byłam, ale mój kuzyn, który należał do świty

generalnego gubernatora, mówił, że tam żyje się bardzo wesoło. Podobno wciąż wydawane są bale i przyjęcia. Twoja mama będzie się tam lepiej bawiła niż kiedykolwiek... Usiądź sobie gdzieś, kochanie. Taki piękny mamy dzień, aż szkoda, żeby grzać się przy kominku. Edgarze, zajmij się sherry, zobacz, czy wszyscy mają nalane. Zostało dziesięć minut, zanim Isobel uderzy w gong... Diano, moja droga, masz jakieś wiadomości od Atheny? Czy wróciła już ze Szwajcarii? Pod oknem leżała podłużna poduszka. Judyta uklękła na niej, aby mieć widok na opadający w dół zbocza ogród. Tam gdzie kończył się trawnik, rosła kępa sosen, których najwyższe gałęzie przecinały błękitną linię horyzontu. To zestawienie wywołało u Judyty nieoczekiwane skojarzenie z zagranicą, jakimś krajobrazem śródziemnomorskim. Wrażenie było takie, jakby wszyscy obecni zostali nagle przeniesieni z Nancherrow do włoskiej willi na południowym wybrzeżu. Była tak oszołomiona tą wizją, że ledwo do niej dotarło pytanie starszej damy:

- Lubisz ogrody?

- Tak, a ten podoba mi się szczególnie - odpowiedziała.

- Więc jesteśmy bratnimi duszami. Po obiedzie ubierzemy się ciepło i pójdziemy do ogrodu.

- Ja nigdzie nie idę! - wtrąciła się Loveday. - Widziałam ten ogród już setki razy, a poza tym jest zimno.

- Myślę, że wszyscy tu obecni znają ten ogród tak jak ty - stwierdziła ciotka. - Wcale nie oczekuję, że ktoś się do nas przyłączy. Chciałybyśmy tylko z Judytą mieć trochę czasu dla siebie, aby móc pospacerować, pogadać i poznać się lepiej. Edgar, jak ci tam leci? To moje sherry? Dziękuję ci bardzo. I wszystkim wam dziękuję za to, że przyszliście. - Wzniosła toast szklanką.

- Judyto, proszę, tu jest lemoniada dla ciebie! - To pułkownik zwrócił się do niej.

- Dziękuję bardzo.

Wzięła od niego szklanekę i usiadła na tej samej poduszce, tylko że tyłem do okna. Naprzeciw niej Loveday dzieliła obszerny fotel z Tommym Mortimerem. Ona również piła lemoniadę. Siedziały tak blisko siebie, że Judyta uchwyciła jej spojrzenie i łobuzerski uśmiech od ucha do ucha. Poczowała wtedy przyływ sympatii i wdzięczności. Sympatii, bo przecież tyle je już łączyło, a wdzięczności, bo to dzięki Loveday znalazła się w tym pięknym miejscu.

- Widzisz, już skiełkowały pierwsze cebulki: tojad bulwiasty, krokusy i przebiśniegi. Mają tu trochę za bardzo zaciemnione stanowisko, ale stało się już u mnie tradycją, że w Nowy Rok wychodzę do ogrodu i sprawdzam, jak wszystko rośnie. Zdejmuję stare gałęzie ostrokrzewu i szukam choćby najmniejszej kępki nowych kwiatów. Dopiero wtedy czuję, że rok naprawdę się zaczął i wkrótce przyjdzie wiosna. '

- A ja myślałam, że z wyrzuceniem ostrokrzewu trzeba czekać aż do Trzech Króli! Jak się nazywa ten różowy kwiat?

- *Viburnum fragrans*. Nawet teraz, w środku zimy, pachnie latem. A to jest budleja, teraz tak smutno wygląda, ale w lecie zawsze uwija się koło niej chmara motyli. Posadziłam ją najwyżej dwa - trzy lata temu, a jaka już wyrosnięta!

Ciotka Lawinia nie zapomniała o swej obietnicy. Zaraz po obiedzie wyprawiła resztę towarzystwa do salonu, pozostawiając ją tam samą sobie, a Judytę zabrała na spacer po ogrodzie. Na tę wycieczkę włożyła mocne buty i obszerną tweedową pelerynę, a na głowie zawiązała chustkę. Laska pomagała jej w utrzymaniu równowagi i przydawała się do wskazywania tego, co chciała szczególnie zaakcentować. Razem z Judytą schodziły teraz żwirowaną ścieżką, a ciotka snuła wyjaśnienia:

- To wszystko aż do podnóża tego pagórka należy do

mnie. Na samym dole jest warzywnik, a te szkockie sosny wyznaczają południową granicę mojej posiadłości. Kiedy się wprowadziliśmy, cały ogród był rozplanowany tarasowo, ale zmieniliśmy to, bo bardziej podobają mi się ogrody podzielone na zamknięte sektory. Zasadziliśmy więc żywopłoty z eskalonii i ligustru, które rozpięliśmy na pergolach. Takie zielone tunele intrygują, zachęcają, żeby sprawdzić, co jest pod spodem, prawda? Chodź, to coś zobaczysz!

Przeszły pod pierwszym trejażem.

- To moje rosarium! - chwaliła się ciotka. - Mam same stare odmiany róż. Najstarsza to Rosamunde. Teraz jest trochę oklapnięta, ale kiedy kwitnie, ma płatki w białe i różowe paski. Jej kwiaty wyglądają jak małe dziewczynki w odświętnych sukienkach.

- Od jak dawna ciocia tu mieszka?

Ciotka Lawinia zatrzymała się, aby móc na to odpowiedzieć. Judycie dużą przyjemność sprawiało przebywanie w towarzystwie starszej osoby, która przynajmniej nigdzie się nie spieszyła i chętnie wdawała się w pogawędkę, jakby zawsze miała czas.

- Prawie od pięćdziesięciu lat. Ale tak naprawdę, kiedy byłam dzieckiem, to moim prawdziwym domem było Nan-cherrow. Tylko nie ten nowy dom Diany, ale stary, który się spalił. Ojciec Edgara był moim bratem.

- Więc ciocia zawsze mieszkała w Kornwalii?

- No, nie zawsze, bo mój mąż był radcą dworu, a potem sędzią sądu okręgowego. Mieszkaliśmy więc najpierw w Londynie, potem w Exeter, ale wakacje i wolne dni zawsze spędzaliśmy w Nancherrow.

- Cioci dzieci też?

- Nie miałam własnych dzieci, kochanie. Dla mnie dziećmi są Edgar i Diana, a ich dzieci - moimi wnukami.

- Jakie to przykre!

- To, że nie mogłam mieć dzieci? Pewnie, ale nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Może byłabym fatalną

matką? Zresztą nie zagłębiajmy się w przeszłość. Na czym to stanęliśmy?

- Zaczęła ciocia mówić o domu...

- Ach, tak, rzeczywiście... Spójrz na ten różowy bez, czyż on nie jest cudowny? Staram się nie dopuścić, żeby zanadto nie wybujał... No więc ten dom... Moja babcia mieszkała tu, kiedy była tak stara jak ja teraz. Kiedy mąż przestał pracować jako sędzia, najpierw wynajęliśmy tę posiadłość, a potem ją wykupiliśmy. Byliśmy tu bardzo szczęśliwi. Mój mąż zmarł spokojnie we śnie, kiedy w lecie odpoczywał na leżaku przed domem... O, tu dopiero jest coś, co ci się spodoba najbardziej. Ogród dziecięcy! Czy Loveday wspominała ci o „chatce”?

- Nie.

- Tak i mnie się wydawało. Właściwie prawie nigdy się tu nie bawiła. To nie była jej „chatka”, tylko Atheny i Edwarda. Po prostu ona była dużo młodsza i nie miała rówieśnika, z którym mogłaby się tam bawić. Mąż kazał zbudować ten domek, ponieważ Athena i Edward spędzali dużo czasu z nami. Przesiadali tam całymi dniami, a nawet pozwalaliśmy im tam spać, co było największą atrakcją. Taki domek jest lepszy niż namiot, a jeszcze gdy rano mogli sami robić sobie śniadanie...

- Czy w tej „chatce” jest jakiś piecyk?

- Nie, bo baliśmy się, że dzieci mogłyby spowodować pożar. Na zewnątrz zainstalowaliśmy palenisko z cegieł, na którym Athena i Edward smażyli sobie bekon lub odgrzewali konserwy. Chodźmy i zajrzyjmy do środka. Na wszelki wypadek wzięłam ze sobą klucz.

Ciotka poszła pierwsza, a za nią Judyta, przepełniona radosnym oczekiwaniem. Najpierw trzeba było przejść przez furtkę wyciętą w żywopłocie z ligustru, potem zejść po kamiennych schodkach do sadu, gdzie rosły jabłonie i grusze. Pnie drzew tonęły w gęstej i wysokiej trawie, otoczone u podstaw obwódkami białych przebiśniegów i niebieskich cebulic. Przez trawę przebijały się już pier-

wsze pąki żonkili i lilii - widać było, że wiosna objawi się tu profuzją żółtego i białego kwiecica. Na gałęzi gwizdał w najlepsze kos, w przeciwległym końcu sadu zaś w zacisznym kąciku kryła się „chatka”. Był to rodzaj szałas z bali drzewnych, pokryty smołowanymi gontami. Po obu stronach malowanych na niebiesko drzwi znajdowały się okna. Wchodziło się przez ganek po drewnianych schodkach z rzeźbioną poręczą. I nie był to domek przystosowany do rozmiarów dziecka - dorosły nie musiał przy wejściu pochylać głowy ani garbić się na dziecinnych krzeselkach.

- I kto teraz z tego korzysta? - westchnęła Judyta.

- Widzę, że jest ci smutno z tego powodu - zauważyła ze śmiechem ciotka.

- Bo to takie urocze, romantyczne miejsce! Ktoś powinien o to dbać, żeby jeszcze tu się mogły bawić jakieś dzieci.

- Ależ dbam o to! Staram się pamiętać, żeby tam regularnie wietrzyć, a drewno co roku konserwujemy kreozotem. W środku nie ma wilgoci, a konstrukcja jest solidna.

- Jak to możliwe, że Loveday nic mi o tym nie wspomniała?

- Bo to nie jest w jej stylu. Woli jeździć na swoim kucyku czy nawet wyrzucać gnój ze stajni i rzeczywiście jest w tym niezła. Poza tym od czasu do czasu nadal bawią się tu dzieci. Co roku udostępniamy ten sad na piknik szkółki niedzielnej z Rosemullion. Wtedy „chatka” ożywa, ale nieraz dzieci biją się o nią, bo chłopcy chcą się bawić w Indian, a dziewczynki w dom... Masz tu klucz i otwórz te drzwi, to pokażę ci, co jest w środku.

Pochylając się pod nisko nawisłymi gałęziami jabłoni, Judyta podeszła do domku i po dwóch schodkach wstąpiła na ganek. Bez trudności obróciła klucz w zamku. Nacisnęła klamkę i już była wewnątrz. Pachniało tam kreozotem i było jasno, bo światło wpadało także przez trzecie okno,

wycięte z tyłu. Przy ścianach, tam gdzie sufit był już pochyły, stały dwa łóżka, a pośrodku - drewniany stolik, dwa krzesła i półka na książki. Nad nimi wisiało lustro i obrazek przedstawiający łań błękitnych dzwonek, a na podłodze leżał upleciony z gałganków dywanik. Przewrócona skrzynka po pomarańczach zastępowała kredens -stały na niej talerzyki i filiżanki ze zdekompletowanego serwisu, okopcony czajnik i także patelnia. Okna były ozdobione zasłonkami w biało-niebieską kratkę, a na łóżkach leżały niebieskie koce i poduszki. Z haka umocowanego do środkowej belki sufitu zwisała parafinowa lampa. Judyta wyobraziła sobie, jak nastrojowo musi wyglądać to wnętrze, gdy jest ciemno i pali się tylko ta lampa. Zaraz potem pomyślała ze smutkiem, że mając czternaście lat wyrasta się już z takich marzeń.

- I co o tym sądzisz? - usłyszała głos ciotki Lawinii, która przyszła tu za nią i stała w otwartych drzwiach.

- To jest cudowne!

- Przypuszczałam, że będziesz zachwycona. - Starsza dama wciągnęła powietrze głęboko w płuca. - Jest wprawdzie trochę chłodno, ale nie ma wilgoci. Tyle że tak tu pusto. Ten biedny domek czeka na nowe pokolenie dzieci, które by go zapełniły... Nie widzisz gdzieś jakichś śladów myszy? Nieraz dostają się tu myszy polne i wygryzają kawałki koców, aby budować gniazda.

- Kiedy byłam młodsza, oddałabym wszystko, aby móc bawić się w takim domku.

- Też chciałaś mieć własne gniazdko, jak myszka polna?

- Coś w tym rodzaju. Zawsze marzyłam, żeby w letnią noc spać poza domem, móc patrzeć w gwiazdy i czuć zapach rosy.

- Popatrz, a Loveday za nic nie chciałaby spać tutaj sama! Powiedziała kiedyś, że w nocy słyhać tu straszne odgłosy.

- Na ogół nigdy nie bałam się niczego na dworze. Natomiast stare, ciemne domy czasem budzą we mnie lęk.

- Człowiek też czuje się w nich strasznie samotny. Może dlatego lubię spędzać tyle czasu w ogrodzie.
- Ciotka Lawinia mocniej zawiązała węzeł chustki i szczelniej owinęła się peleryną. - Wracajmy już, bo robi się chłodno, no i tamci nie wiedzą, co się z nami stało. Jak myślisz, co teraz robi Loveday? Idę o zakład, że gra w bierki z panem Mortimerem.
- Skąd ciocia wie, że akurat w bierki?
- Ponieważ robi to zawsze, ilekroć jest u mnie. To już należy do tradycji, a Loveday, mimo swojej niezależnej natury, jest bardzo przywiązana do tradycji. Cieszę się, że jesteś jej przyjaciółką. Może wywrzesz na nią dobry wpływ.
- Wątpię, bo nie mogę wpłynąć na nią, żeby nie rozrabiała w szkole. Ciągłe dostaje nagany za złe sprawowanie.
- Tak, jest bardzo niesforna, ale ma przy tym dużo wdzięku. Obawiam się, żeby jej ten wdzięk kiedyś nie zgubił... No, dobrze, zamykaj już drzwi i wychodzimy.

Szkoła Świętej Urszuli 23 lutego 1936, niedziela

Kochani Rodzice!

Przepraszam, że nie napisałam do Was zeszłej niedzieli, ale nie miałam kiedy, bo wyjechałam na weekend. Panna Catto była tak miła, że pozwoliła mi pojechać z Loveday Carey-Lewis do jej rodziny. Na tym Judyta urwała i zaczęła obgryzać końcówkę pióra, gdyż przeżywała konflikt wewnętrzny. Niewątpliwie kochała swoich rodziców, lecz również znała dobrze ich drobne przywary i wiedziała, że nie może napisać im wszystkiego o Nancherrow. Obawiała się po prostu, że mogliby ją źle zrozumieć.

Jej rodzice ani sami nie wiedli tak wystawnego życia,

ani nie przyjaźnili się z ludźmi, dla których byłoby to oczywiste. Od lat żyjąc i pracując na Dalekim Wschodzie przyswoili sobie panujące tam zasady podziału klasowego i rasowego, ściśle przestrzeganej hierarchii społecznej i zawodowej. A najściślej przestrzegana, choć niepisana norma życia kolonialnego aparatu urzędniczego głosiła, że każdy zna swoje miejsce w tej hierarchii i nie próbuje go zmienić.

Gdyby więc w swoim liście nadmiernie rozwodziła się nad urodą i wdziękiem Diany Carey-Lewis - Molly Dunbar mogłaby uznać, że Judyta przeciwstawia tę kobietę jej, swojej matce. A że zawsze miała kompleksy, natychmiast wyciągnęłaby wniosek, że w tym porównaniu wypada blado i nieciekawie.

Z kolei gdyby Judyta przelała na papier swoje zachwyty nad przepychem i rozmachem Nancherrow, końmi pod wierzch, służbą, polowaniami i funkcjami społecznymi pułkownika Carey-Lewisa - jej ojciec na tym tle mógłby się zaprezentować zupełnie bezbarwnie i w efekcie poczuć się urażony. Gdyby natomiast rozpisała się zbyt na temat bujnego życia towarzyskiego w Nancherrow, tych koktajli, rozgrywek brydżowych i celebrowania pór posiłków - rodzice mogliby ją posądzić, że pośrednio wytyka im brak ambicji pod tym względem. A przecież nie chciałyby ich w jakikolwiek sposób ranić ani zawstydząć!

Natomiast jedno było pewne - nie mogła absolutnie wspomnieć ani słowem o Tommym Mortimerze. Gdyby bowiem rodzice dowiedzieli się o istnieniu takiego człowieka i jego roli w życiu Carey-Lewisów, niechybnie uznaliby Nancherrow za gniazdo rozpusty i napisali do panny Catto, aby więcej nie pozwalała Judycie tam jeździć. A tego by przecież nie zniosła! Potrzebowała więc jakiegoś punktu zaczepienia, konkretnego faktu, na który mogłaby się powołać. Przyszedł jej do głowy dobry pomysł - przecież może napisać o Je-

remym Wellsie! Taki zbieg okoliczności, jak to niespodziewane spotkanie w Nancherrow, świetnie nadaje się do opisanego, a reszta pójdzie już łatwo. Przyciągnęła więc rozpoczęty list z powrotem do siebie i zaczęła zapierać kartkę drobnymi rządami słów.

Mieszkają w majątku, który nazywa się Nancherrow. I tam zdarzyło mi się coś nadzwyczajnego. Z pułkownikiem Carey-Lewisem był na polowaniu pewien człowiek nazwiskiem Jeremy Wells. Okazało się, że to ten młody lekarz, który jechał z nami pociągiem z Plymouth, kiedy wracaliśmy od cioci Biddy! Czy to nie cudowny zbieg okoliczności? Jego ojciec jest lekarzem domowym Carey-Lewisów, a on sam był tak miły, że kiedy Loveday pojechała na przejażdżkę na swoim kucyku - zabrał mnie na spacer brzegiem morza. Wybrzeże jest tam skaliste, a plaże małe, nie takie jak w Penmarron.

W niedzielę rano pojechaliśmy do kościoła w Rosemullion, a po mszy poszliśmy na obiad do pani Boscawen, która jest ciotką pułkownika. Jest już bardzo stara i mieszka w jeszcze starszym domu, pełnym antyków. Ma też pokojówkę, Isobel, która służy u niej już od pięćdziesięciu lat! Dom stoi na wzgórzu, z którego widać morze, a całe zbocze to jeden wielki ogród. Jest tam także mały sad, a w nim drewniany domek dziecięcy, ale wszystko ma normalnej wielkości. Jess oszalałaby z zachwyty, gdyby mogła się tam bawić! Pani Boscawen (kazała się nazywać ciotką Lawinią) pokazała mi ten domek w środku, a potem zabrała mnie na spacer po ogrodzie i trochę porozmawialiśmy. Była tak miła, że chciałabym jeszcze tam kiedyś pojechać.

Pani Carey-Lewis też zaprosiła mnie, żebym przyjechała znów do Nancherrow. To bardzo miłe z jej strony. Napisałam już do niej list z podziękowaniem. W przyszłym tygodniu zaczyna się przerwa półsemestralna i będzie trwać od piątku do poniedziałku. Dostałam kartkę od cioci

Luizy. Píše, że przyjedzie samochodem w piątek rano i zabierze mnie na Górę Czterech Wiatrów.

Pojedziemy też do Porthkerris kupić rower.

Tę śliczną chińską szkatułkę zabrałam do Nancherrow, bo w szkole nie mam jej gdzie trzymać. Pani Carey-Lewis włożyła mi do szufladki trochę swoich muszelek.

W nauce idzie mi dobrze - za klasówkę z historii dostałam, siedem punktów na dziesięć możliwych.

Przerabiamy teraz. Horacego Walpole'a i traktat utrechcki. Bardzo jestem ciekawa, jak wygląda Wasz. nowy dom w Singapurze. Na pewno było Wam żal rozstać się z Józefem i z nianią.

Serdeczne pozdrowienia i ucałowania dla Jess -

od kochającej Judyty

Judyta znajdowała się teraz na Górze Czterech Wiatrów. Stała w oknie sypialni, spoglądając na tor golfowy i bardziej oddaloną zatokę. Wszystko to było widać dosyć niewyraźnie, gdyż przez cały czas siąpił kapuśniaczek. Na domiar złego oczy jej przepelniały łzy jakiejś niemądrej, dziecięcej tęsknoty za domem.

Nie wiadomo, dlaczego takie uczucia naszły ją dopiero podczas przerwy półsemestralnej. Nie przeżywała przecież zbyt silnie rozstania z matką, kiedy zostawała po raz pierwszy u Świętej Urszuli. Może w szkole nie miała czasu na tęsknotę, bo tam stale coś się działo, trzeba było o czymś pamiętać, czegoś od niej wymagano, a czas odmierzały dzwonki. Toteż gdy już kładła się spać i niby mogłaby popłakać w poduszkę - była tak zmęczona, że zasypiała prawie od razu.

Z kolei w Nancherrow, kiedy w towarzyskich rozmowach poruszano temat jej rodziców i siostrzyczki - nie odczuwała większego żalu. Prawdę mówiąc, podczas tego wspaniałego weekendu prawie nie myślała o matce czy ojcu, jakby należeli do świata, który już przeminął. Może dopóki miała na sobie rzeczy Atheny Carey-Lewis, czuła

się kimś zupełnie innym - kimś, kto żył tylko dniem dzisiejszym i przyszłością?

O Nancherrow myślała z nostalgią. Wolałaby być teraz z Loveday w jej domu pełnym słońca i kwiatów niż w ponurym, smaganym wichrami domu ciotki Luizy w towarzystwie trzech starszych kobiet. Głos rozsądku jednak podpowiedział jej, że w tych dniach pada w całej Korn-walii, a więc także i w Nancherrow. Rano aż nie chciało się wstawać przy takiej pogodzie, a uczniom kazano założyć nieprzemakalne płaszcze i kalosze. O dziesiątej mieszkanki internatu skacząc przez kałuże rozbiegły się do samochodów, które przybyły, aby zawieźć je do domów. Ciotka Luiza, jak zawsze punktualna, czekała już w swoim starym roverze, ale po Loveday nikt jeszcze nie przyjechał.

Narzekła więc głośno, gdyż nie należała do cierpliwych.

W gruncie rzeczy dobrze się stało, gdyż Judycie niezbyt się uśmiechało zapoznawać ciotkę Luizę z Dianą. Jasne było, że tych kobiet nic nie łączy, a w drodze powrotnej ciotka na pewno nie szczędziłaby zjadliwych uwag pod adresem pani Carey-Lewis.

Mimo złej pogody ranek minął całkiem przyjemnie. W Penzance ciotka poczyniła niezbędne zakupy, a także podjęła trochę pieniędzy z banku, aby Judyta mogła mieć swoje kieszonkowe. Zastrzegła tylko, aby nie wydawała tych pieniędzy na rower, bo przecież obiecała jej go kupić. Potem pooglądały książki w księgarni, a Judyta przy okazji kupiła sobie nowe wieczne pióro, bo stare pożyczyła koleżance, która je popsuła. Po drodze wstąpiły jeszcze do cukierni na kawę i ciastka.

Jazda w takim deszczu była, delikatnie mówiąc, mocno ryzykowna, zwłaszcza że ciotka prawie nie zdejmowała nogi z pedału gazu i zgrzytała dźwignią zmiany biegów. Kiedy na zakręcie wyprzedzała wlokący się autobus albo na wąskiej serpentynie przyspieszała nie zważając, czy coś nie nadjeżdża z przeciwka - Judyta zamykała oczy, spodziewając się niechybnej śmierci. Całkiem niemiło zro-

bilo się jednak dopiero, gdy przejeżdżały przez Penmarron, ponieważ wtedy nasiliła się tęsknota za Riverview, mamusią i Jess. Niepotrzebnie jechały główną szosą, gdyż można było skrócić w węższą drogę, bliżej stacji kolejowej i ujścia rzeki. Ulgi nie przyniósł także widok wyłaniającego się z mgły domu na Górze Czterech Wiatrów ani nieprzytulny, pozbawiony drzew ogród.

Na powitanie wyszła pokojówka Hilda i zaoferowała się, że zanieśe bagaże na górę. Judyta poszła więc za nią. Chociaż znała dobrze ten dom, teraz po raz pierwszy miała tam zostać na dłużej.

Wszystko było tu obce i nieprzyjazne, nawet pachniało jakoś dziwnie, i Judyta uznała, że jest to ostatnie miejsce na świecie, w którym chciałyby się znaleźć.

Właściwie, mimo że czuła się zagubiona i rozbita, wewnątrz nie miała powodów do narzekania.

Ciotka Luiza odstąpiła jej swój najlepszy pokój gościnny. Znajdowały się już tam rzeczy osobiste przywiezione z Riverview, porządnie poukładane w szafach i szufladach. Miała tu też swoje biurko, a na półce ulubione książki. Na nocnym stoliku stały nawet kwiaty. Czegóż więcej mogła wymagać? O to właśnie chodziło, że niczego! I tak nic nie było w stanie wypełnić pustki, jaka powstała w jej sercu. Hilda poczyniła kilka uwag na temat fatalnej pogody, poinformowała Judytę, gdzie jest łazienka i że lunch będzie o pierwszej, po czym wyszła. Judyta podeszła do okna i pogrążyła się w melancholijnych rozważaniach.

Brakowało jej Riverview, mamy, Jess i Phyllis, znanych widoków, dźwięków i zapachów. Ogrodu schodzącego tarasami w dół zbocza; ujścia rzeki z jej przypływami i odpływami; szumu przejeżdżającego pociągu... Zdażyła się już przyzwyczaić do skromnego, lecz zawsze pełnego kwiatów salonu, stukania naczyń w zlewie czy Phyllis przygotowującej jarzyny na obiad przy akompaniamencie piskliwego głosiku Jess.

Jeszcze silniejszą tęsknotę wzbudzały wspomnienia za-

pachów. W łazience Riverview zawsze pachniało mieszaniną proszku do szorowania „Vim” i lawendowego mydła. Przy głównym wejściu unosiła się słodka woń kwitnącego żywopłotu z ligustru, a w czasie odpływu - wodorostów. A te aromaty dochodzące z kuchni, kiedy człowiek wracał głodny do domu! Aż ślinka leciała, kiedy tak smakowicie pachniało smażoną cebulą czy piekącym się ciastem...

No, starczy! Trzeba już dać sobie spokój z tym rozpamiętywaniem, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Tamta epoka skończyła się bezpowrotnie. W Riverview mieszkają już obcy ludzie, a mama, tato i Jess są w innej stronie świata, za morzami, i żaden płacz tego nie zmieni. Judyta znalazła więc chusteczkę, wytarła nos i zaczęła się rozpakowywać. Porozmieszczała swoje rzeczy w szafach i szufladach, szukając przy okazji czegoś, w co mogłaby się przebrać, aby nareszcie zdjąć mundurek. Niestety, tu nie czekał na nią kaszmirowy sweter. Ten, który znalazła, był z szetlandzkiej wełny, ale tak sprany, że przestał być szorstki. Do tego jakaś stara spódniczka...

Judyta rozczesała i wyszczotkowała włosy, co podziałało na nią uspokajająco. Zmusiła się, aby myśleć o czymś wesołym. Na przykład jeszcze dziś będzie miała nowy rower! Ma cztery dni wolne od nauki i będzie mogła w tym czasie jeździć na rowerze lub chodzić na plażę. Może spotka pana Willisa? Zadzwoń do Heather i umówi się z nią, razem spędzą wolny czas. Już to wystarczyło, aby ją pocieszyć. Powoli przykry nastrój ustąpił. Judyta związała włosy z tyłu wstążką i zeszła na dół, aby odszukać ciotkę Luizę.

Na lunch podano baranie kotlety z sosem miętowym i jarzynką z duszonych jabłek. W czasie posiłku ciotka żywo interesowała się szczegółami pobytu Judyty u Carey-Lewisów.

- Nie byłam tam nigdy, ale słyszałam, że mają fantastyczny ogród.

- Rzeczywiście, wzdłuż całej drogi rosną tam hortensje i kamelie. Mają nawet własną, prywatną plażę!
- A jakie jest to ich dziecko?
- Loveday jest strasznie żywa, ale tam nikt się tym nie przejmuje. Ma taką miłą nianię, która zajmuje się także prasowaniem...
- Widzę, że imponują ci wyższe sfery!
- Wcale nie. Wiem, że oni żyją inaczej niż my, ale to było bardzo miłe.
- A jak oceniasz panią Carey-Lewis? Czy rzeczywiście tak źle się prowadzi, jak o niej mówią?
- To o niej tak mówią?
- Pewnie, bo wciąż się rozjeżdża, to do Londynu, to do Francji,.. I zawsze w jakimś podejrzanym towarzystwie!

Judyta pomyślała przez chwilę o Tommym Mortimerze i powtórnie zdecydowała, że rozsądniej będzie nie wspominać nawet o jego istnieniu. Zamiast tego stanowczo zaprzeczyła:

- Tam nie było żadnego podejrzanego towarzystwa, tylko jeden bardzo miły pan, doktor Jeremy Wells. Poznałam go już wcześniej, kiedy wracałyśmy z mamusią z Plymouth, bo jechał z nami w jednym przedziale, a do Nan-cherrow przybył tylko w odwiedziny.
- Jeremy Wells? - zainteresowała się ciotka.
- Ciocia go zna?
- Osobiście nie, ale wszyscy wiedzą o jego osiągnięciach sportowych. Jest kapitanem reprezentacji Kornwalii w rugby, a w czasie studiów grał także w reprezentacji Cambridge. W ich ostatnim reprezentacyjnym meczu strzelił trzy bramki i został królem strzelców. Pamiętam, że czytałam o tym w gazecie!
- Pułkownik Carey-Lewis mówił, że on także gra w krykieta.
- No, to ocierałaś się o same znakomitości. Mam nadzieję, że po tym wszystkim mój dom nie wyda ci się nudny.

- Na pewno tak nie będzie, kiedy tylko kupimy ten rower.
- Zrobimy to zaraz po obiedzie. Pojedziemy do Pit-way, bo słyszałam, że to najlepszy sklep z rowerami w Porthkerris. Pan Pitway ma furgonetkę, więc poprosimy go, żeby nam ten rower jak najszybciej dostarczył, bo lepiej, żebyś jeszcze nie jeździła sama po głównej szosie, dopóki nie nabierzesz wprawy. Na początku poćwicz trochę jazdę po wsi i pamiętaj, że musisz sygnalizować ręką zamiar skręcenia. Nie chciałabym pisać do twojej matki, że jej dziecko zginęło pod kołami ciężarówki.

Roześmiała się, jakby opowiedziała dobry kawał. Judyta zawtórowała jej, choć wcale nie uważała, aby to było śmieszne.

- Mam nadzieję, że przestanie padać - ciotka kontynuowała swoją przemowę - to będziesz mogła sobie tu i ówdzie pojechać. Niestety, w niedzielę zostaniesz sama, bo ja przez cały dzień gram w golfa. Edna i Hilda biorą wychodne, ponieważ ich ciotka obchodzi osiemdziesiąte urodziny, więc muszą pomóc w przygotowaniu przyjęcia. Mam nadzieję, że potrafisz sama znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Perspektywa spędzenia dnia według własnego uznania wydawała się Judycie raczej zachęcająca. A jeszcze przyjemniej byłoby spędzić tę niedzielę z rodziną Warrenów!

- Jeśli ciocia nie ma nic przeciwko temu, zadzwoniłabym do Heather - zaproponowała. - Może mogłabym pójść do niej albo ona przysłaby do mnie?

- Ta mała od Warrenów? Czemu nie, to całkiem niezły pomysł. Ja też uważam, że należy podtrzymywać stare znajomości. Chcesz jeszcze jabłek? Jeśli nie, to zadzwoń na Hildę, niech sprzątnie ze stołu. Napiję się teraz kawy i wyjedziemy około wpół do trzeciej. Będziesz gotowa do tej pory?

- No pewnie! - Nie mogła się już doczekać.

Deszcz nie przestawał padać także i w drodze do Porth-kerris. Woda chlupotała w rynsztokach, a w basenie portowym była szara i mętna. Sklep rowerowy Pitwaya znajdował się u podnóża góry, więc ciotka Luiza mogła zaparkować w przyległym zaułku. W sklepie pachniało gumą, olejem i nową skórą. Wszędzie pełno było rowerów, od trójkołowych rowerków dzieciennych do wyścigowych jednośladów z modną, opuszczaną kierownicą. Judyta uważała ten pomysł za nietrafiony, gdyż jadący na takim rowerze pedałowal zgięty w kabłąk, z głową między kolanami, i nie widział przed sobą nic oprócz szosy. A w takim przypadku chyba cała jazda mijała się z celem!

Kiedy pojawił się pan Pitway, nadeszła pora na podjęcie decyzji. Ostatecznie klientki zdecydowały się na model „Raleigh”, ciemnozielony z czarnym siodełkiem. Miał trzy biegi i był wyposażony w łańcuch zabezpieczający, uchwyty kierownicy z grubej gumy, pompkę do opon i torebkę przy bagażniku z kompletem zapasowych kluczy. Kosztował równo pięć funtów, więc ciotka Luiza wytwornym ruchem wyciągnęła portfel i wyłuskała z niego odpowiednią liczbę banknotów.

- Teraz chciałabym prosić, aby mi go pan jak najszybciej dostarczył - przystąpiła do rzeczy. - Może nawet jeszcze dziś.

- Przykro mi, ale jestem teraz sam w sklepie...

- No to co? Może pan poprosić żonę, żeby przez pół godziny pana zastąpiła. Niech pan wrzuci ten rower do samochodu i podwiezie go na Górę Czterech Wiatrów w Penmarron.

- Wiem, gdzie pani mieszka, ale...

- A więc wszystko załatwione. Czekamy na pana około czwartej.

W połowie drogi do wyjścia jeszcze się obejrzała.

- Dziękuję panu za pomoc - dodała.

- Dziękuję, że zaszczyciła pani naszą firmę - wyjąkał biedny pan Pitway.

Najwidoczniej bał się odmówić ciotce Luizie, gdyż dotrzymał słowa. Pogoda nieco się poprawiła i nie padało już, gdy za pięć czwarta niebieska furgonetka pana Pitwaya wtoczyła się w bramę posiadłości Góra Czterech Wiatrów. Judyta wyglądała go przez okno, więc zaraz wyskoczyła, aby pomóc właścicielowi wyciągnąć z wozu cenny ładunek. Zaraz dołączyła do niej ciotka Luiza, aby sprawdzić, czy jej nabytek nie uległ w drodze jakiemuś uszkodzeniu. Na szczęście nie znalazła w nim żadnej wady, więc podziękowała panu Pitwayowi i dała mu pół korony za fatygę i zużyte paliwo. Przyjął napiwek z wdzięcznością, choć i z pewnym zażenowaniem. Nie odjeżdżał jednak, lecz poczekał, aż Judyta wpierw zrobi parę rundek na nowym rowerze. Dopiero kiedy sam ocenił, jak spisuje się jego towar, przytknął dwa palce do czapki, wsiadł do furgonetki i odjechał.

- No i jak? - spytała ciotka.

- Och, to wspaniale! Bardzo cioci dziękuję! - Wspierając się na kierownicy, wycisnęła na opornym policzku ciotki gorący pocałunek. - To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałam. Przyrzekam, że będę o niego dbała.

- Pamiętaj zawsze odstawiać go do garażu, żeby nigdy nie stał na deszczu.

- Będę pamiętać, a teraz trochę przejadę się po wsi.

- Wiesz, jak działają hamulce?

- Wiem, jak wszystko działa.

- No, to jedź i baw się dobrze.

Kiedy już pozbyła się bratanicy, wróciła do swej popołudniowej herbaty, przerwanej lektury i robótki na drutach.

Cóż to była za jazda, prawie jak lot nad ziemią! Zsunęła się szybko ze zbocza i przejechała przez wieś, na nowo odkrywając dawno nie widziane domki i sklepiki na głównej ulicy. Minęła pocztę, bar i boczną drogę skręcającą na plebanie, po czym na luzie, z oszalałymi prędkością

zjechała z górki aż o ujścia rzeki i przegradzającej ją grobli. Stamtąd obrała wyboistą i pełną kałuż drogę, która okrążała grządki fiołków, a potem biegła równolegle do toru kolejowego. Wiedziała, że spore odcinki tej drogi były zawsze zacienione, a na jej południowych skarpach rosły dzikie pierwiosnki. Dziś Judycie nie przeszkadzało nawet zasnuwane niebo. Cóż z tego, że koła roweru podskakiwały na wybojach i rozbryzgiwały wodę w kałużach - za to powietrze było przesycone słodkim zapachem wilgotnej ziemi, a ona czuła się tak wolna, jak nigdy przedtem! Miała w sobie tyle energii, że mogłaby tak pedałowac do końca świata. Aż chciało się śpiewać z radości, więc ponieważ nikt jej tu nie mógł słyszeć, zaśpiewała:

Co mi tam deszcz, Co mi tam chlóóóóó...

Droga kończyła się w miejscu, gdzie zaczynały się pierwsze domy Penmarron, z ogrodami otoczonymi kamiennymi murami. Judyta przejechała pod sosnami, na których siedziały kraczące gawrony, a potem obok stacji kolejowej. Dotarła do Riverview.

Przyhamowała i opuściła jedną nogę na ziemię, aby całkiem zatrzymać rower. Nie miała zamiaru tu przyjeżdżać, ale jej pojazd, jak wierny koń, sam ją zaniósł do dawnego domu. Patrząc na ten budynek, nie odczuwała jednak niczego szczególnego. Może trochę zakłuło ją pod sercem, ale nie za bardzo. Ogród wyglądał na zadbane, w sadzie kwitły już pierwsze narcyzy. Na jednej jabłoni ktoś powiesił dziecięcą huśtawkę. Przyjemnie było pomyśleć, że mieszka tu teraz jakaś rodzina z dziećmi.

Judyta pojechała dalej pod drzewami aż do źródła, z którego woda rozlewała się w sadzawkę, gdzie kiedyś łapała kijanki i żaby. Dalej droga wznosiła się, aż dochodziła do głównej szosy. Przez chwilę myślała, czyby nie zjechać na plażę i nie złożyć wizyty panu Willisowi, ale zrezygnowała, bo robiło się już ciemno, a jej rower nie

miał światła. Przy okazji następnego wyjazdu do Porth-kerris trzeba będzie dokupić duże światło przednie i małe, czerwone, tylne. Teraz jednak musi już wracać do domu.

Na tym odcinku droga biegła między polami z jednej strony a terenami golfowymi z drugiej. Judyta pedałowiała jak szalona, ale wkrótce i tak zdała sobie sprawę, że podjazd jest tu bardziej stromy, niż myślała. Nawet trzeci bieg roweru już nie wystarczał. Na wysokości klubu golfowego zdecydowała się iść pieszo, prowadząc rower.

- Hej tam, zaczekaj! - rozległ się głos za nią.

Judyta obróciła się, by sprawdzić, kto ją woła. Zauważyła mężczyznę, który właśnie wychodził z klubu. Ubrany był jak do gry w golfa, w obszerne pumpy i żółty sweter. Na głowie miał tweedową czapkę nałożoną z fasonem na bakier, czym przypominał podrzędnego bukmachera.

- Panna Judyta, o ile się nie mylę?

- Tak, to ja - odpowiedziała zgodnie z prawdą, nie mając pojęcia, kto to może być.

- Twoja ciocia powiedziała mi, że przyjechałaś na weekend. Coś mało wam dali wolnego! - Miał czerwoną twarz, wąsiki i sprytne, przenikliwe oczka. - Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać. Jestem Billy Fawcett, emerytowany pułkownik i stary znajomy Luizy jeszcze z Indii. Teraz jestem także jej sąsiadem.

- Rzeczywiście - przypomniała sobie. - Ciocia mówiła mamie i mnie o panu. Pan był przyjacielem wujka Jacka.

- Zgadza się. Służyliśmy w jednym pułku przy północno-zachodniej granicy. A co tu masz takiego? - spytał wskazując na rower.

- Ciocia kupiła mi dziś nowy rower. Tylko że nie dałam rady podjechać nim pod tę górę, choć ma trzy biegi. Musiałam zejść i prowadzić.

- To raczej kiepski rower, choć wygląda ładnie. I przez to musisz iść piechotą? Jeśli pozwolisz, będę ci towarzyszył.

Wcale nie była zachwycona tym, że ktoś zakłóca jej samotność, ale uprzejmie odpowiedziała:

- Ależ proszę bardzo.

Billy dostosował swój krok do tempa jej marszu.

- Grał pan teraz w golfa? - Judyta starała się podtrzymać rozmowę.

- Tak, zrobiłem małą rundkę na własny użytek. Muszę trenować, żeby móc współzawodniczyć z twoją ciocią.

- Ona dobrze gra, prawda?

- Och, doskonale. Ma uderzenie jak mężczyzna, a jaką celność! A jak ty się czujesz, będąc znowu w Penmarron?

Rozmawiali ze sobą uprzejmie, lecz z pewnym skrepowaniem. Na ostatnim zakręcie przed Górą Czterech Wiatrów teren był już płaski, więc Judyta mogłaby wsiąść na rower i zostawić pułkownika Fawcetta w tyle. Czowała jednak, że byłoby to niegrzeczne.

Przy bramie posiadłości ciotki zatrzymała się na moment, licząc, że tym razem Billy pożegna się i pójdzie sobie. On jednak nie miał zamiaru zakończyć tego niespodziewanego spotkania. Było już prawie ciemno, ale w salonie ciotki Luizy, za zasłoniętymi oknami, jeszcze się świeciło.

Najwidoczniej pułkownik uznał to za zaproszenie. Ostentacyjnie podciągnął rękaw swetra i spojrzał na zegarek.

- Piętnaście po piątej to jeszcze dosyć wcześnie. Skoro mam trochę czasu, to wstąpię złożyć swoje uszanowanie Luizie. Nie widziałem jej już parę dni!

Judyta nie dała rady wymyślić na poczekaniu jakiejś ważnej przyczyny, która by to uniemożliwiła. Nie sądziła też, aby ciotka Luiza mogła mieć coś przeciwko temu. Minęli więc razem bramę.

- Muszę wstawić rower do garażu! - przypomniała sobie przy głównym wejściu.

- Nie zważaj na mnie. Już ja sobie dam radę.

I rzeczywiście - nie pukając ani nie dzwoniąc, zwyczajnie otworzył drzwi i zawołał: „Luizo!” Ona przypu-

szczalnie coś mu odpowiedziała, bo wszedł do środka, zamykając drzwi za sobą. Kiedy był już odwrócony plecami, Judyta skrzywiła się. Nie była jeszcze pewna, czy polubi pułkownika Fawcetta, ale już na pewno nie zniosłaby na dłuższą metę jego wyniosłego sposobu bycia. Możliwe jednak, że ciotka Luiza lubiła go i nie przeszkadzało jej to niespodziewane wtargnięcie. Wprowadziła więc rower do garażu i ustawiła go w bezpiecznej odległości od samochodu ciotki. Znając jej styl prowadzenia pojazdu, niczego nie można być pewnym! Powoli, nie spiesząc się, zamknęła drzwi garażu. Nie miała zbytnej ochoty wchodzić teraz do salonu. Gdyby mogła przedostać się do swego pokoju omijając parter i przeczekać, aż pułkownik Fawcett sobie pójdzie! Niestety, architektura Góry Czterech Wiatrów wykluczała takie rozwiązanie. Musiała więc wejść tam, gdzie siedzieli oboje z ciotką, i nie mogła dyskretnie się stamtąd wymknąć, gdyż byłoby to bardzo niegrzeczne.

Gdy weszła, Billy Fawcett siedział przy kominku, czując się tak pewnie, jakby nigdy stąd nie wychodził. Ciotka Luiza już przedtem kazała Hildzie sprzątnąć ze stołu po podwieczorku, a teraz nalewała mu drinka.

- Czy już zaplanowałaś, jak spędzicie weekend? - zapytał Billy, pociągając duży łyk ze swojej szklanki.

Ciotka Luiza nie przerywała roboty na drutach. Nie nalała sobie drinka, bo według przestrzeganych przez nią niepisanych reguł było na to jeszcze za wcześnie. Mieszkała sama, więc musiała być wierna zasadom, które sama sobie narzuciła.

- Jeszcze nie rozmawialiśmy zbyt wiele na ten temat. W niedzielę chciałabym pograć w golfa z Richardsami.

- A ty jak zamierzasz spędzić ten dzień? - Pułkownik zwrócił się do Judyty.

- Myślę, że odwiedzę koleżankę w Porthkerris. Właśnie chciałam do niej zadzwonić.
- Pewnie, że nie możesz nudzić się tu sama. W razie gdybyś potrzebowała towarzystwa, chętnie służę. Judyta udała, że nie słyszy tych słów. Ciotka zmieniła druty.
- Byłoby dobrze, gdyby pani Warren mogła cię zabrać na niedzielę - wyraziła swoje zdanie. - Edna i Hilda także biorą wychodne, a samej w pustym domu byłoby ci smutno.
- Mogłabym zawsze wyskoczyć gdzieś na rowerze.
- Jeśli nie będzie padało, a o tej porze roku wszystko jest możliwe. Przydałaby ci się taka peleryna przeciwdeszczowa, która sięga aż do kostek.

Billy Fawcett odstawił szklanekę, sięgnął do kieszeni po papierośnicę i zapalniczkę. Kiedy zapalił papierosa, Judyta zauważyła, że palce ma poplamione tytoniem, a wąsy też jakby przypalone.

- A gdybyśmy poszli do kina? - zaproponował. - Byłem dziś w Porthkerris i zauważyłem, że grają „Panów w cylindrach” z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers. To może być coś dobrego! Chętnie zabiorę was jutro wieczorem, oczywiście ja stawiam.

Ciotka Luiza wydawała się tym zaskoczona. Przypuszczalnie po raz pierwszy słyszała, że Billy podejmuje się zapłacić za cokolwiek.

- To miłe z twojej strony, Billy. Judyto, czy chciałabyś obejrzeć ten film? A może już go widziałaś? Nie, Judyta nie widziała jeszcze tego filmu. A już od dłuższego czasu pragnęła go zobaczyć. Loveday przesmuglowała kiedyś do sypialni internatu magazyn filmowy z fotosami z tego musicalu. Przedstawiła sławną parę wirującą na parkiecie; Ginger Rogers miała na sobie suknię ozdobioną piórami. Jedna z uczennic piątej klasy chwaliła się, że widziała ten film aż dwa razy. Kochała się we

Fredzie Astairze i wkleiła jego zdjęcie pod okładkę swojego brulionu.

Z drugiej strony wolałaby iść do kina z Heather, pojechać ciasteczka i razem z nią wzdychać w ciemności do swego idola. Z ciotką Luizą i Billym Fawcettem to już nie będzie to samo.

- Jeszcze go nie widziałam - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- A chciałabyś go zobaczyć?

- Tak, bardzo! - Co innego mogła powiedzieć?

- No to świetnie! - Billy na znak aprobaty klepnął się dłonią w kolano. - A więc jesteśmy umówieni.

Kiedy wyruszamy? Stąd o szóstej? Ale będziesz, Luizo, musiała tam nas zawieźć, bo mój gruchot coś nawala i oddałem go do naprawy.

- Dobrze, wystarczy, że przyjdiesz o wpół do szóstej, to pojedziemy razem. Bardzo ładnie z twojej strony, że nas zapraszasz.

- Cała przyjemność po mojej stronie, skoro mogę asystować tak pięknym damom! Czegóż więcej trzeba? - Sięgnął po swoją szklanę, dopił whisky, po czym rozsiadł się z papierosem i pustą szklanką w rękę.

- Na drugą nogę, Billy? - spytała ciotka unosząc brwi.

- No... - Spojrzał na pustą szklanę, jakby nie chcąc wierzyć, że jest z nią aż tak źle. - Cóż, jeśli nalegasz...

- To nalej sobie jeszcze.

- A ty nie strzelisz jednego?

Luiza spojrzała na zegarek, stwierdzając najwidoczniej, że już można.

- No, może malutki...

Billy musiał więc podnieść się z fotela, podejść do tacy z napojami i pełnić honory domu. Judyta zauważyła, że w tej roli wygląda okropnie. Przypuszczalnie tak samo brzydkie, zimne i nieprzytulne było wewnątrz jego domku. Może nie stać go było na podtrzymywanie ognia na kominku, zakup coraz to nowych butelek whisky i zatrud-

nienie stałej gospodyni, jak przeważnie czynili starzy kawalerowie. Pewnie dlatego usiłował wkraść się w dostatnie i uporządkowane życie ciotki Luizy. Może nawet -o zgrozo! - zalecał się do niej czy na swój sposób starał się o jej rękę?

Ciężko było nawet pomyśleć o tak koszarnej perspektywie. Tym bardziej że nie wydawała się wcale nierealna. Był przecież starym kumplem Jacka Forreстера i najwyraźniej ciotka Luiza dobrze bawiła się w jego towarzystwie, bo inaczej dawno pokazałaby mu drzwi. Nie należała przecież do osób, które chętnie tolerują przy sobie głupców. Może było jej go po prostu żal, a z biegiem czasu zdążyła się do niego przyzwyczaić? To się czasem zdarza.

- Służę uprzejmie, moja droga!

Judyta szczególnie uważnie przyglądała się ciotce, kiedy Billy podawał jej drinka. Ona jednak wzięła szklankę całkiem zwyczajnie i bezceremonialnie odstawiła na stolik obok. Nie wymienili przy tym żadnych ukradkowych spojrzeń ani porozumiewawczych uśmiezków. Judyta odetchnęła z ulgą, gdyż świadczyło to pozytywnie o rozsądku ciotki Luizy. Z pewnością była zbyt mądra, aby podjąć tak nieprzemyślaną decyzję, jak związać się ze starym pijaczną bez grosza przy duszy.

- Dziękuję, Billy.

Mądra, stara ciocia! Judyta chętnie wyzbyłaby się swoich podświadomych lęków, ale okazało się, że nie jest to takie proste. Ziarno niepewności, raz zasiane, nie dawało się ani wykorzenić, ani zignorować. Postanowiła więc mieć oczy szeroko otwarte i czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Nazajutrz rano Judyta zadzwoniła do Heather. Telefon odebrała pani Warren, ucieszyła się, gdy usłyszała, kto mówi, i zaraz poprosiła córkę.

- Judyta? - odezwała się Heather.

- Cześć.

- Co ty tu robisz?

- Jestem u cioci Luizy. Przyjechałam na przerwę półsemestralną.
- Masz już rower?
- Kupiliśmy go wczoraj u Pitwaya. Jest wspaniały, jeszcze tego samego dnia pojechałam na długą przejażdżkę. Muszę tylko dokupić do niego światła.
- Jaka to marka?
- „Raleigh”, ciemnozielony, z trzema biegami.
- No to fajnie.
- Chciałabym zobaczyć się z tobą. Mogłabym jutro przyjechać?
- O, jasny gwint!
- Co się stało?
- Wyjeżdżamy na cały weekend do babci w Bodmin. Tato już wyprowadził samochód i za pięć minut ruszamy. Wrócimy w niedzielę późnym wieczorem.
- No nie! - Takiego rozczarowania się nie spodziewała. - Musicie wyjeżdżać akurat na ten weekend?
- To było już dawno zaplanowane. Nie wiedziałam, że przyjedziesz właśnie teraz. Szkoda, że nie dałaś mi znać.
- Mam jeszcze wolny poniedziałek.
- Co z tego, kiedy ja muszę w poniedziałek być w szkole? Chyba że przyszłabyś na podwieczorek.
- Nie dam rady, bo o czwartej muszę już być z powrotem u Świętej Urszuli.
- I znowu wszystko na nic - westchnęła Heather. - Szlag mnie trafia! Tak chciałam się z tobą spotkać, dowiedzieć się wszystkiego o tej nowej szkole. Jak tam jest, czy już z kimś się zaprzyjaźniłaś?
- Nie jest źle. Już mam jedną czy dwie bliskie koleżanki.
- A nie tęskno ci za mamą?
- Czasem na pewno, ale co z tego.
- Ciekawe, czy są już w tym Kolombo. Dostałaś może jakiś list?
- Niejeden. Wszyscy zdrowi, Jess także.

- Któregoś dnia Elaine pytała mnie o ciebie. Teraz będę mogła powiedzieć jej coś konkretnego. Pewnie spotkamy się w czasie ferii wielkanocnych.
- Chyba tak.
- Kiedy u was zaczynają się ferie?
- W pierwszym tygodniu kwietnia.
- Wtedy zaraz do mnie zadzwoń, to coś zorganizujemy. Mama pyta, czy mogłabyś zostać u nas przez parę dni.
- Powiedz mamie, że bardzo chętnie.
- Słuchaj, muszę kończyć, bo tatuś siedzi już w samochodzie i trąbi, a mama nakłada kapelusz i lata w kółko jak ćma wokół lampy.
- No więc życzę ci miłego weekendu u babci.
- Ty też baw się dobrze. I pamiętaj, że spotykamy się na Wielkanoc.
- Będę pamiętać.
- No to cześć!

Judyta z nosem na kwintę przekazała te niemiłe wieści ciotce Luizie.

- Co za pech! - zmartwiła się ciotka. Ale to nic, spotkacie się w czasie następnej przerwy, a jutro przy odrobinie szczęścia może być całkiem ładna pogoda. Powiem Ednie, żeby przygotowała ci wałówkę i będziesz mogła pojechać gdzieś na rowerze, na przykład na plażę albo na wzgórze Veglos.

Przywieziesz mi stamtąd bukiet pierwszych w tym roku pierwiosnków.

- Pewnie, czemu nie? - odpowiedziała, ale bez przekonania, bo nie mogła ukryć przemożnego zawodu. Opadła głęboko w fotel, wyciągając nogi daleko przed siebie i żując kosmyk włosów, które wymknęły się spod wstążki. Myślała o perspektywie pustej niedzieli i modliła się, aby ciotka Luiza nie powiedziała Billy'emu Eawcettowi o zmianie planów. Miała już na końcu języka, aby ją o to poprosić, ostatecznie jednak zdecydowała się nic nie mówić. Doszła bowiem do wniosku, że lepiej nie wyjawiać swojej instynktownej antypatii do nieszkodliwego starego

dziwaka, którego ciotka traktowała jak bliskiego przyjaciela.

Po dżdżystym poranku w sobotę po południu się wypogodziło i zza chmur błysnęło słońce. Ciotka Luiza postanowiła popracować trochę w ogródku, toteż Judyta zdecydowała się jej pomóc. Wrywała chwasty z wilgotnej ziemi i taczka wywoziła martwe pędy, z których ciotka oczyszczała róże i inne krzewy ozdobne. Wróciły do domu około wpół do piątej, ale miały jeszcze dość czasu, aby umyć ręce, oporządzić się i napić herbaty, zanim zjawił się Billy, gotów do wieczornego wyjścia.

W samochodzie usiadł obok ciotki, która prowadziła, a Judyta ulokowała się na tylnym siedzeniu.

- Coście dziś przez cały dzień robiły? - zapytał Billy, gdy wóz ruszył.

- Pracowałyśmy w ogrodzie - poinformowała go ciotka.

- Co to za ferie, kiedy dziedziczka goni cię do roboty? Odwrócił się do Judyty, wyszczerzając w uśmiechu żółte zęby.

- Lubię pracę w ogródku - zbyła go krótko.

- A co robisz jutro? Zastałaś tę swoją psiapsiółkę? Judyta udawała, że patrzy w okno, i starała się puścić

jego pytanie mimo uszu, ale on nie ustępował.

- Zdecydowałyście się na coś konkretnego? - spytał.

- Mniej więcej - próbowała odpowiedź wymijająco, błagając w duchu ciotkę Luizę, aby nie rozwijała tego tematu.

Cóż, kiedy ciotka, nie podejrzewając, w czym rzecz, najzwyczajniej się wygadała.

- Niestety, Heather wyjechała na cały weekend. Ale to nic, spotkają się kiedy indziej.

Judyta chętnie skrzyczałaby ciotkę, choć nie było w tym jej winy.

Oczywiście Billy znów skorzystał z okazji.

- Więc będziesz musiała jakoś sama wypełnić ten czas ?

Gdybyś jednak potrzebowała towarzystwa, jestem do dyspozycji.

Kiedy znowu odwrócił się do niej plecami, Judyta pokazała mu język, tak jak zrobiłaby w podobnej sytuacji Loveday. Możliwe, że zobaczył jej minę w lusterku wstecznym, ale nie zwrócił na to uwagi. Wieczorem Porthkerris prezentowało się zupełnie inaczej niż wczoraj rano. Niebo stało się bezchmurne, a ostatnie promienie zachodzącego słońca ozłacały szare kamienne ściany domów różowym, opalizującym światłem. Wiatr ucichł, więc srebrna tafla morza pozostawała nieporuszo-na. Poniżej szosy, po długiej, półkolistej plaży spacerowała jakaś parka, pozostawiając za sobą podwójną linię śladów na piasku.

W labiryncie wąskich uliczek Porthkerris zapachniało smażoną rybą i frytkami z uchylonych drzwi małej restauracyjki. Billy Fawcett podniósł głowę i zaczął węszyć jak pies, który złapał wiatr.

- Czujecie, jak pachnie rybą z frytkami? Aż ślinka cieknie! Może po filmie wstąpimy do tej knajpki na kolację?

Ciotka Luiza nie podjęła jednak tego wątku, może w obawie przed nieuniknioną kłótnią przy płaceniu rachunku.

- Nie dziś, Billy - ucięła sucho. - Edna czeka na mnie i Judytę z zimną kolacją.

Najwidoczniej Billy nie był przewidziany jako uczestnik tego skromnego posiłku. Judycie nawet zrobiło się go trochę żal, ale ciotka zaraz złagodziła swoją oschłość, dodając:

- Może kiedy indziej...

Judyta próbowała sobie wyobrazić, co ten biedny staruszek zje na kolację w swoim domu. Pewnie kupi sobie paczkę frytek i popije je whisky z wodą sodową. W gruncie rzeczy jednak cieszyła się, że ciotka Luiza nie zaprosiła go na kolację. Domyślała się, że zanim film się skończy, będzie już miała dość jego towarzystwa.

Ciotka zaparkowała samochód nie opodal banku i już piechotą przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie mieściło się kino. Zmierało tam sporo ludzi, choć przy wejściu nie było kolejki. Billy wysforował się naprzód i stanął przed kasą biletową. Judyta z ciotką zatrzymały się przy gablocie z fotosami. Patrząc na nie, można się było spodziewać połączenia komedii i romansu. Judyta poczuła miły dreszczyk zbliżających się emocji, ale ciotka tylko parsknęła:

- Mam nadzieję, że to nie będzie coś głupiego!

- Ależ na pewno cioci się spodoba.

- No, przynajmniej są tam podobno niezłe piosenki. Kiedy obejrzały już fotosy, okazało się, że Billy Fawcett

tymczasem gdzieś zniknął.

- Gdzież on się, u licha, znów podział? - wyrzekła ciotka takim tonem, jakby chodziło o psa, który zawieruszył się podczas pikniku.

Zaraz jednak Billy znów się pojawił. Wyszedł właśnie z kiosku, niosąc małe pudełko mlecznych czekoladek Cad-bury'ego.

- Przepraszam, że dałem wam czekać, ale czasem trzeba umieć się znaleźć, prawda? No to wchodzimy.

Sala kinowa, przerobiona z hali, w której kiedyś handlowano rybami, była jak zawsze duszna i zatłoczona. W powietrzu unosiła się woń środka owadobójczego, który obficie rozpylano w obawie przed pchłami. Bileterka wskazywała widzom ich miejsca. Nie musiała zapalać latarki, gdyż nie zgaszono jeszcze świateł. Judyta chciała wejść pierwsza między rzędy, ale Billy ją powstrzymał:

- Damy mają pierwszeństwo. Niech najpierw ciocia wygodnie usiądzie.

Oznaczało to, że Judyta będzie musiała siedzieć między ciotką Luizą a Billym Fawcettem. Kiedy już ulokowała się i zdjęli okrycia wierzchnie, Billy otworzył pudełko czekoladek i podsunął je paniom. Niestety, słodczyce okazały się nieświeże, pewnie długo przeleżały w kiosku na

półce. Zgasły światła i na ekranie ukazał się zwiastun innego filmu - westernu „Nieznajomy z Rio”. Akcja działa się prawdopodobnie w Ameryce Południowej. Główna bohaterka, blondynka w malowniczo poszarpanej odzieży, lecz z nieskazitelnym makijażem, przedzierała się, ciężko dysząc, przez trawy prerii. Natomiast główny bohater nosił na głowie szerokoskrzydłe sombrero i przejeżdżał rzekę w bród na siwym koniu, wymachując lassem nad głową. Slogan reklamowy głosił: „W przyszłym tygodniu na naszych ekranach. Widowisko jedyne w swoim rodzaju. Nie przegapcie okazji!”

- Chyba ją przegapię - podsumowała ciotka Judyty -bo wygląda mi to na szmirę.

Zacząła się kronika filmowa. Migawka z Niemiec ukazywała Hitlera przyjmującego defiladę wojskową. Król Anglii wizytował doki gdzieś na północy i rozmawiał ze stoczniovcami po zwodowaniu nowego statku. Kolejne kadry prezentowały zabawne ujęcia szczeniąt sfilmowanych na wystawie psów. Po kronice odegrano jakiś banalny utwór muzyczny i wreszcie rozpoczęli się „Panowie w cylindrach”.

- Chwała Bogu! - skomentowała ciotka. - Myślałam, że już nigdy się nie zacznie.

Judyta, wciśnięta głęboko w krzesło, z oczyma wlepionymi w ekran, ledwo ją słyszała. Magia obrazu i dźwięku kompletnie ją pochłonięła. Wkrótce na ekranie pojawił się Fred Astaire, stepując i żonglując laseczką. Akcja potoczyła się żywiej, gdy poznał Ginger Rogers i zaczął się starać o jej względy. Razem zaśpiewali „Czyż nie jest cudownie, kiedy pada deszcz” i zatańczyli w duecie. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, gdy do akcji wkroczył Edward Everett Horton, ubrany tak samo jak Fred, i zamienił się z nim teczkami. Natomiast zupełne *qui pro quo* nastąpiło, kiedy Ginger Rogers wzięła jednego za drugiego...

W tym momencie Judyta zdała sobie sprawę, że dzieje

się coś dziwnego. Najpierw Billy Fawcett niespokojnie kręcił się na swoim miejscu, więc pomyślała, że może nie ma gdzie wyciągnąć nóg, i posunęła się, aby zrobić mu miejsce. Wtedy jednak poczuła, że coś spoczywa na jej kolanie. Tym czymś była ręka Billy'ego, która nie wiadomo skąd się wzięła, ale dawał się odczuć jej ciężar i nieprzyjemne ciepło.

To popsuło jej całą radość z oglądania filmu. Nie mogła już ani na chwilę się skupić, a akcja filmu, jego dialogi i dowcipy przestały do niej docierać. Patrzyła wprawdzie na ekran, ale nie śledziła tego, co tam się dzieje, tylko biła się z niepokojącymi myślami. Co ma w takiej sytuacji zrobić? Czy on wie, na czym trzyma rękę, czy też może myśli, że jest to obita pluszem poręcz rozdzielająca siedzenia?

Może powinna wyprowadzić go z błędu? Ale jeśli to zrobi, to czy on wtedy zabierze rękę?

Po chwili palce tej ręki zacisnęły się na jej kolanie i zaczęły je miętosić. Teraz wiedziała już, że nie był to przypadek, lecz celowe działanie. Ręka pod jej spódnicą zaczęła posuwać się coraz wyżej, pieszcząc udo - tylko patrzeć, jak sięgnie majtek!

W ciemnej i dusznej sali Judyta siedziała kompletnie sparaliżowana strachem. Zastanawiała się gorączkowo, jak daleko ten człowiek ma zamiar się posunąć, jak ona ma wobec tego postąpić, dlaczego on to robi i jak dać to do zrozumienia ciotce Luizie...

Na ekranie widocznie działo się coś zabawnego, bo widzowie, z ciotką włącznie, zanosili się od śmiechu. Korzystając z tego Judyta udała, że coś upadło jej na podłogę. Zsunęła się z krzesła i uklękła między rzędami.

- Cóż ty tam, u licha, robisz? - oburzyła się ciotka.
- Zgubiłam spinkę do włosów.
- Nie widziałam, żebyś nosiła jakąś spinkę.
- Ale miałam ją, a teraz mi wypadła.
- Więc zostaw ją tam, a po filmie poszukamy.
- Cicho tam! - rozległy się gniewne szepty z tylnego

rzędu. Mogła więc tylko powiedzieć: „Przepraszam!” -i wcisnąć się z powrotem na krzesło. Tym razem przysunęła się tak blisko ciotki Luizy, że poręcz wbijała się jej między żebra. Liczyła, że Billy Fawcett zrozumie aluzję i zostawi ją w spokoju.

Nic podobnego! Po jakichś pięciu minutach znów poczuła jego rękę na swoim udzie, jak jakieś pełzające paskudztwo, którego jednak nie można było trzepnąć zrolowaną gazetą. Natrętnymi, lubieżnymi ruchami posuwała się coraz wyżej...

Judyta zerwała się na równe nogi. Ma się rozumieć, ciotka wpadła w złość.

- Cóż ty, na miłość boską, wyprawiasz?
- Muszę wyjść do toalety.
- Mówiłam ci, żebyś się załatwiła przed wyjazdem z domu!
- Nie możecie być cicho? Wszyscy chcą oglądać film -zaszemrały oburzone głosy z widowni.
- Przepraszam, niech mnie ciocia przepuści!
- Możesz iść tamtą stroną, będzie szybciej.
- Ale ja wolę tędy!
- Proszę wreszcie iść albo siedzieć, bo pani wszystkim przeszkadza! - karcili ją inni widzowie.
- Przepraszam - przeciskała się między kolanami oburzonych widzów siedzących w tym samym rzędzie.

Wydostała się z sali i znalazła za kotarą obskurną damską toaletę. Zamknęła się tam, bliska płaczu z rozpacz i obrzydzenia. Czego chciał od niej ten straszny człowiek? Jak śmiał jej dotykać? Dlaczego nie zostawił jej w spokoju? Nie dbała już o to, że nie obejrzy filmu. Robiło się jej słabo na samą myśl o powrocie na salę. Wolałaby wyjść stąd na świeże powietrze, wrócić do domu i nie musieć już więcej patrzeć na tego człowieka ani z nim rozmawiać.

To on zaproponował, aby iść do kina, wmawiając ciotce, że robi to tylko z dobrego serca. Oszukał ją, co świad-

czyło, że był przebiegły i niebezpieczny, Judyta nie rozumiała, w jakim celu pchał jej rękę pod spódnicę, ale było to tak okropne, że czuła się wręcz zbezczeszczona. Od początku niezbyt lubiła Billy'ego Fawcetta, ale raczej dlatego, że wydawał się jej śmiesznym, patetycznym kabotynem. Teraz zaś sama czuła się ośmieszona i poniżona. Także dlatego, że nie mogła w żaden sposób powiedzieć ciotce Luizie o tym, co się stało. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby patrząc jej w oczy wyznała: „Billy Fawcett próbował wsadzić mi rękę pod majtki”.

Postanowiła, że wróci teraz na salę, ale nie usiądzie, dopóki ciotka nie przesunie się na miejsce obok Billy'ego Fawcetta i nie puści jej na swoje siedzenie. Będzie stać nad nią i przekonywać ją aż do skutku, w czym na pewno pomogą jej zniecierpliwieni widzowie siedzący z tyłu. Choćby dla świętego spokoju ciotka w końcu ustąpi, a jeśli potem w domu będzie się gniewać na Judytę za jej zachowanie - ona bynajmniej nie weźmie sobie tego do serca. Wszak pośrednio ciotka była sprawczynią zamieszania - w końcu Billy Fawcett był jej przyjacielem. Równie dobrze sama mogła usiąść przy nim, a już jej na pewno nie wkładałby ręki pod spódnicę!

Judyta leżała w łóżku i z przerażeniem wpatrywała się w okno, za którym niebo nagle pociemniało, a gwałtowny poryw wiatru uderzył o szyby z wyciem przypominającym jęki demonów. Obawiała się czegoś strasznego a nieznanego, co nieuchronnie miało nadejść. Przerazała ją świadomość, że jeśli wstanie z łóżka i będzie próbowała szukać drogi ucieczki przez drzwi - zastanie je zamknięte. Słyszała kroki na żwirze, przebijające się przez wycie wiatru, a potem stuknięcie drabiny przystawianej do ramy okiennej.

To... czy raczej ten, którego się spodziewała, już nadchodził. Bezszelestnie jak kot wspinał się po drabinie. Judyta z bijącym sercem leżała i czekała, bo nic innego

nie mogła zrobić. Zbliżał się niewątpliwie w złych zamiarach, ze swymi rozbieganymi oczkami i gorącymi, wszędobylskimi palcami, a ona wiedziała, że choćby chciała krzyczeć, to nie będzie w stanie dobyć z siebie głosu. A gdyby nawet krzyknęła, to i tak nikt tego nie usłyszy ani nie przyjdzie jej z pomocą. Mogła tylko, porażona strachem, patrzeć, jak znad parapetu powoli wyłania się jego głowa. Mimo ciemności widać było wyraźnie jego rysy i ten diabelski uśmiech...

To był Billy Fawcett! Judyta usiadła na łóżku, krzyknęła raz i drugi, a on wciąż nie znikał. Na szczęście było już jasno, więc rozbudziła się i stwierdziła, że straszna zjawą po chwili rozplynęła się w powietrzu. Za oknem też nie było żadnej drabiny, tylko światło poranka.

Na szczęście był to jedynie koszmarny sen, ale serce biło jej jak młotem ze strachu przed wytworami własnej wyobraźni. Stopniowo uspokajała się, ale gardło miała całkiem zaschnięte. Napila się wody ze szklanki stojącej na nocnym stoliku i wyczerpana, cała drżąc, opadła na poduszki.

Zastanawiała się, jak wypadnie konfrontacja z ciotką Luizą przy śniadaniu. Liczyła na to, że ciotka nie będzie miała do niej pretensji o jej wczorajsze zachowanie w kinie. Męczące koszmarny senne chwilowo znikły, ale wiedziała, że problem Billy'ego nadal pozostał nie rozwiązany i leżał jej kamieniem na sercu. Miała jednak świadomość, że dalsze rozpamiętywanie tamtego nieudanego wieczoru też sprawy nie rozwikła.

Nie rozumiała, dlaczego tak gwałtownie ją napastował. Czuła tylko, że musi to mieć coś wspólnego z seksem, co tym bardziej przejmowało ją grozą.

Fakt, że już od początku czuła do niego niechęć, inaczej niż do uroczego pana Willisa czy nawet pułkownika Carey-Lewisa, z którym od razu znalazła wspólny język. Tyle że Billy początkowo wydawał się jej niegroźnym,

zabawnym wariatuńciem. A teraz sama przez niego musiała zachować się jak wariatka!

Trzeba też było mieć wzgląd na ciotkę Luizę. Billy Fawcett był jej starym znajomym, ogniwem łączącym ją z pamięcią zmarłego męża i czasami ich młodości w Indiach. Powiedzieć prawdę oznaczałoby zniszczyć jej zaufanie do niego i położyć kres ich przyjaźni. A Judyta, mimo iż była całkowicie rozstrojona, nie mogła postąpić wobec ciotki tak okrutnie.

Tym bardziej że ciotka była tak miła, iż nie komentowała jej zachowania w kinie, dopóki nie znalazły się same w domu. Kiedy tylko skończył się film, po wysłuchaniu na stojąco hymnu narodowego wyszli na zewnątrz, zapakowali się we trójkę do rovera i od razu zawrócili do Penmarron. Przez całą drogę powrotną Billy prowadził ożywioną rozmowę, przypominając co zabawniejsze fragmenty filmu i pogwizdując piosenkę: *Wkładam cylinder i krawat wiążę...*

Judyta siedząc za nim życzyła mu naglej śmierci. Kiedy dojechali już do Góry Czterech Wiatrów, Billy poprosił:

- Zatrzymaj się tu, kochanie, stąd już dojdę do domu. To bardzo miłe z twojej strony, że nas podwiozłaś. Świetnie się bawiłem.

- Myśmy też bawiły się świetnie, prawda, Judyto? -Ciotka zatrzymała wóz i czekała, aż Billy się z niego wygramoli. - I dziękujemy ci za zaproszenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kochanie. Cześć, Judyto! - Był na tyle beczelny, że wysiadając z samochodu mrugnął do niej. Potem zatrzaskał drzwiczki i nareszcie sobie poszedł.

Ciotka Luiza wjechała przez bramę i znalazły się pod samym domem. Nie tyle była zła, ile raczej zdziwiona, co nagle napadło Judytę.

- Zachowywałaś się jak zupełna wariatka. Myślałam,

że cię pchły gryzą albo cierpisz na taniec świętego Wita! Tu coś gubisz, tam coś upuszczasz i zatruwasz życie niewinnym ludziom, którzy chcieli tylko spokojnie obejrzeć film. I jeszcze te wymysły, żeby koniecznie usiąść na moim miejscu...! W życiu nie widziałam podobnego zachowania! Miała zupełną rację, ale Judyta próbowała jakoś się usprawiedliwić. Nie istniejąca spinka, którą rzekomo zgubiła, miała być dla niej szczególnie cenna. Rzeczywiście czuła pilną potrzebę wyjścia do toalety, a z propozycją zamiany miejsc wystąpiła dla dobra ciotki Luizy, aby nie musieć się przeciskać przez jej kolana. Myślała tylko o wygodzie ciotki.

- Rzeczywiście, o mojej wygodzie! - parsknęła ciotka. - Ci dwoje za mną wyzywali mnie od najgorszych i grozili policją!

- Ależ na pewno nie zrobiliby tego.

- Nie o to chodzi. Narobiłaś masę kłopotów.

- Tak mi przykro...

- Mimo to film mi się podobał. Nie przypuszczałam, że będzie aż tak zabawny.

- Mnie też - skłamała Judyta, bo odkąd Billy zaczął ją nachalnie obmacywać, przestała w ogóle zwracać uwagę na fabułę. Aby odsunąć wszelkie podejrzenia, dodała jeszcze: - To bardzo ładnie ze strony pułkownika Fawcetta, że nas zaprosił.

- Tak, tym bardziej że krucho u niego z forszą. Biedak ma tak małą emeryturę...

Na tym przykra rozmowa została zakończona.

Ciotka Luiza, gdy tylko zdjęła płaszcz i kapelusz, natychmiast nalała sobie tradycyjną o tej porze whisky z wodą sodową. Ze szklanką w ręku przeszła do jadalni, gdzie Edna przygotowała baraninę na zimno z marynowanymi buraczkami. Według niej było to widocznie najodpowiedniejsze danie dla wracających z kina.

Judyta nie miała apetytu, gdyż przede wszystkim była

śmiertelnie zmęczona. Pogrzebała więc tylko w swojej porcji baraniny i wypła trochę wody.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się ciotka. - Jesteś strasznie blada. Chyba miałaś za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Najlepiej idź już do łóżka.

- A cioci nie będzie przykro?

- Ani trochę.

- Przepraszam jeszcze raz za to wszystko.

- W porządku, nie mówmy już o tym. Następnego ranka Judyta mogła więc być pewna, że ciotka nie poruszy już więcej tego tematu. Mimo to wciąż czuła się nieszczęśliwa, zbrukana nie tylko duchowo, ale i fizycznie. Miała wrażenie, że całe jej ciało przesiąkło stęchlizną dusznej sali kinowej, smrodem brudnej ubikacji, gdzie ukrywała się przed natarczywością Billy'ego, a włosy - dymem papierosowym. Wieczorem była zbyt zmęczona, aby się wykapać, zdecydowała więc, że zrobi to teraz. Wyskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki i odkręciła krany aż do oporu.

Zanurzyła się po szyję w cudownej, gorącej wodzie. Wyszorowała każdy fragment ciała, umyła także włosy. Kiedy się wytarła, posypała pachnącym talkiem i umyła zęby - poczuła się nieco lepiej.

Wróciła do pokoju i cisnęła w kąt wszystkie rzeczy, które wczoraj miała na sobie, aby Hilda zabrała je do prania. Znalazła czystą bieliznę, pończochy i świeżo wyprasowaną bluzkę, do tego inną niż wczoraj spódniczkę i różowy sweter. Wysuszyła włosy ręcznikiem i szesała je do tyłu, nałożyła buty i zeszła na dół.

Ciotka Luiza siedziała już przy stole, smarując masłem grzanekę i popijając kawę. Była już ubrana jak do gry w golfa, w rozpinany sweter i koszulową bluzkę o męskim kroju. Siatka utrzymywała jej fryzurę w doskonałym stanie. Słyszając kroki schodzącej Judyty, spojrzała w górę.

- Już myślałam, że zasnęłaś.

- Przepraszam, ale chciałam się jeszcze wykapać.

- Ja kąpałam się już wczoraj. Coś w tym jest, że po wyjściu z kina człowiek czuje się cały brudny. Ciotka była w różowym humorze, myśląc już o czekającej ją grze. Wczorajsze wykroczenie Judyty poszło w zapomnienie.

- Jak ci się spało? Nie przyśnił ci się czasem Fred Astaire?

- Jakoś nie.

- Mnie najbardziej się podobał ten aktor, który udawał księdza. Był strasznie zabawny, kiedy chciał uchodzić za Anglika.

Judyta wzięła sobie jajka na boczku i zajęła miejsce przy stole.

- O której ciocia gra dziś w golfa? - spytała.

- Umówiliśmy się na dziesiątą, ale pewnie zaczniemy nie prędzej niż o wpół do jedenastej. Po grze zjemy późny obiad w klubie. A ty co planujesz? - Ciotka Luiza wyjrzała przez okno. - Zapowiada się ładny dzień. Chcesz pojechać gdzieś na rowerze, czy może masz ochotę na coś innego?

- Nie, chciałabym pojechać na wzgórze Veglos i nazbierać dla cioci pierwiosnków.

- Powiem Ednie, żeby zapakowała ci do chlebaka kanapkę, jabłko i butelkę piwa imbirowego. Edna i Hilda jadą dziś o wpół do jedenastej na urodziny swojej cioci. Podobno kuzyn ma przyjechać po nie samochodem. Nawet nie wiedziałam, że mają zmotoryzowanego kuzyna! Chciałabym, żebyś poczekała do ich odjazdu, a potem zamknęła tylne drzwi i zabrała klucz. Ja zabiorę klucz od drzwi frontowych, żebyśmy były od siebie niezależne. Sprawdzę też, czy okna są dobrze pozamykane, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże. Tyle tu krąży ciemnych typów! Dawniej nigdy nie zamykałam drzwi, ale odkąd okradziono panią Bat-tersby, nie można być niczego pewnym. Zabierz płaszcz przeciwdeszczowy, bo może padać. I pamiętaj, żebyś wróciła do domu, zanim się ściemni.

- Muszę o tym pamiętać, bo nie mam świateł przy rowerze.
- Rzeczywiście, powinniśmy były o tym pamiętać, kiedy go kupowałyśmy. - Nalała sobie drugą filiżankę kawy. - No więc wszystko ustalone.

Trzymając swoją filiżankę, przeszła z nią do kuchni, aby wydać dyspozycje Ednie. Wkrótce potem, już w berecie i trzewikach, z kijami golfowymi na tylnym siedzeniu samochodu, wyjechała do klubu, zamykając za sobą frontowe drzwi. Judyta odprowadziła ją do samochodu i tylnym wyjściem wróciła do domu. Edna i Hilda już ubierały się na przyjęcie urodzinowe.

Hilda nałożyła beżowy płaszcz i takiż półkolisty kapelusik. Edna zaś ubrała się w swój najlepszy kostium i purpurowy beret przepięty broszką. Z obu sióstr Judyta lubiła ją mniej, gdyż wiecznie narzekała na żyłki i bolące nogi, jak też przejawiała wyjątkowo pesymistyczny stosunek do życia. Chyba łatwiej byłoby wycisnąć z kamienia wodę niż z niej szczerzy śmiech. Miała jednak dobre serce, więc szybko przygotowała Judycie kanapkę na drogę i zapakowała ją do małego chlebaka.

- Dziękuję ci, Edno. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci kłopotu.
- To nic wielkiego, tylko pasta mięsna. Pani powiedziała, że panienka zabiera ze sobą klucz, więc proszę łaskawie zostawić nam otwarte drzwi, bo o dziewiątej będziemy z powrotem.
- Tak długo ma trwać to przyjęcie?
- No nie wiem, potem trzeba tam jeszcze posprzątać.
- Na pewno będziecie dobrze się bawiły.
- Mam nadzieję - odparła ponuro Edna.
- Chodźże szybciej! - przerwała jej Hilda. - Na pewno wszyscy tam już są i będzie kupa śmiechu.
- Osiemdziesiąt lat to stanowczo za dużo. - Edna sceptycznie potrząsnęła głową. - Ciocia Lilly jest przykuta do fotela, a nogi ma opuchnięte jak banie. A taka jest

gruba, że dwoje ludzi musi prowadzić ją do ustępu. Wolałabym umrzeć niż żyć w takim stanie.

- Nie mamy wyboru - podkreśliła z naciskiem Hilda. - Zresztą i ona ma swoje małe radości. Pamiętam, jak pękała ze śmiechu, kiedy jej stara koza zjadła pani Daniel całą bieliznę ze sznura...

Dyskusja w tym stylu mogłaby się ciągnąć w nieskończoność, gdyby nie przyjazd kuzyna. Siostry poderwały się jak spłoszone kury, zbierając swoje torebki, parasolki, blaszane pudełko z ciastem, które upiekły na tę okazję, wreszcie pęk żonkili owiniętych w gazetę.

- Do zobaczenia jutro, panienko!

- Bawcie się dobrze!

Judyta obserwowała, jak ładują się przejęte do sfatygowanego samochodu, który miał je zawieźć na miejsce. Pomachała im ręką na pożegnanie, a one odwzajemniły się tym samym. Z rury wydechowej starego gruchota buchnęły kłęby czarnego dymu i całe towarzystwo odjechało. Została sama.

Co gorsza, Billy Fawcett także wiedział, że będzie dziś sama. Może już ją śledził zza firanki swego domku przy szosie? Uświadomiła sobie, że nie ma czasu do stracenia. Wyjęła z garderoby płaszcz przeciwdeszczowy, zwinęła w rulon i upchnęła do chlebaka. Przewiesiła go przez ramię, wyszła tylnymi drzwiami i dokładnie je zamknęła. Schowała klucz do torebki na narzędzia, która wisiała za siodełkiem, i wypchnęła rower z garażu. Rozejrzała się na wszystkie strony, czy gdzieś w pobliżu nie widać Billy'ego Fawcetta, wsiadła na rower i ruszyła w drogę.

Czuła się tak, jakby wymykała się ukradkiem. A najgorsze było to, że tak już miało pozostać, dopóki Billy Fawcett będzie się kręcił w pobliżu.

Wzgórze Veglos, położone w odległości czterech mil od Penmarron, mimo swojej niewielkiej wysokości wyróżniało się na tle okolicy. Oplatały je wąskie ścieżki

biegnące na szczyt, a wokół rozciągały się wrzosowiska, farmy i zarośla powykrećanych wiatrami dębów i głogów. Szczyt wzgórza był spłaszczony i znajdowały się na nim liczne kopce graniczne z obłych brył granitowych, a droga na wierzchołek zaczynała się za murem z kamienia polnego. W dolnych partiach stoku krzewiły się bujnie jeżyny, paprocie i ostrokrzew. Przez ich gęstwinę z trudnością przebijały się ścieżki. Wszystkie rowy przydrożne kipiały od dziko rosnących kwiatów: wrzośca, jaskółczego ziela, pierwiosnków, a latem także od liści dzwonkowatej naparstnicy. Było to ponadto miejsce zabytkowe, gdyż w górnych partiach zbocza, u podnóża kamiennych kopców, wykryto pozostałości osiedli ludzkich z epoki kamiennej. W deszczowe dni, kiedy z nad morza unosiły się opary, przeszywane tylko jęklivymi dźwiękami rogu mgłowego z Pendeen - wydawało się, że Veglos nadal znajduje się we władaniu duchów tamtych ludzi, które, same niewidoczne, obserwują wszystkich z ukrycia.

Podczas pobytu w Riverview Molly Dunbar urządzała czasem wycieczki na Veglos - wiosną lub we wrzeźniu, w okresie dojrzewania jeżyn. Taka wyprawa trwała zwykle cały dzień, a ponieważ droga była za długa dla krótkich nóg Jess - mama musiała mobilizować odwagę i uruchamiać austina. Zwykle jeździła z nimi także Phyllis i każda uczestniczka wycieczki, nawet Jess, niosła swoją wałówkę na piknik.

Judyta wspominała te wypadki z rozrzewnieniem jako jedne z najszcześniejszych dni swego życia. Tym razem jednak po raz pierwszy jechała tam na rowerze. Droga była męcząca, cały czas stromo pod górę, ale w końcu dotarła do kamiennego muru, za którym zaczynało się właściwe wzgórze. Na ścieżkę można było się dostać przełazem w formie schodków, co oznaczało, że dalej już rowerem się nie dojedzie. Zostawiła go więc w zaroślach

jeżyn i ostrokrzewu, poprawiła chlebak i poszła dalej piechotą.

Dzień był chłodny, lecz pogodny, choć po czystym niebie przemykały tu i ówdzie chmury. Idąc w górę po sprężystej darni, Judyta od czasu do czasu przystawała, aby podziwiać krajobraz, który z lotu ptaka wyglądał jak mapa. Wokół rozciągały się połączenie morza - od północy zatoka aż do latarni morskiej, od południa Mount's Bay i kanał La Manche.

Gdy w końcu osiągnęła szczyt, tuż przed nią wyrósł kamienny kopiec. Ostatnim wysiłkiem wspięła się po jego powierzchni, szukając punktów oparcia dla dłoni i stóp, aż osiągnęła najwyższy głaz, smagany wichrem ze wszystkich stron. Za to miała teraz cały świat u stóp. Dochodziła już pierwsza, więc gdy przycupnęła w cieniu głazu pokrytego żółtymi porostami, czuła na policzkach ciepło słońca.

Wokoło panowała pustka i cisza, a jedynymi dźwiękami były poszumy wiatru i śpiew ptaka. Judyta odpoczywała, dumna z wyczynu, i próbowała ustalić swoje położenie w stosunku do różnych punktów orientacyjnych. Pola wyglądały z tej wysokości jak kołdra zszywana z kawałków, budynki gospodarskie - jak zabawki. Po jednym z pól rolnik chodził za konnym pługiem, a za nim podlatywała chmara mew. Przylądek Lizard tonął w rozproszonym świetle słonecznym, ale widać było, gdzie kończy się miasto Penzance, a w jego obrębie wieżę kościelną i gmach banku. Dalej, aż poza zasięg wzroku, ciągnęło się wybrzeże. Judyta przypominała sobie wiodącą wzdłuż niego szosę do Rosemullion i Nancherrow. W tym momencie przyszła jej na myśl Loveday. Ciekawe, jak też ona spędza przerwę półsemestralną. A co robi Diana?

Tak chciałyby, aby Diana teraz tu się znalazła. Nie kto inny, ale właśnie Diana. Judyta opowiedziałaby jej w cztery oczy o tym, co zaszło między nią a Billym Fawcettem. Do Diany miała zaufanie i mogłaby poprosić ją o radę,

jak w takim przypadku powinna postąpić. Cóż bowiem mogła zrobić, skoro cień Billy'ego Fawcetta prześladował ją nawet tu, na wzgórzu Veglos? Nawet gdyby przeszła lub przejechała na rowerze wiele kilometrów, choćby już padała ze zmęczenia - i tak nie byłaby w stanie uciec od strachów, które leżały się w jej podświadomości.

Najgorsze było właśnie to, że nie miała przy sobie nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Przez całe przedpołudnie rozważała różne warianty, ale żaden nie wytrzymał krytyki.

Mama nie wchodziła w rachubę. Przede wszystkim znajdowała się teraz na drugim końcu świata, ale nawet gdyby była w Riverview, nie nadawałaby się na powiernicę w takich sprawach. Była tak wrażliwa i naiwna, że po usłyszeniu tej szokującej informacji wpadłaby w popłoch lub dostała ataku hysterii, co w sumie przyniosłoby więcej szkody niż pożytku.

Można by zwierzyć się Phyllis, ale ona pracowała teraz w Porthkerris u jakiejś pani Bessington. Judyta nie wiedziała, gdzie ta pani mieszka, a poza tym trudno jej było wyobrazić sobie, że dzwoni do drzwi jakiejś obcej osoby, chcąc się widzieć z jej służącą.

A może dobra byłaby ciotka Bidy? Też nie. Wysłuchałaby jej, owszem, ale najpierw wybuchnęłaby śmiechem, a potem całe oburzenie wylałaby na ciotkę Luizę. Pewnie czym prędzej zadzwoniłaby do niej i wdała się w ostrą wymianę zdań. Te dwie tak różne od siebie osoby nigdy nie były w zbyt dobrych stosunkach, toteż wygadanie się przed ciotką Bidy oznaczałoby włożenie kija w mrowisko. Heather i Loveday były młodsze od niej i tak samo mało wiedziały o życiu. Gdyby podzieliła się z nimi swoim zmartwieniem - najpierw zrobiłyby wielkie oczy, zaczęłyby chichotać lub zadawać masę głupich pytań. Również więc nie wynikłoby z tego nic dobrego.

A zatem wyglądało na to, że będzie musiała sama upo-

rac się z problemem Billy'ego Fawcetta. Gdyby zaś sprawdziły się jej najgorsze przypuszczenia i ciotka Luiza dała się omotać słodkimi słówkami pułkownika do tego stopnia, że wyszłaby za niego za mąż - wówczas Judyta spakowałaby manatki i wyprowadziła się do Plymouth, aby zamieszkać z ciotką Bidy. Dopóki ten obleśny dziadyga żyje w swoim domku przy szosie - jeszcze jakoś da sobie z nim radę. Jednak wystarczy najlżejsze podejrzenie, że ma on zamiar wprowadzić się na Górę Czterech Wiatrów -a natychmiast stamtąd ucieknie.

Jakaś decyzja więc została podjęta. Na razie Judyta usilnie chciała przestać o tym myśleć i choć trochę nacieszyć się wyprawą. Przez jakiś czas oglądała stare kopce graniczne, potem zjadła przyniesioną z domu wałówkę. Siedziała napawając się słabym ciepłkiem słońca, dopóki nie zakryły go chmury. Kiedy zrobiło się chłodno, podniosła chlebak i zeszła w dół, gdzie w zagłębieniach gruntu rosło pełno pierwiosnków. Zaczęła je zrywać i wiązać w pęczki pasmami włóczki. Jednak już przy trzecim pęczku poczuła sztywność w ramionach i kolanach. Wstała więc, aby rozluźnić mięśnie, lecz gdy spojrzała w górę, stwierdziła, że od zachodu nadciągają czarne chmury. Oznaczało to, że za chwilę zacznie padać, a więc trzeba zbierać się do domu. Wyciągnęła z chlebaka płaszcz przeciwdeszczowy, włożyła go, a na jego miejsce wsadziła zerwane pierwiosnki. Dobrze zapięła chlebak, przewiesiła go przez plecy i zbiegła w dół do miejsca, gdzie zostawiła rower.

Była już w połowie drogi powrotnej, kiedy niebo przybrało barwę ołowiu i lunął deszcz. Nie przybierał na sile stopniowo, lecz od razu z nieba chlusnęły całe potoki wody, tak że Judyta z miejsca przemokła do nitki. Nawet jej się to spodobało, bo strużki ściekające po karku i bryzgi wody z kałuż pod kołami roweru były na swój sposób zabawne. Na stromym wjeździe pod górę musiała poprowadzić rower. Mijały ją samochody i lokalny autobus do

Porthkerris, wypełniony pasażerami, których twarze były ledwo widoczne przez zaparowane okna. Tymczasem się ochłodziło i powiał wiatr, ale Judyta była dostatecznie rozgrzana wysiłkiem i emocjami, choć marzły jej ręce.

Dotarła wreszcie do Góry Czterech Wiatrów. Wprowadziła ociekający wodą rower przez bramę, ścieżką pod górę i do garażu. Wyciągnęła z torebki narzędzia kluczy od tylnych drzwi i pobiegła do domu. Marzyła, aby zrzucić z siebie mokre rzeczy, rozwiesić je na suszarce, wziąć gorącą kąpiel i napić się gorącej herbaty.

Jak dobrze być już w domu! W kuchni panowało ciepło, a bez Edny i Hildy wydawało się tu dziwnie cicho, tylko zegar tykał i syczały rozżarzone węgle w piecu. Judyta zdjęła mokry płaszcz i rzuciła go na krzesło. Znalazła puste słoiki po dżemie, napełniła je wodą i wstawiła do nich pierwiosnki, aby odżyły po podróży. Zostawiła to wszystko na kuchennym stole i skierowała się ku schodom na górę. W tym momencie zadzwonił telefon stojący na komodzie w hallu. Zawróciła więc i podniosła słuchawkę, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała głos z drugiej strony:

- Judyto...

Zamarła z przerażenia.

- To ty, Judyto? Tu mówi Billy Fawcett. Widziałem przez okno, jak wracałaś do domu w ten deszcz. Chciałem sprawdzić, czyś za bardzo nie zmokła...

Sądząc po głosie, był już trochę podpity. Pewnie miał pod ręką butelkę whisky i szczerze z niej pociągał.

- Może wpadłbym do ciebie na herbatkę...? Hej, Judyto, słyszysz mnie?

Z zapartym tchem odłożyła ostrożnie słuchawkę na widelki. Stała bez ruchu, lecz miała już jasny obraz sytuacji. A więc Billy Fawcett znowu się tu kręcił! Chwalić Boga, kochana ciocia Luiza dobrze zamknęła frontowe drzwi

i okna na dole. Jeszcze tylko te drzwi, które sama zostawiła otwarte do powrotu Edny i Hildy! Błyskawicznie przebyła z powrotem tę samą drogę, którą przyszła, przez kuchnię i zmywalnię naczyń. Zatrzęsnęła kuchenne drzwi i zamknęła je od wewnątrz. Na szczęście staroświecki zamek był dobrze naoliwiony i obracał się gładko. A więc na dole wszystko w porządku, ale na górze...? Nie miała ani chwili do stracenia. Popędziła po schodach na piętro, biorąc po dwa stopnie naraz. Przecież we śnie widziała otwarte okno swego pokoju i przystawioną do niego drabinę. Teraz ten koszmar wrócił, z jego chytrymi oczkami i wyszczerzonymi w uśmiechu żółtymi zębami.

Rzeczywiście we wszystkich sypialniach na piętrze okna były pootwierane. Biegała więc od pokoju do pokoju, zamykając wszystkie okna na zasuwki. Ostatnia była sypialnia cioci Luizy, lecz kiedy borykała się ze skobelkiem jej okna, ujrzała przez strugi deszczu, jak Billy Fawcett w gumowym płaszczu ociekającym wodą przekracza właśnie furtkę ogrodu. Zanim zdążył ją zauważyć, Judyta rzuciła się jak długa na dywan i wpełzła pod szerokie mahoniowe łóżko ciotki. Z trudnością chwyciła oddech, a serce biło jej jak oszalałe.

„Widziałem przez okno, jak wracałaś do domu...” Mogła to sobie wyobrazić. Siedział pewnie przy oknie jak w górskiej fortecy obleżonej przez Afgańczyków, ze szklanką whisky w jednej ręce, a z lornetką w drugiej. A więc śledził ją i czekał, aż się doczekał. Wiedział, że jest teraz całkiem sama. Przez szum deszczu słyszała jego kroki na zwirowanej ścieżce. Potem zaczął walić pięścią w drzwi frontowe, raz po raz naciskając dzwonek. W ciszy pustego domu te dźwięki niosły się echem, a Judyta leżała bez ruchu, zatykając sobie usta pięścią.

- Judyto, wiem, że tam jesteś!

Na chwilę zmartwiła, gdyż przypomniała sobie, że

okienko w spiżarni jest zawsze otwarte. Jednak zdrowy rozsądek podszeptał jej, że po pierwsze - jest ono tak małe, że najwyżej niemowlę mogłoby się przez nie przecisnąć, a po drugie - jest zabezpieczone gęstą drucianą siatką dla ochrony przed muchami i osami.

Kroki Billy'ego oddalały się, aż całkiem zamilkły. Widocznie obchodził dom naokoło, aby dostać się do środka tylnymi drzwiami. Na szczęście Judyta przypomniała sobie, że drzwi te mają mocny zamek, i poczuła się trochę pewniej.

Leżała bez ruchu, nadstawiając uszu jak czujny pies. Teraz słyszeć było tylko bębnienie deszczu o szyby i tykanie budzika ciotki Luizy. Jednak po chwili, która wydawała się wiecznością, dały się słyszeć nawracające kroki Billy'ego. Znow zaczął szturmować do frontowych drzwi.

- Judyto! - wrzasnął tak głośno, że aż podskoczyła. Przemoczony i zawiedziony, przestawał już panować nad sobą i nawet nie starał się być miły. - W co ty grasz, do jasnej cholery? W tej chwili otwórz mi drzwi! Jesteś źle wychowana!

Nawet się nie poruszyła.

- Judyto! - Billy znow przypuścił atak na drzwi frontowe, waląc w nie z taką furją, jakby postradał zmysły. Potem zaczął wściekle naciskać guzik dzwonka, który odzywał się w kuchni.

Po jakimś czasie dzwonięcie także ustało i zapanowała cisza. Słyszeć było tylko jęczenie wiatru, łomotanie o szyby i skrzypienie ram okiennych. Judyta dziękowała Bogu za ten wiatr i deszcz. Może sprawią, że Billy nie wytrzyma tu długo i kiedy porządnie zmoknie - da za wygraną.

- Judyto...! - Teraz był to już tylko rozpaczliwy jęk człowieka tracącego nadzieję. Kiedy i na to nie odpowiedziała, usłyszała, jak głośno mówi do siebie: - A niech to wszyscy diabli wezmą!

Powłócząc nogami po żwirze, zaczął iść w stronę furtki. A więc nareszcie sobie poszedł i może zostawi ją już w spokoju!

Judyta poczekała, aż odgłos jego kroków całkiem ucichnie, po czym wyczołgała się spod łóżka, podpełzła do okna i ośmieliła się dyskretnie wyjrzeć zza firanki. Billy wyszedł już za bramę i zza wysokiego żywopłotu z eska-lonii widać było tylko czubek jego głowy. Zrezygnowany, maszerował do swojego domku.

Kiedy już zniknął, poczuła ulgę, lecz równocześnie opadła z sił jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Kolana ugięły się pod nią i miękko osunęła się na podłogę. Przez jakiś czas pozostawała w takiej pozycji. Miała świadomość, że wygrała tę potyczkę, ale było to pyrrusowe zwycięstwo. Czuła się zbyt wypompowana, aby odczuwać satysfakcję. Poza tym zaczęła drżeć z zimna, bo ciągle miała na sobie mokre rzeczy. Była jednak zbyt osłabiona, aby wstać, pójść do łazienki i napuścić gorącej wody do wanny.

Nagle poczuła się przytłoczona ciężarem wydarzeń, które przeżyła. Jej twarz ściągnęła się jak u dziecka, któremu zbiera się na płacz. Oparła głowę o toaletkę ciotki Luizy i nawet nie próbowała powstrzymać łez toczących się po policzkach.

Następnego dnia po południu ciotka Luiza odwiozła Judytę z powrotem do szkoły. Przerwa półsemestralna skończyła się i znów trzeba było nałożyć mundurek.

- Mam nadzieję, że mile spędziłaś czas? - zagadnęła ciotka.

- Dziękuję, bardzo dobrze.

- Tak pechowo wypadło, że w niedzielę musiałaś zostać sama, ale nie jesteś przecież dzieckiem, którym trzeba się ciągle zajmować. I bardzo dobrze, bo nie znoszę absorbujących dzieci! Szkoda, że nie udało ci się spotkać z Heather Warren, ale na ferie świąteczne coś wymyślimy.

Judyta wolała nawet nie myśleć o feriach świątecznych...

- Bardzo mi się podoba ten rower, który dostałam od cioci - zmieniła temat.

- Nie bój się, zadbam o niego.

Ten rower był jedynym pozytywnym akcentem minionych dni, więc Judyta nie chciała już myśleć o niczym innym. Teraz wracała do szkolnej normalności, ustalonego rytmu dnia i znanego otoczenia. Żałowała tylko jednego - że nie zdążyła odwiedzić pana Willisa. Rano miała na to czas, ale wolała znaleźć wymówkę i przepuścić okazję. Wiedziała, że przyjaźń powinna przetrwać próbę czasu, ale Billy Fawcett popsuł nawet i to.

Szkoła Świętej Urszuli 8 marca 1936

Kochani Rodzice!

Nie pisałam w zeszłym tygodniu, bo w czasie przerwy półsemestralnej byłam u cioci Luizy- Dziękuję za list i umieram z ciekawości, jak wygląda Wasz nowy dom w Singapurze. Na pewno jest tam ślicznie i szybko przyzwyczaiacie się do ciepłego, wilgotnego klimatu. To może być zabawne widzieć wokół siebie żółtych Chińczyków zamiast czarnych Tamilów! No i Mamusia nie będzie musiała tam sama prowadzić samochodu.

Pogoda w weekend nie była zbyt dobra. Ciocia Luiza kupiła mi rower - zielonego „Raleigha”. W niedzielę, kiedy ciocia grała w golfa ze swoimi przyjaciółmi, pojechałam rowerem na wzgórze Veglos i nazbierałam dla niej pierwiosnków. Nie mogłam spotkać się z Heather, bo akurat wyjechała do swojej babci w Bodmin.

Bezpieczniej było nie wyjawiać więcej szczegółów na temat tego weekendu. Taki list był jednak za krótki, więc musiała na siłę coś dodać.

Z radością wracałam do szkoły, bo wiedziałam, że spotkam tam Loveday. Jej siostra Athena wróciła już ze Szwajcarii. Przywiozła ze sobą narzeczonego, ale Loveday uważa, że jest nudny i nawet w polowie nie tak miły jak Jeremy Wells.

Przepraszam, że napisałam taki krótki list, ale muszę się przygotować do klasówki z historii.

Wasza kochająca

Judyta

Luiza Forrester grywała w golfa z małżeństwem Ri-chardsów. John był wyższym oficerem marynarki, który po przejściu w stan spoczynku nabył duży dom z ogrodem w okolicach Helston. Jego żona, Polly, była córką właściciela dobrze prosperującego browaru, dzięki czemu małżonkowie nie musieli żyć tak oszczędnie, jak inni wojskowi emeryci. Stać ich było nawet na zatrudnianie małżeństwa Makepeace'ów w charakterze ogrodnika i pokojówki. Ogrodnik był emerytowanym podoficerem marynarki, wiecznie milczącym i ponurym, który pracował od świtu do zmierzchu, kiedy to składał narzędzia i wędrował do swojego domku za szklarniami.

Wolni od obowiązków domowych Richardsowie mogli prowadzić bardziej aktywne życie towarzyskie. Na przystani w St. Mawes utrzymywali jacht, którym w lecie żeglowali po wodach śródlądowych Kornwalii i brali udział w regatach. Przez ich dom stale przewijały się tłumy gości, a w wolnych chwilach między kolejnym rejsiem a przyjęciem wpadali na partyjkę brydża lub golfa do klubu w Penmarron. Tam właśnie poznali Luizę i zaprzyjaźnili się z nią.

Któregoś dnia Polly zadzwoniła do Luizy. Po wymianie wstępnych uprzejmości przystąpiła do sedna sprawy.

- Przepraszam, że tak w ostatniej chwili, ale czy nie mogłabyś wpaść jutro do nas na brydża? To wypada w środę, dwudziestego drugiego.

Luiza sprawdziła w swoim kalendarzyku, że na ten dzień, oprócz umówionej wizyty u fryzjera, nie ma żadnych innych zobowiązań.

- Dziękuję, bardzo chętnie - odpowiedziała.

- Jesteś niezrównana! Widzisz, przyjechał do nas stary kumpel Johna i chciałby pograć w brydża, a nie mamy czwartego. Mogłabyś przyjechać na szóstą? Wiem, że to trochę za wcześnie, ale wtedy moglibyśmy przed kolacją skończyć robra i nie musiałabyś za późno wracać do domu, a to cholerny kawał drogi!

Polly była znana z niewyparzonego języka. Na jachcie nauczyła się kłąć i kiedy żaglówka wpadała na boję czy borykała się z burzliwymi wodami cieśniny Falmouth - jej wiązanki słychać było aż na brzegu.

- Nie martw się, wyjadę z odpowiednim wyprzedzeniem.

- No to do jutra! - Polly bez zbędnych ceremonii odwiesiła słuchawkę.

Rzeczywiście był to kawał drogi, ale wysiłek się opłacił. Luiza przypuszczała, że wieczór będzie cudowny, i nie zawiodła się. Kolega Johna Richardsa był dawnym admirałem floty, mężczyzną przystojnym i elokwentnym. Drinki serwowano hojnie, a kolacja z winem była wyśmienita. Luiza grała bezbłędnie i karta dobrze jej szła. Po skończonym robrze niewielkie sumy pieniędzy zmieniły właścicieli. Luiza zgarnęła swoją wygraną do portmonetki, a kiedy zegar wybił dziesiątą - zamknęła z trzaskiem torebkę i oświadczyła, że pora zbierać się do domu. Oczywiście molestowano ją, aby została, zagrała jeszcze jednego robra czy choć wypić strzeniennego - ale stanowczo odmówiła. W hallu John podał jej futro i po ceremoniach pożegnalnych podprowadził do samochodu. Padało, gdy zajmowała miejsce za kierownicą.

- Dasz sobie radę? - upewniał się gospodarz.

- No pewnie.

- Tylko jedź ostrożnie!

- Dziękuję za wspianiały wieczór.

Jechała z włączonymi wycieraczkami, widząc w świątłach mokrą, czarną nawierzchnię szosy.

Początkowo skierowała się przez Marazion w stronę Penzance, ale przed skrzyżowaniem z główną szosą prowadzącą do Porthkerris zmieniła zamiar. Nie chciało się jej jechać tak długo w tę fatalną pogodę, więc obrała drogę na skróty. Była wąska, kręta i wiodła przez wrzosowiska, ale Luiza знаła ją dobrze i wiedziała, że o tej porze nie będzie tam ruchu, a dzięki temu mogła zaoszczędzić przynajmniej pięć mil.

Zdecydowała więc, że skęci w lewo zamiast w prawo. Po chwili czekał ją następny skęrt, pod górę po zadrzewionym stoku, po którym wjeżdżało się na otwarty płaskowyż. Noc była ciemna i całkowicie bezgwiezdna.

W tym samym kierunku co Luiza, tylko o cztery mile przed nią, podróżował swą zdezelowaną ciężarówką Jimmy Jelks. Wracał do Pendeen, gdzie jego ojciec, Dick Jelks, gospodarował na małym, zaniedbanym skrawku ziemi. Uprawiał tam ziemniaki i brokuły, hodował świnie i drób, a jego obejście należało do najbrudniejszych w całym okręgu. Jimmy liczył sobie dwadzieścia jeden lat i mieszkał z despotycznymi rodzicami. Miał jednak małą szansę wyrwania się z domu, gdyż był zbyt ograniczony, aby myśleć o żeniaczce. Z tego powodu nieraz go wyśmiewano.

Tego dnia przyjechał do Penzance, gdzie sprzedawał brokuły na targu. Po upłynnieniu całego towaru miał natychmiast wracać do domu, ale ojciec był dziś w złym humorze, więc Jimmy starał się maksymalnie odwlec moment spotkania z nim. Z gotówką w kieszeni krążył po całym rynku, ucinając pogawędkę z każdym, kto tylko chciał z nim rozmawiać. Kiedy już rynek opustoszał, przeniósł się do gospody „Pod Głową Saracena”, gdzie przesiedział aż do zamknięcia lokalu.

Do domu także nie jechał zbyt szybko, gdyż ciężarówka była już stara i rozklekotana. Dick Jelks był jej czwartym z kolei właścicielem. Nabył ją od handlarza węglem, ale od początku pojazd ten wykazywał liczne usterki.

Okna po otwarciu nie dawały się zamknąć. Z drzwi odpadały klamki, błotniki były przeżarte rdzą, a kratka chłodnicy - powiązana sznurkiem. Zapalić silnik można było dopiero po ciężkich zmaganiach z korbą, narażając się dodatkowo na wywichnięcie palca lub obicie uda. Nawet gdy już udało się uruchomić ciężarówkę, także w drodze przysparzała wielu kłopotów. Wyższe biegi nie dawały się wrzucić, woda wrzała w chłodnicy, stare opony pękały, a rura wydechowa strzelała z takim hukiem, że przechodzień, który by to znienacka usłyszał, mógł dostać ataku serca.

Dziś jeszcze na domiar złego ciężarówka przestała całe popołudnie na deszczu, więc zachowywała się gorzej niż zwykle. W przednich światłach wyczerpywały się żarówki, a silnik kichał i prychał, jakby lada chwila miał zgasnąć. Najwyraźniej gramolenie się to w górę, to w dół po falistym terenie przerastało jego możliwości, gdyż po kolejnej górze parsknął po raz ostatni i zgasł. Światła też zgasły, a koła zabuksowały w miejscu i znieruchomiały.

Jimmy zaklął i zaciągnął hamulec ręczny. Wokół panowały egipskie ciemności, zawodził wiatr i siąpił deszcz. W oddali widać było światła w oknach jakiejś samotnej chaty, ale z tej odległości maleńkie jak główki szpilek. Jimmy wiedział więc, że nie ma co spodziewać się stamtąd pomocy. Podniósł kołnierz kurtki, wziął z szoferki korbę i wyszedł przed maskę wozu, aby spróbować go uruchomić. Dopiero po pięciu minutach kręcenia korbą, kiedy już pościerał sobie do krwi stawy palców, do jego przyćmionej alkoholem świadomości dotarło, że akumulator się rozładował. Prawie płacząc ze złości na tę pieprzoną ciężarówkę, wrzucił korbę do szoferki, zatrzasnął drzwi

i kuląc się na wietrze, z rękami w kieszeniach, wyruszył pieszo w siedmiomilową drogę do Pendeen. Luizie Forrester poprawił się humor, gdyż zbliżała się coraz bardziej do domu. Cieszyła się, że wybrała krótszą drogę, bo choć nie oświetlona i niebezpieczna - dawała jej komfort psychiczny, jaki można tylko odczuć będąc jedynym użytkownikiem szosy. Poza tym uwielbiała ryzykowną jazdę samochodem, gdyż panowanie nad potężną maszyną dawało jej satysfakcję.

Dodając gazu czuła ten sam przyjemny dreszczyk, który nieraz odczuwają młodzi mężczyźni upojeni szybkością i sprawnością wozu. Ścinanie ostrych zakrętów bez zmniejszania prędkości sprawiało jej taką radość, że aż ułożyła o tym własną piosenkę:

*Gdzie szosy wstęga biała,
Tam z wiatrem, hen, bym gnała,
Bo szybkość tak upaaaaja mnie!*

Dziś zachowywała się prawie tak wyzywająco, jak ta latawica Bidy Somerville! Najważniejsze jednak, że miała miły wieczór, a emocjonująca jazda przez odludne wrzosowiska była odpowiednim ukoronowaniem tak cudownego dnia. Ciotka Luiza bowiem zawsze lubiła iść na całość.

Droga przed nią zaczęła opadać, przechodząc w płytką dolinę, która kończyła się łukowatym kamiennym mostkiem. Potem znów trzeba było jechać pod górę, więc ciotka zredukowała bieg do trójki i rover, celując przednimi światłami w niebo, mocą swego silnika pokonał wzniesienie jak koń przeszkodę.

Luiza przez cały czas naciskała pedał gazu, toteż dostrzegła nie oświetloną ciężarówkę na poboczu tylko w ułamku ostatniej sekundy, zanim z rozpędu na nią wpadła. Nie słyszała już huku kolizji, pękających blach i tłuczonego szkła, gdyż siła uderzenia wypchnęła ją z fo-

tela i przerzuciła przez przednią szybę. Późniejsza sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła natychmiast.

Co prawda, trudno było to stwierdzić z całą pewnością, gdyż wypadek nastąpił bez świadków. W nocy i przy tak fatalnej pogodzie nie znalazł się nikt, kto mógłby udzielić pomocy lub ją wezwać. Toteż nikt nie widział, jak odłamki szkła rozsypują się po szosie, a stercząca ukośnie kierownica powoli przestaje się obracać. Z dwóch zmiażdżonych pojazdów została kupa poskręcanych blach.

W tym momencie ciszę nocną rozdarł huk równie donośny jak grzmot. To wybuchł zbiornik paliwa w samochodzie Luizy. Płomienie strzeliły w górę, odbijając się szkarłatem na tle czarnego nieba. Słup ognia był widoczny z daleka jak znak orientacyjny, a nad nim unosiła się ciemna chmura dymu cuchnącego spaloną gumą.

- Ach, więc tu jesteś! - stwierdziła Deirdre Ledingham, otwierając drzwi biblioteki.

Judyta udała się tam, aby zebrać materiały do wypracowania o poetce Elizabeth Barrett Browning.

Zamiast tego jej uwagę przykuł ostatni numer „The Illustrated London News”. Panna Catto prenumerowała to pismo, gdyż uważała je za pouczające. W rzeczy samej, obok bieżących wiadomości ukazywały się tam liczne artykuły popularnonaukowe z różnych dziedzin, od archeologii po ogrodnicze. I tak najnowszy numer zawierał ciekawostki na temat życia ptaków o dziwnej nazwie „szlamniki rycyki”.

Judyta jednak nie interesowała się zbytnio zoologią, a w tym numerze zaciekała ją raczej publikacja dotycząca powstania i rozwoju niemieckiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend. Dowiedziała się z niej, że jest to coś zupełnie innego niż harcerstwo. Ci młodzi ludzie nie jeździli na biwaki pod namiotami ani nie śpiewali przy ognisku, ale nosili paramilitarne czapki, szorty i opaski ze swastyką. Zamiast grać w piłkę czy łaźać po drzewach,

ćwiczyli musztrę i krok defiladowy z powagą zawodowych żołnierzy. Szczególnie zaniepokoiło Judytę zdjęcie przedstawiające oddziałek takich dorodnych blondynów, maszerujący w zwartym szyku ulicami miasta. Próbowwała wyobrazić sobie taką defiladę na ulicach Penzance - była to przerażająca wizja. A najbardziej przerażało to, że widzowie przyglądający się defiladzie robili wrażenie zadowolonych i dumnych. Widocznie Niemcy lubią takie widoki...

- Szukam cię wszędzie! - kontynuowała Deirdre.

- O co chodzi? - spytała Judyta składając gazetę. Im dłużej uczęszczała do tej szkoły, tym pewniej się czuła i straciła respekt dla Deirdre. Wspólnie z Loveday, która nie liczyła się z nikim, doszły do wniosku, że władczy styl bycia Deirdre chwilami graniczy ze śmiesznością. W końcu, mimo nadrzędnej pozycji w stosunku do reszty uczennic, licznych odznak i imponującego biustu, była taką samą dziewczyną jak każda inna.

- Panna Catto prosi, żebyś przyszła do jej gabinetu.

- Nie wiesz po co?

- Nie mam pojęcia, ale lepiej nie każ jej czekać.

Po pierwszej rozmowie z panną Catto Judyta przestała się jej bać, ale szacunek dla dyrektorki nakazywał wykonać polecenie. Złożyła więc książki, zakreśliła pióro i wstąpiła do łazienki, aby umyć ręce i przyczesać włosy. Kiedy już doprowadziła się do porządku, z pewnym niepokojem zastukała do drzwi gabinetu panny Catto.

- Proszę! - odezwał się głos zza drzwi. Dyrektorka, jak za pierwszym razem, siedziała za swoim biurkiem, z tą różnicą, że tego dnia było pochmurno, a we flakonie zamiast pierwiosnków stały anemony. Judyta uwielbiała te kwiaty z powodu ich zimnych, lecz nasyconych kolorów: różowego, lila i szafirowego.

- To ty, Judyto?

- Deirdre powiedziała, że pani dyrektor chce mnie widzieć.

- Tak, kochanie. Usiądź, proszę.

Usiadła naprzeciw panny Catto na przygotowanym już zawnazs krześle. Tym razem chyba sprawa wyglądała poważniej, nie zapowiadała się na błąhą pogawędkę. Panna Catto od razu przystąpiła do rzeczy.

- To, co chcę ci zakomunikować, nie ma nic wspólnego ze szkołą ani twoimi wynikami w nauce.

Obawiam się tylko, że może być dla ciebie zbyt silnym wstrząsem, więc chciałabym najpierw trochę cię przygotować. Chodzi o twoją ciotkę Luizę.

W tym momencie Judyta przestała słuchać, bo wydawało jej się, że wie z góry, co dyrektorka teraz powie. Na pewno ciotka wychodzi za mąż za Billy'ego Fawcetta. Czowała, jak dłonie jej wilgotnieją, a krew odpływa z twarzy. A więc ziścił się koszmar tamtej nocy. Nic nie pomogły jej modlitwy. Stało się najgorsze...

Panna Catto przez ten czas coś mówiła, a nieokazywanie jej należytej uwagi było jednym z głównych wykroczeń przeciw dyscyplinie szkolnej. Judyta więc spróbowała się skupić. Dyrektorka opowiadała o czymś, co wydarzyło się wczorajszej nocy.

- ...około jedenastej w nocy wracała samochodem do domu... nikogo przy tym nie było...

A więc nie chodziło tu o Billy'ego Fawcetta, tylko o samochód ciotki? Judyta poczuła, jak z jej ust dobywa się bezwiedne westchnienie ulgi, a na policzki wracają kolory, przybierając formę jakby rumieńca wstydu.

- ...wypadek. Fatalne zderzenie czołowe... - Tu panna Catto urwała i Judyta zauważyła malującą się na jej twarzy troskę połączoną z zaskoczeniem. - Dobrze się czujesz, kochanie?

Judyta przytaknęła.

- Czy zrozumiałaś, co mówiłam?

Znów twierdząco kiwnęła głową. Chodziło więc o to,

że ciotka Luiza miała wypadek samochodowy. To było do przewidzenia, bo ciotka zawsze rozwijała zbyt dużą prędkość, wyprzedzała na zakrętach lub płoszyła klaksonem stada kur czy owiec. Chyba jednak miała szczęście, mogła najwyżej odnieść jakieś obrażenia. Może leży już w miejscowym szpitalu z obandażowaną głową i ręką na temblaku?

- Ale cioci nic poważnego się nie stało, prawda? - chciała się jeszcze upewnić.

- Niestety, kochanie, twoja ciocia zginęła na miejscu. Judyta patrzyła na pannę Catto z niedowierzaniem, gdyż

wydawało się jej, że to nie może być prawdą. Coś tak strasznego nie mogło się przecież wydarzyć! Jednak w oczach dyrektorki dostrzegła smutek i współczucie, które potwierdzały przekazaną informację.

- To właśnie chciałam ci powiedzieć, kochanie. Twoja ciocia Luiza nie żyje.

Jak to strasznie zabrzmiało! Jak ostatnie tyknięcie zegara albo szczęk nożyc odcinających nitkę. „Nie żyje” to znaczy, że coś się skończyło. Usłyszała własny, wyraźnie drżący oddech. Spokojnym, lecz dociekliwym tonem spytała:

- Jak to się stało?

- Przecież ci mówiłam. Wypadek samochodowy.

- Gdzie to było?

- Na takiej starej, nie uczęszczanej szosie, która biegnie przez wrzosowiska. Stała tam nie oświetlona, zepsuta ciężarówka i twoja ciocia na nią wjechała.

- Czy jechała bardzo szybko?

- Tego nie wiem.

- Na pewno tak, bo zawsze jeździła z fasonem, wyprzedzała wszystko i wszystkich.

- Może jednak tym razem nie była to jej wina.

- Kto ją znalazł?

- Ktoś zawiadomił policję, bo samochód się palił, a ogień było widać z daleka.

- Czy jeszcze ktoś zginął?
 - Nikogo z nią nie było.
 - Skąd ona mogła wracać?
 - Podobno była na kolacji u jakichś znajomych pod Helston.
 - Aha, u komandorostwa Richardsów! Nieraz grywała z nimi w golfa.
- Oczami duszy ujrzała ciotkę, jak w ciemnościach mknie samochodem do domu. Tyle razy jej się to zdarzało...
- Kto pani dyrektor o tym powiedział?
 - Pan Baines.
 - Kto to jest?
 - Adwokat twojej cioci. Zdaje mi się, że prowadził także sprawy twojej mamy.
- Przypomniała sobie, że rzeczywiście zna takiego adwokata.
- A czy moja mama wie, że ciocia Luiza nie żyje?
 - Pan Baines wysłał telegram do twojego ojca. Napisał także list. Ja też napiszę o tym do twojej mamy.
 - A co będzie z Edną i Hildą? - Po raz pierwszy w głosie Judyty zabrzmiał szczery niepokój.
 - Kim są te osoby?
 - To siostry, kucharka i pokojówka cioci Luizy. Służyły u niej tyle lat... Na pewno ciężko to przeżyją.
 - Na pewno, tym bardziej że początkowo nie zauważyły nieobecności twojej cioci. Zaczęły coś podejrzewać dopiero rano, kiedy któraś z nich zaniosiła jej śniadanie do pokoju, a łóżko było puste.
 - I co wtedy zrobiły?
 - Postąpiły rozsądnie, bo zadzwoniły najpierw do pastora. Ten musiał widocznie zawiadomić policję, bo niedługo przyszedł do nich posterunkowy i przekazał im tę smutną wiadomość. Bardzo się przejęły, ale postanowiły, że na razie obie zostaną w domu twojej cioci.
- Wizja Edny i Hildy siedzących samotnie w pustym domu, pocieszających się nawzajem i popijających herbatę,

wydawała się bardziej przygnębiająca od wszystkich innych. Wraz ze śmiercią ciotki Luizy ich życie straciło cel i sens. Łatwo było mówić, że znajdzie się dla nich inna praca, ale te dwie stare panny nie były tak energiczne jak Phyllis. A jeśli nie uda się załatwić im innych posad, to dokąd pójda i z czego będą żyć? Przede wszystkim nigdy się nie zgodzą, aby je rozdzielono, bo przez całe życie były nierozłączne. Judyta głośno spytała:

- I pewnie tam będzie pogrzeb?

- Oczywiście, we właściwym czasie.

- Czy muszę tam jechać?

- Tylko jeśli sama zechcesz. Uważam jednak, że powinnaś. Pojedziemy razem i będę cały czas przy tobie.

- Ale ja jeszcze nigdy nie byłam na żadnym pogrzebie! Panna Catto nie odpowiedziała od razu, tylko wstała

zza biurka i przeszła przez cały pokój do okna, jakby szukając tam pociechy. Przez chwilę wyglądała na zewnątrz, ale widok ogrodu spowitego mgłą i deszczem nie mógł chyba nikomu przynieść ulgi.

Najwidoczniej panna Catto doszła do podobnego wniosku, bo zauważyła:

- Ale dziś mamy ponury dzień!

Po tym wstępie odwróciła się od okna i z uśmiechem zaczęła przemowę:

- Pogrzeby, kochanie, są nierozłącznie związane ze śmiercią, tak samo, jak śmierć jest związana z życiem. To przykre, jeśli ktoś styka się z tym już w tak młodym wieku, ale każdy z nas musi przez to przejść. Nie będziesz w tym zdana tylko na siebie, bo postaram się pomóc ci przetrwać ten okres.

Trzeba się pogodzić, że śmierć jest w naszym życiu jedyną rzeczą, której możemy być pewni. Wiem, że to słaba pociecha, kiedy taki cios spada nagle i na bliską nam osobę, ale widzę, że dzielnie to zniosłaś. I najpierw pomyślałaś o innych, nie o sobie, a to się chwali. Teraz chciałabym, żebyś widziała we mnie nie

tylko dyrektorę, ale i przyjaciółkę. Nie chowaj smutku w sobie, mów, co ci leży na sercu, i nie wstydź się płakać, jeśli ci to ulży.

Jednak Judyta jakoś nie mogła zdobyć się na łzy.

- Już wszystko w porządku - oświadczyła.

- Grzeczna dziewczynka. A wiesz co? Wydaje mi się, że filiżanka herbaty dobrze nam zrobi. Co ty na to?

Judyta kiwnęła głową twierdząco, więc panna Catto nacisnęła guzik dzwonka.

- Duża filiżanka gorącej herbaty jest dobra na wszystko - zauważyła. - Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałam.

Nie wracała już za biurko, tylko usiadła na niskim foteliku przy kominku. Bez słowa zapaliła zapalniczkę i przytknęła ją do zgniecionych gazet i suchych drewek w palenisku. Od nich szybko zajęły się i węgle. Przyglądając się skaczącym płomykom, dyrektorka nieco zmieniła temat rozmowy.

- Widziałam twoją ciocię tylko dwa razy w życiu, ale bardzo przypadła mi do gustu - zaznaczyła. - To była bardzo zdolna i odpowiedzialna osoba. Dopóki znajdowałaś się pod jej opieką, byłam o ciebie spokojna.

Skoro już ten temat został poruszony, Judyta, patrząc w okno spytała najobojętniejszym głosem, na jaki tylko mogła się zdobyć:

- A co teraz ze mną będzie?

- Właśnie o tym musimy porozmawiać.

- Mam jeszcze ciocię Biddy.

- Aha, panią Somerville z Plymouth? Twoja mama podała mi jej adres i telefon. Widzisz, jeśli któraś z naszych uczennic ma rodziców za granicą, staramy się utrzymać kontakt z innymi jej krewnymi.

Inaczej spoczywałyby na nas zbyt wielka odpowiedzialność.

- Ciocia Biddy zawsze mówiła, że mogę do niej przyjechać, kiedy będę chciała. Czy ona już wie, co się stało z ciocią Luizą?

- Jeszcze nie, bo najpierw chciałam porozmawiać z tobą. Zawiadomię ją o tym.

W tym momencie dało się słyszeć pukanie do drzwi. Kiedy panna Catto powiedziała „proszę”, przez szparę zajrzała pokojówka.

- Świetnie, że przyszłaś, Edyto. Bądź tak miła i przynieś nam herbaty. I może jeszcze jakieś ciasteczka...

- W tej chwileczce! - obiecała pokojówka i znikła, a dyrektorka, jakby nigdy nic, mówiła dalej.

- Czy chciałabyś spędzić ferie świąteczne u cioci Biddy?

- Bardzo bym chciała, bo uwielbiam i ją, i wujka Boba! Tylko problem w tym, że oni nie zawsze będą mieszkać w Plymouth. Prędzej czy później wujek rzuci wykłady w szkole i wróci na okręt. Ciocia Biddy planuje już kupno jakiegoś małego domku, bo ten, w którym mieszkają, nie należy do nich... - Tu urwała.

- A czy masz jeszcze jakichś bliskich?

- Może panią Warren. Heather Warren była moją najlepszą przyjaciółką w szkole w Porthkerris. Jej rodzice mają tam sklep i moja mama zawsze ich lubiła. Myślę, że czasem mogłabym pojechać i do nich.

- Dobrze, jakoś się to załatwi. - Panna Catto uśmiechnęła się do Judyty. - W każdym razie pamiętaj, że jesteś wśród przyjaciół. O, mamy już herbatę! Dziękuję, Edyto, postaw tacę na stole. Judyto, na tym krześle na pewno ci niewygodnie. Siądź tu koło mnie, przy kominku!

„No, najgorsze mam już za sobą” - pomyślała Muriel Catto. Przekazała uczennicy smutną wiadomość i na szczęście dziewczynka spokojnie to zniosła. W swojej karierze zawodowej dwa razy musiała podejmować się nieprzyjemnego zadania powiadomienia którejś z uczennic o śmierci jej ojca czy matki. Za każdym razem czuła się, jakby sama była morderczynią. W pewnym sensie bowiem ten, kto przekazuje wiadomość o śmierci, sam staje się zabójcą. Dopóki słowa „nie żyje” nie zostaną wypowiedziane - ten, kogo dotyczą, jakby nadal żył. Przestaje żyć naprawdę dopiero wtedy, kiedy nazwie się rzecz po imieniu.

Pracując w szkole, panna Catto zawsze starała się przestrzegać reguły, aby nie wyróżniać żadnej spośród swych uczennic. Jednak Judyta nieświadomie skłoniła ją do odstąpienia od tych zasad i rozbudziła nie znane jej dotąd uczucia macierzyńskie. Mimo że wywodziła się z krańcowo innego środowiska niż jej rówieśnice - zdobyła wśród nich popularność i dobrze zaaklimatyzowała się w szkole. Czyniła zadowalające postępy w nauce i grach sportowych. Przyjaźń z rodziną Carey-Lewisów wywierała na nią zdecydowanie korzystny wpływ i nawet przełożona internatu nie miała powodów do skarg na jej zachowanie.

A teraz akurat jej musiało przytrafić się takie nieszczęście! Kiedy panna Catto wezwała Judytę, aby jej to zakomunikować, i siedząc w gabinecie czekała na nią - ze zgrozą przyłapała się na tym, że wolałaby, aby ta tragedia przydarzyła się jakiegokolwiek innej uczennicy.

Nie chodziło tylko o to, że Judyta nie ma tu nikogo bliskiego, kto mógłby ją pocieszyć. Wynikało to raczej ze specyficznych cech jej charakteru. Miała w sobie coś, co chwyciło za serce. To, z jakim spokojem, bez płaczu i złości, znosiła rozłąkę z rodziną; jej rozbijająca prostolinijność i słodycz, która musiała być wrodzona, bo czegoś takiego nie można się nauczyć.

Mało tego, miała również bardzo ujmującą powierzchowność. Nawet pewne dysproporcje typowe dla dziewcząt w jej wieku, jak niezgrabne nogi, chude ramiona, piegi czy nieco zbyt duże uszy, raczej dodawały jej wdzięku. Szczególną urodą odznaczały się jej oczy, duże, szaroniebieskie, otoczone gęstymi rzęsami, a tak przejrzyste, że obca musiała jej być wszelka dwulicowość. Panna Catto miała nadzieję, że tak zostanie na zawsze.

Teraz piły razem herbatę i rozmawiały, już nie o ciotce Luizie, lecz o rodzinnym mieście panny Catto - Oksfordzie.

- To chyba najlepsze miejsce, w którym można było dorastać. Miasto wież kościelnych, dzwonów, rowerów, młodzieży i niewyczerpanej wiedzy. Mieszkaliśmy w dużym domu na Banbury Road, z ogrodem otoczonym murem, gdzie rosła wielka morwa. Mój ojciec był profesorem filozofii, a matka też pracowała naukowo. Podczas roku akademickiego przez nasz dom przewijały się tłumy studentów. Dlatego drzwi frontowe stały zawsze otworem, bo inaczej dzwonek by się urywał, toteż po wszystkich pokojach hulały przeciągi. I ten zapach. -- badała z uśmiechem. - Wiesz, chyba każdy pamięta sf. cyficzny zapach domu swojego dzieciństwa. I czasem wraca, kiedy się tego nie spodziewasz, ten zapach książek, pasty do podłóg, starych mebli i wilgotnego kamienia. Wtedy czujesz się, jakbyś znów miała osiem lat!

Judyta próbowała wyobrazić sobie pannę Catto jako ośmioletnią dziewczynkę, ale nic z tego nic wyszło. Powiedziała więc:

- Rozumiem, co pani dyrektor ma na myśli, bo nasz dom w Kolombo też miał swój specyficzny zapach. Trochę pachniał morzem, bo stał nad samym oceanem, a trochę kwiatami tulipanowca, który rósł w ogrodzie. Ale nieraz czuć tam było także środkami dezynfekcyjnymi, rurami ściekowymi i preparatem, który niania rozpryskiwała przeciw pluskwom.

- Brrrr! Nienawidzę robactwa! Dużo lam lego było?

- Mnóstwo, a także komarów, pająków i czerwonych mrówek. Zdarzały się też. węże. Kiedyś do ogrodu przedostała się kobra, dopiero tatuś zastrzelił ją ze sztucera. A w łazience nieraz czały się węże *lik polongas*, które wyłaziły z rur kanalizacyjnych. Musieliśmy się ich wystrzegać, bo są strasznie jadowite.

- To okropne. Muszę przyznać, że boję się węży.

- W Pettah, dokąd jeździliśmy po zakupy, nieraz wy-

stepowali zaklinacze wę ów. Siedzieli po turecku na trawie i grali na piszczałkach, a węże wychylały głowy z koszyka. Mama nie znos ;go widoku, ale mnie to bawiło -opowiadała chrupiąc teczka. Po krótkiej przerwie dodała: - Nigdy w życ> nie byłam w Oksfordzie.

- Myślę, że powinnaś tam pojechać, ale po to, aby podjąć studia. To znaczy, najpierw musisz zdać maturę, ale przy twoich zdolnościach nie powinnaś mieć problemów z egzaminem wstępnym.

- Jak długo trwają takie studia?

- Trzy lata. Chyba nic nie może się równać z możliwością poszerzenia swojej wiedzy w dziedzinie, która cię interesuje... nie algebrze czy zoologii, ale na przykład literaturze angielskiej albo filozofii!

- A dużo by to kosztowało?

- No, nie są to tanie studia. Ale w życiu niczego wartościowego nie osiąga się tanim kosztem.

- Nie śmiałabym prosić rodziców o coś, na co ich nie stać.

- Na razie tylko rzucam pomysł. - Panna Catto uśmiechnęła się. - Będziemy miały dużo czasu, aby pomyśleć, jak to zrealizować w praktyce. Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję. Była wyśmienita!

Zapadła cisza, ale atmosfera rozluźniła się, nie wyczuwało się już poprzedniego napięcia. Judycie wróciły rumieńce - najgorsze miała za sobą. Panna Catto zrozumiała, że nadeszła pora, aby zadać pytanie, które od początku miała na końcu języka. Zaczęła jednak oględnie, chcąc odpowiednio ukierunkować rozmowę.

- Pamiętaj, że zawsze możesz skorzystać z mojego telefonu. Z panią Somerville sama porozmawiam, ale może chciałabyś zadzwonić do Edny, Hildy czy jakiejś swojej koleżanki z Penmarron?

Judyta siedziała z twarzą zwróconą w stronę ognia płonącego na kominku. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, ale w końcu potrząsnęła głową.

- Dziękuję, pani dyrektor, to bardzo miło z pani strony, ale jeszcze nie czas na to.
- Myślę, że pan Baines zechce osobiście z tobą porozmawiać, ale to kwestia najbliższych dni. Tymczasem będziemy musiały zająć się sprawami związanymi z pogrzebem.

Judyta najpierw zrobiła głęboki wdech, a potem wydech. W końcu z wahaniem odrzekła:

- Tak.

Panna Catto odchyliła się na oparcie fotela. Zebrała się na odwagę, aby wypowiedzieć planowaną od dawna kwestię:

- Chciałabym cię jeszcze o coś zapytać, tylko nie pomyśl sobie, że jestem wścibska... Jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać. Oczywiście mogę się mylić, ale zdawało mi się, że kiedy zaczęłam ci mówić o twojej cioci, ty spodziewałaś się usłyszeć coś całkiem innego.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Judyta nie odwracała twarzy od ognia, okręcając wokół palca niesforny kosmyk włosów.

- Czemu miałaś taką wystraszoną minę? - indagowała panna Catto.

Judyta przygryzła wargę i wymamrotała coś niewyraźnie, więc dyrektorka rzekła z naciskiem:

- Przepraszam, ale nie dosłyszałam.

- Myślałam, że ciocia wychodzi za mąż. Dyrektorka, kompletnie zaskoczona, nie wierzyła własnym uszom.

- Pani Forrester miałaby wychodzić za mąż? Ciekawam, za kogo?

- Za pułkownika Fawcetta.

- Kto to taki?

- On jest... to znaczy był... jej sąsiadem i starym znajomym jeszcze z Indii.

- I pewnie nie chciałaś, żeby ciocia za niego wyszła?

- Nie.

- Nie lubiłaś tego pana?

- Nienawidziłam go! - Mówiąc to odwróciła twarz od płomieni i spojrzała dyrektorze prosto w oczy. - To był straszny człowiek! Gdyby ożenił się z ciocią, wprowadziłby się do jej domu, a tego bym nie zniosła!

Panna Catto nagle zrozumiała, o co tu chodzi. Nie dała jednak poznać po sobie targających nią emocji.

- Napastował cię?

- Tak.

- Co konkretnie robił?

- Zaprosił nas do kina i po ciemku złapał mnie za kolano.

- Aha, rozumiem.

- I to nie raz, ale dwa razy. 1 jeszcze pchał mi rękę wyżej, aż po udo...

- Powiedziałaś o tym pani Forrester?

- Nie, nie mogłam.

- Gdybym była na twoim miejscu, też nie przeszłoby mi to przez gardło. - Panna Catto uśmiechnęła się, choć w środku aż trzęsła się ze złości na obleśnych staruchów. - W Cambridge nazywałyśmy takich „obmacywaczami” albo „łowcami podwiązek”. Judyta zrobiła wielkie oczy.

- To pani dyrektor też się coś takiego zdarzyło?

- Za czasów mojej młodości starsi panowie uważali studentki za łatwą zdobycz. Tylko że nas było więcej, toteż mogłyśmy wzajemnie się wspierać i wspólnie obmyślać taktykę obrony. Ty byłaś w gorszej sytuacji, bo nie miałaś przy sobie nikogo bliskiego.

- Nie wiedziałam, co mam robić.

- To normalne, żeś nie wiedziała.

- Nie wierzyłam, że ciocia mogłaby naprawdę za niego wyjść, ale ta myśl zaległa mi się w głowie i nie dawała spokoju. Nie mogłam się od niej uwolnić.

- Przynajmniej teraz nie musisz już się tym martwić. W każdym razie cieszę się, że mi o tym powiedziałaś.

- Ale jeżeli pojedziemy na pogrzeb, on z pewnością tam będzie.
- Dobrze, pokażesz mi, który to, a ja z przyjemnością zdziękuję go w łeb parasolką.
- Naprawdę pani by to zrobiła?
- Raczej nie, bo mogę sobie wyobrazić nagłówki w gazetach: „Emerytowany pułkownik armii brytyjskiej zaatakowany przez prowincjonalną nauczycielkę”. Nie przysporzyłoby to reklamy naszej szkole!

Niby nie było w tym nic zabawnego, ale po raz pierwszy od początku tej rozmowy Judyta wybuchła spontanicznym śmiechem.

- No, tak już lepiej! - Panna Catto spojrzała na zegarek. - Idź teraz, a ja wezmę się do roboty. Zaraz będą zajęcia sportowe, ale myślę, że lepiej ci zrobi pogawędka z Loveday. Wyślę Deirdre do panny Fanshaw, żeby was obie zwolniła z hokeja. Możecie iść się przejść albo wdrapać się na drzewo, albo posiedzieć na tarasie... Na pewno poczujesz się lepiej, kiedy obgadasz to wszystko z Loveday.
- Ale przecież nie powiem jej o pułkowniku Fawcencie!
- Nawet nie powinnaś. Niech to zostanie między nami. - Podniosła się z fotela, więc i Judyta wstała. - No, to już po wszystkim. Tak mi przykro z powodu twojej cioci, ale cieszę się, że dzielnie to zniosłaś. A o swoją przyszłość nie masz się co martwić - ja się tym zajmę.
- Dziękuję pani bardzo. I za herbatę też...
- No to idź już. - Ale jeszcze zanim Judyta przekroczyła próg, panna Catto znów weszła w skórę dyrektorki szkoły i dodała: - Tylko pamiętaj, nie biegnij po korytarzu!

Keyham, Plymouth 28 marca 1936

Moje najdroższe biedactwo!

Właśnie odbyłam długą rozmowę telefoniczną z Twoją przemiłą dyrektorką, panną Catto. Jestem wstrząśnięta wy-

padkiem biednej Luizy. Wprawdzie zawsze jeździła jak wariatka, ale nie przypuszczałam, że to się tak skończy, bo wydawała mi się niezniszczalna. Może nieraz się kłóciłyśmy, ale w gruncie rzeczy zawsze uważałam ją za osobę godną szacunku.

Panna Catto poinformowała mnie, że zawiadomiła już o tym Twoich rodziców. Pytała też, czy będziemy mogli zaprosić Cię do siebie na ferie wielkanocne. Kochanie, pragnęlibyśmy tego nade wszystko, ale borykamy się teraz z masą problemów. Twój dziadkowie chorują, więc musimy im pomagać. Równocześnie rozglądamy się za jakąś posiadłością w Devon, aby móc wreszcie osiąść gdzieś na stałe. Mam już jeden dom na oku, ale jeszcze wymaga remontu. Tymczasem wujek zaciągnął się na okręt „Resolve”, który cumuje w Invergordon na zatoce Cromarty Firth, o tysiąc mil stąd na północ. W czerwcu wyprowadzamy się z Keyham i na razie trzeba będzie wynająć jakiś domek w tej deszczowej Szkocji.

Sama więc widzisz, że nie będziemy w stanie ofiarować Ci gościny na Wielkanoc. W lecie nasza sytuacja już się ustabilizuje i wtedy serdecznie Cię zapraszamy. Panna Catto zapewnia, że jesteś pod dobrą opieką, a zrobiła na mnie wrażenie osoby, której można zaufać. Nie niepokoję się więc o Ciebie, ale bardzo chciałabym, abyś spędziła u nas letnie wakacje.

Proszę Cię, daj mi znać, kiedy odbędzie się pogrzeb, choć nie wydaje mi się, abym mogła w nim uczestniczyć. Matka ciągle zasypuje mnie prośbami, abym pomogła jej pielęgnować chorego ojca, więc będę musiała rozejrzeć się za jakąś stałą opiekunką dla nich obojga.

Wujek Bob przesyła Ci pozdrowienia i radzi, abyś trzymała uszy do góry.

*Ucałowania od kochającej
cioci Bidy*

5 kwietnia 1936, niedziela

Kochani Rodzice!

Chyba otrzymaliście telegramy i listy od panny Catto i pana Bainesa, więc wiecie, co się stało.

Strasznie mi Żal cioci Luizy, bo była dla mnie taka dobra! Kiedy przyjechałam do niej pierwszy raz, było mi tęskno za domem, ale ciocia tak się o mnie troszczyła, że szybko przestałam tęsknić.

Wiedziałam, że zawsze nieostrożnie prowadziła samochód, ale panna Catto mówi, że tym razem to nie była jej wina. Skąd mogła wiedzieć, że za szczytem wzgórza stoi pusta, nie oświetlona ciężarówka?

O mnie się nie martwcie. Myślałam, że na ferie wielkanocne pojedę do cioci Biddy, ale ona jest zbyt zajęta, bo kupiła właśnie nowy dom, a dziadek Evans zachorował. Ale na pewno będę mogła spędzić kilka dni u Warrenów w Porthkerris, a panna Catto proponuje mi wspólne odwiedziny w domu jej rodziców w Oksfordzie. Nawet mi się to podoba, bo powiedziała mi, że miałabym szansę dostać się tam na studia, więc dobrze byłoby zobaczyć samo miasto. Do cioci Biddy mogłabym pojechać w lecie.

Żal mi też Edny i Hildy, ale mam nadzieję, że znajdą takie miejsce, gdzie będą mogły być razem.

Wypadek samochodowy to coś okropnego, a przecież ciocia Luiza nie była jeszcze stara! Panna Catto mówi, że śmierć jest nierozłącznie związana z życiem, ale nikt przecież nie chce, Żeby nastąpiła tak wcześnie.

Pogrzeb odbył się w ostatni czwartek. Panna Catto mnie nie zmuszała, ale sama uważałam, że powinnam wziąć w nim udział. Pan Baines przyjechał po nas samochodem, a pani przełożona uszyła mi czarną żałobną opaskę. Msza była odprawiana w kościele w Penmarron. Przyszło dużo ludzi, nawet takich, których nie znam. Równocześnie z nami przyjechali też Warrenowie. Pani Warren bardzo mi współczuła. Od razu przedstawiła się pannie Catto i za-

pewniła, że będę mogła przyjeżdżać do nich na każde ferie. To ładnie z jej strony, prawda?

W kościele było pełno kwiatów i śpiewaliśmy piękny psalm „ W krainie życia będę widział Boga”.

Pastor mówił o cioci Luizie same miłe rzeczy, a tuż za nami siedziały Edna i Hilda. Przywiózł je kuzyn, obie były w czerni i przez, cały czas płakały.

Po mszy odprowadziliśmy trumnę na cmentarz. Pogoda była ładna, tylko chłodno i wiał silny wiatr od morza. Pachniało też morzem i słychać było szum fał. Chwała Bogu, że nie padało.

Strasznie było patrzeć, jak spuszczali do dołu trumnę Z ciocią Luizą w środku. Pastor dał mi grudkę ziemi, którą rzuciłam w ślad za trumną. Panna Catto rzuciła tam pęczek pierwiosnków, a pan Baines różę. Jakby wiedział, że ciocia Luiza tak lubiła różę! Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że ona naprawdę nie żyje.

Potem pożegnaliśmy się ze wszystkimi i wróciliśmy do Penzance. Pan Baines zaprosił pannę Catto i mnie na lunch „Pod Mitrę”. Przypomniałam sobie wtedy, jak byłyśmy tam z Tobą, Mamusiu. Tak chciałabym, żebyś teraz z nami tu była!

Na pogrzebie byli prawie wszyscy mieszkańcy wioski. Rozmawiałam z panią Berry i panią Southey, która mnie pocałowała, ale to było śmieszne, bo ona ma wąsy!

W tym miejscu Judyta utknęła, bo nie wszystko potrafiła dokładnie opisać. Twarze zamazywały się w jej pamięci i nie zawsze kojarzyły się z nazwiskami. Oczywiście był tam także Billy Fawcett, ale tego nazwiska nie chciała wymieniać. Kiedy wychodziła już z kościoła, zauważyła, że stoi w tylnej części nawy. Wyraźnie patrzył w jej kierunku, więc ośmielona obecnością panny Catto wytrzymała jego spojrzenie tak długo, aż zmusiła go do spuszczenia wzroku. Zanim jednak to zrobił, dostrzegła

w jego oczach czystą nienawiść, oczywiście skierowaną przeciw niej.

Jasne, że nie mógł jej darować, iż zamknęła mu drzwi przed nosem i zmusiła do poniżającego odwrotu. Nie dbała o to, ale zauważyła, że nie było go już wśród żałobników na cmentarzu.

Najwyraźniej, zawzięty i obrażony, poszedł sobie, za co Judyta była mu wdzięczna. Wciąż jednak jego widmo prześladowało ją w snach. Może teraz, gdy zabraknie mu opieki ciotki Luizy, jej gościnnego domu i darmowej whisky, spakuje manatki i wyniesie się z Kornwalii? Na przykład do Szkocji, tam też jest dużo pól golfowych.

Judyta niczego nie pragnęłaby tak gorąco jak tego, aby Billy wyprowadził się do Szkocji lub gdziekolwiek i na zawsze znikł jej z oczu. Tylko że najprawdopodobniej nie znał tam nikogo, do kogo mógłby się przenieść. Nie wyobrażała sobie, aby tak okropny człowiek mógł mieć w ogóle jakichś przyjaciół. Pewnie więc wszystko zostanie tak, jak było - Billy będzie samotnie tkwił w swoim domku, snuł się jak cień w klubie golfowym, a tylko od czasu do czasu wyprawi się do Porthkerris po niezbędne zakupy. Zawsze więc będzie kręcił się w pobliżu i Judyta nie uwolni się od prześladowającego ją koszmaru, dopóki on sam nie uwolni świata od siebie!

Kiedy tak drżała z zimna na cmentarzu, nawiedzały ją bluźniercze myśli, że to ten stary lubieżnik powinien był spocząć w tym grobie, a nie ciotka Luiza. Jakie to niesprawiedliwe, że ciotka odeszła w kwiecie wieku, w pełni swego owocnego i aktywnego życia, a ten obleśny dziad pozostał, aby móc nadal się oddawać swoim brudnym sprawkom!

Nie były to myśli zbyt odpowiednie na taką okazję, toteż ucieszyła się, gdy dostrzegła .na cmentarzu pana Willisa. Natychmiast zapomniała o Billym Fawcetcie. Pan Willis stał skromnie na uboczu, nie chcąc narzucać się pogrążonej w smutku rodzinie. Był tego dnia starannie wmyty i ogolony, ubrany w elegancki niebieski garnitur z masywnymi guzikami i miał zbyt ciasny kołnierzyk. W rękę trzymał melonik. Sama myśl o tym, że obcy w końcu człowiek zadał sobie trud, aby przyjść na pogrzeb, wzruszyła Judytę do łez, choć do tej pory miała suche oczy.

Panna Catto i pan Baines chcieli jeszcze zamienić kilka słów z pastorem. Korzystając z tego, Judyta przeszła pomiędzy nagrobkami, aby przywitać się ze starym znajomym.

- Dzień dobry panu!

- Ach, jak się masz, kochanie! - Pan Willis musiał włożyć melonik, aby mieć wolne ręce i ująć dłoń Judyty. - Taki straszny wypadek! Ale u ciebie wszystko w porządku, prawda?

- Dziękuję, w jak najlepszym. To bardzo ładnie z pana strony, że pan przyszedł.

- Aż mnie zatkało, kiedy się dowiedziałem. Nie chciałem wierzyć, kiedy Ted Barney mówił o tym w gospodzie. I wszystko przez tego durnia Jimmy'ego Jelksa!

- Tak mi było przykro, że w czasie przerwy półseme-stralnej nie odwiedziłam pana. Chciałam, ale jakoś nie wyszło. Mam nadzieję, że pan się nie obraził...

- Przypuszczałem, że jesteś zbyt zajęta, aby zasuwać taki kawał drogi do mnie na przystań.

- Przyrzekam, że przyjdę do pana, kiedy tylko znów będę w Penmarron. Mam panu tyle do powiedzenia!

- A jak się czuje twoja mama i Jess?

- Z tego, co wiem, to dobrze.

- Kto się teraz tobą zajmie?

- Chyba ciocia Bidy, która mieszka w Plymouth. Niech się pan nie obawia, wszystko będzie w porządku.

- No, to szczęście w nieszczęściu. Cóż, śmierć nie pyłą, zabiera i kwita.

- Nic na to nie poradzimy, panie Willis. Przepraszam,

ale muszę już iść, czekają na mnie. Bardzo się cieszę, że pana spotkałam.

Jeszcze przez chwilę trzymali się za ręce, a kiedy Judyta podniosła wzrok, ujrzała w jego oczach łzy. Stała wtedy na palcach i pocałowała go w policzek pachnący kombinacją tytoniu i mydła.

- Do widzenia panu.

- Do widzenia, moja śliczna!

Właściwie było to pożegnanie, bo nie zamierzała przyjeżdżać więcej do Penmarron. Zawsze jednak mile wspominała popołudnia spędzane potajemnie w jego towarzystwie. Kiedy pykając fajkę naprawiał łódź lub czekając na przyływ opowiadał zabawne historyjki... W zimie było jeszcze przyjemniej, bo wtedy przesiadywała w jego chałupce i razem parzyli herbatę na brzuchatym żelaznym piecyku...

Nie ma czasu na rozpamiętywanie, musi przecież skończyć list do rodziców! Zastanawiała się, czy wspominać o spotkaniu z panem Willisem. Zawsze starała się ukrywać przed matką tę znajomość. Raz, że nie chciała, aby ktokolwiek ingerował w jej sprawy osobiste, a po drugie - z uwagi na dwuznaczną reputację „pani WiHis”. Jednak w obecnej sytuacji to wszystko przestawało być ważne. Nawet gdyby mama wyciągnęła z treści listu jakieś pochopne wnioski - i tak upłynie sześć tygodni, zanim Judyta dostanie jej odpowiedź, a do tego czasu wszystko może się zmienić. Zresztą po prostu chciała napisać coś o panu Willisie.

Na pogrzeb przyszedł także pan Willis, pamiętasz, ten stary przewoźnik. Jest teraz zatrudniony przez zarząd portu. Ubrał się elegancko, nałożył nawet melonik! Pytał o Ciebie i Jess. Myślę, że to ładnie z jego strony, iż przyszedł i postarał się schludnie wyglądać.

Jutro ma przyjechać do szkoły pan Baines, aby porozmawiać ze mną o sprawach rodzinnych. Tak się wyraził, ale nie wiem, co ma na myśli. Oby tylko nie używał zbyt długich i trudnych słów! Może załatwi nowe miejsce dla Edny i Hildy?

Mam nadzieję, że wszyscy czujecie się dobrze i że Tatuś nie jest zbyt załamany śmiercią cioci Luizy. Panna Catto mówi, że ciocia zginęła na miejscu i wcale się nie męczyła, a szybka jazda samochodem była tym, co lubiła najbardziej. Słaba to jednak pociecha, gdy się jest tak daleko od kraju i traci kogoś, kogo się kochało.

O mnie się nie martwcie. Na ferie wyjeżdżamy w piątek, dziesiątego kwietnia.

Wasza kochająca

Judyta

- Jesteś nareszcie, Judyto! - odezwał się pan Baines zza biurka panny Catto.

Przypuszczalnie za jej zgodą rozłożył na blacie masę dokumentów ze swojej teczki. Był wysokim mężczyzną z fryzurą przywodzącą na myśl szorstkowłosego teriera. Nosił grube okulary w rogowej oprawce, tweedowy garnitur i kraciastą koszulę, co nadawało mu wygląd typowego prowincjalnego adwokata. Był jednym z głównych wspólników kancelarii adwokackiej działającej od lat w Penzance, prowadzącej także sprawy rodziny Dun-barów. Uczennice Szkoły Świętej Urszuli, idąc co niedziela do kościoła, przechodziły obok siedziby biura. Judyta podziwiała wtedy harmonijną konstrukcję budynku i odczytywała wygrawerowane na mosiężnej tabliczce nazwiska prawników: Tregarthen, Opie i Baines.

Do dnia pogrzebu ciotki Luizy nie miała jednak sposobności poznać osobiście mecenasa Bainesa. W tych przykrych momentach okazał się człowiekiem życzliwym i przyjaznym; woził pannę Catto i ją swoim samochodem, a potem postawił im obiad „Pod Mitrą”, starając się maksymalnie umilić im ten smutny dzień. Dzięki temu pierwsze lody zostały przełamane i Judyta uważała, że może

sobie darować większość konwenansów, które normalnie zajęłyby masę czasu. Nie miała jednak pojęcia, co mecenas chce jej przekazać.

- No i jak dajesz sobie radę? - zaczął. Odpowiedziała mu, że owszem, radzi sobie zupełnie dobrze. Wtedy adwokat wyszedł zza biurka, przysunął jej krzesło i wrócił do swej sterty papierów.

- Na początek chciałbym, żebyś nie martwiła się już o przyszłość Edny i Hildy. Wydaje mi się, że znalazłem dla nich dobre miejsce u mojej dawnej klientki w pobliżu Truro. To samotna kobieta, mniej więcej w wieku pani Forrester, i myślę, że byłoby im u niej dobrze. Umówiłem już je na wstępną rozmowę.

Uśmiechnął się i od razu zrobił się młodszy i przystojniejszy.

- Och, jaki pan mądry! - wykrzyknęła z podziwem Judyta. - To cudowne! Na pewno przyjmą tę pracę, bo będą chciały zostać razem.

- Więc jedno mamy już z głowy. Chciałbym ci też zakomunikować, że dostałem od twego ojca odpowiedź na telegram z wiadomością o śmierci pani Forrester. Przesyła ci pozdrowienia i obiecuje, że napisze do ciebie list. A ty już napisałaś do rodziców?

- Tak, o pogrzebie i o tym wszystkim.

- To dobry sposób, żeby móc przejść nad tym do porządku dziennego. - Zaczął porządkować papiery, jakby chcąc zyskać na czasie. - Zaraz, ile to ty masz lat? Czternaście, piętnaście?

- W czerwcu kończę piętnaście. - Jak to zabawnie brzmiało!

- Ach, tak. Moja najstarsza córeczka ma dopiero osiem. W przyszłym roku zacznie się uczyć u Świętej Urszuli. Dobrze, że się już tu zadomowiłaś, bo otrzymasz znakomite wykształcenie. Panna Catto mówiła mi, że powinnaś podjąć wyższe studia. Chciałabyś studiować na uniwersytecie?

- Nawet o tym nie myślałam. To musi być strasznie kosztowne.
- Aha, rozumiem - podsumował pan Baines, po czym zapadła cisza. W tym czasie rozłożył przed sobą teczkę z jakimiś papierami, wziął do ręki wieczne pióro i zebrał się w sobie. - No więc przystąpmy do rzeczy.

Judyta cierpliwie czekała, aż adwokat jaśniej wyłoży, o co chodzi.

- Twoja ciocia przed śmiercią sporządziła testament. Wyznaczyła w nim wysoką rentę dla Edny i Hildy, natomiast całą resztę zapisała tobie.

Judyta nie przerywała mu, czekając, co powie dalej. Pan Baines zdjął więc okulary, przez co jego spojrzenie stało się bardziej przenikliwe.

- Cały swój majątek - dodał z naciskiem, spoglądając na nią spod oka.
- To chyba strasznie dużo pieniędzy? - Judyta odzyskała wreszcie mowę.
- Tak, bardzo dużo.
- I wszystko dla mnie?
- Tak, dla ciebie.

- Ależ... - Wiedziała, że zachowuje się niemądrze i dziecinnie, ale pan Baines wykazał dużą cierpliwość. Czekał obserwując jej reakcję. - Dlaczego właśnie dla mnie, a nie dla tatusia? Przecież to on jest jej rodzonym bratem!

- Twój ojciec ma zabezpieczoną przyszłość i stałą pracę, dobre zarobki i niedawno otrzymał awans.
- Ale ja... To znaczy, zawsze myślałam, że takie samotne osoby, jak ciocia Luiza, przeznaczają swój majątek na cele dobroczynne, schroniska dla bezdomnych kotów czy dotacje dla klubów golfowych. Na przykład w jej klubie urządzano turnieje brydżowe, z których dochód szedł na instalację centralnego ogrzewania czy remont szatni.

Pan Baines pozwolił sobie na niewinny żarcik.

- Widocznie twoja ciocia uznała, że klubowa szatnia jest jeszcze w dobrym stanie.

Czyżby ten człowiek w ogóle nie rozumiał, o co jej chodzi?

- Dobrze, ale dlaczego właśnie mnie? - powtórzyła.

- Kochanie, twoja ciocia nie miała żadnej innej rodziny ani własnych dzieci. Przez te lata, kiedy byłem jej pełnomocnikiem, opowiedziała mi dużo o sobie. W czasach jej młodości dziewczęta nie pracowały zawodowo, a mało która odważała się podejmować studia. Jeśli były piękne i bogate, nie miało to większego znaczenia, ale dla dziewczyny z klasy średniej jedyną życiową szansę stanowiło zamążpójście. Twoja ciocia, jak mi sama powiedziała, nie była ani piękna, ani bogata, nie miała też większego powodzenia u mężczyzn. Toteż w obawie, by nie została starą panną, rodzice wsadzili ją na statek i wysłali do Indii, gdzie miała większą szansę złapać męża. Na pewno taka sytuacja była dla niej upokarzająca, choć nie miała o to żalu do rodziców. Po prostu postąpili tak samo jak rodzice wielu innych niezamężnych dziewcząt, które płynęły przez ocean tylko w jednym celu.

- Aby złapać męża?

- Tak. Nazywano je nawet „flotą rybacką”.

- To musiało być dla cioci bardzo przykre!

- Twojej cioci się udało, ponieważ poznała Jacka For-restera i była z nim szczęśliwa. Innym się tak nie poszczęściło.

- A czy nie martwiło jej, że nie może mieć dzieci?

- Chyba nie.

- Więc co właściwie chce mi pan powiedzieć?

- Widzę, że nie wyrażam się dość jasno. Próbuję dać ci do zrozumienia, że twoja ciocia Luiza bardzo cię kochała. Chciała więc zagwarantować ci pewną przyszłość, abyś nie musiała przechodzić tego co ona. Pragnęła zapewnić ci to, czego sama nie miała w młodości: niezależność i prawo do decydowania o sobie.

- Przecież kiedy wyszła za Jacka Forrestera, było im bardzo dobrze ze sobą.
 - Bo miała szczęście, ale wolała, żebyś ty nie musiała ryzykować.
- Zacząła już pojmować, o co tu chodzi, lecz czuła się przytłoczona ciężarem odpowiedzialności, która na nią spadła.
- Czy mógłby pan powtórzyć wszystko od początku? -poprosiła. - To znaczy, jaki jest ten majątek?
 - Proszę bardzo. Zapisała ci swój dom wraz z pełnym wyposażeniem, a co najważniejsze, swoje inwestycje kapitałowe.
 - Ale co ja zrobię z jej domem?
 - Myślę, że najlepiej będzie go sprzedać, a uzyskane pieniądze zainwestować - doradził odkładając pióro i krzyżując ręce na biurku. - Rozumiem, że na razie trudno ci to pojąć. Musisz tylko zdać sobie sprawę, że twoja ciotka była osobą zamożną, a nawet bardzo zamożną.
 - To znaczy bogatą?
 - Powiedzmy, dobrze sytuowaną. Dzięki niej masz teraz zabezpieczony byt. Pewnie nie miałaś pojęcia o jej majątku, gdyż żyła wprawdzie wygodnie, ale niezbyt wystawnie.
 - Ale myśmy zawsze żyli skromnie. Rodzice ciągle mówili, że trzeba oszczędzać. Nawet mój szkolny mundurek był dla nich dużym wydatkiem.
 - Pieniądze pani Forrester nie miały nic wspólnego z pieniędzmi Dunbarów. Jack Forrester był wojskowym, ale posiadał oprócz tego duży majątek osobisty. Nie miał rodzeństwa, więc wszystko zostawił swojej żonie, a ona z kolei tobie.
 - Myśli pan, że ona wiedziała o tym majątku, kiedy za niego wychodziła?
- Adwokat parsknął śmiechem.
- Wydaje mi się, że nie miała o tym najbledszego pojęcia.

- To musiała być dla niej miła niespodzianka.
 - A dla ciebie?
 - Nie wiem. Jeszcze jakoś trudno mi sobie wyobrazić, co to wszystko znaczy. - Nagle jakby coś sobie przypomniała. - Czy tatuś już wie o tym?
 - Jeszcze nie, bo chciałem, abyś ty dowiedziała się pierwsza. Oczywiście, gdy tylko wrócę do biura, natychmiast do niego zadepeszuję. - Mówiąc rozkoszował się brzmieniem własnych słów. - Oznacza to dla ciebie zabezpieczenie materialne i niezależność na całe życie. Jeśli zechcesz, będziesz mogła iść na studia. Jeśli wyjdiesz za mąż, nie będziesz nigdy uzależniona od swego męża. Zapewnia ci to „Prawo własności kobiet zameężnych”, jeden z najlepszych aktów prawnych uchwalonych kiedykolwiek przez nasz parlament. Dzięki niemu będziesz zawsze mogła zadbać o własne interesy według swego uznania. Czy to cię przeraża?
 - Trochę.
 - Nie ma ku temu powodów. Pieniądze są dobrą rzeczą, jeśli są w dobrych rękach. Można je zmarnować lub rozsądnie spożytkować. Na razie zresztą nie musisz się o to martwić, bo dopóki nie osiągniesz pełnoletności, twój spadek pozostanie pod zarządem powierniczym. Będę jednym z członków tego zarządu, a na drugiego dokooptujemy komandora Somerville'a.
 - Wujka Boba?
 - Chyba to dobry pomysł, prawda?
 - O tak, oczywiście!
- Pan Baines najwyraźniej wywiązał się ze swoich obowiązków.
- A więc spisujemy odpowiedni akt. Tymczasem muszę załatwić ci jakieś uposażenie, bo przecież będziesz potrzebować pieniędzy na stroje, książki, prezenty dla przyjaciół - takie drobne wydatki, jakie zwykle pokrywają rodzice lub opiekunowie. Jesteś jeszcze za młoda, aby mieć książeczkę czekową, może dopiero za rok... Na razie

założymy ci książeczkę oszczędnościową na pocztę. Zajmę się tym.

- Dziękuję panu bardzo!

- Będiesz więc mogła coś sobie kupić. Przecież wszystkie kobiety lubią zakupy. Jestem pewien, że jest coś, o czym zawsze marzyłaś.

- Przez całe lata marzyłam o rowerze, ale ciocia Luiza już mi go kupiła.

- Może o czymś jeszcze?

- Zaczęłam oszczędzać na gramofon, ale nie zdążyłam jeszcze dużo odłożyć.

- Teraz możesz kupić sobie nie tylko gramofon, ale i całą górę płyt.

- Naprawdę mogę? Pozwoli mi pan?

- Przecież to bardzo skromne życzenie. A może w domu pani Forrester zostało coś, co chciałabyś mieć? Nie mówię o materiałach budowlanych czy meblach, ale na przykład coś z porcelany czy jakiś zegar?

- Nie - zdecydowała od razu. Z ruchomości posiadała tylko biurko, książki i rower, zdeponowane jeszcze w domu ciotki Luizy i chińską szkatułkę w Nancherrow. Wszystko inne uważała za zbędny balast. Przez chwilę myślała o stojaku na parasole zrobionym z nogi słonia, dywanikach z tygrysiich skór, porożach jeleni i nagrodach wygranych przez wujka Jacka na zawodach golfowych. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że wcale nie chciałaby mieć żadnej z tych rzeczy. Góra Czterech Wiatrów pełna była pamiątek po zupełnie obcym człowieku, które dla niej nic nie znaczyły. - Nie chciałabym niczego stamtąd -dodała.

- W porządku. - Zaczął zbierać przyniesione przez siebie dokumenty. - A więc to byłoby tyle na dziś. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Na razie nic nie przychodzi mi do głowy.

- Gdyby jednak coś przyszło, zadzwoń do mnie. Zresztą

jeszcze się spotkamy i wtedy będę mógł wyjaśnić ci wszystkie szczegóły.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła panna Catto w powiewającej czarnej todzie i z plikiem zeszytów pod pachą. Judyta odruchowo zerwała się na równe nogi.

- Chyba nie przeszkadzam, prawda? Mieliście dość czasu na rozmowę?

Pan Baines wstał także, górując wzrostem zarówno nad uczennicą, jak i dyrektorką.

- Mieliśmy wystarczająco dużo czasu, aby wszystko sobie wyjaśnić. Dziękujemy, że udostępniła nam pani swój gabinet. Może go pani z powrotem objąć w posiadanie.

- A nie napiłby się pan mecenas herbaty?

- Dziękuję, ale muszę już wracać do biura.

- Cóż, trudno. Judyto, zostań jeszcze na chwilę. Mam ci coś do powiedzenia.

Pan Baines poskładał papiery do teczki i zapiął jej zameczek. Wyszedł zza biurka panny Catto.

- No więc do zobaczenia, Judyto! - Uśmiechnął się do niej życzliwie.

- Do widzenia, panie mecenasie.

- Jeszcze raz dziękuję pani, panno Catto.

Judyta otworzyła mu drzwi, a gdy szybkim krokiem wyszedł, odwróciła się do dyrektorki.

- No i jak...? - zaczęła panna Catto.

- Słucham, pani dyrektor?

- No i jak się czujesz, kiedy wiesz, że studia uniwersyteckie nie będą już dla ciebie problemem finansowym? Zabezpieczenie materialne ułatwia życie, prawda?

- Nigdy nie przypuszczałam, że ciotka Luiza była taka bogata!

- Właśnie ten brak ostentacji stanowił jedną z jej największych zalet - oświadczyła panno Catto, rzucając na biurko stos zeszytów. Kiedy pochyliła się nad nimi, jej oczy znalazły się na wysokości oczu Judyty. - Wydaje

mi się, że w ten sposób ciocia chciała wyrazić ci swoje uznanie. Doceniła to, że jesteś rozsądna.

- Pan Baines powiedział, że będę mogła kupić sobie gramofon.

- Czyżbyś właśnie o tym marzyła?

- Tak, odkładałam grosz do grosza, aby móc go kupić. I jeszcze taką kolekcję płyt, jaką ma wujek Bob.

- Masz rację. Słuchanie muzyki stawiam na drugim miejscu po czytaniu książek. Ale zaraz powiem ci coś takiego, że chyba zapiszesz w swoim pamiętniku: „Dziś był mój dobry dzień” - powiedziała z uśmiechem. - Rozmawiałam przez telefon z matką. Bardzo chciałyby cię gościć u nas w Oksfordzie podczas ferii świątecznych. Dostałaś także jeszcze inne zaproszenie i sama musisz zdecydować, które wybierzesz. Dzwoniła pani Carey-Lewis, bo przeczytała w gazecie o pogrzebie twojej ciotki i bardzo się tym przejęła. Zaprasza cię do Nancherrow na całe ferie, bo ma masę miejsca, bardzo cię polubiła i wszyscy w rodzinie będą zaszczyceni, jeśli przyjmiesz ich zaproszenie. - W tym miejscu przerwała, lecz zaraz dodała z uśmiechem: - Czemu masz taką zdziwioną minę? Chyba się cieszysz?

- Tak, ale jeśli mamusia pani dyrektor...

- Oczywiście, że zawsze chętnie będziemy cię gościć w Oksfordzie, ale myślę, że w Nancherrow byłoby ci weselej. Wiem, jak lubicie się z Loveday, więc nie krępuj się, tylko wybierz to, co sama naprawdę wolisz.

Miesiąc w Nancherrow u rodziny Carey-Lewisów to prawie to samo co wakacje w raju! Z drugiej strony jednak Judyta nie chciała być posądzona o niewdzięczność lub złe maniery, zaczęła więc bąkać:

- Nnnnie... nie wiem, co mam powiedzieć...

Panna Catto zrozumiała jej rozterkę wewnętrzną i zdecydowała wziąć sprawę w swoje ręce.

- Nie wiesz, co wybrać? To ja ci pomogę. Na Wielkanoc pojedziesz do Nancherrow, a kiedy indziej spędzisz

kilka dni z nami w Oksfordzie. Życie składa się z samych kompromisów, a ja wcale ci się nie dziwię, że wolałabyś pojechać do Nancherrow. To urocze miejsce, a państwo Carey-Lewis są bardzo mili i gościnni. Judyta zdecydowała się wreszcie.

- Tak, chciałabym tam pojechać.

- Dobrze więc, powiem pani Carey-Lewis, że przyjmujemy jej zaproszenie, na razie warunkowo.

Judyta uniosła brwi.

- Dlaczego warunkowo?

- Dla przyzwoitości muszę najpierw spytać o pozwolenie twoją mamę. Wyślę do niej telegram.

- Jestem pewna, że się zgodzi.

- Też jestem tego pewna... - Widząc wyraz zafrasowania na twarzy Judyty, szybko dodała: - Co cię jeszcze gryzie?

- Chodzi o to, że wszystkie moje rzeczy zostały w domu cioci Luizy.

- Wspomniałam o tym pani Carey-Lewis. Obiecała mi, że załatwi całą sprawę. Pułkownik wyśle po twoje rzeczy ciężarówkę, która zabierze je do Nancherrow. Pani Carey-Lewis powiedziała mi, że masz już u nich swój pokój, a jeśli będzie trzeba, możesz mieć i dwa. Zapewniała mnie, że ma bardzo przestronny dom i wszystko tam się zmieści.

- Nawet moje biurko i rower?

- Także i twoje biurko, i rower.

- Ale to tak wygląda, jakbym miała wprowadzić się do nich na stałe!

- Zawsze przyda ci się jakaś baza wypadowa. Nie chodzi o to, żeby ograniczać twoją swobodę, tylko żebyś w razie czego miała dokąd wrócić.

- Trudno mi uwierzyć, że ktoś może być tak dobry.

- Czasem zdarzają się dobrzy ludzie.

- Naprawdę chciałabym kiedyś pojechać także do Oksfordu.

- Zawsze będziesz mogła. Na szczęście dzięki hojności swojej cioci kiedyś zostaniesz zamożną kobietą i to, że ktoś okaże ci szczodrość i gościnność, nie będzie oznaczało litości. Niezależność finansowa znacznie ubarwia życie, jest jak smar, który sprawia, że wszystkie koła łatwiej się obracają. Musisz tylko pamiętać, że w towarzystwie nie wypada mówić o pieniądzu. Czy się chwalisz ich posiadaniem, czy się skarżysz na ich brak - nie zapewniasz sobie tym popularności. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak, pani dyrektor.

- To jesteś mądra. Ale przede wszystkim powinnaś być wdzięczna swojej cioci za to, że przekazała ci w spadku nie tylko pieniądze, lecz i przywilej, który jest udziałem nielicznych. Jest nim prawo do bycia sobą, do wyboru drogi życiowej według własnego uznania, bez konieczności opowiadania się przed kimkolwiek. Jesteś jeszcze za młoda, żeby to docenić, ale kiedyś przyznasz mi rację. Teraz muszę sprawdzić klasówki z historii, więc możesz już iść. - Spojrzała na zegarek. - Piętnaście po trzeciej. Przerwa się skończyła, a zajęcia sportowe jeszcze się nie zaczęły, więc masz trochę czasu. Możesz na przykład iść do biblioteki poczytać...

Judycie niezbyt spodobał się ten pomysł. Myśl o przebywaniu w tym ciasnym i dusznym pomieszczeniu przyprawiała ją o atak klaustrofobii. Dusiłaby się w tym zaduchu starych książek i ponurej ciszy, gdyż w bibliotece nie wolno było rozmawiać. Zebrała się więc na odwagę i zaczęła:

- Pani dyrektor...

- Słucham?

- Czy zamiast do biblioteki nie mogłabym pójść w takie miejsce, gdzie byłabym trochę sama? Na przykład nad morze, aby móc to wszystko dobrze przemyśleć? Tak na jakąś godzinę, do podwieczorku?

Panna Catto zawsze była opanowana, lecz to niesłychane żądanie wywołało jej zdecydowany sprzeciw.

- Nad morze? Sama? Ależ musiałabyś najpierw przejść przez całe miasto!

- Wiem, że nam nie wolno, ale czy choć ten jeden raz pani dyrektor nie mogłaby zrobić wyjątku?

Przyrzekam, że po drodze do nikogo się nie odezwę ani nie będę kupować sobie żadnych słodyczy. Po prostu chciałabym mieć trochę... - miała ochotę powiedzieć „spokoju”, lecz uznała, że brzmiałoby to niegrzecznie, więc rzekła: -...czasu dla siebie. Proszę! - dodała, a panna Catto wyczuła w tym wołanie z głębi serca.

Wciąż jednak się wahała. Byłoby to przecież ciężkie wykroczenie przeciwko regulaminowi szkoły.

Gdyby ktoś zobaczył jej uczennicę samą w mieście, ludzie zaczęliby gadać...

- Proszę... - nie ustawała Judyta.

W końcu panna Catto, choć z oporami, uległa.

- No dobrze, ale tylko ten jeden raz, w drodze wyjątku, i nigdy więcej. Zgadzam się dlatego, że rzeczywiście potrzebujesz czasu, aby sobie to wszystko jakoś poukładać. Ale nie mów nikomu, nawet Loveday, że ci na to pozwoliłam. I pamiętaj, żebyś nie spóźniła się na podwieczorek i nie wstępowała na żadne lody ani nic podobnego.

- Przyrzekam.

- No to leć, ale musiałam chyba upaść na głowę - westchnęła panna Catto.

- Ależ skąd! - zapewniła ją Judyta i szybko uciekła, aby dyrektorka nie zdążyła zmienić zdania.

Judyta wyszła za bramę szkoły w ponure popołudnie, kiedy słońce tylko lekko przeświecało zza chmur. Wiatru nie było, tylko od południa unosiła się lekka mgiełka, za słaba, aby poruszyć gałązki drzew. Większość miała już pączki, tylko tu i ówdzie widać było nagie badyle. Panowała taka cisza, że nawet szczekanie psa czy zapusz-

czenie silnika samochodu odbijało się echem. Miasteczko wyglądało jak wymarłe. Latem, kiedy szkoły pustoszały, na ulice wylegały roje rozwrzeszczanych dzieci. Natomiast o tej porze tylko nieliczni przechodnie czekali na autobusy, robili zakupy lub oglądali wystawy u rzeźnika, zastanawiając się, jakie mięso kupić na kolację. Na kamiennej ławeczce przed bankiem siedziało dwóch staruszków opartych na laskach, a kiedy zegar na gmachu wybił połówkę godziny - w powietrze wzniosła się chmara spłoszonych gołębi.

Gołębie przypomniały Judycie o Nancherrow. Najmilsza była świadomość, że znów tam pojedzie i spędzi całe ferie wielkanocne. I to nie dlatego, że Loveday uprosiła o to swoich rodziców, lecz oni sami, pułkownikostwo Carey-Lewisowie, chcieli gościć ją u siebie. Wróci do różowej sypialni, którą Diana odstąpiła jej już na zawsze, z oknem wychodzącym na gołębnik i z czekającą na nią chińską szkatułką. A kiedy przebierze się w suknie Atheny - od razu stanie się innym człowiekiem.

Najciekawsze było to, że już teraz czuła się kimś innym niż dotąd. Wszystko wokoło też się zmieniło, a sprawiał to fakt, że była sama na ulicach miasta. Zarówno te ulice, jak i znajome budynki widziała teraz w zupełnie innym świetle, jakby je oglądała po raz pierwszy w życiu. W którymś oknie wystawowym ujrzała swoje odbicie - uczennicy w butelkowitzelonym płaszczyku i nietwarzowym kapeluszu, symbolizującym Szkołę Świętej Urszuli. Teraz jednak czuła, że pod tym mundurkiem jest już dorosłą osobą, która czasem zakłada kaszmirowe swetry, ale kiedyś zabłyśnie jak motyl wyfruwający z poczwarki.

Judyta przeszła wzdłuż Chapel Street, obok sklepu z antykami, hotelu i restauracji „Pod Mitrą”. Minęła sklep z dywanami i wykładzinami, przed którym na chodniku stały bele linoleum. Handlarz starzyzną siedział w drzwiach swojego sklepiku, pykając fajeczkę i czekając na klientów, którzy dziś najwyraźniej zawiedli. Na widok

Judyty wyjął fajkę z ust i powiedział: „Szanowanko!” Chętnie zatrzymałaby się i porozmawiała z nim, ale pamiętała o obietnicy danej panie Catto.

Chapel Street kończyła się brukowanym zjazdem prowadzącym do portu. Trwał właśnie przyptyw i na jego fali unosiły się rybackie łódki, których maszty znajdowały się na poziomie ulicy. Pachniało stamtąd rybami, solą morską i wodorostami, a w dokach rybacy szykowali się już do nocnego połowu, zakładając przynęty na haczyki przy sieci.

Judyta przyglądała się im przez chwilę. Myśląc o ciotce Luizie, czuła trochę wdzięczności, a trochę smutku, lecz żadne z tych uczuć nie było zbyt silne. Myślała też nad tym, co to znaczy być bogatym. No, może nie „bogatym”, bo według pana Bainesa to słowo brzmiało wulgarnie, tylko raczej „bardzo zamożnym”. A więc... jest bardzo zamożna. Gdyby chciała, mogłaby sobie kupić którąś z tych łodzi rybackich. Tylko po co jej łódź albo na przykład koń? Właściwie co najbardziej chciałaby mieć? Wiedziała co. Normalną rodzinę i dom, do którego zawsze można wrócić. Miejsce, w którym byłaby u siebie, a nie zawsze u kogoś - czy to u Carey-Lewisów, czy u cioci Bidy, panny Catto czy nawet życzliwej rodziny Warrenów. Tylko że czegoś takiego nie kupi się za żadne pieniądze, toteż zaczęła myśleć o innych kosztownych zakupach.

Mogłaby na przykład kupić sobie samochód i pewnie zrobi to, gdy będzie starsza. Kupi sobie też dom, ale inny niż Góra Czterech Wiatrów, której nigdy nie lubiła. Marzył jej się kamienny domek z ogródkiem, w którym będzie rosła palma, z oknami wychodzącymi na morze i ciągiem zewnętrznych schodków, obstawionych pelargoniami w glinianych donicach. Trzymałaby tam koty i psa, a może dwa psy. A w kuchni byłby taki piecyk jak u pana Willisa...

To wszystko jednak może zostać zrealizowane dopiero w przyszłości, a co ma robić teraz? Na pierwszy plan wysuwało się kupno gramofonu, ale na pewno miała i inne marzenia. Na przykład pójdzie do fryzjera i każe sobie zrobić taką fryzurę, jaką ma Ginger Rogers. A zamiast brązowych fildekosowych pończoch, które nosi do szkolnego mundurka, kupi sobie zielone podkolanówki. Ktorego dnia pójdzie do Medwaya i sama je kupi, za własne pieniądze!

Minęła port i brzegiem morza, obok basenu pływackiego, przeszła na deptak. Znajdowały się tam osłonięte przed wiatrem punkty widokowe, gdzie spacerowicze mogli siadać na ławeczkach i karmić mewy. Po przeciwnej stronie bulwaru wystawały białe pawilony hoteli z oknami zwróconymi ku morzu. Oparła się o rzeźbioną żelazną balustradę i spoglądała w dół na kamienistą plażę i srebrzystą taflę zatoki. Drobniutkie fale biegły z szumem po kamykach, przełamywały się i wracały z łoskotem. Ta plaża wyglądała raczej monotennie. Nie miała nawet cienia tej malowniczości, co plaża w Penmarron, ani romantycznego piękna zatoczki w Nancherrow. Morze jednak było wszędzie takie samo; jego stałość budziła zaufanie. Dodało to Judycie siły, aby spróbować jakoś uporządkować nawał wydarzeń dnia dzisiejszego.

„Prawo do bycia sobą” - powiedziała panna Catto, absolwentka Cambridge, magister nauk humanistycznych, kobieta wyzwolona i niezależna. Może gdyby wstąpiła na uniwersytet, ukończyłaby studia z pierwszą lokatą albo nawet z wyróżnieniem, a potem zostałaby taką samą dyrektorką szkoły jak panna Catto? Tylko że wcale nie chciała być dyrektorką szkoły. Przynajmniej nie bardziej niż wyjść za męża.

„Jeśli wyjdiesz za męża, nie będziesz uzależniona od męża” - powiedział pan Baines. Na pewno znał niejednego taki przypadek. Zresztą Judyta na razie nie planowała zamążpójścia. Była przekonania, że ma ono coś wspólnego z tym, co ludzie robią ze sobą w małżeńskim łóżu, a to

z kolei kojarzyło się jej ze wścibskimi łapskami Billy'ego Fawcetta. Pamięć tych przeżyć była wystarczająco żywa, aby odechciało się jej jakichkolwiek fizycznych kontaktów z mężczyzną. Oczywiście mężczyzna, za którego by wyszła, musiałby być wyjątkowy, ale i tak, ponieważ nie miała jeszcze pojęcia o tych rzeczach, raczej nie kojarzyło się jej to z przyjemnością.

Może w ogóle nie wyjdzie za mąż? Na razie jednak było za wcześnie, aby się tym martwić. Miała wystarczająco dużo problemów dotyczących najbliższej przyszłości. Ferie wielkanocne spędzi w Nancherrow, potem wróci do szkoły. Będzie się uczyć jeszcze przez cztery lata, a potem, przy dobrych układach, pojedzie do Singapuru. Znowu rodzina się połączy pod słońcem Dalekiego Wschodu i wygwieżdżonym niebem tropikalnej nocy. Jeszcze później pewnie wróci do Anglii i wstąpi na studia w Oksfordzie lub Cambridge. Rozbudzona wyobraźnia podsuwała różne obrazy z życia akademickiego... Skończyło się tym, że zaczęła ziewać.

Była po prostu zmęczona. Nagły skok w dorosłość okazał się wyczerpujący. Zapragnęła nagle znaleźć się w towarzystwie Loveday, aby wraz z nią szeptać, chichotać i snuć plany dotyczące wspólnych ferii w Nancherrow. Była też głodna, więc odetchnęła z ulgą, gdy zegar na gmachu banku wybił czwartą. Oznaczało to, że jeśli chce zdążyć na podwieczorek, musi już wracać. Do herbaty będzie chleb z masłem, przy odrobinie szczęścia może dżem i zakalcowate ciasto. Nabrała jednak wielkiej ochoty, aby wypić herbatę z Loveday. Odwróciła się więc tyłem do morza i szybkim krokiem skierowała się w stronę szkoły.

Diana Carey-Lewis nade wszystko nie znosiła pisania listów. Nawet skreślenie kilku słów podziękowania za gościnę było dla niej ciężkim obowiązkiem, który odkładała w nieskończoność. Większość swoich spraw załatwiała

przez telefon, który uważała za cudowny wynalazek. Tym razem jednak Edgar uparł się, że musi ona osobiście napisać list do Molly Dunbar, matki Judyty.

- Niby dlaczego mam do niej pisać? - usiłowała się wymówić.

- Aby złożyć jej kondolencje z powodu śmierci pani Forrester. Wypada też zapewnić ją, że zaopiekujemy się jej córką.

- Po co moje zapewnienia, kiedy panna Catto sama najlepiej to załatwi?

- Nie o to chodzi, kochanie. Ważne jest, aby to wyszło od ciebie. Na pewno pani Dunbar oczekuje, że nawiądziesz z nią osobisty kontakt, i od ciebie zależy, jak ta znajomość się dalej rozwinie.

- A czy nie mogłabym do niej zadzwonić?

- Stąd do Singapuru? Niemożliwość fizyczna!

- Może wystarczyłoby wysłać telegram? Na przykład coś w tym rodzaju:

Pani córeczka dobrze się czuje, ptasiego mleczka jej nie brakuje! Edgarowi jednak nie wydawało się to wcale śmieszne.

- Nie bądź niepoważna, Diano! - przywołał ją do porządku.

- No więc dlaczego nie możesz sam do niej napisać? Wiesz, że nie znoszę pisać listów!

- Po prostu musisz, i to zaraz, żebyśmy już mieli to z głowy. I staraj się, żeby ten list wyszedł serdeczny, uprzejmy i taktowny.

Diana nie miała już innego wyjścia, jak tylko usiąść przy biurku i próbować przebrnąć przez ten przykry obowiązek. Niechętnie sięgnęła po swój wytłaczany w niebieskie wzory papier listowy i wieczne pióro z szerokim noskiem. Kiedy już raz wzięła się do pisania, siłą rozpędu wypełniała kartkę po kartce szerokim, lecz niewyraźnym pismem. Raz rozpoczęte działanie należało przecież doprowadzić do końca.

Nancherrow k. Rosemullion, Kornwalia 10 kwietnia 1936

Droga Pani Dunbar!

Z przykrością przeczytałam w gazecie o śmierci Pani szwagierki, Luizy Forrester. Nie znalazłam Zmarłej osobiście, ale mogę sobie wyobrazić, jak ciężko dotknęła Panią jej strata. Trudno mi pisać do Pani o takich sprawach, gdyż nie byliśmy sobie formalnie przedstawione, niemniej jednak proszę przyjąć od mojego męża i ode mnie najszczerze wyrazy współczucia.

Miałyśmy już raz okazję się spotkać. Razem kupowałyśmy u Medwaya w Penzance mundurki szkolne dla naszych córek. Pamiętam dobrze ten dzień i liczę, że dzięki temu nie jestem już dla Pani całkiem obcą osobą.

Ośmieliłam się zaproponować Pani córce, Judycie, spędzenie ferii wielkanocnych w naszym domu. Raz już przebywała u nas podczas weekendu i dała się poznać jako przemiły gość i urocza towarzysząca zabaw naszej niesfornej Loveday. Mamy duży dom, w którym jest wiele pokojów gościnnych. Judyta już się zadomowiła w takiej przytulnej różowej sypialni, którą zdecydowaliśmy się jej oddać. Mój mąż Edgar organizuje transport jej rzeczy osobistych z Góry Czterech Wiatrów. Wysła pracownika ciężarówką, więc myślę, że służące pani Forrester, które wciąż tam mieszkają, pomogą mu spakować wszystko, co należy do Judyty.

Zareczam Pani, że Judyta będzie u nas otoczona czułą i troskliwą opieką. Nie mamy też zamiaru być wobec niej zaborczy ani utrudniać jej kontaktów z krewnymi i znajomymi. Wiemy, że ma ciotkę w Plymouth i dziadków w Devon, których przypuszczalnie zechce odwiedzić. Ma także przyjaciółkę jeszcze ze szkoły w Porthkerris, a panna Catto chciałaby zaprosić ją do siebie do Oksfordu. Przy tym wszystkim jednak Judyta powinna mieć jakieś zabezpieczenie i zrobimy wszystko, aby jej to zapewnić.

Proszę też nie myśleć, że jej pobyt sprawi nam jakikolwiek kłopot. Zatrudniamy liczną służbę, w tym także dawną nianię Loveday, Mary Millyway, która będzie opiekowała się dziewczętami. Nawet gdybym wyjechała do Londynu, gdzie często bywam, nasza niezastąpiona Mary zajmie się nimi lepiej, niż ja potrafiłabym kiedykolwiek.

Wspomnienie o Londynie spowodowało, że Diana nie mogła już się skupić. Wyjrzała przez okno, za którym było widać ogród z rozkwitającymi żonkilami, pierwszą wiosenną zieleń na drzewach i przymgloną taflę morza. Przed samymi świętami wielkanocnymi już nie wyrwie się z domu, ale od tak dawna nie była w Londynie... Nagle gorąco zapragnęła tam pojechać!

Londyn kojarzył się jej z rozrywką, światowym życiem, starymi znajomymi, zakupami, bywaniem w teatrach, galeriach i na koncertach... Kolacyjki w Berkeley lub u Ritza, obiady „Pod Białą Różą” z cudzym mężem i dansingi do białego rana w nocnych lokalach „Mirabel”, „Bagatelle” czy „Cztery Setki”...

Wprawdzie jej dom znajdował się w Kornwalii, ale Nancherrow było przecież własnością Edgara. W Kornwalii miała rodzinę, dzieci i służbę, przyjmowała gości, ale mieszkanie w Londynie należało tylko do niej. Diana była jedyną córką starszego, lecz bardzo zamożnego małżeństwa. Po śmierci ojca majątek w Gloucestershire i kamienica na Berkeley Square wraz w tytułem lorda Aw-liscombe przeszły na dalekiego krewnego w linii męskiej. Kiedy jednak siedemnastoletnia Diana wychodziła za Edgara Carey-Lewisa - w jej posagu znalazł się także domek w zaułku przy Cadogan Square.

- To co, że będziesz mieszkać w Kornwalii? - przekonywał ją nieraz ojciec. - Inwestycje budowlane są najbardziej opłacalne. Zresztą dobrze jest mieć jakiś punkt zaczepienia.

Diana nie kwestionowała słuszności tego rozumowania.

Nigdy też nie mogła się dość nachwalić zdolności przewidywania swego ojca. Bez tego małego domku chyba nie wytrzymałaby monotonii codziennego życia. Tylko tam czuła się naprawdę sobą. Przypomniała sobie fragment zmysłowej piosenki Noela Cowarda, w takt której tańczyła ostatnio z Tommym Mortimerem:

Im mocniej chłopca pokochasz

I serce swoje mu dasz -

Tym głośniej potem zaszlochasz...

Westchnęła i przyrzekła sobie, że po świętach na pewno zabierze swego pekińczyka i pojedzie samochodem do Londynu. Miała już o czym myśleć i na co czekać, a czym bez tego byłoby życie? Podniesiona na duchu tą wizją ponownie wzięła do ręki pióro, aby ostatecznie zakończyć list do Molly Dunbar.

Proszę więc o nic się nie martwić - jestem pewna, że Judycie będzie z nami dobrze. Podczas świąt zawsze przewija się przez nasz dom wielu krewnych i znajomych, więc nie zabraknie jej rozrywki.

Gdyby natomiast zachorowała lub wpadła w jakieś kłopoty - natychmiast dam Pani znać.

Mam nadzieję, że zaaklimatyzowała się już Pani w swoim nowym domu w Singapurze. Przynajmniej jest tam ciepło przez cały rok!

Z serdecznymi pozdrowieniami -

Diana Carey-Lewis

Skreśliła podpis pod ostatnimi słowami listu, jeszcze raz przebiegła wzrokiem zapisane kartki, złożyła je w kostkę i wsadziła do koperty. Zakleiła ją, przyklepała pięścią i napisała adres, który uprzednio panna Catto przedyskutowała jej przez telefon.

No i po wszystkim! Zadośćuczyniła przykreemu obowiązkowi i Edgar na pewno będzie zadowolony.

Wstała zza biurka, a wraz z nią przeciągnął się i podniósł także

Pekoe. Razem przeszli do hallu, gdzie na okrągłym stole pośrodku stała srebrna taca. Na niej kładziono zwykle przychodzącą i wychodzącą korespondencję, więc rzuciła tam swój list. Prędzej czy później Nettlebed lub Edgar zauważą go, przyklepią znaczek i wyślą. Znów zadźwięczała w jej uszach zwrotka piosenki „Im mocniej chłopca pokochasz...”

Obowiązek spełniony, a za miesiąc o tej porze będzie już w drodze do Londynu. Jakby kamień spadł jej z serca - porwała Pekoe na ręce i pocałowała w jedwabisty łepek. „Pieseczek też pojedzie ze swoją paniusią” - obiecała mu i wyszła razem z nim na dwór w chłodny i wilgotny kwietniowy poranek.

Szkoła Świętej Urszuli 11 kwietnia 1936, sobota

Kochani Rodzice!

Bardzo Wam dziękuję, że w telegramie do panny Catto wyraziliście zgodę, abym spędziła święta u Carey-Lewisów. Panna Catto była tak miła, że chciała mnie zaprosić do siebie do Oksfordu, ale sama przelożyła to na inny termin, co oznacza, że wcale się nie obraziła. Właściwie to ona zadecydowała za mnie.

Dzisiaj jest pierwszy dzień ferii, a ja jeszcze tu jestem, bo dopiero o jedenastej ma po mnie przyjechać ktoś z Nan-cherrow. Mój bagaż już czeka na dworze — całe szczęście, że nie pada. Szkoła, w której nie ma dziewcząt, tylko kilkoro pracowników, jest czymś zupełnie innym niż normalnie. W sali rekreacyjnej, w której piszę ten list, nawet pachnie zupełnie inaczej niż zwykle — nie potem i kredą, tylko dymem z fajki konserwatora. To taki pan, który przychodzi czyścić klamki i uszczelniać okna, a przy tym cały dzień kopci śmierdzący tytoń.

Nie wyjechałam wczoraj rano z Loveday, bo pan Baines zabrał mnie do Truro po zakupy. Powiedział, że zawia-

domil już Was o spadku, który zapisała mi ciocia Luiza. Wciąż trudno mi w to uwierzyć i trzeba będzie czasu, abym przyzwyczaiła się do tej myśli. Trochę mi głupio wobec Jess, ale ona na razie jest za mała, żeby czuć się pokrzywdzona z tego powodu.

Nigdy przedtem nie byłam w Truro, a jest to piękne i stare miasto, z katedrą i wąskimi uliczkami, ujściem rzeki z zacumowanymi łódkami i pałacem biskupim. Kupiliśmy gramofon i trzy płyty, zjedliśmy podwieczorek „Pod Czerwonym Lwem”, a potem pan Baines założył mi książeczkę oszczędnościową, na którą będzie wpłacał po pięć funtów miesięcznie.

Wydaje mi się to strasznie dużą sumą, ale nie mam zamiaru wydawać tych pieniędzy od razu, tylko odkładać, bo pan Baines mi wytłumaczył, że wtedy będę miała z tego procenty! Jest bardzo miły i wcale się go nie krepuję. Po powrocie z Truro zaprosił mnie do siebie i przedstawił swojej rodzinie. Ma kupę bardzo hałaśliwych dzieci, a najmłodsze to zupełny dzidzius, który wypluwał wszystko, co zjadł. Jess nigdy nie była taka niegrzeczna!

Pan Baines uważa, że Górę Czterech Wiatrów należy sprzedać. Znalazł już nową posadę dla Hildy i Edny...

- Judyto! - przerwała jej przełożona swym zwykłym, rozkazującym tonem. - Cóż ty tu jeszcze robisz? Szukamy cię wszędzie! Pospiesz się, bo samochód z Nancherrow już czeka!

Judyta gwałtownie poderwała się z miejsca, próbując równocześnie pozbiierać kartki listu i zakręcić wieczne pióro.

- Przepraszam, chciałam jeszcze tylko napisać list do mamy - usprawiedliwiała się w biegu.

- Też nie miałaś kiedy! Odłóż to już, bo nie ma czasu kończyć. Gdzie twój płaszcz, kapelusz i inne rzeczy?

Jej niecierpliwość udzieliła się Judycie, która wrzuciła nie dokończony list do teczki, lecz ledwo zdążyła ją za-

mknąć, ta już znalazła się w rękach przełożonej. Zanim Judyta nałożyła płaszcz i kapelusz - dostojna dama, szumiąc nakrochmalonym fartuchem, sunęła korytarzem. Aby dotrzymać jej kroku, Judyta musiała biec zarówno po schodach, jak też przez jadalnię i hall, aż wyszły na dwór.

Co za piękny dzień! Niebo było błękitne, a powietrze świeże po nocnym deszczu. Bagaże Judyty stały już przed szkołą. Czekał też samochód - nie daimler ani bentley, tylko kabriolet myśliwski starego typu, z karoserią wykładaną drewnianymi płytami i wysokim zawieszeniem jak w autobusie. Przy wozie stało dwóch mężczyzn opartych o maskę i pogrążonych w rozmowie.

Jednym z nich był Palmer, ogrodnik z Nancherrow, w zwykłych roboczych łachach, do których z tej okazji dodał zmietoszoną szoferską czapkę. Drugim był nie znany Judycie młody blondyn w powypychanych sztruksowych spodniach i białym swetrze z zapięciem polo. Nieznany tylko z początku, gdy bowiem obrócił się ku Judycie i zaczął iść w jej kierunku, zauważyła jego podobieństwo do licznych zdjęć eksponowanych w Nancherrow. To musiał być Edward Carey-Lewis, brat Loveday.

- Cześć! - powiedział i wyciągnął rękę. - To ty jesteś Judyta? Poznajmy się. Jestem Edward.

Miał oczy niebieskie jak matka, a do tego wydatne rysy, wzrost i szerokie bary dorosłego mężczyzny, kontrastujące z chłopcą twarzą, opaloną, lecz przy tym świeżą cerą i wesołym błyskiem białych zębów. Mimo niedbałego stroju i schodzonych butów było w nim coś, co kojarzyło się z czystością świeżo upranej koszuli rozwieszanej na słońcu. Judyta nie spodziewała się ujrzeć tak przystojnego młodego mężczyzny, toteż żałowała, że nie miała czasu uprzednio przyczesać włosów, tylko w pośpiechu założyła ten okropny szkolny kapelusz.

Na razie jednak tylko uprzejmie wyciągnęła rękę na powitanie i też powiedziała: „Cześć”.

- Już myśleliśmy, że zapomniałaś wyjść do nas. Co

prawda przyjechaliśmy trochę wcześniej, ale mam w Penzance kilka spraw do załatwienia. Wszystko załadowane? Jesteś już gotowa?

- Oczywiście. Do widzenia, pani przełożono.

- Do widzenia, kochanie! - Surowa dama patrzyła znad okularów z błyskiem w oku. Świadomość, że ociera się o prawdziwe wyższe sfery, przyprawiała ją o dreszczyk emocji. - I wesołych świąt!

- Dziękuję, nawzajem.

- A ja dziękuję, że pani ją odszukała - dodał Edward, odbierając z rąk przełożonej teczkę i popychając Judytę lekko naprzód. W ostatniej chwili dorzucił jeszcze: - Proszę łaskawie przekazać pannie Catto, że dobrze zaopiekujemy się Judytą.

Przełożona nie wróciła od razu do budynku szkoły, tylko pozostała jeszcze w drzwiach, chociaż wiatr szarpał jej fartuch i kwef. Odprowadzała ich wzrokiem, jak ładowali się do samochodu, zamykali drzwiczki i odjeżdżali, a nawet gdy już jechali aleją wysadzaną różanecznikami.

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była taka miła - zauważyła Judyta rozsiadając się wygodniej i zdejmując kapelusz.

- Biedna, stara krowa - przygadał Edward. - Pewnie przez cały dzień nic tak ciekawego już się jej nie zdarzy.

Odgarnął kosmyk włosów, który spadł mu na czoło.

- Przepraszam, że to my przyjechaliśmy po ciebie, ale tato miał jakieś zebranie, a mama odwiozła Loveday na zgrupowanie klubu jeździeckiego. Masę czasu straciliśmy ładując tego zakichanego kuca. Na szczęście Walter Mudge pojechał z nimi, więc mama nie będzie musiała sama się męczyć.

- Gdzie to się odbywa?

- Nie wiem dokładnie. Gdzieś aż za Falmouth. Ty też lubisz konie?

- Niespecjalnie.

- I chwała Bogu, wystarczy jedna amazonka w rodzinie. Ja osobiście nie chcę mieć nic wspólnego z czymś, co od przodu może ugryźć, od tyłu kopnąć, a w środku jest cholernie niewygodne. Dlatego też mogliśmy z Palmerem przyjechać po ciebie. Znasz Palmera?
- Widziałam go w Nancherrow, ale nikt nas sobie nie przedstawił.
- Dobrze jest, ja już wiem wszystko o panience - rzucił Palmer przez ramię. - Panienka trochę się u nas zatrzyma?
- Tak, na ferie świąteczne.
- To i dobrze, zawsze mówiłem, że trzeba trzymać się kupy.
- Jeszcze miesiąc - dodał Edward - a będę mógł oficjalnie wyjechać sam po ciebie. Na razie nie wolno mi prowadzić samochodu po głównych szosach, bo nie mam jeszcze siedemnastu lat. Nic na to nie poradzę, trzeba przestrzegać prawa, zwłaszcza jeśli się ma tatusia ławnika. Dlatego musiałem oderwać Palmera od jego grządek i ciągnąć ze sobą.
- Jeszcze nigdy nie widziałam tego wozu.
- Nie miałaś sposobności, bo używamy go rzadko, tylko na specjalne okazje. Tatuś nie chce się go pozbyć, chociaż ma już ze trzydzieści lat, bo przydaje się na polowaniach, do przywożenia gości ze stacji albo większych zakupów. A propos, mam nadzieję, iż nie będziesz miała nic przeciwko temu, że nie pojedziemy prosto do domu? Chciałem przy okazji wstąpić do Medwaya i wziąć miarę na nowy garnitur. Nie pogniewasz się, jeśli będziesz musiała trochę się tam pokręcić?
- Ależ skąd! - odpowiedziała głośno, a w duchu ucieszyła się, że będzie mogła dłużej przebywać w towarzystwie tego przystojnego młodego człowieka.
- To nie potrwa długo. Tymczasem będziesz mogła porobić jakieś zakupy, a tato dał mi piątkę i kazał zabrać cię potem na lunch. Radził, żeby pójść „Pod Mitrę”, ale lam jest zawsze straszny zaduch, a ta ich odwieczna pieczeń wołowa już mi się znudziła. Może pojedziemy gdzie

indziej? - Pochylił się do przodu i zapytał kierowcy: -Palmer, jak się nazywa ten bar na Lower Lane?

- Myślę, że nie będziemy mogli zabrać tam panienki, bo jest niepełnoletnia.

- Nie możemy udawać, że jest starsza?

- W tym mundurku szkolnym to raczej nie wyjdzie. Edward ocenił Judytę wzrokiem - miała nadzieję, że

się przy tym nie zarumieniła - ale powiedział tylko: „Rzeczywiście, chyba nie”, co ją nieco onieśmieliło, gdyż można było pomyśleć, że badanie wypadło niepomyślnie.

- Ależ możesz iść do baru - pospieszyła z odpowiedzią. - Ja mogę zjeść kanapkę w samochodzie.

Rozśmieszyło to Edwarda.

- No proszę, jaka skromna dziewczynka! Na pewno nie zrobisz nic takiego, tylko znajdziemy jakieś urocze miejsce gdzie indziej niż „Pod Mitrą”.

Judyta nie ustosunkowała się do tego pomysłu, gdyż dla niej restauracja „Pod Mitrą” była szczytem luksusu. Okazało się jednak, że jest tam nie tylko nudno, ale i duszno, a Edward miał w zanadrzu lepsze propozycje. Modliła się jedynie, aby w tym lokalu zachować się jak należy, nie upuścić serwetki na podłogę ani podczas posiłku nie zechcieć nagle wyjść do toalety. Zjedzenie lunchu z Edwardem Carey-Lewisem było czymś zupełnie innym niż taki sam lunch w towarzystwie pana Bainesa. Wszystko to razem sprawiało, że czuła dreszczyk emocji.

Na razie jednak znajdowali się w centrum miasta i posuwali się ulicą A Werton w stronę „zielonego rynku”

- Wystarczy, Palmer, jeśli wysadzisz nas koło banku i za dwie godziny podjedziesz po nas w to samo miejsce.

- To mi nawet pasuje, bo muszę kupić parę rzeczy dla pana pułkownika.

- I sam też idź coś zjeść.

- Niech się panicz nie martwi. - Palmer uśmiechnął się.

- Kto jak kto, ale ty na pewno nie jesteś za młody, aby pójść do baru.

- W czasie pracy nigdy nie piję.
- Jestem skłonny w to uwierzyć, ale wielu innych by nie uwierzyło. Dobra, Palmer, tu wysiadziemy. Wychylił się przed Judytę, aby otworzyć jej drzwi. Przez chwilę się wahała, czy nałożyć kapelusz. Noszenie go do mundurka szkolnego było nienaruszalnym przepisem regulaminu i w czasie trwania roku szkolnego nie ośmieliłaby się wyjść na dwór z gołą głową. Teraz jednak miała ferie i nabrała jakby więcej odwagi. Któż ją tu zresztą może zobaczyć i komu miałoby na tym zależeć? Zostawiła więc znienawidzony kapelusz na podłodze samochodu i wysiadła, a za nią Edward, który zatrzasnął drzwiczki. Imponujący pojazd odjechał, a Judyta z Edwardem przeszli piechotą do sklepu Medwaya. Już drugi raz była w tym miejscu i na pozór nic się tam nie zmieniło - to samo ponure wnętrze, wypolerowane lady i subiekci w wysokich kołnierzykach. To samo, lecz nie takie samo. Poprzednim razem była tu bowiem z matką, kiedy obie przygotowywały się już do rozłąki. Wtedy też po raz pierwszy w życiu zobaczyła Dianę i Loveday Carey-Lewis, nie wiedząc nawet, kim one są, lecz skrycie podziwiając urodę i wdzięk Diany. Oczywiście nie miała wtedy bladego pojęcia, że kiedykolwiek znajdzie się tak blisko tych dwóch barwnych motyli. Tymczasem kilka miesięcy później przestępowała próg tego sklepu już jako członek klanu Carey-Lewisów, u boku przystojnego brata Loveday. Nie było to jednak tylko jej zasługą. To, że tak, a nie inaczej potoczyły się jej losy, było w głównej mierze wynikiem zbiegu okoliczności. Jeszcze niedawno wydawało się, że nie czeka jej nic innego poza rozłąką z rodziną, czterema latami nauki u Świętej Urszuli i wakacjami u ciotki Luizy. Zakrawało to na paradoks, że dopiero jej śmierć otworzyła przed Judytą bramy Nancherrow i ukazała zupełnie nowe perspektywy.
- Dzień dobry, panie Edwardzie.

Krawiec, który wynurzył się z zaplecza sklepu, przerwał jej rozważania. Miał już przygotowany centymetr, a jego łysina błyszczała jak wypolerowana.

- Dzień dobry, panie Tuckett. - Wymienili z Edwardem formalny uścisk dłoni. Pan Tuckett zatrzymał wzrok na Judycie i uniósł brwi ze zdziwienia. - Chyba to nie panna Loveday?

- Nie, to jej koleżanka Judyta Dunbar, która przyjechała do nas na święta.

- Tak mi się też wydawało, że to nie może być panna Loveday. Pan pułkownik dziś do mnie dzwonił i uprzedził, że pan tu wpadnie. To ma być sportowe ubranie, prawda?

- Tak, bo wyrosłem już ze wszystkiego.

Krawiec otaksował Edwarda wzrokiem i koło ust przemknął mu cień uśmiechu.

- Nawet widać. Chyba dobrze was karmią w tej szkole. Życzy pan sobie najpierw wybrać materiał czy weźmiemy miarę?

- Lepiej najpierw weźmy miarę, żebyśmy to mieli już za sobą.

- Pan łaskawie pozwoli tędy...

- Poczekasz tu, Judyto?

- Chętnie.

- To znajdź sobie jakieś krzesło.

Kiedy jednak obaj mężczyźni zniknęli w sanktuarium pana Tucketta za czarną kotarą, Judyta udała się piętro wyżej, gdzie sprzedawano ekwipunek szkolny. Kupiła tam sobie trzy pary podkolanówek, aby nigdy już nie musieć nosić wstrętnych brązowych pończoch. Ta skromna manifestacja niezależności poprawiła znacznie jej samopoczucie, toteż w różowym humorze zbiegła na niższe piętro, przysunęła sobie krzesło i usiadła, aby poczekać na Edwarda.

Potrwało to dosyć długo, ale w końcu Edward wraz z krawcem wynurzyli się zza zasłony. Edward wciągał przez głowę sweter.

- Przepraszam, że daliśmy ci czekać - sumitował się przed Judytą.

- To nic takiego.

- Musieliśmy na nowo zdjąć wszystkie pomiary - dodał pan Tuckett. - Pan Edward ma już figurę dorosłego mężczyzny. To ubranie będzie mógł ponosić dłużej.

Wybór odpowiedniego materiału zajął chyba więcej czasu, gdyż Edward, o dziwo, okazał się bardzo wybredny. Na ladzie spoczęła cała góra książek z próbkami tkanin, nad którymi zażarcie dyskutowali. Zaletom tweedu z okręgu Harris przeciwstawiano tweed z Yorkshire i rozważano, czy lepszy jest deseń w kurzą stopkę czy w jodelkę, czy może materiał całkiem gładki. Po długim przewracaniu kartek z próbkami Edward w końcu wybrał szarozielony tweed z czerwoną i brązową nitką.

Judyta pochwaliła jego wybór.

- To bardzo niezobowiązujący deseń - przyznała. - Na polowaniu nie będziesz rzucał się w oczy, ale równie dobrze możesz w tym pójść na lunch lub nawet do kościoła.

- Słusznie, panienko! - rozpromienił się pan Tuckett, zaginając róg próbki i przypinając go szpilką. - Zaraz zamówię ten materiał i wezmę się do roboty, gdy tylko go przyślą. Ubranie będzie gotowe przed końcem ferii. Może potrzebuje pan czegoś jeszcze, na przykład koszul, krawatów, skarpetek albo... - tu zniżył głos do szeptu - ...może czegoś z bielizny?

Edward nie miał już ochoty na żadne zakupy, chciał tylko stąd wyjść. Pan Tuckett odprowadził więc tylko swoich gości do drzwi i pożegnał ich z równą powagą i namaszczeniem, jak kamerdyner Nettlebed.

Kiedy byli już na dworze, Edward odetchnął z ulgą.

- No, nareszcie! Teraz chodźmy czegoś się napić i coś zjeść.

- Ale chyba jesteś zadowolony?

- W zasadzie tak, ale to strata czasu.

- Wybrałeś bardzo ładny materiał.
- Przynajmniej nie będę wyglądał jak podrzędny bukmacher. Teraz chodźmy. - Ujął ją pod ramię i przeprowadził na drugą stronę ulicy, lawirując pomiędzy samochodami i rowerami.
- Dokąd idziemy? - zapytała Judyta, próbując dotrzymać kroku Edwardowi.
- Sam nie wiem, ale coś znajdziemy.

Wybór Edwarda padł na gospodę z ogródkiem, dzięki czemu Judyta nie musiała siadać przy barze. Ogródek był wprawdzie mały, ale za jego niskim kamiennym murkiem rozciągała się panorama portu, a stoliki i krzeselka były dobrze osłonięte przed wiatrem. Edward posadził Judytę przy jednym z nich i spytał, czego się napije. Wymieniła nazwę swego ulubionego napoju pomarańczowego, co go bardzo rozśmieszyło. Przeszedł przez niskie drzwi do sali restauracyjnej i po chwili wrócił stamtąd, niosąc zamówiony napój, kufel piwa dla siebie i menu ręcznie wypisane na karcie o pozaginanych rogach.

- Nie jest to może tak ekskluzywny lokal jak „Pod Mitrą”, ale przynajmniej nie będziemy siedzieć w grobowej ciszy, przerywanej jedynie czymś mlaskaniem lub skrobaniem widelców po talerzach - zażartował. Powiódł wzrokiem po jadłospisie, wydymając wargi z udaną powagą. - Co my tu mamy? Parówki zapiekane w cieście, kielbasę na gorąco, prawdziwe kornwalijskie domowe paszteciki... O, to właśnie weźmiemy!

- Świetnie!
- Lubisz paszteciki?
- Uwielbiam.
- A na deser możesz zjeść krem, galaretkę lub lody, wszystko domowego wyrobu.
- Po pasztecikach na pewno już nic więcej nie zmieszczę.
- Pewnie nie - zgodził się z nią.

Z wnętrza gospody przybiegła kelnerka w fartuszku, aby przyjąć zamówienie. Edward okazał się niezwykle

wyrafinowany, gdyż tę prostą potrawę zamawiał z dystynkcją lorda, choć miał przecież tylko szesnaście lat.

- Chcielibyśmy prosić o paszteciki. - Uśmiechnął się do kelnerki.

- Już się robi, kochaniutki!

Edward dobrze wybrał lokal. Było tu dużo przyjemniej niż „Pod Mitrą”. Siedzieli w płaszcach, więc nie czuli zimna, za to mogli obserwować chmury sunące po niebie i mewy krążące z piskiem wokół masztów i pokładów kutrów. Trwał właśnie przypyływ, więc po przeciwnej stronie zatoki Góra Świętego Michała z ruinami zamku na szczycie wyglądała jak pływająca wyspa.

Sącząc swój napój Judyta spytała:

- Kiedy skończyłeś szkołę?

- Jakies dwa - trzy dni temu. Athena jest znowu w Szwajcarii i diabli wiedzą, kiedy ma zamiar wrócić do domu, jeśli w ogóle.

- Nie miałam pojęcia, że już jesteś z powrotem.

- Niby skąd miałabyś wiedzieć?

- Loveday mogła mi coś wspomnieć.

- Słaba nadzieja. Ona myśli tylko o tej zakichanej Tin-kerbell. - Uśmiechnął się do niej przez stół. - I jak, cieszysz się, że będziesz przez cały miesiąc w Nancherrow, czy może cię to przeraża?

Wyczuła ironię w jego głosie i z taką samą udaną powagą odpowiedziała:

- Wcale mnie nie przeraża. Nagle spoważniał i zmienił temat.

- Mama mówiła mi, jak zginęła twoja ciocia. Taki okropny wypadek! Musiałaś to ciężko przeżyć.

- Tak, ale wiem, że ona lubiła ryzykowną jazdę.

- Byłem w jej domu - przypomniał sobie Edward.

- Naprawdę?

- Wzięliśmy z Palmerem ciężarówkę z gospodarstwa i przywieźliśmy wszystkie twoje rzeczy. W pierwszym dniu mojej wolności napracowałem się jak wół!

- To ładnie z twojej strony.
- Nie miałem zbyt wielkiego wyboru.
- Jak tam teraz wygląda?
- Dosyć ponuro.
- Czy Edna i Hilda jeszcze tam były?
- Te dwie stare panny? Tak, pomogły nam odszukać twoje rzeczy. Wszystko było już ładnie popakowane.
- Ten dom zawsze był raczej ponury... - zaczęła. Była ciekawa, czy nie zauważył wężącego w pobliżu Billy'ego Fawcetta, ale wolała o nic nie pytać. - I pełno tam pamiątek z Indii, różnych egzotycznych skór, nóg słoniowych, mosiężnych bębenków...
- Nie zwróciłem na to uwagi, bo nie byłem w tej części domu.
- A co z moimi rzeczami?
- Mary Millyway już się nimi zajęła. Na pewno wszystko rozpakowała i urządziła twój pokój. Mama już zapowiedziała, że oddaje ci tę różową sypialnię.
- Jakaż ona jest dobra!
- Przecież nic jej nie ubędzie, a mama lubi, kiedy w pobliżu kręci się dużo ludzi. - Przerwał, by entuzjastycznie wykrzyknąć: - No, nareszcie są nasze paszteciki! Już zaczynałem słabnąć z głodu!
- Proszę bardzo, kochaniutki. - Kelnerka postawiła przed nimi talerze. - Jedzcie na zdrowie!
- Paszteciki były duże, gorące i aromatyczne. Judyta przekroiła swój na pół i ze środka wypadły parujące skrawki mięsa i kartofli zapieczone we francuskim cieście. Zapach cebuli rozbudził w niej apetyt. Wiatr od morza nawiał jej włosy na twarz. Odrzuciła je do tyłu i uśmiechnęła się do swego towarzysza.
- Tak się cieszę, że nie poszliśmy „Pod Mitrę” - wyznała mu, a zadowolenie, które ją przepełniało, było prawie równe szczęściu.

Po drodze do Nancherrow, kiedy już zjeżdżali w dół do Rosemullion, Edward wpadł na nowy pomysł.

- A może byśmy odwiedzili ciocię Lawinię? Nie widziałem jej jeszcze od powrotu i może uda się przekonać Isobel, żeby poczęstowała nas herbatą.
- Wystarczająco najadłam się tymi pasztecikami.
- Ja też, ale jedno drugiemu nie przeszkadza. - Przechylił się naprzód i szturchnął kierowcę w szerokie bary. - Palmer, nie musisz chyba od razu wracać do pracy?
- Pan pułkownik czeka na to, co dla niego kupiłem. Obiecałem mu, że zaraz wrócę.
- W takim razie wysadź nas na górce i jedź do domu, a my wrócimy piechotą.
- Jak panicz sobie życzy.
- No więc jedźmy. - Ponownie odchylił się na oparcie fotela i odgarnął z czoła kosmyk włosów. - Zgadzasz się, prawda, Judyto? Z Lawinią zawsze tak miło się gawędzi.
- Oczywiście, jeśli masz ochotę. Ale czy ciocia nie będzie zła, że wpadamy do niej bez uprzedzenia?
- Skąd, ciotunia uwielbia miłe niespodzianki.
- Jest dopiero wpół do czwartej. Może akurat odpoczywa po obiedzie?
- Ona nigdy nie odpoczywa! - uciał krótko Edward.

Jak się okazało, miał rację. Zastali ciotkę w nasłonecznionym salonie. Załatwiała przy biurku bieżącą korespondencję. Na kominku tlił się mały ogieniek, a cały pokój jaśniał rozproszonym światłem. Kiedy otworzyły się drzwi, ciotka obróciła się gwałtownie, zdejmując z nosa okulary. Przez chwilę na jej twarzy odbijało się zaskoczenie, które zaraz potem na widok Edwarda ustąpiło miejsca zachwytowi.

- Ach, kochanie, co za miła niespodzianka! Nie wiedziałam, że już wróciłeś do domu.
- Odłożyła pióro i rozpostarła ramiona, a Edward rzucił się, by ją uściskać. Judyta zauważyła, że w tym dniu ciotka nie była już tak elegancko ubrana, jak tamtej pa-

miętnej niedzieli. Miała na sobie spódnicę z grubego twee-du, grube pończochy, wygodne buty i długi rozpinany sweter na kremowej jedwabnej bluzce, spod której prze-błyskiwał złoty łańcuszek i sznur pereł.

- Postanowiliśmy odwiedzić ciocię, bo wracamy z Pen-zance. Palmer zostawił nas tutaj i do domu wrócimy piechotą.

- Wy to macie energię! I Judyta znów tu jest? Coraz lepiej. Jeszcze w mundurku? Chyba już macie wolne? Boże, taka radość! Siadajcie i czujcie się jak u siebie w domu, a ty, Edwardzie, musisz mi dokładnie opowiedzieć, coś tam porabiał.

Usiadła wygodnie w swoim fotelu, a Edward przysunął sobie stołeczek. Judyta zajęła miejsce przy oknie i stamtąd przysłuchiwała się relacji Edwarda z pobytu w Harrow -

o szansie zostania starostą roku, wygranych bądź przegranych rozgrywkach w rugby... Potem ciotka wypytywała go o wyniki egzaminów i widoki na studia w Oksfordzie lub Cambridge. Trochę pogadali o wspólnych znajomych

i o koledze, którego Edward przywiózł do domu w czasie letnich wakacji. Judyta nie posiadała się ze zdumienia, że osoba w bądź co bądź zaawansowanym wieku może jeszcze być tak bystra i ciekawa świata. Nie mając własnych dzieci, wykazywała mimo to zadziwiającą wrażliwość na problemy młodego pokolenia. Przypuszczalnie miał na to wpływ jej stały kontakt z rodziną Carey-Lewisów.

Ciotka była zadowolona z usłyszanych informacji. Jeszcze tylko, aby być całkiem na bieżąco, spytała:

- A dzisiaj coście robili?

Edward opowiedział jej o tym, jak odebrał Judytę ze szkoły, jak zamówił ubranie na miarę i wreszcie

- jak jedli paszteciki w ogródku gospody.

- Och, zazdroszczę wam! Nie ma nic lepszego, jak jeść takie gorące paszteciki na świeżym powietrzu.

Od tamtej pory na pewno już zgłodnieliście! - Odsunęła man-

kiet bluzki i spojrzała na mały złoty zegarek. - Dochodzi czwarta. Edwardzie, kochany, mógłbyś zajrzeć do kuchni i poprosić Isobel, żeby przygotowała nam coś na podwieczorek? Przy odrobinie szczęścia dostaniemy biszkopty albo nawet gorące grzanki i pikle.

- Świetnie! Tylko czekałem, kiedy ciocia wspomni o podwieczorku.

Edward wstał, ostentacyjnie się przeciągnął i ruszył na poszukiwanie Isobel. Dopiero kiedy drzwi zamknęły się za nim, ciotka Lawinia zwróciła się do Judyty:

- No, teraz możemy spokojnie porozmawiać. Nałożyła okulary i zmierzyła Judytę wzrokiem od stóp do głów. Tym razem przybrała poważny wyraz twarzy.

- Nie chciałam mówić o tym przy Edwardzie, ale bardzo się zmartwiłam, gdy dowiedziałam się, że twoja ciocia zginęła w wypadku. Czy u ciebie wszystko w porządku?

- Dziękuję, w najzupełniejszym.

- Dla ciebie musiało to być szczególnie przykre, bo cała twoja rodzina przebywa za granicą.

- Byłoby znacznie gorzej, gdybym nie miała wokół siebie tylu wspaniałych ludzi, takich jak panna Catto, pan Baines czy Diana...

- Diana ma bardzo dobre serce. Kiedy powiedziała mi o swoich planach wobec ciebie, od razu przestałam się martwić. To tak, jakbyś miała tu drugi dom i coś w rodzaju rodziny, nie swojej własnej, co prawda, ale lepszej niż żadna.

Judyta uznała, że potrzebne są dodatkowe wyjaśnienia.

- Właściwie to mam jeszcze rodzinę w kraju, ciocię Bidy i wujka Boba. To wspaniali ludzie, tylko akurat teraz nie mogli mnie zaprosić, bo wykańczają nowy dom, a wujek i mój kuzyn Ned służą w marynarce. Wiem, że zawsze będę mogła do nich pojechać, ale pobyt w Nan-cherrow to całkiem co innego!

- Pewnie, to dom tętniący życiem. Wiecznie coś się dzieje. Nieraz myślę, że biednemu Edgarowi kręci się od

tego w głowie. Na pewno będziesz tam szczęśliwa, ale pamiętaj, że gdybyś kiedyś poczuła się samotna lub było ci smutno czy po prostu chciałyś porozmawiać o swoich problemach - jestem zawsze do dyspozycji. Przez tyle lat byłam żoną prawnika, że do perfekcji opanowałam sztukę słuchania. Pamiętaj, tu, w Dower House, zawsze na ciebie czekam.

- Będę pamiętać.

- Słyszę, że Edward już wraca. Celowo go wysłałam, bo wiem, że Isobel go uwielbia. Gdybym to ja poprosiła

o podwieczorek przed wpół do piątej, daśalaby się na mnie cały wieczór. A dla Edwarda migiem zrobi i grzanki,

i nawet otworzy pikle, i przez resztę dnia będzie wniebowzięta.

Nancherrow

tego samego dnia, tylko trochę później

Nareszcie znalazłam trochę czasu, aby skończyć ten list. Jestem już w Nancherrow, z powrotem w tej samej sypialni, która teraz jest naprawdę moja, bo są w niej moje rzeczy. Wygląda tu już całkiem jak w domu, bo Mary Millyway przestawiła łóżko tak, aby zmieściło się moje biurko i książki. Jest szósta po południu, mamy tu piękny wieczór, a z mojego okna słyszę gruchanie gołębi na podwórzu i kiedy się wychylę — mogę pochwycić szum morza.

Edward, brat Loveday, zrobił mi niespodziankę i przyjechał po mnie do szkoły. Wziął ze sobą ogrodnika, żeby prowadził samochód, bo sam jest jeszcze za młody. Byliśmy u Medwaya, gdzie zamówił nowy garnitur na miarę, potem poszliśmy na lunch, a po drodze wstąpiliśmy jeszcze do cioci Lawinii, czyli pani Boscawen. Do domu wracaliśmy piechotą, co było trochę męczące, bo droga okazała się dłuższa, niż mi się wydawało. Edward jest bardzo miły, ma prawie siedemnaście lat, kończy Harrow i wybiera się na studia do Oksfordu. On także przywiózł moje rzeczy

z Góry Czterech Wiatrów. Edna i Hilda jeszcze tam były, ze mają już załatwione nowe miejsce. Diana i Loveday nie wróciły jeszcze z zawodów jeździeckich. Do tej pory widziałam tylko Mary Millyway, która przyszła mi pomóc w rozpakowywaniu rzeczy. Na kolacji na pewno zjawią się już wszyscy.

Proszę, napiszcie mi szybko o wszystkim, co porabiacie, tak żebym mogła to sobie wyobrazić. A może Tatuś zrobiłby trochę zdjęć, na których byłoby widać, czy Jess dużo urosła? Ciekawam, czy chodzi już do szkoły, czy przynajmniej bierze jakieś lekcje? Ma jeszcze tego pajaca czy może węże go zjadły? Piszę chaotycznie, bo tyle dzieje się ciekawych rzeczy. Wszystko tak szybko się zmienia, że czasem trudno się w tym połapać. Nieraz mam wątpliwości, czy o czymś nie zapomniałam. Gdybyśmy byli razem, wszystko byśmy sobie opowiedzieli, ale chyba tak już jest, że dorasta się w samotności.

Przesyłam pozdrowienia i proszę, nie martwcie się o mnie, bo jest mi tu dobrze.

Judyta

1938

W willi na Orchard Road w Singapurze Molly Dunbar obudziła się z poobiedniej drzemki zlana zimnym potem i dygocąca z niepojętego, nienazwanego lęku. Chciało się jej płakać, choć właściwie nic takiego się nie stało. Nie było jeszcze ciemno, bo dopiero kończyła się pora popołudniowej sjesty. Z sufitu zwieszała się tylko potężna maszyna do podnoszenia i opuszczania moskitiery, ale nie czaiły się żadne upiory, jadowite węże ani bandyci. Mimo to Molly wciąż zaciskała kurczowo szczęki, oddech miała płytki i nierówny, a serce biło jej jak młotem.

Przez chwilę leżała bez ruchu, jakby oczekując niespodziewanego ataku. Nic jednak nie zamierzało jej zaatakować. Powoli lęk się rozproszył i ustąpił dręczący ją koszmar. Stopniowo Molly zaczęła oddychać normalnie, rozluźniły się także jej mięśnie. Miejsce irracjonalnych obaw zajęło odprężenie. A więc były to tylko igraszki jej rozhukanej wyobraźni? Napadały ją często, nawet gdy bezpiecznie wypoczywała w swej sypialni u boku męża. Rozejrzała się, aby w znanym otoczeniu odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Wszystko było takie jak zawsze - bielone ściany, marmurowa posadzka, toaletka przybrana marszczonym, białym muślinem, rzeźbiona szafa z drzewa tekowego... Wyplatane krzesła i cedrowa komoda... Drzwi do garderoby Bruce'a były otwarte, a pod sufitem obracały się drewniane śmigła wentylatora. Do przeciwległej ściany przylgnęły dwie jaszczurki, nieruchome jak broszka wpięta w klapę.

Spojrzała na zegarek - była trzecia po południu. O tej

porze w kwietniu panował jeszcze ciężki, wilgotny upał. Molly leżała tylko w cienkim bawełnianym szlafrocisku nałożonym na gołe ciało, ale i tak na jej policzkach, karku, włosach i krzyżu perliły się krople potu. Na drugiej polowie łóżka drzemał, pochrapując, Bruce. Zawsze mu zazdrościła, że potrafił przesypiać najgorszy skwar, a punktualnie o czwartej, jakby nigdy nic, wstawał, brał prysznic, przebierał się w czyste rzeczy i wracał jeszcze na kilka godzin do biura.

Poruszyła się, przymknęła oczy i natychmiast je znowu otworzyła. Odkąd się ocknęła, nie mogła już uleżeć ani chwili dłużej. Ostrożnie, aby nie zbudzić męża, usiadła na brzegu łóżka, owinęła się mocniej szlafrokiem i wsunęła stopy w sandały z cienkich paseczków. Na palcach przeszła przez cały pokój i żaluzjowe drzwi wiodące na werandę otaczającą cały bungalow. Spadzisty dach i rozmieszczone pod stropem wentylatory chroniły jej wnętrze przed nadmiernym nasłonecznieniem. W jednym końcu werandy ustawiono stoliki i krzesła. Molly miała tam swój „zewnątrzny salonik”, w którym spędzała większość czasu.

W biało-niebieskich donicach rosły tam hibiskusy i drzewka pomarańczowe. W miejscach, gdzie nie sięgał cień werandy, roślinność ogrodu prażyła się w bezlitosnym słońcu. Nawet najlżejszy powiew nie poruszał palmą, migdałowcem ani jaśminem. Tylko mysz zaroślowa wspinała się po krzewie bugenwilli, strząsając deszcz płatków na schodki werandy.

Panowała kompletna cisza. Spała Jess, spała służba, nawet psy. Molly, klapiąc podszewkami sandałów, przeszła całą długość werandy. Usiadła na wiklinowym fotelu z podnóżkiem, przystawionym do stolika, na którym trzymała różne drobne przedmioty niezbędne w jej gnuśnym, niemal beczynnym życiu. Leżała tam czytana właśnie książka, szkatułka z przyborami do szycia, ilustrowane pisma, przychodząca korespondencja, kalendarzyk z ter-

minami ważniejszych spotkań towarzyskich i rozpoczęty haft... Dziś jednak do licznych drobiazgów doszedł numer londyńskiego „Timesa” sprzed trzech tygodni. Bruce prenumerował go, aby - jak twierdził - otrzymywać „właściwe wiadomości”, chociaż Molly podejrzewała, że wczytywał się głównie w sprawozdania z meczów rugby i krykieta.

Molly zazwyczaj nie czytywała „Timesa”, ale tym razem, ponieważ nie miała nic lepszego do roboty, sięgnęła po niego. Był datowany na 15 marca i już na pierwszej stronie straszyły nagłówki donoszące, że 12 marca hitlerowskie Niemcy zajęły Austrię.

Nie była to już najświeższa wiadomość, gdyż trzy tygodnie temu słyszeli ją z radia. Wprawdzie Bruce wtedy wyraźnie posmutniał, ale nie komentował zbytnio tego wydarzenia. Molly była mu nawet wdzięczna, gdyż oznaczało to, że nie musi zaprzętać sobie głowy. Wolą być optymistką - a nuż jeszcze wszystko odmieni się na lepsze? Na razie miała ważniejsze problemy na głowie - kontrolowanie lekcji Jess, wydawanie dyspozycji kucharzowi czy przestrzeganie terminów spotkań towarzyskich. To ostatnie zajęcie bywało szczególnie absorbujące.

Natomiast teraz, kiedy była sama i nikt nie mógł zobaczyć jej reakcji, zebrała się na odwagę i zajrzała do gazety. Uwagę Molly przykuło zdjęcie Hitlera przejeżdżającego ulicami Wiednia w asyście wojska. Na chodnikach widać było tłumy gapiów. Niektóre twarze robiły wrażenie wyraźnie przygnębionych, jednak większość, co Molly skonstatowała z przerażeniem, cieszyła się i wiwatowała na cześć nowego wodza, powiewając hitlerowskimi flagami ze swastyką.

Molly nie mogła tego pojąć. Czy prawdziwy patriota może cieszyć się z obcej inwazji na jego kraj? Spróbowała znaleźć wyjaśnienie swoich wątpliwości w komentarzu redakcyjnym, ale im bardziej wczytywała się w ponure doniesienia, tym trudniej było jej się od nich oderwać. Opis był tak sugestywny, że obraz tego brutalnego podboju jawił się jak żywy. Zadawała sobie pytanie - jeśli coś takiego mogło mieć miejsce, to co jeszcze nas czeka?

Wszystko wskazywało na to, że nic dobrego. Nastroje w parlamencie londyńskim panowały raczej minorowe. Winston Churchill wygłosił przemówienie w Izbie Gmin. Przez całe lata uważano go za

Kasandrę przepowiadającą same nieszczęścia, podczas gdy inni spokojnie robili swoje. Okazało się jednak, że miała rację, i jego prorocze słowa brzmiały teraz jak dźwięk dzwonu na trwogę: „Europa stanęła w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Jest tylko jeden wybór... poddać się albo przedsięwziąć stanowcze kroki...”

Miała już dosyć tego złowieszczego tonu, więc złożyła gazetę i upuściła ją na podłogę. Nawet taka ograniczona kura domowa jak ona wiedziała, że „stanowcze kroki” to tyle co wojna. Czarne chmury, które zaczynały się gromadzić jeszcze przed wyjazdem do Kolombo, nie tylko się nie rozproszyły, lecz rosły i zagrażały już całej Europie. A co będzie z Anglią? A z Judytą?

Właściwie powinna się wstydzić - tam ludzie cierpią, całe narody tracą niepodległość, a ona myśli przede wszystkim o bezpieczeństwie swojej córki! Gdyby jednak w Europie wybuchła wojna, do której przyłączyłaby się Anglia, co stałoby się z Judytą? Może powinni natychmiast po nią posłać? Zrezygnować z jej dalszej nauki i jak najszybciej sprowadzić ją do Singapuru? Tu wojna ich nie dosięgnie, Judycie nic by nie zagrażało i rodzina byłaby znów razem.

Molly mogła jednak z góry przewidzieć, że Bruce się na to nie zgodzi. Zawsze był zakamieniałym konserwatystą, zwolennikiem polityki rządu i gorącym patriotą. Nie mieściło mu się w głowie, by Anglia mogła kiedykolwiek znaleźć się w niebezpieczeństwie. Wierzył święcie w szczelność Linii Maginota, miażdżącą przewagę militarną Anglii na morzach i potęgę Imperium Brytyjskiego. Zaraz ofuknąłby Molly, żeby nie histeryzowała, bo to śmieszne. Judycie nic nie zagraża.

Mogła spodziewać się jego reakcji, bo nieraz już tak bywało. Kiedy otrzymali telegram od mecenasa Bainesa informujący o tragicznej śmierci ciotki Luizy - Molly w pierwszym odruchu, zamiast żalu po stracie szwagierki, odczuła przede wszystkim lęk o Judytę. Najchętniej wsiadłaby na pierwszy statek płynący do Anglii, aby znaleźć się u boku osamotnionej córki. Jednak Bruce, mimo że wyraźnie wstrząśnięty śmiercią siostry, okazał się typowym Anglikiem, opanowanym i trzymającym uczucia na wodzy. Mało tego, przekonywał roztrzęsioną żonę, że nie ma powodu do rozpacz. W końcu Judyta przebywała w szkole z internatem, gdzie czuwała nad nią panna Catto, a w razie czego pod ręką była i Bidy Somerville. Przyjazd rozhisteryzowanej matki nie przyniósłby Judycie żadnej korzyści. Lepiej zostawić ją w spokoju i nie przeszkadzać w kontynuowaniu nauki, a wszystko samo się jakoś ułoży.

- Przecież ona nie ma tam domu, nie ma dokąd pójść! -łkała Molly, ale Bruce pozostał nieugięty.

- I cóż byś zrobiła najlepszego? - zaczynał już tracić cierpliwość.

- Przynajmniej byłabym przy niej!

- Zanim do niej dotrzesz, kryzys dawno minie i nie będziesz już jej potrzebna.

- Ty nic nie rozumiesz!

- Pewnie, że nie rozumiem twoich bezsensownych lęków. Lepiej uspokój się i napisz do niej list.

Tylko nie panikuj, bo dzieci nie znoszą, kiedy rodzice się nad nimi trzęsą.

W tej sytuacji Molly nie mogła zrobić nic więcej, gdyż nie miała własnych pieniędzy, a Bruce nie miał zamiaru zarezerwować dla niej miejsca na statku. Mogła tylko pogodzić się z losem, ale przez najbliższe dwa - trzy tygodnie cierpiała z tęsknoty za Judytą, jej fizyczną bliskością, widokiem uroczej twarzyczki, dźwiękiem głosu... Tak chciałaby utulić ją w ramionach i pocieszyć!

Okazało się jednak, że Bruce miał zupełną rację. Powrót drogą morską do Anglii trwałby od pięciu do sześciu tygodni, tymczasem zaś wszystkie problemy same się rozwiązały. Pustkę powstałą po śmierci Luizy wypełniło pojawienie się nieznannej, lecz jakże błogosławionej rodziny Carey-Lewisów.

Właściwie jakby oficjalnie adoptowali Judytę. Panna Catto napisała do jej rodziców list rekomendujący z najlepszej strony pułkownika Carey-Lewisa i jego żonę. Wyraziła przy tym opinię, że gościna w ich domu może przynieść Judycie dużo dobrego. Przyjaźniła się już przecież z ich córką Loveday, a Carey-Lewisowie uchodzili za rodzinę zasiedziałą i szanowaną w okolicy.

Zaraz za listem od panny Catto nadszedł drugi, od samej Diany Carey-Lewis. Pisany był na kosztownym, grubym, błękitnym papierze z tłoczonym nagłówkiem, ale pismem niemal nieczytelnym. Niemniej jednak Molly poczuła się mile połączona już samą formą listu, a po odcyfrowaniu jego treści - wzruszona i rozbrojona. Najwyraźniej Judyta musiała zrobić dobre wrażenie na tej rodzinie i Molly była z niej dumna. Miała tylko nadzieję, że córka nie poczuje się przytłoczona wystawnym stylem życia bogatego ziemiaństwa.

Nazwa „Nancherrow” przypomniła jej dzień, kiedy po raz pierwszy i jak dotąd jedyny spotkała Dianę Carey-Lewis w sklepie Medwaya. W tym momencie zetknęły się, choć na krótko, dwa całkiem odrębne światy. W jej pamięci pozostał obraz pięknej i pełnej życia młodej matki z niesfornym dzieckiem i pekińczykiem na szkarłatnej smyczy. Zagadnięta ekspedientka wyjaśniła jej wtedy: „To pani Carey-Lewis z Nancherrow”.

Nie było więc powodów do obaw. Molly odpisała pani Carey-Lewis, wyrażając swą wdzięczność i zgodę. Próbowwała tylko za wszelką cenę odpędzić od siebie natrętą myśl, że wyrzekła się córki. Bruce triumfował:

- A nie mówiłem, że wszystko się ułoży? To jego samozadowolenie irytowało Molly.
- Łatwo ci teraz mówić! A co byśmy zrobili, gdyby Carey-Lewisowie zawiedli nasze oczekiwania?
- Niby dlaczego mielibyśmy coś takiego podejrzewać? Wszystko idzie dobrze. Zawsze mówiłem, że Judyta da sobie radę.
- Skąd wiesz, skoro nie widziałeś jej od pięciu lat? -Molly potrafiła być złośliwa, kiedy ktoś ją zdenerwował. -Poza tym nie wydaje mi się, że powinna cały swój wolny czas spędzać w Nancherrow. Jest przecież jeszcze Bidy, która chętnie widziałaby ją u siebie.
- Niech już one to załatwią między sobą.

Molly trochę się nadała, bo nie chciała, aby mąż miał ostatnie słowo.

- Po prostu nie mogę pozbyć się myśli, że oddałam ją obcym ludziom! - wyrzuciła z siebie.

- No więc przestań nareszcie histeryzować i dziękuj Bogu, że tak się jej udało.

Molly tłumiała więc, jak mogła, żal i zazdrość, wmawiając sobie, że jest szczęśliwa. Skupiła się teraz na pisaniu listów do córki i do tej pory - a minęły już dwa lata -regularnie otrzymywała odpowiedzi. Judyta w czerwcu miała skończyć siedemnaście lat i prawie co tydzień wysyłała na Orchard Road grubą kopertę. Były to długie listy, przepojone miłością i pełne takich informacji, jakie każda matka pragnęłaby otrzymać. Molly po wielekroć czytała te listy, a gdy się już nimi nacieszyła - odkładała do wielkiego kartonowego pudła na dnie szafy. Stanowiły właściwie fotografię tego okresu życia Judyty, który upłynął od ostatniego pożegnania matki z córką.

Pierwsze listy od Judyty dotyczyły głównie spraw szkolnych, lekcji, nowego roweru i pobytu na Górze Czterech Wiatrów. Następne przyniosły wstrząsającą wiadomość o śmierci i pogrzebie ciotki Luizy, wzmianki o pojawieniu się pana Bainesa i rewelację o odziedziczonym przez

Judytę spadku. Do tej pory Molly nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów majątku Luizy. Satysfakcję przyniosła jej świadomość, że Judyta nie będzie nigdy musiała, tak jak ona, prosić męża o pieniądze. Dla niej był to najbardziej uciążliwy aspekt życia w małżeństwie.

Dalsze listy przyniosły sprawozdanie z pierwszego pobytu w Nancherrow, a potem odzwierciedlały stopniowe wtapianie się Judyty w klan Carey-Lewisów. Czytając je Molly miała wrażenie, że czyta powieść, w której występuje bardzo dużo bohaterów. Stopniowo Molly rozszyfrowywała, kto jest kim, i wtedy bez przeszkód mogła śledzić akcję.

Jeszcze później nadeszły dalsze wiadomości z życia szkoły. Wśród nich znajdowały się wzmianki o koncertach, przedstawieniach, meczach hokejowych, wynikach egzaminów, a nawet o łagodnej epidemii odry. Święta Bożego Narodzenia Judyta spędziła u ciotki Bidy i wujka Boba w ich nowym domu na skraju Dartmoor, a przerwę półsemestralną w Porthkerris u rodziny Warrenów. Molly cieszyła się, że Judyta nadal utrzymuje stosunki z Heather, bo byłoby przykre, gdyby przewróciło się jej w głowie i nie chciała znać starych przyjaciół.

Podczas letnich wakacji Diana zabrała Judytę i Loveday na wycieczkę do Londynu. Zatrzymały się w mieszkaniu Diany w zaułku Cadogan, robiły zakupy, jadały w restauracjach, a szczytem wszystkiego było obejrzenie w Covent Garden występów rosyjskiego baletu z Tatianą Riabuszyńską.

Molly czuła w sercu lekkie ukłucia zazdrości, że wszystkie te atrakcje przydarzają się dorastającej pannicy, a nie jej. Nie była w tych uczuciach osamotniona, bo tysiące żon i matek, których mężowie byli zatrudnieni w brytyjskich koloniach, przeżywały to samo. Czy w Anglii, czy w Singapurze - żadna nie czuła się dobrze. Czasem Molly przyciskała do policzka kartki zapisane ręką córki i przypominała sobie, jak jeszcze w Riverview Judyta wracała

stromą ścieżką od stacji kolejowej i witała się z nią, tak samo się przytulając...

Molly westchnęła, lecz wewnątrz bungalowu dało się słyszeć jakieś poruszenie. To w sypialni Jess niania łagodnym głosem namawiała panienkę do wstania z łóżka. Sjesta była skończona, po przeciwnej stronie trawnika ogrodniczek ciągnął już konewkę pełną wody. Niedługo pojawi się Bruce, odświeżony przed ponownym wyjściem do biura. Później przyjdzie pora na podwieczorek - herbatę w srebrnym czajniczku, z cienkimi plasterkami cytryny, i kanapki z ogórkiem. Wstyd byłby, gdyby kamerdyner Ah Lin zobaczył swoją panią w tak niedbałym stroju! Musi więc szybko wziąć prysznic, ubrać się i uczesać, aby wyglądać jak szanująca się angielska dama.

Zanim jednak zdobyła się na ten wysiłek - przybiegła do niej Jess w plażowej sukieneczce bez rękawów, ze swoimi jasnymi jak len włosami wyszczotkowanymi do połysku przez nianię.

- Mamusiu!

- Cześć, kochanie! - Molly przygarnęła młodszą córeczkę do siebie i pocałowała w czubek głowy. Jess miała już sześć lat, wyrosła na wysoką i szczupłą dziewczynkę, jak kwiat wyhodowany w gorącym i wilgotnym klimacie Singapuru. Zatraciła już dziecięcą okrągłość rysów, tylko oczy miała okrągłe i błękitne jak chabry, a cerę opaloną na kolor brązowej skorupki jajka.

Widok jej wzbudził w Molly poczucie winy, bo była tak pogrążona w myślach o Judycie, że przez chwilę zapomniała o swojej drugiej córce. Wyrzuty sumienia spowodowały, że nadała głosowi szczególnie serdeczne brzmienie.

- Jak ślicznie i świeżo wyglądasz!

- A dlaczego jesteś jeszcze nie ubrana?

- Bo mi się nie chciało.

- Czy idziemy dziś do klubu popływać?

Molly przypomniła sobie, że rzeczywiście takie mieli na dziś plany.

- Ależ oczywiście! Całkiem o tym zapomniałam.

- A potem zagramy w krykieta?

- Nie dziś, kochanie, bo będę jeszcze musiała przebrać się przed kolacją.

Jess przyjęła tę informację obojętnie, bo zdążyła się już przyzwyczaić, że prawie co wieczór rodzice wychodzili na jakąś imprezę towarzyską lub sami przyjmowali gości. Rzadko kiedy mogły z matką nacieszyć się własnym towarzystwem.

- A gdzie dziś idziecie?

- Na wieczorne przyjęcie w koszarach Selaring. Pan pułkownik nas zaprosił.

- Jaką sukienkę włożysz?

- Chyba tę z liliowego woalu, którą krawcowa ostatnio mi uszyła. Co o tym sądzisz?

- A może pójdę z tobą i pomogę ci wybrać?

Jess bardzo interesowała się strojami. Całymi godzinami potrafiła dreptać w maminych pantofelkach na szpilkach lub obwieszać się sznurami koralami.

- Świetny pomysł! Chodźmy, zanim Ah Lin zauważy, że jestem jeszcze nie ubrana.

Przerzuciła nogi przez poręcz fotela, przytrzymując poły szlafroka. Jess wzięła ją za rękę i podskakując szła przy niej przez całą werandę. Mała mysz zaroślowa wciąż łaziła po krzewie bugenwilli, strącając amarantowe płatki, z których utworzył się już spory stosik.

W życiu Judyty zdarzały się lata, które odzierały ją ze złudzeń co do świąt Bożego Narodzenia. Tak się działo, kiedy mieszkała w Riverview. Molly nie lubiła świętowania, nie miała ochoty przybierać domostwa ostrokrzewem ani przygotowywać tradycyjnych potraw. Wskutek tego nastrój świąteczny szybko się ulatniał i już o czwartej

po południu Judyta mogła zaszyć się w kącie z nową książką, z uczuciem, że dzień właściwie minął. Nie było to tylko winą Molly, gdyż okoliczności układały się na jej niekorzyść. Nie umiała zbyt łatwo zawierać znajomości, a w rodzinie nie było krewnych w odpowiednim wieku, którzy mogliby dostarczyć jej córkom rozrywki. Nie miała także przy sobie męża, aby przebrał się za świętego Mikołaja, wkładał podarunki do pończoch i krajał pieczonego indyka. W związku z tym jej z natury bierne usposobienie brało górę i rezygnowała z jakichkolwiek wysiłków.

Dopiero przez trzy ostatnie lata z rzędu miejsce samotnych i pustych świąt w Riverview zajęły uroczystości o zupełnie innym charakterze. Już podczas dwóch tygodni spędzanych w Keyham ciotka Bidy i wujek Bob zdołali odbudować wiarę Judyty w magiczną moc tego święta. Następną gwiazdkę spędzała w Nancherrow, w świątecznie przyozdobionym domu, gdzie gromadzili się liczni krewni i znajomi Carey-Lewisów, hojnie rozdawano prezenty, a radosnej zabawie nie było końca. W Wigilię o północy wszyscy poszli na pasterkę, a w drugi dzień świąt na spotkanie miejscowego koła łowieckiego, skąd potem wracali piechotą. Od Diany Judyta dostała pod choinkę pierwszą w życiu długą suknię z bładoniebieskiej tafty, w której wystąpiła na uroczystej świątecznej kolacji, a potem tańczyła walca z pułkownikiem.

W zeszłym roku ponownie spędziła święta z rodziną Somerville'ów, już nie w Keyham, ale w ich nowym domu na skraju wrzosowisk Dartmoor. Przebywał tam wtedy także kuzyn Ned i jego kolega, podporucznik z tego samego okrętu. Spadło akurat dużo śniegu, więc spędzali większość czasu na sankach, a raz wzięli udział w balu kapitańskim na jednym z flagowych krążowników marynarki wojennej w Plymouth.

Nadchodzące święta miała znów spędzić w Nancherrow i mimo swoich siedemnastu lat cieszyła się jak małe dziec-

ko na samą myśl o czekających ją rozrywkach. Liczyła dni do końca semestru, tym bardziej że Loveday z każdego spędzonego w domu weekendu przywoziła coraz to nowe informacje na temat szykujących się atrakcji.

- Będziemy mieli masę gości. Mary Millyway już liczy prześcieradła, a pani Nettlebed tkwi po uszy w puddingach, tortach i nadzieniach. Masz pojęcie, jak to wszystko pachnie? Athena ma wrócić z Londynu, a Edward pojechał na narty do Arosy, ale na same święta też ma się zjawić...

Rzeczywiście, Judyta aż drżała z niepokoju na samą myśl, że mogłoby go tam nie być. Edward był już dorosłym mężczyzną, ukończył Harrow i miał za sobą pierwszy semestr studiów w Cambridge. To właśnie perspektywa spotkania z nim przepelniała Judytę radosnym podnieceniem. Nie żeby była w nim zakochana - zakochiwać można się przecież tylko w gwiazdorch filmowych lub równie niedosiężnych ideałach. Po prostu obecność Edwarda ożywiała i ubarwiała wszelkie imprezy towarzyskie, które trudno było wyobrazić sobie bez niego. Powiedziała więc tylko:

- Mam nadzieję, że się zjawi. A co z Jeremym Wellsem?

- Mama nic o nim nie mówiła. Może będzie miał akurat dyżur albo zechce spędzić święta z rodzicami? Na pewno jednak któregoś dnia się pojawi, bo na to zawsze znajduje czas. Przyjadą też z Londynu Pearsonowie, Jane i Alistair, dalecy kuzyni tatusia. Są jeszcze młodzi, mają około trzydziestki. Pamiętam, byłam druhną na ich ślubie -nie masz pojęcia, jaki był elegancki! Przyjadą z dwojgiem dzieci i nianią.

- Jak nazywają się te dzieci? Loveday skrzywiła się.

- Camilla i Roddy. Camilla to takie okropne imię! Jest jeszcze całkiem mała, i Roddy też. Mam nadzieję, że nie będą się przez cały czas darli!

- Mogą być nawet całkiem mili.
- Na wszelki wypadek wolę nie wpuszczać ich do mojego pokoju.
- Myślę, że niania dobrze ich przypilnuje.
- Mary się odgraża, że nagada jej do słuchu, jeśli przewrócą pokój dziecinny do góry nogami. A w sobotę byliśmy z tatusiem na plantacji i wybraliśmy choinkę...

W tym momencie odezwał się dzwonek, więc dziewczęta nie miały czasu dokończyć rozmowy.

Judyta poszła na lekcję francuskiego pękając z radości, bo gdyby to wszystko było prawdą - zapowiadały się najlepsze święta w jej dotychczasowym życiu.

W Szkole Świętej Urszuli okres przedświąteczny miał wyraźne zabarwienie religijne. Na porannych apelach śpiewano pieśni adwentowe: „Spuście nam na ziemskie niwy...” i inne. W długie zimowe popołudnia na zajęciach plastycznych projektowano karty świąteczne i wycinano z papieru dekoracje. Na lekcjach muzyki uczennice ćwiczyły kolędy, a chórzystki męczyły się nad opracowaniem akompaniamentu do utworów: „W dzień Bożego Narodzenia...” czy „Pójdźmy wszyscy do stajenki...” Na zakończenie semestru odbył się bal kostiumowy. Zgodnie z coroczną tradycją stroje musiały być wykonane z papieru i nie mogły kosztować więcej niż pięć szylingów. Judyta pracowicie pozszywała falbanki z kolorowej bibułki, a w uszach zamiast kolczyków zawiesiła kółka od firanek, gdyż przebrała się za Cygankę. Natomiast Loveday po prostu posklejała wycinki ze starych gazet, założyła do tego swój jeździecki toczek i wystąpiła jako... „Wiadomości Wyścigowe"! Oczywiście w trakcie forsownych tańców ten zaimprovizowany kostium rozpadł się i Loveday została tylko w spodenkach i koszulce.

Pogoda też jakby przygotowywała się do świąt, bo na tym otoczonym dwoma morzami cyplu Anglii, gdzie zwykle panował łagodny klimat, tym razem chwyciły silne mrozy. Nie padał przy tym śnieg, tylko trawniki okryły

się srebrzystym szronem, a ziemia na boiskach tak stwardniała, że odwołano wszystkie zajęcia sportowe na świeżym powietrzu. W ogrodach wymarżyły palmy i subtropikalne krzewy, aż trudno było sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będą mogły się odrodzić.

Judyta miała jednak ważniejsze sprawy na głowie. Nadszedł dzień zakończenia semestru. Jeszcze tylko odśpiewanie kolęd w kaplicy - i już na zwirowany dziedziniec zajeżdżały prywatne samochody, taksówki i autobusy, aby zabrać tłumy dziewcząt wyjeżdżających na ferie świąteczne. Judyta i Loveday pożegnały się z panną Catto, życzyły jej wesołych świąt i wybiegły, wymachując teczkami i torbami na kaptcie, aby nacieszyć się wolnością. Na parkingu czekał już Palmer w starym kabriolecie myśliwskim załadowanym po brzegi. Wsiadły do niego - i w drogę!

W Nancherrow trafiły akurat na sam szczyt przygotowań przedświątecznych. We wszystkich paleniskach buzował ogień, a w hallu stał już okazały świerk. Diana wybiegła im naprzeciw, trzymając w jednym ręku girlandę ostrokrzewu, a w drugim pęk lamety.

- No, jesteście nareszcie, moje kochane maleństwa! Ależ mróz, prawda? Nie przypuszczałam, że wrócicie tak szybko. Zamykajcie drzwi, żeby nie napuszczać zimna. Judyto, kochanie, jak miło, że przyjechałaś! Coś mi się zdaje, że urosłaś.

- Kto już jest? - rzeczowo spytała Loveday.

- Na razie tylko Athena. Od Edwarda nie było znaku życia, więc pewnie dobrze się bawi. Pearsonowie dotrą na wieczór, bo jadą aż z Londynu. Mam nadzieję, że drogi nie są śliskie.

- A Camilla i Roddy z niunią?

- Z nianią, nie z niunią, kochanie. To tylko oni ją tak nazywają między sobą. Jadą pociągiem i będą tu jutro. Tommy Mortimer ma na tyle rozsądku, że też przyjeżdża pociągiem. Trzeba więc będzie wyjechać na stację po masę ludzi.

- A gdzie jest reszta?

- Ojciec z Walterem Mudge'em pojechali ciągnikiem z przyczepą, żeby naciąć więcej ostrokrzewu. Athena jeszcze wypisuje kartki z życzeniami.

- Tak późno? Przecież już nie dotrą na czas!

- Trudno, najwyżej na wszelki wypadek dopisze „i szczęśliwego Nowego Roku” albo nawet „wesołego Jajka” - zachichotała Diana. - Przepraszam was, ale muszę wracać do roboty. Na czym to stanęłam?

Spojrzała na trzymany w ręku ostrokrzew i lametę, jakby czerpała stamtąd natchnienie.

- Aha, zaczęłam dekorować hall! Jest jeszcze mnóstwo do zrobienia. Idźcie i poszukajcie Mary, rozpakujcie się, rozgośćcie... - Mówiła to już idąc w stronę salonu. Na odchodnym rzuciła im jeszcze:

- Spotkamy się w czasie lunchu!

Judyta znalazła się więc znów w swoim różowym pokoiku. Ledwo się po nim rozejrzała i postąpiła chwilę przy otwartym oknie - a już zrzuciła szkolny mundurek i przebrała się w wygodne rzeczy, takie jakie noszą osoby dorosłe. Potem zaczęła rozpakowywać walizki. Właśnie klęczała przy jednej z nich w poszukiwaniu szczotki do włosów, gdy usłyszała, jak Athena woła ją po imieniu.

- Tu jestem! - odrzyknęła.

Przestała grzebać w walizce i obejrzała się na drzwi. Na schodach dały się słyszeć lekkie kroki i po chwili Athena znalazła się w jej pokoju.

- Wpadłam tylko na chwilę, żeby się z tobą przywitać i życzyć ci wesołych świąt - wyjaśniła siadając na łóżku Judyty. - Właśnie Loveday powiedziała mi, że przyjechałaś. Jak ci leci?

- Wszystko w porządku - odpowiedziała przysiadając na piętach.

Z całej rodziny Carey-Lewisów Judyta najmniej знаła właśnie Athenę. Przy pierwszych z nią spotkaniach czuła się nieco onieśmielona. Nie dlatego, żeby Athena nie była przyjazna i bezpośrednia - wręcz przeciwnie! Tyle że swą wyrafinowaną urodą zaćmiewała wszystko wokoło. W Nan-cherrow bywała rzadkim gościem, gdyż po debiucie towarzyskim na salonach Szwajcarii, jako osoba już

dorośla, wolała pędzić próżniaczy żywot w samodzielnym mieszkanku swej matki w zaułku Cadogan. Nie podjęła dotychczas żadnej pracy, z wdziękiem wymawiając się, że wtedy życie nie byłoby już tak urocą improwizacją. Gdy zarzucano jej, że nic nie robi - przebąkiwała coś o organizacji balów na cele dobroczynne lub promowaniu twórczości chorego na suchoty malarza czy rzeźbiarza.

Prowadziła natomiast bardzo bujne życie towarzyskie. Mężczyźni lgnęli do niej jak muchy do miodu. Przebywając w Nancherrow, odbierała nieustannie telefony od stęsknionych adoratorów. Jednym obiecywała, że się odezwie, jak tylko wróci do Londynu - wobec innych zaś się usprawiedliwiała, dlaczego nie może się z nimi spotkać. Kiedyś któryś raz z rzędu tłumaczyła się chorobą ojca, pułkownik w końcu nie wytrzymał i stwierdził, że aż dziw, iż przy tylu chorobach jeszcze nie umarł! Judyta raczej jej współczuła, niż zazdrościła, bo uważała, że taka uroda to także wielka odpowiedzialność. Athena miała długie blond włosy, nieskazitelną cerę i wielkie niebieskie oczy obrzeżone czarnymi rzęsami. Była równie wysoka, szczupła i długonoga jak matka, używała jaskrawoczerwonej szminki i lakieru do paznokci, a jej stroje były zawsze ostatnim krzykiem mody. Będąc na wsi mogła ubierać się mniej zobowiązująco, toteż miała dziś na sobie spodnie o męskim kroju, jedwabną koszulową bluzkę i żakiet z wielbłądziej wełny z watowanymi ramionami i diamentową broszką w klapie.

Judyta domyślała się, że broszkę tę Athena musiała otrzymać od któregoś z licznych wielbicieli. Ci bowiem wiecznie zasypywali ją prezentami, nie tylko na gwiazdkę czy urodziny, lecz nawet bez specjalnego pretekstu. I nie były to tylko kwiaty czy książki, lecz zwykle biżuteria,

na przykład złote breloczki do bransoletki lub kosztowne futerka z soboli i norek. Nawet teraz, gdy siedziała na łóżku Judyty, cały pokój wypełniał aromat jej perfum. Judyta wyobraziła sobie od razu kryształowy flakon tych perfum, ofiarowany Athenie przez kolejnego szalejącego na jej punkcie mężczyznę. Oczami duszy zobaczyła też, jak Athena beztrudno odstawia ten flakon na swoją toaletkę, gdzie stoi już tuzin podobnych.

Trzeba jednak przyznać, że przy tym wszystkim Athenie nie przewróciło się w głowie. Zawsze okazywała innym dziewczętom życzliwość, chętnie im pożyczła stroje i doradzała, jak mają się czesać. Mężczyzn uważała za nudziarzy i nieraz chroniła się przed ich natrętną adoracją w zaciszu domowym, choćby na krótko.

Teraz rozsiadła się wygodnie na łóżku Judyty podwijając nogi pod siebie, gotowa do pogawędki.

- W jakim ślicznym kolorze masz sweter! Gdzie go kupiłaś?

- W zeszłym roku w Plymouth.

- Rzeczywiście, nie byłaś wtedy u nas. Bardzo nam ciebie brakowało! Jak ci leci w szkole? Pewnie masz już jej serdecznie dość? Kiedy byłam w twoim wieku, ten idiotyczny regulamin doprowadzał mnie do szału. Dobrze, że już niedługo skończysz szkołę i wyfruniesz do Singapuru. Edward mówi, że dopiero kiedy ukończył Harrow, zdał sobie sprawę, jakie to było ogłupiające. Cambridge to już zupełnie inny świat!

- Widziałaś się z nim ostatnio?

- Tak, przed wyjazdem do Arosy spędziliśmy razem wieczór w Londynie. Świetnie się bawiliśmy - jedliśmy steki, piliśmy szampana i wymienialiśmy najświeższe plotki. Uwierzyłyabyś, że zapisał się do aeroklubu i uczy się pilotować samoloty? Masz pojęcie, jaki on jest odważny?

- Rzeczywiście - przyznała szczerze Judyta. Na samą myśl o pilotowaniu samolotu ogarniało ją przerażenie.

- Mówił, że to najwspanialsze zajęcie na świecie. Unosi się w powietrzu jak mewa i patrzy na wszystko z góry!

- Myślisz, że na święta przyjedzie?

- Prędzej czy później musi. W co się ubierzesz do uroczystej kolacji? Masz coś nowego?

- Owszem, sukienkę. Może już nie całkiem nową, ale jeszcze nie miałam jej na sobie.

- W takim razie jest nowa. Jak ona wygląda?

- Mama przysłała mi na urodziny prawdziwe indyjskie sari, twoja mamusia narysowała model, a wasza krawcowa uszyła mi z tego sukienkę.

Kiedy tak plotkowała z Atheną o strojach, czuła się jak dorosła. Z Loveday nie dało się o tym rozmawiać, gdyż nie przykładła wagi do swego wyglądu i ten temat ją nudził. Natomiast Athena wykazywała żywe zainteresowanie.

- To brzmi fantastycznie! Masz ją tutaj? Mogę zobaczyć?

- Tak, wisi w szafie.

- Pokaż ją, pokaż koniecznie!

Judyta wstała z podłogi, otworzyła szafę i wyjęła z niej wyściełany wieszak, na którym wisiała suknia owinięta czarną bibułą.

- To jest po to, żeby złota nitka nie poczerniała od światła - wyjaśniła, odwijając zwoje bibułki i rozpościerając fałdy sukienki na całą szerokość. Była z tak cienkiego jedwabiu, że prawie nic nie ważyła. Dół spódnicy i mankiety krótkich, bufiastych rękawków ozdobił haftowany złotą nitką szlak z powtarzającym się motywem złotych kluczyków.

Athena rozdziawiła usta na całą szerokość.

- Ależ, kochanie, to jest boskie! I ten kolor, trochę turkusowy, a trochę niebieski... Będziesz miała wszystkich facetów u stóp, aż mnie zazdrość bierze!

Judycie zrobiło się lekko i przyjemnie na duszy, bo

aprobata i szczerzy entuzjazm ze strony takiej Atheny, to już było coś!

- Jakie masz do tego pantofelki? - wypytywała dalej Athena, taksując ją spod opuszczonych powiek. - Złote czy niebieskie?

- Złote, coś w rodzaju sandałów.

- W takim razie musisz mieć do tego złotą biżuterię, szczególnie duże złote kolczyki. Mam coś takiego, pożyczę ci, a teraz szybko owiń to z powrotem w bibułkę, jeśli rzeczywiście miałoby poczernić.

Ze swego miejsca przyglądała się Judycie przy tej czynności, a potem szeroko ziewnęła i spojrzała na zegarek.

- O rany, już za piętnaście pierwsza! Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Zejdźmy na dół, zanim Nettlebed zacznie walić w gong.

Z wdziękiem wstała z łóżka, przeczesła palcami lśniące włosy i już była gotowa.

- Przeze mnie nie zdążyłaś się rozpakować? To nic, zrobisz to później. Czy to nie wspaniałe, że są święta i mamy masę wolnego czasu?

Następnego dnia rano Judytę obudziła wichura, która zerwała się w nocy. Silny wiatr od morza tłukł w okna, aż trzęsły się futryny. Przed zaśnięciem pozostawiła uchylone okno i teraz wiatr otworzył je na całą szerokość, aż firanki tańczyły jak opętane. Wstała więc, choć było jeszcze ciemno i trzęsąc się z zimna, zatrzasnęła okno. Nadal dźwięczały w nim szyby, lecz przynajmniej wiatr nie hulał po pokoju. Zapaliła nocną lampkę i spojrzała na zegarek - była siódma rano! Ponieważ po nocnej burzy jeszcze nie robiło się jasno, wróciła do ciepłego łóżka i naciągnęła puchową kołdrę wysoko pod szyję.

Całkiem już rozbudzona, wspominała wczorajszy dzień i zastanawiała się, co przyniesie dzisiejszy. Do Nancherrow przybywali coraz to nowi goście. Ostat-

ni dotarli Pearsonowie, mając za sobą długą podróż z Londynu samochodem po oblodzonych szosach. Na ich powitanie cała rodzina wyległa do hallu, więc pocałunkom i uściskom pod rzęsiście oświetloną choinką nie było końca. Nowo przybyli stanowili zgraną parę typowych przedstawicieli wyższych sfer Londynu. Nie wyglądali na swój wiek - on w granatowym płaszczu z zamotanym wokół szyi fularem, ona w czerwonej pelisie z kołnierzem z białego lisa. Na głowie miała jedwabną chusteczkę, a kiedy ją zdjęła - na puszystym lisim futrze rozsypały się jej rozpuszczone ciemne włosy.

- Och, jak to cudownie, że przyjechaliście! - Diana była szczerze przejęta. - Mielicie chyba ciężką drogę?

- Było strasznie ślisko, ale Alistair nigdy nie traci głowy. Wyglądało, jakby lada chwila miał spaść śnieg. Dobrze, że nie było z nami dzieci i niani, bo umarłaby chyba ze strachu.

- Gdzie są wasze bagaże? Jeszcze w samochodzie?

- Tak, i mamy masę prezentów pod choinkę...

- Zaraz Nettlebed wszystko zabierze. Gdzież on jest? Nettlebed!

Kamerdyner błyskawicznie znalazł się na miejscu.

- Niech jaśnie pani się nie martwi. Ja się wszystkim zajmę.

Pearsonów zakwaterowano w dużej sypialni z łóżem pod baldachimem. Pewnie do tej pory tam spali, chyba że zbudził ich sztormowy wiatr, tak samo jak Judytę.

Wiatr nie zamierzał wcale ustać, a co gorsza, przyniósł ulewny deszcz, którego potoki chlustały teraz w okna. Judyta miała nadzieję, że nie będą to opady ciągłe, jednak najmniej w tej chwili martwiła się pogodą. Bardziej dręczyła ją świadomość, że pod choinką piętrzyła się już góra prezentów, a ona jeszcze nic dla nikogo nie kupiła, gdy przemyślała tę sprawę - wstała z łóżka i nałożyła szlafrok.

Usiadła przy biurku i zaczęła sporządzać listę tych, których chciała obdarować. Naliczyła siedemnaście

osób. Musiała więc kupić siedemnaście upominków, a zostały jej na to tylko trzy dni. Nie było więc ani chwili do stracenia. Podczas porannego mycia ułożyła plan działania, potem już tylko uczesała się, ubrała i zeszła na dół.

Była dopiero ósma, a w Nancherrow śniadanie jadano o wpół do dziewiątej. Judyta wiedziała jednak, że pułkownik zawsze przychodzi do jadalni wcześniej, aby w spokoju zjeść jajka na bekonie i przeczytać gazetę.

1 rzeczywiście, siedział już na swoim miejscu u szczytu stołu. Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, opuścił gazetę i spojrzał znad okularów, zdenerwowany, że ktoś mu przeszkadza. Jednak na widok Judyty rysy jego twarzy złagodniały i wyraźnie się rozpromieniły. Judyta po raz któryś z rzędu pomyślała, że pułkownik jest chyba najlepiej wychowanym człowiekiem na świecie.

- Ach, to ty, Judyto!

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Kiedy zamykała drzwi za sobą, na kominku akurat zajęły się węgle, wydzielając przenikliwy swąd. - Wiem, że pan pułkownik wolałby mieć spokój, ale mam taki problem, że chyba tylko pan może mi pomóc...

- Chętnie, a co to takiego?

- No więc chodzi o...

- Zaraz, zaraz - przerwał jej. - Najpierw coś zjedz. Na pusty żołądek nie powinno się podejmować żadnych decyzji.

Judyta znów poczuła przyływ sympatii do tego dystyngowanego starszego pana. Polubiła go od razu i przy nim szybko wyzbyła się nieśmiałości. On ze swej strony traktował ją jeśli nie jak córkę, to przynajmniej jak ulubioną siostrzenicę. Podeszła więc posłusznie do bocznego stolika, wzięła sobie jajko na miękko i szklanekę herbaty i z tym wróciła do stołu.

- Dobrze więc, o co chodzi? - zachęcił ją pułkownik.

- O prezenty gwiazdkowe - wyjaśniła. - Jeszcze nikomu nic nie kupiłam, bo w szkole nie miałam możliwości, a potem zabrakło mi czasu. Rodzicom i siostrze wysłałam upominki już dawno, ale do

Singapuru poczta idzie bardzo długo. A teraz zrobiłam listę i widzę, że potrzeba mi siedemnastu prezentów.

- To jest nas tu aż siedemnaścioro? - Pułkownik wyglądał na lekko zaskoczonego.

- Jeśli nawet jeszcze nie ma, to do świąt będzie.

- Więc w czym mogę ci pomóc?

- To nic takiego, tylko chciałam wiedzieć, czy ktoś przypadkiem nie jedzie samochodem do Penzance. Wtedy mogłabym zabrać się z nim i porobić zakupy. Nie wspominałam o tym Dianie, bo ona i tak jest zajęta gośćmi, ale może pan pułkownik wie coś na ten temat?

- Dobrze, że zwróciłaś się z tym do mnie, bo Diana zwija się jak w ukropie i nie doszłabyś z nią do ład. Możemy przecież razem wyskoczyć do Penzance.

- Ale ja wcale nie miałam na myśli tego, żeby pan tam jechał specjalnie dla mnie!

- Wiem, ale i tak muszę jeszcze pojechać do banku, więc nawet lepiej, jeśli załatwię to już dziś. Co innego można robić w taką okropną pogodę? - dodał wyglądając przez okno.

- Naprawdę musi pan jechać do banku?

- Muszę, bo bardzo nie lubię robić zakupów, więc sprawę prezentów załatwiam w ten sposób, że każdemu wręczam kopertę z okrągłą sumką w środku. Aby taki prezent ładniej wyglądał, staram się, żeby banknoty były nowe, czyste i świeże. W tym celu muszę pobrać je wprost z banku.

- Załatwianie sprawy w banku długo nie potrwa, a ja potrzebuję co najmniej dwóch godzin. Nie chciałam, aby pan musiał na mnie czekać.

- Nie muszę wcale czekać. Mogę przecież pójść do klubu, napić się czegoś, przejrzeć gazety, porozmawiać ze znajomymi...

Spojrzał na zegarek.

- Jeśli się pospieszymy, to na dziesiątą będziemy w Penzance i akurat zdążymy na lunch. Najlepiej będzie, jeśli spotkamy się „Pod Mitrą” o wpół do pierwszej, to będziesz miała dwie i pół godziny na zakupy. Dla Diany to by było tyle co nic; ona potrzebuje pół dnia, aby wybrać kapelusz.

Pułkownikowi tak rzadko zdarzało się żartować, że Judyta miała ochotę go uściskać, tylko się krępowała. Zamiast tego powiedziała:

- Och, jak to ładnie z pana strony! Zdjął mi pan kamień z serca!

- Pamiętaj, nigdy nie duś w sobie tego, co cię gryzie. Obiecuj mi, że zawsze będziesz mi mówiła o swoich problemach. A teraz bądź tak miła i nalej mi jeszcze kawy...

W Penzance pogoda też nie była lepsza. Ulicami płynęły potoki wody, a po powierzchni przelewających się rynsztoków pływały śmiecie i obłamane gałązki. Przechodnie robiący zakupy daremnie usiłowali otworzyć parasole; wiatr natychmiast wywracał je na drugą stronę. Ci, którym zerwał kapelusze z głów, tracili je na zawsze. Z dachów spadały dachówki i roztrzaskiwały się w drobny mak na chodnikach. Mimo wczesnej pory było tak ciemno, że w sklepach i biurach zapalono światło. Od strony plaży dawał się słyszeć szum fal przyływu. Powtarzano sobie z ust do ust, jakie szkody wyrządziła już wysoka fala: zalane domy, podmyte drzewa, uszkodzony basen pływacki, deptak i urządzenia portowe...

W mieście panowała więc atmosfera jak w oblężonej twierdzy, co było na swój sposób zabawne.

Judyta, zaopatrzona w nieprzemakalną kurtkę, gumowe buty i wełniany kapelusz nasunięty głęboko na uszy, krążyła od sklepu do sklepu, coraz bardziej obciążona paczkami, paczuszkami i torbami.

O wpół do dwunastej, kiedy znalazła się w sklepie papierniczym W. H. Smitha, miała już prezenty dla wszy-

stkich z wyjątkiem Edwarda. Zostawiła go na koniec z dwóch powodów: raz, że nie miała pomysłu, co mu kupić, a po drugie - nie była pewna, czy zdąży on dojechać na święta do Nancherrow. Diana zapewniała wprawdzie, że wróci z Arosy, ale nikt nie mógł wiedzieć tego na pewno. Judycie zaś tak zależało na spotkaniu z nim, że nie chciała zapeszyć i postępowała jak ktoś, kto bierze parasol, wmawiając sobie, że właśnie dzięki temu deszcz nie spadnie. Podejrzewała, że jeśli nie kupi mu prezentu - wtedy on przyjedzie na pewno, tylko że nie będzie miała co mu podarować! Jeśli natomiast zawnoczuje coś dla niego - wtedy z pewnością w ostatniej chwili Edward zdecyduje się pozostać w Arosie. Wyobrażała sobie nawet, jak to może wyglądać - do Nancherrow przychodzi telegram ze Szwajcarii, Diana otwiera kopertę i czyta na głos tekst w rodzaju: „Przepraszam, ale jednak zostanę tu jeszcze przez święta. Do zobaczenia w Nowym Roku...”

Od tych pesymistycznych rozważań oderwała ją zdenerwowana dama, usiłująca dopchać się do lady z papeterią, którą właśnie kupiła:

- Może by tak pani mnie przepuściła? - warknęła.

- Przepraszam...

Judyta zebrała swoje pakunki i odsunęła się na bok, ale ten drobny incydent przywrócił jej jasność myśli. Oczywiście jest, że musi kupić prezent dla Edwarda! Jeśli nie będzie go w Nancherrow podczas świąt, najwyżej wręczy mu upominek kiedy indziej. Akurat stała przy stercie pięknie wydanych książek, więc przez chwilę myślała, czyby nie kupić mu książki? Zdecydowała jednak, że nie, i mimo wiatru i deszczu skierowała się w stronę sklepu Medwaya.

Nawet w tym ponurym, staroświeckim sklepie czuć było świąteczny nastrój. Z lamp zwisały papierowe dzwonki, a klientów kręciło się więcej niż zwykle. Większość / nich stanowiły gospodynie domowe, kupujące dla swo-

ich mężów wełniane skarpetki lub koszule i zastanawiające się nad numerem kołnierzyka. Judyta jednak nie miała zamiaru kupować Edwardowi skarpetek, a i koszul na pewno miał wystarczająco dużo. Stałaby więc i myślała w nieskończoność, gdyby nie podszedł do niej najstarszy spośród subiektów. Ledwie na niego spojrzała, w jej głowie zrodził się pomysł.

- Chciałabym szalik - wypaliła.

- Na prezent gwiazdkowy, prawda?

- Tak, w jakimś wesołym kolorze. Nie granatowy ani szary, może czerwony?

- A co by pani powiedziała na szkocką kratę? Mamy ładne szkockie szaliki, tyle że kaszmirowe, a więc dosyć drogie.

Od razu wyobraziła sobie Edwarda z kaszmirowym szalikiem w szkocką kratę niedbale zamotanym wokół szyi.

- Nie szkodzi, jeśli nawet są trochę droższe - zapewniła więc szybko.

- Może pani będzie łaskawa je obejrzeć.

Judyta wybrała kratę w najjaskrawszych odcieniach czerwieni, zieleni i żółci. Sprzedawca zabrał szalik na zaplecze, aby go zapakować, więc tymczasem zaczęła się rozglądać. Nie dało się ukryć, że ten staroświecki sklep był szczególnie odpowiednim miejscem do przywoływania wspomnień. Tu przecież po raz pierwszy spotkała Dianę Carey-Lewis i Loveday. Tu też pomagała Edwardowi wybierać materiał na garnitur, a potem poszli razem na lunch...

- Służę pani uprzejmie. - Ekspedient przyniósł paczkę zapakowaną w papier z motywami ostrokrzewu.

- Proszę, oto pani rachuneczek.

- Dziękuję bardzo.

Judyta wypisała czek. Akurat kiedy go podpisywała, otworzyły się drzwi i do sklepu wpadł podmuch wiatru z deszczem. Na szczęście nowy przybysz zaraz zamknął drzwi, lecz gdy Judyta wręczała czek sprzedawcy, usłyszała za sobą dźwięk swojego imienia. Przestraszona odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Edwardem.

- A kuku, niespodzianka! - przywitał ją ze śmiechem.
- Skąd się tu nagle wzięłaś? I co tu w ogóle robisz?
- Szukam ciebie.
- Myślałam, że jesteś w Arosie.
- Przyjechałam dziś rano nocnym pociągiem z Londynu.
- Ale...
- Czekaj - przerwał kładąc jej rękę na ramieniu. Obrzucił przy tym niedowierzającym spojrzeniem kupę pakunków przyniesionych przez Judytę. - Nie będziemy przecież rozmawiać w sklepie. To wszystko twoje? - Tak, zakupy świąteczne. - Kupiłaś już wszystko, co chciałaś?
- Tak, to był ostatni zakup.
- No więc chodźmy stąd.
- Dokąd?
- „Pod Mitrę”. Chyba tam umówiłaś się z ojcem?
- Ale...
- Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Pozbierał tyle jej paczek, ile mógł unieść, i mając obie ręce zajęte, jakoś torował sobie drogę ku drzwiom. Judyta podniosła więc z podłogi to, czego nie zdążył zabrać, i pospieszyła w ślad za nim. Edward pchnął ramieniem ciężkie, oszklone drzwi i przytrzymał je, dopóki nie przeszła. Popędzili pod wiatr przez zalaną deszczem Chapel Road. Edward jak zwykle przebiegł śmiało przez jezdnię i schronili się wreszcie w ciepłym salonie hotelu „Pod Mitrą”. Pachniało tam wprawdzie piwem i dymem papierosowym, ale za to na kominku płonął ogień i nikogo oprócz nich nie było.

Edward ułożył zakupy Judyty w zgrabny stosik na podłodze.

Zdejmij tę mokrą kurtkę i ogrzej się - rzekł zachęcająco - a ja tymczasem zamówię kawę. Pewnie będzie paskudna, ale przynajmniej gorąca.

Rozglądał się, aż znalazł przycisk dzwonka w pobliżu kominka. Nacisnął go, a Judyta tymczasem zdjęła ociekającą wodą kurtkę i rozwiesiła ją, nie znalazłszy lepszego miejsca, na oparciu krzesła. Zdjęła też kapelusz i rozpuściła wilgotne włosy.

Na dźwięk dzwonka zjawił się mocno podstarzały kelner.

- Chcieliśmy prosić o kawę - zadysponował Edward. -I to dużo, może ze dwa dzbanki. Do tego jakieś ciasteczka.

Judyta odszukała w swojej torebce grzebień i próbowała doprowadzić włosy do ładu. Nad kominkiem wisiało lustro, więc stając na palcach mogła się przejrzeć. Zobaczyła swoją twarz z policzkami zaróżowionymi od wiatru i oczyma błyszczącymi ze szczęścia. „Jak to od razu widać” - pomyślała.

Odłożyła grzebień i spojrzała na Edwarda.

Wyglądał tego dnia świetnie. Był wprawdzie nie ogolony, lecz za to opalony, silny i sprawny. Kiedy zdjął znoszony narciarski skafander, miał pod spodem granatowy golf i sztruksowe spodnie lekko schłapane przez deszcz. Aby je wysuszyć, podszedł bliżej do kominka -wtedy zaczęły parować.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziała mu otwarcie.

- Ty też.

- Nie wiedzieliśmy, że już wracasz.

- Zawsze wracam, tylko że nie mam zwyczaju zawiadamiać o tym żadnymi telegramami. Nie zamieniłbym świąt w domu na najlepszy w świecie zjazd narciarski, ale gdybym uprzedził, kiedy przyjadę, mamuśka z uporem maniaka chciałaby wyjeżdżać po mnie na stację i robić niepotrzebne zamieszanie. Zresztą jeśli podróżuje się po Europie, lepiej nie podawać żadnych terminów, bo nie jesteś w stanie przewidzieć, na który pociąg zdążysz, czy prom w ogóle kursuje i tak dalej.

Judyta zgodziła się z jego rozumowaniem i uznała, że jest to słuszna filozofia. Tylko coś jej się nie zgadzało...

- To kiedy w końcu tu dotarłeś?

Zanim cokolwiek odpowiedział, poszperał w kieszeni spodni, wyjął stamtąd paczkę papierosów i zapalniczkę. Zapalił, wypuścił kłęb dymu i dopiero wtedy uśmiechnął się do Judyty.

- Przecież ci powiedziałem, że przyjechałem nocnym pociągiem. Jestem tu od siódmej rano.

- Tylko że nikt na ciebie nie czekał?

Nic nie mówiąc, rozglądał się i szukał miejsca, gdzie mógłby usiąść. Wzrok jego zatrzymał się na starym fotelu, więc przysunął go do ognia i opadł na wgniecione siedzenie.

- I co robiłeś do tej pory? - Judyta nie dawała mu spokoju.

- Nie chciałem tak wcześnie dzwonić do domu i prosić, żeby ktoś po mnie przyjechał, a na taksówkę szkoda mi było pieniędzy. Zostawiłem więc bagaż w przechowalni, poszedłem do tego klubu, do którego należy tato, i waliłem w drzwi tak długo, aż mnie wpuścili.

- Nie wiedziałam, że jesteś członkiem tego samego klubu co twój ojciec.

- Nie jestem, ale wszyscy mnie tam znają, więc kiedy opowiedziałem im, że jestem już od dwóch dni w drodze i nawet nie miałem gdzie się umyć - pozwolili mi skorzystać z łazienki i jakaś miła pani podała mi śniadanie.

- Ty to masz tupet! - podziwiała Judyta.

- Raczej szybki refleks. Wymoczyłem się w wannie chyba przez godzinę, a śniadanie było pyszne - jajka na bekonie, parówki, gorąca herbata! Obzerałem się w najlepsze, bo przez dwanaście godzin nie miałem nic w ustach, aż tu kto się zjawia? Tato!

- Pewnie miał taką minę jak ja, kiedy cię nagle zobaczyłam?

Mniej więcej taką samą.

No wiesz! Mógł dostać ataku serca!

Głupstwa pleciesz, bardzo się ucieszył, że mnie widzi.

Przysiadł się do mnie, wypiliśmy razem herbatę i wtedy powiedział mi, że przywiózł cię do miasta po zakupy i umówiliście się tu o wpół do pierwszej. Poszedłem więc poszukać cię, żebyś się szybciej zwijała.

- A skąd wiedziałeś, że będę u Medwaya?

- Ponieważ nie było cię w żadnym innym sklepie, więc został mi tylko ten. I, jak widać, udało mi się. Na myśl, że chciało mu się w taką pogodę szukać jej po wszystkich sklepach w Penzance, ogarnęła Judytę falą ciepła.

- Mogłeś przecież siedzieć sobie wygodnie w klubie i czytać gazetę - żartobliwie zwróciła mu uwagę.

- Dosyć nasiedziałem się w pociągu. Lepiej opowiedz mi, co porabiałaś przez ten czas.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, do salonu powrócił starszy kelner, niosąc tacę z dzbankami kawy, filiżankami i spodkami. Do tego przyniósł dwa małe ciasteczka na talerzyku.

Edward sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść drobniaków i wręczył mu, dodając:

- Reszty nie trzeba.

- Dziękuję szanownemu panu.

Po jego wyjściu Judyta przykłękała na dywaniku przed kominkiem i naląła kawy do filiżanek.

Pachniała jakoś dziwnie, ale przynajmniej była gorąca.

- No więc, co się z tobą działo? - Edward powtórzył pytanie.

- Nic takiego, jak to w szkole.

- Współczuję ci, ale ani się obejrzysz, kiedy ją skończysz, i dopiero będziesz zachodzić w głowę, jak mogłaś w ogóle to przeżyć. A co w Nancharrow?

- Jeszcze stoi.

- Głuptasie, chodzi mi o to, co się tam dzieje. Kto już jest?

- Teraz, kiedy przyjechałeś, to chyba wszyscy.

- A z krewnych i znajomych?

- Pearsonowie. Przyjechali wczoraj wieczorem z Londynu.
 - Aha, Jane i Alistair! Dobrze, bo to porządni ludzie.
 - Jeszcze dziś mają dojechać pociągiem ich dzieci z nianią.
 - No cóż, trzeba będzie i to przeżyć.
 - Na same święta ma przyjechać też Tommy Mortimer, tylko nie wiem dokładnie kiedy.
 - Jakżeby inaczej? „Diano, moja najdroższa, może kapeczkę martini?” - parodiował afektowany ton głosu Tommy'ego Mortimera.
 - Nie przesadzaj, on wcale nie jest taki.
 - Oczywiście, tak naprawdę to nawet lubię tego starego pryka. A za Atheną nie przywłókł się żaden wzdychulec?
 - Tym razem jakoś nie.
 - No, to prawdziwe święto. A jak się czuje ciocia Lawinia?
 - Jeszcze jej nie widziałam, bo puścili nas ze szkoły dopiero wczoraj. Z tego, co wiem, ma przyjechać dopiero na świąteczną kolację.
 - Już to sobie wyobrażam, poczciwa, stara ciotunia w dostojnej czarnej sukni! - Upił trochę kawy i skrzywił się. - Ależ to lura!
 - Opowiedz mi o Arosie - poprosiła.
- Edward odstawił filiżankę z tak ostentacyjnym brzękiem, że jasne było, iż nie zamierza już tknąć kawy.
- Fantastyczne miejsce - zaczął. - Ludzi mało, wszystkie wyciągi działały, dużo słońca i śniegu... Całymi dniami jeździliśmy na nartach, a wieczorami tańczyliśmy. Otworzyli tam teraz nową oberżę „Pod Trzema Huzarami”, gilzie przesiadywaliśmy do czwartej nad ranem. „Gdy dziewczę cię pokocha, całuska chętnie da...” - zanucił. - Co wieczór kazaliśmy orkiestrze to grać.
- My - to znaczy kto? - spytała, bo poczuła lekkie ukłucie zazdrości. - Kto tam był z tobą? Tylko moi koledzy z Cambridge.

- To rzeczywiście musiało być wspaniałe.
 - Nigdy dotąd nie jeździłaś na nartach? - Nie.
 - Muszę cię kiedyś tam zabrać.
 - Ale ja nie umiem jeździć na nartach!
 - To cię nauczę.
 - Athena mówiła mi, że uczysz się pilotażu.
 - Już umiem. Dostałem licencję pilota.
 - Nie boisz się?
 - Skądże, wiesz, jaką to daje satysfakcję? Czujesz się kimś niepokonanym, jakby nadczłowiekiem!
 - A czy to jest trudne?
 - Tak łatwe, jak prowadzenie samochodu, ale o wiele bardziej fascynujące.
 - Mimo wszystko musisz być piekielnie odważny.
 - No pewnie, „lotnik skrzydlaty, władca świata”, co? -żartował. Nagle, jakby go coś tknęło, odwinął mankiet swetra i spojrzał na zegarek. - Już piętnaście po dwunastej. Ojca tylko co patrzeć. Minęło południe, więc moglibyśmy napić się czegoś z bąbelkami.
 - Szampana? - Właśnie, czemu nie?
 - Czy nie powinniśmy raczej poczekać, aż twój ojciec przyjdzie?
 - Po co, kiedy on nie znosi szampana? A ty?
 - Jeszcze nigdy go nie piłam.
 - A więc najwyższy czas zacząć.
- Zanim zdążyła zaprotestować, podniósł się z fotela i ponownie nacisnął guzik dzwonka.
- O tej porze? - oponowała nieśmiało.
 - Jedną z zalet szampana jest to, że można go pić o każdej porze dnia i nocy. W ten sposób zaczniemy naprawdę świętować.

Judyta siedziała przy swojej toalecie, próbując pociągnąć rzęsy tuszem. Nigdy dotąd tego nie robiła, ale otrzymała od Atheny w prezencie gwiazdkowym kasetę z kosmetykami Elizabeth Arden, więc najprostszym sposobem wyrażenia wdzięczności było wypróbowanie makijażu na sobie. Tusz do rzęs miał formę kostki, którą należało zmoczyć, aby uczernić szczoteczkę. Athena rozrabiała tusz śliną, twierdząc, że w ten sposób dłużej się trzyma, ale Judyta uważała plucie za czynność wybitnie nieestetyczną i wołała moczyć szczoteczkę pod kranem.

Była już siódma wieczór w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia i Judyta szykowała się do uroczystej, świątecznej kolacji. Włosy nakręciła na papiloty, twarz zmyła specjalnym mleczkiem oczyszczającym i nałożyła podkład. Oprószyła to tylko sypkim pudrem, gdyż wołała nie różować policzków. Natomiast malowanie rzęs potraktowała jak rodzaj wyzwania - uda się czy nie? Szczęśliwie udało się jej nie wsadzić sobie szczoteczki do oka, co mogłoby mieć przykre konsekwencje. Kiedy skończyła, usiadła odchyłona do tyłu i starając się nie mrugać powiekami, czekała, aż tusz wyschnie. W lustrze widziała twarz z oczyma rozszerzonymi jak u lalki. Niewątpliwie dodawało to jej urody, więc nie mogła dociec, dlaczego dotychczas nie próbowała malować rzęs.

Czekając, aż tusz wyschnie, nad słuchiwała odgłosów dochodzących z innych części domu. Słysząc je było nawet przez zamknięte drzwi. W kuchni brzęczały talerze, a pani Nettlebed nawoływała męża. Z dalszej odległości dochodziły dźwięki walca z operetki „Hrabia Luksemburg”. Najwidoczniej Edward wypróbowywał gramofon podłączony do radia, w razie gdyby Diana zapragnęła urządzić tańce po kolacji.

Z bliska, bo z łazienki dla gości, dobiegał plusk wody i ożywione dziecięce głosiki. Świadczyło to, że niania Pearsonów kąpie swoich podopiecznych przed ułożeniem ich do snu. Dzieci jednak były zmęczone i rozdrażnione po dniu pełnym wrażeń, toteż zaczynały już marudzić, płakać, w końcu wrzeszczeć, a przypuszczalnie także i bić

się pomiędzy sobą. Judyta współczuła ich niani, która przecież musiała przez cały dzień uganiać się za tą dwójką. Na pewno czekała tylko, kiedy wreszcie zasną, żeby wymknąć się do pokoju dziecinnego, ulżyć swym opuchniętym nogom i poplotkować z Mary Millyway.

Wyglądało na to, że tusz na rzęsach już wysechł. Judyta pozdejnowała z włosów papiloty i uczesała się w „wałek pod spód”. Zrzuciła szlafrok i skierowała się w stronę łóżka, na którym leżała już rozłożona zawczasu zwiewna błękitna sukienka. Kiedy wkładała ją przez głowę, cienki jedwab był lekki jak piórko. Wsunęła ręce w rękawki, zapięła mały guziczek na karku i zamek błyskawiczny w talii. Suknia wydawała się jej nieco za długa, ale do sandałków na wysokim obcasie będzie w sam raz. Była już prawie gotowa, tylko wpięła złote kolczyki wspaniałomyślnie pożyczone przez Athenę, umalowała usta koralową szminką i spryskała się nowymi perfumami.

Wstała, aby obejrzeć się od stóp do głowy w dużym lustrze na środkowych drzwiach szafy. Miała powody do zadowolenia, gdyż wyglądała rzeczywiście dobrze. Była wysoka, szczupła, a przede wszystkim już dorosła - w nadchodzącym roku kończyła osiemnaście lat! No i sukienka prezentowała się wspaniale - przy każdym ruchu wirowała jej suto marszczona spódnica. Gdyby Edward poprosił ją do tańca, wyglądałaby jak Ginger Rogers! Modliła się, aby to nastąpiło.

Nadszedł już czas, aby zejść na dół. Pogasiła światła i wyszła na korytarz. Przez cienkie podeszwy sandałków czuła miękkość chodnika. Zza drzwi łazienki buchała para i pachniało mydłem. Judyta chciała tam zajrzeć, aby życzyć dobrej nocy, lecz zrezygnowała, gdyż właśnie usłyszała głos niani strofującej dzieci. Gdyby w tej chwili weszła, mogłyby znowu się rozbeczeć. Zeszła więc tylnymi schodami do salonu. Drzwi były otwarte, więc przed wejściem zatrzymała się i wzięła głęboki oddech, jak w czasie szkolnego przedstawienia, gdy miała wyjść na scenę.

Salon rozświetlony był rześcicie płomieniami z kominka, światłem lamp i migotaniem bombek choinkowych. Siedziała tam już ciotka Lawinia, dostojna w swojej czarnej aksamitnej sukni i diamentowej biżuterii. Fotel jej stał tuż przy kominku, a otaczali go kołem pułkownik, Tommy Mortimer i Edward. Trzymali w rękach kieliszki i byli tak pochłonięci rozmową, że nie zauważyli wejścia Judyty. Dostrzegła ją natomiast ciotka Lawinia i na powitanie pomachała ręką. Dopiero ten gest zwrócił uwagę mężczyzn.

Rozmowa urwała się i na chwilę zapadła cisza. Aby ją przerwać, Judyta musiała sama coś powiedzieć.

- Czyżbym była tu pierwsza? - zrobiła wstęp. Pułkownik aż potrząsnął głową ze zdumienia.

- Boże, przecież to Judyta! Ledwo cię poznałem, kochanie.

- Cóż za olśniewająca uroda! - dodał Tommy Mortimer w swój zwykły, afektowany sposób.

- Nie rozumiem, co was tak dziwi! - ofuknęła ich ciotka Lawinia. - To chyba normalne, że ładna dziewczyna ładnie wygląda. Co za wspaniałe kolor sukni, całkiem jak piórka zimorodka!

Jeden Edward nie odezwał się ani słowem, tylko odstawił kieliszek i wyszedł Judyty naprzeciw.

Wziął ją za rękę, a ona tylko spojrzała mu w oczy i już wiedziała wszystko.

- Piliśmy właśnie szampana - zdobył się w końcu na to banalne stwierdzenie.

- Znowu?

Zrozumiał aluzję i parsknął śmiechem.

- Chodź, napij się z nami.

Kiedy po latach Judyta wspominała Boże Narodzenie 1938 roku w Nancherrow, obraz pozostały w jej pamięci przypominał malarstwo impresjonistów. Nie było na nim ostrych kontrastów, tylko barwne, pastelowe plamy na

przyćmionym tle mebli, boazerii i portretów rodzinnych na ścianach. Świątecznie zastawiony stół tworzył właśnie taką kolorową plamę. Stały na nim srebrne kandelabry, leżały gałązki ostrokrzewu, trzaskawce z czerwonego papieru, misy owoców, orzechów i czekoladek. Błat był z ciemnego mahoni, od którego odbijały się śnieżnobiałe serwetki i obrusiki, skrupulatnie dobrane srebra rodzinne i kryształowe kieliszki przejrzyste jak bańki mydlane.

Judyta zapamiętała na zawsze, gdzie kto siedział i jak był ubrany. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie stroje wieczorowe - smokingi, wykrochmalone gorsy śnieżnobiałych koszul i muszki. Pułkownik założył nawet sztywny kołnierzyk z zagiętymi końcami, przez co wyglądał, jakby wyskoczył ze złoconych ram wiktoriańskiego portretu. Natomiast kobiety jakby się zawczasu umówiły - ubrały się tak, aby kolory ich sukien harmonizowały ze sobą i żeby żadna nie zaćmiewała innych.

Pułkownik zasiadł u szczytu stołu w swoim ulubionym fotelu, a przy nim kręcił się czujny i uważny Nettlebed. Po prawej ręce pana domu miała miejsce ciotka Lawinia, a Judyta - między nią a Alistairem Pearsonem. Za nim siedziała Athena w obcisłej białej sukni bez rękawów, w której wyglądała jak bogini lata. Po przeciwnej stronie pułkownika usiadła Jane Pearson w swoim ulubionym kolorze - czerwieni. Po lewej ręce miała Edwarda, który tym sposobem znalazł się dokładnie vis-à-vis Judyty. Kiedy podnosiła oczy - napotykała jego spojrzenie, a wtedy on się uśmiechał, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę, i salutował w jej stronę kieliszkiem szampana.

Zaraz za nim siedziała jego młodsza siostra. Szesnastoletnia Loveday nie była już podlotkiem, choć jeszcze nie uważano jej za dorosłą pannę, ale bynajmniej się tym nie przejmowała. Tak jak i wcześniej, żyła tylko jazdą konną i większość czasu spędzała w stajni, pomagając Walterowi Mudge'owi przy obrządzaniu koni. Nie przykładała przy tym wagi do wyglądu zewnętrznego i prze-

ważnie chodziła w starych spodniach i powyciąganych swetrach. Tego wieczoru też nie miała na sobie żadnej biżuterii, ciemne loki jak zawsze były w nieładzie, a jej świeżej cery i charakterystycznych fiołkowych oczu nie zdobił makijaż. Natomiast pierwszy raz w życiu włożyła długą suknię, otrzymaną w prezencie gwiazdkowym od matki. Suknia wzbudzała ogólny podziw - była z zielonej organdy, nisko opadająca z ramion, a w karczku i talii suto zmarszczona. Samej Loveday też podobała się ta sukienka i ubrała się w nią bez oporów, co nadzwyczaj ucieszyło wszystkich, a szczególnie Mary Millyway, która najlepiej знаła przekorny charakter swojej wychowanki.

Za nią siedział Tommy Mortimer, a u przeciwnego szczytu stołu Diana w atłasowej sukni w kolorze stalowym, który w zależności od kierunku padającego światła wpadał to w szarość, to w błękit. Nosiła do niej biżuterię z pereł i diamentów, a jedynym barwnym akcentem były jej umalowane na czerwono paznokcie i wargi.

Przyjęcie nabierało rozpędu w atmosferze podgrzewanej winem. Wśród gwaru rozmów podano najpierw przystawkę - cieniutkie płaty wędzonego łososa. Potem wjechał na stół pieczony indyk, bekon, kiełbaski, a do tego pieczone kartofle, marchew i brukselka duszona w maśle. Wszystko to podlane było galaretką z żurawin, sosem winnym lub szarym. Gdy sprzątano talerze po tych daniach, nowa sukienka zaczynała wydawać się Judycie ciasna, a przecież nie koniec na tym! Podano jeszcze tradycyjny świąteczny pudding, szarlotkę i krem po kornwalijsku, orzechy i mandarynki. Kiedy rozdano trzaskawce, uroczysta świąteczna kolacja przerodziła się w dziecięcą zabawę, podczas której wszyscy nakładali sobie na głowę papierowe kapelusze i zasypywali się nawzajem niewybrednymi żarcikami.

Nareszcie nadeszła pora, kiedy zwyczajowo damy wstawały od stołu, zaszypane strzepami papieru, opakowaniami po czekoladkach, skorupkami orzechów i niedopał-

kami przepelniającymi popielniczki. Pod przewodem Diany panie przeszły do salonu, gdzie podano im kawę. Mijając męża, Diana w przelocie musnęła wargami jego czoło.

- Macie tylko dziesięć minut, żeby napić się porto -zakomunikowała. - Inaczej popsujecie nam cały wieczór.

- A co macie zamiar zrobić z resztą wieczoru?

- Jak to co? „Przetańczyć całą noc!”

I rzeczywiście, po upływie wyznaczonego czasu panowie dołączyli do pań. Diana zawczasu wydała zarządzenia, by zrolowano dywany i rozsunięto meble. Przy gramofonie piętrzyły się odpowiednio dobrane płyty. Judyta dobrze zapamiętała tytuły utworów, jakie były odtwarzane: „Dymek z papierosa”, „Kawusia z kożuskiem” i „Purpurowy zmierzch”...

W takt piosenki „Chodź, kochanie, na mały spacer” tańczyła z Tommym Mortimerem. Był on tak rutynowanym tancerzem, że nie musiała nawet myśleć, jak ma stawiać nogi. Następnym jej partnerem był Alistair Pearson, który z kolei prowadził ją wokół sali tak zamaszystymi ruchami, jakby była odkurzaczem.

Specjalnie dla ciotki Lawinii zagrano walca. Tańczyła go z pułkownikiem, wzbudzając powszechny zachwyty, ponieważ tylko oni, jako ludzie starszej daty, umieli we właściwy sposób wykonywać obroty. Ciotka unosiła z wdziękiem jedną ręką ciężkie fałdy aksamitnej sukni, ukazując przy tym pantofle o wysadzanych diamentami sprzączkach. Poruszała się tak lekko, jakby wciąż jeszcze była młodą dziewczyną.

Po długim tańcu Judycie zachciało się pić, więc rozejrzała się za sokiem pomarańczowym. Kiedy się odwróciła, stał przy niej Edward.

- Najlepsze zostawiłem na deser - stwierdził. - Odbębniłem towarzyską pańszczyznę, a teraz chciałbym zatańczyć z tobą.

Oczywiście było, że odstawiła szklanekę i dała się porwać w wir tańca. Gramofon odtwarzał właśnie piosenkę:

Gdy tylko cię ujrzałem, Me serce bić przestało...

Natomiast jej serce wcale nie przestawało bić, lecz odwrotnie - waliło jak młotem. Edward musiał to wyczuć, gdyż przyciskał ją mocno do siebie, nucąc jej piosenkę w samo ucho. Pragnęła, aby to trwało wiecznie, lecz jasne było, że wszystko, co dobre, musi się skończyć. Kiedy muzyka przestała grać, odprowadził ją na miejsce i żartobliwie podsumował:

- No, teraz już możesz napić się soku pomarańczowego. Pospieszył, aby go jej przynieść, tym bardziej że przez

moment zapanowała cisza. Wszyscy przyjęli tę przerwę z ulgą, bo każdy chciał odpocząć po męczących tańcach. Każdy, tylko nie Diana - dla niej czas musiał być zawsze wypełniony po brzegi. Tym razem kazała puścić płytę z klasycznym tangiem „Jealousie”. Najwidoczniej było to „białe tango”, gdyż zaraz podbiegła do fotela, na którym siedział Tommy Mortimer, złapała go za rękę i zmusiła do wstania. Posłusznie objął ją ramieniem i jedyni na parkiecie zaczęli tańczyć tango.

W wykonaniu tej pary był to prawdziwy spektakl, pokaz zawodowej biegłości w połączeniu z lekko groteskowym przerysowaniem ruchów. Każdy krok, gest czy obrót był przesadnie akcentowany, ale najbardziej widowiskowy okazał się finał. Wraz z ostatnim akordem gitarowej muzyki Diana przegięła się do tyłu przez ramię Tommy'ego tak, że włosami niemal dotykała podłogi. On też pochylił się nad nią w afektowanej pozie, a kiedy oboje powrócili do pozycji wyjściowej - nagrodzono ich burzą oklasków. Diana dopiero wtedy pozwoliła sobie na odprężający wybuch śmiechu. Natomiast ciotka Lawinia roniła tylko łzy szczęścia.

- Diano, kochanie, to było nadzwyczajne! Powinnaś występować na scenie! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się tak świetnie bawiłam... Tylko, widzisz, dochodzi już

północ. Myślę, że dla mnie już dosyć na dzisiaj, czas wracać do domu.

- Odwiozę ciocię - zaproponował natychmiast pułkownik, starając się nie okazywać zbytniego entuzjazmu.

- Nie cierpię psuć innym zabawy - usprawiedliwiała się, gdy pomagał jej wstać z fotela. - Jednak najlepiej jest wychodzić wtedy, kiedy człowiek naprawdę dobrze się bawi. Gdzie mój szal? Chyba w hallu...

Obeszła salon wokoło, całując się z każdym na dobranoc. Jeszcze od drzwi posłała Dianie całusa.

- Diano, kochanie, dziękuję ci za wspomniały wieczór. Jutro rano do ciebie zadzwonię.

- Niech ciocia dobrze się wyśpi i odpocznie.

- Może mi się to uda. Jeszcze raz dobranoc wszystkim. Wyszła w asyście pułkownika, a kiedy drzwi się za

nią zamknęły, Diana sięgnęła po papierosa. Towarzystwo opanował teraz dziwny nastrój - wszyscy poczuli się nagle jak dzieci, którym dorośli nareszcie przestali psuć zabawę. Z zapalonym papierosem Diana zaczęła przepytować swoich gości.

- Co teraz robimy?

Ponieważ nikt nie potrafił wymyślić nic sensownego, nagle sama wpadła na pomysł:

- Już wiem! Zagrajmy w sardynki!

- Och, mamó, kiedy ty wreszcie spoważniejesz? - jęknęła Athena znad kieliszka szampana.

- Co w tym złego? Od dawna w to nie graliśmy, a chyba każdy zna zasady?

Alistair Pearson poprosił, aby jednak przypomnieć reguły gry, bo dawno już nie bawił się w sardynki i zdążył to i owo zapomnieć.

- Gasi się światła w całym domu - zaczął tłumaczyć Edward. - Jedna osoba się chowa, a w tym czasie pozostali liczą do stu. Potem rozchodzą się na poszukiwanie. Ten, kto znajdzie ukrywającego się, nic nie mówi, tylko chowa się razem z nim. Tak samo postępują inni, dopóki

wszyscy nie stłoczą się w jednym miejscu jak sardynki w puszcze. Przegrywa ten, kto ostatni zostanie na placu.

- Ach, tak, przypominam sobie - oświadczył Alistair bez zbytniego entuzjazmu.

- Jest jedno ograniczenie - wtrąciła się Diana. - Możemy chować się tylko na parterze. Miejsca tu wystarczy, a na górze śpią dzieci i ktoś mógłby je obudzić.

- Albo wpaść do łóżka niani - dokończył Edward.

- No wiesz!

- Oczywiście przez pomyłkę - uzupełnił szybko.

- A skąd wiadomo, kto ma się schować pierwszy? - Alistair chciał wszystko wiedzieć dokładnie.

- Będziemy ciągnąć karty. Najstarszy kolor wygrywa, a najstarsze są piki.

Diana otworzyła szufladkę stolika brydżowego i wyjęła stamtąd talię kart. Ułożyła je w wachlarzyk i dała każdemu ciągnąć. Judyta odwróciła swoją kartę i stwierdziła:

- Mam asa pikowego!

Diana wyznaczyła Loveday do zgaszenia świateł.

- Mam zgasić naprawdę wszystkie światła w całym domu? - upewniała się ta ostatnia.

- Nie, na piętrze zostaw światło, bo niania może się wystraszyć albo ktoś spadnie ze schodów.

- Ale wtedy wszystko będzie widać!

- Prawie nic. No, leć szybko. Tymczasem Edward przejął inicjatywę.

- Masz czas, dopóki nie doliczymy do stu - poinformował Judytę. - Potem ruszamy twoim śladem.

- Czy wolno chować się wszędzie?

- Wszędzie z wyjątkiem kuchni, bo Nettlebedowie jeszcze nie uporali się ze zmywaniem. Poza tym masz wolną rękę. Loveday wróciła i zaanonsowała:

- Jest tak upiornie ciemno, że prawie nic nie widać. Judyta odczuwała pewien niepokój. To śmieszne, ale

wolałaby, żeby tę kartę wyciągnął kto inny. Gry tego ro-

dzaju zawsze ją denerwowały do tego stopnia, że podczas zabawy w chowanego odczuwała nieodpartą chęć udania się do toalety. Skoro jednak wypadło na nią, musiała jakoś to przeżyć.

- No więc do biegu... gotowa... start!

Zaczęli liczyć, jeszcze zanim Judyta dobiegła do drzwi. Doliczyli już do trzech, kiedy zamknęła je za sobą i zapadła się w ciemność jak w czarny aksamit. Rozpaczliwie próbowała znaleźć jakąś myśią dziurę, gdzie mogłaby się schronić, zanim, niczym psy gończe, zaczną następować jej na pięty.

Słyszała przez drzwi, że doliczyli już do piętnastu. Tymczasem jej oczy przyzwyczajały się do ciemności, tym bardziej że w drugim końcu hallu przesączało się nieco światła z lampy palącej się na piętrze.

Poprawiało to trochę sytuację, ale i tak nie było czasu do stracenia. Ostrożnie posuwała się po omacku, aby nie wpaść na jakiś stół czy krzesło, co mogłoby ją zdradzić. Przypominała sobie rozkład budynku i odległości od znanych jej miejsc. A więc na prawo znajdował się mały salonik, a za nim jadalnia. Po przeciwnej stronie była sala bilardowa i gabinet pułkownika. Judyta poszła śladem nikłego, padającego z góry światła i macając ręką po ścianie, wybrała drogę w lewo. Trzymając się wystającego ze ściany gzymsu, natrafiła to na stół, to na liście jakiejś rośliny doniczkowej, aż w końcu na framugę drzwi. Wodząc palcami po płytach, sięgnęła do klamki, nacisnęła ją i wśliznęła się do środka.

Znalazła się w ciemnym wnętrzu sali bilardowej. Delikatnie zamknęła drzwi od wewnątrz i łamiąc reguły gry, zapaliła światło. W pomieszczeniu pachniało starym suknem i dymem z cygar, stół bilardowy był przykryty pokrowcem, a kije - porządnie ustawione na stojakach. Judyta zwróciła uwagę na ciężkie, szczelnie zaciągnięte brokatowe zasłony. Zgasiła światło i starając się bezszelestnie stapać po dywanie, skierowała się w ich stronę.

Pamiętała, że okna w sali bilardowej mają szerokie pa-

rapety, bo nieraz chowały się tam z Loveday, by obserwować rozgrywki. Nie była to zbyt pomysłowa kryjówka, ale inna nie przychodziła jej na myśl, a czas naglił. Odsunęła więc store, zebrała w garść fałdy sukni i wdrapała się na parapet, a potem szybko zaciągnęła zasłony, wygładzając je tak, aby nie przeświecała między nimi szpara.

A więc to miała już za sobą - znalazła sobie kryjówkę! Umieściła się wygodnie, opierając się plecami o listwy żaluzji. Czuła się tam jak w małej, ciemnej izdebce, tyle że bardzo zimnej, bo okna były oblodzone, a grube zasłony izolowały wnękę od ciepła grzejników. Na zewnątrz niebo było zasnuwane chmurami, przez które od czasu do czasu przebłyskiwały gwiazdy. Kiedy Judyta wyglądała przez szpary żaluzji, widziała korony drzew uginające się od wiatru. Dopiero teraz, trzęsąc się z zimna, zdała sobie sprawę, że za oknem wyje wiatr, usiłując się wedrzeć przez każdą szczelinę.

Usłyszała z daleka odgłos otwieranych drzwi, więc zaczęła nasłuchiwać. Rozległo się wołanie: „Szukamy!”, co znaczyło, że skończyli już liczyć. Teraz inni uczestnicy przyjęcia poszli jej tropem. Od razu poczuła, że chętnie skorzystałaby z toalety, ale stanowczo odrzucała wszelkie myśli o tym. Modliła się tylko, żeby ktoś ją znalazł, nim całkiem zamarznie.

Mijały sekundy, z których każda wydawała się wiekiem. Raptem kroki i głosy, w tym piskliwy kobiecy śmiech, jakby się przybliżyły. Po chwili dał się słyszeć odgłos otwierania i zamykania drzwi, i to właśnie drzwi od sali bilardowej! Judyta zamarła, bo mimo że miękki dywan tłumił kroki - miała świadomość czyjejś obecności w pomieszczeniu. Wstrzymała oddech, aby jej nie zdradził, ale i tak zasłona się rozsunała i Edward szeptem wymówił jej imię.

Mimo woli wyrwało się jej westchnienie ulgi i ustąpiło drzenie.

- Tutaj jestem! - odszepnęła.

Edward jednym skokiem znalazł się na parapecie i zaciągnął za sobą storę. Emanowała od niego solidność, siła, poczucie bliskości i - co najważniejsze - ciepło.

- Wiesz, jak cię znalazłem? - spytał.

- Cicho, nic nie mów, bo usłyszą!

- Ale wiesz jak? - nie ustępował.

- Nie.

- Po zapachu.

- To potworne. - Zachichotała nerwowo.

- Ależ skąd, to twoje perfumy tak ślicznie pachną.

- Ale strasznie mi zimno!

- Bo tu jest zimno. - Przyciągnął ją do siebie i szybkimi ruchami zaczął rozcierać jej pokryte gęsią skórą ramiona, jakby osuszał psa, który wyszedł z wody. - Aleś zmarzła! No jak, lepiej teraz?

- O, dużo lepiej.

- To tak, jakbyśmy siedzieli w małym domku, bo jest i ściana, i okno, i akurat tyle miejsca, ile trzeba.

- Dopiero teraz zauważyłam, że na dworze jest straszny wiatr.

- U nas wieczorami zawsze dmucha. To taki prezent dla nas od morza. Dziś to nawet prezent gwiazdkowy!

Mówiąc to, już bez dalszych wstępów otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował w usta.

Zawsze wyobrażała sobie, że pierwszy pocałunek to straszne, niespotykane przeżycie, do którego trzeba się dopiero przyzwyczaić. Tymczasem pocałunek Edwarda, mocny i zdecydowany, nie był niczym strasznym, a przeciwnie - okazał się mniej więcej tym, o czym marzyła od miesięcy.

Kiedy wreszcie odjął usta od jej ust - nadal trzymał ją w objęciach, pocierał jej policzek swoim policzkiem i żartobliwie szturchał nosem ucho.

- Przez cały wieczór chciałem to zrobić - wyznał. - Odkąd zobaczyłem cię w tych „niebieskich piórkach zimorodka”, jak powiedziała ciocia Lawinia.

Odsunął się i zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

- I proszę, jaki z brzydkiego kaczątka wyrósł piękny łabędź! - Uśmiechnął się, co było widać nawet w tak słabym świetle.

Przez cienki jedwab sukni czuła ciepło jego dłoni, pieszczotliwie przesuwanej się po jej ramionach, wzdłuż pleców, talii i bioder. Znów ją pocałował, ale tym razem inaczej - z językiem wwiercającym się pomiędzy wargi. Równocześnie wsunął rękę pod jej pierś i zamknął ją w dłoni...

I w tym jednym momencie Judyta wydało się, że znów, jak przed laty, siedzi w ciemnym i dusznym kinie, a w jej intymność brutalnie wdzierają się ręka Billy'ego Fawcetta... Po latach spokoju wrócił dawny koszmar.

Przejął ją instynktowny strach i to, co przed chwilą wydawało się upragnione i miłe - nagle stało się groźne. Nie miało sensu wmawianie sobie, że to przecież Edward, bo w tej chwili było jej obojętne, kto to robi - ważne, że miało to związek z seksem! A z tym nie chciała teraz mieć nic wspólnego, tak samo jak wtedy, kiedy miała czternaście lat. Nie mogła więc się powstrzymać, aby nie odepchnąć Edwarda z tłumionym okrzykiem:

- Nie!

- Ależ, Judyto...

W jego głosie przebijało podniecenie. Patrzył na nią zaskoczony.

- Nie, Edwardzie! - powtórzyła, akcentując to przeczącym ruchem głowy.

- Czego się boisz? Przecież to ja!

- Nie chcę... nie możesz!

Znów go odepchnęła, tym razem skutecznie. Cofnęła się, aż ponownie dotknęła listewek żaluzji. Na chwilę zapanowała cisza, przerywana tylko skowytami wiatru. Irracjonalny lęk stopniowo ustępował i Judyta czuła, jak uderzenia jej serca wracają do normalnego rytmu.

„Co ja zrobiłam najlepszego?” - zadreślała się, czując wstyd, gdyż z jednej strony chciała już ugodzić za osobę

dorośla, a z drugiej - zachowała się jak głupia gęś. Że też akurat musiał przypomnieć się jej Billy Fawcett! Ze złości miała ochotę porządnie skrzyczeć samą siebie. Nigdy przecież nie zdoła wyjaśnić tego Edwardowi!

Powiedziała więc tylko: „Przepraszam”, co wydało się w tym momencie całkiem nie na miejscu.

- Nie lubisz się całować? - Edward robił wrażenie zmieszanego.

Judyta zaczęła już się zastanawiać, czy kiedykolwiek jakaś dziewczyna potraktowała go podobnie.

Skądże znowu, takiemu „złotemu młodzieńcowi” na pewno nigdy żadna nie odmówiła!

- To moja wina! - dodała beznamiętnym tonem.

- Myślałem, że chcesz tego.

- Tak... nie... sama nie wiem!

- Nie bądź taka wystraszona. - Postąpił krok w jej stronę, ale podniesioną ręką trzymała go na dystans.

-O co chodzi?

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Ależ... - zaczął i urwał, bo zza zasłon dobiegł dźwięk otwieranych, a potem cicho zamykanych drzwi sali bilardowej. Wiedzieli już, że zaraz zostaną zdekonspirowani, więc za późno było na dodatkowe wyjaśnienia. Judyta wpatrzyła się tylko w profil twarzy Edwarda, przekonana, że traci go na zawsze. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo zasłona się rozsunęła.

- Przypuszczałam, że tu jesteście - szepnęła Loveday. Edward podał jej rękę i wciągnął na parapet.

Tej nocy Judytę znów prześladował ten sam koszmar, o którym myślała, że zniknął już na zawsze. Jak przed laty, śniła się jej sypialnia w domu ciotki Luizy, otwarte okno z łopocącą firanką i Billy Fawcett skradający się po drabinie. Tak samo jak wtedy leżała porażona strachem, czekając, aż nad parapetem pojawi się jego głowa z przenikliwymi oczkami i żółtymi zębami. I tak samo w mo-

mencie, kiedy przekraczał parapet, zbudziła się zrana polem, z niemym krzykiem przerażenia na ustach.

Właściwie to on wyszedł zwycięsko z tej konfrontacji, gdyż udało mu się skutecznie popsuć jej całą przyjemność. Jego niewidzialna obecność sprawiła, że wzięła Edwarda za niego, a stare urazy odżyły. Judyta miała jeszcze za mało życiowego doświadczenia, aby dać sobie z tym radę. Leżała w swojej sypialni w Nancherrow i płakała w poduszkę, gdyż dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak kocha Edwarda. Wydawało się jej, że swoim zachowaniem popsuła wszystko i nic już nie będzie takie samo, jak było.

W swoim rozumowaniu nie brała jednak pod uwagę samego Edwarda, a to właśnie on obudził ją nazajutrz rano. Najpierw delikatnie zapukał do drzwi, potem sam je otworzył, wymówił jej imię i zapalił światło. Wyrwana ze snu usiadła na łóżku, mrugając oczami w rażącym świetle lampy sufitowej.

- Judyto! - powtórzył.

Patrzała na niego szklanym wzrokiem. Przed nią stał Edward, ubrany, - ogolony i wyspany. Nie było po nim widać, że doznał do swego łóżka dopiero o trzeciej nad ranem.

- Co się stało? - spytała na wpół przytomnie.

- Och, nie bądź taka przestraszona!

- Która godzina?

- Dziewiąta.

Podszedł do okna i rozsunał zasłony. Na dworze szarzał już późny grudniowy poranek.

- To znaczy, że zasnęłam.

- Dzisiaj to nie ma znaczenia, bo wszyscy jeszcze śpią. Cofnął się z powrotem do drzwi, aby zgasić światło, ale po chwili wrócił i bez ceremonii usiadł na brzegu jej łóżka.

- Musimy porozmawiać.

Wspomnienia minionego wieczoru powróciły ze zdwo-

joną siłą. Judyta miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie płaczem.

- Nie męcz się tak. Włóż to, bo zmarzniesz. - Podał jej szlafrok, którym się posłusznie owinęła. - Jak ci się spało?

- Świetnie - skłamała, choć miała świeżo w pamięci koszmar ostatniej nocy.

- To i dobrze. Widzisz, przemyślałem sobie to wszystko jeszcze raz i dlatego właśnie tu jestem. To, co zaszło między nami...

- ...to była moja wina.

- Niczyja wina, tylko po prostu źle oceniłem sytuację. Zresztą nie mam zamiaru się usprawiedliwiać, bo nie zrobiłem nic, co by tego wymagało. Jedynym moim przewinieniem było to, że zapomniałem, jak bardzo jeszcze jesteś młoda. W tej odświeżonej szacie wyglądałaś jak dorosła, ale przecież w środku się nie zmieniłaś.

- Nie - przyznała z bólem, patrząc pod nogi i mnąc w palcach skraj prześcieradła. - Kiedy ja naprawdę chciałam, żebyś tańczył ze mną i żebyś mnie pocałował... Tylko potem popsułam wszystko!

- Więc nie znienawidziłaś mnie?

Spojrzała prosto w jego błękitne oczy i odparła śmiało:

- Cóż znowu? Za bardzo cię lubię, abym cię miała nienawidzić!

- Czyli że możemy zacząć wszystko od początku?

- Czy tylko dlatego tutaj przyszedłeś?

- Nie tylko. Przede wszystkim chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli, bez żadnych niedomówień. Nie tyle ze względu na nas oboje, ile na wszystkich innych w tym domu. Przez najbliższe kilka dni będziemy przebywać pod jednym dachem, więc wzajemne patrzywanie na siebie wilkiem stworzyłoby przykrą atmosferę. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak.

- Mama jest bardzo wyczulona, jeśli idzie o stosunki międzyludzkie. Nie chciałbym, aby rzucała ci pytające spojrzenia, a mnie podchwytliwe pytania. No więc jak, nie będziesz chodziła naburmuszona?

- Nie będę.
- Grzeczna dziewczynka.

Na to stwierdzenie Judyta, miotana sprzecznymi uczuciami, nie znalazła odpowiedzi. Poczuła natomiast olbrzymią ulgę słysząc z ust Edwarda, że nie gardzi nią ani nie zamierza jej traktować jak powietrze. Odwrotnie, pragnie, aby pozostali nadal przyjaciółmi, i nie uważa jej za „dwulicową zmijkę”.

Zapożyczyła to wyrażenie od Heather Warren, która znów zasłyszała je od swego brata Paddy'ego. Kochał się on w dziewczynie, która farbowała włosy na blond, nosiła krótkie spódniczki i zachowywała się wyzywająco. Na dłuższą metę jednak nie miał u niej szans, toteż zerwał z nią przy pierwszej nadarzającej się okazji, a w złości nazwał ją właśnie „dwulicową zmijką”. Heather opowiedziała Judycie tę historię jako przykład, że takie zachowanie wobec mężczyzn skazane jest na porażkę.

Oprócz ulgi Judyta czuła także podziw dla przezorności Edwarda. Wprawdzie kierowały nim głównie względy dla matki i jej świątecznych gości, ale chyba trochę też myślał o niej...

Na głos powiedziała więc tylko:

- Masz zupełną rację.
- To są, widzisz, układy rodzinne.
- No, ja przecież nie należę do waszej rodziny.
- Ale jesteś nam równie bliska.

Słowa te wzbudziły w niej nowy przyptyw miłości do niego, więc objęła go za szyję i pocałowała w policzek. Skórę miał gładką i pachnącą orzeźwiającą wonią cytryny. Upiór Billy'ego Fawcetta przestał straszyć, bo jasne światło poranka i potęga miłości okazały się silniejsze.

- Jadłeś już śniadanie? - zapytała, opadając znów na poduszki.

- Nie, bo najpierw chciałem wszystko wyjaśnić.
- Bo ja już umieram z głodu! - W tym momencie mówiła prawdę.
- Mówisz zupełnie jak Athena. Ile czasu potrzebujesz, aby się wyszykować?
- Jakieś dziesięć minut.
- Poczekam na ciebie.

1939

W ostatnim tygodniu lipca w Szkole świętej Urszuli miało miejsce tradycyjne uroczyste zakończenie roku. Z tej okazji urządzano zwykle wielką imprezę, której program obejmował zebranie uczennic i ich rodziców w auli, wspólną modlitwę, jedno lub dwa przemówienia, wręczenie nagród, odśpiewanie hymnu szkoły, błogosławieństwo biskupa i podwieczorek w jadalni lub w ogrodzie, zależnie od pogody. Potem wszyscy rozjeżdżali się na letnie wakacje.

Tekst zaproszeń na tę uroczystość nie zmieniał się od lat. Drukowane były techniką miedziorytu na eleganckich karnetach ze złotymi brzegami. Niektórym rodzicom przypominało to edykty królewskie. „Zarząd Żeńskiej Szkoły im. Świętej Urszuli wraz z jej dyrektorką, mgr Muriel Catto, mają zaszczyt zaprosić... na uroczystość zakończenia roku szkolnego, która odbędzie się o 14.00 w auli... Prosimy o przybycie do godziny 13.45 i potwierdzenie przyjęcia zaproszenia pod adresem sekretariatu szkoły...” Toteż wszyscy zaproszeni goście stawili się o wyznaczonej porze. Za dziesięć druga aula była już wypełniona po brzegi, więc mimo otwartych okien zrobiło się tam duszno. Pogoda, jak na zamówienie, była słoneczna i bezchmurna. W ciągu całego roku aula była ponura i zimna jak nie opalany kościół, zdobił ją tylko witraż przedstawiający męczeństwo świętego Sebastiana, kilka dyplomów uznania i tarcz herbowych wiszących na ścianach. Jednak

w tym szczególnym dniu z oranżerii przyniesiono tu tyle kwiatów i roślin doniczkowych, że ich zapach i barwy tworzyły zupełnie inną atmosferę.

W północnym końcu auli wznosiło się podium, na które prowadziły dwa ciągi drewnianych schodków. Z tego miejsca panna Catto, stojąc za pulpitem, intonowała modlitwę poranną, odczytywała codzienne rozporządzenia, udzielała nagan i w ogóle komenderowała całą szkołą. Dziś natomiast ustawiono szereg doniczek z pelargoniami, a na nim - rząd krzeseł prezydialnych. Na podium mieli zasiąść: biskup, przewodniczący rady nadzorczej szkoły, gubernator hrabstwa, lady Beazeley, która miała wręczać nagrody, i oczywiście panna Catto. Na ich przybycie wszyscy teraz czekali.

Większość zebranych w auli stanowili odświętnie wystrojeni rodzice i krewni uczennic. Matki wystąpiły w kwiecistych letnich sukienkach i kapeluszach, ojcowie przeważnie w ciemnych garniturach lub różnych służbowych uniformach. Młodsze dziewczynki, z kokardami we włosach, poubierano w cienkie płócienne sukienki, a chłopczyków w marynarskie ubranka. Większość dzieci, znudzona i zmęczona upałem, głośno marudziła.

W tłumie zaproszonych gości znajdowali się również Edgar i Diana Carey-Lewisowie oraz mecenas Baines i jego żona. Ci ostatni przezornie nie zabrali ze sobą mniejszych dzieci, pozostawiając je w domu pod opieką niani.

Przednią część widowni wypełniały uczennice - od najmłodszych, siedzących na niskich ławeczkach, do najstarszych w tylnym rzędzie. Wszystkie ubrane były w przepisowe odświętne sukienki z kremowego surowego jedwabiu. Mimo upału sukienki miały długie rękawy i obowiązywały do nich czarne pończochy. Tylko najmłodszym pozwolono założyć krótkie białe skarpetki. Na skrzydłach każdego rzędu dziewcząt siedziały nauczycielki w uroczystych czarnych togach. Jednak nawet tym tradycyjnym strojom potrafiły dodać wdzięku, gdyż siadając układały

tak ich fałdy, aby widoczne były czerwone, szmaragdowe lub szafirowe jedwabne podszewki. Judyta siedziała w ostatnim rzędzie najstarszych dziewcząt. Akurat spojrzała na zegarek - była za dwie minuty druga - gdy na salę wkroczyło dostojne grono w asyście prymuski, Fredy Roberts. Judyta była starościaną swojej klasy, ale prymuską nie została. Cieszyła się z tego, bo wcale nie chciała przypominać tej okropnej Deirdre Ledingham.

Z tyłu jakiś chłopczyk niespokojnie kręcił się i nudził: „Mamo, mnie się chce pić!” Oczywiście matka go uciszała. Judyta serdecznie mu współczuła, bo i dla niej, choć miała już osiemnaście lat, dzień uroczystego zakończenia roku szkolnego zawsze był ciężkim obowiązkiem. Nie osładzała go nawet świadomość, że kończy już szkołę i po raz ostatni musi uczestniczyć w takiej imprezie. Przepisowa sukienka była ciężka i nieprzewiewna, toteż Judyta czuła strużki potu ściekającego jej spod pach i kolan. Próbowwała więc odwrócić uwagę od własnych cierpień fizycznych, skupiając się na pozytywnych wydarzeniach z najbliższej przeszłości lub przyszłości. Najważniejsze było to, że najprawdopodobniej pomyślnie zdała maturę. Wyniki nie zostały jeszcze oficjalnie ogłoszone, ale panna Catto była tak pewna znakomitego rezultatu, że rozpoczęła już wstępne starania o przyjęcie Judyty na studia uniwersyteckie w Oksfordzie.

To jednak nawet w najlepszych układach mogło dojść do skutku dopiero w przyszłym roku, gdyż na październik Judyta miała już zarezerwowane miejsce na statku do Singapuru. Miała spędzić tam z rodziną długo oczekiwane dziesięć miesięcy. Przypominała sobie, jak to przed laty w Penzance, nad brzegiem morza, powtarzała sobie: „Nie wszystko naraz! Najpierw skończę szkołę, zdam egzaminy końcowe, a potem wyjadę na Daleki Wschód, do mamy, tatusia i Jess...” Jess miała już osiem lat i Judyta nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy rodzinę w komplecie.

W bliższej perspektywie rysowały się także inne przyjemności. Przede wszystkim koniec ze szkołą, a więc wolność. Potem letnie wakacje. Dwa tygodnie sierpnia miała spędzić w Porthkerris u rodziców Heather Warren, a następnie ewentualnie odwiedzić ciotkę Bidy. Nie umówiła się jeszcze dokładnie co do terminów. Ciotka Bidy pisała w liście, że zaproszenie jest otwarte - wystarczy, że zadzwoni, kiedy się zdecyduje przyjechać.

No i oczywiście zostaje jeszcze pobyt w Nancherrow, a to oznacza spotkanie z Edwardem. Chociaż siedziała w dusznej, zatłoczonej auli - już rozpierało ją uczucie błęgiego oczekiwania. Po wydarzeniach ostatnich ferii świątecznych, kiedy to w popłochu odrzuciła niewczesne zaloty Edwarda, a potem doszli do porozumienia - ich wzajemne stosunki jakoś się unormowały. W głębi duszy wiedziała już, że go kocha, chyba bowiem żaden inny mężczyzna nie mógłby być tak atrakcyjny, a równocześnie tak wyrozumiały i cierpliwy. Dzięki temu ten pozornie niegroźny incydent, który mógł narobić tyle zamieszania, przeszedł prawie niepostrzeżenie. A przecież wdzięczność i podziw stanowiły nieodłączną część miłości, podobnie jak bliskość, czyli, inaczej mówiąc, pokrewieństwo duchowe.

Pewną rolę odegrała tu także odległość. Rozłaka, jak wiadomo, działa jak wiatr - gasi małą świeczkę, ale silny płomień rozpała jeszcze żywiej. Judyta nie widziała Edwarda od stycznia, bo ferie wielkanocne spędzał w Kolorado, na ranczu swego kolegi z roku - Amerykanina, który pobierał stypendium w Cambridge. Popłynęli tam statkiem „Queen Mary” z Southampton do Nowego Jorku, a stamtąd pociągiem do Denver. Wszystko to miało posmak fascynującej przygody. Świadczyły o tym pocztówki, które Edward przysłał Judycie, choć zwykle nie lubił pisać listów. Przedstawiały barwne widoki z Gór Skalistych i Indian sprzedających koszyki własnego wyrobu.

Judyta trzymała te cenne pamiątki między kartami swo-

jego pamiętnika, razem ze zdjęciem Edwarda, które zwędziła z albumu rodzinnego w Nancherrow, wiedząc, że Loveday nie będzie miała pretensji, nawet jeśli zauważy jego brak. Obecnie Edward przebywał wraz z kilkoma kolegami ze studiów na południu Francji. Któryś z jego przyjaciół udostępnił im tam willę należącą do jego ciotki.

Diana zakomunikowała o tym dziewczętom trochę z radością, a trochę z żalem. Z całą pewnością cieszyła się z popularności towarzyskiej i atrakcyjnych znajomości zawieranych przez jej syna, ale też trochę mu zazdrościła.

- Ten to ma szczęście! - wzdychała żartobliwie. - Mało tego, że ma samych bogatych znajomych, to jeszcze zapraszają go w takie ciekawe miejsca! Dla niego to dobrze, ale gorzej dla nas. Dobrze, że jeszcze zdąży pobyc trochę z nami, dopóki trwa lato.

Judycie natomiast wcale to nie przeszkadzało, bo samo oczekiwanie też sprawiało jej przyjemność. Jeszcze bardziej podniecająca była wizja posiadania własnego samochodu. Mecenas Baines obiecał, że pozwoli jej kupić pojazd z pieniędzy odziedziczonych po ciotce Luizie. Podczas ferii wielkanocnych, korzystając z nieobecności Edwarda, Judyta ukończyła kurs prowadzenia samochodu i zdała egzamin na prawo jazdy. Kłopot w tym, że w Nancherrow nie miała czym jeździć. Bentley Diany i daimler pułkownika nie wchodziły w rachubę, gdyż obawiałyby się wgnieść zderzak w tak luksusowych wozach. Z kolei stary kabriolet myśliwski, używany podczas wypraw rodzinnych, był tak potężny, że kierowanie nim przypominało raczej prowadzenie autobusu.

Ze swoich problemów zwierzyła się panu Bainesowi.

- Na przykład kiedy chcę wyskoczyć po zakupy do Penzance, muszę czekać, aż ktoś będzie mógł mnie podwieźć, a to takie krępujące...

Adwokat doskonale to rozumiał. Przemyślał sprawę i podjął decyzję.

- Myślę, że dojrzałaś do tego, aby kupić sobie własny

samochód. Jesteś już pełnoletnia i dostatecznie rozsądna, aby móc się uniezależnić od Carey-Lewisów.

- Własny samochód? - Judyta nie wierzyła swoim uszom.

- Chciałabyś tego, prawda?

- Bardziej niż czegokolwiek innego. Naprawdę dbałabym o niego, myła go, uzupełniała paliwo i rzeczywiście bym z niego korzystała. Pamiętam, jak mnie denerwowało, kiedy mieliśmy austina, ale mama bała się go prowadzić. Nie odwiedziłyśmy przez to tylu pięknych miejsc, a tu są takie wspaniałe ogrody i maleńkie ukryte plaże!

- Czy gdybyś teraz miała samochód, pojechałabyś je zobaczyć?

- Niekoniecznie teraz, ale wystarczałaby mi sama świadomość, że mogłabym tam pojechać, gdybym tylko chciała. Mogłabym jeszcze zrobić coś, o czym myślę już od dawna. Chodzi o Phyllis, naszą byłą służącą. Kiedy wyprowadziliśmy się z Riverview, znalazła inną pracę, ale potem wyszła za swojego chłopaka i przeprowadziła się do Pendeen. Dostali niedawno domek od kopalni cyny, gdzie pracuje jej mąż, a teraz mają już dziecko. Gdybym miała samochód, mogłabym ich odwiedzić.

- Aha, Phyllis, pamiętam, jak otwierała mi drzwi, kiedy odwiedzałem twoją matkę. Zawsze witała mnie z uśmiechem.

- Bo ona jest taka kochana! Była moją prawdziwą przyjaciółką. Potem pisałyśmy do siebie, ale nie widziałam się z nią, odkąd się rozstałyśmy, bo z Porthkerris kursował tam tylko jeden autobus w tygodniu, a za daleko było jechać rowerem.

- Czy to nie zabawne? - zauważył pan Baines. - Mieszkamy niby blisko siebie, a równocześnie jest nam tak do siebie daleko jak stąd do Księżyca. Wydaje mi się, że dla ciebie samochód nie będzie luksusem, lecz po prostu koniecznością. Najpierw jednak postaraj się ukończyć

szkołę i zdać maturę, a ja tymczasem przedyskutuję tę sprawę z komandorem Somerville'em. Na tym na razie stało, ale Judyta była dziwnie pewna, że wuj Bob nie sprzeciwi się tym planom. Dobrze byłoby, gdyby mogła dokonać tego zakupu, jeszcze zanim wybierze się na wakacje do Warrenów. Wtedy mogłaby pojechać tam samochodem i zabrać ze sobą Loveday, która też była zaproszona. Tyle że Loveday nie mogła się zdecydować, bo dostała właśnie nowego kuca i musiała go trenować przed zbliżającymi się zawodami. Może jednak wizja podróży samochodem do własnej dyspozycji byłaby na tyle zachęcająca, że zdecydowałyby się pojechać choć na kilka dni. Sama myśl o wspólnej wycieczce dwumiej-scowym sportowym wozem, z bagażami na tylnym siedzeniu, wydała się jej tak oszałamiająca, że chciała natychmiast podzielić się nią z Loveday. Niestety, chwilowo było to niewykonalne, bo przyjaciółka siedziała dwa rzędy dalej.

Loveday miała dopiero siedemnaście lat, ale też opuszczała już na zawsze Szkołę Świętej Urszuli. Nie odznaczała się zbyt wielkimi ambicjami naukowymi i poprzestała jedynie na zdaniu egzaminów końcowych, uprawniających do otrzymania świadectwa ukończenia szkoły. Oświadczyła jednak kategorycznie swoim wyrozumiałym rodzicom, że bez Judyty nie wytrzyma w tej szkole ani chwili dłużej.

- Ale co my z tobą dalej pocniemy? - martwiła się Diana.
- Zwyczajnie, zostanę w domu.
- Od bezczynnego siedzenia w domu obrośniesz mchem jak stary kamień.
- No więc mogę wyjechać do Szwajcarii jak Athena.
- Jak to, przecież zawsze prosiłaś, żebyśmy nie wysyłali cię nigdzie dalej od domu!
- Szwajcaria to co innego.
- Może to i dobra myśl, choć Athena nie nauczyła się

tam niczego oprócz jazdy na nartach. Aha, i jeszcze zakochała się w swoim instruktorem!

- Dlatego właśnie chciałabym tam pojechać.

Diana mogła już tylko parsknąć śmiechem, ucisnąć swoją najmłodszą pociechę i obiecać, że jeszcze pomyśli...

O drugiej w przeciwnym końcu auli wszczął się ruch i cała publiczność zerwała się na równe nogi. Nareszcie coś zaczynało się dziać! Judycie przypominało to kościół przed ceremonią ślubną. Tak samo pełno było kwiatów i odświętnie ubranych gości, matki wachlowały się karteczkami z tekstem hymnu - i tylko czekać, kiedy pojawi się panna młoda... Złudzenie było tak silne, że gdy do auli wkroczył biskup na czele orszaku, spodziewała się, że zaraz organy zagrają marsz Mendelssohna... Zamiast panny młodej na podium weszli dostojni goście. Biskup wystąpił naprzód i odmówił krótką modlitwę, a potem wszyscy zaproszeni usiedli na swoich miejscach.

Następnie wygłoszono przemówienia, przy czym przewodniczący rady nadzorczej tak nudził, że wydawało się to nie mieć końca. Natomiast panna Catto mówiła krótko, zwięźle, a miejscami nawet dowcipnie.

Nadeszła pora wręczenia nagród. Judyta spodziewała się pierwszej lokaty za osiągnięcia w nauce angielskiego. Niespodzianką za to była nagroda za wyniki z historii. Wchodziła więc na podium już dwa razy, zanim doszło do oczekiwanego przez wszystkich momentu wręczenia Pucharu Carnhayla. Judyta stłumiła ziewnięcie, bo nie miała wątpliwości, kto otrzyma to wyróżnienie - na pewno Freda Roberts, która nieustannie podlizywała się wszystkim nauczycielkom. Tymczasem panna Catto wyjaśniała, że co roku puchar przyznaje się - w wyniku głosowania - tej uczennicy, która w opinii całego grona pedagogicznego najbardziej odznaczyła się na tle całej szkoły. I nie chodziło tu tylko o wyniki w nauce, lecz raczej o posiadanie w stopniu

wyjatkowym trzech niezbędnych cech: inteligencji, charakteru i wdzięku. A w bieżącym roku uczennicą taką była... Judyta Dunbar!

Spadło to na nią tak niespodziewanie, że aż ze zdziwienia rozdziawiła gębę. Któraś z koleżanek szturchnęła ją pod żebro i syknęła: „No, na co czekasz, idiotko, leć!” Toteż po raz trzeci w tym dniu podniosła się z miejsca i na miękkich nogach podeszła do podium. Na schodkach mało nie przewróciła się jak długa, tak ugiwały się pod nią kolana.

- Gratuluję, kochanie! - wyrecytowała lady Beazeley z promiennym uśmiechem, wręczając jej puchar. Judyta wykonała przepisowy dyg i wśród burzliwych oklasków wracała na swoje miejsce, czując, jak policzki jej płoną żywym ogniem.

Na zakończenie nauczycielka muzyki zaintonowała hymn szkoły. Wszyscy powstali i chór ośmiuset głosów mało nie zerwał dachu sali.

Przebojem naprzód marsz

Ku chwale Pana.

Taka pisana nam

Przyszłość świetlana... Muzyka zawsze silnie oddziaływała na Judytę, powodując u niej huśtawkę nastrojów od smutku do radości. Zdawała sobie sprawę, że w jej życiu skończyła się pewna epoka, i kiedykolwiek jeszcze usłyszałyby wiersz znanego poety Bunyana, autora słów tego hymnu - zawsze przypominałyby sobie te podniosłe chwile. Atmosfera upalnego letniego popołudnia wryła się jej w pamięć ze wszystkimi szczegółami, zapachem kwiatów i gwarem setek głosów. Nie była pewna, czy ją to cieszy, czy smuci.

Pan jest obrońcą mym

W każdej potrzebie.

I wiem, że kiedyś z Nim

Spotkam się w niebie... Zdecydowała, że mimo wszystko cieszy się, że jest

tak, jak jest. Z młodzieńczą pogodą ducha poddała się nastrojowi chwili. A podczas gdy śpiewała kolejną zwrotkę hymnu, pomyślała o czymś jeszcze przyjemniejszym. Oto otrzymany przed chwilą Puchar Carnhayla może stać się świetnym argumentem w jej staraniach o możliwość kupna samochodu już teraz, zanim wyjechałaby z Love-day do Porthkerris. Mogłyby wyruszyć w drogę już same, własnym samochodem, jako dwie dorosłe absolwentki szkoły!

Więc precz przesady w kąt, Nie dbaj o ludzki sąd, U kresu ziemskich dróg Czeka nas Bóg!

Po uroczystym zakończeniu roku budynek szkolny opustoszał. Judyta została sama w sypialni, bo chciała jeszcze zrobić porządek w swojej torebce. Musiała czymś wypełnić czas do osiemnastej, bo na tę godzinę była umówiona z panną Catto, która przed pożegnaniem chciała jeszcze zamienić z nią parę słów. Jej rzeczy odjechały już do Nancherrow w bagażniku daimlera pułkownika Carey-Le-wisa, a po nią miał przyjechać mecenas Baines. W drodze do Nancherrow będzie więc miała sposobność zagadnąć go na temat samochodu.

Po uporządkowaniu zawartości torebki przeszła przez całą sypialnię i wyjrzała przez otwarte okno. Wszędzie było już pusto, a po pożegnalnym przyjęciu w ogrodzie nie zostało ani śladu. Na trawę kładły się coraz dłuższe cienie, co przypomniało Judycie inne popołudnie, kiedy cztery lata temu przyjechała tu pierwszy raz z matką, rozejrzeć się w nowym miejscu. Te cztery lata minęły jak z bicza trząśł - choć z drugiej strony Judycie wydawało się, że tamto miało miejsce bardzo dawno temu. Dochodziła już za pięć szóstą, więc odwróciła się od okna, wzięła swoją torebkę i opuściła sypialnię. Zstąpiła w dół po opustoszałych schodach i przeszła przez kory-

tarz, na którym teraz panowała zupełna cisza. Nie słychać było gwaru dziewczęcych głosów ani dzwonek, ani też piskliwych dźwięków gam ćwiczonych przed lekcjami muzyki...

Judyta zapukała do drzwi gabinetu panny Catto i jak zwykle dyrektorka odpowiedziała: „Proszę!”

Tym razem jednak nie siedziała przy swoim biurku, lecz wygodnie usadowiona w fotelu przy oknie, z nogami ułożonymi wyżej na stołeczku. Czytała „Timesa”, ale na widok Judyty złożyła gazetę i upuściła ją na podłogę.

- Wchodź, Judyto. Nie wstaję, bo jestem bardzo zmęczona.

Zdjęła już z siebie togę i biret, które leżały teraz przewieszane przez biurko. Bez tego oficjalnego stroju wyglądała zupełnie inaczej, gdyż miała na sobie jedwabną popołudniową sukienkę, spod której było widać zgrabne nogi w cienkich pończochach i pantofelkach ze srebrnymi klamrami. Teraz, kiedy już nieco wypoczęła, wyglądała bardzo kobieco i atrakcyjnie. Judyta aż żałowała, że mecenas Baines był już żonaty i dzieciaty.

- Nic dziwnego, przecież pani dyrektor nie miała dziś ani chwili wytchnienia.

Judyta zauważyła też, że naprzeciw fotela dyrektorki znajdował się drugi fotel, a między nimi podłużny stolik na niskich nóżkach. Stała na nim srebrna tacka z butelką sherry i trzema kieliszkami. Judyta na ten widok uniosła brwi, bo - jako żywo - w tym gabinecie nie uświadczyła nigdy zapachu alkoholu.

- To dla nas i pana Bainesa - wyjaśniła panna Catto z uśmiechem, widząc jej zdziwioną minę. - Ale nie będziemy na niego czekać. Nalej nam po jednym, kochanie, i usiądź przy mnie.

- Przecież ja nigdy w życiu nie piłam sherry! - zaprotestowała Judyta.

- No więc najwyższy czas spróbować. Myślę, że nam obu dobrze to zrobi.

Judyta nalala wina do dwóch kieliszków i usiadła na wolnym fotelu. Panna Catto uniosła swój kieliszek.

- A więc za twoją szczęśliwą przyszłość!

- Dziękuję bardzo.

- Aha, żebym nie zapomniała... Gratuluję ci zdobycia Pucharu Carnhayla! I nie myśl sobie, że miałam z tym coś wspólnego - przyznano ci go prawie jednomyślnie.

- Byłam tak zaskoczona, bo myślałam, że zdobędzie go Freda Roberts... O mało nie spadłam z tych schodków...

- Najważniejsze, żeś jednak nie spadła. A teraz powiedz, jakie masz plany wakacyjne.

Po kilku łykach rozgrzewającego sherry Judyta poczuła się nad wyraz swobodnie. Podwinęła pod siebie nogi, czego nie zrobiłaby nigdy dotąd w obecności dyrektorki.

- Najpierw jadę do Nancherrow, a stamtąd do Porthker-ris, bo pani Warren zaprosiła mnie na dwa tygodnie.

- No, z Heather na pewno będziecie się dobrze bawić. -Panna Catto miała nadzwyczajną pamięć do imion i nazwisk.

- Zaprosiła też Loveday, ale ona wciąż nie może się zdecydować, czy ma jechać.

- To typowe dla niej. Pewnie trochę się krępuje.

- Nie o to chodzi, bo już kiedyś była ze mną w Porthkerris, ale ma nowego kuca i chce go przygotować do zawodów. - A kiedy była z tobą u Warrenów, podobało się jej tam? - Tak bardzo, że aż się dziwiłam. - Nie zawsze dobrze jest chodzić wszędzie we trójkę.

- Tak, ale Loveday z miejsca zaprzyjaźniła się z Heather. Jej rodzice mówią, że Loveday to dziewczyna z charakterem. Bracia Heather drażnili się z nią, jak to oni, ale ona dzielnie im się odgryzała.

- Dobrze jej to zrobi, jeśli pobędzie przez jakiś czas w innej atmosferze niż w tym swoim dziwnym domu. Niech zobaczy, jak żyją zwykli ludzie.

- Mam nadzieję, że w końcu zgodzi się pojechać ze mną, bo chciałabym ją zawieźć już własnym samochodem... Zaraz, czy pan Baines mówił coś o tym pani dyrektor?
- Coś wspominał.
- To był jego pomysł, bo uważał, że powinnam być niezależna. Tym bardziej teraz, kiedy zdałam... - urwała, nie chcąc się zbyt przechwalać. - W każdym razie przynajmniej zdobyłam ten Puchar Carnhayla!
- Ja myślę! - Panna Catto uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - Korzystaj z okazji, żeby pan Baines się nie rozmyślił. Niezależność to coś wspaniałego! No, a co masz jeszcze w zanadrzu?
- Mam zamiar posiedzieć trochę u cioci Bidy. Teraz potrzeba jej towarzystwa, bo wujek Bob akurat pływa, a Ned też już zamustrował na okręt. Wybierzemy się razem do Londynu, bo ciocia chce mi pomóc wybrać trochę nowych rzeczy na wyjazd do Singapuru. Nie mogę przecież przyjechać tam w samych niemodnych ciuchach.
- Jasne, że nie możesz, ale przyrzeknij mi, że się tam od razu nie zakochasz i nie wyjdiesz za męża. Na to w życiu będziesz miała masę czasu, a gdybyś teraz zrezygnowała ze studiów w Oksfordzie, to taka okazja drugi raz może się nie zdarzyć.
- Na razie jeszcze długo nie mam zamiaru wychodzić za męża. Przynajmniej nie prędzej, niż skończę dwadzieścia pięć lat.
- I dobrze, tylko uważaj, żebyś nie wdała się w jakiś romans na statku. Mnie się nigdy nic podobnego nie zdarzyło, ale słyszałam, że to zawsze się źle kończy.
- Postaram się o tym pamiętać.
- Będzie mi cię brakowało. - Panna Catto uśmiechnęła się. - Ale cóż, jesteś dorosła i możesz zrobić ze swoim życiem, co zechcesz. Grunt, żebyś była zawsze wobec siebie szczerą, wtedy daleko zajdziesz.
- Pani dyrektor była dla mnie zawsze taka dobra!

- Głupstwa pleciesz, kochanie. Po prostu robiłam to, co do mnie należało.
 - Nie, pani zawsze robiła dużo więcej! Teraz mi przykro, że nie skorzystałam z pani zaproszenia do Oksfordu. Naprawdę chciałabym kiedyś tam pojechać i poznać pani rodziców...
 - Ależ to zupełnie normalne, kochanie! - roześmiała się panna Catto. - Po prostu znalazłaś sobie rodzinę zastępczą, dużo odpowiedniejszą dla ciebie niż to, co mogłam ci zaoferować jako dyrektorka. Ktoś musiał stworzyć ci warunki, żebyś czuła się jak w domu, i pani Carey-Lewis świetnie się to udało. Widać to po tobie. Teraz jednak nadszedł czas, abyś wróciła do swojej naturalnej rodziny... Dalsze jej wynurzenia przerwało głośne stukanie do drzwi, po czym pojawił się w nich pan Baines.
 - Nie przeszkadzam? - spytał uprzejmie.
 - Ależ skąd! - zapewniła go panna Catto.
 - Kierowca melduje się na rozkaz! - zażartował klepiąc Judytę po łopatce. - Chyba nie przyjechałem za wcześnie?
 - Akurat pokrzepialiśmy się odrobiną sherry. - Panna Catto uśmiechnęła się ze swego fotela. - Może pan mecenas napije się z nami?
- Pan Baines nie odmówił drinka. Usiadł sobie wygodnie i zapalił papierosa, co tylko dodało pikanterii jego wyglądowi. Jeszcze w czasie przyjęcia w ogrodzie gratulował Judycie pucharu, więc nie wracał już do tego tematu. Nie szczędził natomiast pochwał pannie Catto za sprawną organizację całej uroczystości.
- Przede wszystkim mieliśmy szczęście, że pogoda dopisała - wymawiała się. - Poza tym ktoś powinien chyba uprzednio redagować coroczne wystąpienia przewodniczącego rady nadzorczej. Kto ma siłę słuchać wyliczanki o spróchniałych krokwiach w kaplicy albo epidemii odry w wiosennym semestrze?
 - On inaczej nie umie. - Pan Baines się roześmiał. -

Kiedy zabiera głos na sesjach rady hrabstwa, wszyscy od razy zasypiają.

W kieliszkach pokazało się dno i nadszedł czas, aby kończyć przyjemną rozmowę. Adwokat spojrział na zegarek.

- Myślę, że powinniśmy się zbierać.

- Nie odprowadzę was, bo nie cierpię pożegnań -oświadczyła panna Catto i zwróciła się do Judyty: - Tylko proszę cię, kochanie, bądź ze mną w kontakcie.

- Oczywiście - zapewniła.

- I życzę ci miłych wakacji!

- Mam nadzieję.

- Do widzenia, kochanie.

- Do widzenia, pani dyrektor.

Na pożegnanie podały sobie tylko ręce, gdyż nie przyszło im na myśl, aby się pocałować. Judyta pierwsza odwróciła się i wyszła, a za nią pan Baines, który zamknął drzwi.

Panna Catto została sama. Przez chwilę stała nieruchomo, pogrążona w myślach. Potem podniosła gazetę, którą przeglądała przed przyjściem Judyty. Zamieszczane tam wiadomości brzmiały z dnia na dzień groźniej. Dzisiejszy numer donosił o wkroczeniu dwóch tysięcy żołnierzy niemieckich do Gdańska. Jasne, że prędzej czy później Hitler zaatakuje Polskę, tak jak zaanektował już Czechosłowację czy Austrię. To zaś będzie oznaczało nową totalną wojnę, która zdziesiątkuje całe wchodzące dopiero w życie pokolenie.

Panna Catto złożyła gazetę w kostkę i rzuciła na biurko. Wmawiała sobie, że musi teraz być szczególnie silna i opanowana, ale w niektórych momentach serce jej się krajało, kiedy myślała o nieuchronnej tragedii tysięcy takich młodych ludzi jak Judyta.

Toga i biret leżały tam, gdzie je uprzednio położyła. Nagle wpadła na pomysł, aby zebrać te rzeczy, zwinąć w kłębek i przycisnąć mocno do siebie, jakby to mogło jej ulżyć. Każdego roku dzień uroczystego zakończenia

był dla niej ciężkim i męczącym obowiązkiem, ale nigdy jeszcze nie czuła się po nim tak wypompowana.

Łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach, aż musiała wytrzeć twarz zatechłym czarnym materiałem trzymanej w rękach szaty. Płakała z bezsilnej złości na nieuchronną wojnę i z żalu za całym pokoleniem utraconych możliwości.

Rankiem któregoś sierpniowego poniedziałku w Nan-cherrow padał ciepły letni deszcz. Napływające z południowego wschodu chmury zwisały nisko nad brzegiem morza, a okryte liśćmi gałęzie drzew nasiąkały i ociekały wodą. Woda lała się z rynien i płynęła rurami ściekowymi. Nikt się jednak tym nie martwił, bo po dłuższym okresie upałów orzeźwiający chłód przynosił ulgę. Deszcz siąpił równo, a wysuszona ziemia, spragnione kwiaty i warzywa wchłaniały z rozkoszą każdą ilość życiodajnego płynu. W powietrzu unosił się niepowtarzalny zapach wilgotnej ziemi.

Loveday z psem Tigerem u boku wyszła na dwór tylnymi drzwiami. W progu zatrzymała się, aby nabrać w płuca świeżego, wilgotnego powietrza. Miała na sobie gumowe buty, stary płaszcz przeciwdeszczowy narzucony na szorty i bawełniany sweter. Mimo deszczu szła z gołą głową, więc zanim doszła do Lidgey, zmoczone loki skrzyły się jej bardziej niż zwykle.

Skierowała się ku stajni, ale nie dochodząc do niej skręciła w stronę wrzosowisk. Droga biegła pomiędzy starymi kamiennymi murkami obrośniętymi mchem. Od ścieżki oddzielały je głębokie rowy, w których teraz chlupotała woda. Kępy ostrokrzewu osypane były żółtymi kwiatami o migdałowym zapachu, a przy nich pieniały się bujnie naparstnice, różowe malwy i dziko rosnące róże jerychońskie. Na granitowych głazach muru widniały tu i ówdzie aksamitne plamy kanarkowożółtego porostu. Za murem rozciągały się pastwiska, gdzie skubały trawę dojne

krowy rasy guernsey, należące do pana Mudge'a. Jaskrawozielona trawa skrywała tu i ówdzie wystające z ziemi skałki, podłużne jak ciała wielorybów. Nad głowami przelatywały z piskiem mewy, które w zależności od pogody zapuszczały się bliżej w głąb łądu.

Loveday lubiła deszcz i dobrze się czuła w czasie dżdżystej pogody. Tiger biegł naprzód, więc starała się dotrzymać mu kroku. Szybko się przy tym zgrzała i rozpięła płaszcz, którego poły powiewały za nią jak skrzydła. Droga wiła się zygzakiem po zboczu pagórka, którego wierzchołek tonął w mgłę, ale Loveday i tak wiedziała, że jest już blisko. Znała przecież cały majątek Nancherrow jak własną kieszeń i z zawiązanymi oczami trafiłaby wszędzie, nawet gdyby przyszło jej iść do swojej ulubionej zatoczki przez kamieniołom i tunel gunnery...

Jeszcze jeden zakręt i z mgły wyłonił się dom Mudge'ów w Lidgey. Był niski, lecz mocnej konstrukcji, okolony zabudowaniami gospodarskimi. W oknie kuchni świeciło się, co przy takiej pogodzie nie dziwiło. Zresztą kuchnia pani Mudge była tak usytuowana, że nawet w słoneczny dzień gospodyni musiała zapalać światło.

Loveday doszła do furtki i przystanąła na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. Tiger dawno już przeskoczył płot, więc i ona wspięła się na furtkę i przeszła przez podwórze pokryte krowimi plackami. Na samym środku urządzono otoczony kamiennym murkiem gnojownik, gdzie dymiła świeża kupa nawozu. Żerowały w niej brunatne kury pani Mudge, a na murku kogut trzepotał skrzydłami i piał na całe gardło. Loveday, przeskakując z jednego śliskiego brukowca na drugi, dobrnęła do furtki przydomowego ogródka. Stamtąd żwirowana ścieżka prowadziła już do frontowych drzwi, toteż przed progiem dziewczyna zrzuciła gumowce i weszła do środka w samych skarpetkach.

W małym przedpokoju z niskim sufitem panował półmrok. Drewniane schody wiodły na piętro.

Loveday na-

cisnęła klamkę przy drzwiach kuchni i z miejsca owionął ją zapach gotującego się rosółu i świeżo upieczonego chleba.

- Dzień dobry, pani Mudge! - zawołała od progu.

Pani Mudge stała przy zlewie, obierając kartofle. W kuchni panował niesamowity bałagan. Na jednym końcu stołu leżało rozwałkowane ciasto, a na drugim - ponieważ kuchnia spełniała w tym domu także funkcję salonu - piętrzyły się gazety, katalogi nasion, broszurki reklamujące wyroby żelazne i rachunki do zapłacenia. Przy piecu kuchennym stały rządkiem nie oczyszczone buty, a na rozpiętych pod sufitem sznurach suszyła się bielizna, wśród której przeważały kalessony pana Mudge'a. Półki pomalowanego na niebiesko kredensu pełne były nie pasującej do siebie porcelany, poskręcanych ze starości pocztówek, środków przeciw szkodnikom i dawno otrzymanych listów. Leżała tam również psia smycz, strzykawka i koszyk oblepionych brudem jajek. Kury pani Mudge niosły się bowiem w najdziwniejszych miejscach - na przykład za psią budą - i trzeba je było myć przed sprzedażą lub zużyciem.

Loveday nic sobie nie robiła z tego nieporządku, mało tego, nawet go lubiła, bo kuchnia w Lidgery wyglądała dzięki temu przytulnie. Sama pani Mudge też była chyba dość niechlujna, bo wcale jej nie przeszkadzało, że stoi wśród okopconych patelni i saganków z resztkami paszy po porannym obrządku. Miała na sobie fartuch i gumowce, których nie zdejmowała przez cały dzień, bo przecież ciągle wychodziła na dwór, żeby sypnąć kurom okruchy, przydźwigać drewna na podpałkę lub wynieść brudną bieliznę do prania. Toteż posadzka i pokrywające ją chodniczki były mocno brudne. Jednak ani pan Mudge, ani Walter nie zwracali uwagi na takie drobiazgi. Wystarczyło im, że dobrze ich karmiła i dbała o nich.

Natomiast mleczarnię, za którą była wyłącznie odpowiedzialna, pani Mudge utrzymywała w sterylnej wręcz

czystości. Najlepszym na to dowodem była liczba konsumentów jej mleka, śmietanki i masła. Na dźwięk głosu Loveday pani Mudge odwróciła się od zlewu, z ziemniakiem w jednym ręku, a starym kozikiem w drugim. Jej twarz wyrażała szczerzy zachwyt.

- Ach, panienka Loveday! Cóż za miła niespodzianka! Pani Mudge uwielbiała takie niespodziewane wizyty,

gdyż miała wtedy pretekst, aby przerwać żmudne zajęcia gospodarskie, nastawić herbatę i trochę poplotkować.

Niedawno przekroczyła czterdziestkę, ale wyglądała na znacznie starszą, gdyż brakowało jej zębów. Miała wprawdzie sztuczną szczękę, lecz zakładała ją tylko od święta i na coroczny kiermasz kościelny, aby nie mieć trudności z chrupaniem ciasteczek. Włosy miała gładkie i proste, a na głowie odwieczny brązowy beret, którego prawie nigdy nie zdejmowała z tych samych powodów co gumowców.

- Chciało się panience przychodzić tutaj w taką psią pogodę? - nie mogła się nadziwić.

- Nie przeszkadza pani, że jestem z psem? - Loveday zadała retoryczne pytanie, bo Tiger i tak był już w kuchni i próbował dobrać się do wiadra z pomyjami dla świń. Pani Mudge odpędziła go stamtąd, więc położył się na szmacianym dywaniku przy piecu, wylizując mokrą sierść.

Loveday zrzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i przewiesiła go przez krzesło. Porwała ze stolnicy kawałek surowego ciasta i wsadziła do ust.

- Patrzcie państwo, któż to widział, żeby jeść surowe ciasto! - Pani Mudge zaniósła się śmiechem.

- Kiedy to jest bardzo dobre!

- Może panienka napije się herbaty?

Loveday przytaknęła, nie żeby miała specjalną ochotę na herbatę, ale pogaduszka z panią Mudge była częścią ustalonego od lat rytuału.

- Gdzie jest Walter? - zapytała.

- Poszedł z ojcem w pole. - Pani Mudge oderwała

się od obierania kartofli, naląła wody do czajnika i postawiła go na płycie kuchennej. - A panienska chciałaby się z nim zobaczyć?

- Tak, bo rano nie było go w stajni, a zanim tu przyszedłam, na pewno już wyprowadził konie.

- Dziś poszedł wcześniej do stajni, bo ojciec chciał, żeby mu pomógł naprawić ogrodzenie. Wczoraj dwie krowy wylazły tamtędy na drogę. A do czego paniencie potrzebny Walter? ^

- Chciałam go o coś prosić. Zresztą pani też może mu przekazać, że jutro wyjeżdżam na tydzień do Porthkerris, więc chciałabym, żeby w tym czasie zajął się końmi. Naniosiłam już na zapas siana i wyczyściłam cały sprzęt.

- Już ja go przypilnuję, żeby nie zapomniał! - obiecała pani Mudge, zdejmując z półki ozdobioną wizerunkami rodziny królewskiej puszkę na herbatę i brązowy czajniczek. - A po co panienska wyjeżdża do Porthkerris?

- Jedziemy z Judytą do Warrenów. Zaprosili nas na dwa tygodnie, ale nie wiedziałam, czy mam się zgodzić, chociaż tam może być całkiem^zabawnie. Wolałabym nie zostawiać mojej nowej klaczy, ale tato powiedział, że powinnam pojechać. I nie uwierzy pani, ale mamy tam jechać samochodem Judyty! Właśnie dziś pojechała z mecenasem Bainesem wybrać wóz. Taka smarkata, ma dopiero osiemnaście lat, a jaka szczęściara! I to ma być nowy wóz, nie używany!

Pani Mudge, pobrzękując filiżankami i spodkami, aż zastygła ze zdziwienia.

- Coś podobnego, dwie panienski same, własnym samochodem? Kto to widział? Żebyście się tylko nie pozabijały! - Zaparzyła herbatę i z glinianego garnka wyjęła babkę szafranową, krojąc ją na grube plastry. - Zaraz, do Warrenów? To ten Jan Warren, co ma sklep?

- Tak. Z jego córką, Heather, Judyta przyjaźniła się, kiedy chodziła jeszcze do szkoły w Porthkerris. I ma jeszcze dwóch przystojnych synów, Paddy'ego i Joego.

- Uuuuch! - pisnęła pani Mudge. - To dlatego tam jedziecie?

- Ależ skąd, wcale nie dlatego.

- Nie znam zbyt dobrze tych Warrenów, ale to podobno moi dalecy krewni. Daisy Warren była kuzynką mojej ciotki Flory, która wyszła za wujka Berta. To duża rodzina, ale z tego Jana podobno był za młodu niezły kawał łobuza. Myśleliśmy, że nigdy się nie ustatkuje.

- Do dziś się nie ustatkował.

Pani Mudge nalala herbatę, wyciągnęła sobie krzesło i usiadła, gotowa do dłuższej pogawędki.

- No i co tam jeszcze u was słyhać? Dom, jak zawsze, pełniutki?

- Akurat odwrotnie. Jesteśmy tylko z tatusiem i Judytą. Athena nie wróciła jeszcze z Londynu, a Edward obja się gdzieś po Francji i jak zwykle nie wiadomo, kiedy wróci.

- A co robi mamusia panienki?

- Wczoraj wyjechała do Londynu swoim samochodem - oświadczyła Loveday z wielce wymowną miną. - Nawet psa zabrała ze sobą!

- Do Londynu? - powtórzyła pani Mudge ze zrozumiałym zdziwieniem. - Teraz, kiedy są wakacje i wszyscy zjeżdżają się do domu?

Rzeczywiście, Diana Carey-Lewis nigdy nie opuszczała domu w takim okresie. Tym razem jednak Loveday wydawało się, że rozumie intencje matki, choć oczywiście było jej przykro.

- Tak między nami powiem pani, że mama ostatnio czuła się nieszczęśliwa i przygnębiona.

Potrzebowała zmiany otoczenia, a Athena zawsze potrafi poprawić jej humor.

- A na cóż jej była potrzebna jakaś zmiana?

- Wie pani, teraz wystarczy otworzyć gazetę, żeby poczuć się podle. Wszyscy mówią tylko o wojnie, Edward jest na liście oficerów rezerwy lotnictwa, a tato chodzi

z nosem na kwintę i na okrągło słucha wiadomości przez radio. Podobno w Hyde Parku już kopia schrony. Tato boi się, że tym razem mogą zostać użyte gazy... Aż się żyć nie chce. Mama widocznie chciała uciec od tego wszystkiego.

- I jak długo ma zamiar tam zostać?

- Nie wiadomo. Może tydzień, może dwa, a może jak długo zechce.

- No, jeśli miała się zamartwiać, to może i lepiej, że wyjechała. Nettlebedowie i Mary Millyway i bez niej dadzą sobie radę ze wszystkim. - Pani Mudge głośno pociągnęła duży łyk herbaty i umaczała kawałek ciasta w tym, co zostało w filiżance. Lubiła rozmoczone ciasto, bo było miękkie, a przecież nie miała zębów. - Myślę, że nastały dla nas ciężkie czasy. Mam tylko nadzieję, że Waltera nie wezmą do wojska. Ojciec go wyreklamuje, bo jest niezastąpiony na gospodarce.

- A jeśli sam zechce zaciągnąć się na ochotnika?

- Walter? - W głosie pani Mudge pobrzmiwało lekceważenie. - On w życiu nie wstąpiłby dobrowolnie do wojska! Nigdy nie znosił, żeby mu ktoś rozkazywał. W szkole zawsze były z nim kłopoty, bo nie chciał się podporządkować przepisom. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby odpowiadał jakiemuś zupakowi: „Tak jest, panie sierżancie!” W domu będzie z niego większy pożytek.

Loveday dopiła herbatę i spojrzała na zegarek.

- No, muszę już lecieć. Aha, i jeszcze jedno. Czy mogłabym dostać bańkę śmietanki, bo pani Nettlebed chce podać na kolację mus malinowy?

- Oczywiście, w mleczarni jest pełno śmietanki, tylko niech panienka potem odniesie mi bańkę.

- Ja już nie będę mogła, bo jutro wyjeżdżam, ale przekażę to pani Nettlebed.

W mleczarni było chłodno, a posadzka, wyszorowana przez panią Mudge mydłem karbolowym, lśniła czystością.

Loveday znalazła sterylne czystą bańkę i nalała do niej śmietanki czerpakiem o długiej ręczce. Tiger piszczał pod drzwiami, bo nie wpuściła go do środka, natomiast kiedy wyszła na podwórze - przywitał ją z taką radością, jakby przypuszczał, że opuściła go już na zawsze.

- Chodź, głuptasie, idziemy do domu - pocieszyła psa i ponownie wspięła się na furtkę. Nie spiesząc się, przysiadła na obramowaniu i zamyśliła się przez chwilę.

Podczas gdy rozmawiała z panią Mudge - wiatr i deszcz nieco się uspokoiły. Spoza chmur przeświecało słońce; pojedyncze promienie przebijały się przez warstwę mgły jak na ilustracjach w Biblii. Mgła rozwiewała się i można już było dojrzeć spokojną taflę morza.

Loveday myślała o Walterze i zapowiadającej się wojnie. Jak to dobrze, że Walter nie będzie musiał opuścić Nancherrow, aby wstąpić do wojska! Stanowił dla niej część jej dotychczasowego życia, a wszelkich zmian bała się jak ognia. Poza tym bardzo lubiła tego chłopaka. Może i bywał nieraz nieokrzesany, miał niewyparzoną gębę, a krążyły plotki, że ostatnio zbyt często przesiadywał w knajpie, ale był jednym z nielicznych młodych mężczyzn, przy których czuła się swobodnie.

Szkolni koledzy Edwarda, których nieraz zapraszał do domu, wydawali się Loveday przybyszami z innego świata. Drażnił ją ich zblazowany sposób bycia i wyszukana wymowa. Kiedy ona uprzątała stajnię lub jeździła konno z ojcem czy Walterem - oni wylegiwali się na leżakach lub najwyżej grali w tenisa. Przy stole zaś rozmawiali wyłącznie o ludziach, których ani nie znała, ani nie chciała poznać. Poza tym Walter bardzo się jej podobał. Nieraz ukradkiem podglądała go, gdy czyścił konia lub zwoził siano. Zachwycała się wtedy jego siłą i zwinnością ruchów, muskularnymi, opalonymi ramionami, piwnymi oczyma i włosami czarnymi jak u kruka. Przypominał jej przystojnego Cygana z powieści D. H. Lawrence'a i rozbudzał

w niej pierwsze młodzieńcze porywy pożądania. Podobnie oddziaływali na nią bracia Heather Warren. Ich kornwalijski akcent i rubaszne żarty nie onieśmiały jej ani nie nudziły. Loveday doszła ostatnio do wniosku, że gustuje w ludziach... jak by to nazwać? Z niższych sfer? To brzmiało okropnie. Prosty? Jeszcze gorzej! Powiedzmy, w prawdziwych ludziach z krwi i kości. Na pewno ma to coś wspólnego z jej błogim, beztroskim dzieciństwem w bezpiecznej przystani Nancherrow. Nikomu jednak nie zwierzała się ze swych rozterek - nawet Judycie ani Athenie. A jeśli wybuchnie wojna? Codziennie o dziewiątej wieczór cała rodzina gromadziła się wokół radioodbiornika, aby wysłuchać wiadomości. Każdego dnia brzmiały bardziej złowieszczo, jakby zanosilo się na ogólnoswiatowy kataklizm - coś w rodzaju wielkiego pożaru lub trzęsienia ziemi - któremu nikt nie będzie w stanie zapobiec. Uderzenia Big Bena wybijające dziewiątą dźwięczały w uszach Loveday jak trąby na sąd ostateczny.

Perspektywa nadciągającej wojny przerażała ją bardziej, niż ktokolwiek z rodziny mógłby przypuszczać. Trudno jej jednak było wyobrazić sobie, jakie to spowoduje zmiany w najbliższym otoczeniu. Nigdy nie miała zbyt bujnej wyobraźni i dlatego w szkole zawsze największą trudność sprawiały jej wypracowania. Czy na rodzinne strony zaczną spadać bomby, czy też armia niemiecka wyląduje na przykład pod Londynem i rozpocznie zwycięski pochód przez cały kraj? Czy możliwe, aby Niemcy dotarli do Kornwalii? Jak pokonaliby rzekę Tamar, przez którą biegnie tylko most kolejowy? Czy przerzucą przez nią mosty pontonowe, czy może spróbują przeprowić się na łodziach? Nie, to byłoby zbyt proste!

A co się stanie, jeśli Niemcy rzeczywiście tu wkroczą? Wszyscy mężczyźni, jakich Loveday znała, a już na pewno wszyscy znajomi jej ojca, mieli strzelby, których używali do polowań na bażanty i króliki lub gdy trzeba było

dobić rannego psa czy konia. Jeśli ci sami mężczyźni sianą teraz w obronie swych granic - najeźdźcy będą bez szans. Przypomniała sobie zwrotkę starej korn walijski ej piosenki, którą nieraz ryczeli na trybunach kibice meczów rugby.

Gdyby Trelawney dzielny padł -Chłopców z Kornwalii pozna świat!

Tiger niecierpliwił się i piszczał, więc odegnała od siebie złe myśli, zsunęła się z płotu i puściła biegiem wzdłuż poślubionej koleinami drogi, wymachując bańką ze śmietanką. Dla poprawienia nastroju spróbowała myśleć o jutrzejszym wyjeździe do Porthkerris. Znów zobaczy Heather, Paddy'ego i Joego, będą się opalać na zatłoczonej plaży i lizać lody. Nie mogła się też doczekać, kiedy zobaczy nowy samochód Judyty. Pewnie będzie to mały MG z opuszczanym dachem...

Myślenie o tak przyjemnych sprawach znacznie podniosło ją na duchu, zanim jeszcze dotarła do domu.

Porthkerris

9 sierpnia 1939 r.

Kochani Rodzice!

Przepraszam, że tak długo do Was nie pisałam. Spróbuję opisać najważniejsze wydarzenia w telegraficznym skrócie, bo inaczej ten list wyszedłby gruby jak niedzielne wydanie gazety. Jestem teraz w Porthkerris u państwa Warrenów. Loveday też przyjechała tu ze mną, choć wahała się, bo dostała nową klacz, która nazywa się Fleet, i chce ją przygotować do jakichś zawodów. W końcu zdecydowała się wyjechać na tydzień, więc jest tu nam bardzo wesoło, choć trochę ciasno. Jednak pani Warren nie przejmuje się tym, zwłaszcza że Paddy podjął teraz pracę na kutrze rybackim swojego wujka, więc jego łóżko jest wolne. Spi na nim Loveday, a ja z Heather w jej pokoju. Ona też skończyła już szkołę i chodzi na kurs sekretarek, a potem chce jechać do Londynu i znaleźć tam pracę.

Pogoda jest wspaniała i w Porthkerris kłębią się tłumy letników. Joe może dzięki temu zarobić przy uprzątnięciu koszy plażowych i leżaków. Wczoraj udało mu się wynieść dla nas lody. Państwo Warren zatrudnili w sklepie nową pracownicę. Ma ze szesnaście lat i nazywa się Ellie. Rozjaśnia sobie włosy perhydrolem i strasznie głupio wygląda, ale pani Warren mówi, że takiej dobrej ekspedientki jeszcze nie miała - od razu nauczyła się prowadzić rachunki kasowe! Trochę dziwnie się czuję, kiedy pomyślę, że nie wrócę już do szkoły. Nie znam jeszcze wyników matury, ale na zakończenie roku dostałam nagrodę za osiągnięcia w angielskim i historii. Najbardziej mnie zaskoczyło, że zdobyłam także Puchar Carnhayla. Warto było, bo w nagrodę pan Baines - po radzie z wujkiem Bobem - pozwolił mi kupić samochód! Pojechaliśmy z panem Bainesem do salonu samochodowego w Truro i wybraliśmy małego ciemnoniebieskiego Morrisa z czterema siedzeniami. Był tam także sportowy samochód z rozkładanym dachem, ale pan Baines uważał, że gdyby taki wóz się przewrócił, to najpewniej skrzyłabym kark, a Morris jest bezpieczniejszy. Od razu go polubiłam i do Nancherrow pojechałam już sama, a pan Baines jechał za mną jako obstawia! Nie cieszyłam się tak od czasu, kiedy ciocia Luiza kupiła mi rower. Gdy tylko będę mogła, pojedę do Pendeen odwiedzić Phyllis i jej dziecko. W następnym liście napiszę Wam, co u niej słyszę. Przyjechaliśmy więc z Loveday własnym transportem i nareszcie mogliśmy obejść się bez kabrioletu z Nancherrow. Nie macie pojęcia, jaka to przyjemność - specjalnie jechałyśmy powoli, żeby jak najdłużej nacieszyć się tą jazdą. Był to dla nas najpiękniejszy dzień - droga wiodła nad wrzosowiskami, w rowach kwitły naparstnice, a morze z daleka miało kolor ciemnoniebieski. W czasie jazdy dużo śpiewaliśmy. Jeszcze przed naszym odjazdem Diana Carey-Lewis wy-

skoczyła na jakiś czas do Londynu. Pułkownikowi niezbyt się to podobało, ale on teraz, wciąż przejmując się tym, co czyta w gazetach i słyszy w radiu, i Dianie chyba działało na nerwy to, że stale chodził jak struty. W końcu i tak zachował się bardzo ładnie, bo odprowadził ją do samochodu i życzył, Żeby się dobrze bawiła. On jest dla niej takim wspaniałym mężem i wcale nie myśli o sobie, a trudno się dziwić, że denerwuje go obecna sytuacja. Dla człowieka, który całą tamtą wojnę przesiedział w okopach, musi to być okropne. Dobrze chociaż, Że Wy tam w Singapurze jesteście daleko od tego, co się dzieje w Europie. Przynajmniej będziecie bezpieczni.

Muszę już. kończyć, bo Loveday i Heather wybierają się na plażę. Pani Warren przygotowała nam wałówkę i już czuję zapach gorących pasztecików. Czy może być coś lepszego niż takie paszteciki zaraz po wyjściu z wody?

Ucałowania dla wszystkich. Postaram się niedługo znów napisać.

Judyta

U Warrenów nie celebrowano tak posiłków jak w Nancherrow. Dwaj mężczyźni wychodzili tu do pracy, i to każdy o innej porze, więc śniadanie zjadali w biegu i zanim dziewczęta wstały z łóżek, pan Warren był już w sklepie, a Joe na plaży.

W południe, kiedy w sklepie był mniejszy ruch i pan Warren mógł się oderwać od półki bekonu, paczek herbaty i kostek masła - dopiero wtedy szedł coś zjeść. Po tylu godzinach spędzonych na nogach potrzebował chwili wytchnienia, aby spokojnie przejrzeć gazetę, pokrzepić się gorącą zupą, kanapką z serem i filiżanką herbaty.

Podczas gdy jadł, jego żona ani na chwilę nie spoczęła. W tym czasie prasowała, piekła ciasto, zmywała podłogę w kuchni lub obierała kilogramy kartofli, przysłuchując się strzępom wiadomości odczytywanych przez męża. Mogły to być równie dobrze wyniki rozgrywek krykietowych,

jak informacje o kiermaszu na cele dobroczynne organizowanym przez miejscowe kółko pań. Potem pan Warren dopijał herbatę, skręcał sobie papierosa, wypalał go i wracał do pracy.

Teraz przychodziła kolej na Ellie, tylko że ona nie lubiła zupy, a wolała kanapki z pastą mięsną. Na deser chrupała czekoladowe ciasteczka, nie przestając ani na chwilę trajkotać. To opowiadała pani Warren, co szeptał jej do ucha Russell Oates w kolejce po bilety do kina - to znów radziła się jej, czy powinna zrobić sobie trwałą ondulację. Pani Warren lubiła jednak tę roztrzepaną dziewczynę, bo znała ją ód dziecka i wiedziała, że jest bystra, bardzo pracowita i zawsze uprzejma dla klientów.

- W tym tygodniu grają film z Jeanette McDonald i Nelsonem Eddym - relacjonowała. - Zawsze myślałam, że to taki wyciskacz łez, ale muzyka jest tam ładna. W zeszłym tygodniu widziałam film z Jamesem Cagneyem

o gangsterach z Chicago...

- Nie rozumiem, jak możesz oglądać same strzelaniny i bójki.

- Bo to takie ciekawe! A jeśli pada za dużo trupów, chowam się pod krzesło.

Loveday przebywała u Warrenów przez tydzień. Judyta nie mogła się nadziwić, jak szybko przyzwyczała się do warunków panujących w zatłoczonym mieszkaniu za sklepem. Było to otoczenie diametralnie różne od tego, w którym Loveday wzrastała. Carey-Lewisowie należeli przecież do wyższych sfer - tym razem nie dało się niczym zastąpić tego określenia - i swą najmłodszą córeczkę wychowywali w sposób przyjęty w tym środowisku. Od niemowlęctwa rozpieszczano ją i psuto, rodzice ją ubóstwiali, a wierne niańki i kamerdynerzy spełniali każdą jej zachciankę. Mimo to już od pierwszej wizyty u Warrenów była oczarowana ich stylem życia.

Wszystko tu dla niej było nowością - i dom usytuowany

w samym centrum ruchliwego miasteczka, i drzwi wychodzące wprost na brukowaną uliczkę wiodącą do portu... Na żarciki pana Warren'a lub Joego odpowiadała tym samym, a od pani Warren nauczyla się słać łóżko, zmywać naczynia i rozwieszać upraną bieliznę na sznurze. Stałej rozrywki dostarczał sklep, w którym zawsze było pełno klientów, a szczególnie imponowała Loveday zupełna swoboda, jakiej zażywały dzieci Warrenów. Wystarczyło im krzyknąć od drzwi: „Wychodzę!”, a nikt nie pytał, dokąd idą ani kiedy mają zamiar wrócić.

Najbardziej jednak podobało się jej na plaży, gdzie wraz z Judytą i Heather spędzała większość czasu. Pogoda utrzymywała się słoneczna i bezchmurna, tylko z orzeźwiającym wietrzykiem. Piaski ożywiały się barwnymi płótnami namiotów i parasoli plażowych, a także radosnym gwarem licznych gości wakacyjnych. Diana kupiła Loveday dwuczęściowy kostium kąpielowy, który w połączeniu z ciemnymi okularami nadawał jej wygląd gwiazdy filmowej. Zgrabna i opalona figurka przyciągała męskie spojrzenia, toteż nie trzeba było długo czekać, aby ktoś, niby niechący, potoczył w kierunku dziewcząt piłkę plażową, zaprosił je do wspólnej gry w siatkówkę, pływania na materacu czy opalania się w grajdołku. W ten sposób nawiązywały nowe znajomości. Takich rozrywek nie dostarczała zatoczka w Nancherrow.

Czas płynął tak szybko, że pobyt Loveday dobiegł końca, zanim dziewczęta się spostrzegły. Ostatniego dnia wszyscy spotkali się przy wieczornym posiłku, jedynym, podczas którego cała rodzina Warrenów w komplecie zasiadała przy stole. Nikt się specjalnie nie przebierał, wystarczyło pobieżne umycie rąk. Panowie siadali do stołu w koszulach rozpiętych pod szyją, a pani Warren nie zdejmowała nawet fartucha.

Wieczorny posiłek, nazywany tam podwieczorkiem, chociaż był całą ucztą, serwowano o wpół do siódmej. Na stole zjawiał się zwykle udziec barani, pieczony kapłon

lub ryba, a do tego kartofle puree lub pieczone, trzy rodzaje jarzyn, pikle i różne sosy. Na deser pani Warren podawała galaretki, kremy, domowe ciasta lub ciasteczka, a wszystko to podlewane dużymi filiżankami mocnej herbaty.

Po całym dniu spędzonym na plaży dziewczęta pojawiły się przy stole tylko w cienkich sukienkach bez rękawów, narzuconych na kostiumy kąpielowe.

- Czy naprawdę musisz już jechać? - zagadnęła z żalem pani Warren.

- Będzie nam smutno bez ciebie - dodał jej mąż. - Tak nam się fajnie wygłupiało!

- Tak, ale muszę już wracać - wymawiała się Love-day. - Fleet wymaga jeszcze dużo pracy. Mam nadzieję, że Walter przejeżdżał ją codziennie, bo inaczej będzie tak rozbrykana, że nie da się z nią nic zrobić.

- No, przynajmniej złapałaś trochę słońca - zaśmiał się pan Warren. - Co powie twoja mama, kiedy zobaczy w domu małego Murzynka?

- Nie zobaczy, bo jest teraz w Londynie. A nawet gdyby mnie widziała, to tylko by zazdrościła, bo sama zawsze stara się opalić na brąz. Czasem nawet opala się nago.

- Ho, ho! - zainteresował się Joe. - Zaproponuj mamie, żeby przyjechała na naszą plażę.

Urządzilibyśmy ładne widowisko!

- Głuptasie, ona nie opala się tak przy ludziach, tylko tam gdzie nikt nie widzi, w ogrodzie albo na skałach...

- Jak to nikt nie widzi, skoro ty o tym wiesz? Przyznaj się, że podglądałaś!

Loveday rzuciła w niego skórka od chleba. Na to pani Warren czym prędzej wstała i poszła nastawić herbatę.

Następnego dnia rano po Loveday przyjechał Palmer kabrioletem myśliwskim z Nancherrow. Ten ciężki i niezgrabny pojazd niezbyt nadawał się do ruchu na wąskich uliczkach, stromych podjazdach i ostrych zakrętach Porth-

kerris. Toteż Palmer o mało co się nie zgubił i dotarł do sklepu Warrenów raczej dzięki szczęśliwemu przypadkowi niż dobrej orientacji.

Jakoś jednak tam trafił. Do samochodu zniesiono walizki Loveday i cała rodzina wyległa przed sklep, by ją pożegnać. Nie było końca pocałunkom, uściskom i prośbom, żeby niedługo znów przyjechała.

- A ty kiedy wracasz? - zapytała Judyty, wychylając się przez otwarte okno samochodu.

- Myślę, że w niedzielę rano. Zresztą zadzwonię i dam ci znać. Pozdrów ode mnie wszystkich w domu.

- Oczywiście... - zaczęła, ale w tym momencie toporny pojazd ruszył z miejsca i majestatycznie potoczył się naprzód. - Do widzenia!

Pozostali machali jej rękami, dopóki kabriolet nie zniknął za ostrym zakretem.

Na początku dziewczęta czuły się trochę dziwnie bez Loveday, bo - jak wszyscy z rodziny Carey-Lewisów - potrafiła być duszą każdego towarzystwa. To jednak, że Judyta została sama tylko z Heather, miało także swoje zalety. Przyjaciółki mogły swobodnie wspominać dawne, szkolne czasy i wspólnych znajomych bez obawy, że Loveday nie może brać udziału w rozmowie albo że trzeba będzie długo jej wyjaśniać, kto jest kim i co się kiedy zdarzyło.

Siedziały teraz przy kuchennym stole, popijając herbatę i zastanawiając się, jak spędzą dzień. Miały już dość chodzenia po raz któryś z rzędu na plażę w Porthkerris, bo Loveday nie chciała nawet słyszeć o niczym innym. Bez niej mogły więc skorzystać z okazji i wyskoczyć gdzieś dalej.

- W końcu po to mam samochód, żeby móc zwiedzić jakieś mniej uczęszczane miejsca - proponowała Judyta, ale wciąż nie potrafiły się zdecydować, dokąd pojedą.

Dopiero pani Warren, wpadając na górę podczas chwilowego zastoju w sklepie, pomogła im podjąć decyzję.

- Mogłybyście przecież pojechać do Treen. Samochodem to nie jest daleko, a w taką piękną pogodę wysoki brzeg wygląda prześlicznie i nie ma tam żywej duszy!

Pojechały więc do Treen, drogą prowadzącą na zachodni cypel Kornwalii, przez Pendeen i St. Just. Mijając Pendeen, Judyta przypomniała sobie o Phyllis.

- Muszę któregoś dnia do niej wpaść, bo ona mieszka gdzieś tutaj, tylko nie wiem dokładnie gdzie. Napiszę do niej, bo ona chyba nie ma telefonu.

- Zdasz to zrobić jeszcze w tym tygodniu. Jeśli chcesz, możemy skoczyć także do Penmarron.

- Lepiej nie! - Judyta zmarszczyła czoło.

- Boisz się, że zaczniesz znów tęsknić za tamtym domem?

- Nie wiem na pewno, ale wolę nie ryzykować. - Pomyślała o małej stacyjce kolejowej, Riverview i możliwości złożenia wizyty panu Willisowi. Z miejscami tymi wiązały się jednak zarówno miłe wspomnienia, jak i przykre. - Wolę zapamiętać te miejsca takimi, jakie były.

W Treen zaparkowały samochód przed gospodą i poszły na przełaj przez pola, z wałówką i kostiumami kąpielowymi w chlebakach. Dzień był tak samo bezchmurny jak poprzednie. Nad kwitnącym wrzosem brzęczały pszczoły, a słońce odbijało się w jaspisowozielonej tafli morza.

Wybrzeże było strome, a półksiężyc zatoki leżał nisko w dole, toteż dziewczęta dokonały karkołomnego wyczynu, opuszczając się po krętej i spadzistej ścieżce na piaszczystą plażę. Za to kiedy się już tam dostały - poczuły się jak na bezludnej wyspie.

- Tu możemy kąpać się i bez kostiumów - orzekła Heather, więc rozebrały się do naga i baraszkowały z falami. Pływały i pluskały się w lodowatej wodzie, dopóki nie zmarzły na kość. Wtedy wyszły na gorący piasek, znalazły ręczniki, a potem opalały się nago na skałach i rozmawiały.

Heather zwierzyła się Judycie, że ma chłopaka, z któ-

rym chodzi na poważnie. Był nim Charlie Lanyon, syn właściciela dobrze prosperującej hurtowni materiałów budowlanych. Poznała go na przyjęciu po zwycięskim meczu krykieta, ale trzymała tę znajomość w tajemnicy przed rodziną. Obawiała się po prostu, że Joe dokuczałby jej z tego powodu.

- On jest naprawdę miły - wyznawała. - Nie tyle przystojny, ile właśnie miły. Ma takie ładne oczy i śliczny uśmiech...

- I co robicie, kiedy się spotykacie?

- Idziemy potańczyć albo do baru napić się piwa. On ma samochód i zwykle przyjeżdża po mnie na przystanek autobusowy.

- W końcu będziesz musiała przyprowadzić go do domu.

- Kiedyś tak, ale on jest trochę nieśmiały.

- Czy pracuje w firmie swego ojca?

- Nie, uczy się w technikum w Camborne. Ale ma już dziewiętnaście lat i ojciec chce go mieć za wspólnika.

- Brzmi to nieźle.

- On też jest niezły! - Heather się uśmiechnęła. Judyta osłoniła ręką oczy, gdyż leżała na plecach, i przez chwilę milczała. Zastanawiała się, czy powiedzieć Heather o tym, co łączy ją z Edwardem. Po krótkim namyśle zdecydowała jednak, że lepiej nic nie mówić. Uważała swoje uczucia do Edwarda za zbyt cenne, by je dzielić z osobą trzecią. Oczywiście Heather nie zawiodłaby jej zaufania, ale tajemnica raz ujawniona przestałaby być tajemnicą.

Słońce przygrzewało tak mocno, że zaczęły ją piec ramiona i uda. Przewróciła się więc na brzuch i spróbowała jakoś się ułożyć na twardej skalnej półce.

- Masz zamiar się z nim zaręczyć? - spytała.

- A po co? Jeśli wybuchnie wojna, powołają go do wojska i nie zobaczymy się przez parę lat. Zresztą na razie niepilno mi do męża i kupy bachorów. Na to zawsze przyjdzie czas. - Nagle zaniósł się śmiechem.

- Co ci tak wesoło?
 - Akurat przypomniałam sobie, jak Nora Elliot opowiadała nam za szopą na rowery, skąd się biorą dzieci.
- Judyta pamiętała to aż za dobrze, więc też zaczęła się śmiać.
- Wtedy się nam wydawało, że ona to wszystko zmyśliła i że tylko taka paskudna Nora Elliot mogła wykombinować coś tak obrzydliwego.
 - A tymczasem okazało się, że to wszystko prawda! Uśmieły się do łez, a kiedy w końcu udało im się opanować, Heather spytała:
 - A kto ci powiedział o tym?
 - O czym? O sprawach męsko-damskich?
 - Tak, bo mnie powiedziała mama, ale twoja mama przecież była wtedy za granicą.
 - Panna Catto opowiedziała, nie tylko mnie, ale całej naszej klasie, w ramach przysposobienia do życia w rodzinie.
 - To musiało być cholernie krępujące!
 - Dziwne, ale wcale nie było. Może dlatego, że włączyła to do programu biologii.
 - Mama wyjaśniła mi to bardzo mądrze. Powiedziała, że może to nie brzmi ładnie, ale kiedy się kogoś kocha, wtedy wszystko wygląda inaczej. Wiesz, uczucia i tak dalej...
 - Czy do Charliego też żywisz takie uczucia?
 - Jeśli o to ci chodzi, nie mam zamiaru iść z nim do łóżka.
 - Chodzi mi o to, czy go kochasz.
 - Tak, ale nie w ten sposób. To znaczy, nie chcę się wiązać na stałe.
 - A co właściwie chcesz robić? Pracować w Londynie?
 - Chciałabym w końcu mieć własne mieszkanie i dobre zarobki.
 - Już sobie wyobrażam ciebie w czarnej sukience

z białym kołnierzykiem, jak siedzisz na kolanach szefa i piszesz pod jego dyktando.

- Możesz być pewna, że nigdy nikomu nie będę siadać na kolanach.

- A nie będziesz tęsknić za Porthkerris?

- Przecież nie spędzę tu reszty życia! Za dużo już widziałam dziewcząt, które nie wyściubiły nawet nosa z miasteczka, tak je dzieci obsiadły. To nie dla mnie. Chciałabym najpierw poznać kawałek świata, może nawet Australię...

- Chciałabyś wyjechać stąd na zawsze?

- Na zawsze nie. Kiedyś tu wrócę. - Heather usiadła, przeciągnęła się i ziewnęła. - Ależ gorąco! Zdażyłam już zgłodnieć. Zjedzmy coś.

Cały dzień spędziły na skałach, na piasku lub w wodzie. Po południu zaczął się przypływ i można było unosić się na falach nagrzanym w słońcu. Jednak około wpół do piątej zrobiło się chłodniej i dziewczęta postanowiły, że już dość na dzisiaj. Czekala je jeszcze wspinaczka po stromym zboczu klifu.

- Aż przykro stąd odchodzić - stwierdziła Heather, pakując do chlebaka mokry strój kąpielowy i resztki pikniku. Jeszcze raz spojrzała na morze, które w zmienionym świetle przybrało także inny odcień - przechodząc z jaspisowej zieleni w akwamarynę. - Pomyślałaś kiedyś, że nic już nigdy nie będzie takie samo? Ani ty, ani ja, ani to miejsce. Wszystko zdarza się tylko raz. Potem może być podobnie, ale nigdy tak samo.

- Rozumiem, o co ci chodzi - zgodziła się Judyta. Heather przerzuciła przez ramię pas od chlebaka.

- No, to zaczynamy wspinaczkę.

Rzeczywiście, forsowanie zbocza klifu było długie i męczące, choć może nie takie przerażające jak schodzenie w dół. Kiedy szczęśliwie osiągnęły cel, odetchnęły z ulgą. Dla odpoczynku zatrzymały się na chwilę, spo-

glądając w dół na morze, opustoszałą zatoczkę i jej brzegi, które pozornie się nie zmieniły.

Heather miała rację, że wszystko zdarza się tylko raz i nic już nigdy nie będzie takie samo. Judyta zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim znowu przyjedzie do Treen.

O szóstej wieczorem były już z powrotem w Porthkerris, opalone, oblepione solą morską i zmęczone. Na sklepie pana Warrena wisiała już tabliczka z napisem „Zamknięte”, ale drzwi były jeszcze otwarte. Kiedy weszły do środka, zastały właściciela w swoim kantorku, podliczającego utarg dzienny. Na widok dziewcząt podniósł głowę znad kolumn cyfr.

- Któż to przyszedł? Aha, to wy. Dobrzeście się bawiły?

- Wspaniale. Byłyśmy aż w Treen.

- Wiem, matka mi mówiła. - Skierował wzrok na Judytę i dodał: - Był do ciebie telefon jakąś godzinę temu.

- Ktoś dzwonił do mnie?

- Tak. Prosił, żebyś oddzwoniła. - Odłożył pióro i rozejrzał się po swoim biurku, aż znalazł skrawek papieru. - O, tu zapisałem. Mówił, że znasz numer.

Na papierku widniały tylko trzy słowa: „Zadzwoń do Edwarda”. Judyta poczuła, że radość przepelnia ją aż do najdalszego zakątka ciała.

- Skąd dzwonił? - spytała dla pewności.

- Nie mówił. Powiedział tylko, że jest teraz w domu.

- Kto to taki? - nie mogła wytrzymać Heather.

- Edward Carey-Lewis. Myślałam, że jeszcze nie wrócił z Francji.

- Lepiej zadzwoń do niego od razu.

Judyta zawahała się, gdyż jedyny aparat telefoniczny w tym domu stał właśnie tu, w kantorku pana Warrena. Heather wyczuła jej skrepowanie i szybko dodała:

- Tato nie będzie miał nic przeciwko temu. Prawda, tatusiu?

- Oczywiście. Już mnie nie ma. - Wstał z krzesła.

- Ależ pan wcale nie musi wychodzić! - Judyta poczuła się zakłopotana. - My z Edwardem nie mamy żadnych tajemnic.

- Skończyłem już to, co miałem do roboty, a resztę zrobię później. Idę napić się piwa.

- Należę tatusiowi - zaofiarowała się szybko Heather z błyskiem w oku. - Judyto, daj mi swój chlebak. Tymczasem porozwieszam nasze mokre rzeczy.

Oboje taktownie wyszli, pozostawiając Judytę samą. Patrzyła za nimi, aż dostatecznie się oddalili, i wtedy usiadła przy biurku na miejscu pana Warrena, podniosła słuchawkę staromodnego aparatu i podała telefonistce numer do Nan-cherrow.

- Słucham? - To Edward odebrał telefon.

- To ja - powiedziała od razu.

- Judyta?

- Dopiero co wróciłam. Pan Warren przekazał mi, że dzwoniłeś. Myślałam, że jeszcze jesteś we Francji.

- Nie, jestem od czwartku w domu, ale prawie pustym. Nie ma tam ani mamy, ani Loveday, ani ciebie. Żyjemy z ojcem jak słomiani wdowcy.

- Jak to, przecież Loveday wróciła!

- Ale prawie jej nie widuję, bo całe popołudnia spędza w stajni. Trenuje tego nowego kuca.

- Jak było we Francji?

- Wspaniale. Muszę ci o tym opowiedzieć. Kiedy przyjeżdżasz?

- W przyszłym tygodniu.

- Nie mogę czekać aż tak długo. Może spotkalibyśmy się już dzisiaj? Mógłbym podjechać po ciebie i wyskoczylibyśmy gdzieś na drinka. Chyba Warrenowie nie będą mieli nic przeciwko temu?

- Skądże znowu!

- No więc, powiedzmy, o ósmej. Jak mam do ciebie trafić?

- Jak tylko zjedziesz z górki, kieruj się prosto w stronę

portu. Zaraz za starym placem targowym znajdziesz sklep spożywczy Warrena. Sklep jest już zamknięty, ale boczne drzwi stoją zawsze otworem. Takie jaskrawoniebieskie, z mosięzną klamką.

- Na pewno je rozpoznam! - W jego głosie pobrzmiwała wesołość.

- A więc do zobaczenia o ósmej!

Odwiesił słuchawkę. Judyta siedziała jeszcze przez chwilę, rozmarzona, przeżywając powtórnie każde jego słowo i ton głosu. A więc wrócił z Francji i nie mógł się doczekać, aby ją zobaczyć. Chciał się z nią widzieć i już jechał do niej.

Musi więc szybko wziąć prysznic, wypłukać sól morską z włosów i przebrać się w świeżą sukienkę.

Nie ma chwili do stracenia. Zerwała się więc z krzesła i pobiegła na górę, biorąc po dwa stopnie naraz.

Właśnie malowała usta przed lustrem, gdy usłyszała warkot samochodu nadjeżdżającego zza rogu i zatrzymującego się przed zamkniętym sklepem. Odłożyła więc szminkę i wychyliła się przez okno.

Zobaczyła w dole ciemnoniebieskiego triumpha, z którego Edward wystawił właśnie swoje długie nogi. Wsiadł i zatrzasnął drzwiczki z lekkim szczękiem.

- Edwardzie! - zawołała z okna.

Jego sylwetka widziana z góry była śmiesznie skrócona.

- Schodź! - odkrzyknął.

- Już lecę!

Zabrała jeszcze tylko białą torebkę na ramię, rzuciła okiem w lustro i już zbiegała po schodach, a potem przez niebieskie drzwi na zewnątrz. Edward czekał na nią, oparty o maskę samochodu. Wpadła wprost w jego rozpostarte ramiona i wycalowali się w oba policzki. Miał na sobie rdzawoczerwone płócienne spodnie, espadryle i białą-nie-bieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i rękawami za-

winiętymi po łokcie. Był opalony na brąz, a włosy miał spłowiałe od słońca.

- Wyglądasz wspaniale! - nie wytrzymała.

- Ty też!

Poczuła się pewniej widząc jego niedbały strój, bo i sama zbyt nie stroiła. Po kąpieli założyła niebieską bawełnianą sukienkę w wąskie białe paseczki i białe sandały na boscie nogi.

- Jestem zazdrosny - zażartował. - Opaliłaś się lepiej ode mnie.

- Mieliliśmy tu wspaniałą pogodę.

Chwilę postął z rękami w kieszeniach, mierząc wzrokiem wysoką, a równocześnie wąską kamienicę.

- Co za malownicze miejsce!

- To taki dziwny dom, który ma z przodu trzy piętra, a z tyłu tylko dwa - wyjaśniła Judyta. - Pewnie dlatego, że stoi na wzgórzu, jak większość domów w tym miasteczku. Kuchnia jest na pierwszym piętrze, ale od tyłu wychodzi się z niej prosto na podwórze. Tam pani Warren hoduje rośliny w doniczkach i wiesza pranie, bo nie ma ogrodu.

- Czy mogę wejść do środka?

- Możesz, tylko że nikogo tam nie ma. Dziś na boisku do rugby odbywa się wielki jarmark, więc Heather z rodzicami poszła jeździć na karuzeli i zdobywać nagrody na strzelnicy.

- Różowe słonie z pluszu?

- Coś w tym rodzaju. - Zaśmiała się. - Za to Joe, brat Heather, wypuścił się gdzieś z kolegami.

- A dokąd my pójdziemy? Który lokal jest modny w tym sezonie?

- Nie mam pojęcia. Może „Pod Kołowrotkiem”?

- Świetny pomysł, już dawno tam nie byłem. Chcesz jechać samochodem czy pójść spacerkiem?

- Przejdziemy się, nie warto zapalać samochodu.

- No więc chodźmy.

Poszli wąską uliczką prowadzącą do portu i przystani łodzi ratunkowych. Po drodze Judycie przysłała do głowy inna myśl.

- Jadłeś coś w domu? - spytała.

- A co, wyglądam na głodnego?

- Nie, ale oboje wiemy, że w Nancherrow kolację jada się o ósmej, a więc pewnie ją przepuściłeś.

- Rzeczywiście, ale jakoś nie jestem głodny. Doszedłem ostatnio do wniosku, że wszyscy w domu za dużo jemy. To wina pani Nettlebed, że tak dobrze gotuje. Aż się dziwię, że moi rodzice nie są grubi jak becзки. Jedzą cztery razy dziennie i nie tyją ani o gram.

- To kwestia metabolizmu.

- Gdzieś ty się nauczyła takich trudnych słów?

- U Świętej Urszuli poziom nauczania był bardzo wysoki.

- Był wysoki - powtórzył Edward z naciskiem. - Czy to nie wspaniałe mieć to już za sobą? Kiedy ukończyłem Harrow, długo nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Krzyczałem przez sen, kiedy mi się śniło, że tam wróciłem.

- No, chyba nie było aż tak źle. Nie ściska cię w gardle, kiedy słyszysz chłopców śpiewających stare szkolne piosenki?

- Jakoś nie. Może będzie mnie to wzruszać, kiedy przekroczę pięćdziesiątkę.

Minęli przystań łodzi ratunkowych i szli dalej portowym zaułkiem. Wieczór był tak ciepły i pogodny, że ulicę wypełniały tłumy spacerowiczów. Przeważnie byli to turyści, którzy przyglądali się przez balustradę łodziom rybackim, lizali lody lub jedli porcje smażonej ryby z frytkami, zawinięte w gazetę. Przyjezdnych poznawało się po ekstrawaganckich strojach, skórze spieczonej na raka i obcym akcencie. Trwał akurat przypiływ, nad wodą kołowały stada żarłocznych mew, a wiekowi, czarno ubrani mieszkańcy portu powynosili krzesła przed swoje domki, aby poplotkować, pogapić się na przechodniów i wygrzać

się w promieniach zachodzącego słońca. Także przed barem „Pod Kołowrotkiem” przy wyniesionym na zewnątrz siole popijała piwo grupka młodych, opalonych urlopowiczów.

- Mam nadzieję, że nie ma zbyt wielkiego tłumu -głośno myślał Edward. - Ostatni raz byłem tu zimą i wtedy w środku siedziało najwyżej dwóch facetów, którzy chcieli trochę odpocząć od swoich żon.

Zobaczmy, jak to teraz wygląda.

Poszedł pierwszy, schylając głowę pod niską framugą drzwi. Za nim w półmrok wsunęła się Judyta i od razu owionął ją zapach piwa, alkoholu i rozgrzanych ciał. W powietrzu unosiły się kłęby dymu z papierosów i dźwięczały ożywione głosy. Judyta nie przyznała się Edwardowi, że jest tu po raz pierwszy - mężczyźni w rodzinie Warrenów rezerwowali tylko dla siebie odwiedziny w tym barze.

Rozglądała się więc, próbując odgadnąć, co w tym miejscu jest tak atrakcyjnego.

- Jest gorzej, niż myślałem - stwierdził Edward. - Uciekamy stąd czy zostajemy?

- Może zostaniemy.

- No więc stój tu i uważaj, czy nie zwolni się jakiś stolik. Ja tymczasem zamówię coś do picia. Czego się napijesz?

- Może być piwo imbirowe albo jabłecznik.

- Przyniosę ci piwa imbirowego. - Zaczął przepychać się do bufetu, a Judyta obserwowała, jak stanowczo, lecz uprzejmie, toruje sobie drogę, powtarzając co chwila: „Przepraszam”.

Dopchał się już blisko, gdy Judyta zauważyła, że towarzystwo siedzące przy stoliku pod oknem zaczyna się zbierać do wyjścia. Z zadziwiającą chyżością znalazła się przy nich.

- Przepraszam, czy państwo już wychodzą?

- Właśnie, musimy wracać do pensjonatu. Pani pewnie czeka na stolik?

- Owszem, chętnie bym już usiadła.

- Widzę, bo straszny dziś tłok.

Potrwało trochę, nim cała czwórka zwolniła miejsce, ale Judyta pilnowała, aby nie uprzedził jej nikt niepowołany. Gdy wreszcie poszli, wcisnęła się na wąską drewnianą ławę i postawiła obok torebkę na znak, że zajmuje miejsce dla Edwarda.

Po chwili wrócił, niosąc swój kufel i jej szklanekę. Nie posiadał się z zachwytu nad jej zaradnością.

- Czymżeś ich wystraszyła? - zastanawiał się głośno, stawiając drinki na stole.

- Nie musiałam, bo i tak już wychodzili.

- To mamy szczęście, bo nie wytrzymałibyśmy całego wieczoru na stojąco.

- Nie przypuszczałam, że ten lokal jest tak mały.

- Rzeczywiście, jest tu dość ciasno - zgodził się Edward zapalając papierosa. - W tym miasteczku jest kilka innych barów, ale ten ma największe powodzenie. Może dlatego, że jest to dość malownicze miejsce. Na razie wypijmy za nasze spotkanie. Długośmy się nie widzieli.

- Dokładnie od Bożego Narodzenia.

- Aż tak długo?

- Przecież Wielkanoc spędzałeś w Ameryce.

- Rzeczywiście.

- To opowiedz mi, jak było w tej Francji.

- Cudownie.

- Gdzie mieszkałeś?

- W willi na wzgórzu w okolicy Cannes. Najbliższa wioska nazywała się Sillence. Otaczały ją winnice i gaje oliwne. Willa miała taras cały obrosnięty winoroślą - na nim jadaliśmy wszystkie posiłki - a w ogrodzie był basen, do którego doprowadzano wodę z górskiego potoku. Brzęczały cykady, pachniały różowe pelargonie, czosnek, olej słonecznikowy i dym z gauloise'ów. Było bosko!

- Do kogo należała ta willa?

- Do sympatycznego starszego małżeństwa nazwiskiem Beath. Zdaje mi się, że ten pan pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- To ty ich nawet nie znasz?

- W życiu nie widziałem na oczy.

- Jak więc...

Edward cierpliwie, choć z wysiłkiem, wyjaśniał:

- Byłem w Londynie z Atheną na przyjęciu. Poznałem tam miłą dziewczynę, która przy kolacji wspomniała mi, że jej wujostwo mają willę na południu Francji, do której zawsze może przyjechać i zaprosić swoich znajomych.

- A ty byłeś jednym z tych znajomych?

- Co w tym śmiesznego?

- Chyba tylko ty potrafisz z przyjęcia w Londynie przeskoczyć prosto na południe Francji.

- To raczej dobrze świadczy o mojej inteligencji.

- Ta dziewczyna musiała być ładna!

- Willa na południu Francji doda uroku każdej dziewczynie. Tak samo imponujące konto bankowe zmieni najbrzydszą kobietę w seksbombę, przynajmniej w oczach niektórych mężczyzn.

Wiedziała, że celowo ją prowokuje, więc tylko się uśmiechnęła. Kiedy widzieli się po raz ostatni, jego wrażenia z pobytu w Szwajcarii wzbudziły w niej zazdrość o te anonimowe dziewczyny, z którymi zjeżdżał na nartach lub całymi nocami tańczył w takt piosenki: „Gdy dziewczę cię pokocha...” Teraz, gdy była już trochę starsza, a dużo bardziej pewna siebie - nie czuła zazdrości. W końcu to, że po powrocie do Nancherrow próbował za wszelką cenę nawiązać z nią kontakt, też o czymś świadczyło. Coś jednak musiała dla niego znaczyć, więc może nie zgubił serca na południu Francji?

- I co było dalej? - dopytywała się niecierpliwie. - Słucham?

- Mówiłeś, że ta dziewczyna mogła zaprosić jakichś znajomych.

- Tak, bo była już umówiona z koleżanką, ale ich chło-

pcy mieli inne plany. Akurat byłem pod ręką, a że nie mam zwyczaju odrzucać ciekawych propozycji, szybko się zgodziłem, zanim zdążyłaby zmienić zdanie. Dodała jeszcze, że mogę wziąć ze sobą kolegę, więc pierwszym, który mi przyszedł na myśl, był Gus Callender.

- Kto to jest? - Judyta pierwszy raz w życiu słyszała to nazwisko.

- Taki ponury, czarniawy Szkot, gdzieś z dzikich gór. Jest razem ze mną na studiach, tylko że technicznych, ale naprawdę dobrze poznałem go dopiero w lecie, kiedy dostaliśmy w akademiku sąsiednie pokoje. To nieśmiały, małomówny chłopak, ale bardzo sympatyczny. Od razu pomyślałem o nim, bo byłem pewien, że jeszcze nie ma żadnych planów na wakacje, a jeśli ma, to takie, które może zmienić.

- A czy pasował do reszty towarzystwa?

- Oczywiście! - Edward był wyraźnie zaskoczony tym, że Judyta mogła kwestionować jego znajomość ludzi. - Byłem tego pewien. Jedna z dziewcząt nawet się w nim podkochiwała, a pani Beath twierdziła, że to uroczy chłopak. Mało tego, on jest malarzem, co jeszcze dodawało pikanterii. Namalował willę Beathów i ofiarował im ten obraz w rewanżu za gościnę. Byli zachwyceni! Judyta doszła do wniosku, że musi to być ciekawy człowiek.

- Inżynier i artysta jednocześnie? To trochę dziwne połączenie.

- Nie tak bardzo, bo przydaje mu się to przy rysunku technicznym i geometrii. Masz zresztą szansę go poznać, bo zaprosiłem go do Nancherrow. Chciałem, żeby od razu wrócił ze mną, ale musiał najpierw odwiedzić rodziców w najdalszym zakątku Szkocji. Nie mówi nigdy zbyt wiele o swojej rodzinie, ale odniosłem wrażenie, że nie są to zbyt ciekawi ludzie.

- To w jaki sposób mam go poznać?

- Być może przyjedzie, ale później, bo chyba spodobał mu się ten pomysł. Może nie zapalił się od razu, ale on nigdy do niczego się nie zapala. - Zauważył, że Judyta się śmieje, więc dodał: - Co w tym śmiesznego?

- Mam nadzieję, że nie jest nudny i bez ikry, bo Loveday nie da mu żyć.

- Loveday jest zgaga, a ikrę to on na pewno ma, bo wszyscy Szkoci mają.
 - Był już kiedyś w Kornwalii?
 - Jeszcze nigdy.
 - To na pewno będzie zauroczony, jak wszyscy malarze, i nie zechce stąd odjechać.
 - Znając Gusa wątpię, aby chciał ryzykować swoją karierę zawodową. Szkoci przykładają dużą wagę do wykształcenia. Dlatego właśnie oni wynaleźli nieprzemakalne płaszcze, opony pneumatyczne i asfaltowe szosy.
- Judyta uznała, że temat Gusa Callendera został już wyczerpany.
- Powiedz mi coś więcej o tej Francji. Jak się wam jechało?
 - W tamtą stronę wspaniale, ale z powrotem gorzej. Między Paryżem a Calais utworzyły się gigantyczne korki na szosach i trwało pół dnia, zanim dostaliśmy się na prom.
 - Co tam się działo?
 - Psychoza wojenna. Wszyscy Anglicy, którzy spędzali wakacje w Bretanii czy w Belgii, wpadli w panikę, skracali pobyt i na gwałt wracali do kraju.
 - Czego się tak bali?
 - Czy ja wiem? Może Niemcy przełamali Linie Maginota i wkroczyli do Francji? Prawdziwy pech dla hotelarzy. Możesz sobie wyobrazić ich miny, kiedy widzieli, jak im ucieka chleb sprzed nosa?
 - Czy naprawdę sytuacja jest tak ciężka?
 - Chyba dosyć ciężka, bo ojciec aż odchodzi od zmysłów.
 - Pewnie dlatego twoja mama wyjechała do Londynu?

- Tak, bo zawsze wolała odsuwać od siebie przykrą prawdę niż spojrzeć jej w oczy. Wczoraj dzwoniła do domu, żeby sprawdzić, jak sobie dajemy radę bez niej, i przekazać nam najnowsze ploteczki z Londynu. Athena ma nową sympatię! To jakiś Rupert Rycroft z Pułku Dragonów Gwardii Królewskiej.

- Brzmi to bardzo szykownie.

- Założyliśmy się z ojcem o piątkę, jak długo ze sobą wytrzymają. Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę na jeszcze jedno piwko.

- Dla mnie na razie wystarczy, jeszcze tego nie skończyłam.

- To pilnuj, żeby nikt nie zajął mojego miejsca.

- Dobrze.

Powtórnie zaczął torować sobie drogę do bufetu, więc Judyta została sama. Nie nudziła się, bo mogła w tym czasie przyglądać się licznym zgromadzonym w barze gościom. Stwierdziła, że stanowią oni dość mieszane towarzystwo. Przy kominku siedziało kilku starszych panów, którzy wyglądali na stałych bywalców tego przybytku. Ściskali kufle piwa w spracowanych dłoniach i gawędzili między sobą, z niedopałkami przylepionymi do warg. Robili wrażenie, jakby siedzieli tu od chwili otwarcia lokalu.

Innego pokroju towarzystwo stanowili goście któregoś z wytwornych hoteli na górze. Najwidoczniej wybrali się do portowej knajpy, aby przyjrzeć się miejscowemu folklorowi. Można ich było poznać po snobistycznych manierach i krytycznych spojrzeniach, którymi obrzucali otoczenie. Ci jednak zbierali się już do wyjścia, gdyż widać było, jak odstawiają puste szklanki.

Kiedy wyszli, zrobiło się trochę luźniej i odsłonił się drugi koniec sali. Siedział tam mężczyzna, przed którym na stole stała wypełniona do połowy szklanka. Wpatrywał się w Judytę przenikliwym wzrokiem spod krzaczastych brwi. Czapkę miał naciągniętą nisko na oczy, a wąsy obwisłe i poplamione nikotyną. Judyta wypła łyk piwa im-

birowego, ale zaraz odstawiła szklankę, gdyż czuła, że lęka jej drży. Serce zaczęło jej walić, a krew odpływała z twarzy. To był Billy Fawcett!

Nie widziała go ani nie słyszała o nim od czasu pogrzebu ciotki Luizy. W miarę upływu lat wspomnienia koszmarnego przeżycia związanego z tym człowiekiem zaczynały już blednąć, ale nigdy nie zatarły się całkowicie. Daremnie próbowała wyrzesać z siebie choćby cień współczucia dla nieszczęśliwego, starego zboczeńca. Przecież to pamięć o nim o mało co nie zniszczyła jej przyjaźni z Edwardem i ze względu na niego bała się kiedykolwiek zaglądać do Penmarron.

Kiedy jeszcze jako uczennica odwiedzała Warrenów, żyła w ciągłym strachu przed przypadkowym spotkaniem z Billym Fawcettem, na przykład na ulicy, przed drzwiami banku bądź zakładu fryzjerskiego. Na szczęście nigdy do tego nie doszło i z czasem nabrała przekonania, że musiał wyjechać z Penmarron gdzieś w głąb kraju albo nawet umrzeć.

Tymczasem nie tylko żył, ale siedział tu „Pod Kołowrotkiem” i wlepił w nią oczy, płonące jak rozżarzone węgielki. Tymczasem Edward utknął gdzieś przy barze i nie spieszył się z powrotem.

Judyta modliła się w duchu, aby jak najprędzej wrócił.

On jednak zagadał się z kimś przy barze, a Billy Fawcett podniósł się ze swego miejsca, wziął ze sobą napoczętą szklankę i szedł ku niej przez całą salę. Judyta siedziała jak zahipnotyzowana. Prawie nic się nie zmienił od tamtych czasów, najwyżej trochę się postarzał, stał się bardziej obdarty i niechlujny. Jego czerwone policzki pokrywała siatka purpurowych żyłek. Już był przy niej, kładąc sękatą rękę na oparciu krzesła.

- Judyto...

Nie odezwała się ani słowem.

- Mogę się przysiąc? - Nie czekając na odpowiedź, odsunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

- Poznałem cię od razu, jak tylko weszłaś. Aleś urosła!

- Aha - rzuciła obojętnie.

Z ust śmierdziało mu wódką i starym tytoniem.

Edward już zbliżał się do stolika, więc w duchu błagała go, aby szybciej przybył jej na odsiecz. Jemu też nie spodobał się nieapetyczny intruz. Powiedział wprawdzie uprzejmie: „Dzień dobry”, ale bez większego przekonania.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Billy silił się na wytworność. - Chciałbym pomówić z panną Judytą... Odkąd to my się znamy... Jestem Billy Fawcett, emerytowany pułkownik wojsk kolonialnych... Ale pana to chyba nie mam zaszczytu...

- Edward Carey-Lewis - przedstawił się Edward nie podając Bill y'emu ręki.

- Miło mi pana poznać... - Billy szukał czegoś, czym mógłby zająć ręce, aż zdecydował się pociągnąć duży łyk whisky ze swojej szklanki, po czym z hałasem odstawił ją na stół. - A skądżeś ty, brachu, przyjechał?

- Z Nancherrow koło Rosemullion.

- Nie mam pojęcia, gdzie to jest. Dawno już nigdzie nie byłem. A czym ty się, chłopie, zajmujesz?

- Studiuję w Cambridge.

- Pniesz się w górę, co? Kiedyś i mnie się marzyło Bóg wie co... - Zmrużył oczy, jakby knuł jakiś plan, potem zaczął z innej beczki. - Nie masz czasem papierosów, stary? Właśnie mi wyszły.

Edward podsunął mu paczkę playersów. Billy nie bez trudności wyciągnął papierosa, a z naderwanej kieszeni -wiekową metalową zapalniczkę. Długo kręcił kółkiem, zanim skrzesał płomyk, a jeszcze dłużej trwało, nim zdołał zapalić skrzywionego już papierosa. Kiedy mu się to wreszcie udało - głęboko się zaciągnął, potem zakaszłał, popił whisky i oparł łokcie na stole, jakby w ogóle nie miał zamiaru się stąd ruszyć.

Nagle zebrało mu się na zwierzenia.

- Wiesz, my z ciocią Judyty byliśmy sąsiadami - za-

czął. - Klasa kobitka była ta Luiza! Znaliśmy się jak łyse konie. Żeby ta Judyta się nie zjawiała, na pewno byłbym się ochajtnął z Luizą. Przedtem zawsze dbała o mnie, miała dla mnie czas. Nie czułem się samotny. A teraz, kiedy ona się zabiła, zostałem zupełnie sam.

Aż głos mu zadrżał i grzbietem żylastej dłoni otarł łzę. Najwidoczniej był już tak pijany, że osiągnął etap uzalania się nad sobą. Judyta wbiła wzrok w swoją szklanę z napojem, usiłując nie patrzeć na to niesmaczne widowisko. Unikała też wzroku Edwarda, bo wstyd jej było przed nim.

Billy zaś rozgadał się w najlepsze.

- Tyś się za to obłowiła, co? Zgarnęłaś całą śmietankę, a na pogrzebie Luizy udawałaś, że mnie nie znasz. Luiza też obiecywała, że nie zapomni o mnie, a gównu mi zostawiła!

Przez chwilę rozmyślał nad tą niesprawiedliwością, a potem przypuścił atak.

- Podstępna dziwka! - wyrzucił z siebie i splunął przez stół. Ślina wylądowała tuż obok ręki Judyty. Zapanowała długa cisza, aż w końcu Edward powoli podniósł się z miejsca i zwrócił ściszym głosem do Judyty:

- Masz ochotę jeszcze słuchać tego gnojka?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

Edward podszedł więc niespiesznym krokiem do starego pijaka, stanął nad nim i uprzejmie poradził:

- Niech no lepiej pan stąd idzie.

Billy wytrzeszczył oczy z oburzeniem i niedowierzaniem.

- Co? Ty mi, smarkaczu, będziesz mówił, kiedy mam stąd iść? Jeszcze nie skończyłem!

- Owszem, skończyłeś. I z piciem, i z zaczepianiem Judyty. Teraz zjeżdżaj!

- Odpieprz się! - odwarknął Billy Fawcett.

W odpowiedzi Edward złapał Billy'ego za kołnierz ob-

szarpanej marynarki i postawił go na nogi mimo protestów: „Jak śmiesz... precz z łapami... ja ci pokażę...!” Wypchnął go przez próg z lokalu, a że Billy ledwo trzymał się na nogach - potoczył się prosto w rynsztok. Świadcami jego upokorzenia było wielu przechodniów.

- Żebyś tu więcej nie widział twojej zakazanej mordy! - ostrzegł go Edward.

Jednak Billy, nawet leżąc w rynsztoku, nie stracił jeszcze ducha walki.

- Ty łobuzie - chrypiał - przez ciebie nie skończyłem drinka!

Na to Edward szybkim krokiem wrócił do baru, zabrał ze stołu szklanekę z resztką whisky, wyniósł ją na ulicę i chlusnął prosto w twarz Billy'emu.

- Teraz już skończyłeś, więc zjeżdżaj stąd!

Tego Billy już nie usłyszał, bo zapadł w pijacki sen.

Joe Warren wracał piechotą do domu po spotkaniu z przyjacielem, Robem Padlowem. Przechodząc koło baru „Pod Kołowrotkiem”, zauważył tam niezwykle poruszenie. W rynsztoku leżał stary pijak, a jakiś młody, wysoki blondyn w samej koszuli przed chwilą chlusnął mu w twarz szklanką whisky.

Liczni widzowie przyglądali się temu z przerażeniem.

Joe nie miał zamiaru wstępować „Pod Kołowrotek”, ale tak niecodzienne wydarzenie pobudziło jego ciekawość. Pijaczyna wyglądał na nieprzytomnego, toteż przestąpił nad jego nogami i wszedł do baru za tajemniczym młodym człowiekiem. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy zobaczył go w towarzystwie Judyty, bladej jak ściana.

- Co tu się stało? - spytał, ale zamiast odpowiedzi otrzymał tylko kiwnięcie głową. Zwrócił się więc do jej towarzysza. - Pan jest bratem Loveday, prawda?

- Zgadza się. Mów mi Edward.

- Jestem Joe Warren. - Joe przysunął sobie to samo

krzesło, z którego przed chwilą został wyrzucony Billy Eawcett. - Coś ty mu zrobił?

- Wyprosiłem tego nachalnego pijaczka na świeże powietrze. Miał pretensję, że nie dałem mu dokończyć drinka, więc mu pomogłem. Proste?

- Dobra, mniejsza o niego, ale czy on zaczepiał Judytę? - Tu zwrócił się do niej. - Jesteś strasznie blada. Dobrze się czujesz?

Judyta wzięła głęboki oddech i ze wszystkich sił spróbowała opanować płacz i drzenie, aby nie wypaść na idiotkę.

- Dziękuję ci, Joe, ale już wszystko w porządku.

- Znasz tego starucha?

- Tak. To Billy Fawcett.

- A ty go znasz? - zagadnął Joego Edward.

- Tylko z widzenia, bo bywa tu zwykle dwa albo trzy razy w tygodniu. Na ogół zachowuje się przyzwoicie i dotychczas nikt nie miał powodu, aby wyrzucać go za drzwi. Czyżby cię napastował?

- Chwała Bogu, już po wszystkim.

- Możliwe, ale wyglądasz, jakbyś miała lada chwila zemdleć. Poczekaj chwileczkę, przyniosę ci coś do picia. Obrócił się na pięcie, zanim Judyta zdążyła go zatrzymać, więc wskazała na swoją szklanekę, mówiąc do Edwarda:

- Nawet tego jeszcze nie skończyłam.

- Sądzę, że Joe miał na myśli coś mocniejszego. Powiedz mi tylko, czy twoja ciotka naprawdę przyjaźniła się z tym starym capem?

- Tak.

- To musiała chyba upaść na głowę.

- Nie, po prostu miała dobre serce. Poza tym oboje z mężem znali go z lepszych czasów, kiedy razem grywali w golfa, jeszcze w Indiach. Myślę, że czuła się w jakiś sposób za niego odpowiedzialna, bo mieszkał w strasznych warunkach. Ciekawe, jak się teraz dostanie do domu.

- Otoczyło go tylu gapiów, że ktoś powinien się nad nim zlitować.
 - A czy myśmy nie powinni czegoś dla niego zrobić?
 - Myślę, że nie.
 - Zawsze przypuszczałam, że on chciał ożenić się z ciotką Luizą - przypomniała sobie. - Pewnie leciał na jej dom, pieniądze i whisky.
 - Czyli że zawsze lubił wypić?
 - Nienawidziłam go.
 - To rzeczywiście musiało być straszne.
 - Mało tego, on jeszcze... - zaczęła, ale urwała. Chciała opowiedzieć, jak Billy Fawcett pakował jej rękę pod spódnicę, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób wytłumaczyć to Edwardowi, aby dobrze ją zrozumiał. Na szczęście w tym momencie wrócił Joe z kieliszkiem koniaku.
 - Wypij, to ci dobrze zrobi.
 - Jesteś bardzo miły, ale proszę cię, nie mów rodzicom o tym, co widziałeś. Było i minęło, a nie chciałabym, aby ktoś o tym wiedział.
 - Dobra, niczego nie widziałem. Wielka rzecz, jakiś pijak w rynsztoku! Zresztą, zaraz wyjrzę, co się z nim dzieje.
- Po chwili Joe przyniósł wiadomość, że jakiś litościwy przechodzień wezwał taksówkę i wsadził do niej Billy'ego. Podzieliwszy się tą informacją, oświadczył, że idzie już do domu.
- Nie napijesz się czegoś? - nalegał Edward.
 - Dziękuję, mam już dość na dzisiaj. Pragnę tylko dobrze się wyspać. Dobranoc, Judyto.
 - Dobranoc, Joe, i jeszcze raz dziękuję.
 - Nie dziękuj, tylko wypij koniak - rzucił i poszedł. Judyta zaczęła więc sączyć alkohol, który wprawdzie palił ją w gardle, lecz przyjemnie uspokajał. Edward zapalił następnego papierosa i rozejrzał się za popielniczką.

- Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać - zaproponował. - Chętnie cię wysłucham.

Ponieważ nie odzywała się, tylko oglądała swoje paznokcie, dodał:

- Powiedziałaś, że go nienawidziłaś. Chyba nie tylko dlatego, że był pijakiem?

- Nie, to było coś zupełnie innego.

- A więc co?

Zdecydowała się opowiedzieć mu o wszystkim, a kiedy już przystąpiła do rzeczy, okazało się, że to łatwiejsze, niż myślała. Zaczęła od wyjazdu matki i Jess, likwidacji domu w Riverview i przeprowadzki do domu ciotki Luizy. W tym momencie na scenie pojawił się Billy Fawcett, najwyraźniej zaprzyjaźniony z ciotką.

- Od początku go nie lubiłam. Niby zawsze był wesoły i dowcipny, ale miał w sobie coś takiego, że nie można mu było ufać.

- Czy twoja ciocia tego nie dostrzegała?

- Nie wiem. Wtedy bałam się, że zechce wyjść za niego, ale teraz z perspektywy lat jestem pewna, że nie zrobiłaby takiego głupstwa.

- O co więc poszło?

- Któregoś dnia zaprosił nas do kina. Grali akurat „Panów w cylindrach”. Tak manewrował, żebym musiała przy nim usiąść, i po ciemku zaczął mnie ścisnąć za kolano, a potem wyżej... Tylko wyobraź sobie, że miałam wtedy dopiero czternaście lat i nie wiedziałam, co on zamierza zrobić! Wystraszyłam się i uciekłam z kina, za co potem ciotka porządnie mnie skrzyczała. Nie będziesz się śmiać, prawda?

- Nie, obiecuję. Powiedziałaś ciotce Luizie, co się naprawdę stało?

- Nie, jakoś nie mogłam.

- Czy to wszystko?

- Jeszcze nie.

- No więc opowiedz mi całą resztę.

Judyta sięgnęła wstecz pamięcią do deszczowej niedzieli, kiedy została w domu sama. Pojechała wtedy na rowerze do Veglos, aby uniknąć towarzystwa Billy'ego Fawcetta. Tymczasem...

- Jestem pewna, że obserwował mnie ze swego domku przez lornetkę. I wiedział, że tego dnia będę sama, bo ciocia wygadała się przy nim. Więc kiedy wracałam do domu...

- Chyba nie powiesz, że czekał na ciebie?

- Ledwo zamknęłam drzwi za sobą, a już zadzwonił i zapowiedział się z wizytą. Czym prędzej zabarykadowałam wszystkie drzwi i okna, a sama schowałam się pod łóżkiem w sypialni cioci. I masz pojęcie, chyba przez dziesięć minut wrzeszczał, dzwonił, walił w drzwi i biegał wokoło domu, żeby się dostać do środka! Ja w tym czasie pod łóżkiem o mało nie umarłam ze strachu. Potem nieraz śniło mi się, że on wchodzi do mnie po drabinie przez okno. Do dziś ten koszmar jeszcze mnie prześladowuje. Wiem, że to dziecinada z mojej strony, ale dziś, gdy go zobaczyłam, mało nie zemdlałam.

- Czy mnie pierwszemu o tym mówisz?

- Nie, po śmierci ciotki Luizy powiedziałam o tym pannie Catto.

- I co ona na to?

- Podeszła do tego bardzo rzeczowo, powiedziała, że to stary lubieżnik i że bym nie zaprzętała sobie nim głowy. Łatwo mówić, ale jak mogłam poradzić sobie z własnymi myślami? Gdybym mogła rozgnieść Billy'ego jak pluskwę, może byłoby mi lżej, a tak, kiedy tylko coś mi go przypomni, zaczynam drzeć się jak opętana.

- Czy wtedy, kiedy próbowałam pocałować cię w sali bilardowej, też przypominałaś sobie o nim? Wystarczyło, żeby Edward tylko wspomniał o tamtym incydencie, a już oblała się krwawym rumieńcem.

- Tylko nie myśl sobie, że przypominałaś mi Billy'ego

Fawcetta! Ale wystarczyło, żebyś mnie dotknął, a tamto wszystko wróciło.

- Czyli że po prostu masz na tym punkcie uraz.

- Ale czemu wciąż nie mogę się go pozbyć? - pytała prawie ze łzami. - Czy mam wiecznie żyć w strachu? Dalej boję się tego człowieka, bo wiem, że mnie nienawidzi.

- Czemu aż tak cię nienawidzi?

- Ponieważ nigdy nie dałam mu się do siebie zbliżyć, no i dlatego, że ciotka Luiza zapisała mi cały swój majątek.

- Tego nie wiedziałem.

- Bo nigdy nikomu o tym nie mówiłam... no, może tylko twoim rodzicom. Panna Catto powiedziała, że nie wypada mówić o pieniądzach.

- A dużo tych pieniędzy? - spytał, a kiedy z zalem w głosie przytaknęła, dodał: - Ależ to wspaniale!

- Pewnie. Dzięki temu mogę kupować upominki tym, których lubię, a teraz mam także własny samochód.

- I tego Billy Fawcett nie może ci wybaczyć?

- Na pogrzebie ciotki Luizy patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby chciał mnie zabić.

- Gdyby wzrok mógł zabijać, wszyscy byśmy od dawna nie żyli. - Edward się uśmiechnął. Zdusił papierosa, otoczył ją ramionami i pocałował w policzek. - Rzeczywiście, przeszłaś swoje małe piekło. Przydałoby ci się teraz coś w rodzaju katalizatora. Nie umiem powiedzieć, co nim będzie, ale któregoś dnia wydarzy się coś takiego, co uwolni cię od wszystkich zahamowań. Jesteś za dużo urocza, aby jedno przykre wspomnienie odebrało ci radość życia. A nie każdy mężczyzna będzie miał tyle cierpliwości co ja.

- Ojej, tak mi przykro!

- Nie ma powodów, aby ci było przykro, tylko daj mi znać, kiedy się już tego wyzbędziesz. Teraz chyba po-

winniśmy iść do domu, wystarczy wrażeń jak na jeden wieczór.

- Najlepsze w nim było to, że mogliśmy się spotkać.

- A kiedy wracasz do nas?

- W przyszłą niedzielę.

- Będziemy cię wyglądać.

Wstał i czekał, aż Judyta uda się wydostać z ciasnego przejścia między ławką a stołem. Na dworze było już ciemno. Słońce zaszło poza linię horyzontu, gdzie niebo przybrało odcień szafirowy. Drobne fale pluskały o brzeg, a na wodzie unosiły się światła łodzi rybackich. Po ulicach snuły się nieliczne grupy spacerowiczów rozkoszujących się ciepłym wieczorem. Na szczęście Billy Fawcett zniknął z pola widzenia.

Edward ujął Judytę pod ramię i spacerkiem poszli do miejsca, gdzie zaparkował samochód.

Zadzwoił już następnego ranka. Judyta pomagała akurat pani Warren przy zmywaniu, gdy Ellie pędem wbiegła po schodach na górę.

- Judyto, telefon do ciebie. Dzwoni Edward.

- O, nie traci czasu! - rzuciła niby od niechcienia pani Warren.

Judyta puściła tę uwagę mimo uszu i jeszcze w fartuszkach zbiegła do kantorka pana Warrena.

- Słucham?

- Cześć, tu Edward.

- Czy coś się stało, że dzwonicz tak wcześnie?

- Chciałem sprawdzić, czy ci się dobrze spało.

- Oczywiście, głuptasie. Przykro mi, że wczoraj tak wyszło, ale nie mogłam nic na to poradzić.

Dojechałeś bezpiecznie? Wiem, że zadaję głupie pytania!

- Tak, ale... - Przez moment się zawahał. - Jest jeszcze jedno.

- Coś się stało? - zapytała przerażona Judyta.

- Nie... To znaczy tak. Ciocia Lawinia zachorowała. Wi-

docznie poprzedniego dnia za długo pracowała w ogródku i przeziębila się, a z tego wywiązało się zapalenie płuc. Isobel zadzwoniła do Mary Millyway i ona wezwała lekarza. Wynajęliśmy pielęgniarkę, żeby czuwała przy staruszce całą dobę, ale to wszystko stało się tak szybko, że wciąż nie możemy się pozbierać.

- Niemożliwe! - Ciotka Lawinia wydawała się niezniszczalna. - Czy ona może umrzeć?
- Cóż, wszyscy kiedyś umrzemy, a ciocia jest stara. Jednak nikt z nas nie chciałby, żeby to się stało już teraz.
- Czy twoja mama wróciła do domu?
- Tato zadzwonił po nią wczoraj wieczorem i mówił, że jest już w drodze powrotnej.
- A co z Atheną? Wiesz, jak ona kocha ciocię Lawinię!
- Athena wyjechała do Szkocji z Rupertem Rycroftem. Zastanawialiśmy się, czy dawać jej znać, ale tato doszedł do wniosku, że Athena nie darowałaby mu, gdyby doszło do najgorszego, a ona nie wiedziałaby o niczym. Zamówił pilną rozmowę z jakąś dziurą zabitą deskami, ale dowiedział się tylko, że Athena wyjechała już w góry. Zostawił więc dla niej wiadomość.
- Myślisz, że przyjedzie, jak się dowie?
- Nie mam pojęcia, bo to cholerny kawał drogi. Zobaczymy.
- A jak to przyjęła Loveday?
- Trochę płakała, ale Mary Millyway potrafi ją pocieszyć jak matka. No, a kiedy mama wróci, powinno już być całkiem dobrze.
- Odwiedzałeś ciocię?
- Tato był u niej i poznała go, ale jest naprawdę ciężko chora. Może dziś pojedę tam z nim.
- Nie brzmi to zbyt optymistycznie.
- Nie trzeba upadać na duchu. Ciotka to twarda sztuka, jeszcze nas wszystkich przeżyje.
- Gdyby to mogło coś pomóc, od razu dziś przyjechałabym do Nancherrow.

- Tego właśnie nie wolno ci robić. Zadzwoiłem do ciebie tylko dlatego, że pewnie miałabyś pretensję, gdybyśmy nie dali ci znać. Wiem, że tak samo kochasz ciotkę Lawinię, jak my wszyscy, ale to nie powód, żebyś przerywała wypoczynek. Wystarczy, jeśli zobaczymy się w przyszłą niedzielę czy kiedy indziej. Przy okazji Gus też tu będzie, bo przekazał mi wiadomość, że jest już w drodze ze Szkocji.

- Wyjątkowo nieodpowiedni moment na odwiedzinę. Nie mogłeś tego jakoś odwołać?

- Nie, bo nie wiem, gdzie on w tej chwili przebywa. Nie mam z nim kontaktu.

- Biedak trafi akurat na największe zamieszanie.

- Nie szkodzi, on to zrozumie. To bardzo niekłopotliwy gość.

Judyta doszła do wniosku, że większość mężczyzn - w tym i Edward - jest pozbawiona wyobraźni. Wiecznie sprowadzał do Nancherrow różnych swoich kolegów, nie licząc się wcale z kłopotami, jakie te przedłużające się wizyty sprawiały. Oczami duszy widziała już Mary Millyway, która nawet w spokojnych czasach miała dość roboty, a teraz przybyło jej tyle dodatkowych obowiązków. Musiała przecież uprzedzić panią Nettlebed, że przybędzie jeszcze jeden stołownik, znaleźć w bieliźniarce czystą pościel, polecić Janet, aby przygotowała pokój gościnny, sprawdzić, czy w szafie jest dostateczna liczba wieszaków, a na nocnej szafce - puszka z ciasteczkami.

- Może jednak powinnam przyjechać - zaproponowała.

- Absolutnie nie. Zabraniam ci.

- Dobrze, ale przekaż wszystkim moje pozdrowienia i wyrazy współczucia, a szczególnie ojcu.

- Przekażę, ale spróbuj się tym nie przejmować.

- Ciebie też pozdrawiam.

- Wzajemnie! Cześć, Judyto!

W pogodny i wietrzny poranek sierpniowy Gus Cal-lender minął miasteczko Okehampton i z rozpędu wjechał

swoją ciemnozieloną lagondą na strome wzgórze. Od tego miejsca zaczynał się już teren wyżynny, dla niego całkiem obcy, gdyż nigdy przedtem nie jechał tą drogą. Wokół rozciągały się pastwiska i ścierniska, złote o tej porze roku, a nieco dalej szpalery starych wiązków przedzielały pola.

Gus był w drodze już od dwóch dni, rozkoszując się swobodą i mocą silnika swego potężnego wozu. Kupił tę lagondę w zeszłym roku za pieniądze, które otrzymał jako prezent na dwudzieste pierwsze urodziny. Był to chyba najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostał! Z domu zaś wyrwał się nie bez trudności, gdyż rodzice uważali, że powinien się zadowolić dwutygodniowym pobytem we Francji i resztę wakacji spędzić w domu. Udało mu się jednak udobruchać matkę na tyle, że nawet pomachała mu chusteczką na pożegnanie. Z tego powodu czuł lekkie wyrzuty sumienia, ale gdy stracił matkę z oczu – szybko o nich zapomniał.

Pozostawił już za sobą Deeside, Carlisle i Gloucester, loteż znajdował się na ostatnim odcinku swojej trasy. W Szkocji panowała deszczowa pogoda, a w środkowej Anglii było pochmurno. Kiedy jednak dotarł do granic Dartmoor - jakby znalazł się w innej strefie klimatycznej.

Leżała przed nim kraina bagien i kurhanów, gdzie spośród szmaragdowej zieleni wyzierały prastare kamienne kopce, ukształtowane przez wiatr na podobieństwo nowoczesnych rzeźb. Aż się prosiło, żeby sięgnąć po ołówek lub pędzel! Gus jednak wiedział, że jeśli się zatrzyma, zostanie tu już do końca dnia. Tymczasem po południu oczekiwano go w Nancherrow.

Myśl o malowaniu sprawiła, że przypomniał sobie willę Meathów, uwiecznioną przezeń na obrazie. Z tą willą kojarzyła mu się piosenka, którą w czasie wakacji w południowej Francji często słyszał w radiu lub odtwarzał z pły-ly gramofonowej. Puszczali ją przeważnie wtedy, gdy opalali się na brzegu basenu, lub wieczorem, kiedy sączyli

wino na tarasie. Widać stamtąd było zachód słońca za górami i rozrzuconą po zboczu wioskę Sillence, oświetloną jak choinka. Zaczął więc nucić tę piosenkę: *La mer*

Qu'on voit danser le long des golfes clairs A des reflets d'argent La mer

Des reflets changeants

Sous la pluie. Tymczasem dojechał do mostu w Launceston, gdzie przebiegała granica hrabstwa, i znalazł się w Kornwalii. Wiedział, że teraz zaczną się wrzosowiska Bodmin i gdzieś tu w pobliżu miał się znajdować zajazd „Jamajka”. Było już wpół do dwunastej, więc Gus zaczął rozważać, czyby nie zatrzymać się tu, aby coś zjeść i wypić. Zdecydował jednak, że zrobi postój dopiero w Truro, a tymczasem na pustej szosie dodał gazu. Wprawilo go to w nastrój radosnego podniecenia, więc przypomniały mu się dalsze słowa francuskiej piosenki: *La mer*

Au ciel d'été confond Ses blancs moutons Avec les anges si purs La mer bergère d'azur Infinie.

Truro leżało w dolinie zalanej słońcem. Gdy tylko wjechał do miasta, zauważył wieże katedry i srebrną smugę rzeki. Skręcił w główną ulicę i zaparkował wóz przed barem „Pod Czerwonym Lwem”. Wnętrze było chłodne i wyłożone drewnianą boazerią - pachniało tu piwem. W lokalu siedziało tylko paru starszych panów, pykając fajeczki i przeglądając gazety. Gus zajął miejsce przy barze, zamówił piwo i spytał barmana, czy można coś zjeść.

- Nie wydajemy tu posiłków - brzmiała odpowiedź. - Będzie pan łaskaw przejść na górę do sali restauracyjnej.

- Czy trzeba tam rezerwować stolik?

- Wystarczy, że powiem kierownikowi sali. Pan jest sam, prawda? - Tak.
- Barman, stawiając przed nim zamówione piwo, nie mógł pohamować ciekawości.
- Pan w podróży, prawda?
- Tak, na dworze stoi mój samochód.
- Z daleka pan jedzie?
- Z Aberdeen.
- To chyba w Szkocji, prawda? Kawał drogi! Długo pan już w podróży?
- Od dwóch dni.
- Tyle czasu za kółkiem! A daleko pan jedzie?
- Aż za Penzance.
- To pan przemierzy cały kraj.
- Mniej więcej.
- Pan stale mieszka w Szkocji?
- Tak, tam się urodziłem i wychowałem.
- Przepraszam za śmiałość, ale pan nie ma wcale szkockiego akcentu. Kiedyś mieliśmy tu klienta z Glasgow, to ledwo go rozumiałem. - W Glasgow mają taki śmieszny akcent.
- Rzeczywiście śmieszny.

Rozmowa urwała się, gdyż do lokalu weszło dwóch nowych klientów i barman pospieszył ich obsłużyć. Gus zapalił papierosa i przyglądał się swemu odbiciu w lustrze stanowiącym tylną ściankę półki z butelkami. Zobaczył w nim czarniawego faceta, wyglądającego na starszego, niż był. Nawet niedbały ubiór - niebieska bawełniana koszula i chustka na szyi zamiast krawata - nie były w stanie zmienić ponurego wrażenia, jakie sprawiał.

„Uśmiechnij się, smutasio!” - próbował perswadować własnemu odbiciu. - „Chciałeś zobaczyć Kornwalię, to masz! Przecież przejechałeś kawał drogi, jak słusznie stwierdził barman”. Przepił do swego odbicia chłodnym piwem o zapachu beczki.

Gus naprawdę miał na imię Angus, a zdrobnienie, które potem do niego przylgnęło, wymyślił Edward Carey-Lewis. Angus był jedynym synem Duncana Callendera, dobrze prosperującego biznesmena z Aberdeen, który dorobił się na handlu osprzętem okrętowym. Z czasem poszerzył swą działalność na handel towarami żelaznymi i tanie budownictwo czynszowe. Toteż pierwsze lata dzieciństwa Angusa upłynęły w kamienicy w centrum Aberdeen, z niedużym ogrodem otoczonym murem. Oprócz skrawka zieleni przed domem pani Callender miała jeszcze do dyspozycji kawałek ziemi na zapleczu, gdzie można było wieszać pranie oraz uprawiać fasolkę i kapustę.

Ten światek wystarczał chłopcu, ale nie wystarczał jego ojcu. Mało mu było, że własną pracą dorobił się majątku i pozycji społecznej. Miał jeszcze ambicję, aby jedynego syna wykierować na prawdziwego dżentelmena.

W tym celu, gdy Angus miał siedem lat, Duncan Callender nabył olbrzymi majątek z dworem w stylu wiktoriańskim nad rzeką Dee. Codziennie dojeżdżał stamtąd do swego biura w Aberdeen, a mały Angus zostawał w domu z matką. Zamiast tętniącego życiem miasta otaczały go teraz majestatyczne wzgórza i doliny Deeside. Przytłaczały go one, podobnie jak nowy dom z boazerią z czarnego dębu i kominkami tak wielkimi, że dałoby się na nich upiec wołu.

Aby utrzymać w porządku taką posiadłość, konieczna też była liczna służba. Podczas gdy przedtem pani Callender kontentowała się kucharką i pokojówką - teraz musiała zarządzać sześćoosobową służbą domową i dwoma ogrodnikami. Zawsze była dobrą gospodynią, ale prowadzenie domu na tak wysokim poziomie stanowiło dla niej ciężką próbę. W Aberdeen miała już ustaloną pozycję społeczną, natomiast w Deeside nie mogła się odnaleźć w nowej roli - była „ni psem, ni wydrą”. Jej usilne próby nawiązania kontaktu z zasiedziałyymi mieszkańcami tych

stron speliły na niczym. Nowo przybyłych traktowano tu z góry, nikomu nie imponował ich majątek. Jeszcze trudniejsze we współżyciu okazały się utytułowane rodziny z sąsiedztwa, dziedziczące swe posiadłości z pokolenia na pokolenie. Dziedzice z orlimi nosami, odziani w szorstkie tweedy, byli dla pani Callender równie obcy jak stwory z Marsa. Nie umiała znaleźć wspólnego języka z panią Huntingdon-Gordon, hodowczynią psów rasy labrador, rezydującą w odwiecznym zamczysku na wzgórzu, ani z majorem Robertsonem, który w kościele odczytywał ustępy Pisma Świętego z taką samą intonacją, jak rozkazy na polu walki.

Dla Angusa jednakże ten trudny okres nie trwał długo, gdyż już w wieku ośmiu lat został wysłany do ekskju-zywnej szkoły przygotowawczej w Perthshire. Oznaczało to koniec beztroskiego dzieciństwa. W szkole początkowo dokuczano mu i wyśmiewano się z jego szkockiego akcentu, stroju i ekwipunku. Kiedy do tego zaczął zbierać najlepsze oceny w klasie, przezwano go kujonem. Równocześnie jednak był krzepko zbudowany i dobrze grał w piłkę nożną, a gdy jeszcze przy wszystkich rozkwaśił nos miejscowemu prowodyrowi - zostawiono go w spokoju. Kiedy po raz pierwszy przyjechał do domu na ferie świąteczne, okazało się, że urósł aż dwa cale i całkowicie zagubił szkocki akcent. Matce wydawało się, że utracił swoje dziecko na zawsze, natomiast ojciec był tym zachwycony.

- Dlaczego nie zaprosisz do domu któregoś ze swych kolegów? - indagował, ale Angus puszczał to pytanie mimo uszu i szedł pojeździć na rowerze.

Kiedy ukończył szkołę przygotowawczą, wysłano go na dalszą naukę do Rugby. Tam szybko dał się poznać jako wszechstronnie uzdolniony młody człowiek. Równocześnie też odkrył w sobie drzemiący dotychczas talent plastyczny. Zachęcony przez nauczyciela rysunku zaczął wykonywać ołówkowe, lekko podkolorowane szkice.

Z czasem wypracował sobie własny styl. Rysował na przykład graczy na boisku, garncarza przy pracy czy nauczyciela idącego do klasy z plikiem książek pod pachą, w rozwianej czarnej todze.

Któregoś dnia znalazł w czasopiśmie „Studio” artykuł poświęcony kornwalijskiemu malarstwu, tak zwanej szkole z Newlyn. Artykułowi towarzyszyła barwna reprodukcja obrazu Laury Knight, przedstawiającego dziewczynę stojącą na skale i wpatrzoną w morze. Tafla morska miała tam odcień turkusowy, lecz dziewczyna była ubrana w sweter, co dowodziło, że pozowała do obrazu w chłodny dzień. Rude włosy nosiła splecione w długi warkocz przełożony przez ramię.

Zarówno artykuł, jak i obraz pobudziły wyobraźnię Angusa. Zaczął marzyć o karierze artystycznej i osiedleniu się w Kornwalii na stałe. Zapuściłby wtedy włosy, chodził w ubraniu wyplamionym farbami i palił gitany. Znalazłby sobie odpowiednią towarzyszkę życia - wielbicielkę jego talentu, chętną do prowadzenia gospodarstwa domowego. Mieszkałby z nią w adaptowanej chałupce rybaka lub nawet stajni z kamiennymi schodkami, pomalowanymi na niebiesko drzwiami i pelargoniami w glinianych donicach.

Wizja była tak realistyczna, że niemal czuł na twarzy ciepło słońca Kornwalii, powiew wiatru od morza i zapach kwiatów. Wiedział jednak, że to tylko fantazja, bo przecież nigdy nie zostanie zawodowym malarzem. Uczęszczał bowiem do klasy o profilu matematyczno-fizycznym, przygotowującym na studia techniczne w Cambridge.

Nie zrezygnował jednak całkiem ze swoich marzeń. Wyciął z czasopisma reprodukcję obrazu przedstawiającego dziewczynę z warkoczem i schował do teczki, w której trzymał własne rysunki. Przy najbliższej okazji oprawił obrazek w ramki i powiesił na ścianie swojej pracowni.

Nauka w Rugby poszerzyła znacznie jego horyzonty.

Był zbyt zamknięty w sobie, aby nawiązywać bliskie przyjaźnie, mimo to koledzy go lubili i nieraz zapraszali na wakacje do swych posiadłości ziemskich w Yorkshire, Wiltshire czy Hampshire. Przez grzeczność przyjmował te zaproszenia i starał się nie popełniać większych gaf towarzyskich.

Zazwyczaj już przy pierwszej filiżance herbaty matki kolegów pytały go, skąd pochodzi.

- Ze Szkocji - odpowiadał.

- A dokładnie? - były ciekawe.

- Moi rodzice mają majątek w Deeside - rzucał mimochodem i szybko zmieniał temat, zanim paniusia zdążyłaby zagadnąć na przykład o łowiska łososi w rzece Dee czy o polowania na pardwy. Zazwyczaj nie wracano już więcej do tego tematu.

Powroty do domu z tych wizyt działały na niego jak kubeł zimnej wody. Powoli zdawał sobie sprawę, że przerósł starych rodziców, i dusił się w atmosferze swego domu, gdzie czas włókł się niemiłosiernie, przerywany równic nudnymi porami posiłków. Bokiem wychodziły mu już czułości matki, a ostentacja, z jaką ojciec okazywał swą dumę, jeszcze pogarszała sytuację.

Nie zawsze jednak sprawy przyjmowały aż taki zły obrót. Miał dopiero siedemnaście lat, a już w okolicy poszła fama, że młody Callender, mimo że nie pochodzi z dobrej rodziny, jest na tyle przystojny i dobrze wychowany, że może być mile widziany w kręgach, gdzie nie wszystkie panie mają partnerów. Coraz częściej więc przysyłano mu zaproszenia na spotkania towarzyskie, na które nie zapraszano jego rodziców. Uczestniczył więc w balach i rautach, podczas których asystował tak utytułowanym damom, jak lady Henrietta McMillan czy hrabianka Camilla Stokes. Tymczasem nauczył się prowadzić samochód, więc mógł jeździć na te imprezy wysłużonym roverem ojca. Przydał mu się teraz trening odbyty w gościnnych domach kolegów. Potrafił sprostać wymogom

etykiety na najbardziej formalnych przyjęciach i wytrzymywał kondycyjnie tańce do białego rana, aby jeszcze potem świadczyć grzeczności właściwym osobom.

Choć zadowolająco wywiązywał się z obowiązków towarzyskich, miał jednak świadomość, że przez cały czas gra komedię. Nie przestawał przecież być tym, kim był -człowiekiem wywodzącym się z określonego środowiska. Kiedy po którejś kolejnej imprezie wracał późną nocą do domu, prowadząc samochód po pustej szosie - raptem zdał sobie sprawę, że odkąd w wieku ośmiu lat opuścił Aberdeen, nie miał miejsca na ziemi, do którego mógłby chętnie powracać. Nie był takim miejscem ponury dom jego ojca ani tym bardziej szkoła. Wprawdzie w domach kolegów mile go przyjmowano - zawsze jednak czuł się tam obserwatorem z zewnątrz. Brakowało mu natomiast poczucia przynależności.

Możliwe, że pojawi się ono nagle, tak jak miłość od pierwszego wejrzenia. Może trafi w nieznane otoczenie, które wyda mu się dziwnie znajome; nikt nie będzie go tam traktował z góry, tylko wszyscy zaakceptują go takim, jaki jest. Będzie słyszał co krok: „Angus, drogi chłopcze, jak miło cię widzieć!” Sytuacja poprawiła się, gdy rozpoczął studia w Cambridge. Po ciężkich przeżyciach okresu dojrzwania lata studiów wydały mu się objawieniem, a samo Cambridge -najpiękniejszym miastem, jakie w życiu widział. Szczególnie spodobała mu się architektura Kolegium Świętej Trójcy. Przez pierwsze tygodnie pobytu wszystkie wolne chwile poświęcał na zwiedzanie zabytkowych obiektów. Chętnie uczęszczał na poranne msze w kaplicy Królewskiej, gdyż z przyjemnością słuchał gregoriańskiego śpiewu. Chłopcy z chóru wyciągali tam tony tak wysokie, że pozornie nieosiągalne dla ludzi, najwyżej dla aniołów!

Kiedy trochę się oswoił z nowym otoczeniem, zaczął na nie patrzeć okiem malarza. Jego szkicownik zapełniał się rysunkami widoków znad rzeki Cam, „mostu wes-

tchnień", wież i dziedzińców historycznych kolegiów uniwersytetu. Kolory nieba, trawy, liści jesiennych czy witraży w oknach aż się prosiły o pędzel. Piękno, które go otaczało, było w dużej mierze wytworem rąk ludzkich.

Obrał sobie techniczny kierunek studiów w kolegium Pembroke. W tym samym kolegium filozofię i literaturę angielską studiował także Edward Carey-Lewis. Obydwaj przybyli na uniwersytet w 1937 roku, ale poznali się bliżej i zaprzyjaźnili dopiero po prawie dwóch latach studiów. Nic dziwnego, uczęszczali na zajęcia o różnych porach, ich pokoje mieściły się w oddalonych od siebie skrzydłach akademika, toteż nie mieli nawet sposobności porozmawiać. Ponadto Gus grywał w krykieta i rugby, a Edward nie interesował się zbytnio grami drużynowymi - wolał zdobywać licencję pilota w uniwersyteckim aeroklubie.

Od czasu do czasu Gus jednak widywał Edwarda. Czasem spotykali się na uroczystych posiłkach w stołówce akademickiej. Nieraz Edward rozjeżdżał się po ulicach miasteczka swoim ciemnoniebieskim triumphem z ładnymi dziewczynami na siedzeniach. W barze bywał zwykle duszą towarzystwa i tym, który płacił rachunki. Za każdym razem Gus stwierdzał ze smutkiem, że ten chłopak jest od niego dużo sprytniejszy, przystojniejszy i bardziej pewny siebie. Z tych myśli zrodziła się antypatia, choć Gus nigdy jej nie manifestował. Nie chciał mieć w Edwardzie wroga, tym bardziej że nigdy nie zamienił z nim ani słowa. Wydawało mu się tylko, że to nienormalne, aby jeden człowiek był tak hojnie wyposażony przez naturę. Na pewno miał jakieś ukryte wady, ale Gus wolał w to nie wnikać. Kapryśny los sprawił jednak, że ich drogi się przecięły. W letnim semestrze 1939 roku Gus Callender i Edward Cary-Lewis zostali zakwaterowani na tym samym piętrze akademika, w sąsiadujących pokojach ze wspólną kuchenką. Któregoś dnia Gus robił tam sobie herbatę, gdy usłyszał kroki na schodach. Po chwili jakiś głos od drzwi zawołał: „Cześć!”

Kiedy się odwrócił, dostrzegł w drzwiach młodzieńca z kosmykiem blond włosów spadających na czoło i długim szalikiem w barwach wydziału, zamotanym wokół szyi.

- Cześć! - odpowiedział.

- Ty jesteś Angus Callender?

- Tak.

- No to jesteśmy sąsiadami. Nazywam się Edward Carey-Lewis. Jak ci się podoba twój pokój?

- Może być.

- Robisz herbatę? - bezwstydnie się przymówił.

- Tak, chcesz się napić?

- A masz coś na ząb?

- Mam keks.

- To świetnie, bo umieram z głodu.

Tym sposobem, nie wiadomo kiedy, Edward znalazł się w pokoju Gusa. Pili razem herbatę, którą Edward zagryzał keksem. Zjadł prawie cały, a Gus w tym czasie wypalił papierosa. Rozmawiali przy tym o wszystkim i o niczym, ale piętnaście minut takiej rozmowy wystarczyło, aby Gus zrozumiał, jak bardzo się mylił w ocenie Edwarda. Nie był on wcale ograniczonym snobem, na jakiego wyglądał. Jego spojrzenie było szczere, a sposób bycia swobodny i nieskrępowany. Pozorna pewność siebie nie wynikała z wykwintnego wychowania, lecz z tego, że czuł się człowiekiem niezależnym, ani lepszym, ani gorszym od swoich rówieśników. Kiedy czajniczek był już pusty, a ciasto się zdematerializowało - Edward wstał od stołu i zaczął się przechadzać po apartamencie Gusa. To przebiegł wzrokiem po tytułach książek, to znów prze-kartkował jakieś czasopismo...

- Świetnie wygląda ta tygrysia skóra przed kominkiem.

- Kupiłem ją w sklepie ze starzyzną.

W tym momencie Edward zatrzymał się przy obrazkach rozwieszonych na ścianie. Przenosił spojrzenie z jednego na drugi, jakby chciał je kupić.

- Ładna akwarelka. Co to za widoczek?
- To z Krainy Jezior.
- Widzę, że masz tu całą kolekcję. Kupiłeś je wszystkie?
- Nie, sam je namalowałem.
- Uuuu, to zdolniacha z ciebie! - Edward zrobił oczy jak spodki. - Nawet gdybyś nie zdał egzaminu dyplomowego, będziesz miał czym zarabiać na chleb. Czy malujesz także obrazy olejne?
- Czasami. - A to też twoje?
- Nie, to akurat wyciąłem z jakiegoś pisma, ale tak mi się ten obrazek spodobał, że wożę go wszędzie ze sobą i wiem na widocznym miejscu.
- Co ci się najbardziej spodobało: krajobraz czy dziewczyna?
- Chyba cała kompozycja.
- Kto to malował?
- Laura Knight.
- To krajobraz Kornwalii.
- Wiem, ale po czym to poznałeś?
- Bo gdzie indziej nie ma takich widoków.
- Znasz Kornwalię?
- Raczej tak, skoro mieszkam tam od urodzenia.
- Ależ to nadzwyczajne! - zauważył Gus po pewnym namyśle. - Co takiego?
- To, że akurat bardzo interesuję się kornwalijskim malarstwem. Jak na tak głębokiej prowincji mogła powstać cała szkoła artystyczna? - Z tego, co wiem, to w Newlyn artyści mnożą się jak króliki.
- Znasz może któregoś osobiście?
- Niestety - pokręcił głową Edward - w dziedzinie sztuki jestem zupełnym laikiem. U mnie w domu wiszą na ścianach przeważnie sceny myśliwskie i portrety przodków z wybałuszonymi oczyma i z psami u stóp. Wiesz,

jak to wygląda. - Po krótkiej pauzie dodał: - Tylko portret mojej mamy, pędzla de Laszlo, jest bardzo ładny. Wisi w salonie nad kominkiem.

Tu już zabrakło mu konceptu i całkiem bezceremonialnie ziewnął.

- Uff, ale jestem zmęczony! Chyba pójdę wziąć prysznic. Dziękuję za herbatę. I wiesz, fajnie mieszkaś!

Już otworzył drzwi, gdy jeszcze od progu zawrócił.

- Co robisz dziś wieczorem?

- Nic specjalnego.

- Wybieramy się całą paczką na piwo do Grantchester. Może byś pojechał z nami?

- Dziękuję, bardzo chętnie.

- Wstąpię po ciebie jakiś kwadrans po siódmej.

- Świetnie.

- No to na razie, Gus!

Gus sądził, że się przesłyszał, więc jeszcze raz zawołał za Edwardem.

- Czekaj, jakżeś mnie nazwał?

- Gus - powtórzył Edward, wsadzając głowę w drzwi.

- Dlaczego właśnie tak?

- Bo jakoś mi to bardziej pasuje do ciebie niż Angus. Dla mnie Angus to taki rudy facet w olbrzymich buciorach i tweedowych pumpach. - Uważaj, bo pochodzę z Aberdeenshire! - zażartował Gus.

- Więc tym bardziej powinieneś wiedzieć, co mam na myśli - zakończył nie speszony Edward, wychodząc z pokoju.

Musiał chyba wywierać silny wpływ, bo nadane przezeń zdrobnienie od razu się przyjęło.

Gus nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny. Sala restauracyjna, z tureckimi dywanami i wykrochmalonymi białymi obrusami na stołach, była prawie pusta. Dopiero gdy zjadł zupę, na drugie danie gotowaną wo-

lowinę z marchewką, a na deser pudding królewski - poczuł się jak nowo narodzony. Zapłacił rachunek i udał się na poszukiwanie księgarni. Krążył po ulicach tak długo, aż jakąś znalazł i kupił tam dokładną mapę topograficzną zachodniej Kornwalii. Już w samochodzie zapalił papierosa i na podstawie mapy ustalił dalszą marszrutę.

Edward przez telefon udzielił mu mętnych wskazówek i dopiero z mapą, na której każdy cal oznaczał jedną milę, wszystko stało się dziecinnie proste. Z Truro miał się skierować na Penzance, a dalej szosą wiodącą na zachodni cypel. Rosemullion było tu oznaczone symbolami kościoła, rzeki i mostu, a do Nancherrow prowadziła przerywana linia. Gus był pełen uznania dla zdolnego geografa, który wykreślił tę mapę tak, że cel jego podróży stał się konkretny i namacalny. Złożył płachtę papieru, wypalił do końca papierosa i zapuścił silnik.

Ta część hrabstwa była akurat najmniej atrakcyjna -krajobraz szpeciły nieczynne kopalnie cyny. Nie mógł się więc doczekać, kiedy dotrze do morza. Jednak w miarę jak szosa łagodnie opadała w dół, pejzaż zaczął się zmieniać. Po prawej stronie pojawił się łańcuch wydm, za nimi ujście rzeki, aż wreszcie zobaczył pierwsze fale Atlantyku. Zdążył tylko rzucić na nie okiem, bo zaraz za ujściem rzeczonym szosa skręcała w głąb lądu.

Zaczęły się teraz rozległe pastwiska ze stadami bydła i plantacje warzyw, porozgradzane prastarymi murkami z kamienia polnego. W przydomowych ogródkach rosły palmy, domki były pobielone wapnem, a od głównej szosy odchodziły boczne drogi kończące się w zalesionych dolinach, często noszących imiona świętych. Drzewa rzucały na asfalt cienie nakrapiane światłem słonecznym. Czas zdawał się tu stać w miejscu i wprost trudno było uwierzyć, że liście z tych drzew kiedyś opadną, a łagodne zbocza pól uprawnych będą się opierać zimowym zamieciom.

Z drugiej strony oczom Gusa ukazała się Mount's Bay, po której tafli sunęła żwawo flotylla małych łódek. Przy-

puszczalnie na zatoce odbywały się jakieś regaty, bo łódeczki miały czerwone żagle ustawione pod wiatr.

Wszystko to wydawało się Gusowi dziwnie znajome, jakby już kiedyś tu był, a teraz tylko wracał i z satysfakcją stwierdzał, że nic się nie zmieniło. To samo molo, przy nim zacumowane łodzie ze zwiniętymi żaglami, kołujące z piskiem mewy i sapiący parowozik na boczniczy kolejowej obsługującej port. W miasteczku kwitły już magnolie i kamelie w ogródkach, okna budynków błyszczwały w słońcu, a przez otwarte okno samochodu Gusa wciskał się słony zapach wodorostów wyrzuconych przez przyływ.

La mer

Les a bercés

Le long des golfes clairs

Et d'une chanson d'amour

La mer

A bercé mon coeur pour la vie.

Przypomniał sobie zakończenie francuskiej piosenki, która nieodłącznie kojarzyła mu się z tym pejzażem. Czuł się, jakby wracał do swoich korzeni, a całe jego dotychczasowe życie było tylko okresem przejściowym. Nie dziwiło go to zbytnio, gdyż jeszcze w czasach szkolnych tak zafascynowała go twórczość kornwalijskich malarzy, że uwiecznione przez nich krajobrazy zaczął traktować jak opis swoich ojczystych stron.

Obrazy Laury Knight, Lamorny Birch, Stanhope'a i Elizabeth Forbes rozbudziły w nim marzenia o białym domku w Kornwalii, z doniczkami czerwonych pelargonii. W tych chłopięcych rojeniach pojawiała się także jakaś nie zidentyfikowana dziewczyna, idealna towarzyszka życia artysty. Musiała być młoda i piękna, a równocześnie dobrze gotować, tak aby nadawała się zarazem na modelkę, gospodynię i kochankę. Teraz, za kierownicą lagondy, Gus śmiał się z tych młodzieńczych ideałów.

Przestał jednak się śmiać, gdy uświadomił sobie, że wcale nie były one tak niedościgłe - przecież właśnie przybył do krainy marzeń!

Pograżony w tych rozmyślaniach, sam nie wiedział, kiedy minął Penzance. Po drugiej stronie miasteczka szosa wznosiła się stromo pod górę. Za szczytem wzniesienia rozciągał się już inny krajobraz - samotne farmy wśród wrzosowisk z porozrzucanymi tu i ówdzie kopcami granicznymi. Jak poprzednio, tak i tu wyczuwało się bliskość morza, ale w tych okolicach słony zapach tłumyły przenikliwe wonie mchu i torfu, a z daleka dochodziło dźwięczne nawoływanie kulika.

Z nową siłą wróciły teraz inne młodzieńcze marzenia Gusa, dawno zapomniane, które nagle nabrały świeżych barw. Zdawało mu się, że wraca do domu, w którym ktoś na niego czeka. Takim domem nigdy nie był dla niego ponury wiktoriański dwór w Deeside ani majątki kolegów. Bardziej zbliżone do ideału wydawało się Cambridge, ale nie był to przecież dom, tylko siedziba uczelni, jakby przedłużenie szkoły. Gus tymczasem potrzebował miejsca pod słońcem, gdzie czułby się swobodnie i wiedziałby, że ktoś cieszy się z jego powrotu.

Dawniej uważał takie mrzonki za haniebną dziecinadę, więc starał się jak najszybciej wyrzucić je z głowy. Kiedy jednak zobaczył drewnianą tablicę informującą, że do Rosemullion pozostało jeszcze tylko dziesięć mil - zapomniał o zdrowym rozsądku i poczuł się jak chłopiec wracający na wakacje do domu. Dziwna mu się wydała ta radość, jeśli zważyć, że powrót do prawdziwego domu był dlań zawsze ciężkim obowiązkiem.

Wiedział, że wypada wracać do rodziców, ale nigdy nie pozostawał z nimi dłużej niż dwa dni, szukając byle pretekstu, aby znów wyprysnąć gdzieś w świat. Cóż mógł poradzić na to, że rodzice stawali się coraz starsi i bardziej konserwatywni? To, że na swój sposób byli dumni z jedynaka, jeszcze pogarszało sprawę. Nie żeby Gus wstydził się swoich rodziców - odwrotnie, był z nich również dum-

ny, szczególnie z ojca. Tyle że nic go z nimi nie łączyło i z trudem znajdował temat nawet do najbardziej zdawkowej rozmowy.

W gruncie rzeczy poczciwy Duncan Callender sam był winien zaistniałej sytuacji. Za wszelką cenę chciał wkręcić swego syna pomiędzy wyższe sfery, nie oszczędzając pieniędzy na jego ekskluzywną edukację, co w efekcie całkowicie go wyobcowało ze środowiska, z którego pochodził. Nic więc dziwnego, że Gus, obracając się w świecie, z którym jego rodzice nigdy się nie zetknęli, zatracił z nimi wspólny język.

Powstała paradoksalna sytuacja, lecz to nie Gus zbudował ten mur między sobą a rodzicami. Jeszcze zanim ukończył nauki w Rugby, zawsze starał się jakoś rozładować konflikt. Kiedy zaś jego wysiłki okazały się daremne - uznał, że nie ma powodu, aby się o to obwiniać. I dobrze, gdyż inaczej miałyby wyrzuty sumienia do końca życia.

Loveday zbierała maliny w szklarni, aby zająć się czymkolwiek, co pozwoliłoby jej wyzwolić się z panującej w całym domu atmosfery smutku i niepokoju. Choroba ciotki Lawinii przejmowała wszystkich lękiem do tego stopnia, że ojciec przestał nawet słuchać wiadomości przez radio, tylko całymi dniami wisił przy telefonie. Konsultował się z lekarzem, informował Dianę w Londynie i Athenę w Szkocji, zamawiał całodzienne i całonocne dyżury pielęgniarek w Dower House...

Rozwagał nawet, czy nie należałoby odwieźć ciotki do szpitala, ale po namyśle doszedł do wniosku, że transport karetką i stres wywołany obcym otoczeniem wyrządziłyby więcej szkody niż pożytku.

Najlepiej pozostawić ciotkę w jej własnym łóżku - w domu, w którym spędziła całe życie.

Loveday po raz pierwszy zetknęła się z tak ciężką chorobą w rodzinie. Oczywiście wiedziała, że każdy kiedyś umrze, ale dlaczego miałyby to spotkać jej ukochaną ciot-

kę, bez której nikt w Nancherrow nie wyobrażał sobie dalszego życia?

Posuwała się między rzędami krzewów, zrywając owoce oburącz i wrzucając je do koszyka przywiązanego sznurkiem do pasa. Popołudnie było pogodne, lecz znad morza wiał ostry wiatr, toteż Loveday naciągnęła na siebie stary sweter Edwarda, wyblakły i pocerowany. Oczywiście był na nią o wiele za obszerny i spadał prawie do rąbka bawełnianej spódniczki, ale dawał przyjemne ciepło.

Była sama, ponieważ po lunchu ojciec, Edward i Mary Millyway pojechali do Dower House.

Pułkownik chciał porozmawiać z lekarzem, Edward miał w tym czasie posiedzieć przy ciotce, a Mary - dotrzymywać towarzystwa Isobel. Pewnie będą w kuchni piły razem herbatę. Biedna Isobel potrzebowała teraz pociechy bardziej niż ktokolwiek inny. Służyła przecież u ciotki Lawinii przez ponad czterdzieści lat i gdyby ciotka umarła - przypuszczalnie wkrótce podążyłaby za nią.

- Chcesz jechać z nami, kochanie? - zapytał ojciec. Loveday, zamiast odpowiedzieć, objęła go ramionami

w pasie i przycisnęła twarz do guzików kamizelki. Naprawdę nie chciała teraz odwiedzać ciotki, bo gdyby nastąpiło najgorsze, wolałaby ją zapamiętać taką, jaka zawsze była - żywą, bystrą i dowcipną, a nie złożoną chorobą i przykutą do łóżka.

- Czy to bardzo brzydko z mojej strony, jeśli wolałabym nie jechać? - upewniała się z płaczem.

Ojciec jednak zrozumiał ją, przytulił mocno, pocałował i wytarł jej oczy swoją wielką białą chustką.

- Nie, myślę, że nawet nie powinnaś - pocieszył ją. Edward zaś dodał:

- To nawet lepiej, bo ktoś powinien być w domu, kiedy Gus przyjedzie. Do czego by to było podobne, gdyby pocałował klamkę? A tak będziesz jednoosobowym komitetem powitalnym.

Loveday, wciąż jeszcze pociągając nosem, nie zapaliła się zbyt do tego pomysłu.

- Mam przez cały czas tu sterczeć? - spytała.

- Ależ skąd! - ze śmiechem zapewniła ją Mary. - Możesz robić, na co masz ochotę. Na pewno Fleet przydałby się porządny galop.

Jakoś jednak tym razem Loveday nie miała ochoty na przejażdżkę. Na zamkniętym terenie Nancherrow czuła się bezpieczniej.

- Dopiero co wczoraj na niej jeździłam - wymówiła się.

- Możesz więc nazbierać malin, a potem pomóc pani Nettlebed przebrać je i zważyć. Wiem, że ma zamiar smażyć konfitury.

Nie było to specjalnie atrakcyjne zajęcie, ale zawsze lepsze niż ogłupiająca bezczynność, toteż z westchnieniem zgodziła się.

- Dobrze.

- Moje najdroższe dziecko! - Mary uściśnęła ją i ucałowała. - Oczywiście pozdrowimy od ciebie ciocię Lawinię i przyrzekniemy, że ją odwiedzisz, jak tylko poczuje się trochę lepiej. I pamiętaj, że twoja mamusia wraca dzisiaj z Londynu. Na pewno będzie zmęczona i zdenerwowana, więc ze względu na nią staraj się nie robić smutnej miny.

Zrywała więc maliny. Napełnienie dwóch koszyków, które dała jej pani Nettlebed, zajęło trochę czasu. Oczywiście przy okazji nieco podjadała, jako że owoce były dojrzałe i słodkie, ale w końcu oba koszyki stały już pełne. Trzymając po jednym w każdej ręce, z trudnością przecisnęła się między rzędami krzaków. Skrupulatnie zamknęła za sobą drzwi szklarni, aby do środka nie dostał się jakiś ptak, gdyż wprawdzie objadłby się malin, ale potem, w poszukiwaniu wyjścia, rozbiłby sobie głowę o szyby.

W kuchni pani Nettlebed lukrowała właśnie czekoladowy torcik, ozdabiając go esami-floresami z masy i kandyzowanymi owocami.

- Mogą być? - spytała Loveday, stawiając na stół koszyki malin.

- Śliczne! - ucieszyła się kucharka. - Jesteś naprawdę kochana.

Loveday sięgnęła ręką przez stół i umaczała palec w misce z masą czekoladową. Spróbowała i stwierdziła, że smak czekolady nie kłóci się ze smakiem malin.

- Jak ty wyglądasz, dziecko! - zatroskała się pani Nettlebed. - Cały sweter w malinach! Nie mogłaś założyć fartuszka?

- Och, to tylko taki stary sweter... Będzie pani teraz je smażyć?

- Nie mam czasu, zajmę się nimi później. A dla ciebie teraz jest coś innego do roboty, bo mamy gościa!

Rzeczywiście, zrywając maliny zapomniała o tym koledze Edwarda.

- Już jest? Myślałam, że Edward zdąży tymczasem wrócić. Jak on wygląda?

- Nie wiem, bo mój stary zaprowadził go do jego pokoju. Pewnie się teraz rozpakowuje. Idź tam, przywitaj się i bądź dla niego miła.

- Nie pamiętam nawet, jak on się nazywa.

- Pan Gus Callender.

- Naprawdę muszę tam iść? Wolałabym smażyć konfitury!

- Dobra, dobra. Leć! - Pani Nettlebed dała Loveday lekkiego klapsa i wygoniła ją z kuchni.

Loveday udała się więc, acz niechętnie, do skrzydła domu przeznaczonego dla gości. Zauważyła, że drzwi znajdujące się w połowie korytarza są otwarte. Zatrzymała się, gdyż lokator tego pokoju stał z rękami w kieszeniach i wyglądał przez otwarte okno. Jego walizki leżały na stojaku w nogach łóżka, wszystkie zamknięte. Widocznie jeszcze nie zaczął się rozpakowywać. Nie zdawał sobie także sprawy, że jest obserwowany, bo Loveday w tenisówkach poruszała się bezszmerowo. Ta sytuacja nie-

co ją krepowała, więc przekrzykując gruchanie gołębi zawołała:

- Dzień dobry!

Zaskoczony, błyskawicznie się odwrócił i przez chwilę mierzyli się wzajemnie wzrokiem, aż w końcu się uśmiechnął i też powiedział:

- Dzień dobry!

Loveday była nieco zdezorientowana tym, co zobaczyła, gdyż spodziewała się jednego z licznych kolegów Edwarda, podobnych do siebie jak dwie krople wody i tak samo odpychających. Tu jednak od razu poznała, że ma do czynienia z zupełnie innym typem człowieka. Przede wszystkim wyglądał na starszego i bardziej doświadczonego niż Edward. Poważny, szczupły brunet całkowicie się różnił od tych gości, którzy wiecznie dowcipkowali z byle czego i traktowali ją jak małą dziewczynkę.

Raczej przypominał Waltera Mudge'a lub Joego Warrena, tyle że był od nich wyższy i delikatniejszej budowy, a kiedy się uśmiechał - znikła jego powaga. Jakoś nagle przestała się go krepować.

- Pan jest Gus Callender, prawda?

- Tak, a ty jesteś Loveday?

- Przepraszam, że nikogo pan nie zastał, ale akurat zbierałam maliny. - Bez ceremonii weszła do jego pokoju i usiadła na łóżku.

- Nic nie szkodzi. Wasz służący...

- Pan Nettlebed.

- ...pokazał mi mój pokój.

- Jeszcze się pan nie rozpakował - zauważyła Loveday.

- Nie wiem nawet, czy powinienem.

- Dlaczego?

- Ten Nettlebed powiedział mi, że wasza ciotka choruje i Edward pojechał ją odwiedzić.

- Tak, ciocia Lawinia ma zapalenie płuc i martwimy się o nią, bo jest już dosyć stara.

- A więc nie jest to odpowiednia pora na przyjmowanie gości. Chyba powinienem dyskretnie się ulotnić.
 - Ach, niech pan tego nie robi! Edward byłby zawiedziony. Przecież przygotowaliśmy wszystko na pana przyjęcie.
 - Szkoda, że Edward mnie nie uprzedził, wtedy w ogóle bym nie przyjeżdżał.
 - Nie miał kiedy, bo ciocia zachorowała nagle i nikt nie wiedział, gdzie pan się akurat znajduje. Zresztą czy pan tu jest, czy nie, to niczego nie zmienia. Nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie, więc szybko zmieniła ton.
 - Wszyscy gniewaliby się na mnie, gdybym pozwoliła panu odjechać! Mama na pewno też będzie chciała pana poznać. Była właśnie w Londynie, ale dziś wraca z powodu choroby cioci. Tato pojechał porozmawiać z doktorem, który leczy ciocię, a Mary pociesza Isobel. Jeszcze jest Judyta, to moja przyjaciółka, mieszka u nas, ale chwilowo przebywa w Porthkerris.
- Gus miał już w głowie zupełny mętlik, więc Loveday pospieszyła z dodatkowymi wyjaśnieniami:
- Mary Millyway to moja dawna niania, dobra jak anioł, a Isobel to służąca cioci Lawinii.
 - Teraz już rozumiem.
 - Na podwieczorek wszyscy powinni być z powrotem. Wtedy pan zobaczy się z Edwardem. Która teraz godzina?
 - Dopiero trzecia - stwierdził spoglądając na swój złoty zegarek.
 - To co pan teraz będzie robił? - Loveday próbowała pełnić honory domu. - Rozpakuje pan swoje bagaże czy pójdzie się przejść?
 - Wolałbym zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Rozpakować się zdążę później. I nie mów mi „pan”.
 - Możemy przejść się nad zatokę. Jeśli zechcesz, mógłbyś tam popływać, ale jest dość chłodno. Nie mam nic

przeciwko zimnej wodzie, ale nie cierpię z niej wychodzić, kiedy wieje zimny wiatr.

- Nie musimy pływać.

- Więc tylko się przejdziemy. Moglibyśmy wziąć psa, ale tato zabrał go ze sobą. Masz jakieś gumowe buty? Bo tam może być ślisko. I sweter, bo nad wodą wieje.

Spodobało mu się, że tak od razu przejęła inicjatywę.

- Mam jedno i drugie.

Zdjął z oparcia krzesła gruby ciemnoniebieski sweter z szetlandzkiej wełny. Zarzucił go sobie na plecy, zawiązując rękawy pod szyją jak szalik.

- Prowadź - nakazał Loveday.

Ponieważ był nowo przybyłym gościem - nie poprowadziła go tylnymi schodami, lecz przez drzwi od frontu. Stał tam zaparkowany samochód, który przyciągnął uwagę Loveday.

- O rany, jaki wspaniały wóz! Chyba strasznie szybki?

- No, może sporo wyciągnąć.

- Wygląda jak prosto z taśmy fabrycznej.

- Mam go od około roku.

- Chciałabym się czymś takim przejechać.

- Może będziesz mogła.

Wyruszyli w drogę, choć już za rogiem uderzył w nich chłodny, słony wiatr od morza. Ten sam wiatr przesuwiał białe obłoki po błękitnym niebie. Przeszli na skróty przez opadające tarasowato trawniki, a stamtąd na krętą ścieżkę wijącą się wśród zarośli w kierunku morza.

Ścieżka stawała się coraz węższa, aż w końcu nie mogli już iść obok siebie, tylko gęsiego. Loveday prowadziła i wciąż przyspieszała kroku, tak że Gus tylko z trudem mógł za nią nadążyć. Zastanawiał się, czy robi to celowo, aby zabawić się jego kosztem. Może śmieszyło ją, jak ze schyloną głową przemykał się pod nawisem gunnery, ślizgał się i potykał na stromych stopniach prowadzących na samo dno kamieniołomu. Po wydostaniu się stamtąd

musiał jeszcze pokonać tor przeszkód w postaci bramki, wiejskiej drogi, przełazu i wysokiego brzegu. Loveday czekała na niego na zielonej murawie popstrzonej liliowymi kępami macierzanki. Wiatr wydymał cienką bawełnianą spódniczkę jak balon wokół szczupłych, opalonych nóg. W jej fiołkowych oczach jarzyły się wesołe iskierki, kiedy lekko zdyszany Gus wreszcie do niej dołączył.

- Biegasz jak królik - wyraził swoje uznanie, gdy zdołał złapać oddech.

- Ty też nieźle dotrzymywałaś mi kroku.

- Masz szczęście, że nic mi się nie stało. To miał być spacer, a nie bieg maratoński!

- Rozejrzyj się, a sam przyznasz, że warto było.

I Gus rzeczywiście się rozejrzył, a wtedy zobaczył turkusową toń morską, półksiężycowaty skrawek plaży i białe grzywy fal rozbijających się o skały u podnóża klifu. Piana rozpryskiwała się na wysokość co najmniej dwudziestu stóp, a słońce w rozpylonych kropelkach wody tworzyło tęczę. Widok był istotnie godzien pędzla malarza! W tym momencie Loveday zadrżała.

- Zimno ci? - spytał.

- Trochę. Zwykle schodzimy aż na sam dół, ale dzisiaj jest wysoka fala i bryzgi przemoczyłyby nas do suchej nitki.

- Więc lepiej nie schodźmy.

Zamiast tego znaleźli schronienie przed wiatrem za załosem skalnym, porośniętym żółtymi porostami. Loveday usiadła na kępce trawy, podciągnęła kolana i oplotła je ramionami, opatulając się swetrem. Gus ułożył się na trawie, wsparty na łokciach.

- Tak jest lepiej - orzekła Loveday. - Wprawdzie nie widzimy morza, ale słyszymy je, no i nie zmokniemy. - Przymknęła jeszcze oczy i wystawiła twarz na słońce, po czym dodała: - Tak jest dużo lepiej. Przede wszystkim cieplej. Szkoda, że nie zabraliśmy czegoś do zjedzenia.

- Na razie nie jestem głodny.
 - Ale ja tak. Zawsze mam apetyt, podobnie jak Athena. Ona też pewnie jest już w drodze do domu. W tych dniach była w Szkocji. Ty, zdaje się, też tam mieszkasz?
 - Tak.
 - Gdzie dokładnie?
 - W Aberdeenshire, nad rzeką Dee.
 - Czy to gdzieś blisko Balmoral?
 - Niespecjalnie.
 - A macie tam w pobliżu morze?
 - Nie, tylko rzekę.
 - To nie to samo.
 - Oczywiście, że nie.
- Loveday w milczeniu przetrawiła tę myśl, po czym stwierdziła:
- Chyba nie mogłabym żyć z dala od morza. - A cóż w tym złego?
 - Gorzej niż źle. To koszmar!
 - Aż tak fatalnie?
 - Wiem coś o tym, bo gdy miałam dwanaście lat, rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem w Hampshire. Czuję się tam tak potwornie, że o mało nie wyzionęłam ducha. Wszystko było tam nie takie jak powinno, nawet niebo jakby waliło się na głowę. Gdybym musiała tam zostać, chyba bym umarła. - A więc tam nie zostałam?
 - Nie. Wytrzymałam do połowy semestru i uciekłam do domu. Potem już nie wysyłano mnie nigdzie indziej. - To gdzie chodziłaś do szkoły? - W Penzance. - A teraz? - Ukończyłam już tę szkołę.
 - I uważasz, że to wystarczy?
 - Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Athena po szkole wyjechała do Szwajcarii. Może zrobiłabym to samo, ale jeśli wybuchnie wojna, to nic z tego nie będzie.

- Rzeczywiście. Ile masz lat?
- Siedemnaście.
- Toś jeszcze za młoda, żeby dostać powołanie do służby.
- Jakiej służby?
- Pomocniczej. Na przykład przy wyrobie amunicji.
- No nie! - Loveday się wystraszyła. - Stać przy taśmie fabrycznej i produkować pociski? Jeśli nie będę mogła pojechać do Szwajcarii, to nigdzie się stąd nie ruszę. Wystarczająco trudno jest wykazać odwagę tu, w Nancher-row, a gdybym jeszcze musiała być dzielna na przykład w Birmingham czy w Londynie... Chybabym zwariowała!
- No, może niekoniecznie! - Gus próbował ją pocieszyć, ale żałował, że w ogóle poruszył ten temat. Kiedy jednak Loveday przemyślała sprawę, sama do tego wróciła.
- Myślisz, że będzie wojna? - zagadnęła.
- Prawdopodobnie tak. - I co wtedy będzie z tobą?
- Powołają mnie do wojsk obrony terytorialnej. - Od razu?
- Tak, bo już od 1938 roku jestem rezerwistą pułku strzelców szkockich. Wstąpiłem do rezerwy, kiedy Hitler zajął Czechosłowację. - Co to jest obrona terytorialna?
- To armia na pół zawodowa.
- Przechodziliście jakieś szkolenia?
- W pewnym stopniu. Każdego lata uczestniczyłem w dwutygodniowym obozie szkoleniowym. Umieję posługiwać się bronią tak, aby unieszkodliwić przeciwnika.
- Pod warunkiem, że on najpierw nie unieszkodliwi ciebie.
- O to chodzi.
- A Edward wstępuje do lotnictwa!
- Wiem. Pewnie powiesz, że obu nam pisana zguba?
- Raczej spytam, co z waszymi studiami?

- Wiadomo, że nie wrócimy już do Cambridge, jeśli rozpęta się ta cała zawierucha. Egzaminy dyplomowe będą musiały poczekać.
- Aż do końca wojny?
- Chyba tak.
- Czy nie szkoda tylu lat pracy? - Loveday pomyślała trochę nad tym i spytała: - Ciekawe, czy wszyscy w Cambridge myślą tak jak ty?
- Skąd, nasi studenci mają bardzo różne poglądy. Niektórzy są zdeklarowanymi lewicowcami i tylko krok ich dzieli od wstąpienia do partii komunistycznej. Najodważniejsi spośród nich walczyli już w Hiszpanii.
- Rzeczywiście musieli być odważni!
- Tak, ale nie najmądrzejsi. Inni koledzy skłaniają się ku pacyfizmowi, a jeszcze innym wydaje się, że jeśli wmówią sobie, że wszystko jest w porządku, to naprawdę nic złego się nie stanie. Taka polityka strusia... - Nagle roześmiał się na jakieś wspomnienie. - Zwłaszcza jeden był całkiem niemożliwy. Taki Peregryn Haslehurst...
- On się rzeczywiście tak nazywał? Niemożliwe!
- Naprawdę, przysięgam. Kiedy nie miał co robić, odszukiwał mnie i łaskawie pozwalał postawić sobie drinka. Wtedy rozwiązywał mu się język, ale kiedy rozmowa schodziła na poważne tematy - jego niefrasobliwość doprowadzała człowieka do szału. Wyobraź sobie, że dla niego wojna nie jest niczym groźniejszym od rozgrywek krykieta w Eton, gdzie pobierał nauki.
- Może tylko tak udaje, a naprawdę przeżywa to równie silnie jak każdy z nas?
- Uważasz, że zgrywa się na flegmatycznego Anglika?
- Tak mi się przynajmniej wydaje.
- Wyjątkowo nie lubię takich ludzi. Przypominają mi Piotrusia Pana, jak wlatywał ze swym mieczykiem, aby stoczyć walkę z kapitanem Hakiem.
- Nie cierpię Piotrusia Pana! - parsknęła Loveday. - Nigdy nie znosiłam tej bajki.

- To ciekawe, bo ja też nie. Jak tam było? „Śmierć to taka wspaniała przygoda...” Musiał to napisać zupełny idiota.

- Nie wydaje mi się, aby śmierć miała w sobie coś z przygody. Ciocia Lawinia chyba też tak nie myśli... -zaczęła Loveday, ale umilkła, bo uświadomiła sobie, że zdążyła już zapomnieć o ciotce Lawinii. - Która godzina? - zmieniła temat.

- Wpół do piątej. Czemu nie nosisz zegarka?

- Miałam ich już wiele, ale ciągle je gubię. Chyba powinniśmy już wracać. - Wstała, jakby nie mogła już dłużej usiedzieć w miejscu. - Tamci niedługo będą z powrotem. Mam nadzieję, że nic złego się nie wydarzyło.

Gus wyczuł, że cokolwiek by w tym momencie powiedział, byłoby to tylko pustym frazesem, więc wolał zmilczeć. Poderwał się na nogi, wystawiając się ponownie na chłodny powiew wiatru, choć miło było siedzieć przy nagrzanym w słońcu skale.

- Tylko może tym razem mniej ostre tempo, dobrze? -zapropozował, ale Loveday i tak go nie słuchała. Odwróciła się, żeby za prędko nie stracić z oczu klifów, mew i morza.

Kiedy tak stała, Gus nagle zobaczył na jej miejscu dziewczynę z obrazu Laury Knight, którego reprodukcję wyciął kiedyś z czasopisma „Studio”. Nawet ubrana była podobnie - takie same zdeptane tenisówki, bawełniana spódniczka w paski i powyciągany sweter, uroczo poplamiony sokiem malinowym. Tylko włosy były inne. Zamiast rudego warkocza przerzuconego przez ramię Loveday miała szopę ciemnych loków przypominających chryzantemę.

Wracali tą samą ścieżką, po której Gus przedtem rozpaczliwie próbował nadażyć za Loveday. Teraz też jakby się spieszyła. Szybkim krokiem przeszli po dnie kamieniołomu, potem brzegiem klifu i przez tereny leśne, zatrzy-

mując się tylko dla nabrania oddechu na starych drewnianych mostkach, pod którymi przepływał strumyk. Gus tak się zgrzał, że gdy mijali ogrody - zatrzymał się na chwilę, ściągnął sweter i przewiesił go sobie przez ramię. Loveday poczekała na niego i uśmiechnęła się, kiedy napotkała jego spojrzenie.

- W naprawdę ciepłe dni - zauważyła - najbardziej denerwujące jest to, że kiedy już się dojdzie do tego miejsca, wtedy chciałoby się znów popływać.

Raptem przystanęła i zaczęła nasłuchiwać, przy czym uśmiech znikł jej z twarzy. Gus usłyszał oddalony warkot silnika nadjeżdżającego samochodu. Kiedy wyteżył wzrok, dojrzał, jak na drogę dojazdową wtoczył się majestatycznie potężny daimler i ostro zahamował na żwirze.

- Już są! - W głosie Loveday pobrzmiwał teraz niepokój, choć przez całą drogę paplała niefrasobliwie o wszystkim i o niczym. - I tato, i Edward... Ciekawe, co się tam dzieje?

Zostawiła go samego i pobięła na przełaj przez trawniki. Gus słyszał jeszcze, jak woła:

- Czemu tak długo was nie było? Jak tam, wszystko w porządku?

Gus, celowo zwalniając kroku, modlił się, żeby rzeczywiście tak było. Nagle stracił pewność siebie i wolałby nigdy się tu nie znaleźć. W zaistniałej sytuacji Edward miał pełne prawo nie zajmować się swym zaproszonym gościem, a przy spotkaniu udawać, że cieszy się z jego przybycia. Przez chwilę Gus żałował, że nie posłuchał głosu wewnętrznego, który nakazywał mu wrzucić nie rozpakowane walizki do samochodu i udać się w drogę powrotną. Może źle, że dał się namówić Loveday na pozostanie? Stanowczo nie była to odpowiednia pora na składanie wizyt!

Teraz jednak było już za późno, aby się wycofać. Powoli pokonał więc długi ciąg kamiennych schodków i wstąpił na żwirowany podjazd, gdzie obok jego samochodu stał

z otwartymi drzwiami daimler, z którego wysiedli już pasażerowie. Edward dostrzegł Gusa i wyszedł mu naprzeciw z otwartymi ramionami.

- Cześć, stary! Fajnie, żeś przyjechał!

W jego głosie brzmiało tak szczere zadowolenie, że wątpliwości Gusa od razu się rozwiały. Był mu za to głęboko wdzięczny.

- Cześć, też się cieszę, że cię widzę - odpowiedział.

- Przepraszam, że tak wyszło...

- To raczej ja powinienem cię przeprosić.

- Mnie? Za co?

- Bo coś mi mówi, że nie powinienem tu teraz zostawać.

- Nie wygłupiaj się. Przecież cię zaprosiłem.

- Wasz służący powiedział mi, że twoja ciocia ciężko zachorowała. Czy w tej sytuacji wypada mi włączyć wam na kark?

- Czy tu będziesz, czy nie, to i tak niczego nie zmieni. Przeciwnie, poprawisz nam humor. A co do cioci, to chyba nie da się chorobie. Twarda z niej sztuka. Lepiej powiedz, jak ci się jechało? Chyba to kawał drogi? Mam nadzieję, że Loveday nie zostawiła cię samemu sobie. Kazałem jej pełnić honory domu.

- I dobrze się z tego wywiązała. Byliśmy już na spacerze nad zatoką.

- Coś podobnego! Ona zwykle nie jest zbyt towarzyska. Chodź, zapoznam cię z ojcem i Mary... -

Obejrzał się w stronę pozostałych i zrobił zdziwioną minę. - Tylko że Mary tymczasem gdzieś znikła. Już wiem, pewnie poszła powiedzieć pani Nettlebed, żeby nastawiła wodę na herbatę. Na razie przedstawię cię ojcu. Tatusiu, pozwól na chwilę...

Pułkownik był akurat pogrążony w rozmowie z córką, którą ze wszystkich sił starał się podnieść na duchu. Jednak usłyszawszy głos Edwarda, obejrzał się i wtedy zauważył Gusa. Zostawił więc Loveday i podszedł zdecydowanym

krokiem, wysoki i chudy w swoim sportowym ubraniu. Nawet jeśli nie był zachwycony gościem przybywającym w najmniej odpowiednim momencie - nie dał tego po sobie poznać. Z jego spojrzenia i łagodnego uśmiechu przebijała tylko szczerą serdeczność i życzliwość.

- Tatusiu, to jest Gus Callender. Gus, to mój ojciec, Edgar Carey-Lewis.

- Miło mi pana poznać.

Pułkownik wyciągnął rękę, którą Gus uścisnął.

- Drogi chłopcze, to naprawdę wspaniale, że przyjechałeś. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Następnego dnia, mniej więcej o dziesiątej rano, Edward zadzwonił do sklepu Warrena w Porthkerris i poprosił do telefonu Judytę.

- A kto mówi? - spytał nieznajomy kobiecy głos z wyraźnym kornwalijskim akcentem.

- Proszę powiedzieć, że Edward.

- Chwileczkę.

Czekał przy telefonie, słysząc w tle ten sam damski głos: „Jest tam gdzieś Judyta? Proszę ją do telefonu!” W końcu się doczekał.

- Halo, Edward?

- Cześć!

- Co tam słychać?

- Wszystko w porządku. Są dobre wiadomości.

- Jak ciocia?

- Wydaje się, że kryzys minął. Dzwonili z Dower House, że dziś rano obudziła się, zapytała, co, do diabła, robi ta pielęgniarka przy jej łóżku, i kazała sobie przynieść herbaty!

- Nie do wiary!

- No więc oczywiście tato z mamą zaraz tam popędzili, żeby na miejscu sprawdzić, jak się rzeczy mają, a ja tymczasem postanowiłem zadzwonić do ciebie.

- Wyobrażam sobie, jaką ulgę wszyscy czujecie. Kochana stara ciotunia!
- Ale i perfidna, bo takiego nam napędziła stracha! A teraz mamy zjazd gwiazdzisty ze wszystkich stron świata. Mama wróciła wczoraj wieczorem piekielnie zmęczona, a Athena z Rupertem są w drodze. Podobna sprawa jak z Gusem - nie wiemy, gdzie się teraz znajdują, więc nie możemy dać im znać, żeby nie przerywali miłego pobytu w Auchnafechle czy czymś podobnym. Kompletny obłąd!
- To wszystko jest nieważne. Grunt, że ciocia lepiej się czuje.
- A ty kiedy wracasz?
- W niedzielę.
- Jeśli będzie już w lepszej formie, zawiozę cię do niej.
- No to pamiętaj, że będę w niedzielę rano.
- A więc jesteśmy umówieni. Co u ciebie?
- Zaczynam już tęsknić za wami.
- Nie bardzo masz za czym tęsknić, bo mamy teraz taki młyn, jak pośrodku Piccadilly Circus. A mimo to bez ciebie czuć tu pustkę.
- No wiesz!
- Do zobaczenia w niedzielę!
- Cześć! I dziękuję za telefon.

Pierwszego ranka na nowym miejscu Rupert Rycroft zasnął, a kiedy się obudził - miał w głowie kompletny zamęt. Patrzył błędnym wzrokiem na przeciwległą ścianę i nic nie świeciło mu w głowie. Kilka dni spędził w drodze i w stosunkowo krótkim czasie nocował w tylu różnych miejscach, że na podstawie mosiężnych gałek łóżka, tapety w paski i zasłon w kwiatki nie mógł odgadnąć, gdzie się, u licha, znajduje.

Dopiero po chwili wróciła mu pamięć. Był przecież w Nancherrow w Kornwalii, dokąd po długiej podróży przez cały kraj dowiózł wreszcie Athenę. Mało tego, od

początku do końca sam siedział za kółkiem. Athena, choć bez przekonania, raz czy dwa ofiarowała się poprowadzić samochód, ale Rupert wolał sam panować nad sytuacją. Nie powierzyłby kierownicy swego cennego wozu nikomu, nawet Athenie.

Wyjął rękę spod kołdry i sięgnął po zegarek. Była już dziesiąta. To straszne spać tak długo! Pamiętał jednak, co na dobranoc powiedział mu pułkownik: „Śniadanie jest o wpół do dziewiątej, ale wyśpij się porządnie. Kiedykolwiek przyjdiesz, będzie dobrze”. Widocznie jakiś ukryty mechanizm w mózgu Ruperta odpowiednio zareagował na to polecenie. Ten sam mechanizm działał także w drugą stronę - jeżeli Rupert wiedział, że ma być o wpół do ósmej rano na defiladzie, to nawet po całonocnej dobrze zakrapianej imprezie budził się w porę.

Dojechali do Nancherrow o wpół do pierwszej w nocy. Powitali ich tylko rodzice Atheny, gdyż reszta domowników już dawno spała. Przez całą drogę Athena była ożywiona i rozmowna, ale w ciągu ostatniej godziny dziwnie ucichła. Rupert zgadywał, że po trosze cieszy się z powrotu do domu, a po trosze się go boi. Z jednej strony chciała się już znaleźć na łonie rodziny, ale z drugiej niepokoiła się, jakie wiadomości tu na nią czekają. Rupert czuł jednak, że te obawy są jej prywatną sprawą, której nie chce z nikim dzielić, więc taktownie zostawił ją w spokoju.

U kresu podróży okazało się jednak, że obawy były płonne. Stara ciotka, choć ciężko chora, nie wybierała się jeszcze na tamten świat. Niepotrzebnie więc Rupert zrezygnował z polowania na pardwy i bohatercko eskortował Athenę z drugiego końca kraju. Ciężko mu było to przełknąć, ale na zewnątrz robił dobrą minę.

Oczywiście Athena szalała z radości. W przestronnym, rzeświście oświetlonym hallu Nancherrow stały z matką, ciasno splecione ramionami i zarzucały się gradem słów.

- Wprost nie mogę uwierzyć...

- Taki kawał drogi przejechać...
- Bałam się, że ona może umrzeć...
- Ach, kochanie...
- ...cały dzień w drodze...
- Musisz być strasznie zmęczona...
- ...naprawdę już jest lepiej?
- ...mam nadzieję. Może nie powinniśmy byli ci o tym mówić...
- Ależ musiałam być przy tym!
- ...zepsuliśmy ci wakacje...
- ...to nieważne. Teraz wszystko już jest bez znaczenia! Dianę Carey-Lewis Rupert poznał już wcześniej. Była

razem z córką w londyńskim mieszkaniu w zaułku Cadogan, skąd porwał Athenę do Szkocji. Zarówno wtedy, jak i teraz wydawały mu się raczej siostrami niż matką i córką. Obecnie, jak przystało na tak późną porę, Diana miała już na sobie długi do ziemi, różowy wełniany szlafrok. Pułkownik natomiast nie zdjął jeszcze aksamitnego smokingu ani jedwabnej muszki. Patrząc na niego, Rupert poczuł się jak w domu, bo jego ojciec też zawsze przebierał się do kolacji. A teraz ten wytworny starszy pan szedł do niego z wyciągniętą ręką. - Jestem Edgar Carey-Lewis. Drogi chłopcze, jak to miło z twojej strony, że przywiozłeś Athenę do domu! Pewnie jesteś zły, że na darmo się namęczyłeś?

Starszy pan był tak rozbijająco sympatyczny i tak troszczył się o wszystko, że Rupert od razu zapomniał o przeżytych zawodzie.

- Nieważne, proszę pana. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.
- To naprawdę bardzo szlachetne z twojej strony, ale szkoda, że musiałeś zrezygnować z polowania. A dobre było choć to łowisko? - dodał z błyskiem w oku, zupełnie nie licującym z powagą chwili.
- Przez dwa dni szło nam świetnie.
- Ustrzeliliście dużo pardw?

- Owszem, kilka ładnych stadek. Razem ze dwie kopy.
- I pewnie zaraz tam wracasz?
- Już nie ma po co. Byłem zaproszony tylko na tydzień.
- Tak mi przykro. Zepsuliśmy ci wszystko!
- Niech pan nawet o tym nie myśli.
- W każdym razie jesteś naszym najmilszym gościem i możesz się czuć jak u siebie w domu. I tak spokojnie to znosisz - ja na twoim miejscu byłbym wściekły! A teraz napijmy się po jednym do poduszki!

Już dziesiąta! Rupert zwlókł się z łóżka i odciągnął zasłony. Z okna widać było brukowany dziedziniec z donicami pełnymi kwitnących pelargonii, stadkiem gruchających gołębi pawików i sznurem z suszącą się bielizną. Dalej rozciągała się połać zieleni, pośrodku której rosła kępa drzew z gęstym listowiem. Gdy wychylił się bardziej z okna, dojrzał błękitną linię horyzontu. Zapowiadała się piękna, słoneczna pogoda, toteż Rupert uznał, że postawiłby Nancherrow na drugim miejscu zaraz po terenach łowieckich w Glenfreuchie. Ziewnął, przeciągnął się i uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Przeszedł więc do łazienki i zabrał się do golenia.

Kiedy zszedł na dół, poczuł się nieco głupio, gdyż nigdzie nie było żywej duszy. Metodą prób i błędów znalazł w końcu jadalnię, gdzie zastał nobliwego starszego pana -sądząc z opisu Atheny, był to kamerdyner Nettlebed.

- Dzień dobry! - odezwał się od progu. Kamerdyner przestawiał akurat naczynia na podgrzewanej płycie pomocniczego kredensu.
- Dzień dobry, jaśnie panie. Pan rotmistrz Rycroft, prawda?
- Zgadza się, a wy jesteście Nettlebed?
- Tak jest, jaśnie panie.

Rupert postąpił krok naprzód i podał mu rękę.

- Chyba fatalnie zaspiałem.

- Pan pułkownik uprzedził mnie, że jaśnie pan musi się dobrze wyspać. Na pewno jaśnie pan jest głodny, proszę, tu są parówki, a tu bekon... Gdyby jaśnie pan życzył sobie sosu pomidorowego, to moja żona w tej chwili służy... Do tego oczywiście kawa, chyba że jaśnie pan woli herbatę...
 - Dziękuję, może być kawa. - Rupert ogarnął wzrokiem długi mahoniowy stół, na którym znajdowało się tylko jedno nakrycie. - Chyba przyszedłem ostatni?
 - Jeszcze tylko panienka Athena nie jadła, ale pani powiedziała, że ona zjawi się dopiero na lunch.
 - Oczywiście, niech się porządnie wyśpi.
- Nałożył sobie parówek i bekonu, a Nettlebed nalał mu kawy.
- Jaśnie pan długo był w drodze?
 - Przejechałem wzdłuż dokładnie cały kraj. Powiedzcie teraz, gdzie są wszyscy.
 - Pan pułkownik i pani pułkownikowa pojechali do Dower House, bo pani Boscawen jest chora, więc muszą sprawdzić, czy pielęgniarka robi to, co do niej należy... Panicz Edward podwiózł Mary Millyway do Penzance, żeby porobiła zakupy, a panienka Loveday poszła z panem Callenderem pokazać mu piękne miejsca, które mógłby malować.
 - A kto to jest pan Callender?
 - Pan Gus Callender to kolega panicza Edwarda z Cambridge i chyba jakby artysta...
 - On też się tu zatrzymał? No, to macie pełen dom gości. Nic dziwnego, że Edward musiał pojechać po zakupy.
 - Jesteśmy z żoną do tego przyzwyczajeni, jaśnie panie - uspokoił go Nettlebed. - U nas zawsze jest pełno gości.
 - Więc jak mi radzicie, czym mógłbym się zająć, kiedy już zjem, a Athena jeszcze nie wstanie?
- Nettlebed uśmiechnął się, bo lubił takich pewnych siebie młodych ludzi.

- W salonie są najświeższe poranne gazety. Gdyby jaśnie pan życzył sobie przejrzeć je na świeżym powietrzu, to koło drzwi są takie składane krzesła. Albo może jaśnie pan wolałby się przejść?
- Jakoś nie mam ochoty na spacer. Myślę, że raczej usiądę gdzieś w słońcu i poczytam gazetę.
- Świetny pomysł, proszę jaśnie pana.

Rupert wziął z salonu „Timesa” i wyniósł go na dwór, ale właściwie nie miał zamiaru czytać. Usiadł tylko na wyplatanej krześle i cieszył oczy widokiem zalanego słońcem ogrodu. Skądś słychać było śpiew ptaka, a w dole ogrodnik przystrzygał trawę na korcie tenisowym. Rupertowi przemknęło przez myśl, że być może zaproponują mu tu partię tenisa. W tej chwili jednak bardziej niż tenis absorbowwała go kwestia Atheny.

Gdyby tak przemyśleć tę sprawę jeszcze raz, to właściwie wpakował się w tę historię w najmniej odpowiednim momencie. Miał dwadzieścia siedem lat, był oficerem kawalerii w stopniu rotmistrza dragonów Gwardii Królewskiej i bardzo chwalił sobie swobodę kawalerskiego życia. Teraz, w obliczu nowej wojny, kiedy groziła mu translokacja na daleki odcinek frontu, niewygody, rany, a może i śmierć - bynajmniej nie pragnął żeniaczki.

Athenę poznał w Londynie na przyjęciu, gdzie zaproszono go wraz z dwoma kolegami z pułku. Na dworze był mroźny zimowy wieczór, natomiast impreza odbywała się w dobrze ogrzanym i rześście oświetlonym salonie na pierwszym piętrze. Choć Athena znajdowała się w przeciwległym końcu sali - od razu zwrócił uwagę na jej niezwykłą urodę. To nic, że akurat rozmawiała z jakimś grubym, tępowym facetem i śmiała się z jego płytkich dowcipów - ważne, że miała czarujący uśmiech, uroczo zadarty nosek i oczy o barwie szafirowych hiacyntów. Rupert z trudnością zdołał opanować drżenie rąk. Na szczęście pani domu zaraz ich sobie przedstawiła.

- Kochany, to jest Athena Carey-Lewis. Czyście się już gdzieś nie spotkali? Nie? Atheno, to jest Rupert Rycroft. Czyż nie jest przystojny? Popatrz, jaki opalony! Rupert, twoja szklanka jest wciąż pusta. Czekaj, zaraz ci doleję...

No i jakoś tak się złożyło, że zaraz po przyjęciu opuścił kolegów, porwał Athenę do swego samochodu i zaczął ją obwozić po nocnych lokalach. Zaliczyli zarówno „Mirabelle”, jak i „Bagatelle”, a do domu odwiózł ją tylko dlatego, że nazajutrz o wpół do ósmej rano musiał być obecny na przeglądzie wojsk.

- To twój dom? - spytał, kiedy odstawił ją ostatecznie w zaułek Cadogan.

- Nie, mojej mamy.

- Czy ona tam jest?

- Nie, w domu nie ma nikogo, ale i tak cię nie wpuszczę.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlate o, że sobie tego nie życzę. A po drugie - przecież musisz wracać do Northampton.

- Może jeszcze kiedyś się spotkamy?

- Nie wiem.

- A czy mógłbym do ciebie zadzwonić?

- Proszę bardzo. Pod tym nazwiskiem w książce telefonicznej jesteście tylko my. Pa! - Pocałowała go w policzek.

Zanim zdążył ją zatrzymać lub przynajmniej odprowadzić do wejścia, wyskoczyła z samochodu, otworzyła drzwi frontowe, wśliznęła się do środka i zatrzasnęła je za sobą. Przez chwilę patrzył w ślad za nią, niepewny, czy mu się to wszystko nie przyśniło. Niestety, mógł już tylko głęboko westchnąć, wycofać wóz z zaułka i dzięki temu zdążyć na poranny przegląd pułku w Long Weedon.

Dzwonił potem pod wskazany numer, ale nikt nie podnosił słuchawki. Wysłał do niej list i kartę pocztową, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wreszcie w którąś sobotę rano

podjechał pod jej mały domek i walił pięścią w drzwi tak długo, aż mu otworzyła. Była boso, tylko w jedwabnym szlafroku. Wcisnął jej w rękę bukiet kwiatów i bez zbędnych wstępów wypalił:

- Porywam cię do Gloucestershire!
- Dlaczego akurat do Gloucestershire?
- Ponieważ tam mieszkam.
- A myślałam, że trenujesz konie w Northamptonshire?
- Mam wolne do jutra wieczór. Jedź ze mną!
- W porządku - zgodziła się bez oporów. - Ale co ja tam będę robić?
- Nic.
- Nie o to chodzi. Chciałabym wiedzieć, jak mam się ubrać. Czy mam wziąć ze sobą strój wieczorowy, spacerowy czy popołudniowy?
- Najlepiej spodnie do jazdy konnej.
- Nie jeżdżę konno.
- W ogóle?
- Nie cierpię koni!

Rupert nieco się zmieszał, gdyż konie były główną pasją jego matki. Nie zrażony tym, zaproponował:

- Weź coś, żebyś mogła przebrać się do kolacji, i coś, w czym mogłabyś pójść do kościoła.
- Ale zaszalejemy! Przynajmniej twoja matka wie, że mam przyjechać?
- Uprzedziłem ją, że cię przywiozę.
- Na pewno jej się nie spodoba, bo nie umiem prowadzić błyskotliwej rozmowy. Matki na ogół mnie nie lubią.
- Ale na pewno spodoba się mojemu ojcu!
- To jeszcze gorzej, bo tylko narobię kłopotów.
- Atheno, błagam cię, nie spieraj się ze mną. Wpuść mnie do środka, spakuj manatki i jedziemy.
- Nie spieram się, tylko chcę cię uprzedzić, w co się pakujesz.

- Nie będę się martwił na zapas.

Trzeba przyznać, że Athena nie zrobiła furory w Gloucestershire. Rodzina Ruperta mieszkała w Taddington Hall, monumentalnym dworze z epoki wiktoriańskiej. Otaczały go starannie pielęgnowane parki, ogrody, pola uprawne, należące do majątku lasy, strumienie pełne pstrągów i tereny łowieckie, gdzie łatwo było ustrzelić mnóstwo bażantów. Jego ojciec, sir Henry Rycroft, emerytowany pułkownik, piastował funkcje gubernatora hrabstwa, przewodniczącego rady hrabstwa i miejscowego oddziału partii konserwatywnej, sędziego pokoju i mastra polowań z psami. Lady Rycroft również udzielała się społecznie. Była organizatorką harcerstwa, członkinią rady pedagogicznej i opiekunką miejscowego szpitala, a przy tym wszystkim znajdowała jeszcze czas na wędkowanie, pracę w ogródku i udział w polowaniach konnych.

Dla ludzi tego pokroju pojawienie się Atheny musiało być szokiem. Gdy nie zeszła punktualnie na śniadanie, matka Ruperta uznała, że jest to dobry moment, aby wyrzucić z siebie nurtujące ją pytania.

- Co ona tam jeszcze robi?

- Pewnie śpi.

- Przecież musiała słyszeć gong!

- Czy mam iść ją zbudzić?

- Ani mi się waż!

- Dobrze, nie będę.

- A co ona w ogóle robi? - wtrącił się ojciec.

- Nie mam pojęcia. Pewnie nic.

- Ale kim ona właściwie jest? - naciskała lady Rycroft. - Co to za ludzie?

- Nie znasz ich. Pochodzą z Kornwalii.

- W życiu nie widziałam tak leniwej dziewczyny. Wczoraj przez cały wieczór nic, tylko siedziała. Mogła przynajmniej przynieść ze sobą jakąś robótkę.

- Myślałaś, że będzie haftować? Ona chyba nie umie nawet nawlec igły!

- Nigdy nie przypuszczałam, że zwiążesz się z dziewczyną, która się do niczego nie nadaje.
- Ależ, mamo, jeszcze się z nią nie związałem!
- To jakaś dziwna dziewczyna. Nawet nie jeździ konno...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do jadalni wkroczyła Athena w szarych flanelowych spodniach i bła-doniebieskim swetrze z puszystej wełny angorskiej.

- Dzień dobry! - przywitała się. - Ten dom jest taki ogromny, że nie mogłam trafić do tego pokoju. Po prostu się zgubiłam...

Stanowczo nie był to sukces towarzyski!

Rupert, starszy z dwóch synów państwa Rycroftów, miał w przyszłości odziedziczyć Taddington. Jego matka snuła więc bardzo konkretne plany dotyczące potencjalnej synowej. Najważniejsze, aby pochodziła z dobrej rodziny i miała odpowiednie koneksje - żona oficera gwardii królewskiej powinna posiadać wysoki status społeczny. Jakiś posag też by nie zaszkodził, chociaż w ich sytuacji materialnej nie było to konieczne. Pani Rycroft nie przykładła natomiast wagi do urody przyszłej wybranki syna -grunt, aby miała dobry głos i szerokie biodra dla zapewnienia ciągłości rodu. Powinna też dobrze trzymać się na koniu, a w swoim czasie umieć zarządzać majątkiem, aby utrzymać go na odpowiednim poziomie.

Athena była dokładnym przeciwieństwem tego ideału, ale Rupertowi to nie przeszkadzało. Nie był jeszcze w niej zakochany i na razie nie myślał o ożenku. Podobała mu się jej uroda, naiwny szczebiot i całkowita nieobliczalność. Chwilami doprowadzała go do szału - czasem znów wzruszała swoją dziecięcą wprost prostodusznością. Najprawdopodobniej nie zdawała sobie sprawy z tego, jaki wpływ na niego wywiera - potrafiła bez uprzedzenia wyskoczyć na weekend z zupełnie obcym mężczyzną na narty do Zermatt, albo też do Paryża, aby odwiedzić dawną przyjaciółkę.

Dopiero w sierpniu ostatecznie przyparł ją do muru.

- Dostałem urlop - oświadczył bez żadnych wstępów. - Wybieram się do Perth polować na pardwy. Ty też jesteś zaproszona.

- Kto zaprasza?

- Państwo Montague-Crichtonowie, rodzice Jamiego, mojego szkolnego kolegi z Sandhurst. Mają domek myśliwski na samym szczycie Glenfreuchie. Wokół nic, tylko wzgórza i wrzosowiska, a wieczorami wszędzie płoną ogniska z torfu. Powiedz, że się zgadzasz!

- Ale nie będę musiała wsiadać na konia?

- Nie, tylko przespacerować się kawałek drogi.

- A jeżeli będzie padało?

- Mam nadzieję, że nie będzie. Zresztą zawsze możesz zostać w domu z książką.

- Nic nie mam przeciwko temu, żeby coś robić. Nie lubię tylko, kiedy czegoś się ode mnie oczekuje.

- Rozumiem cię doskonale, ale zaręczam, że będzie bardzo wesoło.

- Jak długo mamy tam zostać? - Jeszcze się wahała, przygryzając wargę.

- Tydzień.

- A potem zostanie ci jeszcze trochę urlopu?

- Dlaczego pytasz?

- Umówmy się, że jeśli pojedę z tobą do Szkocji, ty później pojedziesz ze mną do Kornwalii.

Zobaczyłbyś Nancherrow, poznał moją mamę, tatusia, Loveday, Edwarda i nasze kochane pieski!

Wszystkich, których kocham, dobrze?

Rupert był tyleż zaskoczony, co uradowany tą nieoczekiwaną propozycją. Dotychczas Athena nie dawała po sobie poznać, czy dobrze się czuje w jego towarzystwie, czy je zaledwie toleruje. Toteż bynajmniej nie mógł się spodziewać, że zaprosi go do domu.

Starał się więc, jak mógł, ukryć swe zadowolenie, gdyż bał się, że jeśli okaże zbyt wiele entuzjazmu, Athena może

jeszcze zmienić zdanie. Udawał więc, że się namyśla, i dopiero po chwili odpowiedział:

- Cóż, chyba to dobry pomysł.
- No więc pojedę z tobą, dokąd chcesz. Gdzie to jest?
- Glenfreuchie.
- Czy wszystkie szkockie nazwy muszą brzmieć jak kichnięcie? Pewnie będę musiała ubrać się od stóp do głów w szorstki tweed.
- Będziesz potrzebowała tylko płaszcza przeciwdeszczowego i wygodnych butów. No i jeszcze jakiejś sukienki do tańca.
- Zapowiada się wspaniale. Kiedy wyruszamy?
- Musimy wyjechać z Londynu już piętnastego, bo przed nami daleka droga.
- Czy będziemy nocować na trasie?
- Jak sobie życzysz.
- Dobrze, ale weźmiemy oddzielne pokoje.
- Przyrzekam ci to.
- No więc jedziemy.

Jeśli nawet w Taddington Athena nie zrobiła furory -to w Glenfreuchie zrobiła ją na pewno. Pogoda dopisała, a stoki wzgórz były pokryte liliowymi plamami wrzосу. Już pierwszego dnia wytrwale maszerowała długie kilometry, towarzysząc Rupertowi w drodze do stanowiska strzeleckiego. Umiała trzymać język za zębami i nie narzekać, kiedy Rupert ją o to prosił. W domu gospodarzy panowała przyjazna i swobodna atmosfera, w której Athena rozkwitała. Do kolacji przebrała się w ciemnoniebieską suknię, na której tle jej oczy wydawały się szafirowe. Podbiła serca wszystkich mężczyzn, a Rupert pękał z dumy.

Następnego ranka zadziwiła go jeszcze bardziej, bo wstała wcześniej i z werwą wzięła się do pałaszowania obfitego śniadania.

- Nie musisz iść z nami - zaproponował w obawie, aby się nie przemęczyła.

- A co, nie chcesz, żebym szła?
- Bardzo bym chciał, ale wcale się nie obrażę, jeśli dołączysz do nas trochę później. Na przykład wtedy, kiedy przyniosą nam lunch.
- Dziękuję za troskę, ale nie chcę, żebyś obchodził się ze mną jak z jajkiem.
- Przepraszam, nie miałem takich intencji.

Przed pierwszym tego dnia pędzeniem Rupert wylosował stanowisko na samym szczycie wzgórza, co wymagało niezgorszej wspinaczki po zboczu porośniętym wrzosem sięgającym kolan. Pogoda była tak samo wspaniała jak wczoraj, w powietrzu unosiły się z brzęczeniem pszczoły, a ze stromych ścian doliny ściekały strumyczki, zasilające rzekę płynącą po jej dnie. Podczas męczącej wspinaczki Rupert i Athena często przystawali, aby ochłodzić twarz i dłonie wodą z tych strużek. Kiedy w końcu osiągnęli szczyt, przekonali się, że widok stamtąd wart był tego wysiłku. Północno-zachodni wiatr przynosił tam czyste powietrze aż z oddalonych gór Grampian.

Rupert ustawił się na swoim stanowisku strzeleckim, a Athena przy nim. Czekali, aż od strony północnej wszczął się hałas uczyniony przez naganiaczy. Spod ich nóg uciekały całe stada pardw, ale na razie nie wlatywały. Podniecenie narastało, a w którymś momencie Rupert poczuł, że rozpiera go tak ogromna radość, jakiej nie doznał jeszcze od czasów dzieciństwa.

Wiedziony nagłym impulsem odwrócił się i pocałował Athenę w policzek.

- Co to ma znaczyć? - spytała ze śmiechem.
- Nic. Tak sobie...
- Teraz powinieneś myśleć o zwierzynie, a nie o mnie.
- Widzisz... - zaczął, ale zagłuszył go chór okrzyków niosących się wzdłuż linii strzelców.

W górę wleciała jedna pardwa, lecz zanim Rupert wymierzył w nią i wystrzelił - odfrunęła zdrowa i cała. Od

strony linii strzelców dobiegł szmer niezadowolonych głosów: „Co za dureń...”

- Mówiłam ci, żebyś się skupił - przycięła Athena z satysfakcją.

Do domku myśliwskiego wrócili około szóstej wieczorem, opaleni i zmęczeni.

- Teraz chciałabym wziąć gorącą kąpiel - westchnęła Athena pod koniec drogi powrotnej. - A potem położyć się i przespać!

- Dobrze, zbudzę cię przed kolacją.

- Koniecznie, bo oprócz tego jestem także wściekle głodna.

- Jamie wspominał, że chce dzisiaj urządzić wieczorek tańców ludowych.

- To nie będzie balu?

- Nie, tylko zwiniemy dywan i będziemy tańczyć przy muzyce z płyt.

- Tyle jeszcze macie energii? Rzecz w tym, że nie umiem tańczyć ludowych tańców.

- Nauczę cię.

- A sam umiesz?

- Nie za bardzo.

- To tylko popsujemy innym całą zabawę.

- Nieprawda. Ty nie jesteś w stanie niczego popsuć, a nic nie popsuje nam dzisiejszego dnia.

Były to pamiętne słowa. Gdy tylko bowiem przekroczyli próg, wyszła im na spotkanie pani Montague-Crichton, która nie uczestniczyła w polowaniu, zajęta obowiązkami domowymi.

- Atheno, kochanie, tak mi przykro... Był telefon od ciebie z domu...

Athena stanęła jak wryta i widać było, że cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Dzwonił twój ojciec. Kazał ci powiedzieć, że pani Boscawen ciężko zachorowała. Mówił, że ona jest już stara i że może chciałabyś być przy niej...

Reakcja Atheny pokrzyżowała od razu wszystkie plany Kuperta. Nigdy jeszcze nie widział dziewczyny tak kompletnie zdruzgotanej. Wybuchła niepohamowanym, wręcz dziecięcym płaczem, co zgorszyło nieco panią Montague-Crichton, która jako rodowita Szkotka przywykła trzymać na wodzy swe uczucia. Ze względu na nią Rupert otoczył Athenę ramieniem, zaprowadził na górę do sypialni i dokładnie zamknął drzwi, aby tłumili jej szlochy.

Spodziewał się, że Athena padnie twarzą na łóżko i pograży się w nieutulonym żalu. Tymczasem, wciąż chlipiąc, wyciągnęła z szafy walizkę, rozłożyła ją na łóżku i zaczęła bezładnie upychać w niej części garderoby, powyciągane z szuflad. Rupert dotychczas widział takie zachowanie tylko na filmach.

- Atheno... - zaczął.

- Muszę jechać do domu. Pociągiem, taksówką... wszystko jedno!

- Ależ...

- Ty tego nigdy nie zrozumiesz. Ciocia Lawinia należała do rodziny chyba od zawsze. Tato nie dzwoniłby do mnie aż tutaj, gdyby to nie było coś poważnego. Nie zniósłabym, jeśliby umarła, a mnie nie byłoby wtedy w domu!

- Słuchaj, Atheno...

- Muszę jechać już, w tej chwili! Bądź tak dobry i sprawdź rozkład jazdy pociągów z Perth albo skądinąd... Może uda się zdobyć miejsce w wagonie sypialnym? Boże, że też musiałam odjechać tak daleko od domu!

Po tym wybuchu poczuł się tak, jakby po części był (emu winien. Serce mu się krajało, gdy patrzył na jej rozpacz. Zdecydował więc:

- Odwiozę cię do domu.

Spodziewał się wybuchu entuzjastycznej wdzięczności skrapianej łzami, ale Athena jak zawsze go zaskoczyła. Zamiast się ucieszyć, wpadła w złość.

- Zwariowałeś? - wyrzucała z siebie gniewne słowa,

ściągnając przy tym rzeczy z wieszaków. - Twoje miejsce jest tutaj!

Rzuciła na łóżko jedną partię garderoby i idąc po następną, mówiła dalej:

- Przecież przyjechałeś tu, żeby polować na pardwy. Nie zrobisz panu Montague-Crichtonowi zawodu i nie pozbawisz go dobrego strzelca. To byłoby nieuprzejme!

Zwijiała właśnie w kłębek błękitną suknię wieczorową i upychała ją w róg walizki.

- Tak się tu świetnie czujesz... - dodała załamującym się głosem. - I wiem, że tak długo na to czeka...a...łeś...!

Wszystko to było prawdą, ale nie poprawiało jej nastroju, toteż Rupert wziął ją w ramiona i pozwolił się wypłakać. To, co zobaczył, stanowiło dla niego wstrząs, bo nie posądzał nigdy Atheny o taką siłę przeżywania i poczucie więzi rodzinnej. Dotąd - być może, celowo - ukrywała przed nim tę stronę swojej osobowości. Dopiero teraz Rupertowi wydało się, że poznał prawdziwe oblicze Atheny. Jego własna chusteczka do nosa była brudna, przepocona i poplamiona olejem do konserwacji broni. Podał więc Athenie ręcznik, aby mogła wytrzeć oczy i wysiąkać nos.

- Pojadę z tobą - powtórzył. - Przecież tak czy owak mieliśmy jechać do Kornwalii, więc najwyżej przyspieszymy nasz przyjazd. Wytlumaczę wszystko Montauge-Crichtonom i jestem pewien, że to zrozumieją. Muszę tylko wykapać się i przebrać, a tobie radzę zrobić to samo. Wyruszymy, gdy tylko będziemy gotowi.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki dobry.

- No cóż, czasem ludzie bywają dobrzy. Zabrzmiało to jak frazes, ale trafiło w samo sedno.

Gospodarze okazali się wyrozumiali i serdecznie współczuli Athenie. Ktoś uczynny wyprowadził z garażu samochód Ruperta pod same drzwi - ktoś inny wrzucił do bagażnika walizki obojga. Jamie zobowiązał się zadzwonić

do Nancherrow i zawiadomić ojca Atheny o ich wyjeździe. Pani Montague-Crichton przygotowała im na drogę kanapki i termos z gorącą herbatą. Wymieniono uprzejme słowa pożegnania i w końcu Rupert skierował wóz na drogę wiodącą do głównej szosy.

Athena już nie płakała, ale odprowadzając wzrokiem gościnnie dom Montague-Crichtonów, powiedziała ze smutkiem:

- Wiedziałam, że to za piękne, aby było prawdziwe. Ledwośmy przyjechali, a już musimy wyjeżdżać.
- Jeszcze tu wrócimy! - zapewnił, ale słowa te zabrzmiały jakoś nieszczerze, więc zostały bez odpowiedzi.

Przekroczyli tymczasem granicę między Szkocją i Anglią. Było już całkiem ciemno i Rupert czuł, że jeśli nie odpocznie, to zaraz zaśnie za kierownicą i oboje wylądują w rowie.

- Myślę, że powinniśmy gdzieś tu się zatrzymać i przenocować w hotelu. Jeśli teraz się prześpiemy, to o świcie będziemy mogli ruszyć w dalszą drogę i przy odrobinie szczęścia zajedziemy do Nancherrow jeszcze za dnia.

- Dobrze - zgodziła się od razu, bo wyglądała na bardzo zmęczoną.

Aby ją pocieszyć, spróbował zażartować.

- Bierzemy oddzielne pokoje?

Po chwili ciszy Athena zadała dziwne pytanie:

- Czy tego właśnie chcesz?

- Zaraz. - Aż go podrzuciło. - Myślałem, że to ty tego chcesz.

- Niekoniecznie - wymówiła bezbarwnym głosem, patrząc w przestrzeń rozjaśnioną przednimi światłami wozu. - Nie musisz mi się za nic odwdzięczać! - zastrzegł na wszelki wypadek.

- Nie myślę teraz o tobie, tylko o sobie.

- A czy ty jesteś pewna, że właśnie tego chcesz?

- Wiem tylko, że nie chciałabym teraz być sama.

- No więc przedstawiamy się jako państwo Smithowie.

- Niech będą państwo Smithowie.

Doszło więc do tego, że spędzili tę noc razem, w podwójnym małżeńskim łóżu. Rupert znalazł przy tym odpowiedź na nurtujące go pytanie, którego nigdy nie ośmieliłby się zadać. Przekonał się bowiem, że Athena, mimo swego - zdawałoby się - swobodnego trybu życia, gromady adoratorów i dwuznacznych wypadów do Paryża, była jeszcze dziewicą. To odkrycie przejęło go do głębi i uznał je za najcenniejszy dar, jaki mógł od niej otrzymać. Wiedział już, że nie wypuści z rąk tego skarbu do końca swoich dni.

To właśnie było źródłem jego obecnych rozterek moralnych. Próbował wmówić sobie, że Athena jest tylko jedną z jego licznych przygód miłosnych, ale dobrze wiedział, że okłamuje siebie. Tymczasem prawda była taka, że nie wyobrażał już sobie życia bez niej.

A więc stało się! Sam przed sobą zaakceptował fakt, że swoją przyszłość widział tylko u boku Atheny. Uświadomienie sobie tego sprawiło, że westchnął z ulgą.

- Coś taki smutny? - usłyszał głos za sobą. W oszklonych drzwiach stała roześmiana Athena. Miała na sobie kremową płócienną sukienkę bez rękawów, z szalikiem w kremowe i niebieskie cętki zamotanym wokół talii.

- Wyglądasz jak gwiazda filmowa - powiedział jej komplement. - Szukasz partnera do tenisa?

- A ty wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Nie, nie wstawaj, odpoczywaj sobie. - Wyszła na trawnik, wynosząc drugie krzesło dla siebie. - Co oznaczało to westchnienie? - indagowała, przysuwając się bliżej do Ruperta.

- To było raczej ziewnięcie - wykręcił się, ujmując jej rękę. - Dobrze spałaś?

- Jak zabita.

- Myśleliśmy, że wstaniesz dopiero na lunch.

- Obudziłam się, bo słońce świeciło mi w oczy.

- Jadłaś śniadanie?
 - Tylko napiłam się kawy.
 - Właściwie to ja tu przez cały czas siedzę i myślę.
 - To musi być strasznie męczące!
 - A myślę nad tym, że chyba powinniśmy się pobrać. Athenę na chwilę zatkało.
 - O Boże! - wykrztusiła wreszcie.
 - Czy to takie straszne?
 - Nie, tylko wystąpiłeś z tym w takim dziwnym momencie.
 - Dlaczego dziwnym?
 - No bo ciocia Lawinia najpierw umiera, a potem okazuje się, że nie umiera, my tu pędzimy ze Szkocji na złamanie karku, a tak właściwie to nikt nie wie, co się jeszcze może zdarzyć, poza tym, że wszyscy balansujemy teraz na krawędzi wojny.
- Po raz pierwszy Rupert usłyszał z ust Atheny poważny komentarz na temat aktualnej sytuacji w Europie. Dotychczas uważał ją raczej za trzpiotkę, toteż nie rozmawiał z nią nigdy na takie tematy, nie chcąc psuć tego pierwszego wrażenia. Zapytał więc tylko:
- Czy to cię przeraża?
 - To mnie przejmuje dreszczem do szpiku kości! Nie cierpię tego ciągłego wsłuchiwania się w wiadomości i czekania na najgorsze. To coś takiego jak przesypywanie piasku w klepsydrze.
 - Jeśli to może być jakaś pociecha, pomyśl, że wszystkich nas to dotknie.
 - Dlatego najbardziej się boję o ludzi takich jak tatuś. Mama mówi, że on rozpacza, choć nie daje tego poznać po sobie. Już raz to przeżył, więc drży nie o siebie, ale o innych, szczególnie o Edwarda.
 - Czy to wojna jest powodem, że nie chcesz wyjść za mnie?
 - Wcale nie powiedziałam, że nie chcę.
 - A widzisz się w roli żony zawodowego oficera?

- Jeszcze nie całkiem, ale to nie znaczy, że nie podoba mi się ta wizja.
 - Ale wiesz, że w razie czego będę musiał się stawić na każde wezwanie?
 - Myślę, że ciebie nie trzeba byłoby dwa razy wzywać.
 - To prawda, dlatego oprócz wielu lat rozłąki nie mam ci dużo do zaoferowania. Jeśli uważasz, że nie dasz sobie z tym rady, zrozumieć to.
 - Z tym to sobie lekko dam radę! - stwierdziła z pewnością siebie.
 - Cóż więc cię trapi?
 - Różne głupstwa, których na pewno nie traktujesz poważnie.
 - Jakże to głupstwa?
 - No, na przykład... Nie chciałabym być nieuprzejma, ale nie wydaje mi się, abym pasowała zbyt dobrze do twojej rodziny. Przyznaj, że nie zrobiłam na niej dodatniego wrażenia.
 - Moja matka wie, czego chce, ale nie jest głupia. Potrafi dostosować się do każdej sytuacji. Zanim odziedziczę Taddington, upłynie jeszcze sporo czasu, a ja wprowadzę szanuję swoich rodziców, ale się ich nie boję.
 - Czy sądzisz, że jesteś na tyle odważny, aby się im przeciwstawić?
 - Wiem tylko, że mam zamiar ożenić się z kobietą, którą kocham, a nie z przyszłą posłanką partii konserwatywnej czy mastrem konnych polowań z psami.
- To porównanie rozśmieszyło ją, dzięki czemu stała się znów tą Atheną, którą kochał. Objął ją ramieniem, przygarnął do siebie i pocałował.
- Dokończyła rozpoczętą przez niego myśl:
- Nie należę do żadnej z tych kategorii.
 - No więc jedno z tych głupstw mamy z głowy. Jakże są te inne?
 - A nie będziesz się śmiał?
 - Przyrzekam.

- Chodzi o to, że tak naprawdę nie chciałam nigdy brać ślubu.
- Brać ślubu czy wyjść za mąż?
- Chodzi mi głównie o te wszystkie uroczystości. Ślub, wesele i tak dalej. Byłam już na wielu ślubach i zawsze wydawało mi się to ciężką katorgą dla panny młodej.
- Coś takiego! Przysięgnęłbym, że każda dziewczyna tylko o tym marzy!
- Może każda, ale nie ja. Wszystkie śluby, w których uczestniczyłam, czy to jako drużna, czy tylko jako gość, były mniej więcej takie same. Jeśli czymś się różniły, to tylko wystawnością i ekstrawagancją, jakby obu stronom zależało, żeby zamienić całą imprezę w kosztowne przedstawienie. Przygotowania ciągną się w nieskończoność, stare ciotki prześcigają się w pikantnych aluzjach na temat miodowego miesiąca, a najbardziej antypatyczna kuzynka zostaje drużną. Młodzi otrzymują masę niepotrzebnych prezentów i muszą wysyłać nieszczerze listy z podziękowaniami. Aż się dziwię, że jeszcze komukolwiek chce się żenić...

Rupert czekał cierpliwie, aż Athena wyrzuci z siebie wszystko, co ma na języku. Po dłuższej chwili ciszy dodała jeszcze:

- To są właśnie te głupstwa.
- Nie widzę w tym nic głupiego - sprostował Rupert. -Widzę tylko, że koncentrujesz się na nieistotnych szczegółach, podczas gdy w grę wchodzi całe życie. Myślę, że w obecnej sytuacji międzynarodowej śmiało możemy zrezygnować z tradycji.
- Tak, ale moja matka nie będzie w stanie tego zrozumieć.
- Myślę, że zrozumie, ponieważ cię kocha. A co do ślubu, to właściwie oprócz nas dwojga nikt nie będzie potrzebny.
- Naprawdę tak myślisz?
- A pewnie!

Podniosła jego dłoń i przycisnęła ją do ust. W tym momencie Rupert zauważył, że jej oczy znów są pełne łez.

- Wiem, że nie powinnam teraz płakać - usprawiedliwiała się. - Rzecz w tym, że nigdy nie przypuszczałam, że do tego dojdzie. Że będę miała w tobie równocześnie przyjaciela i kochanka. Z tym że przyjaźń jest ważniejsza, bo trwa dłużej.

- Słusznie - stwierdził Rupert, usiłując zachować możliwie najspokojniejsze brzmienie głosu. Jej łzy obudziły w nim uczucia opiekuńcze. - To właśnie jest najważniejsze.

- Masz chusteczkę do nosa?

Miał akurat czystą, więc podał jej, aby wytarła nos.

- Która godzina? - spytała jeszcze.

- Około dwunastej.

- Mógłby już być lunch. Taka jestem głodna!

W ostatni dzień pobytu w Porthkerris Judyta wybrała się w odwiedzinach do Phyllis. Zdecydowała się na to tak późno nie dlatego, że nie chciała jej odwiedzić, czy też uważała to za ciężki obowiązek, ale w tych dniach tyle się działo, że ani się spostrzegła, kiedy minęły. Było też trudno porozumieć się z Phyllis, a wymiana listów zajęła trochę czasu. Judyta wysłała widokówkę, na której proponowała do wyboru dwa terminy spotkania. Phyllis w końcu odpowiedziała na kartce papieru wyrwanej z notesu. *Przyjedź w sobotę koło trzeciej, to napijem się herbaty. Mieszkamy mile za Pendeen, tam są takie domki na lewo od szosy. Nasz ma numer dwa. Cyryl w sobotę jak raz ma szychę, ale my z Anio będziemy w domu.*

Calójemy

Phyllis

Wyszło więc, że odwiedzi Phyllis w sobotę.

- To mój ostatni dzień u was! - uskarżała się przed Heather. - Szkoda, że nie załatwiłyśmy tego wcześniej.

- Nic nie szkodzi. Akurat tak się składa, że mama wybiera się do Penzance kupić sobie nowy kapelusz. Muszę pojechać z nią, żeby nie kupiła czegoś, w czym będzie wyglądała jak czupiradło. Za to wieczorem poprosimy Joego, żeby poszedł z nami na dancing.

Stało więc na tym, że w sobotnie popołudnie Judyta wyjechała z Porthkerris drogą prowadzącą w kierunku zachodniego cypla Kornwalii. Minęła swoją dawną szkołę, osiedle tarasowo ustawionych domków, port i skrzyżowanie głównych dróg... Pogoda utrzymywała się piękna, ale od morza wiał ostry wiatr, a na falach wzdymały się białe grzywy. Kiedy na pierwszym biegu dotarła na szczyt wzniesienia, ujrzała stamtąd widok, który kusił, aby zjechać na pobocze szosy, wyjść z samochodu i napatrzeć się do syta. Nie mogła jednak tracić czasu, bo przecież Phyllis na nią czekała.

Nietrudno było trafić za wskazówkami Phyllis. Za Pendeen i kopalnią Geevor, w której pracował Cyryl, krajobraz zmienił się diametralnie. Skończyły się małe gospodarstwa rolne z zielonymi pastwiskami grodzonymi kamiennymi murkami. Nie rosły tu nawet drzewa.

Osiedle mieszkaniowe pracowników kopalni rozciągało się właściwie w szczerym polu.

Przypominało kupkę rozrzuconych beładnie klocków, z których każdy miał jedno okno na piętrze i jedno na parterze, dach z szarego łupku i miniaturowy ogródek oddzielony od szosy kamiennym murem. Przed domkiem numer dwa rosło trochę trawy i bratków, ale tłumyły je chwasty.

Judyta wysiadła z samochodu, biorąc ze sobą bukiet kwiatów i drobne upominki dla Phyllis. Minęła koślawą furtkę, ale nie przeszła jeszcze połowy drogi do domku, gdy wybiegła jej naprzeciw Phyllis z małą Anią na ręku.

- Wyglądałam cię z okna, myślałam, że nie możesz trafić! - Nie dowierającym wzrokiem zmierzyła samochód Judyty. - To naprawdę twój wózek? Nie przypuszczałam, że masz taką nówkę...!

Phyllis zmieniła się od czasu, gdy widziały się po raz ostatni. Nie żeby się postarzała, ale znacznie schudła. Spódnica i robiony na drutach sweter wisiały na niej, jakby donaszała je po kimś znacznie cięższym, a włosy miała przesuszone jak siano. Tylko uśmiech pozostał taki jak dawniej, a w oczach błyszczało podniecenie.

Na powitanie uściśniły się serdecznie, tak jak żegnały się przed laty. Tyle że wtedy przeszkadzała im Jess, a teraz mała Ania patrzyła na nie z wyraźną dezaprobatą.

- Cześć, Aniu! - zaśmiała się Judyta. - Ona patrzy na nas takim wzrokiem, jakbyśmy robiły coś złego. Ile ona już ma?

- Osiem miesięcy.

- Ale tłuściutka!

- A jaka uparta! Chodźmy do środka, bo wieje jak diabli i niemusowo tak sterczeć na oczach wszystkich.

Poszła pierwsza, a Judyta w ślad za nią. Weszły do małej izby, która najwidoczniej spełniała tu wiele funkcji użytkowych. Panował w niej półmrok, ale piec kaflowy zapewniał ciepło, a jeden koniec stołu był już nakryty do podwieczorku.

- Przywiozłam ci kilka drobiazgów... - zaczęła Judyta, wyładowując swoje paczuszki.

- Ależ naprawdę nie musiałaś się trudzić...

Wbrew tym słowom w oczach Phyllis błyszczało radosne oczekiwanie.

- Posiedź tu trochę, a ja nastawię wodę na herbatę. Przy tej czynności trzymała dziecko na rękę, a gdy usiadła - posadziła sobie małą Anię na kolanach. Dziewczynka wpakowała sobie łyżeczkę do buzi, śliniąc się przy tym obficie.

- Ząbki jej rosną, biedactwu - wyjaśniła Phyllis.

- Może byśmy najpierw wstawiły te kwiaty do wody? - zaproponowała Judyta.

- Chryste Panie, róże! Wiesz, ile lat jużem nie widziała

róż, a jeszcze takich? I jak one pachną! Tylko w co ja ich wstawię, skoro nie mam ani jednego flakona?

- Może masz przynajmniej jakiś dzbanek albo słoik po dżemie?

- W kredensie powinien być słoik po ogórkach - przypomniała sobie Phyllis, delikatnie odwijając z bibułki pączki róż na długich łydych. - A kran jest w pralni, tam od tyłu. Boże, ależ one są cudne! Jużem zapomniała, że może być coś tak pięknego!

Judyta znalazła w kredensie słoik i wyszła z nim przez tylne drzwi, a potem po dwóch schodkach w dół do pralni. Była to przybudówka z oddzielnym zadaszaniem, doklejona do tylnej ściany dwuizbowego domku, z kafelkową posadzką, wewnątrz pobielona łuszczącym się wapnem. Pachniało tam mydłem do prania i mokrym drewnem kratki ściekowej, czuło się chłód i wilgoć. W rogu rozpiekał się potężnych rozmiarów kocioł do gotowania bielizny, a przy ścianie - kamionkowy zlew, pod którym tkwiła blaszana dziecięca wanienska. Nad zlewem zainstalowano kran na zimną wodę. Drewniane schodki prowadziły do pokoju na piętrze, w którym prawdopodobnie spało także dziecko. Tylne drzwi pralni, do połowy oszklone i nieszczelne, źródło wiecznych przeciągów, wychodziły na wybetonowane podwórze. Suszyły się tam na sznurze pieluszki i odzież robocza, stał rozklekotany wózek, a w przeciwległym końcu - koślawy budynek ustępu.

W tej ponurej i zimnej pralni Phyllis najprawdopodobniej spędzała większą część dnia. Aby zrobić pranie -musiała rozpalać pod kotłem, aby pozmywać - przynosiła z kuchni do zlewu zarówno brudne naczynia, jak i nagrzaną wodę. Nic dziwnego, że tak schudła, skoro proste prace domowe pochłaniały tyle energii. Judyta stwierdziła z goryczą, że chyba tylko mężczyzna mógł zaprojektować taki dom, w ogóle nie myśląc o kobiecie, która ma w tych warunkach prowadzić gospodarstwo.

- Co ty tam robisz! - krzyczała Phyllis przez drzwi. -Już się nie mogę ciebie doczekać!

- Idę, idę!

Napełniła słoik wodą z jedyne go kranu i wróciła do pokoju, zamykając starannie drzwi za sobą.

- Zimno i ponuro w tej pralni, co? - pytała Phyllis. -A w zimie tam jest zupełna lodownia, dopóki się nie napali pod kotłem.

Mówiła o tym zupełnie zwyczajnie, nawet wesoło, jakby nie widziała nic niewłaściwego w tak prymitywnych warunkach bytowania. Z namaszczeniem ustawiła róże w słoiku i usiadła, ciesząc oczy ich widokiem.

- Z takimi kwiatami wszystko od razu wygląda inaczej! - wyraziła swój zachwyt.

- Zobacz, co ci jeszcze przywiozłam.

Phyllis ostrożnie rozplątała sznurek i odwinęła papier, odkładając jedno i drugie na bok, bo przecież mogą się jeszcze przydać.

- O raj, lawendowe mydło Yardleya! Takusieńkie jak u twojej mamusi! Schowam go do szuflady między bielizną i będę używała tylko od święta! A tu co jest takiego?

- To dla Ani.

- Boże, jaki śliczny malutki płaszczyk! - Phyllis wyjęła podarunek i rozwinęła przed oczami. -

Biedactwo, prawie nie ma żadnych nowych rzeczy, zawsze kupowałam jej same używane ciuchy.

Popatrz, Aniu, co ci pani przywiozła! Takie to ciepłe i mięciutkie! Jak pojedziesz w nim w niedzielę do babci, będziesz wyglądała jak mała królowna!

- A to czekoladki dla Cyryla. Myślałam także o papierosach, ale nie byłam pewna, czy on pali.

- Nie, on nie pali, bo mu szkodzi na płuca. Czasem strasznie kaszle, pewnie od tej roboty w kopalni.

Najwyżej od czasu do czasu wypije kufel piwa.

- Ale poza tym jest zdrowy?

- Pewnie, nic mu nie brakuje. Szkoda, że go dziś nie

ma. Nigdy go nie widziałaś, nawet wtedy, kiedym jeszcze u was służyła.

- To nic, kiedyś chętnie go poznam.

- Nawet i lepiej, że go nie ma w domu. Możemy przynajmniej nagadać się do syta. - Mówiąc to, odwijała z papieru ostatnią paczkę. - Cyryl przepada za czekoladkami. Popatrz, Anusiu, jakie piękne pudełeczko ze wstążeczką... A na nim piesek i kotek w koszyczku... To naprawdę śliczne, Judyto. Jesteś taka kochana!

Oprócz radości w jej oczach błysnęły także łzy. Judycie zrobiło się trochę przykro - w końcu przyniosła jej same drobiazgi, a to wystarczyło, żeby Phyllis aż płakała z zachwytu!

- Chyba woda się gotuje - zauważyła, żeby zmienić temat.

- Faktycznie - zgodziła się Phyllis. Wzięła na ręce małą Anię i wstała, aby zaparzyć herbatę.

Przez ostatnie lata Judyta wymieniała z Phyllis tylko listy i kartki z życzeniami świątecznymi, toteż miały teraz ze sobą dużo do pogadania. Dla Phyllis najważniejszym wydarzeniem stał się fakt, że Judyta, mając dopiero osiemnaście lat, już weszła w posiadanie samochodu; mało tego - nauczyła się go prowadzić! Dla niej było to niepojęte, wydawało się prawie cudem.

- Jakżeś ty na to się wyrobiła? - zastanawiała się głośno. Phyllis używała zwrotu „wyrobić się” w znaczeniu

„mieć pieniądze na coś”. I tak mawiała na przykład: „Nie mogę wyrobić się na nową sukienkę” albo „Nie wyrobimy się w tym roku na wakacje”.

Judyta wahała się, co ma odpowiedzieć, gdyż wydawało się jej wysoce niewłaściwe mówić o pieniądzach w tym ubogim domku. Widać było, że niewiele dałoby się tu zaoszczędzić. Czowała jednak, że musi wyrzucić z siebie to, czego nie dało się opisać w liście. Ta sama treść zapisana czarno na białym brzmiała jakoś inaczej - jak zwyk-

łe przechwałki. Pamiętała jednak, że za czasów Riverview Phyllis była jej najbardziej zaufaną powiernicą, toteż i dziś nie chciała, aby między nimi powstały jakieś niedomówienia.

- Zawdzięczam to cioci Luizie - wydusiła w końcu. - Nie pisałam o tym, bo chciałam ci to sama powiedzieć. Widzisz, po tym, jak zginęła w wypadku, okazało się, że zapisała mi swój dom i cały majątek.

- Chryste! - Phyllis rozdziawiła usta jak wrota. - A ja myślałam, że takie rzeczy się zdarzają tylko w romansach!

- Sama nie mogłam od razu w to uwierzyć. Potrzebowałam lat, żeby się przyzwycząić do tej myśli. Oczywiście nie mogę swobodnie rozporządzać tym majątkiem, zanim nie ukończę dwudziestu jeden lat. Na razie zarządza nim adwokat, pan Baines, i wujek Bob Somerville, którzy wydzielają mi z tego pieniądze na bieżące potrzeby.

- Tak się cieszę! - Phyllis aż pokraśniała.

- Jesteś taka dobra, a mnie aż głupio...

- Niby dlaczego ma ci być głupio? Przecież to pani Forrester chciała, żebyś miała te pieniądze. Już ona nie była głupia, wiedziała, co robi! Zawsze mówiłam, że to dobra pani, choć się czasem dziwnie zachowywała. I chwała Bogu, że to się tobie dostało, bo jesteś porządna dziewczyna. - Phyllis aż potrząsnęła głową z podziwu. - Pomyśleć, jakie to wszystko dziwne! Dziś masz raptem sześć pensów na drobne wydatki, a jutro już własny samochód. Dobrze chociaż, że nie boisz się go prowadzić. Pamiętasz, jak twoja mamusia panikowała, kiedy musiała poprowadzić tego małego austina? Co prawda, to miała czego się bać, jeżeli się pomyśli, jak skończyła pani Forrester. Kiedy jej wóz się palił, ogień było widać na mile. Nie mogłam uwierzyć, kiedy przeczytała o tym w gazecie. W West Penwith każde dziecko wiedziało, że ona zawsze jeździła jak wariatka, ale czy to mogło coś zmienić?

- To nic nie zmieni - przyznała Judyta.

- Martwiłam się wtedy o ciebie - wspominała dalej Phyllis. - Ale zaraz przypomniałam sobie, że przecież jest jeszcze pani Somerville. Chyba cię jeszcze nie spytałam o nią, prawda? Co ona porabia? To taka miła pani, zawsze potrafiła każdego rozśmieszyć i nigdy nie zadzierała nosa. Lubiłam, kiedy przyjeżdżała do Riverview.

- Z tego, co wiem, ciocia Biddy ma się dobrze. Moi dziadkowie oboje już umarli, jedno po drugim. Mamie i cioci było smutno, ale trochę też im ulżyło, bo ciocia Biddy musiała ciągle zaglądać na plebanię, żeby sprawdzać, czy nie pomarli z głodu lub coś w tym rodzaju.

- Żebyś wiedziała, że starość to coś okropnego. Mam teraz problem z moją babcią, bo mieszka sama. Czasem zajdę do niej, a tam nie ma nic do zjedzenia, tylko babcia siedzi z kotem na kolanach. Albo jej się nie chce sobie ugotować, albo zapomina... Mogę sobie wyobrazić, co twoja ciocia teraz czuje.

- Teraz przeprowadzili się z wujkiem do ślicznego domku, blisko Bovey Tracey. Kilka razy u nich byłam, ale przeważnie mieszkam w Nancherrow, u Carey-Lewisów. Jutro też do nich wracam. Mówiąc o tym, nie umiała ukryć zadowolenia. Podświadomie czuła, że się uśmiecha na samą myśl o Edwardzie. Nie tęskniła specjalnie za nim ani nie była zakochana do szaleństwa, ale gdy przypadkowo przyszedł jej na myśl lub ktoś wspomniał o nim w rozmowie - drżała ze szczęścia. Doszła do wniosku, że szczęśliwym jest się wtedy, kiedy będąc z dala od kochanej osoby ma się świadomość, że się ją wkrótce zobaczy.

- Świetnie, bo to tak, jakbyś miała tam drugi dom. Kiedy napisałaś mi, że zostajesz u nich, od razu przestałam się martwić. I jeszcze spotkałaś tam tego młodego człowieka...

- Niby kogo miałam spotkać?

- Wiesz kogo. Samaś mi napisała, że ten facet, którego

poznałaś w pociągu z Plymouth, pokazał się u tych Ca-rey-Lewisów.

- Aha, Jeremy Wells! - Judycie dopiero teraz zaświtało w głowie.

- No, ten młody doktor. Kręci się koło ciebie, co?

- Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego. Owszem, czasem się tam pojawia, ale przeważnie jest tak zajęty, że nie ma kiedy pogadać, zwłaszcza odkąd zaczął prowadzić praktykę wspólnie z ojcem. Czasem go nawet zastępuje, na przykład kiedy na Wielkanoc miałam gripę, bardzo troskliwie się mną opiekował.

- To już na niego nie lecisz? Wtedy, w pociągu, chyba ci się podobał.

- To było dawno. Przecież on jest ode mnie dużo starszy, ma dobrze po trzydziestce.

Nie zrażona tym Phyllis miała ochotę kontynuować temat życia uczuciowego Judyty. Ta jednak nie chciała, nawet z nią, rozmawiać o Edwardzie. Spróbowała więc zvekslować rozmowę na bardziej przyziemne tory, w czym dopomogła jej mała Ania.

- Popatrz, ona już zasypia - zauważyła.

I rzeczywiście, mała po wypiciu kubka mleka i spałaszowaniu pajdy chleba z masłem wsadziła wielki palec do buzi. Oczka już zaczynały się jej kleić, a długie rzęsy leżały na różowych policzkach...

Phyllis zniżyła głos do szeptu.

- Nie spała jeszcze od rana. Pójdę położyć ją do wó-zeczka.

Wzięła małą na ręce, przemawiając do niej czule:

- Teraz mamusia położy dzidziusia lulu... A niedługo przyjdzie tatuś...

Judyta została sama, podczas gdy na dworze wiatr rozszalał się na dobre, łomocąc źle dopasowanym oknem. Trzymając w ręku filiżankę herbaty, rozejrzała się i stwierdziła, że bieda wypełza tu ze wszystkich kątów. Linoleum na podłodze było wprawdzie wyszorowane do czysta, ale '

popękane i wytarte. Przed kominkiem leżał sprany szmaciany dywanik, a z dziury w spłowiałym pluszowym obiciu jedyne fotela wyłaziło końskie włosie. Nie było tu radia, telefonu ani obrazków na ścianach. To ascetyczne wnętrze ożywiały tylko kalendarz przypięty do ściany pinezką, mosiężne gałki pieca i takiż ekran przed kominkiem. Judyta przypominała sobie, że jeszcze w Riverview Phyllis szydełkowała serwetki do swojej wyprawy. Zastanawiała się, gdzie one się podziały. Może w sypialni?

Akurat wróciła Phyllis. Na dźwięk zamykanych drzwi Judyta spojrzała w jej stronę.

- Co tam u małej? - spytała.

- Śpi jak aniołek.

Phyllis dołączyła herbaty do filiżanek i rozsiadła się wygodnie.

- Najlepsze zostawiłam na deser - oświadczyła. - Teraz opowiedz mi, co słyhać u twojej mamy i Jess. Na szczęście Judyta miała ze sobą ostatni list z Singapuru i plik zdjęć porobionych tam przez ojca.

- Popatrz, to jest nasz dom w Singapurze... a to Jess i nasz chiński ogrodnik...

- Ależ ona urosła!

- A to przyjęcie w klubie krykietowym. Prawda, że mama ślicznie wygląda? Tu wszyscy pływają, a tam mama gra w tenisa. Często grywa wieczorami, kiedy już jest chłodniej...

- Jak tam musi być cudownie! - rozmarzyła się Phyllis, przerzucając ponownie zdjęcia.

- A pamiętasz, jak mama strasznie nie chciała tam jechać? Teraz już jej się podoba. Tam się ciągle coś dzieje, różne przyjęcia na okrętach albo w koszarach. Tyle że w Singapurze jest jeszcze bardziej gorąco i wilgotno niż w Kolombo, ale mama chyba już do tego przywykła.

- No, teraz skończyłaś szkołę i jedziesz do nich. Kiedy wsiadasz na statek?

- Mam już wykupiony bilet na październik.

- To niedużo ci czasu zostało. Na jak długo jedziesz?
 - Na rok, a potem, jak Bóg da, wstąpię na uniwersytet. Tylko że teraz to już nic nie wiadomo...
 - Nie rozumiem. Jak to nie wiadomo?
 - No bo jeżeli wybuchnie wojna...
 - Niby w czym ten drań Hitler miałby ci przeszkodzić?
 - Wystarczy, że na przykład wszystkie statki zostaną zarekwirowane dla wojska.
 - Miejmy nadzieję, że jakieś będą pływać, wszystko jedno, musisz jechać. Tyle na to czekałaś... - Phyllis umilkła na chwilę, potrząsając w zadumie głową. - Boże, jakie ciężkie czasy nastały! Dzisiaj nie ma nic pewnego. Kto wie, co temu Hitlerowi do łba strzeli. Ciągle mu mało. Nie mógłby zostawić ludzi w spokoju? I co mu zawinili ci biedni Żydzi? Tacy sami ludzie jak wszyscy. I przez to trzeba wywracać cały świat do góry nogami i rozdzielać rodziny?...
- W jej głosie zabrzmiała rozpacz, więc Judyta poczuła się w obowiązku ją pocieszyć.
- Ciebie to w każdym razie nie dotyczy. Cyryla nie powołają do wojska, bo górnictwo jest dla państwa działem o dużym znaczeniu strategicznym. Na pewno będzie nadal pracował w Geevor.
 - Akurat! - parsknęła Phyllis. - Byleby wybuchła wojna, dawno już postanowił zaciągnąć się do marynarki.
 - Jak to, nie musi, a zaciągnie się na ochotnika?
 - Rzecz w tym - wyjaśniła jej Phyllis - że Cyryl ma już po dziurki w nosie tej harówki w kopalni. Jego ojciec całe życie fedrował, ale on nigdy nie chciał zostać górnikiem. Zawsze marzyło mu się morze, flota handlowa lub coś w tym rodzaju... Ale oczywiście jego ojciec nie chciał o tym słyszeć, więc Cyryl ledwo skończył podstawówkę, poszedł do kopalni, i tyle!
- Judycie było żal Phyllis, ale trochę współczuła także Cyrylowi. Cóż to za koszmar być zmuszonym do pracy pod ziemią wbrew swojej woli! Z drugiej strony jednak,

jako mąż i ojciec rodziny, powinien czuć się za nią odpowiedzialny.

- Uważasz, że skorzysta z okazji, gdy wybuchnie wojna?

- Chyba tak.

- A co wtedy będzie z tobą i dzieckiem?

- Nie wiem. Jakoś damy sobie radę.

A więc nowy powód do niepokoju! Na usta cisnęło się jej wiele pytań, ale jedno było najważniejsze.

- Do kogo należy ten dom?

- Do zarządu kopalni. Cyryłowi obiecali to mieszkanie pod warunkiem, że się ożeni. Inaczej do tej pory chodzilibyśmy ze sobą. Nie mieliśmy nawet co tam postawić, dobrze, że moja mamusia dała nam łóżko, a babcia Cyryła stół i krzesła.

- Czy płacicie za to jakiś czynsz?

- Nie, bo to jest mieszkanie służbowe.

- To znaczy, że musiałabyś je opuścić, gdyby Cyrył porzucił pracę?

- Pewnie, że nie dadzą mi tu mieszkać samej. Wtedy będą potrzebowali tej chałupy dla innego pracownika. - I co poczniesz ze sobą? - Ano będę musiała wrócić do mamy.

- Ależ tam jest strasznie ciasno!

- Jakoś się pomieścimy.

- Czy ten twój Cyryl wie, co robi?

- Próbowałam go przekonywać, prosiłam, żeby postawił się na moim miejscu, ale on zawsze był uparty. Czasem nawet myślę, że modlił się, aby wybuchła jakaś wojna.

- No wiesz! Na pewno po prostu nie zdaje sobie sprawy, że morze to nie tylko przygoda, lecz także torpedy, bomby i łodzie podwodne.

- Mówiłam mu to samo, ale czy można zatrzymać mężczyznę, który chce walczyć za swój kraj? Czy można mu zabronić tego, o czym marzył całe życie?

- Tak, ale dlaczego on nie pomyśli także o tym, czego ty byś chciała?

- Wiesz, czasem myślę o tym, czego bym naprawdę chciała. Żeby tak mieszkać w jakimś ładnym miejscu, gdzie jest dużo kwiatów i prawdziwa łazienka! Chyba przewróciło mi się w głowie, jakem służyła u was w Riverview. Wtedy pierwszy raz w życiu widziałam łazienkę, gdzie ciepła woda leci prosto z kranu, a to mydło, którego używała twoja mama, tak pięknie pachniało! I wszędzie tyle kwiatów! Pamiętasz te pikniki na trawie? Tu nawet kwiatek nie urośnie, tylko na okrągło dują wiatry. Próbowałam nasadzić bratków, ale one potrzebują więcej słońca. Nie narzekam, wiem, że mogłoby być gorzej, a tu przynajmniej mamy dach nad głową... Ale co szkodzi pomarzyć?

- Pewnie, że nic nie szkodzi - zgodziła się Judyta. Rozmowa się urwała, bo już nie było o czym więcej rozmawiać. Temat, który poruszyły, był zbyt przygnębiający. Dopiero Phyllis przerwała ponurą ciszę.

- Co tak siedzimy i dumamy jak na pogrzebie?! - wykrzyknęła ze śmiechem.

Judyta przypomniała sobie, że Phyllis zawsze umiała podejść do wszystkiego z humorem.

- Jak to mawiała twoja mama? - próbowała obrócić problem w żart. - Jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było?

- A co będzie, to będzie! - zawtórowała jej Phyllis, zaglądając do czajniczka z esencją. - Pfe, same zimne fusy. Nastawię jeszcze raz wodę i zaparzę świeżą herbatę.

Było już dosyć późno, kiedy Judyta ostatecznie pożegnała się z Phyllis i ruszyła w drogę powrotną. Tymczasem nad morza nadciągnęły chmury, przynosząc w głąb ładu mżawkę rozpyloną w powietrzu jak mgiełka. Phyllis musiała zbudzić małą Anię, śpiącą w wózku na dworze, i przynieść ją pod dach. Otworzyła nawet drzwiczki pieca, aby zabawić dziecko widokiem tańczących płomieni. Teraz, już w drodze, Judyta musiała włączyć wycieraczki, a powierzchnia szosy była ołowianoszara i mokra. Już

ten widok był dostatecznie przygnębiający, a do tego doszedł jeszcze niepokój o przyszłość Phyllis. W listach od niej sytuacja przedstawiała się różowo. Phyllis donosiła, że zamierzają się pobrać z Cyrylem, potem, że mają już dom, a wreszcie, że spodziewa się dziecka... Wydawało się więc, że ma to, czego chciała i na co w pełni zasłużyła. Tymczasem konfrontacja z rzeczywistością przyniosła bolesne rozczarowanie. Ciężko było Judycie zostawiać Phyllis samą w tym ubogim, nieprzytulnym domku w szczerym polu. Kiedy już się pożegnały i Judyta wykręciła wóz w stronę szosy - Phyllis z dzieckiem długo jeszcze stała w otwartych drzwiach domku, machając jej ręką. W lusterku wstecznym widać było ich malejące figurki, aż całkiem znikły z pola widzenia.

Judyta uważała, że stała się tu wielka niesprawiedliwość. Przypominała sobie, że w Riverview wszyscy kochali Phyllis i traktowali ją jak członka rodziny. Pewnie dlatego tak chętnie pracowała u nich do samego końca i nigdy nie okazywała złego humoru, a w jej kuchni panowała zawsze ciepła, przytulna atmosfera. Ile to razy chodziła z Phyllis na spacer i uczyła się od niej nazw leśnych kwiatów, które potem ustawiały w słoiku na kuchennym stole! Jak świeżo i wdzięcznie wyglądała Phyllis w nakrochmalonym biało-różowym fartuszkach, kiedy uganiała się po schodach za Jess lub wносиła tacę z podwieczorkiem pod drzewo morwowe na środku trawnika. Pachniało od niej perfumowanym talkiem, którego używała, a włosy miała zawsze puszyste po niedawnym myciu. Teraz jednak za późno już było na sentymenty. W końcu Phyllis, jako córka górnik, wiedziała, co ją czeka, kiedy decydowała się wyjść za Cyryla. Sama wybrała sobie takiego męża i czekała na niego długie lata... Mieli co jeść, a ich dziecko było takie urocze... A jednak wszystko to wydawało się jakoś niesprawiedliwe!

Judyta nie mogła zrozumieć, czemu Phyllis, tylko dlatego, że jest żoną górnik, musi wychowywać swoje dziec-

ko w tak strasznych warunkach. Dlaczego nie mogłaby mieć tak miłego domku jak Warrenowie? Czy górnicy są w czymś gorsi od właścicieli sklepów spożywczych? Wydawałoby się, że ludzie wykonujący tak ciężką i niebezpieczną pracę pod ziemią powinni być wynagradzani lepiej niż ci, których zajęcia są lżejsze i przyjemniejsze. I jak to możliwe, żeby niektórzy byli tak bogaci i uprzywilejowani jak Carey-Lewisowie, a taka miła i serdeczna dziewczyna jak Phyllis musi grzać na kuchni wodę do zmywania naczyń i chodzić do ustępu na drugi koniec podwórza?

A gdyby wybuchła wojna, Cyryl natychmiast zaciągnie się na ochotnika do marynarki, pozostawiając Phyllis razem z dzieckiem na łasce losu. Nie robi tego bynajmniej z pobudek patriotycznych, tylko po to, aby uciec na morze od znenawidzonej harówki w kopalni cyny. Przypuszczalnie tysiące młodych ludzi w całym kraju czuło obecnie to samo, choćby przedtem wyjeżdżali ze swoich rodzinnych wiosek tylko w niedzielę do kościoła lub na lokalne zawody w rzutach lotkami do tarczy.

Właściwie dopiero wynalazek roweru zrewolucjonizował styl życia angielskiej prowincji. Dzięki niemu wiejscy chłopcy mogli jeździć w konkury do dziewcząt z dalej położonych wiosek, co zapobiegało zacieśnianiu więzów pokrewieństwa w obrębie izolowanych społeczności. Jeśli więc zwykły rower mógł dokonać takiego wyłomu w tradycyjnej obyczajowości, to co dopiero współczesna, totalna wojna! Judyta była obecnie w takim nastroju, że nie uważałaby tego za najgorsze, ale przerażała ją wizja powszechnej mobilizacji, bombardowania czy ataków gazowych. Jaki los czeka więc Phyllis? Wyrzucą ją z domu na bruk i wraz z małą Anią będzie musiała wracać do matki. Młoda mężatka bez własnego gospodarstwa - jakie to poniżające! I pomyśleć, że tak mało było jej potrzebne do szczęścia - tylko „jakieś ładne miejsce, dużo kwiatów i prawdziwa łazienka!”

Gdyby choć można było jej w czymś pomóc! Najgorsze, że cokolwiek próbowałyby zrobić dla Phyllis - byłoby to mieszaniną się w nie swoje sprawy. Mogła sobie pozwolić jedynie na to, aby utrzymywać z nią ścisły kontakt i w razie czego być pod ręką.

Judyta zajechała pod sklep Warrena w Porthkerris, kiedy zegar na wieży kościelnej wybił piątą po południu. Sklep pozostawał jeszcze otwarty, gdyż w soboty ruch w interesie był największy - klienci jeszcze w ostatniej chwili przypominali sobie o zakupach na niedzielę. Tego popołudnia przed ladą stało w kolejce sześcioro klientów, a za ladą uwijała się Heather. Wskazywało to na niecodzienną sytuację, gdyż Heather rzadko pomagała w sklepie - chyba że wydarzyło się coś naprawdę wyjątkowego.

- Pani życzy sobie pół funta cukru?
- Nie, funt. I nie w kostkach, tylko kryształ.
- Przepraszam!

Sięgając na półkę po inną torebkę, Heather napotkała wzrok Judyty i wzniosła oczy w górę. Judyta nie zdołała dociec, czy była to niema prośba o pomoc, czy gest bezsilnej rozpacz. Najwyraźniej, nie przyzwyczajona do roli ekspedientki, traciła już cierpliwość.

- Może raczej półtora funta... - nudziła klientka.
- Niechże się pani, na miłość boską, zdecyduje!
- Gdzie twój ojciec i Ellie? - wtrąciła się Judyta.
- Na górze. - Heather wskazała ruchem głowy, ważąc cukier.
- W kuchni?
- Tak, leć tam zaraz.

Cóż się, u licha, mogło wydarzyć? Pękając z ciekawości, Judyta przeszła na zaplecze, a stamtąd po schodach na górę. Drzwi od kuchni, zwykle otwarte na oścież, tym razem stały zamknięte, a zza nich dał się słyszeć głośny szloch. Kiedy Judyta weszła do środka, zastała pań-

stwa Warrenów wraz z Ellie siedzących wokół kuchennego stołu.

To Ellie płakała, i chyba od dłuższego czasu, bo była cała zapuchnięta od łez i rozczochrana, a w dłoni miała przemoczoną chusteczkę. Pani Warren siedziała tuż przy niej, podczas gdy pan Warren zajął miejsce naprzeciw nich, z rękami założonymi na piersi. Uśmiech tym razem opuścił jego twarz, która przybrała ponury i groźny wyraz.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Judyta.

- Ellie miała przykre przeżycie - skwitowała krótko pani Warren. - Możemy powiedzieć o tym Judycie, prawda, Ellie?

Ellie ponownie załkała, ale przez łzy kiwnęła głową.

- No, nie płacz, już po wszystkim. Judyta przysunęła sobie krzesło.

- Czy ona miała jakiś wypadek? - indagowała, coraz bardziej zaciekawiona.

- No, nie aż tak źle, ale też i niewiele lepiej.

Pani Warren otoczyła Ellie ramieniem i opowiedziała Judycie, co zaszło. Okazało się, że Ellie wybrała się do kina, bo grali film z Deanną Durbin. Chciała iść ze swoją koleżanką Iris, ale ta zrezygnowała w ostatniej chwili, więc Ellie poszła do kina sama. W połowie filmu przysiadł się do niej jakiś obcy mężczyzna, który najpierw położył jej rękę na kolanie, a potem zaczął przesuwając ją coraz wyżej. I wtedy zobaczyła...

- Co takiego zobaczyła? - naciskała Judyta.

Pani Warren nie chciało to jednak przejść przez gardło. Oblała się pąsem, spuściła oczy i przygryzła wargi. Natomiast jej mąż nie miał takich skrupułów. Siny z gniewu, wyrąbał bez ogródek:

- Ten stary zboczeniec miał rozpięty rozporek i wszystko na wierzchu!

- Tak przestraszył biedną Ellie, że wybiegła z kina i przyleciała prosto do nas - dokończyła pani Warren. - Nie miała odwagi powiedzieć o tym swojej matce.

Przecież takie rzeczy zdarzały się już wcześniej! Kilka lat temu inna dziewczyna też wstydziła się wyznać prawdę swojej ciotce i wołała ukryć się w damskiej toalecie! Ellie leż szukała schronienia, kiedy histerycznie wybiegła na ulicę.

- Zawiadomiłaś o tym kierownika kina? - spytała *pro forma*, zawczasu znając odpowiedź.

- A któż by mi uwierzył? - wykrztusiła Ellie przez łzy. - Powiedziałyby, że ubzdurałam to sobie!

Na samą myśl o tym znów uderzyła w płacz.

- Widziałaś twarz tego człowieka? - indagowała z uporem Judyta.

- Nie chciałam nawet patrzeć!

- A jak myślisz, był młody czy stary?

- Raczej stary. - Ellie usiłowała jakoś wziąć się w garść. - Palce miał takie kościste, jak ścisnął mnie za kolano, a potem wyżej, pod spódnicą... A z gęby śmierdziało mu whisky...

- Nastawię herbatę - zaproponowała pani Warren, aby rozładować sytuację, po czym poszła nalać wody do czajnika.

Judyta przez chwilę siedziała w milczeniu, bo przypomniała sobie słowa Edwarda na temat katalizatora. Że któregoś dnia zdarzy się coś takiego, co uwolni ją od wszystkich zahamowań... I chyba właśnie teraz to się zdarzyło! Pojawiła się sposobność, aby ostatecznie unieszkodliwić Billy'ego Fawcetta! Nie miała bowiem wątpliwości, że on i ten staruch, który napastował Ellie, to jedna i ta sama osoba. Teraz stał się jeszcze groźniejszy, bo mało tego, że obmacywał młode dziewczęta, to jeszcze się przy nich obnażał. Na samą myśl o tym Judycie robiło się słabo. Nic dziwnego, że Ellie tak długo nie mogła dojść do siebie! Teraz nie czuła już ani odrobiny litości dla Billy'ego Fawcetta. Odwrotnie, pałała chęcią odwetu. Może na tym właśnie miała polegać kataliza?

Nabrała głęboko powietrza w płuca i oświadczyła stanowczo:

- Musimy powiadomić o wszystkim kierownika kina, a także złożyć doniesienie na policji.
- Przecież nie wiemy, kim jest ten człowiek! - zauważył pan Warren.
- Ja wiem.
- Skąd wiesz? Przecież nie było cię przy tym!
- Znam go doskonale. Tego samego próbował ze mną, kiedy miałam czternaście lat.
- Coś takiego! To niemożliwe! - wykrzyknęła pani Warren z niedowierzaniem.
- Owszem, całkiem możliwe. Przy mnie się wprawdzie nie obnażył, ale może dlatego, że nie zdążył. Na pewno miał zamiar to zrobić. To Billy Fawcett, emerytowany pułkownik, który mieszka w Penmarron. Wyjątkowo wredny typ.
- Musisz nam zaraz wszystko opowiedzieć! Opowiedziała więc całą historię po kolei, od momentu, kiedy przyjechała na ferie do ciotki Luizy. Opisała wyprawę do kina, napastowanie, kiedy była sama w domu, pełne nienawiści spojrzenia na pogrzebie ciotki, wreszcie incydent w barze „Pod Kołowrotkiem”.

Ta barwna opowieść zaciekała Ellie, która przestała płakać. Nawet uśmiechnęła się, kiedy Judyta opisywała, jak Edward chlusnął szklanką whisky w gębę starego pijaka. Natomiast pani Warren wcale nie wydało się to śmieszne.

- Dlaczego dotąd nam o tym nie powiedziałaś? - spytała z oburzeniem w głosie.
- Po co miałam mówić? Co mogliśmy wtedy zrobić?
- Unieszkodliwić tego zboczeńca!
- To możemy zrobić teraz ze względu na Ellie. - Otoczyła dziewczynę ramieniem i uścisnęła. - Postąpiłaś słusznie, przychodząc tutaj i informując o wszystkim panią Warren. Gdybym wtedy była mądrzejsza, powinnam była

powiedzieć o tym ciotce Luizie, ale nie miałam tyle odwagi co ty. Nie przejmuj się tym, że niektórzy mężczyźni zachowują się paskudnie. Większość jest w porządku. Musimy teraz zrobić wszystko, żeby się to nie powtórzyło, zawiadomić policję i spowodować, by Billy Fawcett stanął przed sądem. Jeśli będzie trzeba, mogę wystąpić jako świadek oskarżenia, byleby wsadzić go za kratki. Nie tylko ze względu na Ellie i mnie, ale i na inne młode dziewczęta, które mógłby molestować.

Po tym żarliwym wystąpieniu opadła na krzesło, aby nabrać powietrza.

- No, muszę przyznać, że takiej cię jeszcze nie widziałam! - podsumowała pani Warren.

- Może to i lepiej. - Judyta, o dziwo, zareagowała na to śmiechem. - A co pan o tym sądzi?

- Myślę, że masz rację - odpowiedział pan Warren wstając od stołu. - Nie ma chwili do stracenia.

Idziemy wszyscy na posterunek, i ty też, Ellie, czy tego chcesz czy nie. Nic się nie bój, będziemy tam z tobą, a po wszystkim odprowadzę cię do domu i wyjaśnię twojej mamie co trzeba.

Poklepał ją po plecach i uspokajająco cmoknął w czubek głowy.

- Nie przejmuj się, dziewczyno! To przecież nie twoja wina! A zresztą nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Jeśli ten drab pójdzie siedzieć, to także dzięki tobie!

Formalności na posterunku policji zajęły sporo czasu. Sierżant pełniący tego dnia służbę miał dotąd do czynienia raczej z kradzieżą rowerów lub pijackimi rozróbami niż ze sprawami tak delikatnej natury. Spisywanie protokołu ciągnęło się niemiłosiernie, a sztywna atmosfera przesłuchania pogłębiała tylko zdenerwowanie Ellie, którą za każdym razem trzeba było nakłaniać do zeznań. Kiedy to się skończyło, pan Warren i Judyta musieli jeszcze odprowadzić Ellie do domu i sprostać konfrontacji z jej matką.

Wymagało to dodatkowych wyjaśnień, wywołujących

na przemian przerażenie i wściekłość, łagodzone tylko niezliczonymi filiżankami herbaty - panaceum na wszystko. Dopiero po rozładowaniu napięcia pan Warren i Judyta, kompletnie wypompowani, wrócili do domu. Sklep był już zamknięty, a pani Warren, Heather i Joe czekali w kuchni z kolacją. Pan domu nie miał jednak apetytu.

- Muszę się najpierw czegoś napić - zapowiedział i otworzył kredens, gdzie przechowywał butelkę whisky na czarną godzinę. - Kto się napije ze mną? Może ty, Joe?

Jednak Joe, zdezorientowany dziwnym zachowaniem ojca, nie miał ochoty na drinka.

- Matka, strzelisz sobie jednego? Nie? To może Heather? A Judyta?

W braku innych chętnych nalał sobie szklaneczkę i wychylił ją duszkiem. Dopiero gdy odstawił pustą szklanekę -zaofiarował się pokroić pieczeń wieprzową.

Po kolacji, kiedy rozmowy ucichły, kuchnia była sprzątnięta, a naczynia pozmywane - Judyta zeszła do kantoru i zadzwoniła do mecenasa Bainesa. Rozmowa trwała długo, gdyż adwokat na początku poczuł się urażony, że nie ufała mu na tyle, aby od razu zrelacjonować swoje kłopoty z Billym Fawcettem. Na szczęście gniew mu szybko minął i pan Baines okazał się tak samo pomocny i wyrozumiały jak zawsze. Zapewnił ją, że wraz z panem Warrenem postąpili słusznie, pragnąc postawić tamę niecznym poczynaniom starego degenerata. A kiedy sprawa stanie wreszcie na wokandzie - on ze swej strony zrobi wszystko, żeby nie musiała składać krępujących zeznań, i wystąpi jako jej pełnomocnik.

Judyta wyraziła mu głęboką wdzięczność, na co odpowiedział tylko: „Nie ma za co. To mój obowiązek” -i szybko zmienił temat, wpytując, jak spędzała czas w Porthkerris. Pogadali jeszcze trochę o błahostkach i na tym rozmowa się skończyła.

Tej nocy Judyta leżała w swoim łóżku patrząc w sufit, gdy nagle zaświtało jej w głowie, że coś się właśnie skończyło. Nie chodziło o to, że dobiegł końca pobyt u Warrenów czy że zdążyła nareszcie zobaczyć się z Phyllis. Skończył się wiecznie prześladowający ją koszmar Billy'ego Fawcetta. Kiedyś chciała go „roznieść jak pluskwę”, a teraz zrobiła więcej, bo uruchomiła maszynę sprawiedliwości i spowodowała, że ten upiorny dziadyga przestanie straszyć zarówno w miasteczku, jak i w jej snach. Wiedziała, że już nigdy nie przyśni się jej na drabinie w oknie pokoju ani nie zakłóci przeżywania tego, czego pragnęła najbardziej. Jaka to ulga - pozbyć się wreszcie dręczącej przez cztery lata zmory, która omal nie zniszczyła więzi między nią a Edwardem!

Na wspomnienie o Edwardzie uświadomiła sobie, że jutro rano wraca już do Nancherrow i zobaczy go znowu. Jeśli ciotka Lawinia poczuje się lepiej - pojedą z Edwardem ją odwiedzić. Wtedy będzie miała szansę zostać z nim sam na sam i przyzna mu, że nie mylił się co do katalizy. Opowie, co na to wpłynęło, i wspaniałomyślnie pozwoli mu stwierdzić: „A nie mówiłem?”

Skończyło się jedno, a zaczęło się całkiem co innego. Stała się teraz zupełnie innym człowiekiem, pozbawionym dzieciennych lęków i uprzedzeń. Aby się upewnić, spróbowała wyobrazić sobie, że Edward znów próbuje ją pocałować, tak jak to robił w tamte święta za zasłoną w sali bilardowej. Przywoływała na pamięć jego ramiona otaczające jej talię, pieszczotę jego palców na piersi, usta przy jej ustach i język wciskający się między wargi...

Wspomnienia te wznieciły w niej gwałtowny płomień pożądania, palący, lecz równocześnie powodujący przyjemne ciepło w duszy. Przymknęła oczy i przekręciła się na bok, podciągając kolana pod brodę jak dziecko w łonie matki. W ciemnościach uśmiechnęła się sama do siebie, gdyż uświadomiła sobie teraz pewną cudowną prawdę...

Tymczasem w Nancherrow Rupert Rycroft przebierał się do kolacji. Po raz drugi tego dnia wykapał się i ogolił, nałożył już kalessy i skarpetki, zapiał czystą, białą koszulę, a teraz wiązał muszkę. Czynność tę wykonywał przed lustrem, ale musiał ugiąć kolana, gdyż lustro wisiało na wysokości przystosowanej do wzrostu przeciętnego mężczyzny. Przyglądając się swemu odbiciu, nie widział w nim nic szczególnego. Owszem, był wyższy niż większość mężczyzn, ale uszy miał trochę za duże, powieki opadające, a podbródek chował się pod kołnierzykiem. Nieco nieregularnym rysom dodawał szlachetności przystrzyżony po wojskowemu wąsik, a opalenizna nabyta w Palestynie i Egipcie, wraz z siateczką drobniutkich zmarszczek wokół oczu, sprawiała, że wyglądał na starszego i poważniejszego, niż był. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Jego gęste, płowe włosy zrobiły się po kąpieli sypkie i trudne do ułożenia. Dopiero za pomocą oprawnych w kość słoniową szczotek i płynu do układania włosów firmy „Trumpers” zdołał im nadać jako taką formę.

Odwrócił się wreszcie od lustra, naciągnął spodnie i brudną chusteczką usiłował przetrzeć buty. Żałował, że nie ma przy sobie swojego ordynansa, szeregowego Stubbsa - ten potrafił doprowadzić oficerki do lustrzanego połysku. Skoro jednak nie miał go pod ręką - buty musiały pozostać takie, jakie były. Nałożył więc smoking z jedwabnymi kłapami, porozmieszczał niezbędne drobiazgi w kieszeniach, pogasił światła, zamknął pokój i zszedł na dół.

Kolację podawano o ósmej, a tymczasem była dopiero siódma. Niemniej jednak w salonie siedział już pułkownik Carey-Lewis, także w stroju wieczorowym. Ulokował się wygodnie w fotelu, studiując gazetę i popijając whisky z wodą sodową, szczęśliwy, że ma chwilę spokoju. Rupert spodziewał się tego; podobnie postępował jego własny ojciec, gdy w Taddington byli goście.

Pułkownik był bardzo dobrze wychowany, więc pod-

niósł oczy znad gazety i udawał, że wtargnięcie Ruperta w niczym mu nie przeszkadza.

- Ach, to ty, drogi chłopcze...

- Ależ naprawdę nie musi pan wstawać. Przepraszam, że przyszedłem za wcześnie.

- Nic nie szkodzi. - Pułkownik zamknął gazetę i odłożył na bok. - Proszę, usiądź i nalej sobie drinka.

Mam nadzieję, że urządziłeś się wygodnie. Woda do kąpieli była dość gorąca?

- Dziękuję, wszystko jest w porządku. - Wziął swoją szklanekę i usiadł z nią na stołeczku przy kominku, podwijając długie nogi. - Zgrzałem się, bo Athena mnie zmusiła, żebym zagrał z nią w tenisa...

Mimo że dążył do spotkania sam na sam z pułkownikiem, trochę bał się tej rozmowy. Wiedział bowiem, że prowadzenie nieobowiązującej konwersacji nie jest najmocniejszą stroną gospodarza, który przy tym był dość nieśmiały. Obawy okazały się jednak bezpodstawne, gdyż obaj panowie mieli tyle wspólnych zainteresowań, że od razu udało się przełamać lody. Rozmowa zeszła na tematy polowań, koni i spraw wojskowych. Potem pułkownik poruszył wątek osobisty i na jego prośbę Rupert opowiedział mu o swoim rodzinnym majątku, rodzicach i kolejnych stopniach kariery. Pobierał bowiem nauki najpierw w Eton, później w Sandhurst, skąd trafił do pułku dragonów gwardii. Potem przebywał z misją wojskową w Egipcie i Palestynie, aby finalnie osiąść w Centrum Wyszkozenia Kawalerii w Northampton.

- Największy problem w tym, że Long Weedon leży za blisko Londynu - utyskiwał. - Stwarza to pokusę, aby przy lada okazji wyrywać się do miasta, a potem z ciężkim kaczkiem człowiek musi o świcie meldować się na przegładzie.

- No cóż, to są blaski i cienie młodości. - Pułkownik uśmiechnął się. - Nic nie słyhać o mechanizacji waszego pułku?

- Na razie jakoś nie ma o tym mowy, ale to jasne, że na współczesnym polu walki kawaleria jest przeżytkiem.

- A co sądzisz o czołgach?

- Tyle że żal mi będzie rozstawać się z końmi.

Pułkownik poprawił się w fotelu. Podniósł głowę i martwym wzrokiem popatrzył w przestrzeń za oknem, gdzie rozciągały się zalane słońcem ogrody.

- Obawiam się, że wojna wisi w powietrzu - zaczął. -Graliśmy trochę na zwłokę, podpisując różne traktaty, ale na dłuższą metę to nic nie dało. Padła już Austria, Czechosłowacja, a pokonanie Polski jest kwestią czasu. Hitler nie musi mobilizować swoich wojsk, gdyż trwają w gotowości bojowej na każde jego skinienie. To może nastąpić wkrótce, gdzieś w pierwszej połowie września, zanim jesienne deszcze i błota opóźnią pochód czołgów.

- Ciekawe, jak zachowa się Rosja.

- To właśnie jest wielkim znakiem zapytania. Jeśli Stalin podpisze z Hitlerem pakt o nieagresji, Niemcy będą mieli wolną rękę. A co wtedy stanie się z tobą?

- Pewnie wyślą mnie znów do Palestyny.

- Podejrzewam, że główny ciężar walki przejmie na siebie lotnictwo. Edward jest w rezerwie RAF-u.

- Dopił drinka jednym haustem, jakby to było lekarstwo. - Bądź tak dobry i nalej mi jeszcze jednego. A która to twoja szklanka?

- Dziękuję, jeszcze mam. - Rupert wstał i napełnił szklanekę pułkownika. Podając mu ją, zvekslował ostrożnie na inny temat. - Właściwie, to chciałbym z panem pułkownikiem porozmawiać...

- A co my robimy? - zauważył gospodarz z humorem. - Chyba rozmawiamy!

- No więc... - Rupert zawahał się, gdyż nigdy dotąd nie występował w takiej roli i bał się, aby wszystkiego nie popsuć. - Chciałbym pana prosić o rękę Atheny.

Po chwili konsternacji pułkownik wykrztusił:

- O Boże! Dlaczego?

Takiej reakcji Rupert się nie spodziewał, ale próbował przedstawić się w jak najlepszym świetle.

- No cóż, kocham ją i sądzę, że ona mnie też. Wiem, że nie jest to odpowiedni moment na branie ślubu, bo wojna za pasem, a przyszłość jest jedną wielką niewiadomą... Mimo to chciałbym zaryzykować.

- Nie wiem, co z niej byłaby za żona.

- Czyżby pan nie miał zaufania do własnej córki?

- Ona jest taką samą trzpiotką jak jej matka.

- Ale z jej matką pan się ożenił.

- Tak, i do dziś nie przestała mnie czarować i podniecać. Tylko że zanim ożeniłem się z Dianą, starałem się o jej względy przez całe lata. Wy z Atheną nie znacie się tak długo.

- Wystarczająco długo, panie pułkowniku.

- Czy rozmawiałeś już z nią o tym?

- Tak, przedyskutowaliśmy tę sprawę.

- Także i los żony wojskowego w dzisiejszych czasach? Nieuniknione lata rozłąki?

- I to też.

- A w razie gdybyśmy mieli już za sobą ten cały kataklizm, co potem? Myślałeś o przyszłości?

- Trudno mi powiedzieć. Wiem tylko, że po śmierci ojca odziedziczę Taddington.

- Athena i majątek ziemski w Gloucestershire? Wiesz, że ona boi się podejść do konia bliżej niż na metr? - Wiem o tym - przyznał ze śmiechem Rupert. - I mimo to chcesz się z nią ożenić?

- Tak.

- Kiedy?

- Chciałbym jak najszybciej.

- No, organizacja wesela wymaga miesięcy.

- Właśnie... Muszę panu powiedzieć, że nie chcielibyśmy urządzać wystawnego ślubu ani wesela. Athena ma jakiś uraz na tym punkcie. Wiem, że pańska małżonka może czuć się zawiedziona, ale myślimy o bardzo skro-

mnej uroczystości, może nawet tylko o ślubie cywilnym... Dostanę na to zezwolenie.

- Może to i lepiej, przynajmniej zaoszczędzicie mi wydatków. Niby mała rzecz, a cieszy!

- Ja naprawdę ją kocham, panie pułkowniku.

- Tak samo jak i ja. To miła, dobra dziewczyna, a czasem potrafi być rzeczywiście czarująca. Szkoda tylko, że mamy akurat taką niepewną sytuację. Gdyby jednak doszło do najgorszego i musielibyście się rozstać, Athena zawsze będzie mogła wrócić do Nancherrow i czekać tu na ciebie.

- Na to właśnie liczyłem. Widzi pan, moi rodzice z pewnością staraliby się traktować ją jak najlepiej, ale Athena tak się różni charakterem i upodobaniami od mojej matki...

- Rozumiem - zauważył sucho pułkownik. - To prawdziwy pech, że twoja wybranka nie podziela pasji do koni.

- To rzeczywiście pech, ale świat się na tym nie kończy.

- A więc sprawa załatwiona. Mogę tylko życzyć wam szczęścia, o ile w tych okrutnych czasach będzie to możliwe.

- Jeszcze jedno, panie pułkowniku...

- Cóż takiego?

- Prosiłbym, żeby na razie nikomu jeszcze o tym nie mówić. Nie ogłaszać żadnych oficjalnych zaręczyn ani nic takiego.

- Jak to, dlaczego?

- Widzi pan, wprawdzie rozmawialiśmy o tym z Atheną, ale tak naprawdę to jeszcze się jej nie oświadczyłem ani ona mnie nie przyjęła.

Pułkownik robił wrażenie lekko zmieszanego.

- No dobrze, na razie nic nie będziemy mówili. Tylko postaraj się uregulować te sprawy jak najszybciej.

- Oczywiście. Dziękuję panu bardzo.

- Zawsze mówię, że należy kuć żelazo, póki gorące.

Takich spraw nie trzeba przewlekać, bo cały plan może paść.

- Suflet też opada, kiedy się go za długo przetrzymuje.

- Suflet? Rzeczywiście, to bardzo trafne porównanie.

W niedzielne przedpołudnie, kiedy zazwyczaj było pełno gości, w kuchni w Nancherrow huczało jak w ulu. A w taki upalny sierpniowy dzień jak ten nie pomagały nawet pootwierane na przestrzał drzwi i okna - pani Nettlebed szybko robiła się czerwona na twarzy, ociekała potem, a kostki u nóg puchły jej jak banie.

Miała do nakarmienia dziewięć gąb w stołowym pokoju i pięć w kuchni. Nie, nie całkiem tak - do stołu w jadalni zasiadało dziś tylko osiem osób, bo pani Carey-Lewis musiała położyć się do łóżka. Pułkownik oficjalnie głosił, że jego małżonka dostała ataku woreczka żółciowego, ale oboje Nettlebedowie mieli na ten temat własne zdanie. Kucharka uważała, że pani musi być po prostu przemęczona. Tyle czasu rozbijała się po Londynie, a potem pędziła jak szalona do domu na wieść, że stara ciotka La-winia jest umierająca. Ciotka jakoś nie przeniosła się na tamten świat, ale napędziła wszystkim strachu, a do tego jeszcze w domu kłębiły się tłumy gości. Będąc na miejscu pani Carey-Lewis, pani Nettlebed też najchętniej położyłaby się do łóżka, dopóki wszystko by się nie uspokoiło.

Pewnie trzeba będzie posłać pani do sypialni coś na tacy... Na razie jednak pani Nettlebed stała przy stole, ucierając w glinianej misce mąkę, cukier i masło. Pułkownik lubił gorące leguminy bez względu na porę roku, a dziś miała być zapiekanka z jabłek, z kruszonką i rodzynkami, skropiona odrobiną koniaku. Hetty wyłożyła już formę do zapiekania bladezielonymi płatkami pokrajanych jabłek. Obrala także kilka kilogramów kartofli, oczyściła dwa kalafiory, poszatkowała kapustę i przebrała cztery łubianki truskawek. Teraz pobrzękiwała talerzami w zmywalni.

W piecu kuchennym piekła się dwunastofuntowa polędwica wołowa. Przez szczelnie zamknięte drzwiczki ulatniały się aromatyczne zapachy mięsa i cebuli, którą było naszpikowane. Do tego pani Nettlebed zamierzała podać pieczone kartofle, pasternak, pudding jorkszyrski, sos chrzanowy, pieczeniowy i ostrą angielską musztardę domowej roboty.

Na deser przygotowane już były świeże truskawki i su-flet czekoladowy. Po wstawieniu do piekarnika zapiekanki z jabłkami pani Nettlebed miała zamiar zabrać się do przyrządzania puddingu. Hetty mogłaby zrobić to sama, ale nie radziła sobie zbyt dobrze z ubijaniem piany.

W tym momencie otworzyły się drzwi kuchni. Pani Nettlebed nie oderwała wzroku od roboty, a myśląc, że to wszedł jej mąż, rzuciła za siebie:

- Jak myślisz, czy ten suflet podać z bitą śmietanką?

- Brzmi to apetycznie - odpowiedział męski głos, nie należący jednak do Nettlebeda.

Kucharka przerwała robotę i odwróciła się gwałtownie. W drzwiach stał... Jeremy Wells! Zażywna niewiasta rozdziawiła gębę z uciechy, gdyż był to jedyny człowiek, którego niespodziewane przybycie w samym środku przygotowań do niedzielnego obiadu mogło sprawić jej radość.

Powiedziała jednak tylko:

- Ach, to ty!

- Moje uszanowanie pani. Cóż to tak wspaniale pachnie?

- Polędwica wołowa - odpowiedziała, nie wyjmując rąk z mąki ani nie poprawiając przekrzywionego czepka. Dopiero potem uśmiechnęła się promiennie. - O, doktor Wells! Dawnośmy się nie widzieli!

Dawniej, kiedy Jeremy jeszcze udzielał korepetycji Edwardowi, mówiła mu po imieniu, ale gdy pozdawał wszystkie egzaminy dyplomowe, zaczęła tytułować go doktorem. Widocznie uznała, że zasłużył sobie na to. Dla

uniknięcia pomyłki mówiła o nim „młody doktor Wells”, podczas gdy ojca nazywała „starym doktorem”.

- Co ty tu robisz? Pan pułkownik nic mi nie mówił, że po ciebie posłał.

- A czy miał powód, aby po mnie posyłać? - zainteresował się Jeremy zamykając drzwi za sobą. - Jest ktoś chory?

- Biedna pani Carey-Lewis. Pan pułkownik mówi, że to atak woreczka żółciowego, ale mój stary i ja myślimy, że jest po prostu przemęczona. Słyszałeś, że pani Boscawen ciężko chorowała?

- Tak, ale podobno najgorsze już minęło.

- Napędziła nam porządnego stracha. Wszyscy pozjeżdżali się z całego kraju, bojąc się, że wyzionie ducha. Ale na szczęście nie było aż tak źle.

- Bardzo mi przykro.

- Zaraz, zaraz... - Zmarszczyła czoło. - Skoro to nie pułkownik posłał po ciebie, to po co przyjechałeś?

- Tak sobie, zobaczyć się z wami. - Skubnął plasterek jabłka wystający z formy. Za coś takiego

Loveday dostałaby po łapach. - Gdzie jest reszta?

- Wszyscy pojechali do kościoła, tylko pani została w łóżku.

- Może powinienem zajrzeć do niej? - Tak, ale jeśli śpi, to jej nie budź.

- Nie będę. Macie pewnie pełny dom gości?

- Po brzegi! - Kucharka zaczęła rozsypywać po warstwie jabłek kruszonkę, ugniatając ją dłonią. -

Athena przywiozła ze sobą swojego absztyfikanta, rotmistrza Rycrofta, a do Edwarda też przyjechał kolega, jakiś pan Cal-lender.

- A Loveday jest w domu?

- Jest, oczywiście. I jeszcze Judyta dziś wraca.

- A dokąd wyjeżdżała?

- Do Warrenów w Porthkerris.

- To starczy jeszcze dla mnie jedzenia?

- Jak myślisz, głuptasie? Wystarczy i jeszcze zostanie! Nie widziałeś tam gdzie mojego starego?
- Odkąd tu wszedłem, nie widziałem nikogo.
- Muszę mu powiedzieć, żeby dostawił jeszcze jedno nakrycie. Jeśli chcesz odwiedzić naszą panią, to na co czekasz? Gdyby chciała wstawać, powiedz jej, żeby została w łóżku... Hetty, już kończysz? Jeszcze będziesz miała więcej zmywania, ale najpierw ubij śmietankę...

Jeremy opuścił progi kuchni i tylnymi drzwiami wszedł na górę do sypialni Diany. Delikatnie zapukał do drzwi i usłyszał uprzejme zaproszenie. Spodziewał się zobaczyć ponure wnętrza o zaciągniętych zasłonach, tymczasem pokój był zalany światłem słonecznym. Diana leżała w łóżku, wysoko oparta na poduszkach, w przybranej koronkami lizesce. Czytała książkę rozłożoną na kołdrze, wodząc po tekście palcami o polakierowanych na czerwono paznokciach. Obok niej, zwinięty w kłębek na śnieżnobiałej, obramowanej koronkami poduszce, spał pekińczyk Pekoe.

- O, Jeremy!
- Jak się masz?
- Co ty tu robisz? Chyba Edgar cię nie wezwał? Nakazywałam mu, żeby nie robił paniki.
- Nie. Nie wzywał mnie.

Jeremy zamknął drzwi za sobą i przysiadł na brzegu łóżka, całkiem nie jak lekarz. Nie wyglądała na trawioną gorączką, była za to blada jak papier, a jej cienka, przezroczysta skóra robiła wrażenie naciągniętej na kości twarzy. Jej zwykle nieskazitelna fryzura była teraz w uroczym nieładzie, a pod pięknymi oczyma pojawiły się sine kręgi.

- Wyglądasz na wyczerpaną - zauważył.
- I jestem, choć Edgar rozpowiada wszystkim, że dostałam ataku woreczka żółciowego.
- Jak mogłaś doprowadzić się do takiego stanu?
- To wcale nie jest śmieszne! Lawinia tak ciężko chorowała i mieliśmy tyle roboty! Teraz jeszcze musiałyśmy

z Mary nakupić masę czarnego materiału i szyć zasłony zaciemniające. Powiem ci prawdę. Jestem tak zmęczona i przygnębiona, że brak mi energii nawet na to, aby udawać, że tak nie jest. Dlatego położyłam się do łóżka i powiedziałam Edgarowi, że jestem chora. On nawet woli to, niż gdybym miała być nieszczęśliwa.

- Tak się martwisz o panią Boscawen?

- Trochę tak, ponieważ nie jest jeszcze całkiem zdrowa. W Londynie i tak podpierałam się nosem po tych wszystkich nie przespanych nocach, a tu jeszcze musiałam gnać na złamanie karku do domu. Nigdy w życiu nie prowadziłam sama bentleya na tak długim dystansie ani z tak dużą prędkością. Musiałam do tego jechać szosą A30 i tym ruchliwym objazdem koło Exeter!

- Ale dałaś radę!

- Tak, a kiedy dojechałam na miejsce, zastałam rozhi-steryzowaną Isobel, musiałam się rozejrzeć za pielęgniarkami, a tymczasem wszyscy zaczęli zjeżdżać się do domu i jeszcze sprowadzać swoich znajomych! Mało tego, Edgar powiedział mi wczoraj, że ten młody człowiek, który przyjechał z Atheną, oświadczył się o jej rękę!

- Rotmistrz Rycroft?

- Kto ci o nim powiedział?

- Pani Nettlebed.

- Ma na imię Rupert i służy w pułku dragonów gwardii. Bardzo miły i dobrze wychowany, ale kompletnie nas zaskoczył. W dodatku na razie nie możemy nikomu o tym powiedzieć, bo on jeszcze nie oświadczył się samej Athenie! Ludzie nieraz bywają dziwni.

- Wydaje mi się, że to raczej dobre wiadomości.

- W pewnym sensie tak, ale oni mają jeszcze inne pomysły. Kiedy się już zaręczą, zaraz chcą wziąć szybki, cichy ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego lub czymś podobnym. Wygląda to raczej smutno, ale co dziś może być wesołe, kiedy z gazet codziennie wieje coraz większą

grozą? Edgar co wieczór zmusza mnie, żebym słuchała razem z nim wiadomości, a ja już słabnę ze strachu!

Głos jej zadrżał, a Jeremy dopiero teraz naprawdę się zmartwił. Nigdy jeszcze nie widział Diany Carey-Lewis w takim stanie! Zawsze mu się wydawało, że podchodzi do życia lekko i we wszystkim potrafi znaleźć słoneczną stronę. Teraz jednak utraciła to, co dawało jej największą siłę.

Położył na jej dłoni swoją.

- Nie poznaję cię, Diano. Przecież nigdy niczego się nie bałaś. Nie wolno ci się tak poddawać!

Nie zważając na jego słowa, wyrzucała z siebie to, co ją gnębiło.

- Przez cały ostatni rok zachowywałam się jak struś, który chowa głowę w piasek. Wierzyłam, że stanie się cud, jakiś idiota podpisze następny świstek papieru i znów będziemy mieli spokój. Teraz widzę, że oszukiwałam samą siebie. Nie ma cudów, tylko nowa, straszna wojna wisi na włosku!

Jeremy zauważył wzbierające w jej oczach łzy, których nawet nie próbowała wytrzeć.

- Po zawieszeniu broni w 1918 - mówiła dalej - wmawialiśmy sobie, że taki koszmar nigdy się już nie powtórzy. Całe pokolenie młodych mężczyzn wyginęło na różnych frontach. Wśród nich wszyscy moi znajomi. Wiesz, co wtedy zrobiłam? Po prostu przestałam o tym myśleć. Spróbowałam wyrzucić ten balast z pamięci, jak się wyrzuca stare graty na strych. A teraz, po dwudziestu latach, tamte wspomnienia wróciły. Mam przed oczyma pożegnanie naszych chłopców na dworcu Victoria. Z kominów parowozów buchał dym, żołnierze w mundurach wsiadali do pociągów, a matki, siostry i narzeczone machały chusteczkami. A potem codziennie w gazetach pojawiały się nowe listy poległych, drobnym druczkiem, a każde nazwisko to jeszcze jeden młody człowiek, który padł jak podcięty kwiat, zanim zdążył się rozwinąć... Byłam potem

na jakimś przyjęciu; pewna dziewczyna usiadła na fortepianie i wymachując nogami śpiewała: „Niech kręci się ten świat”. Wszyscy podchwycili tę melodię, a ja nie mogłam powstrzymać łez!

Teraz też nie mogła, na próżno szukając suchego miejsca na całkowicie już bezużytecznej chusteczce obszytej koronką.

- Nie masz jakiejś większej? - nie wytrzymał Jeremy.

- Damskie chusteczki są zupełnie idiotyczne.

- Weź moją. Trochę krzykliwa, ale czysta.

- Właśnie ten kolor jest śliczny. Pasuje do twojej niebieskiej koszuli. - Wydmuchała nos i dodała: - Za dużo gadam, prawda?

- Ależ skąd. Widzę, że chcesz o tym porozmawiać, więc chętnie słucham.

- Och, Jeremy, jaki ty jesteś dobry! Widzisz, ja nie jestem wcale taka głupia, na jaką wyglądam.

Dobrze wiem, że tej wojny nie da się uniknąć. Nie możemy przecież dalej tolerować tego, co się dzieje w Europie - prześladowania niewinnych ludzi tylko dlatego, że są Żydami! - Ponownie wytarła oczy, po czym schowała chusteczkę Jeremy'ego pod poduszkę. - Właśnie o tym czytałam. To tylko powieść, ale bardzo realistyczna.

- Co to za książka?

- „Ucieczka”. Autorką jest Ethel Vance. Rzecz dzieje się w Niemczech, w ekskluzywnej szkole dla dziewcząt, którą prowadzi jakaś hrabina, wdowa, Amerykanka z pochodzenia. Dziewczęta uczą się tam muzyki, jazdy na nartach, francuskiego i niemieckiego... A nie opodal wśród lasów mieści się obóz koncentracyjny, gdzie przetrzymują żydowską aktorkę skazaną na śmierć...

- Domyślałam się, że to ona ma uciec?

- Nie wiem, jeszcze do tego nie doczytałam. Najbardziej przerażające jest to, że akcja dzieje się współcześnie, autorka opisuje rzeczy, które naprawdę się zdarzają lu-

dziom takim jak każdy z nas. Toteż ktoś musi wreszcie położyć temu kres i tym kimś będziemy my, Anglicy.

Zdobyła się nawet na smutny uśmiech, co przypominało promień słońca w deszczowy dzień.

- Nie będę się już użalać - postanowiła. - Teraz powiedz, co tu właściwie robisz? Powinieneś przecież ucierać mikstury, wykonywać zabiegi lub zaglądać pacjentom do gardła. Ojciec dał ci wolne?

- Jeśli już mowa o moim ojcu, to wyjechał z mamą na kilka dni na wyspy Scilly. Stwierdził, że musi skorzystać z okazji, póki jeszcze żyje, bo kto wie, kiedy nadarzy się następna.

- A co z waszą praktyką?

- Przyjeliśmy kogoś na zastępstwo.

- Jak to, przecież ty tu jeszcze jesteś!

- Nie będę już pracować z ojcem.

- Czyżby cię wyrzucił?

- Nie o to chodzi. - Jeremy się roześmiał. - Tutejsza Izba Lekarska uznała, że ojciec może obejść się beze mnie. Wstąpiłem do Ochotniczej Rezerwy Marynarki Wojennej jako lekarz okrętowy.

Kapitan-lekarz Jeremy Wells, jak ci się to podoba?

- Brzmi imponująco, ale i przerażająco. Czy musiałeś to zrobić?

- Już to zrobiłem. Kupiłem sobie nawet mundur. Wyglądam w nim trochę jak bileter w kinie, ale trzeba będzie się do tego przyzwyczaić.

- Akurat, na pewno będzie ci w nim do twarzy!

- W przyszły czwartek muszę już zameldować się w koszarach Devonport.

- Co będziesz robił do tego czasu?

- Chciałem się jeszcze z wami pożegnać.

- Oczywiście zostaniesz tu dłużej?

- Jeśli znajdzie się jakieś wolne łóżko.

- Dla ciebie zawsze się znajdzie, choćby ten dom pękał w szwach! Przywiozłeś swoje rzeczy?

- Tak, spakowałem się na wszelki wypadek - wyznał nieśmiało.
- Czy pani Nettlebed wspominała ci, że jest tu jeszcze Gus Callender, kolega Edwarda z Cambridge?
- Tak, wymieniła to nazwisko.
- To nietuzinkowy człowiek, chociaż trudno go rozgryźć. Obawiam się, że Loveday zwariowała na jego punkcie.
- Loveday?
- Dziwne, prawda? Pamiętasz, jaka była zawsze opryskliwa wobec kolegów Edwarda? Nadawała im ośmieszające przydomki, przedrzeźniała ich sposób mówienia, a teraz zachowuje się zupełnie inaczej. Wręcz zawisa ustami na jego wargach. Pierwszy raz widzę, żeby okazywała zainteresowanie jakimś młodym człowiekiem.
- A jak on przyjmuje tę adorację? - Jeremy'ego wyraźnie to ubawiło.
- Chłodno, ale uprzejmie.
- I co w nim jest takiego nietuzinkowego?
- Chyba głównie to, że jest zupełnie innym typem człowieka niż dotychczasowi znajomi Edwarda. To Szkot, ale jakiś taki powściągliwy. Niewiele mówi na temat swojej rodziny. Nie ma też wielkiego poczucia humoru, ale lubi malować i ma do tego wielki talent. Narysował już u nas kilka ślicznych obrazków. Musisz go namówić, żeby ci je pokazał!
- To taki skryty facet?
- Myślę, że tak. Zresztą gdzie jest napisane, że każdy musi być takim ekstrawertykiem jak my? Poznasz go, tylko nie próbuj robić sobie żartów z niego i Loveday. Umówiliśmy się wszyscy, że nie będziemy im dokuczać. Nawet Edward zachowuje się wyjątkowo taktownie. W końcu kiedyś to nasze rozpieszczone dziecko musi dorosnąć i najwyższy czas, aby znalazła obiekt uczuć, który nie ma czterech nóg i ogona. To zresztą wygląda bardzo sympatycznie.

Ziewnęła i opadła na poduszki, wysuwając dłoń spod ręki Jeremy'ego.

- Żebym chociaż nie była taka zmęczona! Najchętniej bym sobie pospała.
- To porządnie się wyśpij.
- Wystarczyło porozmawiać z tobą, a od razu poczułam się lepiej.
- No proszę, co daje konsultacja z lekarzem!
- Pewnie przyślesz mi sążnisty rachunek.
- Zrobię to, jeżeli nie odpoczniesz porządnie. Może byś coś zjadła?
- Nie bardzo. - Pokręciła nosem.
- Dobrze zrobiłby ci rosół lub coś podobnego. Pomówię z panią Nettlebed.
- Nie, jeśli już, to lepiej powiedz Mary. Powinna gdzieś tu być. I uprzedź ją, że zostajesz na noc, niech znajdzie dla ciebie pokój.
- Dobrze. Potem jeszcze do ciebie przyjdę.
- Jak to miło, że tu jesteś. Tak jak za dawnych, dobrych czasów... Uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Od razu robi się lżej.

Jeremy wyszedł z pokoju Diany, zamykając drzwi za sobą. Zastanawiał się, gdzie może znaleźć Mary Millyway, lecz po chwili co innego zaprzątnęło jego uwagę. Były to dźwięki muzyki dochodzącej ze skrzydła domu przeznaczanego dla gości, z samego końca korytarza. Wiedział, że mieści się tam pokój Judyty. A więc wróciła już z Porthkerris! Pewnie się rozpakowuje i aby się rozerwać, nastawiła sobie płytę. Słuchała utworu fortepianowego Bacha „Pan mą radością”.

Melodia ta obudziła w nim wspomnienia z lat dziecinnych. Poczul się jakby przeniesiony wehikułem czasu na wieczorne nabożeństwo w szkolnej kaplicy. Przypomniał sobie żywo promienie zachodzącego słońca wpadające przez witrażowe okna, niewygodne ławki z czarnego dębu

i chór wysokich chłopięcych głosików śpiewających psalmy. Zdawało mu się nawet, że czuje stęchły zapach kartek starego psalterza.

Poszedł więc w kierunku, z którego dochodziły dźwięki, a miękki dywan tłumił jego kroki. Drzwi do pokoju Judyty były uchylone, więc wystarczyło je lekko pchnąć. Nie słyszała, jak wchodził, pochłonięta pisaniem, najpewniej listu. Jej walizy stały na podłodze, nie rozpakowane. Widocznie zostawiła sobie tę czynność na później, uważając, że napisanie listu jest pilniejsze.

Gdy tak siedziała przy biurku, na tle okna odcinał się jej profil. Na policzek spadał pukiel włosów koloru miodu, z którym harmonizowała niebieska bawełniana sukienka w białe kwiaty. Skupiona sylwetka sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej, a to, że Judyta nie zdawała sobie sprawy z jego obecności w pokoju, jeszcze dodawało jej uroku. Jeremy w tym momencie zapragnął, aby czas stanął w miejscu - chciał zachować na zawsze w pamięci ten widok jak zatrzymany w filmowym kadrze. Zauważył już przedtem, że dziewczęta w wieku osiemnastu lat przechodzą dziwne stadium rozwojowe, pośrednie między niezgrabnym podlotkiem a rozkwitłą w pełni kobietą. Przypominało mu to stopniowe, płatek po płatku, rozwijanie się pączka róży. Z tym że nie wszystkie dziewczęta osiągały tę pełnię dojrzałej kobiecości. Nieraz obracał się w towarzystwie „przerośniętych” pensjonarek, krzepkich i wysportowanych, które mimo biustów wydymających obcisłe koszulki miały w sobie tyleż wdzięku, co trener rugby w deszczowy dzień.

Na jego oczach taka cudowna przemiana zaszła w Athe-nie. Dopiero co była kościstą, dłogonogą nastolatką - a już zmieniała się w pociągający obiekt męskich westchnień. Teraz zaś był świadkiem, jak Judyta, którą pamiętał jako młodocianą towarzyszkę podróży pociągiem, też przeobrażała się właśnie z poczwarki w motyla. Trochę to wszystko było smutne, ale miało też swoje zalety. Jego ojciec,

który podczas pierwszej wojny światowej służył jako lekarz frontowy, opowiadał czasami o swoich zapierających dech przeżyciach. Jeremy zaś wiedział na pewno, że jego najbliższa przyszłość jako lekarza pokładowego na którymś z okrętów Królewskiej Marynarki Wojennej będzie obfitowała w trudy, niewygody, koszmary samotności i strachu. Wtedy miłe wspomnienia zapewnią mu przynajmniej minimalny komfort psychiczny. A widok, który miał właśnie przed sobą, zapragnął zachować w pamięci jak owada uwięzionego w bursztynie.

Uznał, że za długo już tu stoi. Chciał się odezwać do Judyty, ale wolał odczekać, aż przebrzmi kulminacja utworu Bacha. Dopiero kiedy umilkły końcowe akordy, zagłuszone gruchaniem gołębi za oknem, zdecydował się przemówić:

- Judyto!

Obejrzała się, ale nie zareagowała od razu, tylko na jego widok pobladła z niepokoju, a słowa, które wypowiedziała, zabrzmiały raczej jak stwierdzenie niż pytanie:

- Diana jest chora?!

Wszystko dlatego, że był lekarzem!

- Absolutnie nie! - odpowiedział szybko. - Tylko przemęczona.

- Chwała Bogu! - Odłożyła pióro i odchyliła się na oparcie krzesła. - Mary mówiła, że Diana położyła się do łóżka, ale nie wspomniała, że posłali po ciebie.

- Mary nie wie, że tu jestem. Odkąd przyszedłem, widziałem się tylko z panią Nettlebed. I nikt nie posyłał po mnie, tylko tak sobie wpadłem. A z Dianą jest naprawdę wszystko w porządku.

- Czy mogłabym na chwilę do niej zajrzeć?

- Teraz lepiej nie, bo powinna trochę się przespać. Może później. - Po chwili namysłu dodał: - Nie przeszkadzam ci?

- Ależ skąd. Próbowałam wprawdzie pisać list do ma-

my, ale jakoś mi nie idzie. Wejdz, proszę. Nie widziałam cię już od miesiący.

Wszedł więc do pokoju i wśród nie rozpakowanych walizek spróbował wcisnąć się na śmiesznie mały fotelik, zbyt wąski na jego szerokie siedzenie.

- Kiedy przyjechałaś? - zaczął.

- Jakies pół godziny temu. Miałam zamiar najpierw się rozpakować, ale postanowiłam napisać do rodziców, bo dawno już do nich nie pisałam, a tymczasem tyle się działo!

- A jak spędzałaś dni w Porthkerris?

- Och, tam jest zawsze wesoło. Istny cyrk na kółkach. A ty co, masz dziś wolne?

- I tak, i nie.

Czekała, aż rozwinie ten temat, ale kiedy nie usłyszała żadnego dodatkowego wyjaśnienia - uśmiechnęła się.

- Wiesz, Jeremy, jesteś nadzwyczajny. Wcale się nie zmieniłeś od czasu, kiedy jechaliśmy razem pociągiem z Plymouth.

- Nie jestem pewien, czy to dobrze, czy źle. Zawsze uważałem, że człowiek powinien się rozwijać.

- To miał być komplement! - Parsknęła śmiechem.

- Jestem na urlopie... - zaczął tłumaczyć.

- Pewnie, że ci się należał! - przerwała.

- Ale to mój ostatni urlop przed zaokrętowaniem. Zaciągnąłem się do Ochotniczej Rezerwy Marynarki Wojennej i w przyszły czwartek muszę się zameldować w Devonport. Diana prosiła mnie, abym do tego czasu tu został.

- No wiesz, Jeremy!

- Nie spodziewałaś się tego, prawda? Myślałem nad tym przez całe lato, ale doszedłem do wniosku, że im prędzej się zacznie, tym prędzej będzie po wszystkim. A zawsze lepiej od początku być przy tym.

- Co na to twój ojciec?

- Przedyskutowałem to z nim i na szczęście jest po-

dobnego zdania. To ładnie z jego strony, bo beze mnie będzie musiał sam prowadzić całą praktykę.

- I wypłyniesz na morze?

- Spodziewam się.

- Będziemy za tobą tęsknić!

- Możesz przecież ze mną korespondować.

- Z przyjemnością.

- No więc jesteśmy umówieni. - Z pewną trudnością wydostał się z ciasnego fotela. - Muszę teraz odszukać Mary, żeby przydzieliła mi kwatery. Tamci zaraz wrócą z kościoła, a chciałbym odświeżyć się przed lunchem.

Jednak Judyta chciała jeszcze podzielić się z nim swoją radością.

- A wiesz, że mam teraz samochód?

- Coś podobnego! - Widać było, że mu to zaimponowało. - To twój własny?

- Tak, nowy morris. - Ucieszyła się jego reakcją. - Taki śliczny, malutki. Muszę ci go pokazać.

- Mam nadzieję, że zabierzesz mnie kiedyś na przejażdżkę. Ale dobrze ci się powodzi! Ja dostałem pierwszy samochód dopiero, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat. Kosztował pięć funtów i przypominał starą maszynę do szycia, tyle że na kółkach.

- A przynajmniej jeździł?

- Uch, jak burza, szczególnie wtedy, kiedy miał wiatr w plecy i otwarte wszystkie drzwi. Wtedy wyciągał nawet trzydzieści mil na godzinę... - Przerwał i zaczął nadśluchiwać, gdyż z dołu dobiegły ożywione głosy, kroki, trzaskanie drzwiami i radosne szczekanie Tigera. - Chyba przyjechali już z kościoła. Muszę iść. Do zobaczenia!

A więc byli już w domu, zarówno rodzina Carey-Le-wisów, jak i goście, których Judyta jeszcze nie знаła. Z nimi był także Edward! Serce zabiło jej żywiej i wiedziała już, że list do Singapuru będzie musiał poczekać. Odłożyła częściowo zapisane kartki na bok i starała się

rozpakować przynajmniej najpotrzebniejsze rzeczy. Zmieniła obuwie, umyła ręce, uszmiłkowała usta, a po krótkim wahaniu także spryskała się perfumami. Wystarczy, nie trzeba przesadzać! Jeszcze przyczesała włosy przed lustrem, gdy usłyszała wołanie Loveday wbiegającej na górę:

- Judyto, jesteś tam?

- Jestem.

- Co ty jeszcze robisz? Wszyscy już są. Musisz zejść na dół... o kurczę, wyglądasz wystrzałow! Jak tam było w Porthkerris, wciąż tak fajnie? Kiedy wróciłaś? Widziałaś się już z mamą? Biedactwo, źle się dzisiaj czuje...

- Jeszcze jej nie widziałam, bo chyba śpi. Jeremy twierdzi, że jest po prostu wyczerpana.

- To Jeremy tu jest?

- Przyjechał prawie równocześnie ze mną. Ma zostać przez kilka dni, więc pewnie teraz Mary szykuje dla niego kwatere. A ty wyglądasz jeszcze bardziej wystrzałow. Skąd masz taki szalony żakiet?

- Pożyczyłam od Atheny. To od Schiaparellego. Ale czekaj, muszę szybko coś ci powiedzieć, zanim poznasz Gusa. To najwspanialszy facet, jakiego w życiu spotkałam! Ciągłe coś razem robimy i jego wcale to nie nudzi!

Najwidoczniej czuła potrzebę podzielenia się z przyjaciółką tą szokującą informacją, bo jej twarz promieniała szczęściem. Nie próbowała nawet ukrywać, że jest zakochana do szaleństwa. Zawsze była ładna, ale teraz jakby jeszcze wypiękniała. Najwidoczniej z miłością było jej równie do twarzy, jak w czerwonym żakiecie Atheny.

- Ależ, Loveday, czy można się przy tobie nudzić? -zaprotestowała dla formy Judyta. - To chyba niemożliwe! - Ale wiesz, co mam na myśli?

- Wiem, i chwala Bogu za to. - Judyta wróciła do szczotkowania włosów. - A co takiego robicie razem?

- Och, masę rzeczy. Pływamy, zajmujemy się końmi, oprowadzam go po farmie i pokazuję mu ładne miejsca,

które mógłby malować. Bo wiesz, on jest prawdziwym artystą! Mógłby odnosić duże sukcesy, tylko że on woli zostać inżynierem. A może i żołnierzem...

- Żołnierzem?

- Tak, jeśli wybuchnie wojna. Jest rezerwistą pułku strzelców szkockich. - Nawet ta perspektywa nie była w stanie zaćmić radości Loveday.

- A Jeremy wstąpił do marynarki - uzupełniła Judyta.

- On też?

- Dlatego właśnie przyjechał do nas. Wykorzystuje ostatni urlop przed zaokrętowaniem.

- Coś podobnego! - Jednak Loveday, jak wszyscy zakochani, myślała tylko o sobie i obiekcie swych uczuć, więc zaraz zmieniła temat. - Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Gusa. Tylko żebyś nie była dla niego zbyt miła, bo mi go odbijesz! Czy życie nie jest cudowne? Myślałam, że on będzie podobny do tych wszystkich bub-ków, którzy nieraz przyjeżdżali tu z Edwardem, a tymczasem ani trochę!

- Całe szczęście, bo inaczej zatrułabyś mu życie. Loveday zachichotała.

- Pamiętasz tego mydłka, który o mało nie zemdlał, kiedy Edward przyniósł do domu ustrzelonego królika?

- Pamiętam, jaka byłaś okrutna dla tego biedaka.

- Wiem, ale on był taki śmieszny, przejmował się byle drobiazgiem... Schodź szybko, bo wszyscy na nas czekają. Mamy podane drinki w ogrodzie, a po obiedzie pójdziemy nad zatokę. Jest przypyływ, będzie można się wykąpać.

- Może raczej pojedę odwiedzić ciocię Lawinię.

- Czy to nie cud, że ona z tego wyszła? Nie przeżyłabym, gdyby umarła. No, chodź, przestań się mizdrzyć, i tak wyglądasz bosko!

Po wyjściu na dwór oślepił je blask słońca, spotęgowany dodatkowo światłem odbitym od tafli morza, pofalowanej letnim wiatrem. Wszystko wokół iskrzyło się i migotało, nawet srebrzystozielone liście eukaliptusów. Wiatr

porozrzucał po trawniku płatki przekwitłych róż i szarpał frędzlami parasola ogrodowego, osadzonego pośrodku stołu z lanego żelaza.

Na stole stała taca z kieliszkami, popielniczki i miseczki pełne orzeszków i chipsów. Wokół niego ustawiono w półkole składane krzesła, a na trawie rozesłano kraciaste pledy. Najwidoczniej Nettlebed okazał się przewidujący, wiedząc, że młodszy członkowie klanu Carey-Lewisów wolą przebywać na dworze, kiedy tylko pogoda na to pozwala.

Judyta rozejrzała się za Edwardem, ale jeszcze go tu nie było. Na dworze czekały tylko trzy osoby, usadowione tak, jakby upozował je artysta chcący wprowadzić jakiś sztafaż w krajobraz. Judyta wyobraziła sobie nawet taki obraz olejny w złotej ramie, wiszący w ekskluzywnej galerii i zatytułowany „W oczekiwaniu na lunch. Nancherrow, 1939”. Byłoby to dzieło, które chciałoby się kupić za wszelką cenę, byleby tylko mieć je w domu.

Spośród tych trojga Athena leżała na kocu, wsparta na łokciach. Wiatr rozwiewał jej blond włosy, a pół twarzy zakrywały olbrzymie okulary przeciwsłoneczne. Naprzeciw niej siedzieli na krzesłach dwaj panowie. Jeden był brunetem, a drugi blondynem. Pozrzucali już marynarki, podwinęli rękawy i zdjęli krawaty, aby czuć się jak naj-swobodniej.

Mężczyzn towarzyszących Athenie Judyta nie знаła. Wiedziała tylko, że nazywają się Gus Callender i Rupert Rycroft, ale który z nich był którym? Szczególnie ciekawił ją ten Gus, który zdołał podbić harde serce Loveday i doprowadzić do przemiany nieopierzonej nastolatki w świadomą swjej urody kobietę, w toaletach od Schiaparelle-go, ze szminką na ustach i żarem miłości w fiołkowych oczach! Loveday podbiegła do nich.

- Gdzie reszta? - zapytała z niecierpliwością. Na dźwięk jej głosu obecni przerwali rozmowę. Athena nie

ruszyła się z miejsca, natomiast obaj młodzi mężczyźni natychmiast, choć z wysiłkiem, powstawali ze składanych krzesel. - Siedźcie, gdzie wam wygodnie.

Judyta podążając za nią przez trawnik, raptem poczuła się niepewnie. Poznając nowych ludzi, zawsze była nieco onieśmielona, więc tylko modliła się, aby nikt tego nie zauważył. Zwróciła uwagę, że obaj panowie byli wysokiego wzrostu, ale jeden z nich był szczególnie tyczkowaty.

- Nie ma tu nic do picia? Zaschło mi w gardle po tylu modlitwach i psalmach! - gorączkowała się Loveday.

- Zaraz będzie, jeszcze trochę cierpliwości! - uspokajała młodszą siostrę Athena. - Judyto, kochanie, świetnie, że już jesteś. Nie było cię kopę lat. Chłopaki, to nasza przyszywana siostra Judyta. Bez niej w naszym domu od razu robi się pusto.

Athena, podobnie jak jej matka, potrafiła sprawić, aby każdy czuł się dowartościowany, toteż Judyta zaraz nabrała pewności siebie.

- Cześć! - powiedziała z uśmiechem, wymieniając uściski dłoni.

Okazało się, że ten wyższy to Rupert, który poświęcił tydzień swojego urlopu, aby przywieźć Athenę do domu. Ze swym schludnie przyciętym wąsikiem, nienagannie ostrzyżonymi włosami i - niestety - cofniętym podbródkiem wyglądał na typowego oficera gwardii. Nie sprawiał jednak wrażenia wymoczka, gdyż cerę miał spaloną na brąz tropikalnym słońcem, jego uścisk dłoni był pewny i stanowczy, a oczy spod ciężkich powiek patrzyły wesoło i przyjaźnie.

Natomiast Gus był wielką niewiadomą. Judyta próbowała dociec, cóż w nim może być takiego, co skłoniło Loveday do zarzucenia postawy zaczepno-obronnej, ale nie mogła się domyślić. Oczy miał czarne jak ziarna kawy, cerę oliwkową, a w podbródku dołek jakby wycięty dłutem rzeźbiarza. Mimo szerokich i ładnie wykrojonych ust

rzadko się uśmiechał. Zachowywał się powściągliwie, sprawiając wrażenie człowieka nieśmiałego i zamkniętego w sobie. Zestawienie tak nieodgadnionej osobowości z żarliwymi wyznaniem zakochanej Loveday było tak dziwne, że wydawało się prawie niemożliwe. Judyta nie miała więc pojęcia, jak mogło do tego dojść. Trudno jej było określić, czego się właściwie spodziewała, ale na pewno nie tego.

- Miło mi cię poznać - powiedział Gus i na jego wargach zamajaczył cień uśmiechu. Mówił wyraźnie, bez żadnego specjalnego akcentu ani przesadnej maniery, charakterystycznej dla większości kolegów Edwarda. Wyglądało na to, że wywodził się z zupełnie innych kręgów - no i dobrze!

- Gdzie wolisz usiąść? - spytał uprzejmie. - Proszę, tu masz krzeselko.

Wysunął naprzód jedno z ustawionych już krzesel.

- Gdzie są wszyscy? - ponowiła pytanie Loveday.

- Tato poszedł na górę do mamy, a Edward szuka czegoś do picia. Nettlebed nie chciał wystawić napojów na dwór, bo zagrzałyby się w słońcu - wyjaśniła jej Athena, kiedy już rozsiadły się wygodnie.

- A wiesz, że Jeremy też przyjechał?

- Wiem, Nettlebed mi mówił. To się mama dopiero ucieszy!

- Ale on dostał taki specjalny urlop - wtrąciła Judyta. - Zaciągnął się do marynarki jako lekarz okrętowy i w przyszłym tygodniu ma się już zameldować w Devonport.

- Boże, jaki on jest odważny i szlachetny! - wyraziła swój zachwyt Athena.

- Kto to jest Jeremy? - dopytywał się Rupert.

- Właśnie chciałam wam o nim opowiedzieć, kiedy przyszły Judyta i Loveday. On też jakby należał do naszej rodziny, bo bywał u nas od zawsze. Jego ojciec jest naszym lekarzem domowym, a on udzielał korepe-

tycji Edwardowi. Pewnie przyjechał, kiedy byliśmy w kościele.

- Zostanie tutaj do końca urlopu - dodała Judyta.

- No to musimy teraz mu specjalnie dogadzać i być dla niego mili.

Gus podniósł z trawy marynarkę, aby wyjąć z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Z wewnętrznej kieszonki wyleciał mu przy tym jakiś przedmiot i upadł obok krzesła Judyty. Był to mały, lecz gruby bloczek papieru, obwiązany gumką. Loveday rzuciła się w tamtym kierunku.

- Uważaj, bo zgubisz notes!

Gus w zakłopotaniu sięgnął po niego, ale Loveday była szybsza.

- Czy mogłabym pokazać Judycie twoje rysunki? Tak chciałabym, żeby je zobaczyła! Proszę...

- Jej to na pewno nie zainteresuje.

- Nie bądź taki skromny. Wszystkich nas to interesuje. Judycie zrobiło się żal Gusa, który niezbyt się palił,

aby wystawiać na widok publiczny to, co uważał za swoją prywatną własność.

- Loveday, może on nie chce, żeby wszyscy się na to gapili? - stanęła w jego obronie.

- Nie będziemy się gapić, tylko podziwiać.

- Zawsze nosisz szkicownik przy sobie? - zainteresowała się Judyta.

- Tak. - Niespodziewanie uśmiechnął się do niej, wdzięczny za wstawiennictwo, ale szybko spoważniał. - Nigdy nie wiadomo, kiedy natrafi się na coś, co chciałoby się uwiecznić. Niektórzy fotografują takie rzeczy, ale mnie lepiej idzie rysowanie.

- W kościele też masz ochotę rysować?

- Może i miałbym, ale brakuje mi odwagi. Po prostu czasem chciałoby się coś zabrać ze sobą.

- Jak resztę przy zakupach?

- O właśnie. - Zabrał bloczek Loveday i rzucił na kolana Judyty. - Trzymaj!

- Jesteś pewien, że chcesz mi to pokazać?

- Czemu nie? Tam są tylko pobieżne szkice. Loveday nie dała za wygraną. Przykłęka obok Judyty, zdjęła gumkę z bloczka i komentowała każdą stronę.

- A to jest nasza zatoka. Ślicznie Gus to narysował, prawda? I to w jednej chwili! To ta chwiejąca się skała nad wrzosowiskiem, a tu obora pani Mudge i kury łożące po schodkach...

W miarę przewracania kartek Judyta czuła narastający podziw. Małe ołówkowe rysunki wykonane były z taką precyzją, jakby kreśliła je ręka architekta. Każdy z nich autor opatrzył tytułem - na przykład: zatoka w Nancher-row, farma Lidgey - i dokładną datą, a potem podkolorował akwarelką. Barwy były takie, jak widziało je oko artysty, a więc dość oryginalne. I tak szyb starej kopalni cyny wydawał mu się fioletowy, granitowa skała przybrała odcień koralowego różu, a łupkowy dach - błękit hiacyntu. Ani Judyta, ani chyba większość obecnych nigdy nie postrzegła kolorów w ten sposób.

Na kolejnym obrazku była plaża i fale rozbijające się o brzeg. Piasek miał odcień kremowy, a horyzont - zamglonego błękitu. Następny rysunek przedstawiał kościół w Rosemullion. Artysta odwzorował dokładnie zabytkową, ciosaną w kamieniu futrynę drzwi i jedenaslowieczny portal wsparty na romańskich kolumnach. Judyta zrobiło się głupio, bo tyle razy przechodziła przez te drzwi i nie dostrzegła tego, na co Gus od razu zwrócił uwagę.

Doszli w ten sposób do połowy szkicownika.

- Dalej już są puste karki - oświadczyła Loveday, ale przerzuciła je do końca i triumfalnie obwieściła:

- A kuku, tu jest jeszcze coś! Gus namalował mój portret!

Nie musiała tego mówić, bo podobieństwo było oczywiste. Na tle morza rysowała się sylwetka Loveday, siedzącej na krawędzi klifu. Była boso, w różowej płóciennej sukience, a wiatr rozwiewał jej ciemne loki. Gus przesadził trochę z długością jej nóg, szczupłością szyi i wy-

stającymi łopatkami, ale uchwycił jej najbardziej charakterystyczne cechy: wrodzoną słodycz i wrażliwość. Dopiero teraz Judyta zrozumiała, że uczucie łączące Loveday i Gusa nie jest bynajmniej jednostronne. Widać było, że to portret malowany miłością, i Judyta w pewnej chwili poczuła się, jakby podglądała przez dziurkę od klucza.

Zapanowała cisza, tylko Athena i Rupert szeptali ze sobą. Athena plotła wianek ze stokrotek. Dopiero Loveday przełamała milczenie głośnym pytaniem:

- I jak ci się podoba? - Judyta na powrót zamknęła bloczek i obwiązała go gumką, a Loveday dodała jeszcze: - Czy on nie jest zdolny?

- Bardzo zdolny - odpowiedziała.

Podnosząc wzrok zauważyła, że Gus się jej przygląda. Przez ułamek sekundy jakby nawiązała z nim łączność duchową i odebrała telepatyczny przekaz: „Nie musisz nic mówić. I tak wiej, że ty wiesz!” Z uśmiechem odrzuciła mu bloczek, a on złapał go w powietrzu jak piłkę krykietową.

- Zdolny to mało - dodała. - Wprost genialny. Loveday miała rację. Dziękuję, że pozwoliłeś mi je obejrzeć.

- Nie ma za co. - Sięgnął po swoją marynarkę i cały urok tej szczególnej chwili prysł. Schował bloczek na miejsce i wyjaśnił: - Traktuję to tylko jako hobby. Nie chciałbym w taki sposób zarabiać na życie.

- A ja się założę, że byłbyś lepszym artystą niż inżynierem - zaproponowała Loveday.

- Mogę być jednym i drugim.

- Mimo wszystko raczej nie przypuszczam, abyś przymierał głodem gdzieś na poddaszu.

- Nie byłbym taki pewien. - Pokręcił głową z uśmiechem.

Z wnętrza domu dobiegł dźwięk zatraskiwanych drzwi. Athena podniosła głowę znad wianka ze stokrotek.

- To musi być Edward. Czemu on się tak grzebie? Usycham z pragnienia!

Przez krótki czas Judyta nie myślała o Edwardzie, lecz teraz, na dźwięk jego imienia, od razu wyleciały jej z głowy wszelkie przemyślenia na temat wzajemnego stosunku Gusa i Loveday. Ważne było, że Edward się zbliżał. Przez otwarte drzwi balkonowe dostrzegła, jak razem z Jeremym niosą tace z butelkami i szklankami. Obserwowała, jak idą na przelaj przez trawnik, śmiejąc się z jakiegoś kawału, którego stąd nie było słychać. Czuła, że serce jej rośnie, a całe ciało aż się pręży, żeby wybiec mu naprzeciw. Teraz już wiedziała na pewno, że go kocha, kochała i zawsze będzie kochać. Miała mu jeszcze do powiedzenia coś szczególnego, co pozostałoby tylko między nimi. Wyobrażała sobie, że będzie to coś takiego, jakby ofiarowała mu niezwykle kosztowny prezent i przyglądała się z boku, jak go odwija. To jednak zostawi sobie na później, kiedy będą sami. Na razie wystarczyło, że szedł już ku niej-

Gus wstał i zaczął przesuwać przedmioty stojące na stole, aby zrobić miejsce na dwie tace. Rupert wolał nie ruszać się z miejsca, układając we wdzięcznej pozie swoją tyczkowatą figurę i przymykając oczy przed światłem słońca.

- Aleśmy się nadźwigali! - oświadczył Edward, stawiając z łoskotem tace na stole. - A wy tu wszyscy leniuchujecie!

- My tu umieramy z pragnienia! - poskarżyła się w zamian Athena. - Cożeście tam tak długo robili?

- Pogadaliśmy trochę z Nettlebedem.

- Jeremy, jaką nam zrobiłeś cudowną niespodziankę! Chodź tu i daj pyska! - Jeremy zastosował się do tego polecenia. - Popatrz, ile tu dziś mamy nowych twarzy. Poznajcie się: Gus, Rupert i Jeremy.

Wiecie, że Jeremy wypływa już niedługo w morze? To się nazywa odwaga!

-Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę go w mundurze. No, który tam nalewa? Królestwo za odrobinę ginu z tomkiem! Lód może też przynieśliście?

Tymczasem Edward ustawił się między Judytą a słońcem tak, aby mogła patrzeć mu w twarz, widzieć jego błękitne oczy i pukiel spadający na czoło. Nachylił się nad nią, opierając ręce na poręczach krzesła, i przywitał ją pocałunkiem.

- Dojechałaś szczęśliwie? - zapytał.

- Jak widać, mniej więcej godzinę temu. Uśmiechnął się i wyprostował.

- Czego się napijesz?

W tej chwili niczego więcej nie trzeba jej było do szczęścia!

Kiedy każdy już dostał drinka i wszyscy rozsiedli się wygodnie - zaczęto snuć plany na popołudnie.

- My idziemy nad zatokę - oświadczyła Loveday. - To znaczy Gus i ja, a wy jak chcecie. O piątej będzie najwyższa fala przyływu.

- A kiedy chcielibyście wyruszyć? - upewniała się Athena.

- Jak najszybciej, zaraz po lunchu. Zrobimy sobie piknik... Proszę was, chodźmy wszyscy! -

Popatrzyła błagalnym wzrokiem na Ruperta. - Chciałbyś, prawda?

- Ja tak, a ty, Atheno?

- Gdzieżbym coś takiego przepuściła! Pewnie, że pójdziemy wszyscy. Z wyjątkiem tatusia, bo on nie lubi pikników.

- I mamy - dodał Jeremy, siedząc po turecku na trawie, z kuflem piwa w ręku. - Dzisiejszy dzień ma spędzić w łóżku.

- To zalecenie lekarskie?

- Tak, zalecenie.

- Ale nie jest chora, prawda?

- Nie, ale przemęczona. Potrzebuje odpoczynku.

- To może niech Mary pójdzie z nami i pomoże nam przy pikniku? Nie będziemy wymagać od pani Nettlebed dodatkowej roboty po takim lunchu, jaki nam przygoto-

wała. Niech przynajmniej niedzielne popołudnie ma dla siebie.

- Ja się tym zajmę - zaproponowała Loveday. - Mamy całą puszkę czekoladowych ciasteczek, a pani Nettlebed upiekła babkę cytrynową. Widziałam to jeszcze dziś rano.
- Musimy jeszcze zabrać całe litry herbaty i lemoniady, no i oczywiście pieski.
- Zaczyna to przypominać wyprawę wojenną - zażartował Rupert. - Pewnie zaraz każecie mi wykopać latrynę.
- Nie wygłupiaj się! - Athena dała mu klapsa.
- Albo rozbić namiot... - ciągnął dalej w tym samym duchu. - Nigdy mi się to nie udawało.
- A może udawało ci się rozpalanie ognisk? - podpuszczała go Athena. - Chociaż nie, nie musisz tego robić. Edward jest specjalistą w tej dziedzinie.
- W taki upał jeszcze zachciewa ci się ogniska? - oburzył się Edward.
- Moglibyśmy coś na nim upiec.
- Na przykład co?
- Kiełbaski albo kartofle czy rybę, gdyby ktoś ją złowił.
- Ciekawe czym?
- Ościeniem albo na haczyk ze szpilki uwiązanej na sznurku.
- Osobiście nie radziłbym w taki upał rozpalać ogniska. Mogą wyjść z tego tylko kłopoty. Zresztą ani Judyta, ani ja nie wybieramy się nad zatokę. Odpowiedziały mu okrzyki niezadowolenia i zawodu.
- Ależ musicie! Dlaczego nie chcecie? Co się stało?
- Umówiliśmy się już wcześniej, że pojedziemy odwiedzić ciocię Lawinię.
- A ona przynajmniej wie o tym?
- Pewnie, prosiła, żebyśmy do niej przyszli. Nie widziała Judyty, odkąd zachorowała. Oczywiście wpadniemy tylko na chwilę.
- No, jeśli tylko na chwilę, to możecie przyłączyć się do nas później - zarządziła Athena. - Zostawimy wam

jeden koszyk z prowiantem, żebyście mieli świadomość, że nam zabraknie, jeśli nie przyjdziecie. A jeśli już mowa o prowiancie... - Podniosła w górę okulary, aby spojrzeć na zegarek.

- Umierasz z głodu, prawda? - podsunął Rupert.

- Jak się tego domyśliłeś?

- Instynkt mi podpowiada. Ale spróbuj jeszcze nie mdleć, bo pomoc właśnie nadchodzi.

Pomocą tą miało być zapewne pojawienie się pułkownika Carey-Lewisa. Szedł z salonu przez trawnik wprost ku trójce swoich dzieci i ich przyjaciół. Miał wciąż na sobie odświętny garnitur, a wiatr zwichrzył mu nad czołem rzadziejące włosy. Uśmiechając się nieśmiało, próbował je przyglądać.

- Przepraszam, że muszę wam trochę przeszkodzić - usprawiedliwiał się, ale i tak czterech młodych ludzi natychmiast zerwało się na nogi. - Nettlebed prosił, aby wam oznajmić, że lunch za chwilę będzie na stole.

- Może tato najpierw napiłby się z nami?

- Dziękuję, napiłem się już sherry z mamusią.

- Jak ona się czuje? - Athena przyskoczyła do niego, strząsając z kolan główki stokrotek i żdźbła trawy.

- Już dobrze. Mary zaniósł jej zupę, bo mówiła, że nie ma ochoty na rostbef. Myślę jednak, że do końca dnia zostanie w łóżku.

- Moje biedactwa! - uzałiła się Athena, biorąc ojca pod ramię. Razem poszli w kierunku domu, a reszta podążała za nimi, zbierając na tace puste butelki i szklanki.

Gus z własnej inicjatywy wziął jedną z nich i spytał Edwarda:

- Gdzie mam to zanieść?

- Idź za mną, a trafimy prosto do spiżarni Nettlebeda. Wracając do domu, utworzyli długiego węża.

Pochód

zamykała Judyta, niosąc popielniczkę i dwie szklanki, które nie zmieściły się na tacach. Na pozostawione na zewnątrz krzesła i koce rzucał teraz cień parasol ogrodowy.

Po sprzątnięciu ze stołu talerzyków deserowych podano kawę. Athena zażyczyła sobie, aby wypić ją w jadalni, bo jak słusznie argumentowała:

- Jeśli przejdziemy do salonu, to zaraz jedni zasną w fotelach, inni wsadzą nos w gazety i popołudnie się rozlezie, zanim się jeszcze zacznie.

Loveday od razu przychyliła się do jej zdania.

- Nie mam ochoty na kawę. Idę już szykować wszystko na piknik.

- Tylko nie płacz się pani Nettlebed pod nogami! - ostrzegła ją Mary.

- Nie będę, ale może byś poszła mi pomóc? We dwie pójdzie szybciej! - Proszącym tonem dodała jeszcze: - Chcielibyśmy, żebyś poszła z nami. Wieki nie byłaś nad zatoką. I psy też zabierzemy!

- Pekoe nie ruszy się z miejsca. Zwinął się w kłębu-szek na łóżku twojej mamusi i śpi jak aniołek.

- To weźmiemy Tigera. Pomóż mi, Mary, proszę!

- Jak żyję, nie widziałam takiej dziewczyny! - westchnęła Mary. Jasne było, że wolałaby posiedzieć i odpocząć po obfitym niedzielnym obiedzie, ale gdzieżby rozpieszczona przez nią Loveday nie dopięła swego! Mary już wstawiała od stołu, przeprosiła pana domu, zabrała swoją filiżankę wraz ze spodkiem i w ślad za Loveday podążyła do kuchni. Słysząc jeszcze było, jak Loveday ze śmiertelną powagą instruowała ją:

- Posmarujemy bułeczki i nagrzejemy wody, żeby zaparzyć cały sagan herbaty...

Edward też zaczął się niecierpliwić.

- Myślę, że darujemy sobie kawę - zaproponował Judycie. - Powinniśmy już jechać, bo po obiedzie ciocia jest jeszcze ożywiona, a potem robi się oraz bardziej senna. Teraz mamy szansę zastać ją w najlepszym samopoczuciu.

- Tylko nie siedźcie u niej za długo, żeby jej nie przemęczać! - przestrzegał ojciec. - Najwyżej pół godziny!

- Oczywiście, tatusiu, daję słowo.
- Kiedy będziecie z powrotem? - dopytywała się Athena.
- Myślę, że około wpół do czwartej.
- I wtedy dołączycie do nas?
- Kiedy przyjedziemy, wtedy będziemy.
- Zostawimy wam w hallu jeden koszyk piknikowy, żebyście go przynieśli.
- Czy to ma być kara?
- Nie, tylko gwarancja, że na pewno przyjdziecie. Jest akurat idealna pogoda, żeby popływać.
- Dobrze, będziemy tam. Gotowa? - zwrócił się do Judyty.

Wstała od stołu, a wszyscy pozostali zegnali ją uśmiechami i wykrzykiwali ostatnie dyspozycje:

- Tylko wracajcie szybko!
- Pozdrówcie ciocię Lawinię!
- Przekażcie jej moje specjalne pozdrowienia!
- Uprzedźcie ją, że wybieram się do niej wieczorem!

W końcu wyszli i wśród wielu samochodów zaparkowanych przed domem odnaleźli wóz Edwarda, którym przedtem podwoził Athenę i Ruperta do kościoła. Samochód przez cały czas stał w słońcu, więc jego obite skórą siedzenia nagrzały się jak rozpalona blacha.

- Uff, ależ piec! - syknął Edward, opuszczając szyby w samochodzie, co spowodowało lekki przeciąg. Do obiadu ze względu na ojca założył krawat, ale teraz go zdjął i rozpiął kołnierzyk swojej niebieskiej koszuli. - Powinienem był zaparkować w cieniu. Ale to nic, za to potem chętniej chlupniemy do morza. A jeszcze przyjemniej będzie, jeżeli zrobimy to ze świadomością spełnionego obowiązku.
- Dla mnie to wcale nie jest obowiązek! - zaprotestowała Judyta, choć rozumiała jego punkt widzenia.
- Masz rację - zgodził się Edward zapuszczając silnik. Ruszył po ostrym żwirze podjazdu, aby szybko skryć się w chłodnym tunelu wysadzonej drzewami alei. - Tylko

pamiętaj, że to już nie jest ta sama ciotka co przedtem, zawsze żywa i ruchliwa. Miała ciężkie przejścia i widać to po niej.

- To nic, najważniejsze, że żyje, a kiedyś znów odzyska siły.

Jednak kiedy przemyślała to jeszcze raz, uświadomiła sobie, że przecież ciotka Lawinia była już bardzo stara. Przyszło jej na myśl jeszcze coś innego.

- O rany, nie mamy dla niej żadnego prezentu. Żeby choć jakieś kwiatki albo czekoladki...

- Ciotka jest bez przerwy zasypywana prezentami. Dostaje całe góry winogron, wody kolońskiej, mydła „Chanel” i tym podobnych rzeczy. Nie tylko od rodziny, ale od bliższych i dalszych znajomych, którzy chcą w ten sposób uczcić fakt, że jeszcze nie wyciągnęła nóg.

- Przyjemnie jest mieć na starość dużo przyjaciół. Gorzej być starym i samotnym.

- A jeszcze gorzej - starym, samotnym i biednym. Słowa te były zupełnie nie w stylu Edwarda, toteż Judyta aż uniosła brwi.

- A skąd ty możesz wiedzieć takie rzeczy?

- W majątku mamy takich samotnych staruszków. Czasem ich z ojcem odwiedzamy, żeby sprawdzić, jak im się żyje. Zwykle kiepsko.

- I co wtedy robicie?

- Niewiele można zrobić. Przeważnie nie chcą się ruszyć z miejsca. Nie przeniosą się do swoich dzieci ani tym bardziej do domu starców... Chcą po prostu umrzeć we własnych łóżkach.

- To zrozumiałe.

- Tak, ale i kłopotliwe. Szczególnie wtedy, gdy potrzebujemy ich mieszkań dla nowego parobka czy gajowego...

- Ale chyba nie wyrzucacie ich na bruk?

- Wiesz, jak to zabrzmiało? Jak z wiktoriańskiej po-

wieści! Oczywiście, że ich nie wyrzucamy. Zapewniamy im opiekę, dopóki sami nie wymrą.

- A gdzie w tym czasie mieszka taki parobek czy gajowy?

- Bo ja wiem? - Edward wzruszył ramionami. - Może u swoich rodziców albo na stacji... Trzeba brać pod uwagę wszystkie okoliczności.

Judyta w tym momencie pomyślała o Phyllis. Opowiedziała Edwardowi, w jakich warunkach ją zastała.

- ...ucieszyłam się, że ją widzę, ale przykro mi się zrobiło, kiedy zobaczyłam, w jakim nędznym domku mieszka... A jeszcze kiedy Cyryl zaciągnie się do marynarki, wyrzucą ją i stamtąd, bo ten dom należy do zarządu kopalni.

- Normalne, przecież to mieszkanie służbowe.

- Ale to nie jest w porządku!

- Dlaczego? Każdy przedsiębiorca chce zapewnić mieszkania przede wszystkim swoim pracownikom.

- A czy każdy nie powinien mieć własnego domu?

- Dobrze by było, ale to niemożliwe.

Judyta umilkła. Akurat wjechali na główną szosę, biegnącą w dół do Rosemullion. Drzewa rzucały plamy cienia na asfalt, a nad rzeczułką o brzegach żółtych od kaczeńców drzemała w słońcu senna wioska. Judyta ciągle myślała o Phyllis, ale także i o tym, że zabawnie jest rozmawiać na takie tematy z Edwardem, którego kochała jak nikogo w świecie, a nie widziała go od czasu, kiedy skąpał Billy'ego Fawcetta w rynsztoku. Z drugiej strony to nawet lepiej, że mogli rozmawiać nie tylko o miłości, lecz i o poważniejszych problemach. W końcu znali się tak długo, że stanowił jakby część jej życia.

Wróciła jeszcze do przerwane go tematu.

- A jak sądzisz, czy kiedykolwiek będzie to możliwe, czy też jest to utopia? To, żeby wszystkim było dobrze?

- Nie przypuszczam.

- A to, żeby wszyscy byli równi?

- Nigdzie na świecie nie ma równości. A w ogóle to po co rozmawiamy o takich poważnych sprawach? Lepiej mówmy o czymś wesołym, wtedy przyjedziemy do Dower House w dobrym humorze i sprawimy przyjemność wszystkim, nawet Isobel i pielęgniarce.

I rzeczywiście już w progu natknęli się na te właśnie osoby. Isobel otworzyła im drzwi, a pielęgniarka akurat schodziła ze schodów z tacą, na której podawała ciotce Lawinii obiad do łóżka. Mimo upału paradowała w pełnym rynsztunku - nakrochmalonym białym fartuchu i czepku oraz grubych czarnych pończochach. Wyglądała dość odstręczająco i Judyta dziękowała Bogu, że nie jest chora i nie musi znajdować się pod opieką takiej jędzy. Na szczęście ciotka Lawinia nie należała do osób dających się łatwo zastraszyć.

Edward przedstawił pielęgniarce Judycie jako siostrę... Vellanowath! Ściskając jej dłoń, Judyta z trudem tłumiała śmiech, a kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu - dała Edwardowi sówkę w bok.

- Czemu nie uprzedziłeś mnie, że ona się tak nazywa? - syknęła z wściekłością.

- Chciałem ci zrobić miłą niespodziankę.

- Przecież żaden człowiek nie może się tak nazywać!

- Owszem, może i ona właśnie jest na to dowodem. - Mówiąc to, sam się śmiał.

Sypialnia ciotki Lawinii tonęła w słońcu i kwiatkach. Pełno stało tam sreber, kryształów, zdjęć w ramkach i książek. Starsza pani na wpół siedziała w łóżku, wysoko podparta poduszkami obramowanymi koronką. Ramiona jej okrywał szal z delikatnej szetlandzkiej wełny, a siwe włosy miała schludnie uczesane. Na widok wchodzących zdjęła okulary i szeroko rozpostarła ramiona w powitalnym geście.

- Moi najdrożsi, tak na was czekałam! Ledwo przełknęłam obiad, bo karmiłam mnie samą gotowaną rybą,

a zjadłabym już kawał baraniny! Chodźcie tu bliżej, niech was uścisnę. Judyto, tak długo cię nie widziałam...

Widać było, że wskutek choroby mocno schudła - twarz pokrywała zaledwie skóra naciągnięta na kości policzkowe, a oczy zapadły się głębiej. Spojrzenie jej jednak było równie żywe jak zawsze, a wychudzone policzki marszczyły się w uśmiechu. Judyta nachyliła się, aby ją ucałować.

- Przykro mi, że nic cioci nie przyniosłam... - zaczęła.

- Nie trzeba mi żadnych prezentów, grunt, że widzę tu ciebie i Edwarda! Jak to miło, że przyszedłeś, drogi chłopcze, chociaż w taką pogodę na pewno wolałbyś wskoczyć do morza.

- Ciocia czyta w moich myślach! - Edward się roześmiał. - Ale jedno drugiemu nie przeszkadza.

Zanim Loveday i Mary Millyway przygotowują wszystko na piknik, zdążymy się do nich przyłączyć.

- Jeżeli tak, to nie mam wyrzutów sumienia. Usiądźcie sobie wygodnie i opowiedzcie mi, coście porabiali. Zawsze myślałam, że podczas choroby człowiek strasznie się nudzi, a tymczasem miałam tu więcej gości niż przez wszystkie poprzednie lata. Co prawda niektórzy szeptali po kątach, jakbym już miała umierać, ale większość okazała się sympatyczna. Nawet nie pamiętałam, że mam tylu przyjaciół.

Judyta przysunęła sobie krzesło do wezglowia łóżka, a wtedy pani Boscawen ujęła jej dłoń w swoją. Była to typowa ręka starej kobiety, o kościstych palcach z wyrobionymi stawami, lecz za to ozdobiona mnóstwem pierścionków.

- No, teraz mów. Jak minął ci pobyt w Porthkerris? Dużo gości teraz macie w Nancherrow? I opowiedz mi wszystko o tym młodym człowieku, który kręci się koło Atheny...

Wizyta upłynęła na rozmowie gęsto przetykanej śmiechem. W ciągu pół godziny oboje przekazali ciotce La-

winii najświeższe wiadomości i ploteczki towarzyskie, także na temat Ruperta, Jeremy'ego i Gusa...

- Gus? - zainteresowała się starsza pani. - To twój kolega, prawda? Edgar mówił mi, że wreszcie i Loveday poczuła wolę bożą. Pomyśleć, jak to się dzieje, że małe dziewczynki tak nagle dorastają. Oby tylko nie doznała zawodu! A co porabia moja kochana Diana?

Judyta i Edward poinformowali ciotkę o złym samopoczuciu Diany. Oczywiście zmartwiła się tym, więc natychmiast uspokoili ją, że to tylko skutki nadmiernego zmęczenia.

- To przeze mnie! - Ciotce zrobiło się przykro. - Napędziłam wszystkim tyle strachu! Diana jest naprawdę świętą kobietą. Przychodziła tu codziennie, żeby mieć oko na wszystko.

Na szczęście nie spytała o przyczynę przyjazdu Jere-my'ego do Nancherrow. Edward i Judyta postanowili bowiem, jakby się umówili, że nie wspomną ciotce o jego wstąpieniu do wojska. Na cóż jeszcze miałyby się martwić i o niego, i o rozwój sytuacji międzynarodowej? Lepiej było jej tego oszczędzić.

- Zostajesz tu na całe lato? - spytała Judyty.

- Na razie tak. Potem wybieram się do cioci Bidy. Pojedziemy razem do Londynu, bo muszę sprawić sobie trochę nowych rzeczy na wyjazd do Singapuru.

- Ach, rzeczywiście, zapomniałam, że już niedługo od nas odjedziesz. Kiedy to będzie?

- W październiku.

- I jak długo tam zostaniesz?

- Około roku.

- No, to mamusia się uraduje! Tak się cieszę, że wasza rodzina znowu będzie razem.

Czas wizyty jednak zdecydowanie miał się ku końcowi. - Edward dyskretnie spojrzął na zegarek.

- Chyba będziemy się już zbierać. Nie chcielibyśmy cioci męczyć...

- Wcale mnie nie męczycie. Przeciwnie, bardzo mi dobrze z wami.
- Może ciocia chciałaby, żeby coś jej przynieść albo zrobić specjalnego?
- Dziękuję, mam wszystko, czego mi trzeba. Chociaż... - przypomniała sobie nagle - moglibyście coś dla mnie zrobić.
- Co to takiego?

Ciotka puściła rękę Judyty, którą dotychczas trzymała, i sięgnęła do szuflady w swojej szafce nocnej. Wyciągnęła stamtąd klucz opatrzonej tabliczką.

- To klucz od „chatki” - zaanonsowała wręczając go Edwardowi.
- Co ma tu do rzeczy „chatka”?
- To, że tylko ja zawsze utrzymywałam ją w porządku. Wietrzyłam tam, obmierałam pajęczyny, sprawdzałam, czy jest sucho... A odkąd zachorowałam, nikt o to nie dba, więc może byście przed odjazdem zajrzeli tam, czy wszystko jest w porządku? Boję się, że chłopaki ze wsi mogły tam coś spsościć, nawet nie ze złej woli, tylko w przystępie dobrego humoru. Gdybym wiedziała, że nic się tam nie dzieje, kamień spadłby mi z serca. Za bardzo kocham to miejsce, abym mogła znieść myśl, że jest zaniedbane.

- Ciocia stale nas zadziwia! - roześmiał się Edward - Żeby myśleć teraz akurat o „chatce”?
- Dla mnie to ważna sprawa.
- W takim razie przyrzekamy, że zaraz pójdziemy tam z Judytą, pootwieramy na przestrzał okna, drzwi, wygonimy myszy i żuki.
- Wiedziałam, że tylko wy jedni mnie zrozumiecie - odetchnęła z ulgą ciotka Lawinia.

Stary ogród drzemał w ciszy słonecznego niedzielnego popołudnia. Edward poszedł pierwszy ścieżką wśród grządek róż i po kamiennych schodkach prowadzących do sadu. Skoszoną trawę ogrodnik pozgrabiał w małe kupki,

ale dojrzewające owoce zaczynały już spadać z drzew. Gniły na ziemi, oblepione przez roje os. W powietrzu czuć było zapach fermentujących jabłek.

- Czy nikt ich nie zerwie? - zainteresowała się Judyta.

- Niby jest tu ogrodnik, ale w wieku ciotki Lawinii i Isobel. Potrzebowałby kogoś do pomocy przy zbieraniu jabłek, aby móc przechować je na zimę. Muszę powiedzieć ojcu, żeby przysłał tu Waltera Mudge'a czy któregoś z młodszych chłopaków.

Edward szedł pierwszy, schylając się pod gałęzmi ciężkimi od owoców. Na którymś drzewie śpiewał kos. W najbardziej zacienionym zakątku kryła się „chatka”. Edward wszedł na schodki prowadzące do jej drzwi, przekręcił klucz w zamku i pierwszy wszedł do środka. Judyta podążyła za nim.

Między łózkami mało było miejsca, więc musieli stać blisko siebie. W powietrzu wciąż unosił się przyjemny zapach kreozotu, ale przede wszystkim było tu gorąco i duszno. Wokół sztormowej latarni zwieszającej się ze środkowej belki krążyła mucha plujka, a w narożniku rozciągała się ogromna pajęczyna upstrzona martwymi owadami.

Edward musiał użyć nieco siły, aby pootwierać wypaczone okna. Kiedy mu się to udało, mucha wyleciała z brzękiem na dwór.

- Co zrobimy z tą okropną pajęczyną? - zatroskała się Judyta.

- Trzeba ją jakoś usunąć.

- Ale czym?

Spod skrzynki po pomarańczach, pełniącej rolę kredensu, Edward wyciągnął szczotkę i szufelkę.

- Od czasu do czasu zamiataliśmy tu podłogę - wyjaśnił.

Judyta, krzywiąc się z obrzydzeniem, przyglądała się, jak starannie Edward zmiata na szufelkę pajęczynę wraz

z jej zawartością. Potem wyszedł na zewnątrz i wytrząsnął to wszystko w trawę.

- Czy widzisz tu jeszcze coś do zrobienia? - zapytał wracając.

- Myślę, że już nic. Nie widać śladów myszy, ptasich gniazd ani dziur w kocach. Najwyżej można by umyć okna.

- Zajęcie w sam raz dla ciebie, w razie gdybyś nie miała nic lepszego do roboty. - Schował szczotkę i szufelkę z powrotem do zaimprovizowanego kredensu i przysiadł na brzegu jednej z prycz. - Można bawić się tu w dom.

- Czy bawiliście się tak z Atheną?

Usiadła naprzeciw niego. Wyglądało to, jakby rozmawiali w przedziale kolejowym trzeciej klasy lub w kajucie statku.

- O nie, tu nie było żadnych byle jakich zabaw na niby! Rozpalaliśmy prawdziwe ognisko i gotowaliśmy posiłki, nawet takie, na które byśmy w normalnych warunkach nie spojrzeli. Piekliśmy kiełbaski, smażyliśmy kotlety baranie, a nawet ryby, jeśli ktoś je złowił. Wtedy jakoś dziwnie wszystko nam smakowało, choć przeważnie było na wpół surowe lub przypalone.

- I coście tu jeszcze robili?

- Właściwie nic poważnego. Najprzyjemniej było spać przy otwartych oknach i drzwiach, tak by móc słyszeć wszystkie odgłosy nocy. Tylko że czasem bywało piekielnie zimno, a raz zerwała się burza... Siedział teraz tak blisko niej, że mogła dotknąć ręką jego policzka. Jego skóra była gładka i opalona, a ramiona porośnięte delikatnym, złocistym włosom. Oczy miały ten sam odcień błękitu co niebieska koszula, a na czoło spadał kosmyk blond włosów. Siedziała więc w milczeniu, chłonąc oczami jego urodę.

- Błyskawice rozdzierały niebo, a nazajutrz dowiedzieliśmy się, że przy Zachodnim Cyplu rozbił się statek

mówił dalej Edward. - Z pokładu tego statku wzywano pomocy raketami, a myśmy myśleli, że to komety latają po niebie.

- To musiało być frapujące.

W tym momencie spotkały się ich spojrzenia. Edward od razu zmienił temat.

- Czy wiesz, jak wypiękniałaś? Tak tęskniłem za tobą... - Co ty mówisz?

- Nie mówiłbym tego, gdybym tak nie myślał. Tak dobrze jest tu siedzieć we dwoje, bez tłumów innych ludzi...

- Muszę ci coś powiedzieć - oświadczyła wprost.

- Coś ważnego? - Twarz mu się nieco zmieniła.

- Myślę, że tak, przynajmniej dla mnie.

- Cóż to takiego?

- Chodzi o... Billy'ego Fawcetta.

- Chyba mi nie powiesz, że ten stary cap znowu się objawił?

- Nie. Teraz już zniknął na zawsze.

- Wytłumacz to jaśniej.

- Miałaś rację. Mówiłeś, że trzeba mi katalizatora, i właśnie mi się nadarzył. Zmienił wszystko.

- Opowiedz, jak to było..

Opowiedziała mu więc o koszmarnych przeżyciach El-lie w kinie, wściekłości pana Warrena i wniesieniu przeciwko Billy'emu formalnego oskarżenia o obrazę moralności publicznej i deprawowanie małoletnich.

- ...tryby wymiaru sprawiedliwości miałą wolno, ale dokładnie.

- I chwala Bogu. Co teraz będzie z tym starym zboczeńcem?

- Przypuszczam, że sprawa stanie na najbliższej sesji Sądu Rejonowego w Bodmin.

- A do tego czasu będzie żył w strachu, więc może „lo go nauczy trzymać ręce z dala od dziewcząt.

- Dzięki temu poczułam się silniejsza. Teraz już niczego się nie boję.

- No więc... - Uśmiechnął się, położył jej ręce na ramionach i pocałował w usta, przechylając się ponad dzielącą ich przestrzenią. Pocałunek był zrazu delikatny, lecz szybko przerodził się w namiętny, gdy Judyta tym razem wcale się nie broniła. Kiedy jego język wwiercał się między jej wargi - otworzyła przyzwalająco usta i poczuła coś jakby prąd elektryczny, przesywający jej całe ciało...

Edward wstał, otoczył ją ramionami, podniósł w górę i ułożył na tej samej pryczy, na której siedziała. Potem usiadł przy niej, poprawił jej poduszki pod głową, odgarnął włosy z twarzy i delikatnie zaczął odpinać małe perłowe guziczki z przodu jej sukienki.

- Edwardzie... - zdołała wyszeptać.

- Miłość na tym się nie kończy. Ona się tu dopiero zaczyna.

- Ale ja jeszcze nigdy...

- Wiem, wiem. Za to ja mam trochę doświadczenia i wszystkiego cię nauczę...

Zsunął z ramion Judyty sukienkę, a potem atlasowe ramiączka jej stanika. Poczowała chłód na swoich nagich piersiach, a Edward wtulił twarz w zagłębienie między nimi. Okazało się, że wcale nie była tym przerażona - przeciwnie, równocześnie rozluźniona i podniecona. Ujęła oburącz jego głowę, tak by móc spojrzeć mu w twarz, i szepnęła:

- Kocham cię, Edwardzie. Właśnie teraz chcę, żebyś to wiedział.

Potem nie miała już czasu ani sposobności, ani nawet ochoty, aby powiedzieć coś więcej.

Ciszę przerwało brzęczenie jakiegoś owada. Tym razem nie była to mucha plujka, lecz trzmiel opity nektarem. Judyta otworzyła oczy i obserwowała, jak z hałasem uwijał się pod pochyłym sufitem, aż wreszcie przysiadł na którymś z zakurzonych okien.

Poruszyła się i zobaczyła, że Edward leży przy niej,

a jej głowa spoczywa na jego ramieniu jak na poduszce. Kiedy obróciła się, uchwyciła w niepokojąco bliskiej odległości spojrzenie jego błyszczących oczu. W każdej tęczówce widziała tyle odcieni błękitu, że zdawało się jej, iż zagląda w głąb morza.

- Wszystko w porządku? - zapytał łagodnym, cichym głosem.

Judyta przytaknęła.

- Nie zrobiłem ci krzywdy? Potrząsnęła przecząco głową.

- Byłaś wspaniała! Odpowiedziała uśmiechem.

- A jak się teraz czujesz?

- Chcę mi się spać.

Położyła rękę na jego nagiej piersi, czując pod palcami żebra pokryte warstwą sprężystych mięśni i opaloną na brąz skórę.

- Która godzina? - spytała.

Podniósł rękę do oczu, żeby popatrzeć na zegarek.

- Wpół do czwartej.

- To już późno.

- Późno na co?

- Przecież mieliśmy zajrzeć tu tylko na chwilę.

- „W szczęściu czas szybciej płynie”, jak mawia Mary Millyway. No, ale rzeczywiście musimy się stąd ruszyć, żeby choć pokazać się na pikniku, inaczej nie będzie końca kłopotliwym pytaniom.

- Myślę, że masz rację. Pocałował ją.

- Poleż jeszcze trochę, bo muszę się najpierw rozluźnić. Aż tak bardzo nam się nie spieszy.

Uwolnił swoje ramię spod jej głowy i obrócił się do niej plecami. Włożył koszulę, slipy, wciągnął spodnie, wepchnął w nie poły koszuli, zapiął pleciony skórzany pasek z klamrą... Za drzwiami słychać było, jak w sadzie wiatr porusza gałęzmi drzew, których cienie tańczyły po

drewnianych ścianach „chatki”. Gdzieś na drzewie śpiewał kos, a z dalszej odległości dochodziło skrzeczenie mew i sapanie silnika samochodu pnącego się pod górę przy wyjeździe z Rosemullion. Edward wyszedł na ganek, oparł się o słupek i zapalił papierosa. Judyta przekręciła się na bok i wpatrywała się w niego, gdyż przypominał bohatera jednej z powieści Somerseta Maughama, której akcja rozgrywała się na Malajach. Sąd wydał jej się w tej chwili dżunglą, z której zaraz wybiegnie ciemnoskóra piękność w sarongu, aby rzucić się w ramiona zblazowanego białego dekadenta. Na sam dźwięk imienia Edwarda rysy jej twarzy układały się w uśmiech. Teraz już przekroczyli granicę, poza którą nie było odwrotu. Trzeba przyznać, że Edward okazał się przy tym wspaniały, wyrafinowany, a zarazem czuły. Tworzyli więc parę i przypuszczalnie było kwestią czasu, kiedy się pobiorą, a wtedy zostaną razem na zawsze. Nie miała wątpliwości, że do tego dojdzie, choć nie myślała nawet o tradycyjnych obrzędach, jak oświadczyzny, zaręczyny czy ślub. Wszystko to uważała za mało ważne ozdobniki, podczas gdy oni z Edwardem byli już sobie jakby zaślubieni. Przeciągnęła się, usiadła i pozbierała z podłogi swoje majtki, stanik i sukienkę. Chętnie przyczesałaby włosy, ale nie miała przy sobie grzebienia. Zanim się ubrała, Edward skończył papierosa, wyrzucił niedopałek i znowu siadł przy niej, tak jak godzinę temu. Godzinę? Chyba cały wiek!

Nie odzywała się, więc Edward sam zaczął:

- Naprawdę musimy już iść.

Jednak Judyta nie chciała jeszcze stąd odchodzić. Miała mu tyle do powiedzenia...

- Kocham cię, Edwardzie. Myślę, że zawsze cię kochałam. - Jak cudownie było móc wreszcie wypowiedzieć na głos te słowa i nie musieć się z tym ukrywać! - Teraz

już wiem, że nigdy nie będę w stanie kochać nikogo innego.

- Ależ na pewno będziesz - sprzeciwił się Edward.
- Ty nic nie rozumiesz. Nigdy już nikogo nie pokocham tak jak ciebie.
- Jeszcze niejednego pokochasz - powtórzył z naciskiem. - Nie jesteś już małą dziewczynką, ale masz zaledwie osiemnaście lat i stoisz u progu dorosłego życia. Jeszcze wszystko przed tobą. To dopiero początek.
- Wiem. Początek wspólnego życia z tobą.
- Nie. Nie ze mną. - Potrząsnął głową.
- Ależ... - zaczęła zbита z tropu.
- Posłuchaj, to, co powiem teraz, nie oznacza wcale, że cię nie kocham. Przeciwnie, jestem pełen czułości, opiekuńczości i jeszcze bardziej pozytywnych uczuć, ale to wszystko jest dobre na dziś, a nie na zawsze.

Słuchała w milczeniu, porażona wydźwiękiem tych słów. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi. Nie mógł przecież nie wiedzieć, co robi! Tak wyraźnie czuła, że kocha i jest kochana - czyżby on nie czuł tego samego? Nie rozumiał, że już należą do siebie nawzajem?

Okazało się jednak, że jest inaczej, niż myślała. Próbowwała jeszcze znaleźć jakieś słabe punkty w jego argumentach, uzasadnienie dla jego wykrętnych tłumaczeń...

- Wiem, o co ci chodzi. Pewnie o to, że wybuchnie wojna, a ty wstąpisz do lotnictwa i kto wie, czy cię nie zabiją. Nie chciałbyś, żebym została sama, tak?
- Wojna nie ma tu nic do rzeczy - uciął krótko jej wywody. - Kiedyś pewnie zechcę się z kimś związać na stałe i mieć dzieci. Może, kiedy odziedziczę po ojcu Nancherrow... Ale na razie nie mam nawet dwudziestu dwóch lat i trudno, żebym teraz podejmował ważne decyzje życiowe z pistoletem przystawionym do skroni. Ożenię się nie wcześniej niż w wieku jakichś trzydziestu pięciu lat, a do tego czasu ty dawno ułożysz sobie życie. Teraz przecież jedziesz do Singapuru, a tam na pewno złapiesz ja-

kiegoś bogatego plantatora herbaty, który otoczy cię wszystkimi bogactwami Wschodu i służbą stającą na paluszkach.

Przemawiał do niej jak dorosły mężczyzna próbujący rozweselić zapłakane dziecko.

- Pomyśl tylko, jaką podróż masz przed sobą. Założę się, że zanim dopłyniesz do Kanału Sueskiego, otrzymasz już ze dwa tuziny propozycji matrymonialnych...

Straciła cierpliwość.

- To wcale nie jest śmieszne! - odpaliła.

- Też tak sędzę, ale próbuję robić wszystko, by cię nie urazić.

- Z tego, co mówisz, wynika, że mnie nie kochasz.

- Ależ kocham!

- W takim razie inaczej, niż ja cię kocham.

- Może rzeczywiście, bo czuję się za ciebie odpowiedzialny. Tak jak za Loveday, ale równocześnie inaczej, bo ty przecież nie jesteś moją siostrą. Niemniej jednak rosłaś na moich oczach i też stałaś się jakby częścią Nan-cherrow. Po tamtej przygodzie z Billym Fawcettem dotarło do mnie, jak łatwo wyrzucić ci krzywdę. Robiło mi się słabo na myśl, że ten obleśny dziad mógł nabawić cię urazu na całe życie.

Judyta zaczęła pomalu nadążać za tokiem jego rozumowania.

- Aha, więc ty poszedłeś ze mną do łóżka zamiast niego?

- Chciałem wygnać na zawsze tę zmorę z twojego życia. Lepiej, że to ja pozbawiłem cię skarbu dziewictwa, niż miałby to zrobić jakiś jurny bęcwał.

- Czyli że zrobiłeś dobry uczynek, bo było ci mnie żal! - podsumowała. Nagle poczuła ból głowy, rodzący się gdzieś w okolicy oczu i pulsujący w skroniach. - Alem się wygłupiła! - dodała z goryczą.

- To właściwie było do przewidzenia.

- W miłości nie ma nic głupiego! - zaprotestował. -

Nie ma tylko sensu obdarzać miłością niewłaściwą osobę. Tobie potrzebny jest ktoś zupełnie inny niż ja, najlepiej jakiś poważny i bogaty starszy pan, który byłby w stanie stworzyć ci warunki, na jakie zasługujesz.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej.
- Wcześniej to nie miało związku ze sprawą.
- Mówisz jak prawnik.
- Jesteś na mnie zła?
- A co, spodziewałaś się, że nie będę?

Oczy paliły ją od gorących, niepowstrzymanych łez. Zauważył to i przerażonym głosem zawołał:

- Tylko nie płacz!
- Przecież wcale nie płacę.
- Nie zniósłbym widoku twoich łez. Czułbym się wtedy jak ostatni łajdak.
- Więc co teraz z nami będzie?
- Nic się nie zmieniło - wzruszył ramionami. - Pozostaniemy przyjaciółmi.
- Aha, więc mamy przejść nad tym do porządku dziennego? Robić dobrą minę, żeby nie martwić Diany? Nie wiem, Edwardzie, czy potrafię się na to zdobyć.

Ponieważ nic nie odpowiedział, Judyta zajęła się zapinaniem drugiego sandała. Także i on wsunął bose stopy w buty i zawiązał sznurowadła. Potem pozamykał kolejno wszystkie okna, wypuszczając trzmiela na dwór. W tym czasie Judyta wstała, więc przepuścił ją przodem, stojąc przy drzwiach. W momencie gdy go mijiała, zatrzymał ją wyciągniętym jak szlaban ramieniem i obrócił twarzą ku sobie. Kiedy mógł już swobodnie patrzeć jej w oczy, poprosił:

- Spróbuj mnie zrozumieć!
- Rozumiem cię doskonale, ale od tego nie jest mi ani trochę lżej.
- Przecież nic się między nami nie zmieniło... Wydało jej się to największą bzdurą i kłamstwem, jakie

kiedykolwiek słyszała. Wyrwała się z jego rąk i popędziła na przełaj przez sad, zginając kark pod nisko zwisającymi gałęziami i starając się nie wybuchnąć płaczem.

Edwardowi nie pozostało nic innego, jak tylko zamknąć starannie drzwi na klucz. A więc było już po wszystkim!

Do Nancherrow wracali w milczeniu, trochę przykrym, ale żadne z nich nie miało teraz nastroju do lekkiej, niezobowiązującej pogawędki. Na domiar złego ból głowy u Judyty nasilił się do takich rozmiarów, że nie byłaby w stanie podtrzymać nawet najbliższej rozmowy. Zaczynała odczuwać mdłości, a przed oczami latały jej czarne płatki. Nigdy dotąd nie miała migreny, lecz słyszała od koleżanek, które na nią cierpiały, że objawy mogą być podobne. Zastanawiała się nawet, czy to nie początki migreny, ale nie - przecież schorzenie to jest zawsze poprzedzone długim okresem zwiastunowym, nie zaczyna się tak nagle.

Myślała już ze zgrozą o planach spędzenia reszty dnia, który zdawał się nie mieć końca. Teoretycznie powinni zaraz po powrocie do domu wyruszyć nad zatokę, aby dołączyć do rozbawionego towarzystwa. Trzeba byłoby przejść tą samą drogą co zawsze na ulubioną przez wszystkich skałę. Walały się tam kolorowe ręczniki, słomiane kapelusze i części garderoby, smażyły w słońcu na pół nagie ciała. Szumiał gwar ożywionych rozmów, przerywanych od czasu do czasu pluskiem, kiedy ktoś dał nurka ze skały. A nad tym wszystkim górowało bezlitosne słońce i błękit nieba.

Tego byłoby dla niej już za wiele. Dojeżdżali do domu, kiedy Judyta nabrała powietrza w płuca i oznajmiła:

- Nie bardzo mam ochotę iść nad zatokę.
- Ależ musisz! - W głosie Edwarda zabrzmiała niecierpliwość. - Wszyscy na nas czekają!
- Głowa mnie boli.
- No wiesz! - Był pewien, że to wymyślona naprędce wymówka.

- Mówię prawdę. Głowa mi pęka, przed oczami latają czarne kręgi i robi mi się niedobrze.
 - Naprawdę? - Teraz przybrał zatroskany ton. Odwrócił się ku niej i otaksował ją wzrokiem. - Rzeczywiście, wyglądasz blado. Czemu nic mi nie powiedziałaś?
 - Właśnie mówię.
 - Kiedy to się zaczęło?
 - Dopiero co. - Była to najbardziej wyczerpująca odpowiedź, na jaką było ją stać.
 - Biedactwo, tak mi przykro! - Rzeczywiście, teraz jego głos wyrażał skruchę. - W takim razie najlepiej będzie, jeśli zażyjesz aspirynę i trochę się położysz. Wkrótce powinno ci przejść, a nad zatokę możemy pójść trochę później. Oni tam nie zaczną się zbierać przed siódmą, więc mamy kupę czasu.
 - Dobrze. - Pomyślała o swoim cichym pokoju z zaciągniętymi storami i kojącym dotknięciu chłodnego płótna poszewki na rozpalonej skroni. Tak, potrzebuję trochę czasu, aby pozbierać się po otrzymanym ciosie. - To dobry pomysł, ale nie czekaj na mnie.
 - Nie chciałbym zostawiać cię teraz samej.
 - Przecież nie będę tu sama.
 - Będziesz, bo Mary poszła ze wszystkimi nad zatokę, a tata, jak zwykle w niedzielę, robi obchód majątku wraz z panem Mudge'em. - Jest jeszcze twoja mama.
 - Tak, ale ona jest chora.
 - Nie martw się o mnie, dam sobie radę.
 - Dobrze, ale przyjdiesz, kiedy poczujesz się lepiej? Wydawało się, że przykłada do tego dużą wagę, więc aby zapobiec dalszej dyskusji, zgodziła się.
 - Tak, ale jak się zrobi trochę chłodniej.
 - Kąpiel przed kolacją dobrze ci robi. Zobaczysz, że . spłucze wszystkie zmartwienia.
- „Dobrze by było, gdyby tylko było to możliwe” - westchnęła w głębi duszy. Cóż jednak człowiek może zrobić,

kiedy w głowie kotłują mu się myśli, od których nie sposób się uwolnić?

Akurat Edward podjechał pod samo frontowe wejście. Wyszli z wozu i weszli do środka. W hallu na stole stał koszyk z zapasami na piknik. Wystawały z niego termosy i blaszane pudełka, a na samym wierzchu ktoś ułożył także kąpielówki Edwarda i kostium plażowy Judyty. Obok leżała, przyciśnięta mosiężną tacą na listy, kartka z notatką Atheny.

Tylko nie mówcie, że nie pamiętaliśmy o wszystkim! Żebyście nie tracili czasu, zapakowaliśmy wam kostiumy. Nie ociągajcie się, tylko od razu przychodźcie.

Całusy -

Athena

Kiedy Edward przeczytał notatkę na głos, Judyta powtórzyła:

- Lepiej już idź.

Najwyraźniej jednak nie miał sumienia zostawiać jej samej. Położył ręce na ramionach dziewczyny i dokładnie ocenił ją wzrokiem.

- Czy jesteś pewna, że możesz zostać sama?

- Całkiem pewna.

- Masz aspirynę czy coś podobnego?

- Coś znajdę. Naprawdę idź już, Edwardzie. Wciąż jednak odwlekał moment rozstania.

- Czy mogę już uważać, że mi przebaczyłaś? Widocznie jak mały chłopczyk obawiał się, że gniew drugiej osoby zburzy jego spokój wewnętrzny.

- Oczywiście, w końcu jest w tym tyleż twojej winy co mojej. - Co gorsza, była to prawda, choć nieprzyjemna.

Edwardowi to wystarczyło.

- To dobrze. - Uśmiechnął się. - Nie chciałbym, żebyś się na mnie gniewała. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi.

Uścisnął ją lekko na pożegnanie, wziął ze stołu ciężki

koszyk i skierował się ku drzwiom. W progu jeszcze się odwrócił.

- Będę czekał na ciebie! - zapewnił.

Judyta poczuła, że łzy znów napływają jej do oczu, więc nie odpowiedziała nic, tylko kiwnęła głową, modląc się, żeby wreszcie sobie poszedł. Kiedy to w końcu uczynił, przez chwilę widać było jego sylwetkę podświetloną słońcem, a wkrótce i ona zniknęła. Ucichł także odgłos jego kroków na żwirze. Zrobiło się pusto i cicho. Słyszał tylko tykanie starego zegara, który stał u podnóża schodów.

Wskazywał piętnaście po czwartej. O tej porze w całym domu oprócz niej została tylko niedysponowana Diana w swym luksusowym łóżku, z pekińczykiem zwiniętym u jej boku.

Judyta miała zamiar wejść na górę, ale już na najniższych stopniach nogi się pod nią ugięły. Siły opuściły ją tak dalece, że usiadła na schodku, opierając czoło o chłodne drewno poręczy. Łzy napłynęły teraz bez przeszkód i złapała się na tym, że chlipie jak dziecko. Nie musiała tego ukrywać, bo nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. I dobrze, bo głośne wypłakanie wszystkich nieszczęść przynosiło pewną ulgę. Tyle że, jak zwykle, nie miała przy sobie chusteczki do nosa. Oczy mogła wytrzeć rąbkiem sukienki, ale trudno było się w nią wysmarkać...

W tym momencie usłyszała na górnym piętrze kroki wzdłuż korytarza, zatrzymujące się u szczytu schodów. Dobiegło stamtąd wołanie:

- Judyto, jesteś tam?!

A więc Mary Millyway jednak była w domu! Judyta zastygła z przerażenia, przełykając ostatni szloch.

- Co ty tu robisz? - padło następne pytanie, ale Judyta, tonąc we łzach, nie była w stanie odpowiedzieć.

Mary zeszła więc po schodach do niej.

- Myślałam, że już dawno poszliście nad zatokę, ale trzeba trafu, że zobaczyłam przez okno Edwarda, jak szedł

sam. Pani Boscawen dobrze się czuje, prawda? - Głosem nabrzmiałym niepokojem powtórzyła z naciskiem: - Chyba nic się tam nie stało?

Mary podeszła do Judyty i położyła rękę na jej ramieniu. Judyta niezbyt kulturalnie wytarła nos wierzchem dłoni i przecząco potrząsnęła głową.

- Nie, z ciocią wszystko w porządku.

- A nie zmęczyliście jej za dużo? Siedzieliście u niej tak długo!

- U niej wcale tak długo nie siedzieliśmy.

- Jeśli nie u niej, to w takim razie gdzie?

- Sprzątaliśmy „chatkę”, bo ciocia nas o to prosiła.

- Dlaczego więc płaczesz? - Usiadła na schodku obok Judyty i otoczyła ją ramieniem. - Powiedz swojej Mary. Co się stało?

- Nic takiego, tylko głowa mnie rozboleła i nie chce mi się iść do nich nad zatokę. - Dopiero teraz zwróciła oczy w kierunku Mary i na jej pocziwej piegowatej twarzy dostrzegła tylko życzliwość i troskę. - Nie masz przypadkiem chusteczki?

- Oczywiście, że mam.

Kiedy Mary podała jej chusteczkę wyciągniętą z kieszeni roboczego fartucha, Judyta poczuła się nieco lepiej. Przynajmniej nie musiała już pociągać nosem.

- Myślałam, że poszłaś nad zatokę ze wszystkimi -zauważyła ze zdziwieniem.

- Nie poszłam, bo nie chciałam zostawiać pani samej. A nuż by czegoś potrzebowała? Teraz musimy coś zaradzić na ten twój ból głowy, bo od samego siedzenia ci nie przejdzie. Chodź do mnie do pokoju, to poszukam czegoś w apteczce, a potem posiedzimy sobie i napijemy się herbaty. Akurat chciałam nastawić wodę...

Już sama obecność Mary działała na Judytę kojąco, a co dopiero jej proste i szczere słowa! Niania zaprowadziła ją do pokoju dziecinnego, posadziła na rozklekotanej kanapie i częściowo zasłoniła okno, aby słońce nie świe-

ciło Judycie prosto w oczy. Potem poszła do łazienki i przyniosła stamtąd szklankę wody oraz dwie tabletki.

- Zażyj to szybko, a zaraz poczujesz się lepiej - poleciła. - Posiedź sobie, ja tymczasem zaparzę herbatę.

Judyta posłusznie przełknęła tabletki i popiła czystą, zimną wodą. Odchyliła się do tyłu na oparcie kanapy, przymknęła oczy i nastawiła twarz pod lekki wietrzyk wpadający przez otwarte okno. Czowała panujący w pokoju dzieciennym zapach ciasteczek, świeżo uprasowanej bielizny i róż ustawionych w biało-niebieskim flakoniku na stole. Wciąż zaciskała palce na pożyczonej chusteczce, jakby to był talizman przynoszący szczęście.

Akurat wróciła Mary, niosąc tacę z czajniczką, filiżankami i spodeczkami. Judyta chciała wstać, ale niania zawczasu ją uprzedziła:

- Nie ruszaj się, postawię to wszystko na tym stoliku. Przysunęła sobie stary fotel, na którym kiedyś karmiła

małe dzieci. Usiadła wygodnie tyłem do okna i przemówiła zachęcająco:

- Kiedy człowiek źle się czuje, nie ma jak filiżanka dobrej herbaty. Dostałaś może okres?

Judyta już chciała potwierdzić, gdyż byłaby to w tej chwili świetna wymówka, ale ani teraz, ani kiedykolwiek przedtem nie potrafiłaby się zdobyć na to, aby okłamać Mary.

- Nie, to nie to.

- A kiedy się to zaczęło?

- Dziś... to znaczy teraz, po południu. - Kiedy odbierała z rąk Mary parujący napój, jej własna ręka tak się trzęsła, że aż filiżanka zadzwoniła o spodeczek. - Dziękuję ci, Mary, jesteś taka dobra. Chwała Bogu, że nie poszłaś nad zatokę, bo nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie.

- Chyba jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś tak płakała - zauważyła Mary.

- Chyba rzeczywiście nie.

Piła gorącą herbatę małymi łyчками, co wspaniale odświeżało.

- Coś się stało, prawda? - spytała Mary jakby mimochodem, nalewając sobie herbaty.

- Dlaczego tak uważasz?

- Przecież nie jestem głupia, kochanie. Znam was wszystkich na wylot i wiem, że nie płakałabyś tak bez powodu.

- Nie wiem, czy mogłabym... czy chciałabym o tym mówić...

- Lepiej, żebyś porozmawiała o tym ze mną niż z kimkolwiek innym. Przecież dorastałaś na moich oczach i prawdę mówiąc, zawsze się obawiałam, że do tego dojdzie.

- Do czego miało dojść?

- To ma związek z Edwardem, prawda?

Judyta podniosła wzrok na Mary, ale nie znalazła w jej oczach dezaprobaty ani nawet zwykłej ciekawości - niania po prostu stwierdziła suchy fakt, nie próbując go osądzać. Zbyt dobrze знаła życie i wychowała od małego wszystkie dzieci Carey-Lewisów.

- Tak, chodzi o Edwarda. - Judyta nawet nie przeczuwała, jaką ulgę przyniesie jej możliwość wypowiedzenia tego na głos.

- Zakochałaś się w nim, co?

- A któż by się w nim nie zakochał?

- Aleście się pokłócili?

- To nie była kłótnia, tylko raczej nieporozumienie.

- Próbowaliście o tym porozmawiać?

- Tak, ale doszliśmy do wniosku, że inaczej patrzymy na te same sprawy. Myślałam, że nie muszę już udawać i mogę mu powiedzieć, co naprawdę czuję, a okazało się, że tylko zrobiłam z siebie idiotkę...

- No, tylko mi nie zacznij znowu płakać! Możesz opowiedzieć mi o wszystkim, na pewno cię zrozumiem.

Judyta próbowała się opanować i osuszyć twarz zmiętą chusteczką Mary. Upiła jeszcze trochę herbaty i mówiła dalej:

- Oczywiście on mnie wcale nie kochał, co najwyżej lubił jak Loveday, ale to nie znaczyło, że chciał być ze mną na zawsze. To się zaczęło jeszcze na Boże Narodzenie, ale wtedy tylko się wystraszyłam. Na szczęście Edward był na tyle cierpliwy i wyrozumiały, że zapomniał o tamtym incydencie i zaczął od początku. Wydawało się, że wszystko wróciło do normy, ale dziś po południu...

Tego już nie mogła powiedzieć Mary, gdyż poruszyłaby zbyt intymną materię. Spuściła oczy i wbiła wzrok w filiżankę, ale zdradził ją rumieniec wpełzający na policzki.

- Posunęliście się trochę za daleko, prawda? - dokończyła za nią Mary.

- Można to i tak nazwać.

- Cóż, takie rzeczy zdarzają się od początku świata w najlepszych rodzinach. Z tym że Edward już nieraz działał mi na nerwy, bo zawsze myślał tylko o sobie. Przelatywał jak motylek z kwiatka na kwiatek. Dziś zaprzyjaźnił się z kimś i sprowadzał do domu, a jutro to samo z kimś innym.

- Musiałam od początku o tym wiedzieć, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Głowa jeszcze boli?

- Już trochę mi przeszło. - Odpowiadało to prawdzie, ale miejsce bólu zajęła teraz nie mniej dotkliwa pustka. - Obiecałam Edwardowi, że przyjdę nad zatokę, ale trochę później, jak się zrobi chłodniej.

- Ale pewnie wolałabyś w ogóle tam nie iść, prawda?

- Rzeczywiście, ale nie dlatego, że źle się czuję. Nie chciałabym spotkać się z tym całym towarzystwem, Love-day, Atheną i resztą... Już sobie wyobrażam, jak będą się na mnie gapić i wypytywać, co się stało. Najchętniej w ogóle bym znikła!

Spodziewała się, że Mary powie coś w rodzaju: „Nie pleć głupstw, nie można tak po prostu zniknąć. Ucieczka niczego nie rozwiąże!” Tymczasem niania zaskoczyła ją zupełnie innym podejściem do sprawy.

- To wcale nie jest zły pomysł! - powiedziała spokojnie.
- Do czego zmierzasz? - Judyta nie od razu zrozumiała jej intencje.
- Gdzie przebywa teraz pani Somerville?
- Ciocia Biddy?
- Tak. Gdzie ona mieszka?
- W Bovey Tracey w hrabstwie Devon.
- Wybierałaś się do niej?
- W swoim czasie tak.
- Wiem, że wtrącam się w nie swoje sprawy, ale radziłabym ci, żebyś teraz tam pojechała.
- Już?
- Tak, nawet zaraz.
- Przecież nie mogę tak ni stąd, ni zowąd do niej przyjechać!
- Posłuchaj mnie, kochanie. Ktoś w końcu musi ci to powiedzieć, a twojej mamy nie ma teraz przy tobie. Nasza pani jest dobra jak anioł, ale nie zna się na takich sprawach. Już ci mówiłam, że dorastałaś przy mnie, odkąd Loveday przywiozła cię tu na weekend. Na moich oczach wtapiałaś się w tę rodzinę, stawałaś się jej częścią. I bardzo dobrze, ale wiązało to się z pewnym niebezpieczeństwem. Mimo wszystko nie była to jednak twoja rodzina, więc mogłaś przy tym łatwo zatracić własną osobowość. Teraz masz już osiemnaście lat i powinnaś pójść własną drogą. Tylko, broń Boże, nie myśl, że cię stąd wyganiam! Będzie mi tu ciebie brakowało, ale boję się, że gdybyś tu dłużej pomieszkała, zapomniałabyś, że masz swoje prawa jak każdy człowiek.
- Od dawna już o tym wiedziałaś?
- Już podczas tamtych świąt zaczęłam się domyślać, że coś się święci między tobą a Edwardem. Życzyłam ci, żebyś się za bardzo nie angażowała, bo przeczuwałam, jak to się skończy.
- I oczywiście miałaś rację.

- Wolałabym się mylić, ale za dobrze znam tych Ca-rey-Lewisów. Oni wszyscy to twardzi ludzie, urodzeni przywódcy. Wpakowałaś się w ładny bigos, więc żeby wyjść z tego z godnością, najlepiej jest przejąć inicjatywę.

Judyta zgadzała się z tym poglądem, gdyż pamiętała dobrze tamten dzień, kiedy Billy Fawcett przestraszył w kinie biedną Ellie. Wtedy też wzięła sprawy w swoje ręce i doprowadziła do złożenia oficjalnego doniesienia o przestępstwie. I to pomogło, bo potem czuła się dużo silniejsza i bardziej pewna siebie, a zmora Billy'ego Faw-cetta na zawsze znikła z jej życia.

Pomysł, żeby opuścić Nancherrow i Edwarda, chroniąc się u ciotki Biddy, wydawał się jej całkiem atrakcyjny. Nie na długo, tylko na pewien czas, żeby sprowadzić sprawy do właściwego wymiaru i odzyskać równowagę wewnętrzną. Ciotka Biddy miała tę zaletę, że nie знаła Edwarda, więc nie zadawałaby żadnych zbędnych pytań. Ucieszyłyby się tylko, że ma towarzystwo, dzięki czemu mogłaby się wymówić od uczestnictwa w jednym czy drugim przyjęciu.

Wyjazd wiązał się jednak z wieloma komplikacjami.

- Mam tak sobie wyjechać, nagle, bez uprzedzenia? - Biła się z wątpliwościami. - To byłoby okropnie niegrzeczne!

- Musisz zacząć od tego, że zaraz zejdziesz do gabinetu pana pułkownika i zadzwonisz do swojej cioci. Masz jej numer? Tak? To świetnie. Spytasz więc, czy możesz wpaść do niej już dziś wieczór. Jeśli będzie chciała wiedzieć dlaczego, wymyślisz jakąś bajeczkę. A pojechać możesz swoim samochodem, to chyba nie dalej niż cztery godziny drogi stąd. O tej porze ruch nie powinien być zbyt duży.

- A gdyby nie było jej w domu albo nie chciałyby, żebym ją odwiedziła?

- Przecież tak czy siak wybierałaś się do niej. Co szko-

dzi, jeśli przyjedziesz trochę wcześniej? Musimy tylko wymyślić jakiś wiarygodny powód twojego wyjazdu i właśnie jej użyjemy jako pretekstu. Powiemy wszystkim tutaj, że twoja ciotka nagle zachorowała, powiedzmy na gripę, albo że złamała nogę i pilnie wezwała cię na pomoc. To wyjaśni, dlaczego musisz od razu wsiadać do samochodu i jechać.

- Tylko że ja nie umiem kłamać. Każdy to od razu pozna.

- Nie będziesz musiała kłamać, bo ja zrobię to za ciebie. Pan pułkownik nie wróci przed kolacją, bo pojechał z panem Mudge'em obejrzeć jakieś stado bydła na drodze do St. Just. Edward, Athena, Loveday i ta cała reszta też będą siedzieć na klifach jeszcze przynajmniej godzinę.

- Uważasz, że nie muszę się z nimi pożegnać?

- Powiem więcej, nie musisz oglądać nikogo z nich, dopóki nie poczujesz się na siłach.

- Ale chciałabym tu jeszcze wrócić, żeby przed wyjazdem do Singapuru pożegnać się z panem pułkownikiem i Dianą...

- Pewnie, że powinnaś wrócić, i wszyscy będziemy na ciebie czekali. Na razie jednak trudno by ci było pozbierać się po tym wszystkim. Edwardowi zresztą też.

- Czyli że nam obojgu potrzebna jest kataliza?

- Nie wiem, co to znaczy „kataliza”. Wiem tylko, że musisz za wszelką cenę pozostać sobą.

- Mówisz zupełnie jak panna Catto.

- Mogę powiedzieć to samo jeszcze mocniej.

- A jak ty sobie dałaś radę? - zapytała z uśmiechem Judyta. - Też jesteś jakby częścią tej rodziny, a jednak nie wchłonęli cię i zachowałaś swoją osobowość.

- Ja to co innego. To jest moja praca.

- Ale chyba nie potrafiłabyś już od nich odejść?

- Tak ci się wydaje? - Mary zaśmiała się gorzko. - Pewnie sądzisz, że zestarzeję się przy tej pracy.

Odchowam

kolejne pokolenie dzieci, tym razem Atheny, będę wysadzać je na nocniczki, prać pieluchy i prasować? I potrwa to tak długo, dopóki nie zniedołężnieję i nie stanę się dla wszystkich ciężarem? Przyznaj się, że tak wyobrażałaś sobie moją przyszłość!

Judycie zrobiło się głupio, ponieważ rzeczywiście tak to sobie wyobrażała. Widziała w myślach Mary jako wysłużoną nianię-rezydentkę, która już tylko siedzi w fotelu otulona szalem i robi na drutach jakieś nikomu niepotrzebne ciuszki. Ktoś inny musi podawać jej herbatę, a za plecami sarka, że tyle z tą staruchą kłopotu... Głośno jednak powiedziała tylko:

- Po prostu trudno mi uwierzyć, że mogłabyś żyć poza Nancherrow.
 - A więc bardzo się mylisz. Kiedy skończę sześćdziesiąt lat, przejdę na emeryturę i przeniosę się na farmę mojego brata przy szosie do Falmouth. Mam tam swój domek, który od niego odkupiłam za własne, uskładane dwieście pięćdziesiąt funtów. Tym sposobem zapewniłam sobie niezależność na stare lata.
 - To świetnie, ale nie wyobrażam sobie, co Carey-Le-wisowie poczną bez ciebie.
 - Jakoś sobie poradzą. Nie ma ludzi niezastąpionych.
 - A przynajmniej wiedzą o twoich planach?
 - Pan pułkownik wie. Zwierzyłam mu się, kiedy kupiłam ten domek. Mało tego, nawet pokrył koszty wytyczenia działki.
 - Ciekawe, czy Diana też wie. Mary ze śmiechem potrząsnęła głową.
 - Wątpię, aby pan pułkownik cokolwiek jej o tym wspominał. Pani jest taka wrażliwa i wątpi jak dziecko. Pan stara się ją chronić przed wszystkim.
- Od tych rozważań Mary znów powróciła do spraw bieżących.
- No, to nie traćmy czasu na gadanie. Komu w drogę, temu czas.

- Pomożesz mi się spakować?

- Najpierw zadzwoń do cioci. Wszystko musi iść swoją koleją.

Diana obudziła się dopiero późnym popołudniem. Do tej pory spała, a gdy otworzyła oczy, stwierdziła, że słońce jest już nisko i jego promienie wpadają przez okna sypialni. U jej boku wciąż drzemał Pekoe. Ziewnęła, przeciągnęła się i pomyślała, jak byłoby dobrze, gdyby sen nie tylko przywracał siły, ale zabierał ze sobą wszystkie troski jak fala odpływu. Wtedy człowiek budziłby się z lekką i świeżą głową...

Niestety, nie było aż tak dobrze. Gdy tylko otrząsnęła się ze snu - obsiadły ją te same dokuczliwe myśli, jakby tylko na nią czekały. Ciotka Lawinia niby wracała do zdrowia, ale była jeszcze taka słaba... Wojna wisiała na włosku... Kiedy wybuchnie - to kwestia tygodni czy nawet dni. Wiadomości radiowe i nagłówki gazet z godziny na godzinę stawały się bardziej pesymistyczne. Serce się jej krajało, gdy widziała, jak Edgar to przeżywa. Próbował ukrywać przed nią swoje uczucia, lecz nie zawsze mu się to udawało.

W najczarniejszych barwach widziała przyszłość młodych ludzi ze swego otoczenia. Jeremy, który zawsze był jej podporą - lada dzień miał wstąpić na pokład okrętu marynarki wojennej. Tylko czekać, jak inni podążą w jego ślady. Edward będzie latać na tych strasznych samolotach, które i tak są dosyć niebezpieczne, a co dopiero, gdy Niemcy zaczną do nich strzelać! Jego przyjaciel Gus wstąpi w szeregi strzelców szkockich i możliwe, że żaden z nich nie zobaczy już nigdy wież Cambridge...

Rupert był i tak zawodowym wojskowym, ale sytuację komplikowały dodatkowo jego plany matrymonialne względem Atheny. Kiedy wyślą go na pustynię razem z jego koniem i wystawią na cel nieprzyjacielskich pocisków - Athena zostanie sama i zmarnuje lata młodości. Zresztą cała ta

„złota młodzież” utraci na zawsze swoje najpiękniejsze lata, które już nigdy nie wrócą...

A Loyeday? Ma dopiero siedemnaście lat i po raz pierwszy w życiu jest zakochana. I co z tego, kiedy wojna odbierze jej niedługo obiekt dziewczęcych westchnień. Diana nie mogła sobie wyobrazić, jak Loveday na to zareaguje, ale jej postęпки zawsze były meprzewidywa

Obróciła stę na tyle, aby móc spojrzeć na mały złoty budzik u wezłowia łóżka. Było już wpół do piątej. Chętnie napiłaby się herbaty, ale nie miała sumienia dzwonie na panią Nettlebed, która musiałaby się gramolić po schodach na swoich spuchniętych nogach. Właściwie powinna się zmobilizować, aby wstać, wziąć prysznic, ubrać się i zejść na dół. Wprawdzie Jeremy zalecił jej pozostanie w łóżku, ale gdyby wiedział, jak się nudziła...

W tym momencie ktoś zapukał we framugę drzwi.

- Kto tam? . Klamka poruszyła się i drzwi nieco się uchylły.

- To ja, Judyta. Nie śpisz?

- Już nie.

- Nie przeszkadzam?

_ Przeciwnie, właśnie nudziłam się jak mops i marzyłam, żeby z kimś porozmawiać.

Judyta weszła więc do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i siadła na skraju łóżka Diany. Miała teraz na sobie białą bluzkę z falbanką wokół szyi i bawełnianą spódniczkę w niebieskie i białe paski. Szczupłą talię ścisnęła czerwonym paskiem, a włosy schludnie wyszczotkowała i przyczesła.

- Jak się czujesz? - spytała Dianę.

- Już lepiej, tylko strasznie się rozleniwiłam.

- Spałaś trochę? .

- Aż do tej pory. A dlaczego nie poszłaś z innymi nad zatokę?

- Głowa mnie bolała. Edward poszedł sam.

- Wszystko przez ten upał. Jak się czuje ciocia Lawinia?

- Och, urocza, rozmowna jak zawsze. Aż dziw bier/c. jeśli się pomys'li, ile wycierpiała.
- Myślisz, że jeszcze będzie kiedyś tak aktywna jak przedtem?
- Na pewno. - Tu Judyta przez chwilę się zawahała, a potem przeszła do sedna sprawy. - Ale właściwie, Diano, mam ci coś do powiedzenia. Chodzi o to, że muszę wyjechać. I to natychmiast!
- Wyjechać? - Diana nie posiadała się ze zdumienia. -Ależ, kochanie, dlaczego?
- To długa historia. Piłyśmy akurat herbatę z Mary, kiedy zadzwonił telefon...
- Ciekawe, że nie słyszałam dzwonka.
- Widocznie wtedy spałaś. Dzwoniła moja ciocia, Bidy Somerville. Okazało się, że złapała ciężką gripę, a wujek Bob i Ned akurat wypłynęli w rejs. Jest więc sama i poza dochodzącą gosposią nie ma komu się nią zająć. Zwyczajnie wezwała mnie na pomoc, bo lekarz powiedział jej, że nie powinna być teraz sama.
- Kochanie, to naprawdę okropne. Może powinniśmy przywieźć ją do nas?
- Jesteś bardzo dobra, ale wątpię, czy zniosłaby taką podróż. Myślę, że muszę do niej pojechać, tym bardziej że i tak się tam wybierałam. Co za różnica, prędzej czy później.
- Ty to masz naprawdę dobre serce.

Judyta uśmiechnęła się, a Diana zauważyła przy tym, że dziewczyna robi wrażenie zmęczonej. Oczy miała podkrążone, a żywy kolor szminki tylko potęgował bladość cery. Widać było, że dręczył ją ból głowy, ale Diana przez chwilę próbowała dociec, co mogło spowodować tak złe samopoczucie. Właściwie powinna zapytać ją o to, wykazać macierzyńską troskliwość, ale akurat nie czuła się na siłach wysłuchiwać cudzych zwierzeń. Możliwe też, że miało to coś wspólnego z Edwardem, a wtedy wolałaby nie wiedzieć o niczym. Wprawdzie kochała Ju-

dytę, ale w końcu nie była to jej rodzona córka. Diana miała na razie dość własnych zmartwień, dorzuciła więc tylko:

- No cóż, jeśli jesteś potrzebna, to oczywiście musisz jechać. Czym masz zamiar się tam dostać?
- Moim samochodem. - Mam nadzieję, że będziesz prowadzić ostrożnie.
- No pewnie!
- Kiedy chcesz wyjechać?
- Zaraz. Mary pomogła mi spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Myślę, że nie zostanę tam długo. Chciałabym jeszcze tu wrócić, żeby się pożegnać z wami przed wyjazdem do Singapuru.
- To jasne, że musisz wrócić!
- Pożegnasz ode mnie pana pułkownika, dobrze?
- Prawda, zapomniałam, że nie będziesz już się widziała ani z nim, ani z resztą. Jakie to okropne tak zniknąć bez pożegnania! Nie mogłabyś przed wyjazdem wpaść na chwilę nad zatokę?
- Niestety, nie ma na to czasu. Musisz pożegnać ich wszystkich i przeprosić w moim imieniu.
- Przekażę im to, ale na pewno bardzo się zmartwią.
- Tak mi przykro, ale dobrze przynajmniej, że to rozumiesz.
- Kochanie, wiem, że to nie twoja wina.

Judyta nachyliła się i pocałowała Dianę w policzek.

- Niedługo wrócę - zapewniła.
- A więc nie będziemy się żegnać, tylko powiemy sobie „do zobaczenia!”
- Do zobaczenia!
- Szczęśliwej podróży, kochanie!

Judyta uśmiechnęła się i już zmierzała do drzwi, gdy Diana zawołała za nią:

- Judyto!
- Słucham?
- Czy Mary jest może gdzieś w pobliżu?

- Tak.

- Więc powiedz jej, że Pekoe chce wyjść na spacer. I jeszcze niech będzie taka miła i przyniesie mi filiżankę herbaty!

Judyta ostatecznie zamknęła drzwi za sobą i wróciła do pokoju dziecinnego. Mary czekała na nią przy oknie. Na dźwięk swojego imienia odwróciła się i spytała:

- Rozmawiałaś z panią?

- Tak, nie spała już. Opowiedziałam jej bajeczkę o grypie cioci Bidy i chyba uwierzyła, bo nie zadawała żadnych niepotrzebnych pytań. Prosiła tylko, aby ci powtórzyć, że Pekoe chce wyjść na siusiu i byłaby ci bardzo wdzięczna za filiżankę herbaty.

- Ta robota nigdy nie ma końca. - Mary uśmiechnęła się krzywo.

- Miałabym wyrzuty sumienia, gdybym się z nią nie pożegnała.

- Dobrze, że już masz to z głowy. Czas się zbierać. Odprowadzę cię do samochodu.

- Nie, proszę cię! - zdecydowała nagle Judyta. - Nie znoszę pożegnań. Zaraz bym się znowu rozplakała.

- Jesteś tego pewna?

- Całkowicie.

- No to do widzenia. - Objęły się i uściśniły mocno. - Pamiętaj, że to tylko na krótko. Niedługo się zobaczymy. Będziemy w kontakcie. Tylko jedź ostrożnie!

- Oczywiście.

- Masz dosyć benzyny? W Penzance jest stacja czynna także w niedziele.

- Zatankuję tam.

- A gotówki masz dosyć?

- Dziesięć funtów. Wystarczy aż zanadto.

- I nie przejmuj się Edwardem. - Mary udzieliła jej jeszcze ostatnich rad. - Nie oglądaj się za siebie i nie daj sobie złamać serca. Zanadto jesteś młoda i ładna.

- Wszystko będzie dobrze.

Mary została więc sama na środku pokoju dziecinnego, jakby trochę zagubiona. Judyta zaś przeszła przez korytarz i zbiegła na dół po schodach. Zawczasu już wyprowadziła samochód z garażu, a Mary wrzuciła jej walizkę na tylne siedzenie.

Usiadła za kierownicą, włączyła silnik i wrzuciła bieg. Kiedy samochód wytoczył się już na żwirowany podjazd -z trudem powstrzymała się od płaczu.

- Przecież nie wyjeżdżam stąd na zawsze! - powtarzała sobie, ale nie mogła oprzeć się takiemu wrażeniu. Ni stąd, ni zowąd przypomniały jej się słowa wierszyka, który kiedyś w Kolombo, gdy była mała, czytała jej na głos matka.

Żegnaj, ogródku, domku z ławką, Sadzawko, co jak lustro lśni...

W lusterku wstecznym widziała przez jakiś czas pomniejszony obraz Nancherrow, ale i on wkrótce znikł.

Studnio i stajnio, i huśtawko -Żegnajcie już, żegnajcie mi!

Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy przyjechała tu bentleyem Diany i od razu pokochała ten dom, ogród i widok na morze. Miała przy tym świadomość, że jeśli nawet tu wróci, to Nancherrow nie będzie już takie samo, jakie je zapamiętała.

A kiedy wjechała między drzewa, straciła z oczu posiadłość. Pozostawiła tam Edwarda i całą resztę. I znów była sama.